

„Pokrzepiająca, romantyczna,  
optymistyczna i przemiła powieść”.

**The Independent**

**M a r i a n K e y e s**

**KOBIETA, KTÓRA  
UKRADŁA  
MOJE ŻYCIE**

**M a r i a n K e y e s**

**KOBIETA, KTÓRA  
UKRADŁA  
MOJE ŻYCIE**

Z języka angielskiego przełożyła  
Ewa Penksyk-Kluczkowska



Tytuł oryginału:  
WOMAN WHO STOLE MY LIFE

Copyright © Marian Keyes, 2014.  
By arrangement with the Proprietor. All rights reserved.  
Copyright © 2016 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga  
Copyright © 2016 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Ilona Gostyńska-Rymkiewicz  
Zdjęcie na okładce: Fotolia.pl/tibor

Redakcja: Magdalena Stec  
Korekta: Iwona Wyrwisz, Agnieszka Majewska

ISBN: 978-83-7999-790-9

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!  
*Polska Izba Książki*

Więcej o prawie autorskim na [www.legalnakultura.pl](http://www.legalnakultura.pl)

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.  
Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice  
tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28  
e-mail: [info@soniadraga.pl](mailto:info@soniadraga.pl)  
[www.soniadraga.pl](http://www.soniadraga.pl)  
[www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga](https://www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga)

E-wydanie 2016

Skład wersji elektronicznej:

**virtualo**  
[konwersja.virtualo.pl](http://konwersja.virtualo.pl)

# Spis treści

## Ja

Piątek, 30 maja

Oddychaj... oddychaj...

Sobota, 31 maja

Podrapanie podeszwy jednej stopy wielkim palcem drugiej stopy to umiejętność granicząca z cudem.

Jeśli przechodzisz przez piekło, po prostu patrz przed siebie.

Ludzki dotyk jest równie ważny jak woda, jedzenie, powietrze, śmiech i nowe buty.

Niedziela, 1 czerwca

Żyj. Czasami nie możesz zrobić nic więcej, ale musisz żyć.

Nie każdy może się zajmować szukaniem lekarstwa na raka. Ktoś musi robić obiady i segregować skarpetki.

Może nie mam płaskiego brzucha, ale przynajmniej nie połamię sobie nóg, złącząc z krzesła.

Poniedziałek, 2 czerwca

To, że mieszkasz przy polu golfowym, nie oznacza, że musisz grać w golfa.

Nie myśl „Dlaczego mnie to spotkało?“, tylko „Dlaczego mnie nie miałyby spotkać?“.

A kto powiedział, że życie jest sprawiedliwe?

Wtorek, 3 czerwca

Jak się je słonia? Po kawałku.

Czasami dostajesz to, czego chcesz, czasami dostajesz to, czego potrzebujesz, a czasami dostajesz to, co dostajesz.

Środa, 4 czerwca

Zaufaj intuicji.

Niektórzy umieją poruszać uszami – to ich popisowy numer. Jeśli ty nie umiesz, nie przejmuj się. Znajdź sobie jakiś inny popisowy numer.

Wszystko, co robisz z miłością, staje się doskonałe.

Czwartek, 5 czerwca

Łatwiej wyzdrowieć, jeśli człowiek rzeczywiście chce wyzdrowieć.

Piątek, 6 czerwca

Możesz igrać z ogniem, a możesz też zdusić pożar w zarodku.

Poniedziałek, 9 czerwca

Wtorek, 10 czerwca

## On

## Ona

## Ja

Środa, 11 czerwca

Czwartek, 12 czerwca

Rok później

## Podziękowania

*Dla Tony'ego*

**N**a początek muszę coś wyjaśnić. To nieprawda, że nie wierzę w karmę. Nieważne, co na ten temat słyszeliście, a na pewno sporo – nie upieram się, w każdym razie nie jakoś mocno, że karma nie istnieje. Może istnieje, może nie, skąd, na Boga mam wiedzieć? Ja tylko przedstawiam swoją wersję wydarzeń.

Jeśli jednak karma rzeczywiście istnieje, mogę powiedzieć jedno: to fantastyczna machina PR-owska. Wszyscy wiemy, o co biega: karma prowadzi w niebie jakąś wielką księgę rachunkową, w której zapisywany jest każdy dobry uczynek każdej ludzkiej istoty, i na jakimś późniejszym etapie – w momencie wybranym przez karmę (pod tym względem karma jest powściągliwa, nie odsłania pochopnie kart) – zrewanżuje się ona za ten każdy dobry uczynek. Może nawet dołączy odsetki.

Wydaje się nam więc, że jeśli wspomozemy finansowo grupę młodocianych wspinaczy, którzy chcą zdobyć jakiś szczyt, by zebrać fundusze na miejscowe hospicjum, albo jeśli zmienimy pieluszkę siostrzenicy, choć wolelibyśmy się rzucić pod tramwaj, to w pewnym momencie w przyszłości zdarzy się nam coś dobrego. A jeśli coś dobrego rzeczywiście nam się przydarzy, mówimy: „A, to moja stara przyjaciółka karma odpłaca mi za niegdysiejszy dobry uczynek. Och, dzięki ci, karmo!”.

Lista zasług karmy jest dłuższa niż Amazonka, a podejrzewam, że tak naprawdę działanie karmy najlepiej porównać do konceptualnej wersji wysiadania w gaciach na kanapie i gapienia się na Sky Sports.

Przyjrzyjmy się karmie w akcji.

Pewnego dnia, cztery i pół roku temu, jechałam moim samochodem (niezbyt wypasionym hyundaiem SUV) w powolnym strumieniu innych pojazdów, gdy nagle zobaczyłam przed sobą wóz, który chciał wydostać się z bocznej drogi. Nietrudno było się domyślić, że facet próbuje wjechać na główną drogę już od jakiegoś czasu. Po pierwsze, pochylał się nad kierownicą w sposób zdradzający umęczenie i frustrację. Po drugie, prowadził range rovera, więc każdy zapewne sobie myślał: „O, patrzcie go, siedzi sobie za kierownicą tego wielkiego range rovera, taki zadowolony z siebie. Właśnie, że go nie wpuszczę”.

Więc pomyślałam sobie: „O, patrzcie go, siedzi sobie za kierownicą tego wielkiego range rovera, taki zadowolony z siebie. Właśnie, że go nie wpuszczę”. Zaraz jednak –wszystko to działo się szybko, ponieważ jak wspomniałam, przemieszczałam się w miarowym potoku samochodów – pomyślałam: „Ach, nie, wpuszczę go, bo to będzie – i to sobie zapamiętajcie – to będzie dobra karma”.

Zwolniłam zatem, błysnęłam długimi, by dać znać zadowolonemu z siebie kierowcy wielkiego range rovera, że może jechać, on zaś uśmiechnął się znużony i ruszył do przodu. Ja już poczułam, jak spowija mnie ciepły blask, i zastanawiałam się niezobowiązująco, w jakiej to cudownej formie wszechświat mi odpłaci za tę dobroć, kiedy samochód za mną, nieprzygotowany na to, że zwolnię, by wpuścić range rovera – no bo przecież był to range rover – rąbnął w mój tył i pchnął mnie do przodu z taką siłą, że ja z kolei wjechałam w bok range rovera (techniczne określenie takiej sytuacji to zderzenie boczne) i nagle staliśmy się uczestnikami trójpojazdowej integracji. Tylko że nie za bardzo się zintegrowaliśmy.

Zdecydowanie nie.

Odniosłam wrażenie, że to wszystko dzieje się w zwolnionym tempie. Od chwili gdy samochód za mną zaczął się wślaczać w mój, czas niemal się zatrzymał. Czułam, jak koła mojego auta poruszają się bez mojej zgody, i patrzyłam w oczy mężczyzny prowadzącego range rovera. Nasze spojrzenia zamarły w przerażeniu, połączone osobliwą zażyłością osób, które wiedzą, że zrobią sobie krzywdę i że zupełnie nie są w stanie temu zapobiec.

Potem nadeszła okropna rzeczywistość, kiedy mój samochód naprawdę uderzył w jego auto – chrzęst metalu i rozsypującego się szkła, wibrująca do szpiku kości siła uderzenia...

...a potem bezruch. Tylko przez sekundę, ale ta sekunda trwała bardzo długo. Ogłuszony i wstrząśnięty kierowca range rovera i ja wpatrywaliśmy się w siebie nawzajem. Był ledwie kilka centymetrów ode mnie – siła uderzenia przesunęła nas tak, że nasze samochody przylegały bokami do siebie. Maleńkie drobinki szkła z bocznej szyby połyskiwały mu we włosach, odbijając srebrne światło, które miało ten sam kolor, co jego oczy. Teraz wydał mi się bardziej zmęczony niż wtedy, gdy czekał na wyjazd z bocznej drogi.

„Żyje pan?” – spytałam w myślach.

„Tak” – odrzekł. – „A pani?”

„Tak”.

Ktoś gwałtownym ruchem otworzył drzwi od strony pasażera w moim samochodzie i czar przysł.

– Nic pani nie jest? – padło pytanie. – Może pani wysiąść?

Drżąc na całym ciele, przedostałam się do otwartych drzwi i kiedy już znalazłam się na zewnątrz i oparłam o ścianę, zobaczyłam, że range rover też jest pusty. Z ulgą zarejestrowałam, że mężczyzna stoi prosto, więc jeśli odniósł jakiegokolwiek obrażenia, to jedynie pomniejsze.

Jak spod ziemi wyrósł jakiś mały człowieczek i napadł mnie:

– Co pani, do cholery, wyczynia?! – pisnął. – Nowiuteńki range rover! – Był to kierowca trzeciego samochodu, sprawca wypadku. – To będzie mnie kosztować majątek. Nowy samochód! Nawet nie ma jeszcze tablic!

– ...ale ja...

Mężczyzna z range rovera zainterweniował.

– Chwileczkę. Proszę się uspokoić. Niech pan przestanie.

– Ale to nowiuteńki samochód!

– Krzyki nic tu nie zmieniają.

Krzykacz ucichł, a ja powiedziałam do Pana Range Rovera:

– Chciałam zrobić dobry uczynek i wpuścić pana.

– W porządku.

Nagle uświadomiłam sobie, że mężczyzna jest bardzo wściekły, i w jednej chwili go rozgryzłam – to jeden z tych rozpuszczonych przystojniaków z drogim samochodem, doskonale skrojonym płaszczem i nastawieniem, że wszyscy będą dla niego mili.

– Przynajmniej nikomu nic się nie stało – dodałam.

Pan Range Rover starł z czoła odrobinę krwi.

– Właśnie. Nikomu nic się nie stało...

– Och, miałam na myśli poważne obrażenia.

– Wiem – westchnął. – Pani nic nie jest?

– Nic – odparłam sztywno. Nie chciałam jego troski.

– Przykro mi, jeśli byłem... no wie pani. To paskudny dzień.

– Nieważne.

Dokoła nas panował zamęt. Ruch zakorkował się w obu kierunkach, życzliwi proponowali sprzeczne raporty naocznych świadków, a Krzykacz znowu zaczął krzyczeć.

Jakaś miła osoba podprowadziła mnie do schodków, bym sobie usiadła, podczas gdy będziemy czekać na policję, a inna miła osoba dała mi paczkę cukierków.

– Żeby nie spadł pani poziom cukru we krwi – dodała. – Przeżyła pani wstrząs.

Policja pojawiła się bardzo szybko, zaczęła porządkować ruch na jezdni i zbierać zeznania. Krzykacz dużo krzyczał i mierzył we mnie palcem, Pan Range Rover starał się uspokajać sytuację, ja zaś patrzyłam na nich obu niczym na film. O, mój samochód, pomyślałam jak we mgle. Rozwalony. Zupełny wrak. To istny cud, że wysiadłam z niego w jednym kawałku.

Winę za wypadek ponosił Krzykacz i to jego firma ubezpieczeniowa będzie musiała wybulić odszkodowanie, ale nie dostanę tyle, by odkupić samochód, bo firmy ubezpieczeniowe zawsze płacą za mało. Ryan się wścieknie – pomimo jego sukcesów nieustannie balansowaliśmy na krawędzi ruiny finansowej – lecz później się tym pomartwię. W tej chwili do szczęścia wystarczyło mi, że siedzę na tych schodkach i jem cukierki.

Chwila moment! Pan Range Rover coś robił. Podszedł do mnie, łopocząc połami rozpiętego płaszcza.

– Jak się pani teraz czuje? – spytał.

– Świetnie – odparłam. Wstrząs, adrenalina, coś z tych rzeczy.

– Może mi pani dać numer telefonu?

Roześmiałam mu się w twarz.

– Nie! – Co za świr! Podrywa kobietę na miejscu wypadku? – I tak jestem mężatką.

– Dla firmy ubezpieczeniowej...

– Ach. – Boże. Co za wstyd. – Jasne.

No to podsumujmy karmiczne skutki mojego dobrego uczynku: trzy zniszczone samochody, jedna niewielka rana czoła, mnóstwo wzburzenia, krzyków, podniesionego ciśnienia, kłopoty finansowe i głęboko, bardzo głęboko żenujące upokorzenie. Fatalnie, po prostu fatalnie.



JA

# Piątek, 30 maja

## 14.49

Gdybyście spojrzeli właśnie w tej chwili w moje okno, pomyślelibyście sobie: „Patrz na tę kobietę. Patrz, jak siedzi przy biurku pochłonięta pracą. Jak jej ręce wiszą nad klawiaturą w gotowości. Ewidentnie ciężko pracuje... zaraz, zaraz... czy to Stella Sweeney? Wróciła do Irlandii? Pisz nową książkę?! Słyszałem, że jest skończona!”.

Tak, to ja, Stella Sweeney. Owszem, wróciłam do Irlandii („niestety” wróciłam, ale nie będziemy teraz w to wnikać). Owszem, piszę nową książkę. Owszem, jestem skończona.

Ale ten stan skończenia nie potrwa długo. Naprawdę. Bo pracuję. Spójrzcie tylko, jak siedzę przy swoim biurku! Owszem, pracuję.

...tylko że to nieprawda. Jeśli ktoś wygląda, jakby pracował, to nie znaczy, że rzeczywiście to robi. Nie zapisałam jeszcze ani jednego słowa. Nic nie przychodzi mi do głowy.

Ale na ustach błąka mi się uśmiech. Tak na wypadek, gdybyście patrzyli. Takie rzeczy się dzieją z człowiekiem, jeśli jest osobą publiczną. Trzeba wyglądać, jakby się uśmiechało, i cały czas zachowywać się miło, bo inaczej ludzie powiedzą: „W głowie się jej poprzewracało. A szczerze mówiąc, jest taka sobie”.

Muszę powiesić zasłony. To nie ulega wątpliwości. Nie dam rady ciągnąć tego uśmiechania się. Już mnie boli twarz, choć siedzę tu raptem piętnaście minut. A nawet dwanaście. Ależ ten czas się wlecze!

Piszę jedno słowo. „Dupa”. Nie powiem, że zaliczę to na poczet plonów dzisiejszego dnia, ale fajnie coś napisać.

– Po prostu zacznij – powiedziała mi Phyllis tamtego okropnego dnia w nowojorskim biurze kilka miesięcy temu. – Napisz wprowadzenie. Przypomnij ludziom, kim jesteś.

– A to oni już zapomnieli?

– Pewnie.

Nigdy nie lubiłam Phyllis – to taki przerażający mały buldog. Ale nie musiałam jej lubić. Była moją agentką, nie przyjaciółką.

Kiedy ją poznałam, machnęła w powietrzu moją książką i powiedziała:

– Możemy z tym daleko zajść. Schudnij pięć kilo i zatrudnij agenta.

Zredukowałam węglowodany i zrzuciłam dwa z uzgodnionych pięciu kilogramów, a później urządziłyśmy naradę, w trakcie której Phyllis została przekonana, że musi się zadowolić trzema kilogramami, oraz ustaliłyśmy, że będę nosić bieliznę modelującą podczas każdego występu w telewizji.

I Phyllis miała rację: rzeczywiście daleko zaszłyśmy z tą książką. Daleko w górę, a potem daleko w bok, a potem daleko na manowce. Tak daleko, że właśnie siedzę w swoim małym domku na przedmieściach Dublina o nazwie Ferrytown, choć sądziłam, że uciekłam stąd na zawsze, i próbuję napisać kolejną książkę.

Dobra, napiszę wprowadzenie.

Nazwisko: Stella Sweeney.

Wiek: czterdzieści jeden i jedna czwarta.

Wzrost: średni.

Włosy: długie, kręcone, w zasadzie blond.

Ostatnie wydarzenia życiowe: dramatyczne.

Nie, tak nie da rady. Zbyt sucho. Muszę się rozgadać, żeby było bardziej gawędziarsko, bardziej lirycznie. Spróbuję jeszcze raz.

Witajcie, tu Stella Sweeney. Szczupła, trzydziestoosmioletnia Stella Sweeney. Wiem, że nie trzeba wam przypominać, kim jestem, ale na wszelki wypadek: to ja napisałam międzynarodowy bestseller, inspirujące *Mozolne mrugnięcia powieką*. Występowałam w rozmaitych talk-show i tak dalej. Zajechali mnie jak łysą kobyłę w kilku trasach promocyjnych, które objęły trzydzieści cztery amerykańskie miasta (jeśli liczyć Minneapolis-Saint Paul jako dwa). Leciłam prywatnym samolotem (raz). Wszystko było dla mnie cudowne, absolutnie cudowne, poza tym, co było okropne. Żyłam jak we śnie, naprawdę! Poza tymi chwilami, gdy wręcz przeciwnie... Ale koło fortuny zatoczyło się raz jeszcze i znalazłam się w zupełnie innych, bardziej poniżających okolicznościach. Oswojenie się z najnowszą sytuacją było bolesne, ale niebywale satysfakcjonujące. Natchniona swoją nową mądrością, nie wspominając o fakcie, że jestem spłukana...

Nie, o spłukaniu lepiej nie wspominać, raczej to wywalę... Wcisnęłam klawisz Delete, aż zniknęła

cała wzmianka o pieniądzach, i zaczęłam zdanie raz jeszcze.

Natchniona nową mądrością, próbuję napisać kolejną książkę. Nie mam pojęcia, o czym będzie, ale mam nadzieję, że nastukam tyle słów, że zdołam coś sklecić. Coś może jeszcze bardziej inspirującego niż *Mozolne mrugnięcia powieką*.

To świetne. Super. Dobra, może przedostatnie zdanie trzeba poprawić, ale zasadniczo wyszłam z impasu. Gratulacje. W nagrodę zerknę tylko na Twittera...

...Niesamowite, że można tak łatwo stracić trzy godziny. Tak po prostu. Wynurzam się ze swojej twitterowej nory, oszołomiona, że ciągle siedzę przy biurku, ciągle w swoim „gabinieku” (tzn. w pokoju gościnnym) w moim starym domu w Ferrytown. W Twitterlandzie dużo gadamy o tym, że wreszcie nadchodzi lato. Za każdym razem, gdy odnosi się wrażenie, że dyskusja zamiera, dołącza ktoś nowy i ją ożywia. Omawialiśmy sztuczną opalenizną, sałatę rzymską, haniebne stopy... To jest, kurna, fantastyczne! FANTASTYCZNE!

Czuję się świetnie! Pamiętam, jak czytałam gdzieś, że podczas długiej sesji na Twitterze w mózgu wytwarzają się substancje podobne do tych wytwarzających się pod wpływem kokainy.

Nagle moja bańka pęka i staję wobec nagiego faktu: napisałam dzisiaj dziesięć zdań. To za mało.

Teraz już będę pracować. Będę, będę, będę. Jeśli nie będę, będę musiała się ukarać przez odłączenie internetu od komputera...

...czy ja słyszę Jeffreya?

Tak! Wchodzi, trzaska drzwiami wejściowymi i rzuca na podłogę w korytarzu swoją okropną matę do jogi. Każdy ruch wykonany przez matę dociera do mojej świadomości. Zawsze ją wyczuwam, bo tak już jest, jak się czegoś nienawidzi. Ona też mnie nienawidzi. Zupełnie jakbyśmy toczyły bój o prawo do Jeffreya.

Wrywam się ze swoim „cześć”, chociaż Jeffrey nienawidzi mnie niemal równie gorąco, jak jego mata do jogi. Nienawidzi mnie już całe wieki. Jakieś pięć lat, mniej więcej, zasadniczo od chwili, gdy skończył trzynaście lat.

Kiedyś sądziłam, że to nastoletnie dziewczęta są koszmarnie, a chłopcy w tym trudnym okresie po prostu milkną. Ale Betsy wcale nie była taka zła, za to Jeffreyem targaly... no... niepokoje egzystencjalne. Gwoli sprawiedliwości, przy takiej, a nie innej matce miał w tym okresie prawdziwe Kongo, do tego stopnia, że w wieku piętnastu lat poprosił, żeby go oddać do adopcji.

Cieszę się jednak z jego powrotu, bo na jakiś czas mogę przestać udawać, że pracuję, i zbiegam ze schodów.

– Kochanie! – staram się zachowywać, jakby animozje między nami w ogóle nie istniały.

Oto on – metr osiemdziesiąt wzrostu, chudy jak tyka i z jabłkiem Adama wielkim niczym muffinka. Dokładnie tak samo w tym wieku wyglądał jego ojciec.

Dzisiaj wyczuwam od niego nadprogramową wrogość.

– Co jest? – pytam.

– Zetnij włosy – mówi, nie patrząc na mnie.

– Dlaczego?

– Po prostu zetnij. Jesteś za stara, żeby mieć takie długie.

– Co się dzieje?

– Od tyłu wyglądasz... inaczej.

Wyciągam z niego, o co chodzi. Okazuje się, że dzisiaj rano był „na mieście” z jednym ze swoich kumpli z jogi. Przed Pound Shop kolega zobaczył mnie od tyłu i wydał odgłos zdradzający podziw, na co poblady Jeffrey rzekł: „To moja mama. Ma czterdzieści jeden lat. I trzy miesiące”.

Wnioskuje, że obu ich to wydarzenie przyprawiło o solidny wstrząs.

Może powinno mi to schlebić, ale ja przecież wiem, że od tyłu nieźle wyglądam. Od przodu już jednak niekoniecznie. Mam taką dziwną sylwetkę, że ilekroć przybiorę na wadze, wszystko idzie mi prosto w brzuch. Już jako nastolatka, kiedy inni zamartwiali się za śmierć wielkością swojego tyłka i grubością ud, ja nie odrywałam niespokojnego wzroku od partii centralnych. Wiedziałam, że mają skłonność do wymykania się spod kontroli, i całe życie w kółko toczyłam zaciekle boje o tę właśnie część.

Jeffrey zamaszystym ruchem podaje mi torbę z paprykami, i robi to z ewidentną agresją. („Groził mi papryką, Wysoki Sądzie!”). Wzdycham w duchu. Wiem, co będzie. Chce gotować. Znowu. To całkiem nowy kierunek działań i wbrew wszelkim znakom na niebie i ziemi, a także pomimo niezbitych dowodów uważa, że jest w tym świetny. Poszukując swojego powołania, łączy absurdalnie niedobre składniki. Wczoraj jedliśmy gulasz z królika i mango.

– Gotuję kolację. – Patrzy kamiennym wzrokiem, czekając na mój protest.

– Wspaniale – mówię pogodnie.

To oznacza, że zostaniemy nakarmieni koło północy. I tak się świetnie składa, że mam w pokoju zapas ciasteczek Jaffa, wielki prawie na całą ścianę.

## 19.41

Zakradam się do kuchni, a tam zastaję Jeffreya, który wpatruje się nieruchomym wzrokiem w puszkę ananasa, jakby była

szachownicą, a on arcymistrzem planującym kolejny ruch.

– Jeffrey...

– Koncentruję się – mówi bezbarwnym głosem. – Albo raczej: koncentrowałem się.

– Zdążę odwiedzić rodziców przed kolacją? – Widzicie, co zrobiłam? Nie powiedziałam po prostu „O której dostanę jeść?”. Udałam, że nie chodzi o mnie, lecz o jego dziadków, w nadziei, że to ukoi jego gniewne serce.

– Nie wiem.

– Nie będzie mnie godzinę.

– Do tego czasu kolacja będzie gotowa.

Nie będzie. Jeffrey trzyma mnie w klinczu. Będę musiała w pewnym momencie zmierzyć się z tymi pasywno-agresywnymi działaniami wojennymi, ale w tej chwili czuję się tak pokonana przez moje bezsensowne życie, że nie jestem w stanie.

– Dobra...

– Nie wchodź tu, proszę, kiedy pracuję.

Wracam na górę i chciałabym zatweetować #Gotowanie #Porażka, ale niektórzy z jego znajomych śledzą mnie na Twitterze. Poza tym za każdym razem, kiedy wysyłam tweeta, przypomina on ludziom, że teraz jestem nikim i że czas mnie odśledzić. To autentyczny mierzalny fakt, którego prawdziwość czasami sprawdzam, na wypadek gdybym za mało się jeszcze czuła przegrana.

Gwoli sprawiedliwości, nigdy nie byłam Lady Gagą z jej nieprzebranymi rzeszami śledzących, ale na swój własny mały sposób byłam kiedyś twitterową osobistością.

Nie znalazłszy innego pocieszenia, wyciągam cegiełkę ze swojego muru ciasteczkowego, kładę się na łóżku i objadam się krążkami czekoladowo-pomarańczowego szczęścia. Nie wiem, ile dokładnie ich zjadam, ponieważ z premedytacją postanowiłam ich nie liczyć. Ale całe mnóstwo. To na pewno.

Mówię sobie, że jutro będzie inaczej. Jutro musi być inaczej. Będzie mnóstwo pisania i mnóstwo wydajności, i żadnych ciasteczek. Nie będę kobietą, która leży na łóżku posypana biskoptowymi okruszkami.

Półtorej godziny później, wciąż czekając na kolację, słyszę trzask drzwi samochodu i czuję, że ktoś pędzi naszą ścieżką. W tym kartonowym domu nie tyle słyhać, co czuć wszystko, co dzieje się w promieniu pięćdziesięciu metrów.

– Tata przyjechał. – W głosie Jeffreya słychać niepokój. – Jakiś jest obłąkany.

Dzwonek do drzwi wariuje. Pędzę na dół i otwieram. W progu stoi Ryan. Jeffrey ma rację: rzeczywiście wygląda jak obłąkany.

Ryan wpada do środka, mija mnie i z żarliwością graniczącą z szaleństwem oznajmia:

– Stello, Jeffreyu, mam fantastyczne wieści!

Pozwolę sobie opowiedzieć o moim byłym mężu Ryaniu. On może ująłby to inaczej, i może to zrobić, proszę bardzo, ale że to moja opowieść, przeczytacie moją wersję.

Związaaliśmy się, gdy ja miałam dziewiętnaście lat, a on dwadzieścia jeden i pragnął być artystą. Ponieważ świetnie mu wychodziło rysowanie psów, a ja nie miałam pojęcia o sztuce, więc uważałam, że jest niebywale utalentowany. Przyjęto go do szkoły plastycznej, gdzie ku naszemu obopólnemu rozczarowaniu nikt nie rokował mu statusu najjaśniejszej gwiazdy pokolenia. Prowadziliśmy długie rozmowy do późnej nocy, podczas których Ryan komunikował mi na rozmaite sposoby, jak to jego wszyscy nauczyciele są kretynami, a ja głaskałam go po rękę i przytakiwałam.

Po czterech latach zrobił dyplom z mierną oceną i zaczął malować zarobkowo. Ale że nikt nie kupował jego płócien, uznał, że z malowaniem koniec. Parał się rozmaitymi mediami – film, graffiti, martwe papużki w formaldehydzie – lecz minął rok, a sukces nie nadszedł. Jako mężczyzna pragmatyczny Ryan spojrzał prawdzie w oczy: nie czuł się dobrze w roli gołodupca. Model głodującego na poddaszu artysty, najczęściej – jak się okazało – spotykany, jemu nie odpowiadał. Poza tym miał już żonę (mnie) i córeczkę, Betsy. Musiał mieć pracę. Ale nie jakąś tam zwyczajną pracę. W końcu był jednak artystą.

Mniej więcej w tym czasie wytworna siostra mojego ojca, ciocia Jeanette, odziedziczyła parę groszy i postanowiła wydać je na coś, czego pragnęła od małości – piękną łazienkę. Zależało jej – jak to ujęła, podkreślając afektowanym gestem – na oszałamiającym efekcie. Nieszczęsny mąż Jeanette, wujek Peter, który poprzednie dwadzieścia lat rozpaczliwie usiłował zapewnić jej upragniony przepych, spytał: „W jakim sensie oszałamiającym?”. Ciocia nie znajdowała jednak bardziej konkretnej odpowiedzi. Poprzestała na: „No wiesz... oszałamiającym”.

Wujek, jak później wyznał mojemu tacie, przez jedną straszliwą chwilę sądził, że zacznie szlochać i nigdy nie przestanie, ale ostatecznie uniknął tego upokorzenia, gdyż doznał olśnienia.

– Może poprosimy Stellę, by poprosiła Ryana! – rzekł. – On jest przecież artystą.

Ryan poczuł się zażenowany, że ktoś konsultuje się z nim w tak przyziemnej sprawie, i powiedział mi, że mam powiedzieć ciocie Jeanette, żeby się odpiędziła, że on jest artystą i że artyści „nie zwracają sobie dupy” rozmieszczeniem umywalki i sedesu. Ale że ja nie cierpię konfrontacji i bałam się wywołania rodzinnej awantury, ujęłam odmowę Ryana mniej dosadnymi słowami. O tyle mniej dosadnymi, że Ryanowi dostarczono do przejrzenia spory pakiet folderów łazienkowych.

Przez ponad tydzień leżały na naszym niewielkim stole kuchennym. Od czasu do czasu brałam któryś do ręki i mówiłam: „Boże, ależ to zachwycające!”. Albo: „Zerkniesz tu? Świetny pomysł!”.

Bo widzicie, utrzymywałam naszą rodzinę z pensji kosmetyczki, i bardzo bym się cieszyła, gdyby mój mąż zaczął zarabiać jakieś pieniądze. Ale Ryan nie dawał się złapać na haczyk. Pewnego wieczoru sam jednak zaczął wertować foldery i nagle się zaangażował. Chwycił ołówek i papier milimetrowy i ani się obejrzałam, a z zapalem pracował nad projektem. „Chce mieć oszałamiająco – warknął – będzie miała oszałamiająco”.

Najbliższe dni i tygodnie pracował nad szkicami, całymi dniami przeglądał serwis „Kupię-Sprzedam” (działo się to w czasach przed eBayem) i wyskakiwał z łóżka w środku nocy, bo w jego artystycznej głowie kotłowało się od artystycznych pomysłów.

Wieści o pracowitości Ryana zaczęły się rozchodzić po mojej rodzinie – wszyscy byli pod wrażeniem. Mój tata, który nigdy za moim mężem nie przepadał, niechętnie zaczął zmieniać zdanie. Przestał prychać „Artysta z bożej łaski!”.

Rezultat – i wszyscy się co do tego zgodzili, nawet tata, sceptyczny przedstawiciel klasy robotniczej – był rzeczywiście oszałamiający: Ryan stworzył miniaturę Studia 54. Ponieważ urodził się w Dublinie w roku 1971, nigdy nie dostąpił zaszczytu odwiedzenia sławnego klubu, musiał więc oprzeć swój projekt na zdjęciach i dowodach niepopartych naukowymi obserwacjami. Napisał nawet do Bianki Jagger. (Co prawda nie odpisała, ale ten przykład doskonale ilustruje ogrom jego zaangażowania).

Gdy się postawiło stopę w łazience, podłoga się rozświetlała i cicho zaczynało lecieć *Love to Love You, Baby* Donny Summer. Naturalne światło nie miało tu dostępu, zastąpił je złoty blask. Szafki – całe mnóstwo szafek, bo ciocia Jeanette miała mnóstwo rzeczy – były pokryte brokatem. Na ścianach widniała *Marilyn* Andy’ego Warhola powielona na ośmiu tysiącach maleńkich kafelków. Czarna wanna miała kształt jajka. Toaleta mieściła się w niewielkiej uroczej czarnej lakierowanej kabinie. Toaletkę wyposażono w taką ilość garderobianych żarówek, że można by nimi oświetlić całe Ferrytown (Jeanette zastrzegła sobie „bezwzględne” oświetlenie; pyszniła się umiejętnością mieszania podkładów i korektora, ale potrzebowała do tych zabiegów doskonałego światła).

Wreszcie Ryan, wieńcząc dzieło, powiesił niewielką kulę lustrzaną na suficie.

Może ten projekt był tandetny, może ocierał się o kicz, ale – zgodnie z życzeniem klienta – był oszałamiający. Ciocia Jeanette rozesłała zaproszenia do rodziny i przyjaciół na wielkie otwarcie, obowiązywały stroje w stylu disco. W ramach niewinnego żarciku Ryan kupił w sklepie ze zdrową żywnością pół kilograma kozieradki i ułożył ją w ścieżynki na szykownej umywalce. Wszyscy sądzili, że to metaamfetamina. (Oprócz taty. „Narkotyki to nie zabawa. Nawet nieprawdziwe”).

Panował odświętny nastrój. Goście, młodzi i starzy, przybyli licznie w swoich dyskotekowych ciuchach i tańczyli na niewielkiej błyskającej podłodze. Ja nie posiadałam się z radości, że nie doszło do rozłamu w rodzinie i że Ryan wykonał jakieś płatne zlecenie. I byłam chyba najszczęśliwsza ze wszystkich obecnych. Miałam na sobie stylowe spodnie palazzo od Emilia Pucciego i taką bluzę – znalazłam je w sklepie organizacji charytatywnej Help the Aged i uprałam siedem razy – a włosy w stylu Farrah Fawcett ułożyła mi na szczytkę koleżanka fryzjerka w zamian za manikiur.

– Przepięknie wyglądasz – powiedział Ryan.

– Ty też – odparłam ochoczo.

I rzeczywiście tak uważałam, bo – spójrzmy prawdzie w oczy – jeśli mężczyzna nagle staje się żywicielem rodziny, zyskuje blask, nawet gdy należy do przeciętniaków. (Nie żeby Ryan wyglądał przeciętnie. Gdyby częściej mył włosy, mógłby być niebezpieczny). Podsumowując, był to szczęśliwy dzień.

Nagle okazało się, że Ryan robi karierę. Nie taką, jak chciał, nie, ale ma zawód, w którym jest dobry. Po sukcesie swojego Studia 54 podążył w innym kierunku – stworzył łazienkę, która była spokojnym, lasopodobnym zaciszem, całą zieloną. Drzewa z mozaiki pokryły trzy ściany, czwartą zaś prawdziwe paprocie. W okno wstawiono zieloną szybę, a jako tło dźwiękowe leciał ptasi szczebiot. Na finalną prezentację Ryan rozrzucił po pomieszczeniu sosnowe szyszki. (Pierwotnie zamierzał zaopatrzyć się w wiewiórkę, ale chociaż jego elektryk Caleb i kafelkarz Drugi większość ranka potrzęsali orzeszkami i krzyczeli „Wiewiórko! Wiewiórko!” w Crone Woods, nie zdołali żadnej złapać).

Zaraz po łazience leśnej nadszedł projekt, który zapewnił Ryanowi pierwszy materiał zdjęciowy w czasopiśmie – *Szkatułka*. Była to bajkowa kraina stworzona ze zwierciadeł, kryształów Swarovskiego i bordowej aksamitnej, ale wodoodpornej tapety. Klamki szafek wykonano z czeskiego kryształu, a wannę ze szkła z zatopionymi sreberkami. Z sufitu zwisał żyrandol ze szkła murano. Za soundtrack (muzyka Ryana szybko stała się jego cechą rozpoznawczą) posłużył *Taniec wieszczki cukrowej*, a przy każdym odkręceniu kurka z wdziękiem obracała się maleńka mechaniczna baletnica.

Ryan Sweeney, pracujący z niewielką, zaufaną ekipą, stał się rozchwytywanym specjalistą od niesamowitych łazienek. Był pomysłowy, staranny i okrutnie drogi.

Żyło się nam dobrze. Pojawił się drobny problem – kiedy Betsy miała trzy miesiące, zaszłam w drugą ciążę, urodził się Jeffrey. Ale dzięki sukcesom Ryana byliśmy w stanie kupić nowiutki dom z trzema sypialniami, wielkością odpowiedni dla naszej czwórki.

Czas mijał. Ryan zarabiał pieniądze, robił piękne łazienki, uszczęśliwiał ludzi. Zwłaszcza kobiety. Na koniec każdego projektu klient Ryana wykrzykiwał: „Jest pan artystą!”. Rzeczywiście tak sądzili, Ryan o tym wiedział, ale sam uważał, że to nie ten gatunek artysty. Bo on chciał być Damienem Hirstem. Chciał być sławny, znany wszystkim, chciał, aby ludzie w artystowskich dyskusjach telewizyjnych późnym wieczorem przekrzykiwali się na jego temat, chciał, aby jacyś ludzie mówili, że jest oszustem. No ale nie był. Chciał, aby wszyscy mówili, że jest geniuszem, lecz najwybitniejsi geniusze wywołują kontrowersje, tak więc nastawiał się na to, że od czasu do czasu zostanie opluty.

Niemniej jednak wszystko szło dobrze aż do pewnego dnia w 2010 roku, gdy spadła na niego tragedia. Ściśle mówiąc, to była moja tragedia. Ale artyści, nawet niespełnieni, mają zwyczaj odnosić wszystko do siebie. Tragedia, rozgrywająca się bardzo długo, nie zjednoczyła nas, bo życie to nie opera mydlana. Tragedia spowodowała, że się z Ryanem rozstaliśmy.

O dziwo, niemal natychmiast ekscytujące rzeczy zaczęły się przydarzać mnie – ale do tego dojdziemy. W tej chwili musicie tylko wiedzieć, że Betsy, Jeffrey i ja przeprowadziliśmy się w pewnym momencie do Nowego Jorku.

Ryan został w Dublinie w domu, który kupiliśmy jako inwestycję w przyпыwie lekkomyślności, kiedy każdy mieszkaniec Irlandii wiązał swoją przyszłość z drugą nieruchomością. (Po rozwodzie mnie przypadł nasz pierwszy dom. Nawet gdy zamieszkałam w dziesięciopokojowym dwupoziomowym apartamencie na Upper West Side, nie zrezygnowałam z tego domu – nigdy nie wierzyłam, że moja nowa sytuacja życiowa okaże się trwała. Zawsze się bałam, że wrócę do biedy).

Ryan miewał narzeczone – odkąd częściej mył włosy, nigdy mu ich nie brakowało. Miał swoją pracę, piękny samochód i motor – miał wszystko. Ale on uważał, że to za mało, nie czuł się spełniony. Dojmujący ból niespełnienia czasami cichnie, ale zawsze wraca.

I oto on, stoi ze wzrokiem szaleńca w moim korytarzu, a my z Jeffreyem patrzymy na niego zaniepokojeni.

– Jest! Wreszcie ją mam! – obwieszcza Ryan. – Moją wielką ideę artystyczną!

– Wejdz i usiądź – mówię. – Jeffrey, nastaw wodę.

Paplając bez ustanku, Ryan idzie za mną do salonu i wyjaśnia, co się stało.

– Zaczęło się jakiś rok temu...

Siadamy naprzeciwko siebie i Ryan opisuje swój przełom. Otóż rok temu coś w nim drgnęło i z czasem coraz silniej przedzierało się do świadomości. Nawiedzało go w niejasnej jeszcze formie w snach, w przebłyskach pomiędzy myślami, i oto dzisiejszego popołudnia ten błyskotliwy koncept wreszcie przebił się na powierzchnię. Jego geniusz musiał blisko dwadzieścia lat zmagać się z włoską armaturą sanitarną wysokiej jakości, zanim rozkwitł, ale w końcu się to stało.

– I? – zachęcam.

– Projekt Karma: rozdaję wszystko, co mam. Wszystkie płyty, ubrania, wszystkie pieniądze. Każdy telewizor, ziarno ryżu, zdjęcie z wakacji. Samochód, motor, dom...

Jeffrey patrzy na niego zdegustowany.

– Ty głupi palancie...

Muszę Jeffreyowi przyznać, że nienawidzi Ryana równie mocno, jak mnie. Jest hejterem niedyskryminującym. Mógł zrobić to, co czasami robią dzieci rozwiedzionych par: rozgrywają rodziców przeciwko sobie nawzajem, udają, że któreś faworyzują, ale nie, z ręką na sercu muszę przyznać, że trudno byłoby określić, które z nas jest nienawidzone bardziej.

– Nie będziesz miał gdzie mieszkać! – mówi.

– Mylisz się! – Oczy Ryana błyszczą, ale błyszczą blaskiem niedobrym, takim raczej przerażającym. – Karma się mną zajmie.

– A jeśli nie? – czuję potworny niepokój. Nie ufam karmie, już nie. Dawno temu wydarzyło mi się coś bardzo złego. W bezpośrednich skutkach tego czegoś bardzo złego wydarzyło się coś bardzo, bardzo dobrego. W tamtym momencie wierzyłam w karmę żarliwie. Ale na skutek tego czegoś bardzo, bardzo dobrego wydarzyło się coś bardzo złego. I potem znowu coś złego. W tej chwili należy mi się obecność we wznoszącej się fazie cyklu karmicznego, ale chyba nic takiego się nie dzieje. Szczerze – karma to dla mnie temat zamknięty.

A w bardziej praktycznym aspekcie obawiam się, że jeśli Ryan nie będzie miał pieniędzy, ja będę musiała mu coś dać, a sama nie mam prawie nic.

– Udowodnię, że karma istnieje – mówi Ryan. – Tworzę Sztukę Duchową.

– Mogę wziąć twój dom? – pyta Jeffrey.

Tym pytaniem najwyraźniej zaskakuje ojca, który nie brał pod uwagę takiego żądania.

– Eee, nie. Nie. – W miarę jak mówi, nabiera pewności. – Zdecydowanie nie. Gdybym dał go tobie, wyglądałoby to tak, jakbym nie dawał go na serio.

– A twój samochód?

– Nie.

– A cokolwiek twój?

– Nie.

– No to spierdalaj.

– Jeffrey! – karcę go.

Ryan jest tak podekscytowany, że prawie nie zauważa potępienia Jeffrey'a.

– Opiszę to na blogu, dzień po dniu, minuta po minucie. To będzie artystyczny triumf.

– Wydaje mi się, że takie rzeczy już robiono. – Coś mi się tłucze w pamięci, mgliście.

– Nie – odpowiada Ryan. – Stello, nie zniechęcaj mnie. Ty miałaś swoje pięć minut i nie zabieraj mi moich.

– Ale...

– Nie! – Prawie krzyczy. – To ja powinienem być sławny, ja. Nie ty, ja! Ukradłaś mi moje życie!

To znany motyw naszych rozmów. Ryan powtarza go niemal codziennie.

Jeffrey już klika w swój telefon.

– Owszem, już to robiono. Mam mnóstwo wyników. Posłuchaj: „Człowiek, który rozdał wszystko, co miał”. I dalej: „Austriacki milioner zamierza rozdać cały swój majątek”.

– Ryan – mówię niepewnie, nie chcąc wywołać kolejnej jego tyrady. – Czy ty aby nie masz... depresji?

– A sprawiam takie wrażenie?

– Sprawiasz wrażenie obłąkanego.

W zasadzie z góry wiem, że powie: „Nigdy nie czułem się zdrowszy”.

Faktycznie, Ryan staje na wysokości zadania.

– Musisz mi pomóc, Stello – mówi. – Potrzebuję reklamy.

– Ani na chwilę nie schodzisz z łamów czasopism.

– Czasopism wnątrarskich. – Ryan macha ręką ze wzgardą. – Nie o to chodzi. Ty się zadajesz z mainstreamem.

– Już nie.

– A tam, zadajesz się. Ciągłe mają do ciebie słabość. Nawet jeśli wszystko się posrało.

– Jak zamierzasz na tym zarobić? – pyta Jeffrey.

– Sztuka nie polega na zarabianiu.

Jeffrey rzuca coś pod nosem. Wyławiam z tego słowo „debil”.

Po wyjściu Ryana patrzymy na siebie z Jeffreyem.

– Powiedz coś – mówi mój syn.

– Nie zrobi tego. Wymięknie.

– Tak sądzisz?

– Tak sędzę.

## 22.00

Siedzimy z Jeffreyem przed telewizorem, jedząc gulasz z papryki, ananasa i kiełbasy. Bardzo się staram przełknąć kilka kęsów – te dania mojego syna to sroga i nieuchronna kara – a Jeffrey nie odrywa nosa od telefonu.

– Kurwa – słyszę nagle. To pierwsze słowo, jakie wymieniliśmy od dłuższej chwili.

– Co się stało?

– Tata. Opublikował Deklarację Misyjną... i... – szybkie klikanie – ...pierwszy post na wideoblogu. I zaczął odliczanie do Dnia Zero. W następny poniedziałek, dziesięć dni.

Projekt Karma wszedł w życie.

## Oddychaj... oddychaj...

Fragment *Mozolnych mrugnięć powieką*

Opowiem wam o tragedii, która dotknęła mnie prawie cztery lata temu. Miałam wówczas trzydzieści siedem lat, byłam matką piętnastolatki i czternastolatka, żoną popularnego, acz niespełnionego twórczo projektanta łazienek. Pracowałam ze swoją młodszą siostrą Karen (a tak naprawdę dla mojej młodszej siostry Karen) i ogólnie byłam bardzo zwyczajna – miewałam lepsze i gorsze chwile, ale generalnie w moim życiu nie było żadnych sensacji – gdy pewnego wieczoru poczułam mrowienie w koniuszkach palców lewej ręki. Zanim poszłam spać, poczułam też mrowienie w koniuszkach palców prawej ręki. Może ogrom nijakości mojego życia odda informacja, że doznanie to uznałam za miłe, jakby pod skórą musował mi gwiazdny pył.

Gdzieś w nocy przebudziłam się lekko i zauważyłam, że mrowią mnie również stopy. Cudownie, pomyślałam sennie, mam też pyłogwiazdne nogi. Może do rana będzie mnie mrowiło całe ciało i to dopiero będzie miłe.

Gdy o siódmej zadzwonił budzik, czułam się wykończona, ale to była norma, oczywiście. Codziennie rano czułam się wykończona – w końcu byłam bardzo zwyczajna. Tylko że tego ranka było to inne zmęczenie: złe, ciężkie, ołowiane.

– Wstawaj – powiedziałam do Ryana, a potem z trudem zesłam ze schodów. Wręcz się potykałam. Zaczęłam nastawiać czajniki, rzucać na stół pudełka płatków, a potem wdrapałam się na górę obudzić dzieci, oczywiście krzykiem.

Wróciłam na dół, wzięłam haust herbaty i ze zdumieniem stwierdziłam, że smakuje ona dziwnie i metalicznie. Spojrzałam z wyrzutem na czajnik ze stali nierdzewnej – najwyraźniej cząstki stali przeniknęły do mojej herbaty. Przez tyle lat był mi takim dobrym przyjacielem, dlaczego nagle zwrócił się przeciwko mnie?

Spojrzałam jeszcze raz z urazą i zaczęłam robić specjalny tost dla Jeffreya, czyli zwyczajny tost, tyle że bez masła – miał wówczas coś do masła, mówił że jest obleśne – ale ręce wydawały mi się nieporadne i odrętwiałe, a miłe mrowienie ustało.

Wzięłam do ust łyk soku pomarańczowego, po czym wyplułam go ze skowytem.

– Co się dzieje? – Do kuchni wszedł Ryan. Rano nigdy nie miał nastroju. Wieczorem też nie, jeśli się dobrze zastanowię. Może w środku dnia bywał w dobrym nastroju, ale w środku dnia nigdy go nie widywałam, więc nie miałam na ten temat zdania.

– Sok pomarańczowy – odparłam. – Poparzył mnie.

– Poparzył? To sok pomarańczowy. Jest zimny.

– Poparzył mi język. Usta.

– Dlaczego tak dziwnie mówisz?

– Jak dziwnie?

– Jak... jakbyś miała opuchnięty język. – Sięgnął po moją szklankę i sam napił się soku. – Nic mu nie dolega.

Wzięłam kolejny łyk. I znowu mnie poparzył.

U mojego boku zmaterializował się Jeffrey.

– Posmarowałaś tost masłem? – spytał oskarżycielskim tonem.

– Nie.

Co rano w to graliśmy.



– Posmarowałaś – orzekł. – Nie zjem go.

– Dobra.

Spojrzał na mnie zaskoczony.

– Daj mu jakieś pieniądze – poleciłam Ryanowi.

– Dlaczego?

– Żeby sobie kupił coś na śniadanie.

– Nie mam pieniędzy – odrzekł mój mąż.

– Świetnie. Cześć. Dobra, dzieciaki, bierzcie swoje rzeczy.

Normalnie sprawdzałam wszystko z listą długą jak moje ramię, a obejmującą wszelkie ich ponadobowiązkowe zajęcia – pływanie, hokej, rugby, orkiestra szkolna – ale dzisiaj mnie to nie obchodziło. Oczywiście po dziesięciu minutach jazdy samochodem Jeffrey obwieścił:

– Zapomniałem swojego banjo.

Nie miałam jak zawrócić i pojechać po instrument.

– Nic ci nie będzie – powiedziałam. – Jeden dzień bez niego przeżyjesz.

W samochodzie zapadło pełne zdumienia milczenie.

Przed szkołą kłębiły się dziesiątki uprzywilejowanych, kosmopolitycznych nastolatków. Było to jedno z największych źródeł mojej dumy, że Betsy i Jeffrey należeli do grona uczniów Quarterly Daily, świeckiej, płatnej szkoły, która miała kształcić dzieci całościowo. Z pełną poczucia winy przyjemnością patrzyłam, jak wchodzi do środka w swoich mundurkach, oboje wysocy i trochę niezdarni, blond loki Betsy kołysały się związane w koński ogon, a ciemne włosy Jeffreya sterczały w kępkach. Zawsze przez kilka chwil patrzyłam, jak mieszają się z innymi dziećmi (a niektóre były potomkami dyplomatów – żarówka mojej dumy lśniła jasno zwłaszcza w tym punkcie, ale oczywiście z nikim się tym nie dzieliłam; jedyna osoba, której się do tego przyznawałam, to Ryan). Dzisiaj jednak nie zostałam. Chciałam jak najszybciej wrócić do domu, w nadziei na krótką drzemkę przed wyjściem do pracy.

Gdy tylko weszłam do domu, dopadła mnie fala takiej słabości, że musiałam położyć się w przedpokoju. Z policzkiem przyciśniętym do zimnej podłogi wiedziałam, że nie mogę pójść do pracy. To było chyba pierwsze chorobowe w moim życiu. Nawet z kacem zawsze przychodziłam. Miałam szalenie rozwinięty etos pracy.

Zadzwoiłam do Karen, chociaż moje palce ledwie sobie radziły z telefonem.

– Mam grypę – powiedziałam.

– Nie masz grypy – zaproponowała. – Wszyscy mówią, że mają grypę, jak mają zwykłe przeziębienie.

Wierz mi, gdybyś miała grypę, wiedziałabyś o tym.

– Wiem o tym. Mam grypę.

– Paragrypę, tak?

– Jestem chora, Karen. Przysięgam. Przyjdę jutro.

Wczołgałam się po schodach, z ulgą padłam na łóżko, nastawiłam sobie budzik na piętnastą i zapadłam w głęboki sen.

Obudziłam się, czując suchość w ustach, zdezorientowana, a gdy sięgnęłam po wodę, nie mogłam jej przełknąć. Mocno się skupiłam, by się rozbudzić i przełknąć wodę, ale na próżno: naprawdę nie mogłam. Musiałam wypluć ją do szklanki.

Nagle zdałam sobie sprawę, że nawet bez wody nie mogę przełykać. Mięśnie tylnej ściany gardła po prostu nie działały. Skupiłam się na nich z całych sił, próbowałam ignorować rosnącą panikę, ale nic. Nie mogłam przełykać. Naprawdę po prostu nie mogłam przełykać.

Przerażona zadzwoniłam do Ryana.

– Coś mi się dzieje. Nie mogę przełykać.

– Zrób sobie strepsils i weź panadol.

– Nie mówię, że boli mnie gardło. Mówię, że nie mogę przełykać

Ubawił się.

– No przecież każdy może przełykać.

– Ja nie mogę. Gardło mi nie działa.

– Masz jakiś śmieszny głos.

– Możesz przyjechać do domu?

– Jestem u klienta. W Carlow. To mi zajmie kilka godzin. Może pójdziesz do lekarza?

– Dobra, do zobaczenia.

I próbowałam wstać, ale moje nogi też nie działały.

Kiedy Ryan przyjechał do domu i zobaczył, w jakim jestem stanie, ku mojej satysfakcji okazał skruchę.

– Nie wiedziałem... Możesz chodzić?

– Nie.

– I nadal nie możesz przełykać? Jezu. Może trzeba zadzwonić po karetkę. Dzwonimy po karetkę?

– Dobra.

– Naprawdę? Aż tak źle?

– Skąd mam wiedzieć? Może.

Niedługo później przyjechało pogotowie i sanitariusze przypięli mnie do noszy. Gdy wynosili mnie z sypialni, poczułam nagle dojmujący smutek, jakbym miała przeczucie, że minie dużo czasu, zanim znowu ten pokój zobaczę.

Na oczach Betsy, Jeffrey'a i mojej mamy stojących w drzwiach wejściowych, w ciszy i przerażeniu, zostałam zapakowana do karetki.

– Może jakiś czas nas nie będzie – powiedział do nich Ryan. – Wiecie, jak to jest na izbie przyjęć.

Pewnie potrwa to parę godzin.

Ale okazało się, że jestem przypadkiem priorytetowym. Już w ciągu godziny od przyjazdu pojawił się przy mnie lekarz.

– Co tam? Słabość mięśni?

– Tak. – Mówiłam już z takim trudem, że tę odpowiedź wybełkotałam.

– Mów porządnie – skarcił mnie Ryan.

– Staram się.

– I takie są efekty tych starań? – Lekarz sprawiał wrażenie zaintrygowanego.

Chciałam kiwnąć głową, ale odkryłam, że nie mogę.

Lekarz podał mi długopis.

– Może pani to ścisnąć?

Wszyscy patrzyliśmy, jak długopis wypada z moich nieporadnych rąk.

– A druga ręka? Nie? Może pani podnieść ramię? Wygiąć stopę? Pomachać palcami? Nie?

– Oczywiście, że możesz – powiedział do mnie Ryan. – Może – powtórzył do lekarza, ale ten odwrócił się już do kogoś innego w białym fartuchu. Dosłyszałam wyrażenia „szybko postępujący paraliż”, „funkcje oddechowe”.

– Co jej jest? – w głosie Ryana usłyszałam panikę.

– Za wcześnie na diagnozę, ale wszystkie mięśnie się wyłączają.

– Możecie coś zrobić? – błagał mój mąż.

Lekarz zniknął, odciągnięty na drugą stronę sali do innego przypadku.

– Proszę wrócić! – krzyknął Ryan. – Jak pan może mówić takie rzeczy, a potem...

– Przepraszam... – Pielęgniarka ze statywem odepchnęła Ryana z drogi. A do mnie powiedziała: –

Podłączę panią do kroplówki. Jeśli nie może pani przełykać, odwodni się pani.

Bolało, gdy wkłuwano mi się w żyłę, ale nie tak, jak to, co nastąpiło chwilę później: założyła mi cewnik.

– Dlaczego? – spytałam.

– Bo nie może pani sama pójść do toalety. I na wypadek gdyby nerki przestały pracować.

– Czy ja... umrę?

– Co takiego? Co pani wygaduje? Oczywiście, że nie.

– Skąd pani wie? Dlaczego tak dziwnie mówię?

– Słucham?

Pojawiła się inna pielęgniarka, ciągnąc maszynę na wózku. Założyła mi na twarz maskę.

– Oddychaj przez to, dobra kobieto. Muszę ci zmierzyć... – Patrzyła na żółte cyferki pojawiające się na wyświetlaczu. – Powiedziała: oddychaj.

Oddychałam. No dobra, starałam się oddychać.

Ku mojemu zdumieniu pielęgniarka zaczęła mówić głośno, niemal krzyczeć – jakieś liczby i kody – a ja ruszyłam, wręcz śmignęłam na szpitalnym łóżku na kółkach przez poczekalnie i korytarze w drodze na intensywną terapię. Chciałam spytać, co się dzieje, ale nie mogłam wydobyć żadnego dźwięku. Ryan biegł obok mnie i próbował rozszyfrować żargon medyczny.

– Twoje płuca – mówił – twoje płuca chyba przestają pracować. Oddychaj, Stello, na miłość boską, oddychaj! Zrób to dla dzieci, jeśli nie chcesz oddychać dla mnie!

Gdy tylko moje płuca się poddały, wycięto mi w gardle dziurę – czyli zrobiono tracheotomię – wsadzono do środka rurę i podłączono mnie do respiratora.

Położono mnie na oddziale intensywnej opieki medycznej. Niezliczone rury i rurki wchodziły do mojego ciała lub z niego wychodziły. Widziałam i słyszałam, więc dokładnie wiedziałam, co się ze mną dzieje. Ale poza tym, że mogłam mrugać powiekami, nie mogłam się ruszać. Nie mogłam przełykać, mówić, sikać ani oddychać. Gdy przestały mi się poruszać ręce, nie miałam jak się komunikować.

Zostałam żywcem pogrzebana we własnym ciele.

W porównaniu z innymi tragediami ta wypada całkiem imponująco, prawda?

# Sobota, 31 maja

## 6.00

Jest sobota, ale mój budzik włącza się o szóstej rano. Uzgodniłam ze sobą rutynę pisania: codziennie wstaję wcześnie, obmywam się zimną wodą i jestem zdyscyplinowana niczym mnich. Moim hasłem będzie pilność. Jestem jednak wykończona. Wczoraj wieczorem pod wpływem informacji, że Ryan naprawdę uruchomił swój durny projekt, dopiero o północy odbyłam swój Rytuał Zachęcania do Snu.

Przez większość mojego dorosłego życia sen był nieśmiałym, nieprzewidywalnym stworzeniem, któremu trzeba było pokazać, jak bardzo jest wyczekiwane, żeby raczyło się pojawić. Na wiele sposobów okazuję swoją uwagę – piję herbatę miętową, jem jogurt, garściami łykam kalmsy, kąpię się w olejku sandałowym, spryskuję poduszkę mgiełką lawendową, czytam coś bardzo nudnego i słucham śpiewu wielorybów na płycie.

O pierwszej w nocy wciąż się rzucałam i wierciłam w łóżku i wreszcie – Bóg raczy wiedzieć, o której godzinie – zasnęłam. Śnił mi się Ned Mount z telewizji. Byliśmy gdzieś na dworze, na słońcu – mogło to być Wicklow. Siedzieliśmy przy drewnianym stole piknikowym i on próbował dać mi wielkie pudełko z filtrem do wody. „Weź to, proszę – mówił. – Mnie się na nic przyda. Piję wyłącznie evian”.

Wiedziałam, że to akurat nieprawda. Że mówi tak, bo chce mi dać ten filtr. Wzruszyłam się jego szczodrością, chociaż sam dostał go za darmo, z firmy PR-owskiej.

Teraz jest szósta rano, powinnam wstać, ale jestem zbyt zmęczona, więc wracam do spania, a wstaję kwadrans przed dziewiątą.

W kuchni Jeffrey patrzy z milczącą dezaprobatą, jak robię sobie kawę i wrzucam granolę do miseczki. Tak, oczywiście, w gruncie rzeczy ja też wiem, że granola to tak naprawdę małe ciasteczka, ze sporadycznie występującymi żurawinami i orzeszkami dorzuconymi niby dla zdrowia. Ale to oficjalne „jedzenie śniadaniowe”, a zatem mam prawo spożywać je bez poczucia winy.

Uciekam na górę, by umknąć z zasięgu osądu mojego syna, chwytam iPada, wracam do łóżka i sprawdzam, co u Ryana. Od wieczora nie dorzucił żadnych wpisów. Dzięki Bogu. Ale to nadal przerażające.

Wideo z Deklaracją Misyjną kojarzy mi się z zamachowcem samobójcą – wyćwiczona mowa, staranna dykcja, gorliwość. Nawet trochę wygląda jak zamachowiec samobójca, ze swoimi brązowymi oczyma, ciemnymi włosami i przystryżoną brodą. „Nazywam się Ryan Sweeney i jestem artystą duchowym. Realizujecie wraz ze mną wyjątkowy projekt. Rozdam wszystko, co mam. Każdy najdrobniejszy przedmiot! Razem będziemy śledzić, jak wszechświat się o mnie troszczy. Projekt Karma!”. Nawet podnosi zaciśniętą pięść. Głośno przełykam ślinę. Brakuje tylko „Allahu akbar!”.

Oglądam to jeszcze cztery razy i myślę: ty kretynie.

Ale wideo oglądano raptem dwanaście razy, a zrobił to Jeffrey i ja. Nikt inny na to nie trafił. Może Ryan się rozmyśli. Wkrótce. Zanim zostaną wyrządzone jakiegokolwiek szkody. Może lada chwila to wideo zniknie. Może wszystko odejdzie w niepamięć...

Zastanawiam się, czy do niego zadzwonić, ale w sumie wolę nie tracić nadziei. Jeszcze niedawno nie wiedziałam, że mam taki talent do zaprzeczenia. Przez chwilę się wychwalam: w tym jestem naprawdę bardzo utalentowana. Bardzo!

Skoro już jestem on-line, postanawiam sprawdzić, co u Gildy – zajmie mi to raptem kilka kliknięć. Jakoś się jednak powstrzymuję i w głowie powtarzam sobie mantrę na okoliczność Gildy właśnie: Bądź zdrowa, bądź szczęśliwa, nie zaznaj cierpienia.

Czas mija, muszę wziąć pigułkę – prawdopodobieństwo, że teraz zajdę w ciążę, jest zerowe, ale mam dopiero czterdzieści jeden lat, i ćwierć, i jeszcze nie wypadłam z gry, ani trochę.

Boże, powinnam popracować!

Wyskakuję z łóżka i przygotowuję ablucję – ablucja brzmi o wiele lepiej niż prysznic. Nie chcę się obmywać – czyli brać prysznic – ale trzeba zachować standardy. Nie mogę włożyć ubrań na moje nieobmyte ciało, po prostu nie mogę. To byłby początek końca. A dopóki nie powieszę zasłon, nie mogę siedzieć przy biurku w nocnym stroju, skoro wszyscy przechodnie mogą mnie zobaczyć.

Obmywam się zimną wodą. Bo przede mną wziął prysznic Jeffrey i ciepłej wody i tak nie ma.

Na miłość boską! Moje ubrania! W jednej ze swoich licznych prób dokuczenia mi Jeffrey postanowił sam sobie prać – co, muszę przyznać, wcale nie jest dokuczliwe – ale oto przypadkiem wyprał parę moich rzeczy i przesuszzył je tak, że stały się sztywne jak karton. No i się skurczyły. Wkładam dzinsy, ale nie mogę zapiąć guzika.

Sięgam po inne – efekt jest ten sam. Będę musiała z tym żyć przez jakiś czas. Mam jeszcze jedno dzinsy – leżą w koszu na pranie i powinnam dopilnować, żeby Jeffrey nie położył na nich łap.

Siadam przy biurku, ozdabiam twarz lekkim uśmiechem i czytam inspirujące słowa, które będę czytać co rano, dopóki nie napiszę tej książki. Ich autorką jest Phyllis, moja agentka, a zapisałam je dokładnie, po tym gdy je do mnie

wykrzyczała pewnego dnia dwa miesiące temu w swoim biurze: „Byłaś bogata, zakochana, odniosłaś sukces – powiedziała. – A teraz? Twoja kariera stanęła w miejscu i nie wiem, co się dzieje z tym twoim facetem, ale to nie wygląda dobrze. Masz tu dużo materiału!”

Przerywam czytanie, żeby słowa te do mnie dotarły, tak jak się robi z modlitwą. Wtedy, tamtego dnia, zrobiło mi się słabo i teraz też mi się robi. Phyllis wzruszyła ramionami: „Mało ci? Twój nastoletni syn cię nienawidzi. Córka marnuje sobie życie. Stuknęła ci czterdziestka. Menopauza się zbliża wielkimi krokami. Czy coś się jeszcze zmieni na lepsze?”

Poruszałam bezgłośnie wargami.

– Kiedyś byłaś mądra – powiedziała jeszcze Phyllis. – Cokolwiek napisałaś w tych *Mozolnych mrugnięciach*, ludzi to poruszało. Spróbuj znowu to zrobić, z tymi nowymi wyzwaniem. Przyślij mi skończoną książkę. – Wstała i próbowała odprowadzić mnie do drzwi. – Musisz już iść. Mam spotkanie.

W rozpaczy chwyciłam się kurczowo krzesła.

– Phyllis? – spytałam błagalnym głosem. – Ty we mnie wierzysz?

– Szukasz poczucia własnej wartości? Idź na terapię.

Kiedyś byłam mądra, przypominam sobie, trzymając ręce nad klawiaturą, mogę być mądra ponownie. Z zapałem wypisuję jedno słowo: „Dupa”.

## 12.17

Od pisania odrywa mnie dzwonek telefonu. W ogóle nie powinnam go mieć w pokoju, skoro mam pracować bez zakłóceń, ale żyjemy w świecie niedoskonałym, więc co możemy zrobić? Zerkam na ekran – dzwoni Karen, moja siostra.

– Przyjedź do Wolfe Tone Terrace – mówi.

– Dlaczego? – Wolfe Tone Terrace to miejsce zamieszkania moich rodziców. – Pracuję.

Po drugiej stronie słyszę prychnięcie.

– Pracujesz w domu. Możesz przerwać w dowolnej chwili. Przecież nikt cię nie wyleje.

Przysięgam na Boga, nikt nie ma dla mnie krztyny szacunku. Ani dla mojego pisania, ani dla mojego czasu, ani dla moich okoliczności.

– Dobra – mówię. – Przyjadę za dziesięć minut.

Wrzucam telefon do torebki i ślubuję, znowu, że niedługo będę zdyscyplinowana. Bardzo niedługo. Jutro.

W przedpokoju spotykam Jeffreya.

– Dokąd idziesz? – pyta.

– Do babci i dziadka. A ty dokąd? – Jakby nie było to oczywiste: on i jego mata do jogi patrzą na mnie przeciągle, wyzywająco, niczym kochankowie szykujący się do ucieczki. Jakby mówili: „Kochamy się. I co ty na to?”.

– Joga? Znowu?

Spogląda na mnie z tym swoim szyderczym uśmieszkiem.

– Owszem.

– Świetnie. Dobrze... eee....

Niepokoję się. Czy on nie powinien szwendać się, upijać i wdawać w bójki jak normalny osiemnastolatek?

Zawiodłam go jako matka.

Mama i tata mieszkają na spokojnym końcu ulicy w niewielkim szeregowcu, który przed laty wykupili od miasta.

Mama otwiera drzwi wejściowe i na powitanie mówi:

– Na miłość boską, dlaczego chodzisz w takich butach?

– Och....

Zerka na moje dżinsy.

– Nie jest ci gorąco?

Przyjechałam do Irlandii na początku marca i od tego czasu chodzę na zmianę w trzech parach dżinsów. Tyle miałam na głowie, że ubrania spadły na sam koniec listy.

Ale pory roku zmieniały się w najlepsze i nagle się okazało, że potrzebne mi sandały i lekka jasna odzież.

Mama, niska, okrągła istota, zawsze marznie, ale nawet ona chodzi już bez swetra.

– Więc co się tu dzieje? – pytam.

Słyszę jakiś warkot i nagle Clark, najstarsze dziecko Karen, mija babcię i krzyczy do mnie:

– Mają windę schodową! Bo dziadek ma popsute plecy!

Już widzę. Ustrojstwo zostało przymocowane do ściany przy schodach, a Karen przypina się właśnie na siedzisku z trzyletnią Mathilde na kolanach. Potem podnosi dźwignię i z warkotem ruszają na górę. Bardzo, bardzo powoli. Machają mamie, Clarkowi i mnie, a my im też machamy. Nastrój jest uroczysty.

Mama ścisza głos.

– Zarzeka się, że nie będzie tego używać. Idź i go namów.

Staję w progu salonu i zaglądam do maleńkiego pomieszczenia. Jak zawsze tata siedzi na fotelu z książką z biblioteki rozłożoną na kolanach. Widać z daleka, że jest naburmuszony, ale gdy stwierdza, że to ja, odrobinę się rozjaśnia.

– Ach, Stello, to ty.

– Mała przejażdżka windą schodową?

- Nie.

- Oj, tato.

- Oj, tato, akurat. Sam mogę wchodzić po schodach. Mówiłem jej, żeby tego nie brała. Ja jestem w świetnej kondycji, a nie mamy pieniędzy.

Przywołuje mnie bliżej do siebie.

- Strach przed śmiercią to jej problem. Myśli, że jak będzie kupować takie rusztowania, to pożyjemy dłużej. Ale jak przychodzi twój czas, to przychodzi i koniec.

- Masz jeszcze przed sobą ze trzydzieści lat - zapewniam gorąco. Bo niewykluczone, że tak jest. Tata ma dopiero siedemdziesiąt dwa lata, a ludzie dożywają coraz późniejszego wieku. Niekoniecznie jednak moi rodzice.

Od szesnastego roku życia tata pracował fizycznie, ładując skrzynki w porcie Ferrytown. To niszczy człowieka, bardziej niż siedzenie przy biurku. Miał dwadzieścia dwa lata, gdy po raz pierwszy wysunął mu się dysk. Długi czas - nie wiem, może z osiem tygodni - spędził unieruchomiony w łóżku, na silnych środkach przeciwbólowych. Potem wrócił do pracy i ostatecznie znowu zachorował. Odnosił niezliczone kontuzje - z dzieciństwa pamiętam je jako stały punkt programu: „tata znowu jest chory”. Pojawiało się to równie regularnie, jak Halloween czy Wielkanoc - ale był dzielny i dalej pracował, aż musiał przestać. W wieku czterdziestu czterech lat połamało go tak, że już się nie dało go wyleczyć, i to był koniec jego pracy zawodowej. A także zarabiania na życie.

Dzisiaj w porcie są maszyny do rozładowywania, które bez wątplenia oszczędziłyby plecy taty, ale też pewnie dzięki nim tata w ogóle nie miałby pracy.

- Tato, zrób to dla mnie, proszę. To mnie lubisz najbardziej ze swoich dzieci.

- Mam ich raptem dwójkę. Popatrz... - wskazuje książkę, którą czytał. - Nabokov. *Oryginał Laury*, tak się nazywa. Dam ci ją, jak skończę.

- Nie próbuj zmieniać tematu. - I nie każ mi tego czytać, błagam.

Bycie „byстрыm” dzieckiem tatusia to przekleństwo. On czyta książki tak, jak inni ludzie biorą zimny prysznic - są dla ciebie dobre, nie muszą cię bawić. I przekazał ten sposób myślenia mnie: jeśli jakaś książka mnie bawi, czuję się, jakbym zmarnowała czas.

Tata zakumplował się z Joan, kobietą, która pracuje w lokalnej bibliotece. Podejrzewam, że realizuje na nim jakiś swój projekt - żaden autor nie jest dla niego za trudny, żaden tekst zbyt niezrozumiały.

- To jego ostatnia powieść - mówi tata. - Kazał żonie ją spalić, ale nie posłuchała go. Pomyśleć, jaka to by była strata dla literatury. Uprzedzam, to bardzo sprośna...

- Chodźmy do windy. - Bardzo już chcę skończyć rozmowę o Nabokowie.

Tata wstaje powoli. Jest niedużym mężczyzną, niewysokim i żyłastym. Podaję mu ramię, a on je odtrąca pacnięciem.

Tymczasem w holu Karen wróciła na parter, a ja z zainteresowaniem przyglądam się jej ubraniu i włosom - zasadniczo wyglądamy bardzo podobnie, więc gdybym ją naśladowała, miałabym wszystko podane na tacy. Zmiana pogody na letnią nie stanowi dla niej problemu. Czarne obcisłe dzinsy z zameczkami nad kostką, niebotycznie wysokie koturny i bladoszary T-shirt z jakiejś zabawnie pomiętej dzianiny. Całość wygląda, jakby kosztowała majątek, ale zapewne nie kosztowała, bo Karen jest bardzo pomysłowa pod tym względem, bardzo dobrze gospodaruje pieniędzmi. Paznokcie ma idealnie zadbane i pomalowane na kolor *nude*, oczy niebieskie, okolone bujnymi rzęsami, a blond włosy - które bez tej całej chemii są równie nieposkromione i kręcone jak moje - zostały upięte w wytworny kok. Wygląda atrakcyjnie, ale elegancko. Tą drogą muszę podążać.

Chwytam w objęcia śliczną małą Mathilde.

- Chodź cię wyściskam! - mówię.

Ale ona się wrywa, wołając donośnie:

- Mamo!

Straszny mięczak z tego dzieciaka. Pięcioletni Clark jest lepszy. Mnie się wydaje, że ma ADHD, ale przynajmniej jest trochę zabawny.

- Stello! - Karen całuje mnie w oba policzki. To u niej odruchowe. Nagle sobie przypomina, że to tylko ja. - Przepraszam!

Tata się uśmiecha. Bawią go ambitne zapędy Karen i chociaż nigdy by się do tego nie przyznał, jest z nich trochę dumny. Kiedyś ja byłam wielkim sukcesem tej rodziny, ale w ostatnich miesiącach zostałam zdegradowana i pozycja ta przypadła mojej młodszej siostrze.

Karen to bizneswoman - jest właścicielką salonu urody - i tak właśnie wygląda, w każdym calu. Wyszła za Endę, spokojnego przystojnego mężczyznę z majątnej rodziny Tipperary, który jest komisarzem w Gardzie.

Biedny Enda. Kiedy zaczął się spotykać z Karen, była taka energiczna, wygadana i ogarnięta, że błędnie uznał ją za pochodzącą z klasy średniej. A gdy się już w niej zakochał i było za późno, by się wycofać, został przedstawiony jej rodzinie i wówczas odkrył, że to zupełnie inna rasa: ulepszona klasa robotnicza.

Nigdy nie zapomnę tego dnia. Biedny uprzejmy Enda siedzi w tyćcińskim saloniku moich rodziców, starając się utrzymać filiżankę z herbatą na swoich wielkich kolanach, i zastanawia się, czy aby nie aresztował kiedyś naszego taty.

Po dwunastu latach wciąż się z tego śmiejemy. No, może śmiejemy się ja i Karen. Endy nadal to nie bawi.

- Zejdź mi z drogi, parweniuszko - mówi tata do Karen.

- Dlaczego nazywasz ją parweniuszką? - pyta Clark. Pyta za każdym razem, ale chyba nie jest w stanie zachować

w pamięci odpowiedzi.

- Parweniusz to - odpowiada tata - i tu pozwolę sobie zacytować: „Osoba niskiego stanu, która szybko zdobyła majątek albo wpływową pozycję społeczną; nuworysz; nowobogacki, karierowicz, snob”.

- Przestań! - mówi mama, ostro jak nie wiem co. - Może i jest parweniuszką, ale w tej chwili ona jedna w całej rodzinie ma pracę! A teraz wsiadaj na tę windę.

Szybko zerkam na Karen, żeby sprawdzić, czy aby ta cała parweniuszka jej nie dotknęła, ale nie, ani trochę. Jest nadzwyczajna.

Pomaga tacie usiąść na krzeselku.

- Wsiadaj, stary snobie.

- Jak mogę być snobem? - prycha. - Należę do marginesu społecznego.

- Jesteś snobem odwrotnym. Zrównoważonym przedstawicielem klasy robotniczej: przewrażliwionym na każdym punkcie. - I teatralnym gestem podnosi dźwignię, a tata wspina się po schodach.

Klaszczemy i krzyczymy:

- Juhu! - A ja udaję, że nie czuję smutku.

Ogarnięty ekscytacją Clark postanawia zdjąć wszystkie ubrania i potaćzyć nago na ulicy.

Tata wraca do swojej zwykłej pozycji w fotelu, ostentacyjnie rozkłada książkę, a mama, Karen i ja siedzimy w kuchni nad herbatą. Mathilde tuli się do mamy, siedząc na jej kolanach.

- Zjedzcie sobie babeczkę. - Mama rzuca na stół paczkę z szesnastoma babeczkami opakowanymi w celofan. Nie muszę patrzeć na listę składników, żeby wiedzieć, że nie ma w nich nic, co by leżało obok żywności, i że ich termin przydatności do spożycia to styczeń przyszłego roku.

- Nie do wiary, że jesz to gówno - mówi Karen.

- No ale jem.

- Pięć minut stąd na piechotę w środku Ferrytown na cosobotnim targu farmerów sprzedają świeże domowe babeczki.

- Te babeczki, na których wyście się wychowały, zdecydowanie nie były ani świeże, ani domowe.

- Cudownie. - Karen jest za sprytna, by marnować energię na kłótnie. Ale niedługo wyjdzie.

- Zjedz babeczkę - mama przysuwa paczkę do Karen.

- A dlaczego ty nie zjesz? - odpowiada moja siostra i odsuwa paczkę z powrotem.

Babeczki nagle stały się polem bitwy. By złagodzić napięcie, deklaruje:

- Ja zjem babeczkę.

Zjadam pięć. Ale nie mam z tego żadnej przyjemności. I to najważniejsze.



Podrapanie podeszwy jednej stopy  
wielkim palcem drugiej stopy to  
umiejętność granicząca z cudem.

Fragment *Mozolnych mrugnięć powieką*

Moje lewe biodro płonie. Widzę zegar przy stanowisku pielęgniarek – to jedna z korzyści leżenia na lewym boku; jeśli leżę na prawym, widzę ścianę – więc wiem, że za dwadzieścia cztery minuty ktoś przyjdzie mnie obrócić. Obracają mnie co trzy godziny, żebym nie miała odleżyn. Ale ostatnia godzina przed obróceniem to niewygoda, potem ból, wreszcie ogromny ból.

Jedyny sposób, by tę godzinę znieść, to podzielenie czasu na siedmiosekundowe odcinki. Nie wiem, dlaczego wybrałam siedem – może dlatego, że to liczba nieparzysta, że nie dzieli się na dziesięć ani na sześćdziesiąt, więc jest cały czas interesująco. Czasami cztery czy pięć minut mija, a ja tego nie zauważam, a potem mam miłą niespodziankę.

Jestem na OIOM-ie od dwudziestu trzech dni. Dwadzieścia trzy dni, odkąd moje ciało zamieniło się w więzienie. Działają w nim jedynie mięśnie oczu i powiek. Przeżyłam – i nadal przeżywam – szok wręcz niewyobrażalny.

Tamtego pierwszego wieczoru pielęgniarka odesłała wreszcie Ryana do domu.

– Niech pan będzie pod telefonem – poleciła.

– Nie zostawię jej – odparł.

– Jeśli jej stan się pogorszy, zadzwonimy po pana. I wtedy proszę przywieźć dzieci i jej rodziców.

Jakiego wyznania jest pani Stella?

– Żadnego.

– Musi pan coś podać.

– Chyba jest katoliczką. Chodziła do katolickiej szkoły.

– Dobrze, na wszelki wypadek ściągniemy księdza. Proszę iść. Nie może pan tu zostać. To oddział intensywnej opieki medycznej. Niech pan idzie do domu, prześpi się i pilnuje telefonu.

W końcu poszedł, a wyglądał przy tym jak zbity pies. Ja zostałam sama i pograżyłam się w świecie surrealistycznego koszmaru, w którym trwałam tysiące lat. Trafiłam w szpony największego strachu, jakiego zaznałam w życiu: mogłam umrzeć, a wręcz był to scenariusz bardzo realny. Wyczuwałam to w atmosferze panującej dokoła mojego łóżka. Nikt nie wiedział, co mi dolega, ale było oczywiste, że wszystkie systemy w moim ciele się wyłączają. Płuca się poddały. A jeśli wyłączy się wątroba? Jeśli... przerażająca myśl... jeśli zatrzyma mi się serce?

Wszelkie swoje wysiłki skupiłam na nim i zachęcałam je do dalszej pracy. „Bij, no bij, przecież to nie jest takie trudne”.

Musiałam je zagrzewać do pracy, bo jeśli przestanie bić, to kto się zajmie Betsy i Jeffreyem? I jeśli przestanie, co będzie ze mną? Dokąd pójdę? Nagle stwierdziłam, że stoję u progu otchłani, że w tym miejscu może skończy się moje życie.

Nigdy nie byłam pobożna, nigdy nie myślałam o życiu pozagrobowym, o tamtym świecie. Ale teraz, gdy istniało duże prawdopodobieństwo, że tam właśnie zmierzam, odkryłam, trochę późno, że naprawdę jestem nim zainteresowana.

Powinłam była zrobić kursy samorozwoju, łąjałam się. Powinłam być miłsza dla ludzi. Oczywiście bardzo się starałam, ale powinłam była bardziej. Powinłam chodzić do kościoła i robić te wszystkie pobożne rzeczy.

A nuż zakonnice w szkole miały rację i piekło rzeczywiście istnieje? Kiedy podsumowałam swoje grzechy – seks przedmałżeński, zazdrośczenie wakacji sąsiadom – uświadomiłam sobie, że już po mnie. Spotkam się ze swoim stwórcą, a potem zostanę strącona w ciemność.

Gdybym mogła płakać z przerażenia, zrobiłabym to. Chciałam szlochać ze strachu. Rozpaczliwie pragnęłam dostać drugą szansę, wrócić i ponaprawiać, co się da.

„Błagam, Boże – mówiłam w duchu – nie daj mi umrzeć. Ocal mnie, a będę lepszą matką, lepszą żoną i w ogóle lepszym człowiekiem”.

Z krzątanim pielęgniarek przy moim łóżku zrozumiałam, że niebezpiecznie przyspieszyło mi tętno. To ze strachu. Dobrze, że serce mi ciągle biło, ale niedobrze, żebym miała atak serca. Zapadła decyzja, by podać mi środki uspokajające, zamiast jednak się pod ich wpływem odprężyć, myślałam teraz wolniej, tak że wyraźniej widziałam swoje fatalne położenie.

W kółko, bez przerwy powtarzałam sobie: „To niemożliwe. To się nie dzieje”.

Zalewał mnie strach na zmianę z bezsilną złością: wściekałam się na swój stan. Przyzwyczajona, że robię, co chcę, nigdy się nad tym w ogóle nie zastanawiałam – mogłam wziąć do ręki czasopismo, mogłam odgarnąć włosy z oczu, mogłam zakasać. Nagle zrozumiałam, że podrapanie podeszwy jednej stopy wielkim palcem drugiej stopy, to umiejętność granicząca z cudem.

Mózg nieustannie wysyłał polecenia ciała: Rusz się, na miłość boską, rusz się! Ale ono leżało jak kłoda. Wyzywające, lekceważące i... tak, wręcz bezczelne! Wściekałam się, pieniałam, wygrażałam, lecz nie poruszałam żadnym mięśniem.

Bałam się zasnąć – ze strachu, że we śnie umrę. Nie wyłączano światła wokół mnie, całą noc patrzyłam, jak zegar odmierza sekundy. Wreszcie nastał ranek i zabrano mnie na dół na punkcję lędźwiową, i wtedy pożałowałam, że nie umarłam – jeszcze dziś na wspomnienie tego bólu robi mi się słabo.

Ale dzięki punkcji bardzo szybko postawiono diagnozę: cierpiałam na coś o nazwie zespół Guillaina-Barrégo, zdumiewająco rzadkie schorzenie neurologiczne, które atakuje nerwy obwodowe i powoduje ich demielinizację. Żaden z tutejszych lekarzy jeszcze nigdy nie zetknął się osobiście z takim przypadkiem.

– Człowiek ma większe szanse wygrać na loterii, niż zapaść na tę chorobę – chichotał mój specjalista, pulchny, elegancki, srebrzystowłosy doktor Montgomery. – Ależ się pani udało!

Nikt nie umiał powiedzieć, co wywołało chorobę, ale czasami atakowała ona po przejściu zatrucia pokarmowego.

– Pięć miesięcy temu żona uczestniczyła w wypadku samochodowym – usłyszałam Ryana. – Może to spowodowało chorobę?

Nie, pan doktor tak nie uważał.

Prognozy były ostrożnie optymistyczne: GBS rzadko kończył się śmiercią. Jeśli nie zapadnę na infekcję – a prawdopodobnie zapadnę, najwyraźniej wszyscy w szpitalu mieli jakieś infekcje; wydawało się, że większe szanse na zdrowe życie ma człowiek, który wypija dziennie siedem litrów nieoczyszczonej wody z Gangesu – kiedyś wyzdrowieję i znowu będę się ruszać, mówić i oddychać bez respiratora.

Wyglądało więc na to, że przynajmniej nie umrę.

Nikt jednak nie umiał powiedzieć, kiedy wyzdrowieję. Dopóki te osłonki mielinowe – czymkolwiek były – nie odrosną, czekał mnie długi pobyt na oddziale intensywnej opieki medycznej, gdzie będę leżeć sparaliżowana i niema.

– Na razie najważniejsze jest to, żeby ją podtrzymać przy życiu – powiedział Ryanowi doktor Montgomery. – To chyba oczywiste, co, dziewczęta? – krzyknął do pielęgniarek z niestosowną raczej, z mojego punktu widzenia, wesołością. – Trzymaj się, Patsy! A panu powiem jedno. – Chwycił Ryana za

ramię. – Niech pan nie biegnie do domu, żeby sobie wszystko wygooglować. W internecie wypisują brednie wszelkiej maści i ludzie wariują ze strachu. Naczyta się pan, a potem przyjdzie tu, becząc i powtarzając, że żona umrze i że będzie sparaliżowana na zawsze. Od piętnastu lat jestem specjalistą w tym szpitalu. Wiem więcej niż jakikolwiek internet i ja panu mówię, że ona będzie zdrowa. Pewnego dnia.

– Nie ma żadnych leków, które by przyspieszyły leczenie? – spytał Ryan.

– Nie – odrzekł doktor Montgomery niemal radośnie. – Żadnych.

– Możecie przeprowadzić jakieś badania, żeby się dowiedzieć, w jakim dokładnie ona jest stanie? Ile minie czasu, zanim dojdzie do siebie?

– Czyż nie zrobiliśmy właśnie tej biedaczce punkcji lędźwiowej? – Zerknął na mnie. – I to nie było miłe, no nie? – Znowu odwrócił się do Ryana. – Musicie to przeczekać. Nic więcej nie można zrobić. Ćwiczyć cierpliwość, panie Sweeney. Cierpliwość, cierpliwość i jeszcze raz cierpliwość. Może zająłby się pan wędkarstwem muchowym?

Tego samego dnia Ryan przyprowadził po szkole Betsy i Jeffreya, żeby mnie zobaczyli. Obserwowałam ich twarze, gdy patrzyli na wszystkie rurki wchodzące do mojego ciała i wychodzące z niego. Wielkie niebieskie oczy Betsy wypełniły się przerażeniem, ale Jeffrey, wówczas czternastoletni, interesujący się wszystkim, co makabryczne, patrzył zafascynowany.

– Przyniosłam ci trochę gazet – powiedziała Betsy.

Ale ja nie miałam jak trzymać gazety. Straszliwie pragnęłam rozrywki, lecz ktoś musiałby mi czytać na głos.

Ryan podparł mi głowę poduszką, żebym go widziała.

– No i jak się czujesz?

Patrzyłam na niego. Sparaliżowana. Czuję się sparaliżowana. I niezdolna do mówienia.

– Przepraszam – dodał. – Nie wiem, jak...

– Zrób tak – włączył się Jeffrey. – Widziałem w telewizji. Zamrugaj prawym okiem na tak, a lewym na nie.

– Nie jesteśmy, do cholery, skautami! – warknął Ryan.

– Mamo, a ty uważasz, że to dobry pomysł? – Jeffrey przysunął blisko swoją twarz.

No cóż, nic innego nie mieliśmy. Mrugnęłam prawym okiem.

– Sukces! – krzyknął Jeffrey. – Działa. Spytajcie ją o coś!

– Nie wierzę, że to robimy – jęknął słabym głosem Ryan. – Dobra. Stella... boli cię?

Mrugnęłam lewym okiem.

– Nie? To dobrze! A jesteś głodna?

Znowu mrugnęłam lewym okiem.

– Nie. To dobrze...

Spytaj, czy się boję. Ale nie spytał, bo wiedział, że się boję, i sam się bał.

Znudzony już Jeffrey zajął się swoim telefonem. Natychmiast rozległy się szybkie kroki. Pojawiła się pielęgniarka z twarzą jak burza.

– Wyłącz to! – poleciła. – Nie wolno mieć komórek na OIOM-ie.

– Co takiego? – spytał Jeffrey. – W ogóle?

– W ogóle.

Jeffrey spojrział na mnie wreszcie ze współczuciem.

– Żadnych telefonów. Jezu... A gdzie masz telewizor? Ej – zawołał w stronę stanowiska pielęgniarek.

– Gdzie telewizor dla mojej mamy?

– Mógłbyś się przyciszyć? – spytał Ryan.

Wściekła pielęgniarka wróciła.

– Nie ma telewizora. To oddział intensywnej opieki medycznej, a nie jakiś hotel. I mów ciszej; tu są bardzo chorzy ludzie.

– Uspokój się, kochana.

– Jeffrey! – syknął Ryan. I do pielęgniarki dodał: – Przepraszam. On przeprasza. Wszyscy jesteśmy... zdenerwowani.

– Cicho – zarządził Jeffrey. – Myślę. – Wyglądał, jakby podejmował jakąś potwornie trudną decyzję. –

Dobra – postanowił. – Pożyczę ci swojego iPoda. Na ten jeden wieczór...

– Żadnych iPodów! – krzyknęła pielęgniarka z oddali.

– Ale co ty będziesz robić? – Jeffrey był głęboko zatroskany.

Betsy, która od przyścia nie wydusiła ani słowa, odchrząknęła.

– Mamo... ja chyba... ja chyba chciałabym się z tobą pomodlić.

Że co?!

Mój ciężki los poszedł w zapomnienie, zerknęłam na Ryana. Od jakiegoś czasu podejrzewaliśmy, że Betsy interesuje się chrześcijaństwem – tak jak wielu rodziców boi się, że ich nastoletnie dzieci biorą narkotyki. W jej szkole aktywnie szukał członków jakiś pobożny klub młodzieżowy. Żerowali na wrażliwości dzieci wychowanych przez agnostyków i wyglądało na to, że nasza córka wpadła w ich szpony.

Modlenie się we własnej głowie wydawało mi się w porządku, ale modlenie się – i to na głos! – z Betsy, jakbyśmy byli jakimiś Amerykanami z klasy średniej, zupełnie mi się nie podobało. Zamrugałam lewym okiem – nie, nie, nie – ale Betsy wzięła moją bezwładną rękę i pochyliła głowę.

– Panie, wejrzyj na tę nieszczęsną grzesznicę, moją mamę, i wybacz jej wszystkie złe uczynki, których się dopuściła. Nie jest złym człowiekiem, lecz słabym, i udaje, że chodzi na zumbę, a nigdy nie poszła na zajęcia, i potrafi być bardzo jędzowata, zwłaszcza gdy jest z ciocią Karen i z ciocią Zoe, która nie jest moją prawdziwą ciocią, tylko przyjaciółką mamy, i jak piją czerwone wino...

– Betsy, przestań! – interweniował Ryan.

Nagle odezwał się alarm, gwałtowne pulsujące dźwięki. Rozległ się chyba z łóżka cztery boksy dalej. Pielęgniarki w szaleńczym pędzie ruszyły do akcji. Jedna z sióstr wpadła do nas.

– Musicie natychmiast wyjść – powiedziała do Ryana.

Ale że pognąła do nagłego wypadku, moi goście, nie chcąc przegapić akcji, zostali.

Usłyszałam świst zasłon i mnóstwo donośnych głosów wydających polecenia lub przekazujących informacje. Przybiegła kobieta w stroju lekarza, a za nią dwóch młodszych mężczyzn. Poły białych fartuchów trzepotały za nimi.

Nagle – i dało się wyczuć zmianę energii – wszystkie te hałasy i działania ustały. Po kilku sekundach absolutnego nic usłyszałam, jak ktoś mówi wyraźnym głosem:

– Czas zgonu: siedemnasta czterdzieści siedem.

Niewiele później przejechało koło nas nieruchome ciało na szpitalnym łóżku.

– On... on nie żyje? – Betsy miała oczy wielkie jak spodki.

– Martwy człowiek – powiedział Jeffrey. – Ale jazda.

Patrzył na szybko oddalające się łóżko, a potem odwrócił się, spojrzął na moje nieruchome ciało i światło w jego oczach zgasło.

## 14.17

Wracam od rodziców w swoich nieodpowiednich na tę pogodę ciuchach i zauważam, że mam nieodebrane połączenie. Robi mi się słabo, gdy widzę, kto dzwonił. I zostawił wiadomość.

Nie powinnam tego odsłuchiwać. Całkowite zerwanie, czy nie tak zdecydowałam?

Palce mi się trzęsą, gdy wciskam klawisze.

I słyszę jego głos. Tylko trzy słowa: ...tęsknię za tobą...

Gdybym nie stała na ulicy, zgięłabym się w pól i zawyła.

Że płaczę, orientuję się dzięki ciekawskim spojrzeniom kierowców przejeżdżających samochodów. Pędzę do domu i modłę się, by nikogo po drodze nie spotkać.

Wreszcie zamykam za sobą drzwi i robię to samo, co od – odliczam – dwóch miesięcy, trzech tygodni i dwóch dni: zajmuję się czymś.

Sprawdzam wideo na blogu Ryana. Nikt go nie oglądał, odkąd ostatnio sprawdzałam, dzisiaj rano, i nic nowego się nie pojawiło. Z tej strony może nic nam nie grozi.

Właśnie, lepiej poszukam jakichś letnich ciuchów. Chociaż czuję się fatalnie, cieszę się, że mam jakieś zajęcie i nie muszę zabierać się do pisania. Siedząc przed monitorem z pustką w głowie, miałabym za dużo miejsca na straszne myśli.

Wpadam do szafy z rzeczami nienoszonymi i zaczynam wyciągać ciuchy na ciepłą pogodę przywiezione z Nowego Jorku. Jak ładnie i starannie je powiesiłam! Nie widać żadnego dowodu udręki, której doświadczałam, gdy je rozpakowywałam. Spodziewałabym się, że wieszaki są przeładowane, poprzekrzywiane, a sandały i klapki leżą w beładnych stosach na podłodze. Tymczasem wygląda tu jak w reklamie drogiej włoskiej szafy na zamówienie. Nie pamiętam, żebym wieszala wszystko tak porządnie, ale wygląda na to, że zaakceptowałam, że naprawdę tu mieszkam, że to jest teraz mój dom, może na zawsze.

Jestem w szoku: nie mam co na siebie włożyć. Żadna z nowojorskich rzeczy na mnie nie pasuje. W ciągu dwóch ostatnich miesięcy niepostrzeżenie przybrałam na wadze. Ile dokładnie, nie sposób określić. W łazience jest waga, ale nie ma mowy, żebym na niej stanęła. Tak czy owak, nie muszę. Mam dowód – nic na mnie nie pasuje.

To mój... przód. Szepczę: brzuch... ledwie jestem w stanie myśleć to słowo. W duchu odchrząkuję i postanawiam stawić czoło gorzkiej prawdzie: mam brzuch. Duży.

I zawsze wiedziałam, że ten dzień nadejdzie...

Całe życie pilnowałam tego cholerstwa, aż wreszcie wymknęło się spod kontroli.

Niechętnie staję przed jedynym w domu pełnowymiarowym lustrem, wiszącym po wewnętrznej stronie szafy z rzeczami nienoszonymi. Uświadamiam sobie, że od powrotu do Irlandii nie przeglądałam się w nim. Najwyraźniej dlatego, że nie utrzymuję zbyt ścisłych kontaktów ze swoimi nienoszonymi ciuchami.

Ale to niejedyny powód, dla którego nie zauważyłam swojego przyrostu. Trwałam w zaprzeczeniu na temat własnej osoby, swojego wyglądu, swojego istnienia. Ignorowałam włosy, chociaż domagają się strzyżenia, paznokcie mam połamane i ogryzione, choć Karen ciągle proponuje mi manikiur gratis.

Każdy kolejny dzień upływał mi na ogarnianiu świeżych wyzwiań, które każdego dnia się pojawiały – pieniądze, Jeffrey, wielka dziura w moim wnętrzu.

Jakbym... jakbym się wyłączyła. Musiałam się wyłączyć, żeby przeżyć.

Chociaż jak na osobę wyłączoną dużo jadłam.

Biedny Jeffrey. Szkalowałam go, że skurczył mi ciuchy, a to była moja wina.

Rzucam na siebie spojrzenia. Króciutkie. Tę niestrawną prawdę mogę przyswoić wyłącznie drobnymi kęskami, w krótkich odcinkach. To ja? Ja?! Wyglądam jak jajko z nogami. Jak... brzuch... brzuch z nogami.

Przez kilka ostatnich lat trzymałam słowo na B z daleka dzięki niemal codziennemu bieganiu i pilatesowi, a także diecie wysokobiałkowej. Ale moje życie z trenerem osobistym i własnym kucharzem dobiegło końca, w jego miejsce zaś pojawiło się... to coś z przodu. Jeśli nie nazwę tego po imieniu, może zniknie. Może to coś chce jedynie potwierdzenia i jeśli je zignoruję, oddali się chyłkiem i przymocuje do innej kobiety, która będzie go myła z uwagą, chwytając trzęsącymi się dłońmi i zawodziła, a potem nagle upuści go na podłogę i zdepcze po osiemnastokroć, i rzuci się do komputera, by wygooglować: „Jak uzyskać płaski brzuch w ciągu dwudziestu minut”.

Tak, zignoruję go. Przejdę nad nim do porządku dziennego. Teraz, skoro wiem, co robić, czuję się spokojniejsza.

Tylko że nadal nie mam co na siebie włożyć...

To problem.

Nie dam się temu czemuś pokonać! Jestem osobą nastawioną pozytywnie! I idę na zakupy!

Wracam do domu z pustymi rękoma i bardzo zatroskana. Natknęłam się na szokujący fakt: nie ma nic w sklepach na kobietę w wieku lat czterdziestu jeden i jedna czwarta. Nie szyją dla nas ubrań. Pomijają akurat naszą grupę. W sklepach są bluzki bez rękawów i obcisłe lureksowe suknie na osoby w wieku od dwunastu do trzydziestu dziewięciu lat. Są też łatwe do prania spodnie z elastycznym paskiem dla grupy sześćdziesiąt plus. Ale dla mnie – nic. Nic. Nic. Nic.

Podążając tropem Karen, przymierzyłam obcisłe džinsy do kostki i fantazyjny T-shirt, ale wyglądałam jak opasły chłopiec. Następnie przeszłam do spodni szykownych, przejrzałam się w lustrze i zastanowiłam, jakim cudem mama weszła mi do przebieralni. A potem zrozumiałam, że osoba, którą widzę, to ja. Okropność!

Z całym szacunkiem dla mamy. To atrakcyjna kobieta. Jak na siedemdziesiąt dwa lata. Ale ja mam dopiero czterdzieści jeden i jedną czwartą, więc to nie w porządku.

Nagle rozumiem, dlaczego ciuchy designerskie są takie drogie. Bo są lepiej skrojone. Bo tkanina jest lepszej jakości. Myślałam, że płacę te dodatkowe pieniądze dla kawału, tak żebym mogła sobie pochodzić z torbą DKNY, myśląc: „Odniosłam sukces! Właśnie to udowodniłam, płacąc dwieście dolarów za zwykłą czarną spódnicę, którą w Zarze mogłabym kupić za dychę”.

Czy nieobecność ubrań dla mojej grupy wiekowej to jakiś spisek? Żebyśmy siedziały w domu, ukrywając swoje niestrawne starzenie się przed wzrokiem młodościocentrycznego społeczeństwa? Albo żebyśmy wydały wszystkie pieniądze na liposukcję? Muszę zbadać ten problem.

Spiesząc z powrotem na parking, przechodzę obok kiosku i mój wzrok przyciągają okładki magazynów, z których wiele przedstawia kobiety podające się za fantastyczne czterdziestki!

Staję przed jedną z nich. Znam kobietę ze zdjęcia, która promiennie się do mnie uśmiecha; w Nowym Jorku występowałam w jej talk-show i pozwolę sobie coś powiedzieć o niej w sekrecie: Jej gadka o fantastyczności czterdziestki to stek kłamstw. Twarz ma całą ostrzykniętą. Całą. Jest chora umysłowo od permanentnej głodówki. I nie ma czterdziestu lat, tylko trzydzieści sześć – sprytnie sprzymierzyła się z zasobnym rynkiem czterdzieści plus, podając się za szczupłą, młodzieńczy wzorec. Każdym uśmiechem i gestem komunikuje: Jestem jedną z was. Ale armia akolitek nigdy nie będzie wyglądać jak ona, choćby nie wiem ile kupiły ciuchów z sygnowanej przez nią kolekcji. Będą jednak dalej próbować. I dalej będą winić siebie za porażkę.

Jeśli przechodzisz przez piekło,  
po prostu patrz przed siebie.

*Fragment Mozolnych mrugnięć powieką*

Większość ludzi leżących na intensywnej terapii to ideał pacjenta. To dlatego, że większość jest w śpiączce. Poza tym w większości wypadków pobyt należy do krótkich – albo umierają, albo poprawia im się na tyle, że przenoszą się na inny oddział. Ja jednak znalazłam się w takiej nadzwyczajnej sytuacji, że leżałam tam w nieskończoność i pielęgniarki nie były na to gotowe. Nie rozmawiały ze mną, bo nie rozmawiały z innymi pacjentami – i zresztą po co miałyby rozmawiać, skoro wiedziały, że nie mogę odpowiedzieć?

Kiedy mnie obracały albo podłączały nową torebkę z substancjami odżywczymi do przetoki w moim brzuchu, robiły to z taką samą siłą, jakbym była nieprzytomna. Jeśli jakaś rurka mi się odłączała, wtykały ją na miejsce, jakby wsadzały wtyczkę do gniazdka. Czasami, w trakcie tych manewrów, przypominały sobie, że wiem, co się dzieje, i przepraszały.

Ale to były jedyne momenty, gdy personel medyczny się do mnie odzywał, więc odchodziłam od zmysłów z samotności.

Nie miałam dostępu do żadnych rozrywek – ani telefonu, ani Facebooka, ani jedzenia, książek, muzyki, rozmów, niczego. Z natury byłam gadatliwa – jeśli przychodziła mi do głowy jakaś myśl, natychmiast ją z siebie wyrzucałam, a teraz musiała się ona odbijać od ściany mojej czaszki i wracać do mózgu, wraz z tysiącami innych niewypowiedzianych myśli.

Regulamin dopuszczał w moim wypadku dwie piętnastominutowe wizyty dziennie. Marny kwadrans. Przez resztę czasu tkwiłam w zamknięciu swojej głowy i bez przerwy, nieustannie się martwiłam. Miałam ustaloną procedurę awaryjną odnośnie do Betsy i Jeffreya, ale każdy dzień był wyzwaniem: mama pracowała na zmiany w domu starców, Karen była pracoholiczką – podobnie jak Ryan, swoją drogą – a tacie w każdej chwili mogły się posypać plecy.

Martwiłam się też o pieniądze – Ryan dużo zarabiał, lecz mieliśmy ogromne wydatki i potrzebowaliśmy tego, co zarabiałam w salonie.

I chociaż posiadaliśmy ubezpieczenie, polisa, jak to polisa, miała różne ograniczenia i wyłączenia, zastrzeżenia i zwolnienia. Kiedy ją podpisywałam, bardzo się starałam zrozumieć, co pokrywa, ale skupiałam się na ubezpieczeniu dzieci, a nie Ryana czy siebie.

Bardziej niż o pieniądze lękałam się o zdrowie emocjonalne Betsy i Jeffreya – widziałam strach w ich oczach za każdym razem, gdy ostrożnie podchodzili do mojego łóżka. Jakie długofalowe skutki wywołała ta trauma?

Z całych sił staraliśmy się z Ryanem być dobrymi rodzicami, stąd droga szkoła i wszystkie zajęcia pozalekcyjne, ale ta choroba na pewno im namiesza w życiu. Jakżeby inaczej?

Niemal równie paskudne poczucie winy nękało mnie w związku z mamą i tatą. Byłam dorosła, oni już się wywiązali ze swoich rodzicielskich obowiązków, a oto łamałam im serce. Strasznie się na nich patrzyło, kiedy przychodzili z wizytą – mama trzymała mnie za rękę i płakała cicho, a tata zaciskał szczęki i spoglądał w podłogę. Jedyne słowa, jakie do mnie wypowiedział, brzmiały: „Jeśli przechodzisz przez piekło, po prostu patrz przed siebie”.

Nieliczne przerwy w zamartwianiu się spędzałam na zachwycaniu się życiem, które niegdyś wiodłam. Ależ byłam szczęściarą – prowadziłam samochód i jadłam rodzynki, które znalazłam w torebce na podłodze, wygłaszałam do Betsy pokrępiące mowy na temat jej lekcji gry na oboju i postanawiałam,

że nie mogę już oszukiwać z tą zumbą, bo była taka wielozadaniowa, że angażowała wszystkie mięśnie mojego ciała.

A teraz oto leżałam sparaliżowana, tak że nie mogłam nawet ziewnąć. Oddałabym dziesięć lat życia, żeby móc sobie chociaż włożyć skarpetki.

Przysięgałam, że jeśli wyzdrowieję, każdy wykonany ruch będę postrzegać jako cud.

Ale czy wyzdrowieję? Chwilami – jakies miliony razy dziennie – byłam pewna, że już nigdy w życiu nie wyjdę z więzienia swojego bezużytecznego ciała.

Nieustannie starałam się wprawić w ruch swoje członki, skupiałam się na konkretnym mięśniu, aż czułam, że zaraz wybuchnie mi głowa, ale nic się nigdy nie działo. Było oczywiste, że ani trochę mi się nie poprawia. Lecz przynajmniej mi się nie pogarszało – potwornie się bałam, że przestaną mi działać oczy i stracę swój jedyny, choć ułomny sposób komunikacji. Ale oczy ciągle działały.

Niemniej jednak trudno mi było trwać w nadziei. Ryan bardzo się starał zachować pozytywne nastawienie – naprawdę był dzielny – ale wiedział równie mało jak ja.

Kiedy mnie zdiagnozowano, mój stan wywołał mnóstwo ekscytacji wśród przyjaciół i znajomych. Dodatkowego sznytu dodawała możliwość, że umrę. Z tego, co mówił Ryan, wynikało, że dosłownie wszyscy błagają o pozwolenie na wizytę u mnie, a dziesiątki życzliwców przysyła kwiaty, chociaż im powiedział, że na intensywnej terapii nie można mieć kwiatów. Na moją część palono świece i modlono się za mnie... ale dni mijały, ja nie umierałam, a gdy wreszcie uznano mój stan za stabilny, fani opuścili mnie w mgnieniu oka. Nawet w swoim szpitalnym łóżku czułam ich odstąpienie. „Stabilny” to chyba najnudniejsze ze wszystkich medycznych określeń – gorsze jest tylko „zadowolający”. Ludzie tak naprawdę lubią „krytyczny”. „Krytyczny” to matki wystające pod bramą szkoły, triumfujące z przerażenia, mówiące mądrze: „To mógł być każdy z nas... jak to jednak nigdy nic nie wiadomo”.

Ale „stabilny”? Jeśli szukasz podniety, to oznacza, że postawiłeś na niewłaściwego konia.

Minęły dwadzieścia trzy dni – przypominałam więźnia wydrapującego na ścianie celi upływające dni, bo odmierzanie czasu było jedynym skrawkiem kontroli, jaki zachowałam.

Znowu spojrzałam na zegar – nadal zostało dziewiętnaście minut do chwili, gdy zostanę obrócona, a biodro mi płonęło z bólu. Nie mogłam tego znieść. Wiedziałam, że oszaleję.

Ale minęło kolejne siedem sekund, a ja nie zwariowałam.

Jak można oszaleć, zastanawiałam się. To przydatna umiejętność życiowa, której powinni uczyć w szkołach. Fajnie byłoby postradać rozum, kiedy sytuacja cię trochę przerasta.

Widziałam guzik alarmowy – niespełna metr od mojej twarzy. Chciałam, by moja głowa przesunęła się po poduszce, zebrałam każdy gram siły w swoim ciele, żeby go wcisnąć. Mogłam to zrobić. Jeśli straszliwie tego zapragnę, na pewno to się stanie. Czyż nie powtarzano nam w kółko, że wola ludzka jest najpotężniejszą siłą na tej planecie? Myślałam o tych wszystkich historiach, które przeczytałam w „Reader’s Digest” taty jako dziecko – niesamowite historie kobiet, które jedną ręką podnosiły dzipa, by ocalić życie swego dziecka, czy mężczyzn, którzy szli sześćdziesiąt kilometrów po wertepach z ranną żoną na plecach. A ja musiałam tylko uderzyć głową w jeden malutki guziczek.

Choć w mojej duszy wszystko szalało, nic się jednak nie zdarzyło. Nawet jeśli czegoś straszliwie pragniesz, nie masz gwarancji, że to się stanie – *X-Factor* wprowadził mnie w błąd. Tak, chciałam poruszyć głową. Tak, bardzo tego pragnęłam. Tak, byłam gotowa na wszystko, by to osiągnąć. Ale to nie wystarczało.

Gdyby tylko któraś z mijających moje łóżko pielęgniarek spojrzała na mnie, na pewno zobaczyłaby w moich oczach udrękę. Ale one nie pozwalały sobie na przypadkowe zerknięcia. Maszyny zajmowały się wszystkim, a pielęgniarki pojawiały się dopiero wtedy, gdy coś zaczynało pikać.



Jedyną osobą, która mogła mnie przez to przeprowadzić, byłam ja. „Trzymaj się, Stella”, mówiłam do siebie łagodnie. „Trzymaj się”.

Słuchałam więc respiratora i odliczałam do siedmiu, i odliczałam do siedmiu raz jeszcze, i udawałam, że moje biodro nie należy do mnie, i przestałam patrzeć na zegar, i dalej odliczałam, dalej odliczałam... i oto przyszły dwie pielęgniarki! Nadszedł czas!

– Ty bierz górę – zarządziła jedna. – Uważaj na respirator.

Podniosły mnie i nagle ból ustał, a mnie zalała ulga w stopniu wręcz ekstatycznym. Cała w euforii, szybowałam i unosiłam się z radości. Pielęgniarki odłożyły mnie na prawy bok i poprawiły wszystkie przewody.

– Do zobaczenia za trzy godziny – powiedziała jedna z nich i spojrzała mi w oczy. Popatrzyłam na nią wzrokiem wypełnionym żalosną wdzięcznością za ten ludzki kontakt.

Gdy tylko wyszły, dopadł mnie strach przed umieraniem. Najsilniejszy stawał się zawsze w ciągu kilku sekund po czymś odejściu od mojego łóżka. Zastanawiałam się, czy powinnam poprosić księdza, żeby oczyścić duszę. Ale nawet gdybym była w stanie poprosić, podejrzewałam, że Bóg nie gra wedle tych prostych zasad. Cokolwiek uczyniłam w swoim życiu – czasami moje nieprawości wydawały się niezbyt straszne, czasami zaś owszem – teraz było za późno na przebaczenie.

Kiedyś największym moim lękiem był strach przed tym, że coś okropnego stanie się moim dzieciom, ale rozważanie własnej śmierci było – zadziwił mnie mój egoizm – o wiele bardziej przerażające.

Przyszli Ryan, Betsy i Jeffrey! Kolejno pocałowali mnie w czoło, a potem szybko się odsunęli, wpadając na siebie, przerażeni, że wyrwą mi jakąś rurkę.

Dzieci z zakłopotaniem dostarczały mi „niusy”, które zebrały od poprzedniej wizyty, czyli od wczoraj.

– O mój Boże! – wykrzyknęła Betsy, udając zaskoczenie. – Nie słyszałaś? Amber i Logan zerwali ze sobą!

Amber to jej najlepsza przyjaciółka, Logan to chłopak Amber. Chociaż może już niekoniecznie...

„Powiedz mi!” – Usiłuję przekazać oczyma zachęcające sygnały. – „Śmiało, skarbie. Tutaj każda pogawędka jest mile widziana. I tak się cieszę, że odpuściłaś sobie te wszystkie modły”.

– Tak! Odbyli poważną rozmowę i Logan powiedział, że wyczuwa, że ogranicza Amber. W jej rozwoju osobistym. Nie chciał robić przerwy, ale uważa, że to właściwe posunięcie.

Boże, te dzieciaki były takie poważne.

...I nie byłabym taka pewna co do szlachetnych pobudek Logana.

– A Amber co? Zdruzgotana. Ale to takie miłe, że Logan jest taki dojrzały...

Jeffrey, najwyraźniej nieprzejęty sagą Amber–Logan, wyrzucił nagle:

– Wczoraj wieczorem oglądaliśmy *The Apprentice*! Fajne było.

O Boże! A ich nauka? Ja mnóstwo czasu i energii wkładałam w to, żeby przysiedli do lekcji, i bardzo się bałam, że gdy tak leżę bezsilnie, Ryan to wszystko zmarnuje.

– Potrzebowali rozrywki – powiedział Ryan ze skruchą.

No tak, ale...

Można by pomyśleć, że nie da się martwić takimi rzeczami, drobiazgami, kiedy każdego dnia martwisz się, że umrzesz i pójdziesz do piekła, ale proszę.

By odwrócić uwagę od swoich nadużyć, Ryan wziął do ręki moją kartę.

– Tu jest napisane, że w nocy dobrze spałaś.

Ale to nieprawda – nie da się dobrze spać, bo światła na OIOM-ie świecą dwadzieścia cztery godziny na dobę, płomień w moim biodrze budzi mnie co kilka godzin, a co trzy godziny jestem obracana.

– Amber mówi, że słusznie zerwali. Dzięki temu ich więź się zacieśni. Ale, mammo, czy ja mogę coś powiedzieć? Czy to o mnie źle świadczy...?

„Powiedz to! Powiedz!”

– ...ja myślę, że Logan chce się po prostu spotykać z innymi dziewczynami.

„Też tak myślę! Pamiętasz, co było latem?”

– No bo wiesz, pamiętam... pamiętam tamtą dziewczynę latem.

„Właśnie! Dziewczynę, która pracowała na łodzi rybackiej”.

– Ja wiem, że to nieładnie mówić o dziewczynie, że jest zdzirą, ale, mamo, nie krzycz na mnie, a, no tak, nie możesz, ale ona była jakby zdzirą.

Betsy była piękna, miała niezdarne ciało i grzywę długich, nieokiełzanych blond loków – odziedziczyła najlepsze cechy Ryana i moje – ale zaciekle starała się wyglądać jak najmniej seksownie. Ubierała się w worki bez rękawów do kostek i dziwne bezkształtne swetry. Karen na jej widok mówiła ze wzgardą: Wygląda jak żona dziewiętnastowiecznego dzierżawcy.

– Wiem, że Logan mówił, że pomagał tej zdzirze wyplątać się z sieci – mówiła Betsy – ale...

„Nigdy w to nie uwierzyłam”.

– Ja to sądzę, że on chyba lubi kłamać. A wczoraj wieczorem Amber go tak jakby śledziła.

O mój Boże! To lepsze niż opera mydlana.

– No, może nie śledziła, ale... obserwowała jego dom. I powiedziała, że zdzira wysiadła z samochodu...

– Czas minął. – W nogach mojego łóżka stanęła pielęgniarka.

Co? Już?! Nie! Musiałam posłuchać o zdzirowatej! Zapłakałabym z rozczarowania, gdyby moje kanaliki łzowe działały.

– Ja nie chcę iść – oznajmił Jeffrey. Nagle wydał mi się młody i bezbronny.

– Musicie – odparła pielęgniarka. – Pacjentka musi odpocząć.

– Mamo, kiedy ci się poprawi? – spytał Jeffrey. – Kiedy wrócisz do domu?

Wpatrywałam się w niego. „Przepraszam. Tak mi przykro”.

– Niedługo – odrzekł Ryan. Starał się mówić pokrzepiającym głosem. – Niedługo się jej poprawi.

A jeśli nie? Jeśli mój stan już nigdy się nie poprawi?

Ryan pochylił się i odgarnął mi włosy z twarzy.

– Trzymaj się – powiedział cicho, patrząc mi uważnie w oczy. – Po prostu się trzymaj. Ty się staraj dla mnie, ja dla ciebie, a oboje będziemy się starać dla nich. – Przez chwilę czułam wspólnotę naszych dusz, po czym mój mąż się odsunął. – Dobra, dzieciaki – rzekł – idziemy.

Raźnym krokiem wyszli z boksu i znowu zostałam sama. Nie widziałam zegara, ale wyliczyłam, że do następnego obrócenia mam dwie godziny i czterdzieści jeden minut.

## 17.17

Wpadam prędko do domu, pragnąc jak najszybciej zapomnieć o katastrofalnej wyprawie po zakupy. Jeffrey jest w domu, a moje serce podskakuje z radości na jego widok. Pomimo jego ustawicznej kapryśności kocham go tak czule, że aż boli.

– Przepraszam – mówię.

– Za co?

– Nie skurczyłeś mi ubrań.

Patrzy na mnie z przestraszeniem.

– Zawsze byłeś taka obłąkana?

Prostuję się, i już mam się poczuć urażona, gdy nagle dzwoni mój telefon. To Zoe. Waham się przez chwilę – naprawdę nie mam na to siły – ale może ona dzwoni, by odwołać spotkanie Klubu Czytelniczego Zgorzkniałych Kobiet, które ma się odbyć dzisiaj. Jest też moją najlepszą przyjaciółką, więc oczywiście odbieram.

– Tak?

– Nie uwierzysz, co ta cholera zrobiła tym razem!

Nie muszę pytać, co za cholera – to jej były mąż, Brendan.

– Miał odebrać swoje córki o piątej i nie ma po nim śladu, i wiesz co, tak, oczywiście! Która jest teraz? Piąta dwadzieścia! Jedną rzecz to mnie traktować jak gówno, ale robić to własnym dzieciom i... o, jest, fiut jeden. Jezu, szkoda, że nie widzisz, co on ma na sobie! Cytrynowe obcisłe spodnie! Jemu się chyba zdaje, że ma siedemnaście lat! Posłuchaj, przyjdź wcześniej. Przyjdź nawet teraz. Ja już zaczęłam wino.

Nagle się rozłącza, a ja się czuję nękana, przestraszona.

– Może powinnaś sobie poszukać nowej przyjaciółki – słyszę głos Jeffreya.

Przez chwilę całkowicie się z nim zgadzam, ale zaraz biorę się w garść.

– Nie złość się – mówię. – To moja najlepsza przyjaciółka od szóstego roku życia.

Zoe i ja chodziłyśmy razem do szkoły. Jako nastolatki zamieniałyśmy się chłopakami – Ryan na przykład, zanim zaczął chodzić ze mną, był jej chłopakiem – a gdy dorosłyśmy i wyszłyśmy za mąż, nasi mężowie bardzo się ze sobą zaprzyjaźnili. Urodziłyśmy dzieci niemal równocześnie i często razem jeździliśmy na wakacje. Zoe i ja będziemy się przyjaźnić po grób.

Choćby nie wiadomo jak trudne mi się to wydawało w tej chwili.

To wszystko wina Brendana, myślę ponuro. Stanowili z Zoe szczęśliwe małżeństwo aż do chwili, gdy trzy lata temu on wszystko zniszczył, uprawiając seks z dziewczyną z pracy. Skutki były potworne. Zoe powiedziała, że jeśli on obieca, że nigdy się już z tą dziewczyną nie zobaczy, przyjmie go z powrotem, ale Brendan ku powszechnej zgrozie oświadczył, że jeden pies, on i tak nie chce wracać.

Sądziłyśmy, że to będzie koniec Zoe, że się załamie, straci pewność siebie, zostanie z niej pusta skorupa dawnej promiennej dziewczyny. Myliliśmy się jednak. Zdrada Brendana spowodowała przeobrażenie. Bynajmniej nie pozytywne.

Wicie, jak to jest, gdy jakieś zupełnie zwyczajne kobiety ni z tego, ni z owego biorą się za kulturystykę? Wszystkie inne kobiety opieprzają się z jaskraworóżowymi kilogramowymi hantlami, ale ta jedna zaczyna robić sobie koktajle proteinowe i ucieka peletonowi. Potem zaczyna łykać sterydy, startuje w zawodach i opala się na ciemny mahoń. Jej ciało całkowicie się zmienia – cycki przeobrażają się w orzeszki, a ramiona nabierają wielkich rozmiarów i oplatają się żyłami. Codziennie chodzi na siłownię, stęka i dźwiga, poświęca życie i duszę tej nowej wersji siebie.

No to właśnie Zoe coś takiego ze sobą robiła. Przeciosała i przemodelowała siebie w kogoś niemal nierozpoznawalnego. A kiedyś była urocza, taka zabawna...

– No i? – pyta Jeffrey tonem niemal kpiącym. – Idziesz dzisiaj na spotkanie Klubu Czytelniczego Zgorzkniałych Kobiet?

Zagryzam wargę, zagryzam, zagryzam i zagryzam, gdy mój umysł usiłuje podążać rozmaitymi ścieżkami, ale przy wszystkich stwierdza, że są niedostępne, po czym ruszam na syna z nagłą furją:

– Kto urządza klub czytelniczy w sobotni wieczór?! – Kluby czytelnicze spotykają się w tygodniu, żeby człowiek miał wymówkę do wypicia butelki wina we wtorek!

– Pierwsza zasada Klubu Czytelniczego Zgorzkniałych Kobiet: Nikt nie mówi o Klubie Czytelniczym Zgorzkniałych Kobiet – ciągnie Jeffrey.

Myli się. Pierwsza zasada Klubu Czytelniczego Zgorzkniałych Kobiet brzmi tak: Wszyscy piją czerwone wino i piją je tak długo, aż ich zęby i zmarszczki na wargach robią się czarne.

– Zasada numer dwa – kontynuuje Jeffrey. – Wszyscy mężczyźni to gnoje.

To się zgadza.

– Zasada numer trzy: Wszyscy mężczyźni to gnoje.

To też się zgadza.

- Właśnie... ach! Jak ci się podobała książka?
- Mamo... - wierci się z zakłopotaniem.
- Nie czytałeś jej! - oskarżam. - O nic cię nie proszę! Raz tylko poprosiłam, żebyś przeczytał tę cholerną książkę i...
- Mamo, to ty należysz do klubu książki, nie ja. Ty powinnaś się cieszyć książkami...
- Jak można się cieszyć książkami wybranymi przez Klub Czytelniczy Zgorzkniałych Kobiet?
- Może więc powinnaś z niego wystąpić.

Będę musiała się dzisiaj nawalić. Mocno nawalić. Nie jestem jakimś straszonym pijakiem, ale na trzeźwo nie mam szans tego przejść. To oznacza, że prowadzenie samochodu odpada. Lecz komunikacja miejska również - od rozstania Zoe mieszka bardzo, bardzo daleko, na przedmieściu, gdzie pojawienie się autobusu powoduje taką samą konsternację, co zaćmienie słońca w średniowieczu. (Kiedy była mężatką, zamieszkiwała w tętniącym życiem centrum Ferrytown, przywiązana do jego wielu udogodnień, a jej obecne wygnanie na najdalsze krańce zachodniego Dublina to jeszcze jedna kropla w morzu jej goryczy).

- Kolacja z kumpelami? - pyta taksówkarz.

- Klub czytelniczy.

- W sobotę?!

- Tak, wiem.

- Ale spożyjecie parę flaszek?

Zerkam na swoją butelkę czerwonego wina.

- Tak.

- A jaka książka?

- *Zaproszona*. Francuska. Napisała ją Simone de Beauvoir. Przeczytałam ją tylko na szybko, ale jest bardzo smutna.

Autobiograficzna. Simone de Beauvoir i Jean-Paul Sartre to byli prawdziwi ludzie, pisarze.

- Wiem, kim byli. - W głosie taksówkarza słyszę złość. - To egzystencjaliści.

- Żyli w otwartym związku.

- Niecnoty - cmoka językiem. - Tacy właśnie są Francuzi.

- A z tą drugą dziewczyną... - Jak wyrazić *ménage à trois* delikatnie? - Oni się z nią związali. A ona rozbiła ich związek.

- I tak to się właśnie kończy. Dlatego lepiej przestrzegać reguł. Gdzie my jedziemy, na miłość boską?

- Niech pan skręci w następną w lewo. I potem w prawo. I druga w lewo. - Jesteśmy na ogromnym osiedlu szablonowych domów. - Do końca i w lewo, ostro w prawo, tak, i prosto. Druga w lewo, i znowu w lewo. Prawo. Lewo. Prosto. Prosto, tak, świetnie.

- Moja nawigacja nie ogarnia.

- W lewo. W lewo na końcu. Jeszcze raz w prawo... i już.

Gdy płacę za kurs, taksówkarz patrzy z niepokojem.

- Chyba w życiu nie trafię z powrotem.

Nagle dopada mnie przerażenie, że utknęłam w więzieniu przedmieścia. Czuję się, jakbym patrzyła na to miejsce z coraz większego oddalenia - najpierw widzę czubek swojej głowy, a potem nagle odjeżdżam, daleko, daleko, poza płataninę uliczek, grube wstęgi szos, kłębówisko Dublina, wybrzeże Irlandii, kontynent europejski, aż w kosmos. Jestem małańka, przyparta do muru i przestraszona, i pod wpływem impulsu mówię:

- Proszę po mnie przyjechać za półtorej godziny.

- Nie może pani wyjść po półtorej godziny. - Patrzy osłupiały. - Niech się pani zachowuje przyzwoicie. Dwie godziny i kwadrans.

Waham się.

- Trzeba mieć kulturę.

- No dobra. Dwie godziny i kwadrans. Może będę pijana. - Mam poczucie, że powinnam to dodać. - Nie będę się awanturować, ale mogę dużo płakać. Proszę się ze mnie nie nabijać.

- A dlaczego miałbym się nabijać? Ja taki nie jestem. Powiem pani, że w swoim środowisku cieszę się dobrą opinią. Mam reputację, i to zasłużoną, człowieka uprzejmego. Zwierzęta się do mnie garną i ... O, proszę spojrzeć, przyjaciółka na panią czeka.

Zoe ma otwarte drzwi i po czerni jej zębów i rozczochraniu włosów widzę, że jest już narąbana.

- Witam! - wrzeszczy. - Witam w Klubie Czytelniczym Zgorzkniałych Kobiet!

Pędzę do niej.

- Spójrz no na niego. Zastrany łajdak - mówi, patrząc na mojego taksówkarza. - Pożera mnie wzrokiem. Widziałaś?

A ma obrączkę. Plugawy pies.

- Jestem pierwsza? - Wchodzę do salonu.

- Jesteś jedyna!

- Słucham?

- Tak! Banda suk! Wszystkie odwołały. Deirdre ma randkę. Z jakimś, kurna, mężczyzną! Tak! I rezygnuje ze spotkania z nami, tak po prostu. - Próbowała strzelić palcami, ale na próżno. - Co za pizda!

– A Elsa? Gdzie ona jest? Masz kieliszek? – Moje wino ma nakrętkę, chwalić Boga. Muszę się napić, i to szybko. Żałuję, że nie zaczęłam w taksówce.

– Mamusia Elsy spadła z drabiny i złamała sobie obojczyk, więc Elsa jest... – Zoe przerywa i kolejne słowa wypowiada ze zjadliwym szyderstwem – na pogotowiu.

– Boże, to straszne – Nalewam już wina. Nalewam, wypijam, i się cieszę.

– Tak. Bardzo, kurwa, wygodne. Że jej mamusia łamie sobie obojczyk w wieczór spotkania Klubu Czytelniczego Zgorzkniałych Kobiet.

– Nie sądzę, żeby jej mama złamała sobie obojczyk celowo. A gdzie Belen?

– Nie wypowiadaj jej imienia pod moim dachem. Ta suka dla mnie nie żyje.

– Dlaczego?

Przykłada palec do ust.

– Cóż. Tajemnica. Innym razem. Co nowego?

Dużo mogłabym jej opowiedzieć – że gospodarka Irlandii wykazuje oznaki skromnego wzrostu, że naukowcom udało się wyleczyć raka kości u myszy. Mogłabym jej nawet opowiedzieć o szalonym projekcie artystycznym Ryana. Ale jedyne informacje, którymi Zoe jest zainteresowana, to doniesienia o zerwaniach – tym się żywi. Woli mieć do czynienia z prawdziwymi, ale zadowala się ploteczkami z życia gwiazd.

– Nie za bardzo.

– Ryan ciągle jest sam?

– Tak.

– Ale pewnie już niedługo, co? Jeszcze chwila i jakaś dziewiętnastoletnia laleczka o umyśle Barbie narwie się na jego gównu udręczonego artysty. Mów dalej. Jak ci się podobała książka?

– Cóż... – Biorę głęboki oddech i próbuję opanować dygot serca. Przyszłam tu. To mój klub czytelniczy. Zadałam sobie trochę trudu z przeczytaniem tej książki, więc mogę i teraz się postarać. – Wiem, że to Francuzi, a Francuzi są inni niż my, nie przejmują się niewiernością i tak dalej, ale książka była za smutna.

– Ta Xavière to była niezła pi...

Chciałabym się zgodzić, ale w klubie czytelniczym tak się nie robi – trzeba dyskutować o książce. Więc trochę ze znużeniem mówię:

– Myślisz, że to takie proste?

– No sama powiedz! Byli szczęśliwi, Françoise i Pierre. I wpuścili Xavière!

Trochę zaskoczona wybuchem Zoe pytam:

– Więc to była ich wina?

– Nie ich, tylko jej. Françoise.

Z trudem przełykam ślinę.

– Nie wiem, czy to w porządku winić Françoise za to, że Pierre zakochał się w Xavière.

Zoe patrzy na mnie twardym wzrokiem.

– Wiesz, że to powieść autobiograficzna. To wszystko wydarzyło się naprawdę.

Zbija mnie z tropu wściekłość obecna w jej głosie, ale z drugiej strony – z Zoe zawsze tak jest, tylko robi się gorzej, kiedy ona jest pijana.

– No wiem, a...

– Stella. Stella. – Mocnym chwytem łapie mnie za ramię. Można by odnieść wrażenie, że ma coś strasznie ważnego do powiedzenia. – Stella.

– Tak? – piskam.

– Wiesz, co chcę ci powiedzieć. – Nie odrywa ode mnie płomiennego wzroku.

– Ach...

Nagle dopada ją nieoczekiwana fala jakichś nowych emocji.

– Kurwa – mówi. – Muszę iść do łóżka.

– Co takiego? Już teraz?

– Tak. – Chybotliwym krokiem opuszcza pokój i kieruje się na schody. – Jestem bardzo pijana. Tak się zdarza. Jak człowiek dużo wypije. – Wspina się po stopniach i ładuje do swojego pokoju. – Nie będę rzygać. Nie udławię się. Nic mi nie jest. – Ściąga sukienkę i wchodzi pod kołdrę. – Chcę tylko pospać. I wolałabym się nigdy nie obudzić. Ale się obudzę. Idź do domu, Stello.

Układam ją tak, by leżała na boku, a ona bełkocze:

– Możesz przestać? Nie będę rzygać. Ani się nie udławię. Już mówiłam. – Dziwnie się jej połączyło, jest jednocześnie potwornie pijana i całkowicie jasno rozumuje.

Zaczyna cicho pochrapywać, a ja kładę się koło niej i myślę, jakie to smutne. Zoe to jedna z najlepszych osób, jakie znam, o łagodnym sercu, beztroska dusza, która w każdym dopatruje się dobra. No, kiedyś taka była. Ale zdrada Brendana uderzyła w każdy aspekt jej życia – jego odejście nie tylko upokorzyło ją publicznie. Załamało ją. Ona go naprawdę kochała.

A co gorsza, Brendan potajemnie ogołocił firmę sprząającą, którą prowadził z Zoe, wycinając dla siebie duże, zyskowe firmy, a jej zostawiając użeranie się z niewielkimi, niesolidnymi pracami krótkoterminowymi. Flaki sobie

wypruwała, żeby to wszystko utrzymać w kupie.

Dwie córki Zoe, dziewiętnastoletnia Sharrie i osiemnastoletnia Moya, pogardzały nią. To one wymyśliły nazwę Klub Czytelniczy Zgorzkniałych Kobiet, a Zoe ją zaakceptowała w myśl zasady: Jeśli nie możesz z kimś wygrać, dołącz do niego.

Patrząc na moją śpiącą przyjaciółkę. Nawet we śnie widać, że jest wściekła i rozczarowana. Czy ze mną też tak będzie? Nawet jeśli moje życie potoczy się nie po mojej myśli, nie chcę być zgorzkniała. Ale może w takich sprawach człowiek nie ma nic do powiedzenia?

Na dźwięk dzwonka przy drzwiach wejściowych obie podskakujemy.

– Kto to? – bełkocze Zoe.

– Mój taksówkarz. Zapomniałam, że ma wrócić. Powiem mu tylko, żeby sobie pojechał.

– Nie zostawaj, Stello. – Zoe siada.

– Oczywiście, że zostanę.

– Nie. Naprawdę. Mnie nic nie jest. Dzisiejszy wieczór spiszemy po prostu na straty i jutro zaczniemy od nowa. Dobra?

Waham się.

– Jesteś pewna?

– Słowo honoru.

Idę na dół i wychodzę na zimną noc. Taksówkarz z troską zerka na mnie w lusterku wstecznym.

– Miły wieczór?

– Świetny.

– No to super. Do domu?

– Tak. Do domu.

Ludzki dotyk jest równie ważny jak woda,  
jedzenie, powietrze, śmiech i nowe buty.

*Fragment Mozolnych mrugnięć powieką*

Dwudziestego czwartego dnia mojego pobytu w szpitalu do boks, w którym leżałam, wszedł mężczyzna. Niósł teczkę. Rozpoznałam go i wpadłam w panikę – nie należał do personelu szpitala, pamiętałam go z dawnego życia. Był to wkurzony facet, w którego range rovera wjechałam, a potem oskarżyłam go, że mnie podrywa. Co on robił przy moim szpitalnym łóżku? Czy chodziło o odszkodowanie?

Ale ja zrobiłam wszystko jak należy – posłusznie wypełniłam długie formularze, a potem wypełniłam następne formularze i dzwoniłam co miesiąc tylko po to, by się dowiedzieć, że „czekają na wyjaśnienia” drugiej firmy ubezpieczeniowej; zasadniczo poddałam się pogmatwanemu procesowi, tak jak poddałaby się każda wrażliwa osoba.

Przecież nie przyszedł tu nalegać na pośpiech? Nawet gdybym mogła mówić, nic nie byłam w stanie zrobić. Zdezorientowana i pełna obaw, nagle poczułam to samo palące upokorzenie, co w chwili gdy powiedział, dlaczego chce mój numer telefonu.

– Stella? – Spod fartucha lekarskiego wylaniał się ciemny garnitur. Włosy miał krótko przystrzyżone, oczy srebrzystoszare i zmęczone, tak jak zapamiętałam. – Nazywam się Mannix Taylor. Jestem neurologiem.

Nawet nie wiedziałam, co to dokładnie za specjalizacja.

– Będę pracował nad twoją rehabilitacją fizyczną.

To było coś nowego. Sądziłam, że moim lekarzem prowadzącym jest doktor Montgomery. Co prawda jako pacjent stabilny miałam niewiele ciekawego do zaproponowania i ostatnio widziałam go tylko raz, gdy podążał do jednego z fascynujących pacjentów w stanie krytycznym gdzieś niedaleko. Któregoś dnia powiedział, przepływając obok ze swoim orszakiem: „Ach, pani ciągle tutaj! Trzymaj się, Patsy!”.

Ale może właśnie doktor Montgomery przysłał tego wkurzonego neurologa.

Chociaż byłam sparaliżowana, a zatem absolutnie nieruchoma, powiedziałam sobie, że muszę leżeć jeszcze bardziej nieruchomo. Może jeśli stanę się zupełnie niewidzialna, Wkurzony Facet odejdzie, popatrzy zakłopotany i powie pielęgniarce, że w łóżku numer siedem nie ma żadnego pacjenta. Istniało duże prawdopodobieństwo, że mnie nie rozpozna – minęło prawie pół roku, odkąd wjechałam w jego samochód, i teraz pewnie wyglądałam zupełnie inaczej – nie widziałam lusterka, odkąd trafiłam do szpitala, ale włosy miałam w katastrofalnym stanie, zero makijażu i dużo straciłam na wadze.

– Dzisiaj popracujemy odrobinę nad pani krążeniem – powiedział. – W porządku?

Nie, ani trochę.

Mój posępny nastrój musiał jakoś do niego dotrzeć, bo spojrzał trochę zaskoczony, trochę uważniej. Nagle twarz mu się zmieniła.

– Czy my się znamy?

Zamrugałam kilka razy lewą powieką, usiłując przekazać: „Odejdź, odejdź, i nigdy nie wracaj”.

– Tak? Nie? – Ściągnął brwi. – Co chcesz mi powiedzieć? – Przypominało to odcinek serialu o kangurze Skippym.

„Odejdź. Odejdź i nigdy nie wracaj”.

– Stłuczka! – Jego twarz się rozpogodziła na to wspomnienie. – Wypadek.

„Odejdź. Odejdź i nigdy nie wracaj”.

Przyglądał mi się uważnie, aż wreszcie się roześmiał.

– Chcesz, żebym sobie poszedł.

Tak. Chcę, byś sobie poszedł i nigdy nie wracał.

Wkurzony – jak to on się przedstawił? – Mannix wzruszył ramionami.

– Mam tu robotę.

„Odejdź. I nigdy nie wracaj”.

Zaśmiał się krótko.

– Jezu! Jak ty kogoś nie lubisz, to nie ma żartów. No dobra! – Zdjął moją kartę z łóżka i przysunął do mnie krzesło. – Jak się dzisiaj czujesz? Wiem, że nie możesz odpowiedzieć. Pielęgniarki napisały, że miałaś dobrą noc. To prawda?

Przyglądał mi się uważnie. Mrugnęłam lewym okiem. Niech sobie zgaduje, co to znaczy.

– Nie? Mruganie lewym okiem oznacza „nie”. Więc nie spałaś w nocy dobrze? – Westchnął. – Mówią, że każdy dobrze śpi w nocy. Inaczej mówią tylko wtedy, gdy pacjent biega po oddziale i wrzeszczy, że CIA go śledzi. Wtedy piszą „noc bezsenna”.

Podniósł brew, czekając na moją reakcję.

– Nawet się nie uśmiechniesz? – spytał złośliwie.

Nie mogę się uśmiechać, a gdybym nawet mogła, nie uśmiechnęłabym się. Do ciebie nigdy.

– Wiem, że nie możesz się uśmiechać – podjął. – To była moja, rzeczywiście prostacka, próba dowcipu. Dobra. Dziesięć minut i znikam. Dzisiaj wymasuję ci palce.

Ujął moją dłoń. Od trzech tygodni nikt mnie w zasadzie nie dotykał, więc doznałam teraz szoku. Zaczął mi masować opuszką kciuka skórę wokół paznokci, drobnymi ruchami, które uruchomiły w moim mózgu rozkoszne przemiany chemiczne. Nagle zakręciło mi się w głowie, prawie jakbym była w euforii. Chwytał moje palce i wykonywał nimi okrężne ruchy, potem delikatnie pociągał za nie po kolei, co wywoływało kaskadę rozkoszy, a ona z kolei wyzwalała dreszcz rozbiegający się po całym moim ciele. Ryan i dzieci trzymali się z daleka, z lęku, że mnie uszkodzą, ale najwyraźniej ten brak kontaktu fizycznego nie był dobry, skoro ktoś masujący mi ręce wprowadził mnie w euforię.

– I jak? – spytał Mannix Taylor.

To doznanie było tak intymne, że musiałam zamknąć oczy.

– Tak dobrze?

Otworzyłam oczy, a prawym mrugnęłam.

– To było „tak”? Mruganie prawym okiem oznacza „tak”? Jeszcze nigdy nie pracowałem z pacjentem, który nie może mówić. Jakim cudem nie wariujesz?

„Bardzo się staram. Codziennie bardzo się staram nie zwariować”.

– Dobrze, a teraz druga ręka.

Zamknęłam oczy, poddałam się wrażeniom i wpadłam w jakiś ekstatyczny trans. Myślałam o malutkich dzieciach w sierocińcach, których nikt nigdy nie przytula, i jak to utrudnia ich rozwój. Teraz już rozumiałam, jak to się dzieje. Absolutnie. Ludzki dotyk był ważny, bardzo ważny, równie ważny jak woda, jedzenie, powietrze, śmiech i nowe buty, i...

...Co się dzieje? Dlaczego przestał? Otworzyłam oczy. Odsuwał właśnie krzesło i wstawał.

– Skończyłem. – Zaśmiał się tym swoim złośliwym śmiechem. – No co, nie było tak źle, prawda?

Spieprzaj.



# Niedziela, 1 czerwca

## 5.15 rano!

Niedziela. Dzień odpoczynku. Ale nie dla ofiary losu, która właśnie próbuje odbudować swoje życie. Budzik mam nastawiony na szóstą. Tyle że o szóstej już nie śpię.

Bezsensowność to wróg, który atakuje pod różnymi postaciami. Czasami pojawia się w chwili, gdy wchodzę do łóżka, i zostaje ze mną wiele godzin. Innym razem trzyma się z daleka aż do piątej mniej więcej, a potem atakuje i nie odpuszcza, aż do dzwonka budzika zostaje jakieś dwadzieścia minut. Walka z tą cholera to nieustanna ciężka praca.

Dzisiaj budzę się o piątej piętnaście, zamartwiając się wieloma rzeczami. Skupiam się na Zoe i piszę do niej esemesa.

Jak się czujesz?

Odpowiada natychmiast:

Przepraszam za wczoraj. Niedługo rozprawię się z tym piciem.

Nie wiem, co odpowiedzieć. Rzeczywiście Zoe pije za dużo, ale musi radzić sobie z tyloma problemami... I w którym momencie przestajesz kogoś żałować, a zaczynasz go pouczać?

Martwię się tym jakiś kwadrans, a potem sprawdzam, co z projektem Ryana, ale szczęśliwie od ostatniego razu nic się nie zdarzyło. Z łżejszym już sercem oglądam filmiki ze śpiewającymi kozami i marnuję czas, jak umiem, aż nagle dopada mnie chęćka, podobnie jak dziewięćdziesiąt razy w ciągu dnia, żeby wygooglować Gildę. Ale nie powinnam, więc tylko powtarzam sobie mantrę: Bądź zdrowa, bądź szczęśliwa, nie zaznaj cierpienia.

Mimowolnie jednak wspominam ten fatalny poranek niemal dwa lata temu, gdy wpadłam na nią w sklepie Dean & DeLuca w Nowym Jorku. Byłam w dziale czekoladek, szukałam prezentów dla mamy i Karen i sięgnęłam po pudełko w tym samym momencie, co ktoś obok.

- Przepraszam - cofnęłam rękę.

- Nie, proszę bardzo - powiedziała kobieta.

Ku swemu zdziwieniu uznałam, że znam ten głos - należał do pięknej kobiety, Gildy, którą poznałam poprzedniego wieczoru na przyjęciu. Zerkam - to ona! Farbowane na złocisty blond włosy ma upięte wysoko w lekkim nieładzie i ma na sobie jakieś niechlujne ciuchy treningowe zamiast szykownej sukni, w której ją widziałam poprzedniego dnia, ale to na pewno ona.

Ona też mnie rozpoznaje.

- Cześć! - Patrzy na mnie, ciesząc się jak dziecko, i wykonuje ruch, jakby chciała mnie uściskać, ale nagle się odsuwa, jakby się bała, że uznam jej zachowanie za niewłaściwe. (Z tego, co rozumiałam, nowojorczyki tego właśnie boją się najbardziej. Bardziej niż potworów, załamania kariery czy otyłości).

- Co za zbieg okoliczności! - Zrobiło mi się ciepło na sercu. - Mieszkasz gdzieś tutaj?

- Trenowałam z klientem, który mieszka tu niedaleko. Biegaliśmy po parku.

Uśmiechamy się do siebie i ona nieco nieśmiało pyta:

- Masz z dziesięć minut? Mogłybyśmy wypić jakąś herbatę?

Było mi autentycznie żal.

- Muszę już iść. Po południu lecę do Dublina.

- A może za kilka tygodni, kiedy się już całkiem tu przeniesiesz? - Rumieni się. - Chciałabym ci podziękować za tę książkę, którą napisałaś. - Jej rumieniec ciemnieje, a wygląda przy tym pięknie jak róża. - Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko, Bryce dał mi wydruk. Nie chcę cię wprawiać w zakłopotanie, ale bardzo mnie zainspirowała. Wiem, że będę ją czytać nieraz.

- Dzięki - mówię zawstydzona. - Ale to, wiesz, to tylko drobiazg...

- Nie! Nie umniejszaj sobie. Mnóstwo ludzi cię w tym wyręcza.

Pomyślałam o strasznym facecie, który był na wczorajszym przyjęciu, i ze spojrzenia jej oczu pojęłam, że ona też go wspomniała.

- Ej - zachichotała. - Jak ci się podobało wczorajsze przyjęcie?

- Jezu! - schowałam twarz w dłonie i jęknęłam. - Okropne.

- Ten Arnold ze swoimi tekstami i nabuzowaną żoną.

- Powiedziała, że tutaj, do Dean & DeLuca, przychodzą tylko turyści.

- Ja nie jestem turystką, a uwielbiam ten sklep. Te czekolady to najlepsze prezenty. Ona jest po prostu niegrzeczna.

Ale cudowna była ta Gilda!

- Po moim powrocie koniecznie umówimy się na kawę. - Nagle coś przyszło mi do głowy. Ona była trenerem

osobistym i dietetyczką. – A ty pijesz kawę?

– Czasami. Głównie herbatę malinową.

– Jesteś bardzo... bardzo dbasz o zdrowie?

– Staram się, ale to ciężka walka.

To była muzyka dla moich uszu.

– W niektóre dni – powiedziała – sytuacja mnie przerasta i się poddaję, a wtedy piję kofeinę i jem czekoladę.

W mojej głowie zaczęły się obracać trybiki. Podobno powinnam zrzucić z pięć kilogramów.

– Ja chyba potrzebuję trenera osobistego. Myślisz, że ty... przepraszam, przepraszam – wycofałam się. – Pewnie jesteś zarobiona po uszy.

– W tej chwili jestem rzeczywiście zajęta, i to super.

– Oczywiście...

Patrzyła na mnie w zamyśleniu.

– A czym jesteś zainteresowana? Cardio? Siłownia? Zmiana diety?

– Jezu, nie mam pojęcia! Chcę być szczupła. To wszystko.

– Pewnie mogłabym ci pomóc. Mogłabym się przyjrzeć twojej diecie, no i możemy razem pobiegać.

– Tylko że ja nie jestem za bardzo wysportowana. Ani trochę. – Teraz już się boję. Jakim cudem się w to wpakowałam?

– Możemy spróbować powiedzmy... przez tydzień? Przekonamy się, czy pasujemy do siebie.

– Tydzień? – Boże, tutaj nie marnują czasu.

Gilda się uśmiecha.

– To moja wizytówka. Nie patrz takim przerażonym wzrokiem. Wszystko będzie dobrze.

– Tak?

– Tak. Wręcz cudownie.

## 9.48

Dzwoni Karen.

– Co robisz?

– Pracuję. – Wzdycham. – Słuchaj, potrzebuję nowych ciuchów. W nic się nie mieszczę. Przytyłam.

– No trudno, żebyś nie przytyła, jak jesz tyle babeczek.

– Ale... ale... – jąkam się. – One były obrzydliwe. – Uświadamiam sobie, że zawsze sądziłam, że jeśli jedzenie nie sprawia mi frajdy, to nie ma kalorii.

– Powiedz to babeczkom. I wszystkim innym węglowodanom, które zeżarłaś w ciągu ostatnich paru miesięcy.

– Dobra. – Naprawdę się czuję żałośnie. – Więc w czym mam chodzić? – Karen jest o dwa lata młodsza ode mnie, ale zawsze szukam u niej porady.

– Później mogę cię zabrać na zakupy.

– Ale w żadne drogie miejsce.

Bardzo śmieszne. Karen Mulreid jest królową okazji. W każdej chwili umie powiedzieć, ile dokładnie gotówki ma w portfelu. Co do grosza. Czasami się bawimy w tę grę. Jest jak Derren Brown.

– A skoro mówimy o pieniądzach – słyszę – jak ci idzie pisanie?

– Powoli. Powoli... i wcale. – W przypływie strachu pytam: – Karen, a jeśli ja już nie napiszę żadnej książki?

– Oczywiście, że napiszesz kolejną książkę! Jesteś pisarką!

Nie jestem. Jestem prostą kosmetyczką, która zachorowała na rzadką chorobę, a potem wyzdrowiała.

– Chinosy? – pytam zaniepokojona podniesionym głosem. – No nie wiem.

– Ale ja wiem. – Karen prowadzi mnie do przebieralni.

Chinosy są dla mężczyzn, dla tych straszliwych czterdziestoparoletnich fanów rugby o dudniących głosach i zupełnie bez stylu. Nie mogę chodzić w chinosach!

– Chinosy są teraz inne. – Karen jest nieustępliwa. – To są damskie chinosy. A ty nie masz wyboru. Tylko one wchodzi w grę, dopóki nie zgubisz brzucha.

– Proszę, Karen. – Chwytam ją za ramię i patrzę jej błagalnie w oczy. – Nie wypowiadaj tego słowa. Obiecuję, że się go pozbędę, ale nie mów tego słowa.

Po wielokrotnych przymiarkach zmusza mnie do kupienia dwóch par granatowych spodni, jakichś bluzek i długiego powiewnego szala.

– Wyglądam okropnie – mówię.

– W tej chwili na nic innego nie masz szans. Zawsze noś szal. Zastłoni... twoją wypukłość.

Przy kasie targuje dla mnie obniżkę z powodu jakiejś niewidzialnej plamy.

– Pamiętaj – ostrzega – to tymczasowy środek zaradczy. To nie jest rozwiązanie stałe. Zabiorę cię do domu. Ale najpierw zajrzysz do salonu.

Pomimo dwójki dzieci ukochanym dzieckiem mojej siostry jest jej zakład i nie ma mowy, by nie zajrzała do niego codziennie.

– Po co? – pytam.

– Chcę trzymać Mellę w karbach.

Mella to kierowniczką w salonie.

– Myślałam, że jej ufasz.

– Nikomu nie wolno ufać. Jak zresztą dobrze wiesz.

Gdy przeciskamy się przez tłum niedzielnych klientów centrum handlowego, zdążając na parking, dostrzegam jakąś znajomą twarz. Tata z dawnej szkoły Jeffreya. Tylko nie to. Nie mogę sobie urządzić pogaduszek, teraz jak mam ten brzuch. Spuszczam głowę, by minąć go pospiesznie, i gdy już myślę, że mi się udało, słyszę jego głos:

– Stella?

– Tak? – Obracam się z wielkim sztucznym zaskoczeniem na twarzy. – Roddy! Roddy...! – Nie pamiętam jego nazwiska.

– Ha, ha, ha! No witaj!

– Cieszę się, że cię widzę, Stello.

– Nawzajem.

Przedstawiam Karen.

– Syn Roddy'ego chodził z Jeffreyem do jednej klasy.

– A co u Jeffreya? – pyta Roddy.

– Świetnie. Naprawdę. Koszmar. A u...? – Jak miał na imię jego syn, u diaska?

– Brian. Właśnie zdał egzaminy. W ogóle się do nich nie przyłożył. A teraz z kumplami skolonizowali salon. Wielkie pacany.

– Zupełnie jakbym widziała Jeffreya – mówię słabym głosem. Oprócz tych kumpli.

– Pół nocy grają w gry wideo, a potem śpią cały dzień.

Ośmielona przypuszczeniem, że oto spotkałam pokrewną duszę, pytam:

– Czy Brian... czasami gotuje?

– Gotuje? W sensie jedzenia? – Roddy wybuchł wielkim śmiechem. – Żartujesz sobie? Oni jedzą same śmieci. Schodzę rano na dół i widzę podłogę zasłaną kartonami po pizzy. Całe lasy wycięto, żeby wyprodukować te pudła.

Z trudem przełykam ślinę. Jeffrey nie zamawia pizzy. Gdzie popełniam błąd?

– I nigdy nie zwraca się do mnie normalnym słowem.

Och, co za ulga. Do mnie też syn się nie zwraca normalnym słowem. Czyli popełniłam nie tylko błędy.

– A ty na zakupach? – pyta Roddy, zupełnie zbytecznie.

– Tak. – I dodaję na próbę: – Kupiłam chinosy. Damskie.

– Damskie chinosy? – Słyszę w jego głosie zdumienie. – To dla mnie nowość. No to ekhm... miłego noszenia. I zdrowia.

– On w życiu nie słyszał o damskich chinosach – burczę do Karen, gdy odchodzimy.

– Oczywiście, że nie słyszał. To typowy tatuś z przedmieścia. Ale męczyzna wyrafinowany, z wyrobionym smakiem wiedziałby, co to takiego. Założę się...

– Nie! Nie waż się! Żebyś się nie ważyła wypowiedzieć jego imienia!

## 17.31

Karen zajeżdża pod Honey Day Spa, parkuje na chodniku, przy żółtej linii.

– Wchodzisz?

Czuję się trochę dziwnie, wracając do zakładu, który kiedyś należał też do mnie. Przepracowałam w nim wiele lat.

– Nie boisz się straży miejskiej? – pytam.

– Znają mnie, znaję samochód. Zresztą zaraz wracam. Chodź.

Razem się uczyłyśmy na kosmetyczki – ja zostałam w szkole do osiemnastego roku życia, a Karen zakończyła edukację w wieku lat szesnastu. Pochodząc z takiego, a nie innego środowiska, nie sądziłyśmy, że mamy jakiś wybór w kwestii kariery: mogłyśmy być fryzjerkami, kosmetyczkami albo sklepowymi. Cały świat napominał nas, byśmy nie mierzyły za wysoko.

Gwoli sprawiedliwości, dla mnie tata chciał czegoś więcej. „Jesteś bystra, Stello. Zdobądź wykształcenie. Gdybym ja miał znowu...”

Ale ani on, ani ja nie mieliśmy tyle wiary w siebie, by postawić na moją edukację. Więc rodzice wzięły pożyczkę, by wysłać obie córki do szkoły kosmetycznej. Już po paru tygodniach Karen zarabiała, woskując nogi w swoim pokoju, a gdy uzyskałyśmy papiery, obie dostałyśmy pracę w spa w Sandyford.

Karen często powtarzała: „To nie jest rozwiązanie na zawsze. Nie będę całe życie pracować dla innych ludzi, jak mama i tata. Będziemy miały własny biznes”.

Ale ja nawykłam do biedy.

A gdy moim chłopakiem, a potem mężem został Ryan Sweeney, nawykłam do niej na długi czas.

Karen próbowała mnie zarazić swoimi ambicjami. Zarejestrowała nas jako spółkę i powiedziała: „Oszczędzaj, Stello, oszczędzaj. Każdy grosz nam się przyda, jak się trafi odpowiedni lokal”.

Tylko że ja nie miałam na czym oszczędzać. Miałam na utrzymaniu Ryana, a potem Betsy i nigdy nie traktowałam zapowiedzi Karen poważnie. Aż któregoś dnia zadzwoniła z wiadomością: „Znalazłam idealny lokal! Na głównej ulicy Ferrytown. Doskonała lokalizacja. Mam klucze. Chodźmy się rozejrzeć”.

Były to cztery obskurne pomieszczenia nad apteką. Rozejrzałam się z niedowierzaniem.

- Karen. To jakaś nora. Nie możesz tu wpuścić ludzi. Czy to...? - podeszłam do plam w rogu pomieszczenia. - Czy to grzyb? To grzyb!

- Trochę farby i będzie dobrze. Posłuchaj, naszym klientkom nie zależy na fajerwerkach i fontannach. One chcą wydepilowanych nóg i taniej opaleniźny. To młode dziewczyny, nie zauważą grzyba.

Rozejrzałam się jeszcze raz.

- Nie - powiedziałam. - Przepraszam, że ci dokładam, ale to nie jest właściwy lokal.

- Za późno. Zapłaciłam zaliczkę. Wynajęłam go na nasze nazwiska. I dałam w pracy twoje wypowiedzenie.

Patrzyłam na nią, czekając na puentę tego dowcipu. Ale nie doczekałam się.

- Mam trzymiesięczne dziecko - wydusiłam.

- Które świetnie się czuje pod opieką cioci Jeanette. To nic nie zmienia.

- Gdzie kibełek? Muszę zwymiotować.

- Za tobą.

Pobiegłam.

- Ale z ciebie cykor - zawołała przez drzwi łazienki.

- Będę się wstydziła przyprrowadzić ludzi do tej nory - wydyszałam pomiędzy torsjami.

Roześmiała się.

- Nie stać cię na wstyd. Zaczekaj, zobaczysz, ile musimy płacić miesięcznie.

Znowu szarpnęły mną torsje.

- Nie jesteś w ciąży, prawda? - spytała moja siostra.

- Nie. - No bo przecież nie mogłam być w ciąży. Zabezpieczaliśmy się. W tej chwili nic gorszego niż ciąża nie mogłoby mnie spotkać.

Tylko że byłam w ciąży.

Gdy poszłyśmy na swoje, Karen zaczęła pracować z kosmiczną prędkością. Zawsze szybko woskowała, ale teraz woskowała, jakby miała napęd rakietowy. Śmigła kolejnymi paskami, nawet woskując miejsca wrażliwe, gadając jak najęta. „Teraz zabolii”. Chwytała nogę klientki za kostkę, podnosiła ją wysoko w powietrze, i zrywała pasek z warg sromowych, zanim kobieta się zorientowała, co się dzieje. „Zaciskamy zęby - mówiła z ponurym śmiechem. - Teraz druga strona. Auć! Już! Nie ma włosów, jesteś tam łysa jak kolano. Warto było, co?”

Nie było czasu na dojdzie do siebie. Żadnych łagodnych zapewnień w stylu „Proszę się nie spieszyć z ubieraniem, ja tu wyjdę cichutko”. Uśmiechała się do nieszczęsnicy rozciągniętej na łóżku, wstrząśniętej i walczącej z mdłościami.

- Wstajemy, to łóżko jest nam potrzebne. Następnym razem proszę wziąć dwa paracetamole pół godziny przed zabiegiem, i będzie dobrze. Jeśli musi pani zwymiotować, tu jest łazienka. Śmiało, nie ma się co wstydzić. Stella też wymiotowała po swojej pierwszej hollywoodzkiej, prawda, Stello?

Pół roku po uroczystym otwarciu naszego salonu urodziłam Jeffreya, a Karen - bardzo niechętnie - zgodziła się na mój czterotygodniowy urlop macierzyński.

- To naprawdę nie jest dobry moment - mówiła.

Wróciłam z macierzyńskiego tak ogłuszona i wyczerpana od zajmowania się dwójką maleńkich dzieci, że w porze przestoju między dziesiątą a dwunastą kładłam się w łóżku opalającym, by choć trochę się zdrzemnąć. Tymczasem Karen chodziła z ulotkami, aby rozkręcać interes.

Nadażała za wszystkimi kosmetycznymi nowinkami, nie dzięki czytaniu broszur, ale przez oglądanie zdjęć w „Hello!”. Co miesiąc proponowałyśmy wstrząsająco tanią ofertę specjalną, bo jak powiedziała Karen: „Niech no tylko ktoś tu przyjdzie, nic więcej nie trzeba”. Nie do wiary, jaka była przekonująca - ludzie przychodzili na korektę brwi, a wychodzili z przedłużonymi rzęsami, akrylem na paznokciach i całkowicie bezwłosym ciałem.

W świecie Karen nie istniało słowo „nie”. Jeśli ktoś chciał do solarium o siódmej trzydzieści rano, ona otwierała specjalnie dla niego. Pracowałyśmy siedem dni w tygodniu, nieraz do dwudziestej pierwszej. Jeśli ktoś dzwonił i pytał o zabieg, o którym Karen jeszcze nie słyszała, mówiła z wielką pewnością siebie: „Niedługo będzie. Oddzwonimy”. I uzupełniała wiedzę.

Była bezwzględna negocjatorką, z połową Ferrytown ustaliła złożony system wymiany barterowej, dzięki czemu nigdy za nic nie płaciła gotówką.

Nie miała też problemów z dopraszaniem się o zniżki - jeśli jakaś dostała, była radosna, a jeśli nie dostała, była równie radosna. „Zawsze warto spróbować”, mówiła.

Ja wręcz przeciwnie. Wolałabym chodzić boso i spać pod mostem, niż uśmiechać się do kogoś i mówić: „Spuść dziesiątaka, a zostaniemy przyjaciółmi”. Byłam beznadziejna w targowaniu się i Ryan też. Dlatego zresztą, nawet gdy on już rozkręcił intratny interes, zawsze byliśmy bez grosza. Podejrzewam, że każdy ma jakiś talent - niektórzy ludzie są świetni w opowiadaniu kawałów, inni pieką cuda, jeszcze inni zaś, jak Karen, po prostu nie płacą podanej stawki.

Ani na chwilę w swoim Honey Day Spa Karen nie traciła czujności. Kiedy zauważyła, że woskowanie przynosi mniej zysków - a nie trzeba było do tego żadnych kalkulacji w arkuszu kalkulacyjnym, wystarczyła jej intuicja - odkryła, że to dlatego, że wszyscy przerzucili się na laser. Nadszedł więc czas, byśmy się zajęły laserem.

Ale producent laserów nie chciał nam sprzedać sprzętu, dopóki nie ukończymy u nich bardzo drogiego szkolenia. Więc Karen zrobiła mały research i w końcu kupiła maszynę w Chinach, w ciemno, a „szkoliła się” na swoich przyjaciółkach

i rodzinie. W ten sam sposób nabrała wprawy w dwutygodniowym manikiurze, makijażu permanentnym i waginalnej biżuterii.

Kiedy w modę weszły iniekcje, Karen zignorowała fakt, że nie ma wykształcenia medycznego, i zaczęła serwować zabiegi po okazyjnej cenie. Jak zawsze ćwiczyła na przyjaciółkach i rodzinie. „Człowiek się uczy całe życie” – powtarzała, wypuszczając Endę z nierówną i częściowo sparaliżowaną twarzą. „Nic się nie martw! Podobno to się utrzymuje trzy miesiące, ale jeśli będziesz miał szczęście, pozbędziesz się tego w sześć tygodni”.

Nic jej nie odstraszało: dawała zniżki lojalnościowe, biegła ulicą, by dorzucić kasę do parkometru klientki, a w weekendy w jej salonie zawsze kłębił się tłum dziewczyn – z czego część miała umówioną wizytę, część zaliczała się do nagłych przypadków (pęknięty paznokieć), a część po prostu się kręciła.

Honey Beauty Salon wrósł w pejzaż Ferrytown. W ciągu dziewiętnastu lat, które minęły, odkąd otworzyłyśmy podwoje zakładu, wiele innych salonów piękności otwierało się i zamykało. Większość zaczynała działalność od kredytu na jadeitowe kafelki i brzdąkający system nagłaśniający, ale nie nasz zakład, który w 1999 roku zmienił nazwę na Honey Day Spa, przy czym zmieniła się właśnie tylko nazwa. Oprócz malowania od czasu do czasu Karen nigdy nie wyłożyła ani grosza na upiększenie lokalu.

Chociaż należał on do nas, zawsze był to salon Karen.

– Wchodzisz? – pyta niecierpliwie.

– Nie... nie...

...nie chcę. Nie chcę wchodzić do tego zagrzybionego pomieszczenia. Myślałam, że mam to wszystko już za sobą.

– Zostanę w samochodzie.

– Świetnie. A jak tak będziesz siedzieć, dam ci temat do przemyśleń. Musisz zacząć ćwiczyć.

– Ćwiczę.

– Nie.

– Ćwiczyć! – Jeszcze niedawno należałam do osób, które ćwiczą, choćby się waliło i paliło.

– Tak tylko mówisz.

Karen odchodzi, a ja siedzę w samochodzie, czuję się niezrozumiana i zraniona: przecież ćwicę. No, ćwiczyłam. I byłam bardzo zdyscyplinowana. Bardzo!

Dzień w dzień ćwiczyłam z całym oddaniem. Przypomniałam sobie zwłaszcza jeden poranek – nie wiem, czym ten się wyróżniał, bo tyle było ich identycznych – kiedy Gilda weszła do mojego pokoju w hotelu, włączyła światło i oznajmiła uprzejmie, acz stanowczo:

– Stello, kochanie, czas wstawać.

Nie miałam pojęcia, która jest godzina, konkretne cyfry na zegarze były zupełnie nieistotne; liczyło się tylko to, że skoro ktoś mi mówi, że mam wstać, to musiałam wstać.

Pamiętam, że byłam bardzo, bardzo zmęczona. Nie wiedziałam, ile godzin przespałam. Mogło być ich sześć. Mogły być trzy i pół. Ale nie więcej niż sześć. Nigdy nie spałam dłużej niż sześć godzin.

Gilda podała mi kubek.

– Wypij to – poleciła.

Nie miałam pojęcia, co jest w kubku, mogła to być zielona herbata, a mógł być smoothie jarmużowy. Liczyło się tylko to, że skoro Gilda każe mi to wypić, to muszę wypić.

Przełknęłam zawartość kubka, a Gilda podała mi strój do biegania. Ona już miała swój na sobie.

– Dobra, idziemy.

Wyszliśmy z hotelu. Słońce jeszcze nie wzeszło. Zrobiłyśmy rozgrzewkę i rozciąganie, a potem biegłyśmy pustymi ulicami. Gilda narzuciła tempo, szybkie. Myślałam, że sobie płuca wypluję, ale nie miało sensu prosić ją o zwolnienie. To było dla mojego dobra. Na to się zgodziłam.

Jakiś czas później, gdy już wróciłyśmy do hotelu, zatrzymałyśmy się na rozciąganie, a ona powiedziała:

– Świetnie się spisałaś.

– Ile przebiegłyśmy? – wydyszałam.

– Sześć kilometrów.

A ja miałam wrażenie, że sześćdziesiąt.

– Jesteśmy w Denver – wyjaśniła. – Na dużej wysokości. To trudniejsze dla płuc.

Właśnie się dowiedziałam dwóch przydatnych rzeczy:

1. Na dużych wysokościach trudniej się biega.

2. Znajdowałam się w Denver.

Wcześniej wiedziałam, że to któreś miasto na D – Dallas, Detroit, Des Moines... Dotarliśmy na miejsce późną nocą, z... z innego miasta. Miasta zaczynającego się na...T? Baltimore! Dobra, może nie zaczynało się na T, ale można mi wybaczyć, biorąc pod uwagę, że poprzedniego dnia zaliczyłam trzy miasta. Obudziłam się w Chicago, gdzie udzieliłam niezliczonych wywiadów, przed południem siedziałam w księgarni, potem wygłosiłam mowę na lunchu charytatywnym. Gdy tylko się on skończył, pognaliśmy na lotnisko, żeby złapać samolot do Baltimore, gdzie udzieliłam kolejnych wywiadów i wieczorem czytałam swoją książkę przed gronem raptem czternastu osób. Potem wróciłyśmy na lotnisko i poleciałyśmy do Denver. Przecięłam tyle stref czasowych, że porzuciłam już próby zliczenia zyskanych i straconych godzin.

Ale bez względu na to, gdzie byłam, ile godzin przespałam, ćwiczyłam.  
Bo to było dla mnie dobre.

Żyj. Czasami nie możesz zrobić nic więcej,  
ale musisz żyć.

Fragment *Mozolnych mrugnięć powieką*

Następnego dnia po tym pierwszym spotkaniu Wkurzony Facet z range rovera znowu wpadł do mojego boks.

– Wróciłem.

„Widzę”.

– Mannix Taylor. Twój neurolog.

„Wiem, jak się nazywasz. Wiem, kim jesteś”.

– Widzę, że jesteś wniebowzięta. – Roześmiał się. Miał piękne zęby. Zęby bogacza, pomyślałam wzgardliwie. Zęby neurologa.

Przysunął krzesło do mojego łóżka i sięgnął po kartę.

– Zobaczmy, jak spałaś. Och! Odnotowano, że wręcz wspaniale! Nie jakieś tam dobrze, tylko wspaniale. – Spojrzał na mnie. – Zgodziłabyś się z tą opinią?

Patrzyłam tępo na niego i ani myślałam mrugać.

– Nie gadasz ze mną? Dobra. Zabiorę się po prostu do roboty. Dziesięć minut, tak samo jak wczoraj. – Nagle spojrzał na mnie bystro. – Montgomery powiedział ci, że będę przychodzić codziennie?

Doktora Montgomery’ego nie widziałam prawie od tygodnia.

Mrugnęłam lewym okiem.

– Nie powiedział ci? Czy nie zaglądał do ciebie? No a ten głupkowaty dzieciak, który lata za nim jak piesek?

Mówił o stażyście doktora Montgomery’ego. Doktor de Groot, który przychodził tu bardzo rzadko i chyba bardzo się bał OIOM-u. Oczy miał wielkie jak jajka na twardo i się jąkał. Zawsze pieczołowicie sprawdzał, czy mój respirator jest podłączony do prądu, a potem uciekał. Moim zdaniem lepiej by się realizował w innej pracy. Może w sprawdzaniu instalacji elektrycznej.

– On też ci nie powiedział? – Mannix Taylor zamknął oczy i burknął coś pod nosem. – No dobra, będę się z tobą spotykał pięć razy w tygodniu. Osłonki mielinowe odrastają w tempie mniej więcej centymetra miesięcznie. Tymczasem musimy podtrzymać krążenie w twoich kończynach. Ale to wszystko wiesz.

Nic nie wiedziałam. Odkąd powiedziano mi, że zapadłam na jedną z najradszych chorób, nikt mi nic nie mówił, poza tym, że mam pozostać przy życiu. („Trzymaj się, Patsy!”). Ale ten Mannix Taylor właśnie podał mi pierwszy nagi fakt – że osłonki mielinowe rosną w tempie centymetr miesięcznie. Ile centymetrów muszą odrosnąć? I czy już rosną?

– Dzisiaj – odezwał się Mannix Taylor – popracuję nad twoimi stopami.

Wstrząśnięta niemal się uniosłam na łóżku.

Tylko nie stopy! Wszystko, tylko nie stopy!

Dzięki chodzeniu całe życie na wysokich obcasach miałam najbrzydsze stopy na świecie – halluksy, nagniotki, zniekształcone palce – a odkąd trafiłam do szpitala, nikt mi nawet nie obcinał paznokci.

Nie, nie, nie, panie Wkurzony Range Rover. Ręce precz od moich stóp.

Ale on już wyplątał spod koca moją prawą stopę. Spryskał ją czymś – dla jego dobra miałam nadzieję, że to jakiś środek dezynfekujący – a potem ujął ją w dłoń i nasadę kciuka wcisnął mocno we wrażliwy łuk. Trzymał go chwilę nieruchomo, naciskiem ciepłym i stanowczym, a potem zaczął poruszać swoimi palcami powolnymi, pewnymi kółkami, naciskając i pociągając ścięgna pod skórą w sposób, który był

prawie bolesny, ale jednak nie do końca.

Zamknęłam oczy. Przechodziły mnie dreszcze. Wargi mi zdrętwiały i mrowiły, z rozkoszy mrowiła też skóra czaszki.

Przyłożył dłoń do podeszwy mojej stopy i nacisnął mocno, tak że mięśnie się naciągnęły, a kości skrzypnęły w radosnej uldze.

Paznokciem wykonywał maleńkie szczyknięcia wzdłuż czubka wielkiego palucha. Drobnymi ruchami, powodując rozkoszną udrękę.

Nie pamiętałam już o halluksach ani zrogowaciałej skórze, ani zabawnej grudce na małym palcu, która mogła być odmrożeniem. Pragnęłam tylko, by te cudowne odczucia trwały zawsze.

Czułam, jak robi mi się cieplej, po czym zdałam sobie sprawę, że to nie ja się rozgrzewam, tylko on.

Kręcił palcem pomiędzy pierwszym a drugim palcem mojej stopy, a kiedy wsunął go w to miejsce, silne doznanie dotarło do sedna mojej kobiecości. Wstrząśnięta otworzyłam szeroko oczy. Wpatrywał się we mnie, najwyraźniej zaskoczony. Opuścił moją stopę na łóżko z nieoczekiwanym pośpiechem i zawiązał ją w koc.

– Na dzisiaj skończymy.



## 18.11

Karen mnie odwozi. Wchodzę do pustego domu i przytłacza mnie poczucie potwornej samotności, którego moje nowe damskie chinosy nie mają szansy złagodzić.

Co mam zrobić, by poprawić swoje samopoczucie? Mogłabym zadzwonić do Zoe, ale za każdym razem, gdy z nią rozmawiam, czuję się jakaś zgaszona. Mogłabym pooglądać *Siostrę Jackie* i jeść ciasteczka, ale w swoim obecnym brzuchatym stanie będę musiała zrezygnować z ciasteczek. Moje ciasteczkowe dni dobiegły końca. Będę musiała wrócić do tej wysokobiałkowej, bezwęglowodanowej żałości, gdy jadłam łososia na śniadanie i mówiłam sobie, że donuty są jak jednorożce: mityczne stworzenia, które istnieją tylko w bajkach.

Kiedyś byłam w stanie tak żyć. I znowu powinnam. Ale miałam wtedy Gildę – ona mnie zmuszała, nadzorowała moje posiłki i rzucała zachęcające hasła w stylu „Rozkoszny twarożek! Z rozkosznymi krewetkami! Pamiętaj, nic nie smakuje tak cudownie jak świadomość, że jesteś szczupłą!”.

Uzależniłam się od niej całkowicie, a ona tak wspaniale się mną opiekowała; sama nie miałam szansy dać sobie takiego wsparcia.

I może jestem za stara na szczupłą sylwetkę. Wiem, że czterdzieści jeden to nowe osiemnaście, ale mój metabolizm chyba nie ma tej świadomości.

Przez ostatnie dwanaście tygodni byłam dzielna, ślepo parłam naprzód, tylko nagle zabrakło mi sił.

Gdybym tylko mogła z nim porozmawiać... żyję w stanie permanentnej tęsknoty za nim – nadal mam poczucie, że nic się w sumie nie stało, dopóki mu nie powiedziałam.

Wpatruję się w swój telefon, usiłuję trzymać się faktów, pamiętać, jak wygląda teraz moja rzeczywistość. Dzwonienie do niego nic mi nie da. Pewnie poczułabym się jeszcze gorzej.

Uświadamiam sobie, że moje życie się skończyło. Akceptuję to, ale jeszcze tyle lat przede mną. O ile nic nie stanie na przeszkodzie, pewnie będę żyła co najmniej do osiemdziesiątki. Jak mam wypełnić ten czas?

Może powinnam pójść w ślady ubrań w sklepach i zniknąć na dwadzieścia lat. Jadłabym, co mi się podoba, oglądałabym w nieskończoność telewizję i wyszłabym z powrotem na świat w wieku lat sześćdziesięciu jeden. Poznałabym jakiegoś faceta, który byłby wdowcem od jakichś dziesięciu minut – Zoe mówi, że ci osamotnieni faceci nie marnują czasu, szybko korzystają z okazji – i on mógłby być moim chłopakiem. Pojechalibyśmy na krótką wyprawę do Florencji popatrzeć na obrazy – do tego czasu zainteresowałabym się sztuką (to zainteresowanie zrodziłoby się mniej więcej w tym samym momencie, gdy pojawiłyby się u mnie problemy z kontrolowaniem moczu – taki barter w naturze). Ja i wdowiec – Clive? – nigdy byśmy się nie kłócili. Nie uprawialibyśmy też seksu, ale to akurat dobrze.

Oczywiście jego córki by mnie nienawidziły. Szczałyby: „Nigdy nie będę do ciebie mówić »mamo«. Wiem, że mi jej nie zastąpisz”. Potem by mnie polubiły i razem świętowałybyśmy Boże Narodzenie, ale w tajemnicy, żeby się zemścić na sukowatych córkach, szeptałabym do ich dzieci: „Teraz jestem waszą babcią”.

Mówię sobie, że gdzieś w przyszłości jeszcze poczuję się szczęśliwa. Innym szczęściem niż to, które właśnie utraciłam. O wiele nudniejszym.

Ale przez długi czas nic się nie wydarzy, więc lepiej się schowam i przyzwyczaję do samotności.

Zastanawiam się, czy napić się wina, ale trochę na to za wcześnie. Znużona porzucam swoje nowe zakupy w przedpokoju, pokonuję schody i w ubraniu wchodzę do łóżka.

Jestem silną osobą, mówię sobie żałośnie, naciągając kołdrę na głowę. Przeszłam ciężkie chwile – emocjonalnie, fizycznie i finansowo. To kwestia zachowania pozytywnego podejścia, patrzenia do przodu. Nigdy wstecz. Przystosowania się do nowej normalności, do obecnej rzeczywistości. Muszę jechać na rollercoasterze życia, jak chyba mówiłam sobie w mojej pierwszej książce. Będę akceptować wszystko, co mi jest dawane, i wszystko, co jest zabierane. Uznając, że nawet strata i ból to dary.

Czy naprawdę napisałam coś tak durnego? I ludzie naprawdę w to uwierzyli? Chyba wtedy zresztą sama w to uwierzyłam.

Zawsze sądziłam, że z zawodów sercowych się wyrasta, że im człowiek jest starszy, tym mniej cierpi, aż wreszcie taki zawód całkiem przestaje boleć. Ale, niestety, odkrywam właśnie, że gdy człowiek jest stary, zawód miłosny boli równie mocno. Równie potwornie. Jeśli już coś się zmienia, to ból jest gorszy, a to z powodu – jak wyjaśniła mi Zoe – efektu akumulacji: kolejne straty układają się jedna na drugiej i człowiek czuje pełen ciężar ich wszystkich.

Ale płacz i zapuszczanie się z powodu złamanego serca jest w moim wieku o wiele mniej godne. Kiedy kończysz czterdziestkę, oczekuje się od ciebie, że będziesz mądra, stoicka, że się spokojnie usadowisz w swoich nobliwych ciuchach idealnie dobranych i powiesz: „Lepiej doświadczyć miłości i utraty, niż miłości nigdy nie doświadczyć. Komu herbatki rumiankowej?”.

Nie każdy może się zajmować szukaniem  
lekarstwa na raka. Ktoś musi robić obiady i segregować skarpetki.

*Fragment Mozolnych mrugnięć powieką*

– Wiem, że może się winisz za to, że zachorowałaś – powiedziała Betsy ze śmiertelną powagą. – Pamiętaj tylko, mamó, że nawet jeśli robisz złe rzeczy, nie znaczy to, że jesteś złym człowiekiem.

O nie!

– Pewnie żałujesz, że w ogóle się urodziłaś. Ale – mocno ścisnęła moją dłoń – nie możesz tak myśleć. Życie to cenny dar!

Ekhm...

– Wiem, że macie z tatą swoje problemy...

A mamy?

Przez chwilę czułam okropną irytację. Wszystko u niej musiało być takie intensywne i poważne; wszystko trzeba było przeanalizować, uznać za problem i wreszcie rozwiązać.

– Ale to, że leżysz sparaliżowana, a on musi odwozić nas do szkoły, zbliży was do siebie. – Uśmiechnęła się straszliwie euforycznym uśmiechem. – Nie możesz tracić wiary.

Na pewno poszła do tego świętego klubu młodzieżowego, na pewno! Niemal widziałam tych upiornych leaderów, mężczyznę i kobietę, mniej więcej dwudziestoletnich – mężczyzna miał długie włosy i dziwne rozszerzane dzinsy, a kobieta nosiła tunikę w kratę na biały golf. Tylko czekać, a wejdą tu z gitarami i tamburynami i zaśpiewają: „Michale, wiosłuj do brzegu”, i narobią mi wielkich problemów z pielęgniarkami.

Ryan musiał chronić Betsy przed tymi ludźmi, ale jak miałam mu to powiedzieć?

Doznałam przyływu nieznośnej frustracji. Wystarczyło spojrzeć na stan Betsy – bluzkę od mundurka miała nieuprasowaną, a na przodzie swetra widniała dziwna żółta plama. I dlaczego na brodzie miała tyle pryszczycy? Dlatego, że miała piętnaście lat, czy dlatego, że żywiła się śmieciowym jedzeniem?

Nie miałam pojęcia, co moja rodzina je – nikt mi nie mówił, a ja nie miałam jak spytać – ale niewielkie były szanse, że Ryan zdrowo gotuje. Ledwie umiał otworzyć słoik.

Złoszczenie się na niego nie miało sensu. Ta strona życia zawsze należała do moich obowiązków. Zgodnie z literą niepisanej umowy Ryan miał talent, a ja byłam zastępcą kierownika.

– Ja się teraz odsunę – powiedziała Betsy – i dam wam z tatą trochę czasu sam na sam.

Ryan wziął wolne krzesło i delikatnie ujął mnie za rękę.

– Więc... – Widziałam, że jest strasznie przybity. – Jutro za mnie przyjdzie Karen. Ja muszę jechać na wyspę Man zająć się projektem.

Od mojego pierwszego dnia w szpitalu nie opuścił ani jednej wizyty, ale życie musiało się toczyć swoim trybem.

– Przepraszam – dodał.

Nie ma sprawy. Naprawdę.

– Muszę pracować.

Wiem.

– Będę za tobą tęsknił.

Ja też.

– Och – coś mu przyszło do głowy. – Nie mogę znaleźć swojej walizeczki na kółkach. Jak sądzisz... – Urwał, bo zdał sobie sprawę, że nie będę w stanie mu odpowiedzieć.

Pod schodami. Jest pod schodami.

Zawsze ja go pakowałam przed podróżą. Po raz pierwszy od lat musiał to zrobić sam.

– Nie martw się – podjął. – Kupię nową, jakąś tanią. Jest super. Jak już odzyskasz mowę, możesz mi powiedzieć, gdzie jest stara.

– Czas minął! – krzyknęła pielęgniarka, a Ryan zerwał się na równe nogi. – Idziemy, Betsy.

Złożył szybkiego całusa na moim czole.

– Do zobaczenia za parę dni.

Żadnych sentymentalizmów. W naszych kręgach okazywanie czułości małżonkowi było traktowane podejrzliwie. Zgodnie z powszechnie przyjętymi zasadami mąż zwracał się do żony per „żono” albo „stara”, a kobiety narzekały, że ich mężowie to leniwe matole, które nie umieją sobie samodzielnie zawiązać butów. Z okazji rocznicy ślubu mówiło się na przykład: „Piętnaście lat? Gdybym kogoś zamordował, już bym miał za sobą odsiadkę”.

Ale ja wiedziałam, jak silna jest nasza więź. Nie byliśmy po prostu parą, stanowiliśmy część czteroosobowej rodziny, zgrany mały oddział. Pomimo wszystkich kłótni – bo oczywiście, że się kłóciliśmy, przecież byliśmy zupełnie normalni – wiedzieliśmy, że bez całej reszty jesteśmy niczym.

Ryan mnie kochał. Ja kochałam jego. Właśnie zdawaliśmy najtrudniejszy egzamin w ciągu swojego osiemnastoletniego związku, ale wiedziałam, że go zdamy.

Małże w tej restauracji w Malahide? Albo krewetki w kanapce w obniżonej cenie? Powiadają, że z owocami morza nie należy ryzykować, ale nie były przeterminowane, po prostu należało je zjeść najpóźniej tego dnia. No i zjadłam.

Znowu to robiłam, próbowałam sobie przypomnieć każdy posiłek spożyty w ciągu tygodnia, zanim zaczęło się mrowienie palców, zastanawiając się, czy to on właśnie zawierał te jakieś bakterie, które wywołały u mnie zespół Guillaina-Barrégo.

A może to chemikalia, z którymi stykałam się w salonie? A czy przypadkiem miałam szczepienie na świńską grypę? Często poprzedza atak GBS. Ale przecież nie można przeoczyć szczepienia...

Może to nie było zatrucie pokarmowe ani chemikalia, ani szczepienie na grypę. Guillain-Barré należał do takich rzadkości, że mimowolnie się zastanawiałam, czy przyczyną nie jest coś innego, coś bardziej złowrogiego. Może – jak podsunęła Betsy – Bóg karał mnie za to, że nie jestem dobrym człowiekiem.

Ale ja byłam dobrym człowiekiem. Wystarczy wspomnieć, jak zadrapałam samochód, parkując niezdarnie na wielopoziomowym parkingu, i po pięciominutowych zmaganiach z sumieniem i po sprawdzeniu, czy jest tam monitoring – nie było – zostawiłam za wycieraczką swój numer telefonu.

(Tak się złożyło, że właściciel zarysowanego samochodu nigdy się nie zgłosił, więc została mi miła świadomość, że postąpiłam właściwie, nie narażając się przy tym na żadne perturbacje finansowe).

Może dowodem na to, że jestem niedobra, był fakt, że nie wykorzystałam swojego prawdziwego potencjału – co zdaniem kolorowych magazynów w dzisiejszych czasach zakrawało na zbrodnię.

Ale jako matka, żona i kosmetyczka wykorzystałam. Nie trzeba robić nic dramatycznego, żeby realizować swoje możliwości. Nie każdy może zajmować się szukaniem lekarstwa na raka. Ktoś musi gotować obiady i segregować skarpetki.

W moim biodrze odezwał się palący ból, a – spojrzałam na zegar – zostały jeszcze czterdzieści dwie minuty. Musiałam o tym nie myśleć. Musiałam wrócić do swojego zamartwiania.

Zawsze robiłam, co w mojej mocy, powiedziałam sobie. Nawet jeśli coś spartaczyłam, jak przyjęcie urodzinowe, na którym podziwiałam grubą dziewczynkę, mówiąc: „Jaka pychotka! Ile on ma?”. A potem pogorszyłam sytuację, dodając: „Wykapany tatuś” do mężczyzny, który nie był ojcem dziecka, za to wszyscy podejrzewali matkę dziecka o romans właśnie z nim.

Niemniej jednak pomimo wszystkich swoich racjonalizacji rzeczywiście miałam na koncie zły

uczynek....

Może raczej był to grzech zaniechania niż rzeczywiście popełniony. Wyrzuciłam go z głowy, ale że tu w szpitalu nie miałam do roboty nic poza myśleniem, wspomnienie legło na tacy i zadrećcało mnie poczucie winy.

Dotyczyło to pracy. Robiłam depilację hollywoodzką i już myślałam, że załatwiłam wszystko, ale gdy Sheryl – o, właśnie, nadal pamiętam jej imię – gdy Sheryl zeszła ze stołu, zobaczyłam, że coś mi umknęło. I nic nie powiedziałam.

Na moją obronę powiem, że tego dnia byłam wykończona, a Sheryl spieszyła się jak szalona, bo szykowała się do trzeciej randki, czyli do pierwszej łózkowej. (Moje klientki mocno mi się zwierzały, mówiły mi dosłownie wszystko). No i tak zostało.

A problem w tym, że nie udało się jej z tym facetem – miał na imię Alan. Sheryl poszła na randkę i zrobili z Alanem, co trzeba, ale on się potem nie odezwał, a ja już zawsze się zastanawiałam, czy o takim końcu nie przesądził ten niewywoskowany skrawek.

Nie dawało mi to spokoju, aż pewnej nocy obudziłam się o czwartej piętnaście i postanowiłam, że nazajutrz wytropię tego Alana i będę go błagać o zmianę decyzji. To postanowienie wydało mi się absolutnie słuszne, ale do rana po mojej nocnej determinacji nie pozostał nawet ślad, a próby odszukania Alana wydały mi się obłąkane.

Więc musiałam z tym żyć. Jedyne sposoby, by osiągnąć spokój, to powtarzać sobie, że każdy robi rzeczy, za które nigdy nie dostanie rozgrzeszenia. W życiu nie chodzi o to, by być kimś doskonałym, lecz o zaakceptowanie tego, że jesteś zły. Nie zły w sensie zły, jak Osama bin Laden i tego typu szaleńcy, ale po ludzku niedoskonały, a zatem niebezpieczny – zdolny do popełniania błędów, którymi można spowodować nieodwracalne szkody.

Zdołałam o tym zapomnieć – wydarzyło się to jakieś pięć lat temu – ale teraz poczucie winy wróciło i nie odpuszczało. A gdybym powiedziała wtedy: „Wracaj na łóżko, Sheryl, ominęłam kawalek”? Czy Sheryl wyszłaby za Alana i urodziłaby mu trójkę dzieci? Czy w swoim lenistwie zmieniłam bieg życia dwóch osób? Czy to moja wina, że nie urodziła się trójka ślicznych dzieci? Że w ogóle nie zostały poczęte?

A może Sheryl i Alan nie pasowali po prostu do siebie? Może fakt, że się nie pobrali, nie miał nic wspólnego z kępką włosów? Może on w ogóle tej kępki nie widział? Jezu, to było potworne! Nie miałam gdzie uciec przed tymi myślami, krążyły w mojej głowie niestrudzenie...

Biodro bolało mnie tak potwornie, jakby płonął mi w nim wielki pożar, nie mogłam już tego bólu znieść. Do przełożenia zostało jeszcze dwadzieścia jeden minut, a mnie już mdliło. A gdybym zwymiotowała? Byłabym w ogóle w stanie zwymiotować? A gdyby mój żołądek zwymiotował, a mięśnie gardła nie zdołałyby tego wyrzucić na zewnątrz? Udławiłabym się? Pękłoby mi gardło?

Wpatrywałam się błagalnym wzrokiem w stanowisko pielęgniarek. Spójrzcie na mnie, proszę. Zajrzyjcie do mnie. Wyrwijcie mnie z tej udręki.

Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem. Ogarnęła mnie szalona panika. Nie dam rady. Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem. Nie zniosę tego. Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem.

Żółte cyferki wyświetlające się na urządzeniu monitorującym pracę mojego serca układały w coraz wyższe wartości. Może jeśli mój puls osiągnie jakiś pułap, uruchomi się alarm? Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem. Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem.

– Dzień dobry. – Do mojego boksu wszedł Mannix Taylor vel doktor łopoczący fartuch, po czym zatrzymał się jak wryty. – Co się dzieje?!

Boli. Patrzę szeroko otwartymi oczami.

– No widzę. Gdzie boli? Och, na miłość boską!

Zniknął. Po czym wrócił z Olive, jedną z pielęgniarek.

– Musimy ją obrócić, odciążyć jej lewy bok.

– Doktor Montgomery powiedział, że pacjentkę należy obracać co trzy godziny – odparła Olive.

– Pacjentka ma imię. A Montgomery może i jest lekarzem prowadzącym Stelli, ale ja jestem jej neurologiem i mówię, że w tej chwili doświadcza silnego bólu. Spójrz tylko na nią!

Olivia już miała coś powiedzieć.

– Ale jeśli potrzebujesz błogosławieństwa Montgomery’ego, zadzwoń do niego – dodał Mannix Taylor.

Oglądałam tę rozgrywkę, oszołomiona bólem. Nie byłam pewna, czy to dobrze mieć Mannixa Taylora za orędownika. Zdaje się, że denerwował ludzi.

– Aczkolwiek – dodał Mannix – chyba wyłącza telefon, gdy przebywa na polu golfowym.

– A kto mówi, że on jest na polu golfowym?

– Zawsze jest na polu golfowym. Nigdy ich nie ma nigdzie indziej, ani jego, ani jego kliki. Zdaje się, że śpią w tamtejszych zabudowaniach, w swoich torbach na kije, ustawieni rzędem pod ścianą, jak na statku kosmicznym. Dalej, Olive, ja chwycę Stellę od góry. A ty nogi.

Olive się zawahała.

– Zwalisz to na mnie – dodał Mannix. – Powiesz, że cię zmusiłem.

– W to na pewno nie uwierzą – odparła Olive stanowczo. – Niech pan uważa na respirator.

– Dobra.

Nie mogłam uwierzyć, że to się naprawdę dzieje. Podnieśli mnie, już się nie opierałam na biodrze, i ułożyli inaczej, na drugim boku. Gdy ból osłabł, doznałam rozkosznej ulgi.

– Tak lepiej? – spytał Mannix.

Dziękuję.

– Jak często trzeba cię przekładać? W którym momencie zaczyna boleć?

Patrzyłam na niego niemo.

– Na miłość boską! – jęknął rozwścieczony z frustracji. – To...

To nie moja wina, że nie mogę mówić.

– Po godzinie?

Mrugnęłam lewym okiem.

– Nie? Po dwóch? Dobra. Będą cię teraz obracać co dwie godziny.

Przyłożył mi dłoń do czoła.

– Jesteś rozpalona. – Uspokajał się. – Musisz strasznie cierpieć.

Wyszedł i po krótkiej, chyba wścieklej kłótni z Olive wrócił z miseczką wody i myjką. Zimną wodą obmył mi twarz, a zgrubieniem tkaniny wymasował mi skórę wokół oczu, otarł mi powieki i obwiódł usta. Było to miłosierdzie niemal biblijne.

## 19.22

Słyszę hałasy na dole. Najwyraźniej Jeffrey wrócił do domu. Serce mi się raduje, że w domu będzie ze mną jakaś ludzka istota.

Zbiegam po schodach i na widok tyczkowatego, ekscentrycznego syna czuję taką miłość, że mam ochotę go uściskać.

Choć raz nie niesie swojej nieodłącznej maty do jogi. Ale za to niesie coś innego, płytki wiklinowy koszyk, właściwie kobiałkę. Trzyma ją w łokciu i wygląda... zniewieściale. Wygląda – tak, nie bójmy się tego powiedzieć – wygląda głupio. Jak Czerwony Kapturek wybierający się do babci.

– Co się dzieje? – silę się na radosny ton.

– Wyprawilem się po żywność.

– Słucham?! – Słodki Jezu!

– Po plony natury. – Sięga do koszyka Czerwonego Kapturka po garść traw. – Dzikie zioła i inne rośliny. Masz pojęcie, ile żywności rośnie w przypadkowych miejscach? Choćby w szczelinach chodnika?

Zwymiotuję. Na pewno. On mnie zmusi do jedzenia tych rzeczy. Mój syn jest dziwakiem i samotnikiem, który chce mnie otruć.

Zauważa torby z zakupami u podnóża schodów.

– Wydawałaś pieniądze? – W jego głosie słyszę gniew na miarę wiktoriańskiego patriarchy.

– Potrzebowałam nowych ubrań. Nie mam w czym chodzić.

– Masz tony ubrań.

– Już się w nie nie mieszczę.

– Ale my nie mamy pieniędzy!

Ostrożnie, powoli dobieram słowa.

– To nie jest stan „nie mamy pieniędzy”. – Jeszcze nie. – Mamy tyle, żeby nam przez jakiś czas wystarczyło na życie. Na dłuższy czas – dodaję pospiesznie. No, kto wie? – A gdy skończę nową książkę, będziemy mieli ich dużo. – Jeśli znajdę wydawcę, a następnie książkę ktoś kupi. – Nie martw się, Jeffrey. Przykro mi, że się martwisz.

– Owszem, martwię się. – Mówi jak humorzasta stara baba. Zauważam też, że nie wspomina, że sam mógłby podjąć jakąś pracę. Ale milczę. Jestem dzielna. Wielu rodziców by coś powiedziało.

– Na mieście – podejmuję – spotkałam tatę Briana, Roddy’ego. Pamiętasz Briana? Może powinienes się do niego odezwać.

– Chcesz, żebym miał kolegów?

– No, skoro tu teraz mieszkamy.

Mam ochotę zakląć szpetnie. Nie w tym rzecz, że jestem z tego zadowolona, ale staram się z tym jakoś sobie radzić.

Nasz impas przerywa dzwonek mojego telefonu. To Betsy, dzwoni z Nowego Jorku. W tym roku zaręczyła się z bogatym, przystojnym trzydziestosześcioletnim prawnikiem o imieniu Chad – jeszcze jeden spadek po Gildzie: gdy Betsy skończyła liceum i nie mogła dostać pracy nawet przy składaniu swetrów w Gapie, Gilda jakimś cudem załatwiła jej staż w niszowej galerii sztuki na Lower East Side. Pewnego dnia do tej galerii wszedł Chad, ujrzał moją córkę i beczelnie oznajmił, że kupi cokolwiek, jeśli ona zje z nim kolację.

Natychmiast się w sobie zakochali i choć na edukację Betsy wydaliśmy tyle pieniędzy, ona natychmiast rzuciła pracę i wprowadziła się do ogromnego mieszkania Chada. Mieli wziąć ślub gdzieś w przyszłym roku. Moja córka sprawiała wrażenie bardzo szczęśliwej, ale jej brak ambicji mnie zatrwazał.

– Czy ty tego nie rozumiesz? – pytała mnie. – Nie chcę tego wszystkiego. To jest wyczerpujące. Chcę siedzieć w domu, rodzić dzieci i nauczyć się robić kołdry.

– Ale jesteś taka młoda...

– Ty miałaś dwadzieścia dwa lata, gdy mnie urodziłaś.

– Pomędzy dziewiętnaście a dwadzieścia dwa jest ogromna różnica.

Martwiło mnie, co się z nią stanie, jeśli Chad ją rzuci. A taki scenariusz był bardzo realny. Wybranek Betsy należał do bogatych facetów, którzy uważają, że mają więcej praw niż inni. Ożeni się z nią, ale za pięć lat porzuci ją dla młodszej i będzie zdana na siebie.

Może jednak nic jej nie będzie. Przekwalifikuje się na agenta nieruchomości, bo chyba one wszystkie to robią, te byłe popisowe żony. Stawały się twarde i odnajdywały w sytuacji. Kupowały sobie szybki krążownik szos, jeździły nieustannie na słoneczne wakacje i żyły z młodszymi, słodko przystojnymi utrzymankami, którzy jako żywo wyglądali na kryptogejów.

– Betsy! – mówię. – Kochanie!

Chociaż rozmawiamy niemal codziennie, boję się, że dzwoni z hiobowymi wieściami – jeśli dotarła do niej informacja

o idiotycznym projekcie Ryana, to mamy naprawdę problem. A może w dzisiejszym „New York Timesie” było coś o Gildzie?

Ale ona już opowiada o nowej torebce.

– Michael Kors – mówi. – I mam trzy sukienki od Tory Burch.

W ciągu minionych sześciu miesięcy wygląd Betsy przeszedł ogromną transformację finansowaną przez Chada.

– I przefarbuję sobie włosy o kilka odcieni – mówi. – Będę całkowitą blondynką.

– Och... cudownie!

– A jeśli w jaśniejszych włosach mi nie do twarzy?

– Możesz wrócić do naturalnego.

– Ale będę miała zupełnie zniszczone włosy.

– Możesz zrobić kurację odżywczą.

– Mogę – potwierdza radośnie. – No w każdym razie... co tam u was?

– Świetnie, tak, świetnie! – Tak właśnie należy odpowiadać, jeśli się jest matką.

– Na pewno?

– Oczywiście, oczywiście! No dobra, pogadamy niedługo, kochanie. A, i przekaz Chadowi pozdrowienia.

– Jasne. – Śmieje się.

Słyszę za sobą, jak widelec dzwoni o szklanę.

Odwracam się. Na stole stoją dwa talerze z trawą.

– Mam nadzieję, że jesteś głodna! – oznajmia Jeffrey. – Czas na kolację!

Może nie mam płaskiego brzucha, ale przynajmniej nie połamię sobie nóg, złącząc z krzesła.

fragment *Mozolnych mrugnięć powieką*

– Nienawidzę swojego życia! – oznajmiła Betsy. – I żałuję, że się w ogóle urodziłam! – Po czym stanowczym krokiem opuściła oddział.

Chryste, ależ zmieniła ton! Czy to wczoraj raptem mówiła mi, jak cennym darem jest życie?

Zerkam pytająco na Karen i Jeffreya.

Co się stało?

Jeffrey zrobił się czerwony jak burak i odsunął się ode mnie.

– W nocy przyjechała do niej ciotka – odpowiedziała moja siostra. – W domu nie było tamponów. Próbowала się wymknąć, żeby je kupić, ale Ryan ją zatrzymał i musiała mu powiedzieć.

Nienawidziłam siebie: nie powinnam leżeć w szpitalnym łóżku. Powinnam być w domu i zajmować się swoją rodziną. Ta rozmowa musiała być potwornie trudna i dla Betsy, i dla Ryana. Betsy była bardzo skryta we wszelkich sprawach dotyczących jej ciała, a Ryana przerażała jakakolwiek wzmianka o tym, że jego mała córeczka staje się kobietą. Powinniście go zobaczyć w dniu, gdy kupiłam jej pierwszy stanik. „Ona jest jeszcze za mała” – wydukał.

„Ale ma piersi” – odparłam.

„Nie! Nie!” – Ukrył twarz w dłoniach. – „Nie ma!”

– Była potwornie zażenowana – kontynuowała Karen. – Ryan też. Wyobrażasz sobie. Ale wyszedł i kupił paczkę tamponów. Oczywiście niewłaściwej marki... – Po chwili dodała: – Ale odwalił dobrą robotę. Wiem, że zawsze mówiłam, że jest leniwym gnojkiem. Muszę jednak przyznać, że dobrze sobie radzi. Gotuje i w ogóle.

Znałam pojęcie Karen o gotowaniu – jeśli wrzuciła do mikrofalówki porcję ryżu, czuła się jak kandydat do *Masterchefa*.

– Muszę już iść – powiedziała, wstając. – I zawiozę twoje dzieci do szkoły. Mama z tatą przyjdą wieczorem. Chodź, Jeffrey, poszukamy twojej siostry.

I wyszli, zostawiając mnie sam na sam z myślami.

Biedna Betsy. W jej wieku wszystko wydawało się takie ważne i dramatyczne. „Żałuję, że się w ogóle urodziłam!”

Co ciekawe, chociaż w ostatnich miesiącach miałam tyle ciężkich przejść, ani razu nie pożałowałam, że się urodziłam.

Może dlatego, że na tym oddziale śmierć była nieprzerwanie obecna – tu nieustannie ktoś umierał. Czasami mijało pięć, sześć dni bez zgonu, a potem umierały dwie osoby jednego ranka.

Za każdym razem cieszyłam się, że nie padło na mnie.

Oczywiście nie zawsze zachowywałam optymizm – żałowałam, że zachorowałam na tę dziwną, straszną chorobę i chciałam być w domu z dziećmi i Ryanem, chciałam chodzić do pracy – o Boże, jakież to wszystko wydawało się cenne! Wolałabym nie czuć się taka przerażona, taka samotna, ale ani razu, nawet kiedy straszliwie bolało mnie biodro, nie żałowałam, że się urodziłam.

W tyle głowy niczym kamyk nieustannie przetaczała mi się myśl, którą powtarzała moja babcia: „Jak się zaciągniesz, musisz walczyć”.

Wiecie, jak to starzy ludzie zawsze mają na podorędziu wielki zapas strasznych wieści – sąsiadce ukradli dachówki, a sygnalizator przy skrzyżowaniu przewrócił się na męża jednej takiej pani, a ten mężczyzna, co to pracuje na poczcie, wiesz który, no to jego pies pogryzł jednego prawnika.



No więc ilekroć przyjeżdżała do nas babcia Locke (mama taty), relacjonowała wszelkiego rodzaju katastrofy, a na koniec wzdychała, jakoś tak posepnie, ale z zadowoleniem, i mówiła: „Jak się zaciągniesz, musisz walczyć”.

Chodziło o to, że skoro już chodzisz po tym świecie, zgadzasz się na to wszystko, na dobre i na złe; nie ma klauzuli, że możesz się wycofać, jeśli boli. Wszyscy cierpieli – teraz widziałam to zadziwiająco wyraźnie – nawet rodzice w szkole Betsy i Jeffreya. Z pozoru ich życie wydawało się jedną długą karuzelą wspaniałych wakacji, ale słyszało się to i owo. Jedna z mamus, która była lekarką, straciła prawo wykonywania zawodu, bo naćpała się osobistym zapasem środków przeciwbólowych.

A inna, taka z bardziej bajkowych – och, powinniście ją zobaczyć, wyglądała tak, że powinna wyjść za gwiazdę rocka – nosiła dzinsy z działu dziecięcego i była taka, taka chuda, na dodatek widać było, że osiąga to bez wysiłku. No i pewnego dnia stanęła i złamała sobie kość udową i okazało się, że ma osteoporozę – w wieku trzydziestu pięciu lat! Podobno od lat cierpiała na anoreksję.

Zawieźli ją do szpitala psychiatrycznego i od tego czasu jej nie widziałam. (Czy to mnie czyni bardzo złym człowiekiem – tak, pewnie tak – że z jej historii czerpię małe poczucie ulgi: może nie mam płaskiego brzucha, ale przynajmniej nie łamię sobie nóg, wstając z krzesła).

Wszyscy cierpią. Nie tylko ja.

I właśnie przyszedł Mannix Taylor. W rozpiętym lekarskim fartuchu – ilekroć się pojawiał, zawsze towarzyszyło mu ożywienie i emfaza.

Zapnij ten swój pieprzony fartuch.

Usiadł na krześle i zaczął niemal radośnie:

– Stello, wiem, że mnie nie lubisz.

Mrugnęłam prawym okiem. Tak. No czemu nie? To było oczywiste. On też mnie nie lubił.

– Ale popracujesz ze mną przy niewielkim projekcie? – Odniosłam wrażenie, że mówi... z entuzjazmem.

...Ekhm... no dobra... I mrugnęłam prawym okiem.

– Nic więcej nie umiesz zrobić? – spytał. – Tylko mrugasz?

Wpatrywałam się w niego. Najbardziej sarkastycznym swoim tonem pomyślałam: Tak mi przykro, że sprawiam ci zawód.

– No dobra, chciałem się tylko upewnić. Widzisz, myślałem o tobie. Nie jesteś w stanie się komunikować, jak wiemy. Słyszałaś o książce *Skafander i motyl*?

Słyszałam. Tata kazał mi ją przeczytać kilka lat temu.

– Napisał ją człowiek, który tak jak ty był w stanie poruszać jedynie powiekami. Gwoli ścisłości, to on mógł poruszać jedną powieką. Był więc w gorszej nawet sytuacji niż ty. Usiłuję ci przekazać, że skoro możesz mrugać, możesz się komunikować. Pomyśl więc o czymś, co chciałabyś mi przekazać. – Wyjął z kieszeni długopis. Z kąśliwym uśmiechem dodał: – I postaraj się być uprzejma. – Odpiął kartkę z mojej karty i obrócił ją na drugą stronę. – Nie masz energii, żeby dużo mówić – dodał – więc skup się na czymś ważnym. Wymyśliłaś coś?

Mrugnęłam prawym okiem.

– Dobra. Pierwsza litera. To samogłoska?

Mrugnęłam lewym okiem.

– Nie? A więc spółgłoska?

Mrugnęłam prawym okiem.

– Spółgłoska. Znajduje się w pierwszej połowie alfabetu? Od A do L? Nie? A więc w drugiej.

Znowu mrugnęłam prawym okiem.

– Czy to M?

Mrugnęłam lewym okiem.

– Zaczekaj, zaczekaj. Jak będziesz reagować na każdą literę, wykończysz się. Musimy podzielić je na pięcioelementowe zbiory. Jeśli to nie jest właściwa litera, nic nie robisz. Będę cię obserwował. Ja wezmę na siebie cięższą stronę. Jasne? Czy to N?

Nie zareagowałam.

– P?

Mrugnęłam prawym okiem.

– To P? Tak? – Zapisał ją na kartce. – Druga litera. Samogłoska? Nie? Pierwsza połowa spółgłosek? Nie? No to druga.

I tak kontynuowaliśmy, aż powiedziałam PRZEPRASZAM.

Opadł na oparcie i popadł w zamyślenie.

– Za co ty przepraszasz? – Zaśmiał się. – Nie mogę się doczekać, aż mi powiesz. Masz siły kontynuować?

O tak.

Kontynuowałam więc, aż powiedziałam PRZEPRASZAM ZA SAMOCHÓD.

– Twoje pierwsze zdanie od miesiąca, a ty je zużywasz na sarkazm. Nic, że za gorąco, za zimno, za bardzo boli? No dobra, super, że wszystko dobrze. A ja się o ciebie martwiłem.

Nagle zrobiło mi się bardzo przykro, że zmarnowałam tę cenną okazję na buractwo. Powinnam spytać, czy ktoś mógłby zmusić Jeffreya do umycia włosów – podejrzewałam, że nie mył ich, odkąd trafiłam do szpitala – albo czy Karen by kupiła „Grazie” i poczytała mi na głos.

– No dobra, tak czy owak – Mannix Taylor dworsko skłonił głowę – przeprosiny przyjęte.

I kto tu jest sarkastyczny?

– I kto tu jest sarkastyczny? – powiedział do siebie i nagle szybko zerknął na mnie. Niemal zaniepokojony spytał: – To właśnie myślałaś?

Mrugnęłam – nie.

Pokręcił głową.

– Jak na kobietę, która nie może poruszyć żadnym mięśniem, słabo wypadasz w kategorii pokerowa twarz, Stello Sweeney. Tak się składa, że to nie w mój wóz wjechałaś.

Zaczęłam mrugać: A W CZYJ?

Mannix Taylor zerknął na kartkę, na której transkrybował moje mrugnięcia, a potem na mnie.

– Stello... – pokręcił głową i zaśmiał się. – Może to zostawisz?

Ale ja chciałam wiedzieć.

Przyglądał mi się tak długo, że już uznałam, że mi nie powie. Ale on, o dziwo, powiedział:

– To był wóz mojego brata.

Brata?

– Tak jakby.

No to był czy nie?

– Niejako przekonał dealera, żeby dał mu się przejechać nowiuteńkim range roverem, za który w zasadzie nie zapłacił.

Jak to?

– Jest niebywale czarujący, ten mój brat. – Mannix spojrzał na mnie kpiąco. – Najwyraźniej zero rodzinnego podobieństwa.

Ej, ale to ty powiedziałaś...

– Zwróciłem go dealerowi, ale wóz nie był ubezpieczony. To była tylko krótka przejażdżka i miałem ubezpieczenie od odpowiedzialności cywilnej, ale...

Połączenie wszystkich faktów zajęło mi kilka minut, aż wreszcie uzyskałam pełen obraz i on nie był miły – Mannix Taylor prowadził nowy samochód, do którego nie miał polisy, więc wszystkie koszty naprawy spadły na niego.

Wściekły facet, który wjechał w tył mojego wozu, choć tak szalał, nie musiał za nic zapłacić.

Nie miałam pojęcia, ile kosztuje nowy range rover, ale na pewno potwornie dużo.

WYBACZ.

– Ach, nie ma sprawy. – Znużony przetarł twarz.

Tak byłam spragniona konwersacji, że chętnie posłuchałabym wszystkiego, ale to była naprawdę ciekawa opowieść.

Komunikując wzrokiem zachętę, nakłoniłam Mannixa Taylora, by mówił dalej.

– To mój starszy brat. Agent nieruchomości. Roland Taylor. Pewnie o nim słyszałaś. Wszyscy słyszeli. Wszyscy go kochają.

Roland Taylor, pewnie, że o nim słyszałam! Czasami występował w talk-show, był bardzo gruby i raczył ludzi zabawnymi opowieściami. Gwoli sprawiedliwości, był zabawny: pierwszy w Irlandii celebryta z rynku nieruchomości. Jedną z wielu dziwnych rzeczy, które zrodził Celtycki Tygrys, zaraz obok celebryckich optyków i celebryckich różdżkarzy.

Pomimo swojej nadwagi Roland Taylor zawsze ubierał się w modne ciuchy i hipsterskie okulary i jakimś cudem sprawiał wrażenie raczej urocze niż śmieszne. Naprawdę był niesamowicie sympatyczny – jeden z tych celebrytów, z którymi człowiek rzeczywiście chciałby się przyjaźnić. I on był bratem Mannixa Taylora! A to dopiero!

– On... ma problemy – kontynuował Mannix. – Z pieniędzmi. Z wydawaniem pieniędzy. To nie jego wina. To... to taka cecha rodzinna. Opowiem ci o tym któregoś dnia. – Przyglądał mi się, jakby się zastanawiał. – Albo może nie...

# Poniedziałek, 2 czerwca

## 4.14

Budzę się. Nie chcę, ale najwyraźniej nie udobruchałam Bogów Snu wystarczającymi ofiarami. Idę do pokoju gościnnego i włączam stojący tam komputer. I zaraz myślę: co ja wyprawiam, na litość boską?! Jest czwarta rano. Natychmiast wyłączam sprzęt, wracam do łóżka i przetrząsam szufladę stolika nocnego w nadziei na znalezienie jakichś wspomagaczy. Nawija mi się opakowanie pigułek walerianowych; zalecają dwie tabletki „na spokojny sen”, więc biorę sześć, no bo, heloooo, to tylko ziółka. Moje lekkomyślne podejście najwyraźniej robi wrażenie na właściwych bóstwach, ponieważ w nagrodę dostaję pięć godzin kamiennego snu.

## 9.40

Wstaję ponownie. Na dole widać ślady, że Jeffrey już przerwał swój post i wyszedł z domu – na suszarce stoi umyty kubek i miseczka, wręcz emanują wymuszkaniem. Mamy zmywarkę, więc on nie musi absolutnie nic myć, ale i tak myje, w jakiejś niepojętej próbie upomnienia mnie.

Guzdram się przy kuchennym stole, piję herbatę i rozmyślam, jakim ekscentrykiem jest moje młodsze dziecko. Wczoraj mógłby nas oboje zatruć tymi swoimi darami natury. Oczywiście to tylko faza, przez którą przechodzi, ale im szybciej wróci do normalności, tym szybciej się ucieszę.

Wypijam kolejną herbatę i zjadam okazałą miskę granoli. Tak, granoli: pokruszonych ciasteczek udających zdrową żywność. Doskonale wiem, co robię. Nie jestem już w fazie zaprzeczenia. Ale żeby zacząć swoją PRNB (Procedurę Redukcji Nadprogramowego Brzucha), muszę kupić specjalną, straszliwą żywność, a do tego czasu mogę zużyć to, co jest w domu. W końcu to zbrodnia marnować jedzenie, zwłaszcza w tych trudnych czasach.

Nagle dopada mnie potworny strach – myśl o życiu bez węglowodanów jest przerażająca.

Ale w przeszłości już mi się to zdarzało. Aczkolwiek, z perspektywy czasu, aż się dziwię, że umiałam być taka posłuszna. I znowu wspominam dzień w Denver, gdy Gilda wyrzuciła mnie z łóżka i kazała biegać po ciemku sześć kilometrów. Kiedy wróciliśmy do hotelu, wzięłam prysznic i po prostu czekałam na dalsze instrukcje. Miałam nadzieję (!), że zostanę nakarmiona, ale wiedziałam, że nie ma sensu pytać. Jeśli mam dostać jeść, to dostanę. Jeśli nie, to nie. Proste. Nie trzeba było myśleć. Myślenie należało do Gildy.

Ona dowodziła moją dietą – wysokobiałkową, bezcukrową, z dokładnie policzonymi kaloriami. Ta dieta i bieganie zapewniały mi rozmiar osiem. Europejski osiem, powinnam podkreślić. Nie amerykański, który jest tak naprawdę europejską dwunastką i który w nikim nie budzi podziwu.

Układając mi włosy – niewiele było rzeczy, których Gilda nie mogła robić – przedstawiała mi program dnia.

– Za dziesięć minut przyjedzie samochód i zabierze nas na plan Good Morning Denver. Wchodzisz w okienko o siódmej trzydzieści pięć i masz cztery minuty. Podają godzinę spotkania w południe i pokazują okładkę książki. Potem idziemy do centrum rehabilitacyjnego, gdzie masz spotkanie z pacjentami. Nakarmisz ich śniadaniem. Będą to pokazywać lokalne stacje...

– A ja? – nie wytrzymałam. – Ja dostanę jakieś śniadanie?

– Oczywiście.

– Och, doprawdy?

Roześmiała się.

– Tylko mnie nie zabij. Zjesz trochę szpitalnego posiłku razem z pacjentami.

– Szpitalnego posiłku?

– No proszę cię – powiedziała zachęcająco. – To będzie pokrzepiające. Powspominasz te chwile, gdy byłaś karmiona przez rurkę w brzuchu. Kogo by nie poruszyło takie wspomnienie? Ja już czuję łyzy pod powiekami.

– A ty? – spytałam. – Pewnie dostaniesz wielki talerz placków z syropem.

– Pewnie tak. No ale ja nie jestem gwiazdą. – I obie się roześmiałyśmy.

Wracam do terażniejszości – jem jeszcze trochę granoli i zastanawiam się nad porankiem. Zadanie numer jeden: muszę zrzucić trzy kilogramy ze swojego miejsca na B. Zadanie numer dwa: muszę napisać książkę.

Dzwoni mój telefon. Mama.

– Gdzie jesteś? – Jest zła.

– A gdzie mam być?

– Tutaj. Zabierasz mnie do sklepu. Jest poniedziałek.

W każdy poniedziałkowy rano wiozę mamę do supermarketu. Jak mogłam o tym zapomnieć?

To oznacza, że na jakiś czas mogę odłożyć swoje zadania. Super!

– Będę u ciebie za kwadrans.

– Powinnaś być już.

Kompletuję letni strój, którego filarem są moje nowe damskie chinosy. Na szczęście dodatkowe kilogramy nie poszły

mi w stopy, więc zeszłoroczne sandały pasują.

### 10.30

Wsiadam do samochodu, tego samego, którym wozilałam do szkoły Jeffreya i Betsy. Samochodu, którego już nie potrzebowałam, gdy zaczęło się moje nowe życie i przeprowadziłam się do Nowego Jorku. Prosiłam Karen, by mi go sprzedała, ale ona się z tym wstrzymała, bo najwyraźniej nie podzielała mojej wiary w mój szczęśliwy koniec.

I może lepiej. Bo kiedy mój happy end okazał się złudzeniem, potrzebowałam wozu. A ten czekał na mnie w domu, jakbym nigdy nigdzie nie wyjeżdżała.

Gdy jadę, w radiu leci *Bringing Sexy Back*, a ja od razu sobie przypominam koncert Justina Timberlake'a w Madison Square Garden. Zabrała mnie na niego Gilda. Był to jeden z najwspanialszych wieczorów mojego życia. Po raz tysięczny zastanawiam się, co u niej. Ale nie mogę sobie pozwolić na wygooglenie jej. Muszę powtarzać swoją mantrę: Bądź zdrowa, bądź szczęśliwa, nie zaznaj cierpienia.

### 10.35

Mama otwiera drzwi rozłoszczona, że zapomniałam o cotygodniowych zakupach, ale nagle obrzuca mnie uważnym spojrzeniem i mówi miłe zaskoczona:

– Stello! Kupiłaś nowe spodnie?

Z nieoczekiwaną dumą odpowiadam:

– Karen mi pomogła. To są chinosy.

– Chinosy? A chinosy nie są aby męskie?

– To są damskie chinosy.

– Damskie chinosy! To jakaś nowość. No dobra... – Nadeła się z podziwu. – Idź się pokaż ojcu.

– Dobra. Halo. Tato! – Nie wtykam po prostu głowy do salonu, tylko idę do środka, żeby mieć pewność, że mnie zobaczy.

– O, Stella – mówi. A potem przygląda mi się uważniej. – Co zrobiłaś? Wyglądasz super.

– Kupiła sobie chinosy. – Mama stanęła koło mnie.

– Chinosy?

– Damskie chinosy – odpowiadamy chórem.

– Czy przyłożyła się do tego Parwieniuszka?

– Tak! – znowu zgodnie.

– No, tym razem trzeba jej przyznać, że odwalila kawał dobrej roboty. Wyglądasz świetnie.

– Świetnie – potwierdza mama. – Absolutnie.

No i wiecie co? Wyglądam świetnie! Damskie chinosy okazały się sukcesem! Mój nowy wygląd okazuje się trafiony!

### 12.17

O mój Boże, co oni jedzą za gówno – ciasteczka, chipsy, dziwne ciasta z dziesięciomiesięcznym terminem przydatności do spożycia... Wszelkie połączenie tłuszczów trans i cukru jest mile widziane w wózku Hazel Locke.

Zakupy z mamą to zawsze ciężka walka – to ona kontroluje wózek, kontroluje, co do niego trafia. W tym tygodniu mama wygrywa – mnie każe lepiej zaparkować, a sama wyskakuje z jednym euro w dłoni i chwyta wózek, zanim ja zdążam wyłączyć silnik. Kiedy to jej pasuje, mama jest zadziwiająco zwinna. A także przebiegła.

Spędzamy potworną ilość czasu w ośrodku tłuszczów trans, a potem nalegam, żebyśmy poszły do alejki z owocami i warzywami.

– Może brokuły? – sugeruję.

– Nienawidzę brokułów – mówi ponuro.

– W życiu ich nawet nie próbowałaś.

– Zgadza się. Bo ich nienawidzę.

– Daj spokój, mam. A marchewki?

Bez entuzjazmu dotyka torby marchewek, aż nagle cofa rękę, jakby były radioaktywne.

– Organiczne!

– Organiczne to znaczy dobre – mówię, jak zawsze. – Są lepsze niż zwyczajne.

Bierze do ręki organiczne jabłko.

– Jak to możliwe, Stello? Spójrz, jaki ono ma smutny kształt. Wygląda jak jabłko z Czarnobyli. Tak czy owak – dodaje posępnie – w naszym wieku możemy sobie pozwolić na małe przyjemności.

– Więc umrzecie przedwcześnie.

– I co?

Chcę ją chwycić za ramię i powiedzieć z mocą: „Przestań być taka stara!”.

Ale to ją przerasta. Moi rodzice nigdy nie będą się ubierać w białe płótno ani chodzić boso po plaży, z uśmiechem trzymając się za ręce i emanując zapewnionym przez tran zdrowiem.

To, że mieszkasz przy polu golfowym,  
nie oznacza, że musisz grać w golfa.

fragment *Mozolnych mrugnięć powieką*

**M**annix Taylor wpadł do mojego boks w towarzystwie czterech, nie, pięciu pielęgniarek. Co się działo?

– Dzień dobry, Stello – rzekł. – Przeprowadzimy tu małą lekcję. Pokażesz siostram, jak wczoraj mrugałaś.

Ekhm, dobra.

Pielęgniarki zebrały się wokół mojego łóżka w ponurej grupce. „Jesteśmy zajęte” – każda krzyczała całą sobą. „I tak mamy dość roboty, bez oglądania mrugania sparaliżowanej kobiety”.

– No dobrze! – Mannix trzymał długopis nad kartką papieru. – Co byś chciała powiedzieć, Stello? Pierwsza litera. Samogłoska? Nie? Spółgłoska. Pierwsza połowa alfabetu? Tak? B, C... C! Super. A więc C.

Odwrócił się do pielęgniarek.

– Widzicie, jak to się odbywa? Kto chciałby spróbować?

Skoro nikt się nie zgłosił, wcisnął długopis i kartkę najbliższej stojącej pielęgniarence.

– Ty, Olive – rzekł. – Do dzieła, Stello.

Niemal wstydliwie przeliterowałam CZEŚĆ.

Pielęgniarki wpatrywały się we mnie, aż wreszcie jedna z nich odparła:

– Cześć.

– Dlaczego mamy się z nią witać? – spytała inna. – Ona tu leży od miesiąca.

– Ale Stella po raz pierwszy ma okazję się do was odezwać – wyjaśnił Mannix.

– Ahaaa. No tak. No dobra, musimy już iść.

Gdy ruszyły do swojego stanowiska, wyraźnie usłyszałam, jak jedna z nich mówi:

– Co on sobie myśli, do cholery?!

– O której przychodzi mąż Stelli? – spytał Mannix siostrę Olive.

– Na ogół o ósmej rano i potem o dziewiętnastej.

– Więc przez ten cały czas mogliśmy rozmawiać? – zaatakował Ryan Mannixa Taylora. – Ona tu leży od miesiąca, a nikt nam o tym przez ten miesiąc nie powiedział?

No tak, ale...

Ryan chyba nie rozumiał, że Mannix wprowadził system mrugania specjalnie dla mnie.

– Zespół Guillaina-Barrégo jest niezwykle rzadką chorobą – wyjaśnił Mannix. – Ja się z nim nie spotkałem ani razu przez cały okres swojej praktyki neurologicznej. W żadnym szpitalu w tym kraju nie ma procedur regulujących metody postępowania z pacjentami, którzy na niego chorują.

– Pieprzenie w bambus!

– Wybadałem jednak grunt u specjalistów w Stanach Zjednoczonych i...

– Ona tu leży od miesiąca i ani trochę jej stan się nie poprawił!

Rozpaczliwie próbowałam nawiązać kontakt wzrokowy z moim mężem. „Przestań krzyczeć” – chciałam powiedzieć. „On mi pomaga. Został dzisiaj po godzinach, żeby ci to wszystko wyjaśnić”.

– A swoją drogą kim pan jest, do cholery? – spytał Ryan.

– Jak powiedziałem, jestem neurologiem Stelli.

– A co się stało z doktorem Montgomerym?

– Doktor Montgomery jest Stelli lekarzem prowadzącym. Ja jestem jej neurologiem. Mamy różne zadania. On jest w całości odpowiedzialny za opiekę nad Stellą.

– Dwa honoraria zamiast jednego?

Bałam się myśleć, ile kosztuje moje leczenie.

– Ile pan bierze miesięcznie za to, że się tu pojawia?

– Stella powinna się znajdować pod opieką neurologa od pierwszego dnia, ale ktoś gdzieś to przegapił. Fuszerka administracyjna. Przykro mi, że system państwa zawiódł.

– Noż, kur...

Ryan najwyraźniej był w rozsypce. Przyszedł do szpitala prosto z lotniska po spotkaniu na wyspie Man, tocząc swoją tanią walizkę na kółkach. Był niewiarygodnie udreńczony i wyczerpany.

– Stello... – powiedział. – Ja dzisiaj nie mogę. Zobaczymy się jutro rano.

Jeszcze raz spojrzął groźnie na Mannixa Taylora i wyszedł.

Gdy echo jego kroków umilkło, spojrzeliśmy z doktorem na siebie.

„Każdy dobry uczynek zostanie ukarany”.

Zaśmiał się krótko, jakby zrozumiał, co myślę – może zrozumiał – po czym zrobił w tył zwrot i wyszedł.

Doktor Montgomery się spóźnił.

Po starciu Ryana z Mannixem Taylorem Ryan zażądał raportu z postępów leczenia.

– Chcę informacji – powiedział do mnie, spięty z wściekłości. – Mam już dość patrzenia, jak gnijesz w tym łóżku, ani trochę ci się nie polepsza. I chcę wiedzieć, kim jest ten Mannix Taylor.

Ryan przyprowadził na spotkanie Karen; stali z Mannixem Taylorem skrupowani przed moim boksem i po postawie mojej siostry widziałam, że nie lubi neurologa równie mocno jak mój mąż.

Problem polegał na tym, że Ryan i Karen byli wściekli – wściekli, że jestem chora i że mi się nie poprawia – a ich gniew musiał znaleźć jakieś ujście.

Postanowiłam zapamiętać: jeśli ktoś jest na mnie wściekły, nie powinnam brać tego do siebie, bo kto wie, co się dzieje w jego życiu.

– Kiedy ten doktor Montgomery zamierza się pojawić? – warknęła Karen do Mannixa. – Praca na mnie czeka.

– Na mnie też.

Zła odpowiedź. Karen się zjeżyła, a ja bezsilnie patrzyłam ze swojego łóżka.

Nagle energia na oddziale się zmieniła – przybył doktor Montgomery. Oto on, cały wytworny i w uśmiechach, emanujący życzliwością i serdecznością, podążający na czele orszaku młodszych lekarzy.

– Dzień dobry, doktorze Montgomery! – wołały pielęgniarki. – Dzień dobry!

Wszyscy zaczęli się witać uściskiem dłoni, tak zapamiętałe, że Ryan i Karen przypadkiem uścisnęli dłonie sobie nawzajem.

Mnie nikt nie uścisnął. Nawet nikt na mnie nie spojrział.

– Doktorze Montgomery – zaczął Ryan. – Kazał mi pan okazać cierpliwość. Byłem cierpliwy. Ale my, rodzina Stelli, domagamy się szczerych informacji na temat obecnego jej stanu.

– Oczywiście, oczywiście! A więc mój obecny tu kolega, doktor Taylor, jest specjalistą neurologiem. Może być, Mannixie, zechciał podzielić się odrobiną swojej – sarkastyczny ton – mądrości.

– Postaram się to ująć jak najprościej – powiedział Mannix Taylor. – W zespole Guillaina-Barrégo niszczone są osłonki mielinowe nerwów. Muszą one odrosnąć, zanim ciało odzyska zdolność poruszania

się. Niemniej jednak...

– Słyszeliście państwo – przerwał mu Montgomery – osłonki mielinowe nerwów Sheili muszą odrosnąć, zanim odzyska ona zdolność poruszania się.

– Pacjentka ma na imię Stella – poprawił go Mannix. Doktor Montgomery nawet na niego nie spojrział, nie odrywał swojego życzliwego spojrzenia od niespokojnej twarzy mojego męża.

– Ale jak długo to potrwa? – spytał Ryan. – Jej stan się nie zmienił od chwili przyjęcia do szpitala. Możecie podać jakiś szacunkowy czas, gdy będzie mogła wrócić do domu?

– Wiem, że na pewno tęskni pan za żoną i za domowym jedzeniem – odrzekł doktor Montgomery. – I wiem, że te wszystkie kłótnie wybuchają, by Sheila jak najszybciej wyzdrowiała. Pielęgniarki na naszym oddziale to najlepsze dziewczęta na świecie.

Mannix Taylor spojrział znacząco na stanowisko pielęgniarek, gdzie stało między innymi dwóch pielęgniarzy płci męskiej.

– Może nam pan podać jakiś termin? – spytał Ryan. – Jakikolwiek. Tydzień?

– Ach, proszę się uspokoić. – Montgomery wskazał mnie ruchem ręki, ułożoną na łóżku. – Proszę spojrzeć na naszą biedaczkę.

– A może miesiąc?

– Niewykluczone – odrzekł Montgomery. – W rzeczy samej niewykluczone. Może nawet wcześniej.

„Naprawdę?”

Mannix Taylor patrzył w osłupieniu.

– Z całym szacunkiem, jeśli...

Montgomery przerwał mu stalowym tonem:

– Niemniej jednak naszym priorytetem jest zdrowie Sheili i nie możemy jej wypisać, dopóki nie będzie zdrowa. Jest pan wykształconym człowiekiem, panie Sweeney, rozumie pan to przecież! Więc jeśli nie wyruszy ona do domu za miesiąc od dziś, proszę nie dzwonić do mojej sekretarki z krzykiem, tak jak dzisiaj rano! Biedna Gertie zupełnie sobie nie radzi z takimi sytuacjami! To świetny pracownik, ale jest ze starej szkoły. Ha, ha, ha!

– Ale miesiąc jest w granicach błędu? – nie ustępował Ryan.

– Bez wątplenia. Zajął się pan wędkarstwem?

– ...nie.

– A powinien pan. A pani? – Doktor Montgomery z jawnym zachwytem spojrział na moją siostrę. – Gra pani w golfa?

– Ekhm. Nie.

– A powinna pani. Proszę przyjść czasami do naszego klubu. Na widok takiej pięknej dziewczyny niejedna twarz by się rozweseliła.

Montgomery zerknął na zegarek, podskoczył lekko, powiedział „Och, dalibóg!”, po czym zaczął rozdawać swoje wizytówki; jedną dał Ryanowi, jedną Karen, a jedną głupkowatemu doktorowi de Grootowi, i tę szybko zabrał z powrotem.

– Oddawaj, łachudro! Nie chcę, żebyś ty akurat wydzwaniał do mnie do domu, i tak mam cię już po dziurki w nosie. Ja i mój cień, ha, ha, ha!

Do Ryana i Karen dodał:

– Tu jest mój numer domowy. Proszę do mnie dzwonić. O każdej porze dnia i nocy. Dnia i nocy! Pani Montgomery jest do tego przyzwyczajona; jak już weźmie te swoje tabletki, i tak żyje w swoim świecie, ha, ha, ha! Jeśli cokolwiek was trapi, chwytajcie za telefon. A teraz, niestety, muszę was opuścić, mam spotkanie.

– Kije stygną? – spytał Mannix Taylor znacząco.



Doktor Montgomery posłał mu spojrzenie pełne pobłażliwej niechęci.

– Wiesz co? Powinieneś czasami do nas dołączyć. Dobrze by ci to zrobiło. – Rozejrzał się po swoich słuchaczach. – Poważny gość z tego naszego Taylora.

Wszyscy się posłusznie zaśmiali.

– Jak to mówi mój wnuczek? – dodał jeszcze Montgomery. – „Może byś wyluzował?!” – I wszyscy znów się roześmiali. – Bardzo było mi miło. – Doktor Montgomery uśmiechnął się promiennie. – Musimy to kiedyś powtórzyć.

Szybko uściśnął wszystkim ręce, wszystkim oprócz Mannixa. I oprócz mnie, oczywiście. „Trzymaj się, Patsy!”, rzucił i oddalił się, a jego świta truchtem dotrzymywała mu kroku.

– Ale on był zabawny – powiedziała moja siostra, odprowadzając go wzrokiem.

„Naprawdę?” Karen, najbystrzejsza osoba, jaką znałam, dała się Montgomery’emu nabrać na te tanie sztuczki. On oszukiwał tak wszystkich, podczas gdy było jasne – w każdym razie dla mnie – że nie ma pojęcia o moim stanie zdrowia. I zmroziło mnie, jak pomyślałam, ile dostaje kasy za te swoje cenne parę minut pracy.

Po odejściu doktora Montgomery’ego jakby pękł balon. Cała wesołość zniknęła. A gdy przemówił Mannix Taylor, zrobiło się jeszcze bardziej ponuro.

– Posłuchajcie – powiedział do mojej rodziny – wiem, że doktor Montgomery powiedział, że Stella za miesiąc będzie w domu, ale to nieprawda.

Ryan zmrużył oczy.

– Słucham?!

– Nie ma takiej możliwości...

– Doktor Montgomery ukończył dwa kierunki na Trinity, oba z najlepszą notą – powiedział Ryan. – Od piętnastu lat jest starszym specjalistą w tym szpitalu. Chce pan powiedzieć, że wie więcej od swojego szefa?

– Jestem neurologiem. Specjalizuję się w schorzeniach centralnego układu nerwowego.

– Powiedział pan, że nic nie wie o zespole Guillaina-Barrégo.

– Powiedziałem, że nigdy się nie zetknąłem z tą chorobą w swojej praktyce. Ale nawiązałem kontakt ze specjalistami w Stanach Zjednoczonych i z tego, czego się dowiedziałem, wnioskuję, że powinniście się uzbroić w cierpliwość.

– Więc ona nie wróci do domu za miesiąc?

– Nie.

– Jak pan może tak mówić w jej obecności? – spytała ostro Karen. – Jak pan może być tak okrutny?

– Nie zamierzałem być okrutny.

– Więc kiedy ona wróci do domu? – spytał Ryan.

– Nie sposób określić.

– Rewelacja – skwitował Ryan z gniewnym sarkazmem. – Po prostu rewelacja.

Karen chwyciła go za ramię, próbując go uspokoić.

– Ryan – powiedziała – chodźmy już. Lepiej to teraz zostawić.

Oboje niechętnie pocałowali mnie w czoło, a potem wyszli i przy moim łóżku został już tylko Mannix Taylor.

– Doktor Montgomery rzeczywiście ukończył dwa kierunki na Trinity z pierwszą lokatą – powiedział. I dodał: – Jakiś tysiąc lat temu.

O dziwo, zachichotałam. W myślach, oczywiście.

– I rzeczywiście jest w tym szpitalu starszym specjalistą całe wieki. To wszystko prawda, co powiedział twój mąż.

„Ale to nie czyni go dobrym lekarzem”.

– „Nie wystarczy dużo wiedzieć, żeby być mądrym” – dodał Mannix. – Tak powiedział chyba Sokrates.

Zamrugałam powiekami. Wcześniej uzgodniliśmy, że to sygnał oznaczający, że chcę rozmawiać. Sięgnął po długopis i kartkę, a ja przeliterowałam: HERAKLIT.

– Heraklit? – zdziwił się. – Co to jest heraklit? – Nagle wybuchnął śmiechem. – Ach, Heraklit z Efezu! To on powiedział „Nie wystarczy dużo wiedzieć, żeby być mądrym”! Nie Sokrates. Ależ z ciebie dziwaczka, Stello. Czy też mogę mówić do ciebie Sheila? Skąd znasz greckich filozofów, skoro jesteś tylko skromną fryzjerką?

KOSM...

– Kosmetyczką. Wiem. To był żart.

„Żart powinien być śmieszny”.

– Tak – westchnął. – Może powinienem sobie odpuścić żarty. Chyba nie mam do nich smykałki.

Tamtej nocy, w ciągu pustych godzin swojego „wspaniałego” snu, myślałam o Mannixie Taylorze: to był wyjątkowy człowiek. Obrabiał tyłek Montgomery’ego wysoce nieprofesjonalnie, mimo że miał rację.

Zastanawiałam się nad prywatnym życiem Mannixa Taylora. Nosił obrączkę – oczywiście – i miał ładne zęby, a także wykonywał dobrze płatny, szanowany zawód. Na pewno miał doskonałą żonę.

No chyba że był gejem. Ale nie odnosiłam takiego wrażenia. Nie, na pewno miał żonę.

Zastanawiałam się, czy w domu też jest taki kapryśny jak w pracy. Pewnie nie. Pewnie żona nie pozwala mu na takie wyskoki. „Nie przynoś do domu problemów z pracy” – niemal słyszałam, jak mówi. Wyobrażałam ją sobie jako wysoką piękność o skandynawskiej urodzie, może eksmodelkę. Ideal. Prowadziła własną firmę. Zajmowała się... No czym? Wystrojem wnętrz? Tak, wystrojem wnętrz. Takie jak ona zawsze zajmowały się wnętrzarstwem – latały z szablonami kolorów i próbkami tkanin i płaciło im się majątek. A może była psychologiem dziecięcym – te z kolei potrafiły naprawdę zaskakiwać.

Zdecydowałam, że mają z Mannixem trójkę pięknych blond dzieci. Jedno z nich ma... powiedzmy, dysleksję, bo nikt na świecie nie ma doskonałego życia. Ale cztery razy w tygodniu przychodził prywatny nauczyciel, był drogi, lecz wart swojej ceny, mała Saoirse robiła wielkie postępy i nadążała za rówieśnikami.

Mannix Taylor mieszkał... no gdzie? Gdzieś z elektrycznie otwieraną bramą. Tak, zdecydowanie. Zapewne w jednym z tych pięknych domów w Wicklow, niedaleko klubu golfowego Druid’s Glen. Przerobiona ogromna stodoła, a do tego pół akra ziemi. Akuratnie wiejska okolica, wszędzie dokoła pola, ale w wygodnej odległości do N11, żeby dało się w pół godziny śmignąć do Dublina.

Co Mannix Taylor robił w wolnym czasie? Ciężko powiedzieć, ale jedno było pewne – nie grał w golfa. A to akurat szkoda, zważywszy, że mieszkał tak blisko renomowanego klubu golfowego.

## 16.22

– Słyszałam, że pokazałaś się w swoich chinosach! – Na moim progu stoi Karen z pięknie ułożonymi lśniąco blond włosami.

– Tak. – Odsuwam się, by ją wpuścić. – Bardzo ci dziękuję! Muszę przyznać, że miałam wątpliwości...

– Od razu ci przerwę. – Wchodzi do kuchni. – Nie za wcześnie na wino? Pewnie tak, zresztą ty i tak nie masz wina. – Włącza czajnik. – Na czym to ja stanęłam? A właśnie: nie myśl sobie, że już wszystko okej. Chinosy to jedynie rozwiązanie tymczasowe. Kamuflaż. Nadal musisz zrzucić pięć kilo.

– Nie pięć! – krzyczę. – Trzy.

– Cztery.

– Trzy i pół.

– Nieważne. Wszyscy ludzie tracą na wadze, gdy ich życie się rozpada – mówi w zamyśleniu. – Ale ty masz pecha! – Otwiera i zamyka kilka szafek. – Masz jakąś normalną herbatę w torebkach? Nie piję tego ziołowego gówna.

– Ja też nie – odpowiadam z godnością. – Ziołowe gówno należy do Jeffreya.

– Jezu, ależ on jest dziwny. Swoją drogą, mój syn też. Myślisz, że nosimy w genach jakąś męską dziwność? Białko! – mówi nagle. – Potrzebujesz białka. Mnóstwo białka. Zapomnij o istnieniu węglowodanów.

– To są twoje prawdziwe rzęsy? – pytam, bo bardzo pragnę zmienić temat.

– To? – Karen trzepocze oszalałymi rzęsami. – Nic nie jest moje prawdziwe. Wszystko jest sztuczne. Paznokcie... – Miga mi przed oczami swoimi dłońmi. – Zęby. – Otwiera buzię w szybkiej prezentacji. – Brwi. Opalenizna. Przedłużę ci rzęsy. – Ciężko przetyka ślinę i nie bez wysiłku dodaje: – Po kosztach.

Kręcę głową.

– Miałam przedłużane rzęsy. To jakiś koszmar. Nie można ich dotykać, nie można robić nic, co bym im zaszkodziło. Zupełnie jakbyś żyła w dysfunkcyjnym związku.

Karen wpatruje się we mnie znacząco.

– Nie był dysfunkcyjny – mówię. – Wręcz przeciwnie.

– Dopóki się nie stał dysfunkcyjny.

Chyba mi się zbiera na płacz.

– Ach, Karen... może powinnaś już iść? – Nagle sobie coś przypominam. – Śnił mi się dzisiaj Ned Mount.

– A to z jakiej racji?

– Nie mamy wpływu na to, kto nam się śni! Tak czy owak, lubię go. – Prowadził ze mną audycję radiową, gdy *Mozolne mrugnięcia powieką* wyszły w Irlandii. Świetnie się dogadywaliśmy.

– Może...?

– Nie. Nie, ten rozdział mojego życia jest zamknięty.

– Masz dopiero czterdzieści dwa lata.

– Czterdzieści jeden.

– I pół.

– I ćwierć. Dopiero ćwierć.

Karen omiata spojrzeniem moją twarz.

– Czas, żebyś sobie zafundowała parę poprawek. Śmiało. Doktor JinJing przyjeżdża w czwartek. Ja stawiam.

– Ach, nie, dziękuję...

Ze względu na ograniczenia prawne Karen musiała zrezygnować z samodzielnego przeprowadzania ostrzykiwań i teraz co czwartek do salonu przybywał młody chiński lekarz, by chętnym klientkom wstrzykiwać botoks i wypełniacze. Ale ja widziałam efekty jego pracy i przeraziły mnie. Toporne – tak najdelikatniej można by je określić, a wiedziałam z doświadczenia, że zły botoks jest gorszy niż brak botoksu.

W Nowym Jorku trafiłam na naprawdę dobrego specjalistę, lekarza, który rozumiał subtelności. Mogłam poruszać brwiami i w ogóle. A potem popełniłam błąd oszczędnościowy i poszłam do kogoś tańszego i na moim czole pojawił się ciężki nawis. Wyglądałam jak wiecznie niezadowolona kromanionka. Dwa miesiące, które musiałam odczekać, nim zły botoks zniknął z mojej twarzy, wspominam jako bardzo długi okres.

– Jesteś pewna? – pyta Karen niecierpliwie. – Nie musisz płacić. Nie co dzień człowiek dostaje taką ofertę.

– Przysięgam na Boga, Karen, podoba mi się, jak jest.

– Czy ty słyszysz, co ja mówię? Powiedziałam, że nie musisz płacić!

– Dzięki. Cudownie. Ale nie w tej chwili, dobra?

Nie myśl „Dlaczego mnie to spotkało?”,  
tylko „Dlaczego mnie nie miałyby spotkać?”.

fragment *Mozolnych mrugnięć powieką*

Po uruchomieniu Szyfru Mruganego w moim szpitalnym łóżku wszystko się zmieniło. W pierwszej komunikacji z rodziną poprosiłam Karen, by umyła mi włosy, a tylko człowiek tak nieustraszony jak ona mógł podołać temu zadaniu – ponieważ to było niebagatelne wyzwanie wymagające użycia folii plastikowej, pojemników, gąbki i niezliczonych nerek wody. Nie wspominając o delikatnych pertraktacjach z wszystkimi przewodami, które wchodziły we mnie i ze mnie wychodziły. Mama, Betsy i Jeffrey asystowali, biegając posłusznie do łazienki wylewać mydliny i wracając ze świeżą wodą, a potem Karen wysuszyła mi włosy, układając je w łagodne loki, bym nie musiała umierać w brudzie.

Moim następnym życzeniem była solenna obietnica złożona przez Betsy i Jeffreya, że nie zaniedbają szkoły, a moje trzecie życzenie było dość zabawne – zmęczyły mnie już wizyty ludzi, którzy przychodzili i gapili się na mnie piętnaście minut, a potem wychodzili. Chciałam rozrywki, nawet śmiechu. Oddałabym życie za odcinek *Coronation Street*, ale że to nie wchodziło w grę, ktoś mógłby mi czytać gazety: bardzo tęskniłam za doniesieniami o zerwaniach i zejściach celebrytów, kto schudł, kto przytył, o nowych trendach w obuwiu i urodzie.

Ten punkt trochę się wymknął spod kontroli. Tata się dowiedział, że chcę, by mi czytano, więc przybył cały podekscytowany z książką z biblioteki w plastikowej osłonce.

– Pierwsza powieść – pomachał mi nią. – Jakiś Amerykanin. Tom Wolfe nazwał go najszacowniejszym powieściopisarzem dwudziestego pierwszego wieku. Joan odłożyła ją specjalnie dla ciebie.

Przysunął sobie krzesło i zaczął czytać. I to było bardzo, bardzo straszne.

– „Błysk. Odblask. Poblask. Mlekiem płynąca. Obfita. Kremiście suty. Bujna kaskada”.

Za jego plecami ukazał się Mannix Taylor.

– „Ciało. Cieliste. Teutońska prawda – ciągnął tata. – Mięso. Tym jesteśmy, a tym będziemy. Cienkie skórzaste worki pełen czerwonego płynu i przerośnięte mięśnie. Chrzęśni ludzie...”

– Co tu się dzieje? – spytał z niepokojem Mannix Taylor.

Tata zerwał się z krzesła i obrócił.

– Mannix Taylor, neurolog Stelli. – Mannix wyciągnął do niego rękę.

– Bert Locke, ojciec Stelli. – Tata niechętnie też podał dłoń. – Stella chce, żeby jej czytać.

– Ona jest bardzo słaba. Potrzebuje energii do leczenia ciała. Nie żartuję. Ta książka – ruchem ręki wskazał powieść – jest trudna. Za ciężka dla niej.

Westchnęłam w duchu. Ten Mannix był taki władczy, bez mrugnięcia okiem robił sobie wrogów.

– Więc co ja niby mam jej czytać? – spytał ojciec drwiąco. – *Harry’ego Pottera*?

Siekałam cebulę. Nawet jeśli tylko tak sobie wmawiam, byłam w tym niebywale świetna, niczym szef kuchni w programie telewizyjnym. Moje zwinne palce śmigaly, dzierżąc bardzo drogi japoński nóż, błyskając siną stalą w powietrzu. Otaczali mnie ludzie; ich twarze były zamazane, ale wydawali „ochy” i „achy” w bezkresnym podziwieniu. Z wielką wprawą obróciłam swoją cebulę o dziewięćdziesiąt stopni i znowu się rozsiekałam, w takim tempie, że moje ruchy były niemal niezauważalne dla ludzkiego oka, a potem odłożyłam swój bardzo drogi japoński nóż.

I jeszcze kulminacja. Objęłam cebulę dłońmi, składając je niemal jak do modlitwy. Delikatnie

ruszałam dłonie, jakby uciekały, i oto cebula się zapadła posiekana na małe, doskonałe kawałeczki. Wszyscy zaczęli klaskać.

I nagle się obudziłam. W szpitalnym łóżku, w nieruchomym ciele, z całkowicie bezużytecznymi palcami.

Coś mnie obudziło.

Ktoś mnie obudził. Mannix Taylor. Stał w nogach łóżka i mi się przyglądał.

Milczał tak długo, że zaczęłam się zastanawiać, czy aby nie oniemiał i teraz stanowimy parę. Wreszcie się odezwał:

– Zastanawiasz się czasami, dlaczego ja?

Spojrzałam na niego z urazą. Co mu było? Czy Saoirse, jego wyobrażona dyslektyczna córka, nie zmieściła się w pięciu procentach najlepszych, pomimo świetnego korepetytora?

– Nie mówię o sobie – wyjaśnił – tylko o tobie. – Ruchem ręki wskazał cały szpitalny sprzęt. – Zachorowałam na taką wyjątkową chorobę. Nie wyobrażasz sobie nawet, jak jest rzadka. I to taka okrutna... Nie możesz mówić, nie możesz się ruszać, w wyobrażeniu większości ludzi to najgorszy koszmar. No więc pytam, czy zadajesz sobie pytanie: „Dlaczego ja?”

Myślałam chwilę, nim mrugnęłam. Nie. Miałam mnóstwo rozmyślań, ale nad tym akurat się nie zastanawiałam.

Mannix Taylor sięgnął do sterylizatora obok mojego łóżka i wziął do ręki długopis i notes, które ktoś – może on – tu zostawił.

– Naprawdę? Dlaczego nie?

A DLACZEGO BY NIE?

– Słucham dalej. – Wydawał się szczerze zainteresowany.

DLACZEGO JESTEM TAKA WYJĄTKOWA? TRAGEDIE MUSZĄ SIĘ WYDARZAĆ. PEWNA ICH LICZBA MUSI SIĘ WYDARZYĆ CODZIENNIE. JAK DESZCZ. SPADŁ AKURAT NA MNIE.

– Jezu – rzekł. – Jesteś lepszym człowiekiem niż ja.

Nieprawda. To zawdzięczałam ojcu – kiedy byłam dzieckiem, całkowicie wyeliminował u mnie zdolność do uzalania się nad sobą. Ilekroć próbowałam to robić, dawał mi prztyczka w ucho i mówił: „Przestań. Pomyśl o kimś innym”.

„Auć!” – wyłam, a on mówił: „Bądź miła, bo każdy, kogo spotykasz w życiu, toczy ciężką walkę. Tak powiedział Platon. Pewien Grek”.

Wtedy ja mówiłam: „Ale ty nie jesteś miły, jak mi dajesz prztyczka w ucho!”

– Za pamięci... – Mannix Taylor wyjął z kieszeni białego fartucha książkę. – Poprosiłem żonę, by mi coś poleciła. Mówi, że to lekka literatura, ale dobrze napisana. – Włożył książkę do sterylizatora i posłał mi żartobliwe spojrzenie. – Zobaczymy, co na to twój tata.

Ej, nie żartuj sobie z mojego taty.

– Przepraszam – powiedział, choć ja przecież milczałam. – W każdym razie skontaktowałam się z dwoma neurologami z Teksasu, którzy pracowali konkretnie nad przypadkami zespołu Guillaina-Barrégo i mam nowe informacje. Kiedy twoje osłonki zaczną odrastać – a nie wiemy, kiedy to będzie – możesz odczuwać mrowienie, ciarki albo możesz odczuwać ból, i to ostry. Tym bólem będziemy musieli się zająć. – Przerwał i po chwili podjął rozdrażniony: – Chcę przez to powiedzieć, że podamy ci leki. Nie wiem, dlaczego nie możemy tego po prostu powiedzieć... Nieważne. Kiedy wróci ci zdolność poruszania się, twoje mięśnie będą w atrofii po wielu miesiącach nieużywania, więc będziesz musiała rozpocząć intensywną terapię fizyczną. Ale będzie ci brakowało energii i będziesz zdolna tylko do niewielkich porcji ćwiczeń dziennie. Minie kilka miesięcy, zanim twoje ciało i twoje życie wrócą do normalności. Twoja siostra powiedziała, że jestem okrutny, skoro mówię ci prawdę. Ja sądzę, że

niepowiedzenie ci prawdy byłoby okrucieństwem. Jeszcze jedno – dodał. – Jest takie badanie, które się nazywa EMG, może ono wykazać, w jakim stanie są ostonki. Dałoby ono prawdziwe wyobrażenie, jak długo potrwa twoje zdrowienie. Ale maszyna do elektromiografii w tym szpitalu jest zepsuta. Robię badania w innym szpitalu, w którym taka maszyna działa.

Poczułam falę nadziei.

– Ale ponieważ leżysz na OIOM-ie, nie można cię zabrać do innego szpitala, biurokracja, ubezpieczenie, te rzeczy. Nie wypuszczą cię stąd, nawet na kilka godzin. I żaden inny szpital nie weźmie na siebie odpowiedzialności za ciebie.

Wezbrało we mnie wielkie wściekłe wycie, ale nie miało ujścia, więc wepchnęło się z powrotem do moich komórek. Zawsze słuchałam narzekań, że system opieki zdrowotnej jest beznadziejny, ale dopiero teraz, gdy w nim utknęłam, zdałam sobie sprawę, ile prawdy jest w tej opinii.

– Rozpatruję jeszcze jakieś możliwości – kontynuował Mannix – ale musisz wiedzieć, że badanie EMG jest straszne. Nie niebezpieczne, tylko bolesne. Wysyła się serię bodźców elektrycznych do twoich nerwów i bada się, ile czasu mija, nim zareagują. Z medycznego punktu widzenia ból jest reakcją pozytywną. Dowodzi, że system nerwowy działa.

Dobra...

– Chcesz, żebym starał się o przeprowadzenie tego badania?

Mrugnęłam prawym okiem

– Rozumiesz, że to będzie bolesne? Nie można ci podać wcześniej środków przeciwbólowych, bo wówczas nie uda nam się zmierzyć tego, co chcemy. Rozumiesz?

Tak! Noż kurna, tak! Rozumiem.

– Rozumiesz?

Zamknęłam oczy, bo już zamieniał się w przemądrzałego dupka.

– Otwórz oczy – powiedział. – Rozmawiaj ze mną. Żartowałem tylko.

Otworzyłam oczy i zgromiłam go wzrokiem.

– Chcesz mnie o coś zapytać?

Powinnam zużyć swoją cenną energię do wypymania o badanie albo o moją chorobę, ale w tej chwili miałam już tego wszystkiego dość. Zaciśnęłam zęby i wymrugałam pytanie o coś, co mnie ciekawiło od chwili, gdy po raz pierwszy wspomniał o swoim bracie.

OPOWIEDZ MI O SWOJEJ RODZINIE.

Wahał się.

PROSZĘ.

– Dobra. Skoro tak grzecznie prosisz. – Westchnął głęboko. – Cóż, z zewnątrz patrząc, wychowałem się w środowisku... – przybrał ton kąśliwy – uprzywilejowanym. Mój ojciec był lekarzem, matka piękną. Oboje bardzo towarzyscy, zawsze chodzili na przyjęcia, na wyścigi, zwłaszcza na wyścigi, i gościli na łamach gazet. Mam brata, Rolanda, o którym już wiesz, a którego ojciec obciążył swoimi oczekiwaniami. Tata chciał, by Roland został lekarzem, by poszedł w jego ślady, ale on za słabo się uczył. Ja chciałem zostać lekarzem, ale też miałem nadzieję, że w ten sposób odciążę mojego brata. Lecz to tak nie działa. Roland zawsze czuł, że ojciec widzi w nim swoją porażkę.

Pomyślałam o mężczyźnie, którego widywałam tylko w telewizji, gdzie był miły i zabawny, i bardzo mi się go zrobiło żal.

– Mam dwie młodsze siostry – podjął Mannix. – Rosę i Hero, bliźniaczki. Wszyscy chodziliśmy do drogich szkół i mieszkaliśmy w wielkim domu w Rathfarnham. Czasami odcinano nam prąd, ale nie mogliśmy o tym nikomu mówić.

Co?! Tego się nie spodziewałam.

– Z pieniędzmi... było coś dziwnego. Pewnego dnia otworzyłem szufladę, a w środku leżał zwitek banknotów, musiały to być tysiące. Nic nie powiedziałem, a następnego dnia zwitek zniknął. Albo przychodzili pod dom jacyś ludzie, słychać było przez drzwi ciche rozmowy.

To było pasjonujące!

– Ludzie uważają, że to przepych i wytworność chodzić na wyścigi i postawić dziesięć tysięcy na konia.

Ja tak nie uważałam. Na samą myśl zrobiło mi się niedobrze z niepokoju.

– Ale jeśli obstawiony koń nie wygrywał...

Właśnie!

– W domu nieustannie coś się pojawiało, a potem zniknęło. – Urwał, zamyślił się, wreszcie podjął opowieść: – W którąś Wigilię rodzice przyszli do domu z wielkim obrazem. Byli na aukcji i wygrali ją, wydawali się niesamowicie podekscytowani. Nie mogli przestać mówić o licytacji i jak to panowali nad nerwami, a wreszcie wygrali. „Nigdy nie okazuj strachu, synu” – powiedział tata. „To klucz do zwycięstwa”. Powiedzieli, że to autentyczny Jack Yeats i może był... Zrobili na niego miejsce, powiesili nad kominkiem w salonie. Dwa dni później pod dom zajechała ciężarówka i dwóch mężczyzn bez słowa zabrało obraz. I nigdy już o nim nie padła żadna wzmianka.

O matko.

– Teraz rodzice mieszkają w Nicei. Na południu Francji. To tylko brzmi tak luksusowo, ale korzystają z życia. Są oszałamiający.

Znowu sarkazm?

– Ach, nie, naprawdę są oszałamiający. Uwielbiają imprezy. Coś ci poradzę: nigdy nie pij dżinu z tonikiem przygotowanego przez moją matkę. Zabije cię.

## 18.49

Jestem w swoim gabinecie, na Twitterze, gdy Jeffrey przychodzi do domu z „kumplami” – to trzech młodych mężczyzn, którzy nie patrzą mi w oczy. Idą do jego pokoju. Drzwi stanowczo zamykają mi się przed nosem i od razu wiem, że oglądają pornografię w internecie i że niedługo zadzwonią po pizzę. Jeszcze chwila i podłogę zaścielą kartony.

Zachowujemy się jak normalni ludzie! Strasznie, strasznie się cieszę!

Gdyby jednak zaproponowali mi kawałek tej pizzy, nie mogę sobie na nią pozwolić. Byłoby to cudowne ćwiczenie z zakresu zacieśniania więzi, ale po wcześniejszej wizycie motywującej Karen udałam się do sklepu, by załadować lodówkę wysokobiałkowym żarciem. Mam zrzucić wagę. Jak na razie nie zdołałam wywalić do śmieci swoich ukochanych ciasteczek Jaffa, ale pracuję nad tym. I niedługo to zrobię.

Siedząc przy biurku, słyszę ciche monotonne zawodzenie. Osy, myślę z przerażeniem. Albo pszczoły. Gniazdo pszczół. Czy ul... czy jak to tam się nazywa. Boże, błagam, nie dopuść, by na moim strychu było gniazdo pszczół.

Dźwięk zamiera, a ja sobie wmawiam, że mi się zdawało.

Potem pomruk wraca, tym razem głośniejszy. Zupełnie jakby owady szykowały się do ataku. Może gniazdo wisi na ścianie od zewnątrz? Ostrożnie otwieram okno i wystawiam głowę. Nie widzę śladu żadnych pszczół, ale dźwięk słyszę. Muszą być na strychu. Lękliwie wpatruję się w sufit.

Kogo mam poprosić o pomoc? Ryan się nie nadaje, podobnie jak Jeffrey. Enda Mulreid pewnie wydusiłby z tych pszczół życie gołymi rękami, ale ograniczam kontakty z Endą. To dobry człowiek, lecz przy nim nigdy nie wiem, co powiedzieć.

Ale przecież w domu przebywa w tej chwili kilku młodych ludzi – może niektórzy „koledzy” są odważniejsi od Jeffreya. Poproszę ich o pomoc. Tak!

Wychodzę na podest i podkradam się do drzwi pokoju mojego syna. Nie chcę tam wpaść, gdy oglądają porno. Zapukam, zaczekam pięć sekund i znowu zapukam. Tak, tak będzie najlepiej.

Ale gdy stoję pod drzwiami Jeffreya, uświadamiam sobie coś straszliwego – niski pomruk dochodzi właśnie z za nich. Może pszczoły nadleciały na wieść o pizzy? Pszczoły lubią pizzę? Albo porno?

I nagle dociera do mnie straszliwa prawda – w tym pokoju nie ma żadnych pszczół. To Jeffrey i jego koledzy wydają ten dźwięk. Na ucho sądząc, medytują.

To cios.

Straszliwy cios.

Cios nie do zniesienia.



## A kto powiedział, że życie jest sprawiedliwe?

fragment *Mozolnych mrugnięć powieką*

– ...jeśli więc spojrzysz tutaj – Ryan podsuwa mi pod nos rachunek i wskazuje palcem konkretny punkt – widać, że saldo jest dodatnie i wynosi euro i dziewięćdziesiąt jeden centów. O co to chodzi? I co ja mam im zapłacić?

Jak mam wyjaśnić, że płacimy co miesiąc zlecenie stałe na rzecz gazowni, by uniknąć ciosu w postaci wysokiego rachunku zimą?

Zawsze ja się zajmowałam rodzinnymi finansami, ale skoro tak długo leżałam w szpitalu – już od siedmiu tygodni – Ryan musiał się z nimi zmierzyć.

Zaczęłam mrugać, próbując wymrużyć „zlecenie stałe”.

– Pierwsza litera? – spytał Ryan. – Samogłoska? Nie? Spółgłoska? Pierwsza połowa alfabetu? Nie? P? Q? R? S?

Przy Z mrugnęłam, ale nie zauważył.

– Przeoczyłem? – Westchnął ciężko. – Dobra, od początku. P? Q? R? S? – Wreszcie zapisał Z. – Druga litera. Samogłoska? Nie? Pierwsza połowa alfabetu? Tak. B? C? D?

Zamrugłam przy L, ale przegapił.

– M? Też nie? – Wpatrywał się we mnie oskarżycielsko. – To musi być jedna z nich, Stello! Jezu Chryste! Możesz powiedzieć temu swojemu Taylorowi, że ten system jest do dupy. Wiesz co? – Zmiał rachunek i cisnął go na podłogę. – Kogo to obchodzi? Niech nam ten gaz odetną.

Nie widziałam chichoczących pielęgniarek, ale wyczuwałam ich obecność.

Biedny Ryan. Był sfrustrowany, dezorientowany i miał dość tego wszystkiego. W ciągu ostatnich dwóch tygodni musiał cztery razy pojechać na wyspę Man, walcząc o nowy projekt, i był wykończony.

– Przepraszam. – Odetchnął. – Bardzo cię przepraszam. Jeffrey, podnieś to i wrzuć do śmietnika.

– Sam to podnieś. Ty rzuciłeś, ty podnieś. Konsekwencje, tato, konsekwencje.

– Ja ci, kurwa, dam konsekwencje! Podnieś to!

Kolejna fala pielęgniarzkiego chichotu po drugiej stronie korytarza. *Z kamerą u Sweeneyów* dawało dzisiaj niezły show.

– Ja to podniosę – zdecydowała Betsy.

– Powiedziałem, że on ma to zrobić – odparł Ryan.

Boże, to było takie żenujące.

Jeffrey i Ryan mierzyli się wzrokiem przez dłuższą chwilę, aż w końcu młody skapitulował.

– Dooobra – powiedział.

Podniósł kulkę zmiętego papieru i cisnął nią w kierunku stanowiska pielęgniarek, krzyząc:

– Uwaga!

Kilka pielęgniarek podskoczyło w teatralnym popłochu, do mnie dotarły przestraszone okrzyki i potępiające cmokania. Byłam zażenowana.

Jeffreyowi się pogarszało. Buntował się coraz bardziej, robił się bardziej przekorny i to była moja wina. Porzuciłam go w swojej chorobie. Musiałam wrócić do domu i być porządną matką.

Jakbym już się nie czuła dość przybita, Ryan wyjął kolejny kawałek papieru.

– Zajrzałem do naszego wyciągu bankowego. Po co płacimy dziesięć euro miesięcznie na Oxfam?

Nie wiem. Żeby zbudowali studnie w Ghanie?

– Przydałyby nam się te pieniądze. Zwłaszcza teraz. Jak można to zlikwidować?

Chyba się nie dało. O ile pamiętałam, to również było zlecenie stałe, ustalone na rok. Ale nie miałam siły nawet podejmować próby wyjaśniania.

– Ona nie wie – powiedział Jeffrey lekceważąco. – Teraz moja kolej. Mamo, wiesz, gdzie są moje skarpety hokejowe?

Skąd mam wiedzieć? Nie było mnie w domu od siedmiu tygodni.

– Tata nie może ich znaleźć – ciągnął mój syn. – Pomyślałem, że może ty wiesz.

Ale... ale jakim cudem? Chociaż to było szalone, poczułam się winna, bo przecież powinnam wiedzieć. Mogły się znajdować w jego szufladzie, w pralce, w suszarce, w torbie, w szafce w szkole, mogli je dorzucić do prania Betsy. Ale nie mogłam tego wszystkiego wymrużyć, zajęłoby to cały dzień.

– Mogę teraz ja? – spytała Betsy wyniośle. – Mamo, gdzie jest moja pizama w króliczki?

Nie mam, kurna, pojęcia. Gdzie ją ostatnio widziałaś?

– Potrzebna mi jest – ciągnęła. – Idziemy na noc do domu Birgitte i przysięgłyśmy sobie, że wszystkie przyjdziemy w kombinezonach.

Co to za Birgitte, do której moja córka szła na noc? Nigdy wcześniej o niej nie słyszałam. Czy Ryan rozmawiał z jej rodzicami? Sprawdził, czy wszystko...

– I jeszcze jedno – włączył się Ryan. – Lokatorzy z Sandycove wypowiedzieli umowę.

Serce mi zamarło. Nasza nieruchomościowa inwestycja okazywała się absolutnym przekleństwem. Musieliśmy ją wynająć, żeby mieć na spłatę kredytu, ale nikt tam nie mieszkał dłużej niż pół roku. Pół życia spędzałam na inwentaryzowaniu, zmienianiu szczegółów w banku i – to było najtrudniejsze – szukaniu najemców, którzy by nie zdemolowali mieszkania.

– Co mam z tym zrobić? – spytał mój mąż.

A czas wizyty się aby nie skończył? Zauważyłam jednak, że pielęgniarki pozwalały moim gościom na przedłużanie wizyt ponad przepisowe piętnaście minut. Podejrzewałam, że cieszą się, że Szyfr Mrugany Mannixa Taylora okazywał się dla mnie taką udręką.

Wreszcie Ryan i dzieci wyszli, a ja zostałam znowu sama. Zabawne, pomyślałam, że ludzie wydawali fortunę, by udać się do jakiegoś schronienia, gdzie nie wolno im było rozmawiać, czytać albo oglądać telewizji. Musieli spędzać cały czas uwięzieni w swoich myślach, uczuciach, choćby nie wiadomo jak niewygodnych.

Moja obecna sytuacja bardzo przypominała taki pobyt i to naprawdę aż żal, że nigdy mnie nie pociągały rozrywki typu poszukiwania duchowe.

Z rozmyślań wyrwał mnie widok Mannixa Taylora zmierzającego w moją stronę. Co on tu robił? Już mieliśmy dzisiaj spotkanie.

Wyjął długopis i notes ze sterylizatora i usiadł na krześle.

– Cześć – spojrzał na mnie, leżącą w bezruchu na boku i rzekł: – Wiesz, niesamowite, że niektórzy płacą za takie rozrywki: cisza, deprivacja sensoryczna... – Lekceważąco machnął ręką. – Robią to, żeby poznać siebie.

**DOPIERO CO O TYM MYŚLAŁAM!**

– I to działa? Czy ty, Stello Sweeney, lepiej siebie poznajesz?

**NIE MUSZĘ SIEBIE POZNAWAĆ. ZNAM DOŚĆ INNYCH LUDZI.**

Roześmiał się. Biła od niego jakaś energia, wręcz był radosny. Musiało się wydarzyć coś dobrego.

– Ale to niezbyt sprawiedliwe, co? – spytał.

**A KTO POWIEDZIAŁ, ŻE ŻYCIE JEST SPRAWIEDLIWE?**

Mruganie szło mi coraz lepiej, a może on był coraz lepszy w odczytywaniu moich mrugnięć. Często domyślał się całego słowa z pierwszej litery. Dzięki temu nie męczyłam się tak szybko i mogłam

powiedzieć więcej.

Zauważył książkę, którą dała dla mnie jego żona.

– Jak wam idzie?

Fantastycznie, tak się składa. Już prawie kończymy.

Tata na widok tej książki drgnął podejrzliwie.

– Nie przeczytam ci niczego, na co nie zgodzi się Joan. – Zabrał ją w swojej plastikowej torebce i wrócił z błogosławieństwem Joan. – Mówi, że to jest dobrze napisane.

Wtedy, oczywiście, uznałam, że to będzie straszne.

Ale ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu książka od żony Mannixa Taylora okazała się zabawna. Była to biografia dobrze urodzonej Brytyjki, która wywołała wielki skandal w latach trzydziestych, odchodząc od męża i wyjeżdżając do Kenii, gdzie prowadziła szalenie ciekawe i urozmaicone życie. Oboje z tatą się wciągnęliśmy i mieliśmy dużo radości.

– Ja się czuję... jakoś niefajnie – powiedział na koniec tata – że tak bardzo mi się to podoba. Ale skoro Joan mówi, że jest okej...

NASTĘPNĄ POPROSZĘ – wymrukałam do Mannixa Taylora.

– Co takiego? A, książkę? Dobra. Poproszę Georgie, żeby kilka ci wybrała.

Georgie. Tak więc się nazywała: Georgie Taylor. Dekoratorka wnętrz/psycholog dziecięca o skandynawskiej urodzie. Zastanawiałam się przecież, jak ma na imię.

– No dobra – dzisiejszego popołudnia naprawdę tryskał pozytywnym nastrojem – Spytaj, co tu robię.

Kiedy zaczęłam mrugać, przerwał mi pospiesznie.

– Nie, nie pytaj! To była figura retoryczna. No więc, Stello Sweeney. Co powiesz na małą wycieczkę?

Co to znaczy?

– Mamy zgodę na EMG. Stąd cię wypuszczą, a tam cię przyjmą!

Och!

– Jak mi się to udało? Nie będę cię zanudzał szczegółami. Jest taka klauzula... Ach, nie, nie wchodzę w to, nuda cię zabije, a mnie obowiązuje przysięga Hipokratesa i muszę cię podtrzymać przy życiu. To nieważne. Ważne jest tylko to, że umowa stoi. Twój mąż będzie musiał podpisać tony papierów ubezpieczeniowych, ale zasadniczo mamy to załatwione.

Poczułam przyływ nadziei. Wreszcie uzyskam jakieś informacje, ile jeszcze potrwa to piekło.

Nagle Mannix Taylor spoważniał.

– Pamiętasz, co mówiłem? To będzie bolało. Jak tłumaczyłem, zasadniczo to lepiej, jeśli boli. Jak boli, to znaczy, że idzie ku lepszemu.

Przypomniało mi się nakłucie lędźwiowe i poczułam strach.

– Ale będzie dobrze! – Mówił jak do dziecka, które musi rozweselić. – Pojedziemy karetką. Włączymy niebieskie światło i syreny i będziemy śmigać ulicami. Możemy udawać, że jesteśmy zagranicznymi dygnitarzami. Naprawdę będzie fajnie. Jakiej chcesz być narodowości?

Wiadomo. WŁO...

– O nie – stęknął. – Włosi są zbyt... Wszyscy chcą być Włochami. Rusz trochę wyobraźnię.

Co za okropny facet! Ilekroć już zaczynałam go lubić, on wszystko psuł. Chciałam być Włoszką. Byłam Włoszką. Byłam Giulianą z Mediolanu. Pracowałam w Guccim. Miałam darmowe ciuchy.

W milczeniu patrzyłam na niego groźnie. „Jestem Włoszką, jestem Włoszką, jestem Włoszką”.

Nagle ni z tego, ni z owego postanowiłam, że chcę być Brazylijką. Co ja sobie myślałam. Brazylijka to wypas. Mieszkałam w Rio, byłam olśniewającą tancerką i miałam wielki tyłek, ale nie szkodzi.

BRAZ...

– Brazylijka! No, teraz to rozumiem. A ja? Ja będę... pomyślmy... ja chyba będę Argentyńczykiem.

Mnie pasowało.

– Nie sądzisz, że to marnowanie możliwości, jeśli oboje wybierzemy ten sam kontynent? – spytał, nagle zaniepokojony. – Skoro możemy wybierać z całego świata? Nie – orzekł stanowczo. – Ja zdecydowanie chcę być Argentyńczykiem. Jestem gaucho z pampy.

I nagle z uczuciem dodał:

– Boże, ależ, kurna, naprawdę chciałbym być gauchem. Całymi dniami jeździłbym na swoim wiernym rumaku, pilnowałbym stada, nie miałbym szefa, a na weekendy zjeżdżałbym do miasta potać tango. Z innymi gauchami – dodał, markotniejąc. – Bo kobiet tam jak na lekarstwo. Musimy tańczyć ze sobą, i czasami jak wykonujemy te szybkie ruchy nogami, walimy się przypadkiem w jaja. – Westchnął. – Ale nie mamy o to do siebie pretensji. Staramy się dobrze bawić.

JESTEŚ WALNIĘTY.

– Wierz mi – odrzekł – to żadna nowość.

# Wtorek, 3 czerwca

## 9.22

Moje śniadanie to 100 g łososia. Chyba lepiej bym się czuła, gdybym nic nie zjadła.

Nie jestem wielbicielem białka. Jestem wielbicielem węglowodanów. Gorącym wielbicielem.

## 10.09

Pomimo smętnego śniadania siadam do pracy. Dzisiaj będzie dobry dzień na pisanie. Tego jestem pewna.

## 10.11

Muszę kawy.

## 10.21

Wracam do pracy. Czuję natchnienie, ożywienie... Czy to poczta?

## 10.24

Wchodzę do łóżka z właśnie nadesłanym katalogiem *Boden* i przeglądam strony z wielką uwagą, oceniając każdy ciuch pod kątem jego zdolności do tuszowania brzucha.

## 13.17

Otwierają się drzwi wejściowe i zaraz się zatrzaskują. Jeffrey krzyczy: „Mamo!” i głośno pokonuje schody. Wyskakuję z łóżka i usiłuję wyglądać jak osoba, która całe przedpołudnie pilnie pracowała. Jeffrey wpada do mojego pokoju, w stanie ogromnego ożywienia. Spogląda na moje zmięte łóżko i pyta podejrzliwie: „Co robisz?”.

– Nic! Piszę. O co chodzi?

– Gdzie twój iPad? – Podnosi w górę swój telefon. – Taty projekt karmiczny. Dzieje się.

Zaczynam klikać i razem sprawdzamy, co i jak. Ryan wrzucił sześćdziesiąt trzy zdjęcia rzeczy, które zostaną rozdane, w tym dom, samochód i motor. Walcząc z mdłościami, przewijam zdjęcia jego pięknych mebli, lamp i licznych telewizorów.

– Ej! – Dostrzegam jakąś swoją rzecz i odzywa się we mnie poczucie własności. – To moja figurka Jezusa! – Dała mi ją sąsiadka mamy, kiedy byłam chora. Jest superpojechana. Nie chciałam jej, gdy się z Ryanem rozstawaliśmy, ale teraz, gdy ma ją dostać jakiś przypadkowy obcy człowiek, chcę.

Wideo Ryana oglądano osiemdziesiąt dziewięć razy. Dziewięćdziesiąt. Dziewięćdziesiąt jeden. Dziewięćdziesiąt siedem. Sto trzydzieści cztery. Na naszych oczach liczba ta gwałtownie rośnie. Mam wrażenie, że oglądam postęp jakiegoś kataklizmu.

– Dlaczego on to robi? – pytam.

– Bo jest fiutem?

– Poważnie?

– Może chce być sławny.

Sława. Wszyscy myślą, że jej pragną. Dobrej sławy, oczywiście. Nie złej, gdy wrzucasz kota do śmietnika i przyłapuje cię na tym monitoring, i filmik staje się wiralem na YouTube, a ty stajesz się międzynarodowym pariasem.

Ale dobra sława też nie jest taka świetna, na pewno nie tak cudowna, jak się wydaje. Opowiem wam o tym kiedyś.

## 13.28

Dzwonię do Ryana. Włącza się poczta głosowa.

## 13.31

Dzwonię do Ryana. Włącza się poczta głosowa.

## 13.33

Dzwonię do Ryana. Włącza się poczta głosowa.

## 13.34

Jeffrey dzwoni do Ryana. Włącza się poczta głosowa.

## 13.36

Jeffrey dzwoni do Ryana. Włącza się poczta głosowa.

### 13.38

Jeffrey dzwoni do Ryana. Włącza się poczta głosowa.

### 13.40-13.43

Zjadam jedenaście ciasteczek Jaffa.

### 14.24

Na stronie Ryana pojawia się nowe zdjęcie – jego ekspres do kawy Nespresso.

### 14.25

Kolejne zdjęcie pojawia się na stronie. Tym razem jest to blender... a po nim trzy puszki pomidorów. Deska do krojenia chleba. Pięć ściereczek kuchennych.

– Załatwia kuchnię – szepcze Jeffrey. Zmartwiali z przerażenia wpatrujemy się w ekran.

Jest i patelnia... i... kolejna patelnia... i pół słoiczka pasty curry. Kto by chciał pół słoiczka pasty curry? Ten człowiek oszalał.

To moja wina. Nie powinnam była podpisywać umowy wydawniczej i wyjeżdżać do Nowego Jorku. Powinno być dla mnie oczywiste, że w pewnym momencie Ryan zrobi coś, by się upewnić, że z nas dwojga to on jest prawdziwym twórcą.

Z każdą sekundą pojawiają się kolejne zdjęcia jego rzeczy – wirówka do sałaty, sandwicher, widelce, paczki kremu budyniowego.

– Krem budyniowy? – pyta Jeffrey w oszołomieniu. – Kto w dzisiejszych czasach je krem budyniowy? I to w tym wieku!

Wideo Ryana ma już 2564 odsłon. 2577. 2609...

– Może powinniśmy tam pojechać i go powstrzymać? – pyta mój syn.

– Daj mi pomysłać.

### 14.44

Przeszukuję torebkę, rozpinam sekretną kieszonkę i znajduję mój jeden xanax na wszelki wypadek. Biorę pół tabletki.

– Co to? – pyta Jeffrey.

– Ach... to xanax.

– Środek uspokajający? Skąd to masz?

– Od Karen. Mówi, że każda kobieta powinna nosić xanax w sekretnej kieszonce torebki. Na wszelki wypadek. To jest właśnie taki wypadek.

### 14.48

Dzwoni Karen.

– Słuchaj – zaczyna – z Ryanem dzieją się jakieś pojechane rzeczy...

– Wiem.

– Czy on rozum postradał?

– Na to wygląda.

– A ty co zamierzasz z tym zrobić? Będziesz musiała go oddać do psychiatryka.

– Jak miałabym to zrobić?

– Spytam Endę. I oddzwonię.

### 14.49

– Enda się dowie, jak wsadzić Ryana do psychiatryka – mówię Jeffreyowi.

– Dobra, super.

– Tak, super. Właśnie. Super. Będzie cicho siedział w psychiatryku i wszystko będzie świetnie.

Ale nie daje mi spokoju podejrzenie, że umieszczenie człowieka w psychiatryku jednak nie jest takie proste. A jeśli już się kogoś tam umieści, trudno go stamtąd wydostać.

Biorę drugą połówkę xanaxu.

### 15.01

– Chodźmy do niego i spróbujmy go przekonać – postanawiam.

Ryan mieszka raptem parę kilometrów od nas i oboje z Jeffreyem mamy klucze do jego domu.

– Jak? Ty poprowadzisz? Właśnie wzięłaś dwie tabletki uspokajające.

– Jedną – poprawiam go. – Jedną tabletkę w dwóch połówkach.

Ale ma rację. Nie mogę prowadzić, skoro wzięłam xanax. Mogłoby się to źle skończyć.

– Doskonale – odpowiadam wyniośle. – W takim razie pójdziemy.

– A ty wpadniesz do rowu. I ja będę musiał cię wyciągać.

– To teren miejski, nie ma tu rowów. – Ale mówię trochę niewyraźnie. Może i nie mam szans wpaść do rowu, ale po dziesięciu minutach spaceru mogę dojść do wniosku, że cudownie byłoby położyć się na chodniku i uśmiechać się mile do przechodniów.

- Po co w ogóle brałaś te prochy? - Jeffrey jest już wściekły.
- Nie biorę prochów! To lekarstwo! Przepisane przez lekarza!
- Nie twojego!
- Szczegół techniczny, Jeffrey. Szczegół techniczny.
- Musimy pogadać z kimś sensownym.

Patrzemy na siebie i pomimo szybko rozwijającego się kokonu xanaxowego czuję ból. Wiem, co Jeffrey powie.

- Nie - mówię.
- Ale...
- Nie, jego już nie ma w naszym życiu.
- Ale...
- Nie.

Podskakuję na dźwięk swojego telefonu.

- Ryan!
- Daj mi to. - Jeffrey chwyta mój aparat. - Tato, tato! Czy ty zupełnie oszalałeś?!

Po krótkiej rozmowie, w trakcie której mówi tylko Ryan, Jeffrey się rozłącza. Zmarkotniał.

- Mówi, że to jego rzeczy i może z nimi robić, co chce.

Przytłoczona swoją bezradnością zjadam kolejne trzy ciasteczka. Nie, cztery. Nie, pięć. Nie...

- Przestań. - Jeffrey zabiera mi pudełko.
- To moje ciasteczka! - krzyczę jak wariatka.

Podnosi pudełko wysoko nad głowę.

- Może znajdziesz jakiś inny sposób radzenia sobie z problemami? Zamiast faszerować się prochami albo cukrem.
- Nie, nie teraz, nie.
- Ja idę pomedytować.
- Dobra, w takim razie ja idę...

...położyć się na łóżku i odpłynąć. I wyjąć kolejne pudełko ciasteczek Jaffa.

## Jak się je słońca? Po kawałku.

fragment *Mozolnych mrugnięć powiek*

Unosiłam się w stanie nieważkiej błogości, w jakiejś białej szczęśliwej nicości. Gdy tylko zaczynałam ruchem spiralnym wznosić się ku powierzchni, coś się wydarzało i staczałam się z powrotem w bezbolesny raj.

Ale nie tym razem. Wznosiłam się. Wznosiłam się i wznosiłam, aż przebiłam powierzchnię i obudziłam się w szpitalnym łóżku.

Na krześle siedział tata i czytał książkę.

– Ach, jesteś, Stello! Od dwóch dni przebywałaś w objęciach Morfeusza.

W głowie mi się mąci.

– Miałaś badanie EMG – wyjaśnia tata.

Tak?

– Dostałaś w kość – kontynuował tata. – Dali ci prochy, żebyś spała.

Zaczęłam sobie przypominać straszliwe szczegóły. Najpierw wszystkie sprawy dotyczące odpowiedzialności prawnej za mnie – zostałam tymczasowo wypisana z oddziału doktora Montgomery’ego i oddana pod opiekę Ryana. To poszło dobrze. Potem Ryan miał mnie oddać pod opiekę Mannixa Taylora, aż dotrzemy do tego drugiego szpitala, i wrogo nastawiony Ryan aż się zjeżył. A gdy Mannix powiedział „Dobrze się nią zajmę”, zrobiło się tylko gorzej. Mój mąż zacisnął usta w cienką linię, a ja się przestraszyłam, że wręcz odmówi podpisania zgody.

Po dziesięciu pełnych napięcia sekundach zapisał coś na formularzu zgody i wyruszyliśmy. Czterech sanitariuszy musiało mnie transportować z oddziału do karetki. Odłączono mnie od aparatury monitorującej i od cewnika – wyjątkowa gratka, powiedział Mannix Taylor – ale i tak jeden sanitariusz pchał wózek wiozący mój respirator, drugi prowadził kroplówkę, a kolejnych dwóch pchało moje łóżko. Wszyscy musieli się przemieszczać z tą samą prędkością, a gdyby mężczyzna z respiratorem przyspieszył za bardzo i wyrwał mi z gardła tubę, tobym się udusiła.

Do mojego orszaku należeli też pielęgniarka i Mannix Taylor.

Dzień przed badaniem Mannix przyniósł na oddział wydruk.

– Chciałabyś na jutro brazylijskie imię? Mam tu listę: Julia, Isabella, Sophia, Manuela, Maria Eduarda, Giovanna, Alice, Laura, Luiza...

Mrugnęłam: Luiza!

– A ja? – ciągnął. – Mnie potrzebne argentyńskie: Santiago, Benjamin, Lautaro, Alvarez. – Spojrzał na mnie. – Alvarez – powtórzył. – To jest dobre. Znaczy tyle co „szlachetny strażnik”, i moim zdaniem jest odpowiednie.

Nie odpowiedziałam, więc dalej czytał listę.

– ...Joaquin, Santino, Valentino, Thiago...

Mrugnęłam. Thiago mi się podobał.

– A może jednak Alvarez? – zaoponował. – Mnie się podoba Alvarez.

TH...

– Thiago? Naprawdę? Nie Alvarez? Alvarez oznacza „szlachetny strażnik”.

JUŻ MÓWIŁEŚ. JESTEŚ THIAGO.

Rozsierdził mnie. No bo po co czytał te wszystkie inne imiona, skoro już zdecydował?

– Alvarez – powiedział.



*Thiago.*

Patrzył mi w oczy, a potem opuścił wzrok na znak kapitulacji.

– Niech będzie Thiago. Masz żelazną wolę.

Boże, świetnie się z nim gadało.

W karetce powiedział:

– A więc, Luizo, mieszkasz w Rio, mieście wiecznego słońca, i jesteś gwiazdą telenoweli. Po pracy codziennie chodzisz na plażę. Kupujesz ubrania od... no, gdzie ci się podoba, sama uzupełnij szczegóły. I posłuchaj mnie: jeśli badanie okaże się za ciężkie, udawaj, że jesteś Luizą, nie Stellą. A jeśli się stanie o wiele za ciężkie, przerwiemy je.

Nie. Nie będziemy przerywać. To była moja jedyna szansa, by się dowiedzieć, kiedy wyzdrowieję, i nie zamierzałam jej zmarnować.

– Myśl po brazylijsku – powtarzał. – No. – Wyjrzał przez okienko. – Jesteśmy na miejscu.

W nowym szpitalu zostałam bardzo ostrożnie wyładowana z karetki na asfalt, ale nie wchodziliśmy do środka. Jakbyśmy na kogoś czekali.

– Gdzie on się podziewa, do diabła? – usłyszałam burknięcie Mannixa.

Do naszej grupki zbliżyła się para lśniących czarnych butów. Było w nich coś, z czego wywnioskowałam, że ich właściciel dygocze z gniewu.

Gdy buty podeszły, zdałam sobie sprawę, że należą do tutejszej odmiany doktora Montgomery'ego – roztaczał tę samą boską aurę i dysponował takim samym zbiorem przepelnionych podziwem młodych lekarzy.

– Jest pan niewiarygodny – powiedział właściciel butów do Mannixa drżącym, wściekłym głosem. – Wywołał pan taki zamęt ubezpieczeniowy... Gdzie jest to coś do podpisania? – Jakiś tchórzliwy pomocnik podetknął mu pod nos podkładkę z dokumentem, a on złożył na nim wściekły podpis.

– No – rzekł Mannix. – To wchodzimy.

Z moją małą armią pomocników podążaliśmy korytarzami, potem w górę windą, potem znowu korytarzami i wreszcie do jakiejś sali. Nastrój, wcześniej niemal weselny, teraz przygasł. Sanitariusze i pielęgniarka wycofali się pospiesznie, a Mannix przedstawił mnie Corinne, technik, która miała przeprowadzić nasze badanie.

– Dziękuję, doktorze Taylor – powiedziała. – Wyślę panu sygnał na pager, jak skończymy.

– Ja tu zostanę – odrzekł.

– Och. No dobrze. – Wyraźnie była zaskoczona.

– Jeśli Stella będzie musiała nam coś powiedzieć...

– Okej. Dobrze.

Skupiła uwagę na mnie.

– Stello, przymocuję elektrody do punktów nerwowych na twojej prawej nodze i puszczę impuls elektryczny – wyjaśniła. – Informacja o twojej reakcji zostanie przekazana do aparatury. Będę przemieszczać elektrodę w różne punkty nerwowe na twoim ciele, aż zostanie zebrana taka ilość danych, byśmy mogli wyciągnąć wnioski na temat funkcjonowania twojego ośrodkowego układu nerwowego. Gotowa?

Przestraszona, szczerze mówiąc.

– Gotowa? – powtórzyła.

Gotowa.

Gdy pierwszy impuls elektryczny pomknął przez moje ciało, od razu wiedziałam, że nie dam rady. Ból był o wiele gorszy, niż się spodziewałam. Nie byłam w stanie krzyczeć, ale moje ciało podskoczyło.

– Wszystko w porządku? – spytała Corinne.

Kręciło mi się w głowie. Już rozumiałam, co Mannix Taylor próbował mi powiedzieć: to było naprawdę bolesne. Tak bolesne, że musiałam się przemieścić w inne miejsce w głowie, by to przetrwać. Próbowałam sobie przypomnieć, co mi mówił w karetce: jestem Luiza. Jestem Brazylijką. Gram główną rolę w telenoweli.

– Wszystko w porządku? – powtórzyła Corinne.

W porządku.

...mieszkam w mieście wiecznego słońca i... Jezu! O Jezu! O Jezu!

Spojrzałam na Mannixa; był tak blady, że niemal zzieleniał.

– O co chcesz spytać? – Trzymał w gotowości długopis i kartkę.

IŁE...?

– Jak sądzisz, ile impulsów trzeba? – spytał Corrine.

Zerknęła na ekran.

– Dziesięć – odrzekła. – Może więcej.

Boże. Dobra, mam za sobą dwa. Wytrzymam jeszcze jeden. A potem jeszcze jeden.

Corinne była niezwykle zakłopotana. Pewnie musiała na co dzień mierzyć się z takimi sytuacjami. Mogłam jej sytuację porównać do swojej, gdy laserowo usuwałam komuś owłosienie z nóg – żeby porządnie wykonać pracę, musiałam nie myśleć o bólu tych ludzi.

– Chcesz, żebyśmy przerwali? – Po każdym impulsie dawała mi możliwość zakończenia badania.

Nie.

– Chcesz przerwać?

Nie.

– Chcesz przerwać?

Nie.

Skupiłam się na wszystkim, co wcześniej zrobił Mannix Taylor, na wszystkich przeszkodach, które musiał pokonać, by to badanie doszło do skutku. Nie chciałam go zawieść.

Ale to było trudne. Po każdym wstrząsie malała wytrzymałość, a przy siódmym siła impulsu uniosła moje ciało nad stół.

– Koniec! – Mannix zerwał się na równe nogi. – Wystarczy.

Miał rację. Nie mogłam tego znieść. To nie było tego warte i było mi wszystko jedno.

Nagle wyobraziłam sobie doktora Montgomery'ego i jego kpinę, jeśli się wycofam. „Trzymaj się, Patsy” i wszyscy jego podwładni będą mieli niezły ubaw, podobnie jak nieprzyjemny, wściekły specjalista z tutejszego szpitala. Pielęgniarki na OIOM-ie otworzą pewnie uroczystą puszkę czekoladek, bo wszyscy chcieli, by Mannix Taylor przegrał, nawet mój mąż.

NIE.

– Ona chce kontynuować – powiedziała Corinne.

– Stella, ma na imię Stella.

– Doktorze Taylor, może powinien pan wyjść na czas...

– Zostanę.

Corrine ostatecznie zadowolila się dwunastoma odczytami, a ja, wróciwszy karetką do swojego szpitala, czułam się absolutnie dziwnie. Najosobliwsze chemikalia zalewały mój mózg, mieszanka radosnego uniesienia i przerażenia, trochę jakbym oszalała.

W chwili gdy Mannix Taylor poprosił pielęgniarkę o uspienie mnie, poczułam błogosławioną ulgę.

– Musisz dużo spać – powiedział. – Twoje ciało przeszło przez piekło. Musisz się zregenerować, pewnie przez kilka dni.

A teraz się obudziłam, patrzyłam na swojego tatę i nadal się czułam trochę oszołomiona.

– Ten Taylor zaglądał do ciebie – powiedział tata. – Wróci. Mówi, że dużo przeszłaś, Dolly, ale byłaś bardzo dzielna. Poczytać ci?

Eeee... jasne.

Nasza bieżąca książka była kolejnym poleceniem od Georgie Taylor. Jej bohaterem był zmyślony despota w zmyślonym kraju na Bliskim Wschodzie, a historię opowiedziano z punktu widzenia jego żony. Tata był pod takim wrażeniem, że co kilka wersów musiał przerywać czytanie i rozwodzić się, jaka ta książka jest cudowna.

– Z tego gościa zimny drań, nie sądzisz? Każe stracić tyle osób, a potem spokojnie sobie zajada kuskus....

Odczytał mi kolejne pół strony i odłożył książkę, by wygłosić jeszcze kilka uwag.

– Prawie mi żal tego faceta. Ma taką piękną żonę, która wygląda na przyzwoitą kobietę, ale ją zaniedbuje, na rzecz pracy. Nadzoruje tortury, gdy powinien ją zabrać na urodziny. Ale czy można mu się dziwić? Tak zwani sojusznicy spiskują przeciwko niemu... Jedno potknięcie i już po nim.

Podjął czytanie, ale nie minęło dużo czasu, a znowu musiał przerwać.

– Ojejku, jejku – westchnął ze smutkiem. – Ciężka jest głowa, która nosi koronę.

Stukot wysokich obcasów zapowiedział nadejście Karen. Włosy miała najwyraźniej świeżo zrobione, a torebkę nową.

– Jak ona się czuje? – spytała tatę.

– Chyba dobrze. Czekamy na tego Mannixa, ma nam przekazać wieści.

– Cześć, siostra. – Karen wzięła sobie krzesło. – Wyglądasz na trochę zjechaną, jeśli mam być szczerą. Słyszałam, że było strasznie, ale szacun. Więc powiedz nam, jak się czujesz. – Wyjęła długopis i notes ze sterylizatora. – Śmiało. Pierwsza litera.

Mrugnęłam, zamierzając powiedzieć „zmęczona”, ale wszystko się poplątało, ja nie miałam siły, a Karen najwyraźniej brakowało cierpliwości.

– Ach, w dupę z tym – powiedziała. – To za trudne. – Wrzuciła długopis i zeszyt z powrotem do sterylizatora i zamknęła go. – Poczytam ci.

Tata się zakręcił, gotów do podjęcia lektury.

– Nie, tato! Mam „Grażię”. Odłóż to gównno.

– To zdecydowanie nie jest gównno...

– Witam – wszedł Mannix.

Tata zerwał się z krzesła.

– Panie doktorze – rzekł, łącząc w tonie głosu wrodzoną pokorę i dziarską deklarację „nie jestem gorszy od ciebie”.

– Panie Locke. – Mannix skinął mu głową.

– Bert! Proszę mi mówić Bert!

– Karen – Mannix przywitał się z moją siostrą. – Miło znowu panią widzieć.

– Nawzajem – wydusiła Karen, starając się ukryć wrogość pod fasadą uprzejmości.

– Czytamy następną lekturę przysланą przez pańską żonę – wypalił ojciec. – Ma doskonały gust do książek.

Mannix uśmiechnął się przelotnie.

– Gorzej z mężami.

– Ach, nie ma pan racji – wykrzyknął tata. – Przecież pan jest świetny! Załatwił pan te badania Stelli i w ogóle.

– Jak się czujesz? – Mannix odruchowo wyjął przybory.

ZMECZONA.

– Nic dziwnego. Ale dobrze się spisałaś.

TY TEŻ – wymrukałam w odpowiedzi.

Tata i Karen patrzyli zdumieni na naszą rozmowę – ja mrugałam, Mannix zapisywał słowa.

– Boże wszechmogący – powiedziała Karen ze zdziwionym wyrazem twarzy.

– Szybko wam to idzie – dodał tata.

– Bardzo szybko – uzupełniła Karen. – To prawie normalna rozmowa. – Spojrzała na Mannixa spod zmrużonych powiek. – Gdzie pan się tego nauczył?

– Nie wiem – odrzekł Mannix spokojnie. – W praktyce? Tak czy owak, mam wyniki elektromiografii. –

Machnął ku mnie plikiem wydruków. – Nudne szczegóły podam ci, jak się lepiej poczujesz, a teraz przejdę do najważniejszego: przy obecnym tempie regeneracji osłonek możesz się spodziewać, że zdolność poruszania się odzyskasz za jakieś sześć tygodni.

Zatkało mnie. Chciałam krzyczeć i płakać z radości.

Naprawdę? Naprawdę?!

– Twój stan będzie się poprawiał – dodał. – Ale pamiętaj, co ci mówiłem. To będzie ciężka robota.

Musisz być cierpliwa. Umiesz być cierpliwa?

Oczywiście, że umiem. Umiem wszystko, jeśli wiem, że to się kiedyś skończy.

– Przygotuję ci rozpiszę. Powiem, czego możesz się spodziewać, ale to wszystko będzie szacunkowe.

I wciąż mówimy o kilku miesiącach. To będzie długa, ciężka rekonwalescencja. Będzie wymagała od ciebie wiele wysiłku.

JAK SIĘ JE SŁONIA? – wymrukałam.

– Jak?

PO KAWAŁKU.

## 17.14

Leżę na łóżku jak rozgwiazda, krążąc w obłoku xanaxu i ciasteczek Jaffa, szczerze mówiąc, problemy już mi się nie wydają takie nie do przewidzenia. Jestem silną kobietą. Tak. Silną, bardzo silną kobietą i... dzwoni mój telefon, a mnie serce niemal wyskakuje z piersi. Bardzo głośno! Naprawdę, nie musi dzwonić tak głośno. Nie musi straszyć odprężonych ludzi.

Sprawdzam, kto dzwoni, i mój strach rośnie. Enda Mulreid! Choć to mój szwagier, dla mnie zawsze jednak policjant...

Siadam szybko i odchrząkuję, żeby sprawiać wrażenie przytomnej.

– No cześć, Enda!

– Cześć, Stello. Mam nadzieję, że u ciebie wszystko w porządku. Przejdę do osoby „ściganego”. – Niemal widzę, jak palcami robi w powietrzu cudzysłów. Muszę wyznać, że bliski związek tego mężczyzny i mojej siostry zawsze był dla mnie zagadką. Tak bardzo się różnią. – Słyszałem, że chcesz hospitalizować swojego byłego męża Ryana Sweeneya wbrew jego woli, zgodnie z literą paragrafu ósmego Ustawy o zdrowiu psychicznym z dwa tysiące pierwszego roku.

O mój Boże. W jego ustach brzmi to tak jakoś...

– Enda, ja się po prostu martwię o Ryana... On chce rozdać wszystko, co ma.

– Ale te rzeczy należą do niego? Nie ukrywa na przykład przedmiotów pochodzących z kradzieży? Ani nie czerpie zysków z działalności przestępczej?

– Enda! Znasz Ryana. Jak możesz tak w ogóle myśleć?

– To znaczy, że nie?

– Nie.

– No to w takim razie...

– No tak, ale...

– O ile nie istnieje poważne prawdopodobieństwo, że omawiana osoba może wyrządzić krzywdę lub zranić siebie albo inne osoby, nie ma podstaw prawnych do powołania się na ustawę.

– Rozumiem. Tak, oczywiście, masz rację. Nie ma potrzeby, eeee, powoływać się na ustawę. Dziękuję, bardzo miło, że poświęciłeś mi czas. Tak, dziękuję, do widzenia, do widzenia. – Rozłączam się. Złałam się potem. Enda Mulreid zawsze tak na mnie działa.

Do pokoju wpada Jeffrey.

– Co jest? Kto dzwonił?

– Enda Mulreid. Wujek Enda. Jakkolwiek go nazywasz. Słuchaj, Jeffrey. Zapomnijmy, że się zastanawialiśmy nad umieszczeniem taty w psychiatryku.

– Nic z tego?

– Nic z tego.

## 18.59

Moja xanaxowa mgła wreszcie się rozwiła i postanawiam zadzwonić do Betsy.

– Mamo?

– Kochanie... z twoim tatą dzieje się coś dziwnego. – Wyjaśniam jej wszystko, a ona przyjmuje to spokojnie.

– Już tam zerkam – mówi. – Mam. O mój Boże! Dwanaście tysięcy odsłon! Rozumiem, o czym mówisz.

– Chciałam tylko, żebyś wiedziała, co się dzieje. – Ale jeśli mam być szczerą, dzwonię po jakąś radę.

– Wygląda na to, że miał epizod psychotyczny. Tak się zdarza.

– Naprawdę? – Skąd ona to wie? Zna się na tym?

– Paru kolegom, z którymi Chad pracuje, też się tak porobiło.

– Karen powiedziała, że powinnam go umieścić w psychiatryku.

– Och, mamo, nie – mówi łagodnie. – To byłoby fatalnie. Bardzo źle by się z tym czuł. I zawsze już miałby to na koncie. Nigdy by się z tego nie otrząsnął. Ale uważam, że rzeczywiście powinnaś porozmawiać z lekarzem. I to szybko.

## 19.11

Zrobiła się dziewiętnasta, za późno, żeby się dzisiaj kontaktować z jakimś lekarzem, ale doznaję olśnienia – zadzwonię na telefon zaufania dla osób z problemami psychicznymi.

Odbiera kobieta o łagodnym, miłym głosie.

– Witam – mówię. – Mój były mąż... nie wiem w sumie, jak to ująć... ale martwię się o niego.

– Rozumiem...

– Dziwnie się ostatnio zachowuje.

– Rozumiem...

- Mówi, że rozda wszystkie swoje rzeczy, cały majątek.

- Rozumiem...

- Wszystkie pieniądze, no, wszystko... nawet dom.

Głos anonimowej kobiety się ożywia.

- Mówi pani o Ryanie Sweeneyu? Widziałam go na YouTube.

- Ach tak? Widziała pani? No i jak pani sądzi, czy... czy on jest chory psychicznie?

- Rozumiem, rozumiem panią.

- Tak?

- Tak, rozumiem.... Ale widzi pani, nie mogę ocenić. Nie jestem lekarzem, nie mogę formułować żadnej diagnozy.

- Więc od czego pani jest?

- Mam być współczująca. Gdyby na przykład poczuła się pani przygnębiona i zadzwoniła, ja mam pani słuchać i mówić „rozumiam, rozumiem”.

- Rozumiem. - Wzbiera we mnie łzawy gniew. - Dziękuję za pomoc.

### **23.05-2.07**

Nie mogę zasnąć. Moje wieloryby, zwykle tak przyjazne, dzisiaj brzmią złowieszczo. Jakby wśród wysokich krzyków i śpiewów zakodowano groźby.

Czasami dostajesz to, czego chcesz,  
czasami dostajesz to, czego potrzebujesz,  
a czasami dostajesz to, co dostajesz.

fragment *Mozolnych mrugnięć powieką*

**M**ysłałam o seksie. Tak jak się myśli, kiedy się leży w szpitalu i jest się całkowicie sparalizowanym.

Ryan i ja nie uprawialiśmy w ogóle seksu. No bo byliśmy razem od osiemnastu lat, helooo! Nikt nie uprawiał seksu, w każdym razie żadna ze znanych mi par. Wszyscy myśleli, że ci inni uprawiają go ile wlezie, ale jak się już ktoś upił dostatecznie, wyznawał całą prawdę.

Powiedziałam, że w ogóle nie uprawialiśmy seksu, ale oczywiście uprawialiśmy – raz na jakiś czas, jeśli wyszliśmy gdzieś na wieczór i sporo wypiliśmy. I wiecie co? To było świetne. Mieliśmy do wyboru trzy warianty, a każdy był szybki, skuteczny i absolutnie odpowiadał nam obojgu – mieliśmy pracę i dwójkę dzieci, więc kto by miał czas i siłę oddawać się wymyślnym seksualnym wygibasom?

Z kolorowych gazet dowiedziałam się jednak, że to niewłaściwe podejście: „O małżeństwo należy się starać”. Jeszcze zanim pojawiło się na świecie *Pięćdziesiąt twarzy Greya*, czułam, że powinnam wyjść poza swoją „seksualną strefę komfortu”.

– Może powinniśmy... wypróbować coś innego? – spytałam kiedyś Ryana.

– Na przykład?

– No nie wiem. Moglibyśmy... – nie byłam pewna, czy chcę wypowiadać to potworne słowo – ... moglibyśmy na przykład dać sobie parę klapsów.

– Ręką?

– Może paletką do ping-ponga?

– Skąd byśmy wzięli paletkę do ping-ponga?

– ...ze sklepu sportowego.

– Nie – odparł. Dyskusja została zamknięta, a mnie ulżyło. Zastanawiałam się, czy kupić takie chromowane kulki, co to się je wsuwa do swojej małej i zostawia tam na cały dzień. Teraz nie musiałam, a za zaoszczędzone na tym wydatku pieniądze mogłam sobie kupić nowe buty.

Karen, jak to Karen, była bardziej zdecydowana utrzymać swoje życie płciowe w stanie ożywienia, więc zabawili się z Endą w odgrywanie ról – udawali, że są obcymi osobami, które się podrywają w barze. Ona założyła nawet wówczas perukę, czarnego boba. Ale jakoś ich to nie porwało.

– Śmialiście się? – spytałam.

– Nie. – Karen, nietypowo dla siebie, sprawiała wrażenie przygnębionej. – Nie było zabawnie. Było wręcz jakoś żenująco. Powiem ci nawet, że jak go zobaczyłam w tym barze... Słuchaj, czy on zawsze miał takie duże uszy? W normalnym życiu praktycznie na niego nie patrzę. A spojrzeć na niego tak uważnie po tak długim czasie... no wiesz... po prostu poczułam przerażenie, że w ogóle za niego wyszłam, jeśli mam być szczerą.

Zastanawiałam się, czy Mannix Taylor i jego nordycka żona uprawiają dużo seksu. Może. Może to było jego hobby, skoro nie grał w golfa.

Tak, on i jego olśniewająca żona na pewno stanowili parę, która nas wszystkich przyprawiłaby o rumieniec.

Georgie Taylor wracała do domu po ciężkim dniu wypełnionym dobieraniem kolorów. Dom był cichy, oświetlony tylko światłem świec. Zanim zdążyła się zaniepokoić, od tyłu zaszedł ją mężczyzna (Mannix Taylor, oczywiście), przycisnął ją do siebie mocno i powiedział spokojnie i władczo: „Nie krzycz”.

Zasłonił jej oczy jedwabną przepaską i została zaprowadzona do oświetlonej świeczkami sypialni, gdzie ją rozebrał i przywiązał do łóżka za ręce i nogi.

Muskał jej sutki piórami i w powolnej udręce, kropla po kropli, kapał wonnym olejkiem pomiędzy jej piersi, na brzuch i niżej...

Nagi klękał nad nią i pieścił ją, aż po długim czasie wreszcie wchodził w nią i jej ciało wybuchało w jednym orgazmie po drugim.

Ech, szczęściara z tej pani Taylor.

OPOWIEDZ MI JESZCZE O SWOJEJ RODZINIE – wymrużałam.

– Och... okej. Opowiem ci o swoich siostrach. Bliźniaczki. Rosa i Hero. Hero dostała takie bohaterskie imię, bo omal nie umarła przy narodzinach. Sześć tygodni leżała w inkubatorze. Nie są identyczne – Rosa ma ciemne włosy, a Hero jasne – ale mają podobny głos i wszystkie ważne rzeczy w ich życiu wydarzają się w tym samym czasie. Miały podwójny ślub. Rosa wyszła za Jeana-Marca, Francuza, który mieszka w Irlandii od... Boże, od dwudziestu pięciu lat... Mają dwóch synów. Hero wyszła za Harry'ego i też mają dwóch synów, niemal w tym samym wieku, co synowie Rosy i Jeana-Marca. Ich życie jest podobne naprawdę w stopniu wręcz upiornym.

ALE OPOWIEDZ MI O SWOICH DZIECIACH.

Przez jego twarz przemknął dziwny wyraz. Wyglądał na zranionego i niemal zawstydzonego.

– Nie mamy dzieci.

A to niespodzianka. Tyle czasu poświęciłam na wyobrażanie sobie jego życia, że naprawdę uwierzyłam w trójkę dzieci.

– Dzisiaj – odezwał się – zbadam twoje odruchy, żeby zobaczyć, czy są jakieś reakcje. Dobra?

DOBRA.

– Staramy się z Georgie o dziecko.

O?

– Staramy się od bardzo dawna. Nie wygląda to dobrze.

Boże! Nie wiedziałam, co powiedzieć.

– Poddaliśmy się in vitro. To tajemnica. Georgie nie chce, by ktoś wiedział, dopóki się nie uda. Nie chce, żeby wszyscy się na nią gapili, zastanawiając się, czy tym razem się uda. Nie chce, by się ktoś nad nią użalał.

Tego nie mogłam zrozumieć.

– Więc nie wolno mi nikomu o tym mówić.

Lecz mnie mówił. No ale czy to miało znaczenie, skoro ja nie mogłam mówić i nigdy nie poznam jego żony?

– Ale oczywiście powiedziałem Rolandowi.

Co w tym oczywistego?

– Bo to mój najlepszy przyjaciel.

Zdziwiłam się trochę, a Mannix się zjeżył.

– Roland nie tylko kupuje samochody, na które go nie stać – powiedział. – Robi wszystko dla wszystkich i jest najlepszym kompanem, jakiego można sobie wymarzyć.

Tak, tak słyszałam.

Po krótkim pełnym napięcia milczeniu Mannix podjął opowieść. Zupełnie jakby nie mógł przestać.

– In vitro mieliśmy już dwa razy. Za pierwszym i drugim embrion się zagnieżdżył, ale Georgie poroniła. Wiem, że statystyki nie były dla nas korzystne, ale i tak kiedy do tego doszło, zważyło nas z nóg.

Byłam wstrząśnięta tą tragiczną opowieścią. Taką nieoczekiwaną.



PRZYKRO MI BARDZO – wymrugałam.

Mannix wzruszył ramionami, wpatrując się w swoje dłonie.

– Dla Georgie to o wiele trudniejsze. Wstrzykują jej te wszystkie hormony... Potem bardzo się stara utrzymać embrion, a ja nie mogę jej w niczym pomóc. Czuję się jak wielki beużyteczny kretyn. W tej chwili podchodzimy do in vitro po raz trzeci i Georgie jak na razie jest w ciąży. Czekamy w napięciu.

Strasznie chciałam przekazać mu jakieś wsparcie, zachętę, wymrugałam: POWODZENIA. Czasami język jest bezradny. Nawet gdybym była w stanie mówić, nie zdołałabym przekazać, jak wielką mam nadzieję, że się im uda.

On mówił dalej.

– W zeszłym roku skończyłam czterdziestkę, Georgie kończy w tym roku, i nagle wszystko wydaje się bezsensowne, bez znaczenia, bo nie mamy dzieci. Powinniśmy byli zacząć próby wcześniej, ale... ale byliśmy głupi, żyliśmy złudzeniami. Sądziłyśmy, że mamy więcej czasu. – Zamilkł. Lecz po paru minutach znowu podjął: – Ja bardzo bym chciał mieć dużą rodzinę. Oboje byśmy chcieli. Nie dwójkę dzieci, tylko piątkę czy szóstkę. Fajnie by było, prawda?

CIĘŻKA ROBOTA.

– Wiem. A teraz zadowolilibym się jednym i byłbym za nie bezgranicznie wdzięczny.

MAM NADZIEJĘ, ŻE WAM SIĘ UDA.

– Jak ty to kiedyś powiedziałaś? – spytał w zamyśleniu. – Czasami dostajesz to, czego chcesz, czasami dostajesz to, czego potrzebujesz, a czasami dostajesz to, co dostajesz.

Trzy dni później przyszedł do mojego boks i powiedział:

– Dzień dobry, Stello.

Od razu wiedziałam, że jego żona straciła dziecko.

PRZYKRO MI.

– Skąd wiesz?

Po prostu wiem. BARDZO MI PRZYKRO.

– Na jakiś czas rezygnujemy. Dla Georgie to jest takie ciężkie.

DLA CIEBIE NA PEWNO TEŻ.

Widać było, że jest całkowicie załamany, ale powiedział tylko:

– Dla niej o wiele bardziej.

Kątem oka zauważyłam jakiś ruch – jakieś dwa metry od nas stał mężczyzna.

Mówią, że kamery telewizyjne każdemu dodają pięć kilogramów. Tymczasem Roland Taylor – bo to on tam stał – był pierwszą osobą, jaką widziałam, grubszą w prawdziwym życiu. Był wystrojony w modną kurtkę i charakterystyczne okulary i chociaż Karen w kółko powtarzała, że grubi ludzie są grubi, bo są zgorzkniali i wściekli, ten mężczyzna emanował łagodnością i uprzejmością.

Zamknął Mannixa w niedźwiedzim uścisku i usłyszałam, jak mówi:

– Rozmawiałem z Georgie. Bardzo mi przykro.

Przytrzymał brata bardzo długo, w mocnym uścisku, a ja bym zapłakała, gdybym mogła.

Potem zapisał pager Mannixa i się rozdzielili.

– Zaczekaj tu. – Mannix przeczytał wiadomość z wyświetlacza pagera. – Nie wychodź. To nie potrwa długo.

Mannix zniknął, a Roland stał i wyglądał, jakby nie wiedział, co ze sobą zrobić. Wyteżałam każdy gram swojej woli, by przyciągnąć jego uwagę.

Odwrócił się do mnie i spojrzał na moją twarz.

– Przepraszam – powiedział skrepowany – że tak się tu wdarłem.

Zamrugałam kilka razy powiekami, a na jego twarzy pojawiło się jakieś skojarzenie.

Pochylił się, by odczytać coś z mojej karty.

– Pani ma na imię Stella?

Mrugnęłam prawym okiem.

– Ja jestem Roland, brat Mannixa.

Mrugnęłam prawym okiem, by przekazać, że wiem.

– Mannix mówił mi o pani.

To mnie zaskoczyło.

– Nie po nazwisku! – zapewnił szybko przerażony Roland. – Proszę się nie martwić, absolutnie przestrzega tajemnicy lekarskiej. Wspomniał tylko o pani stanie i że komunikuje się pani mruganiem.

Dobra, tak mogło być. Próbowałam to przekazać wzrokiem.

– Chwileczkę. – Pogrzebał w swojej torbie Mulberry i wyjął długopis oraz kartkę, chyba receptę, a ja wymrugałam: CUDOWNIE, ŻE MOGĘ CIĘ POZNAĆ.

– To niesamowite! – Roland uśmiechnął się radośnie. – Ty jesteś niesamowita. – Miał dokładnie takie same oczy jak Mannix, tylko że schowane w tłustej twarzy. – Właśnie mruganiem przekazałaś mi całe zdanie.

...Ach, dzięki...

Trochę niespokojnie obejrzał się na korytarz.

– Nie wiem, dokąd on poszedł. Powinien niedługo wrócić.

USIĄDŹ.

– Na pewno? Nie przeszkadzam?

Zwariował? Rozpaczliwie pragnęłam towarzystwa, delikatnie rzecz ujmując, i nie zamierzałam przegapić szansy na kilka minut z gawędziarzem numer jeden Rolandem Taylorem.

OPOWIEDZ MI COŚ.

– Na pewno? – Powoli rozsiadł się na krześle. – Mógłbym ci opowiedzieć, jak poznałem kogoś sławnego. Cher? Michaela Bublé? Madonnę?

Mrugnęłam prawą powieką.

– Madonna? Doskonały wybór, Stello. – Usadowił się wygodnie. – No więc Madonna jest absolutną boginią. To oczywiste. Ale trochę taką... trudną... Mieliśmy fatalny początek, bo usiadłem na jej kowbojskim kapeluszu, i uczyniłem go... że tak to ujmę: *hors de combat*.

Gdy on gawędził o wyniosłości Madonny, stwierdziłam, że jest zniewieściały, delikatnie mówiąc. Domyślałam się, że jest gejem, co w żaden sposób zresztą niczego nie zmieniało.

# Środa, 4 czerwca

## 6.00

Budzę się z pięknego snu – był w nim Ned Mount. Znowu! Mówił: „W sklepie są nowe ciasteczka. Zrobione wyłącznie z białka. Możesz ich jeść, ile chcesz”.

Kilka minut wtulam się w różową poświatę, nim dopada mnie potworny strach, bo przypominam sobie wszystko i chwytam za iPada: wideo Ryana ma już ponad dwadzieścia tysięcy odsłon.

Słyszę, że Jeffrey snuje się po podeście i wołam, żeby do mnie wszedł.

– Widziałaś? – Ruchem głowy wskazuje mój iPad. – To dużo, no ale nie są to, powiedzmy, setki tysięcy. Mogło być gorzej. I nie ma nowych zdjęć.

– Spotkam się dzisiaj z doktorem Quinnem. Może coś poradzi.

Doktor Quinn od niepamiętnych czasów jest naszym lekarzem rodzinnym. Zna Ryana i może coś wymyśli.

– Ja wychodzę na jogę – mówi Jeffrey.

– Okej.

Obmywam się bez entuzjazmu, a potem zjadam 100 g łososia – wracam do porządku po wczorajszej klęsce ciasteczkowej. Siadam przed komputerem, uśmiecham się fałszywie do swojego oblicza i piszę „Dupa”.

## 9.01

Dzwonię do przychodni i proszę o wizytę u doktora Quinna na dzisiaj. Recepcjonistka nie poświęca mi zbytnej uwagi, aż – tytułem próby – podaję swoje nazwisko i nagle słyszę w jej głosie przejęcie, zainteresowanie, a nawet zmieszanie. Wizytę mam jeszcze przed południem: to jedno z dobrodziejstw bycia ekscelebrytą. Może nie zdobyłabym stolika w Nomie, ale gdybym pilnie potrzebowała antybiotyków, dobrze wiedzieć, że zostanę obsłużona.

## 11.49

W co mam się ubrać? No, to akurat proste: moje nowe damskie chinosy albo... moje nowe damskie chinosy.

Kiedyś moje ciuchy były tak skomplikowane, że miały własny planner. Wszystko dzięki Gildzie.

Pewnego popołudnia weszła do mojego mieszkania w Nowym Jorku przed codziennym treningiem i zastała mnie o włos od hiperwentylacji.

– Nie mogę dzisiaj biegać – powiedziałam.

– Co się dzieje?

– To. – Podałam jej mój iPad, w którym znajdował się proponowany program trasy promocyjnej mojej książki. – Spójrz na to. – Z trudem oddychałam. – Dwadzieścia trzy dni, po całym kraju. W Chicago będzie padał śnieg, na Florydzie będzie upał, a w Seattle będzie lało. Muszę odwiedzać szpitale, pojawiać się w telewizji, uczestniczyć w kolacjach charytatywnych i na każdą z tych okazji muszę mieć odpowiedni strój. Nie ma wolnego czasu, a w żadnym z tych miejsc nie jestem dłużej niż dzień, więc nie mogę zamówić prania. Muszę znaleźć walizkę wielkości tira.

Gilda przejrzała plan.

– I dlaczego to wszystko jest takie nielogiczne? – spytałam. – Kolejność wizyt? Będę się kręcić w kółko. Dlaczego jednego dnia jestem w Teksasie, drugiego w Oregonie, a następnego w Missouri, czyli praktycznie obok Teksasu? Dlaczego nie mogę zaliczyć Teksasu, Missouri, a potem Oregonu? A tu następny idiotyzm: Karolina Południowa, Seattle, Floryda. Przecież sensowniej byłoby polecieć na Florydę z Karoliny, bo są blisko siebie, a potem do Seattle. Dlaczego nie można w takim porządku?

– Bo nie jesteś Deepakiem Choprą – odparła Gilda łagodnie – ani Eckhartem Tolle. Jeszcze nie.

– Co to znaczy?

– Tak wyglądają początki każdego pisarza w trasie promocyjnej. W wypadku wielkich nazwisk to pisarz dyktuje warunki; obwieszcza, że przybywa do miasta konkretnego dnia, i mieszkańcy stawiają się na spotkanie. Ale w wypadku takich nowicjuszy jak ty, Blisset Renown musi znaleźć już organizowane lokalne wydarzenie i ciebie do niego dopasować. Spójrz tylko – postukała w ekran – panie z Forth Worth Texas mają swój doroczny lunch charytatywny czternastego marca i wtedy właśnie musisz w nim wziąć udział. Piętnastego nie będzie im pasować, prawda? Bo już będzie po lunchu. Dalej otwarcie nowej księgarni w Oregonie szesnastego marca. Miejscowe media stoją w kolejce, by zrobić z tego materiał, więc nie ma sensu, żebyś przyjeżdżała przeciąć wstęgę trzy dni później, kiedy będzie po wszystkim, a księgarnia już będzie normalnie działać. A Dzień Czytelnika w Missouri siedemnastego? Ustalono to pewnie pół roku temu. Teraz ty się musisz wpasować i robić, czego świat sobie zażyczy. Ale to się zmieni.

Dobra, skumałam, co mówiła: na świecie było mnóstwo pisarzy poradnikowych walczących o to samo miejsce w telewizji, radiu i na imprezach charytatywnych.

– Jesteś szczęściarą – dodała. – Może tego nie czujesz, ale jesteś. Trasy promocyjne książek są kosztowne. Trzeba wydać mnóstwo pieniędzy na bilety samolotowe i na hotele, na samochody i miejscowych publicystów. Każdy pisarz chce mieć

trasę promocyjną swojej książki, a ty należysz do wybrańców. Do garstki wybrańców.

– Tak? – Odkrycie, że należę do garstki wybrańców, nagle zmieniło mój sposób postrzegania wydarzeń. Nadal jednak miałam problem z ubraniami.

– Teraz idziemy biegać – zdecydowała Gilda.

– Nie, ja...

– Tak! Musisz spalić tę toksyczną energię. A po powrocie pokażesz mi swoją garderobę. Jestem pewna, że masz mnóstwo ubrań, które się świetnie spiszą. A w celu uzupełnienia braków zamówię ci ciuchy, znam parę osób.

– Osób?

– Projektantów. Dobrze się zapowiadających. Niezbyt drogich. I asystentów zakupów pracujących z bardzo bogatymi ludźmi, którzy zamawiają kolekcję na nadchodzący sezon z katalogu. Płacą z góry, ale zanim ciuchy dotrą do sklepu, tracą nimi zainteresowanie i często ich nie odbierają. Te ciuchy muszą gdzieś trafić, prawda?

– Co to znaczy?

– Że jeśli grzecznie poprosisz, te ciuchy są odsprzedawane prawie za darmo. I jeśli wiesz, kogo poprosić.

Nie posiadałam się ze zdumienia nad tym wszystkim. Ludzie płacą za ciuchy i nie odbierają ich. I mogą mieć z tego korzyść zwyczajni ludzie.

– Nie ma w tym nic złego – podjęła Gilda. – Sklep już dostał swoją należność. Co z tego więc, że asystent dostanie coś do kieszeni? Wszystko jest w porządku.

Gilda dotrzymała słowa: dwa dni później przysłała do mnie z naręczem designerskich ciuchów, a ja przymierałam je całe popołudnie, w czym ona mi asystowała z brutalną szczerością.

– W tym kolorze wyglądasz strasznie. Wyrzuć to. Dobra, tak już lepiej. Służą ci dekolty w łódkę. Przymierz to z ciemną spódnicą i wysokimi butami. W porządku. A ta tunika? Za mała. Wyrzuć. Ta sukienka? To dzienna? Koktajlowa? Nie wiadomo. Wywalamy.

– Ale mnie się ona podoba!

– Wielka szkoda. Każda sztuka garderoby musi działać na sto procent. Nic, co nie nadaje się do wielokrotnego wykorzystania, nie trafi do twojego bagażu.

Narysowała schemat każdego spotkania, w którym miałam uczestniczyć w trasie, i wszystkiego, co powinnam nosić, po buty, bieliznę, akcesoria, a nawet lakier do paznokci.

– Skąd masz tę umiejętność? – spytałam w zdumieniu. – Jesteś niewiarygodna.

Roześmiała się lekko.

– W innym życiu byłam stylistką.

– To ile miałaś tych żyć?

## 12.05

W przychodni wchodzę do gabinetu starego doktora Quinna.

– Stella! – mówi i wydaje się trochę skrępowany. – Słyszałem, że... eeee... że wróciła pani do Irlandii.

– Tak, wróciłam, ha, ha, ha.

– No więc w czym mogę ci pomóc?

– Właśnie. Zna pan Ryana, mojego byłego męża?

– Tak...

– Trochę się...

Przedstawiam opowieść o całym projekcie karmicznym i gdy tylko doktor Quinn uświadamia sobie, po co przyszedłam, zamyka się w sobie.

– Nie mogę diagnozować kogoś innego.

– Ale ja się o niego martwię.

– Nie mogę diagnozować kogoś innego. – Jest niewzruszony.

– A może pan wydać nieoficjalną opinię? Bardzo proszę.

– No cóż... z pani opowieści rysuje się obraz lekkiej manii.

– To choroba dwubiegunowa, tak?

– Nie mówię, że ma chorobę dwubiegunową! – zastrzega szybko.

– A może to być kryzys wieku średniego?

– Nie ma czegoś takiego... ale rzeczywiście przedział wiekowy by się zgadzał. Czy Ryan może dużo jeździ na rowerze?

Mam na myśli obsesyjnie? Kupuje dużo lycry?

Kręcę głową.

– Ma jeszcze kogoś, kto by się o niego martwił? Ma partnerkę?

– Nie.

– No to może dziewczynę, jeśli wolno nam użyć w dzisiejszych czasach słowa „dziewczyna”, nikogo przy tym nie obrażając? Co się mówi zamiast tego słowa? – Przez chwilę wpatruje się w przestrzeń. – Seksfriend, tak się mówi!

– Ekhm... „dziewczyna” moim zdaniem jest super. Ale on nie ma dziewczyny.

– A ma przecież taką dobrą pracę... – dziwi się doktor Quinn.

– Może uściśle: on często ma dziewczyny, ale zawsze dwudziestoparolatnie i po ośmiu tygodniach rzucają go,

twierdząc, że jest niedojrzały i ma obsesję na swoim punkcie. Ostatnia odeszła mniej więcej przed miesiącem.

- Rozumiem. To... dość niefortunne. Rozmawiała pani z jego rodzicami?
- Mogłabym, gdybym miała pod ręką medium.
- A, już pamiętam. Zmarli.

Matka Ryana umarła sześć lat temu, a ojciec cztery miesiące później.

- A rodzeństwo?
- Ma siostrę. Mieszka w Nowej Zelandii.

Doktor Quinn był bardzo przejęty.

- Bardzo daleko. Podobno to niezwykle malownicze miejsce. Pani Quinn chciałaby tam pojechać, ale nie wiem, czy mogę sobie pozwolić na tak długi lot. Nawet w skarpetkach przeciwzakrzepowych.
- Tak, długo się tam leci.
- Więc siostra nie może przemówić Ryanowi do rozumu?
- Nie - odpowiadam posępnie.
- I nie ma innego rodzeństwa? Nie? To bardzo niewiele jak na irlandzką rodzinę z tego pokolenia.
- W mojej rodzinie też była tylko dwójka dzieci.
- Rzeczywiście. Pani i Karen. A co u Karen?
- Wszystko dobrze.
- To wspomniała dziewczyna. Wspomniała. O wielkim... animuszu. Tryska energią. Rozwiązała sprawę zaskórniaków mojej małżonki.
- Doprawdy...? - Wiedziałałam wszystko o zaskórniakach pani Quinn, ale pomiędzy kosmetyczkami, a ich klientkami obowiązywała niepisana zasada poufności. Przecież kobieta nie mogła na przykład pójść na przyjęcie i stwierdzić, że wszyscy wiedzą, że ona ma owłosiony brzuch.
- Może Karen by porozmawiała z Ryanem? - Doktor Quinn nieoczekiwanie się ożywił nadzieją. - Jeśli ktokolwiek może go przywołać do porządku, to ona.
- To nie do końca leży w zakresie jej możliwości...
- Rozumiem.

Siedzimy w pełnej przygnębienia ciszy, aż nagle doktor Quinn się ożywia.

- A jak pani się czuje, Stello? - pyta. - Z tymi wszystkimi... ekhm... zmianami w życiu? Nie mówię o Ryaniu, mówię...
- Dobrze.
- Daje pani radę?
- Daję.
- No to świetnie. Każdy inny na twoim miejscu przyszedłby już po antydepresanty i inne takie...
- Daję sobie radę.

Nie chcę jego litości i nie chcę jego antydepresantów.

- Swoją drogą dobrze pani wygląda. Ładne... yyy... - Ruchem głowy wskazuje moje spodnie.
- Chinosy - mówię. - Tak. Damskie chinosy.
- Damskie chinosy? Kto by pomyślał... Więc mogę coś jeszcze dla pani zrobić, skoro już pani tu jest?
- Nie, dziękuję.
- Mógłbym pani zmierzyć ciśnienie - namawia.
- Dobrze - wzdycham i odsłaniam ramię.

Siedzę cierpliwie, gdy rękaw zaciska się na mojej ręce, a doktor Quinn obserwuje cyferki.

- Odrobinę wysokie - podsumowuje.
- Nic dziwnego, prawda?

## Zaufaj intuicji.

fragment *Mozolnych mrugnięć powieką*

– No? – spytał Mannix Taylor. – Jaką mamy mądrość na dziś?

Zaczął tak mówić do mnie co rano i początkowo sądziłam, że ma niezły tupet: w końcu to ja płaciłam jemu.

– Sypiesz mądrościami jak z rękawa – rzekł wówczas. – O jedzeniu słonia, o przechodzeniu przez piekło i o tym deszczu.

Szybko zrozumiałam, że nie prosi dla siebie, tylko daje mi materiał do przemyśleń. I rzeczywiście udawało mi się. Miło było mieć zadanie, dzięki temu czas płynął szybciej, a te parę rzeczy, które na razie wymyśliłam, to: „Katastrofa jest nie tylko dla innych”, „Ciesz się z najmniejszych dobrych uczynków”, „Kiedy ziewnięcie nie jest ziewnięciem? Wtedy gdy jest cudem”.

Oczywiście, jedne były lepsze, inne gorsze. Szczególnie dumna byłam z tego o ziewnięciu.

Przekazałam mu też mądrość o polu golfowym: „Możesz mieszkać przy polu golfowym, a i tak nie musisz grać w golfa”.

Ku mojemu zdumieniu odparował:

– Ale można na to spojrzeć inaczej. Może: „Jeśli mieszkasz przy polu golfowym, możesz zagrać w golfa”?

ODBYWAMY DYSKUSJĘ FILOZOFICZNĄ? – spytałam.

– Jezu – odrzekł z namysłem. – Niewykluczone. No bo wiesz, po co człowiek miałby zamieszkać przy polu golfowym, jeśli w głębi duszy nie interesuje się golfem?

Tego ranka jednak Mannix Taylor nie troszczył się o moją rozrywkę, tylko rzeczywiście szukał jakiejś mądrości.

– Martwię się o Rolanda.

Och?

– Wspominałem ci, że ma problemy finansowe. Cóż... pamiętasz ten dzień... ten dzień, kiedy mieliśmy krakę? Właśnie wtedy odkryłem, że Roland wziął depozyt na sprzedaż domu, ale wydał go, zanim zapłacił sprzedawcy.

O mój Boże? Ile?

– Trzydzieści tysięcy. Potem, gdy poprzeglądałem jego dokumenty, odkryłem, że ma wiele kart kredytowych i ogromne długi. Ogromne. Tamtego dnia siedziałem przy jego biurku, cały przerażony, i nagle wyjrzałem przez okno, a tam na jego miejscu parkingowym stał nowiuteńki range rover...

Boże.

Nagle w jego oczach pojawiło się przerażenie.

– Nie powinienem ci tego mówić.

JUŻ DZWONIĘ DO GAZET.

Roześmiał się i przez chwilę wyglądał, jakby nie miał problemów.

– Roland bardzo się stara opanować swoją rozrzutność i spłacić dłużników. Bardzo się wstydzi. Ale ciągle do tego wraca, zupełnie jakby nad tym nie mógł zapanować, jakby był bezradny. Obawiam się, że musi pójść na odwyk, żeby się wyleczyć z kompulsywnej rozrzutności. No ale oczywiście nie chce iść. Moi rodzice i siostry też nie chcą, żeby poszedł. Mówią, że nic mu nie jest. Bo oni wszyscy też mają problem z pieniędzmi.

Zamilkł, pogrążony w myślach. Wyglądał bezradnie, jakby nękały go poczucie winy i wielki smutek.

– No to jaką masz na dzisiaj mądrość?

Zablokowałam się. Na tej akurat dziedzinie nie za bardzo się znałam.

EEE... ZAUF AJ INTUICJI.

– Zaufaj intuicji? – prychnął. – To trochę jak ciasteczko z wróżbą. Zwykle masz coś lepszego.

Ach, do dupy.

Ale następnego dnia Mannix przyszedł na oddział i rzekł:

– To zabrzmiało może... dziwnie...

Doprawdy?

– Roland? Wspominałem ci o jego problemach z pieniędzmi? I że uważam, że powinien pójść na odwyk?

No tak...

– On się właśnie zastanawia, czy mógłby cię poprosić o radę na ten temat.

JAK TO?

– Polubił cię. Naprawdę cię polubił. Twoje nastawienie rzuciło go na kolana. Mówi, że zaufa wszystkiemu, co powiesz.

Moje nowe wcielenie – mądrej sparaliżowanej kobiety z Ferrytown – całkowicie mnie zaskoczyło. Co niepełnosprawni mają takiego, że przypisujemy im szlachetne cechy? Na przykład wszyscy sądzą, że niewidomi są mili. Ale nie są, nie wszyscy. Są tacy jak inni. Pewnego razu próbowałam pomóc niewidomemu przejść przez tłumy na Grafton Street, a on uderzył mnie laską – mocno walnął mnie w gołe nogi, naprawdę boleśnie. Udawał, że to przypadkiem, ale to nieprawda.

Nie wyobrażałam sobie również, że zachowam obiektywizm w kwestii długów. Myśl, że ktoś komuś jest winien dziesiątki tysięcy euro, napełniała mnie przerażeniem, mimo że nie ja byłam tą osobą.

Zoe powiedziała kiedyś, że poczułaby się szczęśliwa tylko wtedy, gdyby wszyscy na ziemi połączyli się w szczęśliwe związki. Ja z kolei czułam, że ulżyłoby mi ogromnie, gdyby zniknęły wszystkie długi na świecie. Sama potwornie się bałam, że mogłabym być komuś coś winna, i ten strach projektowałam na cały rodzaj ludzki.

ALE JA O ROLANDZIE NIC NIE WIEM.

– Wiesz! Mówił, że między wami zaiskrzyło.

Z tym rzeczywiście musiałam się zgodzić.

– Daj mu się tylko wypowiedzieć – ciągnął Mannix. – Wiem, że to niestosowne. Nawet nieprofesjonalne. Ale...

Nie musiał tego mówić – wiedział to, co ja wiedziałam: leżąc w tym szpitalnym łóżku, niewiarygodnie się nudziłam i każde dramatyczne wydarzenie było mi mile widziane.

DOBRA – wymrukałam. – MOŻE PRZYJŚĆ.

– Dzisiaj?

DZISIAJ.

Po południu Mannix przyprowadził brata do mojego łóżka. Sam się wycofał. Roland wyglądał potulnie i niespokojnie jednocześnie.

– Stello, jesteś uosobieniem dobroci, że poświęcasz mi swój czas i mądrość.

Ekhm, no ja bym się spierała.

Usiadł i sięgnął po notes i długopis.

– Mówiąc w skrócie, Stello: mam ogromne długi i zamiast je spłacać... zamiast je spłacać, pożyczam jeszcze więcej i ruszam na zakupy, gdzie robię takie rzeczy jak nabycie czterech marynarek od Alexandra McQueena jednocześnie. A potem siebie nienawidzę. I oczywiście mam jeszcze większe długi.

Jezu. Od samego słuchania tętno mi podskoczyło.

– Chcę przestać. Ale nie mogę... Mannix pragnie, bym poszedł na odwyk, żeby się doprowadzić do porządku. A co powinienem zrobić twoim zdaniem?

A JAK SĄDZISZ?

– Sądzę, że powinienem pójść na ten odwyk. Ale się boję.

TO NORMALNE, ŻE CZŁOWIEK SIĘ BOI ODWYKU.

Zastanowił się.

– A ty się boisz? Kiedy leżysz w szpitalu w takim stanie?

TAK.

– Dobra. – Zastanowił się znowu. – Skoro ty jesteś w stanie tak żyć, dzień po dniu, to ja przecież wytrzymam sześć tygodni, prawda?

TO MOŻE CI POMÓC.

– Tak sądzisz? – Odniosłam wrażenie, że wcześniej nie przyszło mu to do głowy.

MOŻE NIE BYĆ KARA.

– Taaak. – Jakby podniosła się spowijająca go chmura. – Chyba sobie wyobrażałem, że będą mnie na przykład batożyć, odczytując wyciąg z mojej karty kredytowej przez megafony. Wiesz... „Osiemdziesiąt funtów na krawat Paula Smitha”. Szast! „Dziewięćset funtów na torbę Loewe”. Szast! „Dwa tysiące funtów na ładny rower”, na którym nigdy nie jeździłem. Szast!

Zrobiło mi się niedobrze. Naprawdę wydawał pieniądze na te wszystkie rzeczy?

NIE CHCESZ BYĆ WYBATOŻONY – powiedziałam. Tego byłam pewna. Prawie.

– Oczywiście, że nie chcę. Co ja sobie myślałem? Wiesz co? Jesteś niesamowicie inspirująca. Masz tyle odwagi....

Ale przecież nic nie zrobiłam.

– Jesteś uroczą kobietą. Dziękuję.

Gdy Mannix przyszedł następnego ranka, przywitał mnie słowami:

– Wiesz co? Roland poszedł na odwyk.

Super!

– Dziękuję.

Nie miał za co mi dziękować: Roland sam się namówił. Już wszystko przepracował; tylko po prostu nie do końca był gotowy się do tego przyznać przed samym sobą.

– Siostry są na mnie wściekłe – mówił dalej Mannix. – I rodzice. Jestem najbardziej znienawidzoną osobą w rodzinie. – Uśmiechnął się krzywo. – Ale wiesz, to fajne uczucie, że w czymś jesteś naj...



## 12.44

Z ciężkim sercem wychodzę z gabinetu doktora Quinna na ulicę. Wabi mnie kiosk wypełniony po brzegi czekoladą, muszę zmobilizować absolutnie całą swoją samokontrolę, by nie wejść do środka i nie kupić pięciu batoników.

Postanawiam, że podejmę jeszcze jedną, ostatnią próbę odwołania się do rozsądku Ryana. Odbiera komórkę i od razu mówi:

- Nie cofnę się.
- Gdzie jesteś?
- W biurze.

To rzadkość. Zwykle jest poza biurem, na spotkaniach albo użera się na miejscu budowy z beznadziejnymi hydraulikami.

W oddali widzę nadjeżdżający autobus.

- Nie ruszaj się stamtąd - mówię. - Już jadę.

Wskakuję do 46A - mam w portmonetce dokładną ilość drobnych, co uznaję za dobry znak - i szykuję się na podróż zgoła kilkudniową, bo takie mam doświadczenie z 46A z przeszłości. Ale dzieje się coś dziwnego - może trafiamy w dziurę w czasie i przestrzeni - bo w ciągu trzydziestu dziewięciu minut dojeżdżam do centrum, pod firmę Łazienki Ryana Sweeneya.

Jej siedziba znajduje się na pierwszym piętrze georgiańskiego domu na South William Street. Pięć osób pracuje w skupieniu przed monitorami, z twarzami skąpanymi w ich blasku. Na środku pomieszczenia Ryan siedzi na fotelu obrotowym, kołysze się w przód i w tył oraz na boki i uśmiecha się w przestrzeń w tak durny sposób, że budzi to moje najwyższe zaniepokojenie. Ruchem głowy witam się z pilnymi pracownikami i ruszam pomiędzy stosami broszur i próbek kaffi.

Zauważył mnie.

- Stella! - Uśmiecha się, jakby był ujarany, i dalej się kołysze.
- Przestań! - syczę, a on na szczęście nieruchomieje.

Gestem wskazuję wszystkie deski kreślarskie, komputery i inne techniczne czary-mary.

- A jak to wszystko się ma do twojej karmy? - pytam. „Nie nazywaj tego Projektem Karma - błagam się w duchu. - Nie sankcjonuj tego wybryku nadawaniem mu nazwy”.

- Oddaję firmę.

No to teraz naprawdę jestem w szoku. Stoję przerażona.

- Ale... ale to jest twoje źródło utrzymania... - jąkam się. - Co z twoimi dziećmi? Ryan, masz obowiązki.
- Moje dzieci są dorosłe.
- Jeffrey nie jest.

- Jest. To nie moja wina, że nie zachowuje się jak dorosły. Moja córka wychodzi za mąż. Wychowałem ich, płaciłem za ich wykształcenie, dałem im wszystko, czego potrzebowali i czego chcieli. Nadal jestem do ich dyspozycji i mam odłożone pieniądze na ostatni rok szkoły Jeffreya, ale finansowo wypełniłem swoje zadanie.

- No, a twoi pracownicy? Stracą pracę.

- Nie stracą. To dobrze prosperująca firma. Teraz będzie należała do Clarissy.

Rozglądam się, by zgromić wzrokiem Clarissę. Od dawna jest prawą ręką Ryana i nigdy jej nie lubiłam. Nie należy do osób, które można by określić mianem przyjaznych. Wysoka i szczupła, zawsze nosi czarne legginsy i robociarskie buty, a do tego postrzępione swetry i dużą srebrną biżuterię - większość w brwiach - i tak się stylizuje, że ma zawsze za długie rękawy, jak mała zagubiona dziewczynka. Przez to mam ochotę podejść i dać jej klapsa.

Spokojnie patrzy mi w oczy, a na jej twarzy pojawia się lekki, zagadkowy - triumfalny? - uśmiech. Mój gniew przybiera gwałtownie na sile, muszę odwrócić wzrok. Jak zawsze ja. Całe życie jestem słabeuszem. Odwracam się do niej plecami, a twarzą do Ryana.

- Możemy porozmawiać na osobności?

Wychodzimy na korytarz.

- Ryan, najwyraźniej przechodzisz kryzys wieku średniego - mówię łagodnie. - I naprawdę tego pożałujesz. Nie możesz potrenować do triathlonu jak wszyscy w twoim wieku? To pomoże. Jeffrey może z tobą pływać.

- Jeffrey mnie nienawidzi.

- To prawda - zgadzam się. - Ale mnie też nienawidzi. Nie możesz brać tego do siebie. Jeśli więc on będzie z tobą pływał, ja mogę z tobą biegać. - Wobec kryzysu brzuszego muszę wrócić do jakiejś aktywności fizycznej i zobowiązanie się wobec Ryana będzie dobrym pomysłem. - I znajdziemy kogoś od jazdy rowerem. Może Enda?

- Nie będę jeździł na rowerze z Endą Mulreidem - mówi Ryan buntowniczo. - On ma uda policjanta. Nieludzko

wytrzymałe.

- No to poszukamy kogoś innego. To nie musi być Enda.

Ale Ryan tkwi po uszy w swoim projekcie, tak głęboko, że nie sposób do niego dotrzeć.

- Stello - kładzie dłonie na moich ramionach i patrzy na mnie z żarem - robię coś ważnego. To sztuka duchowa.

Udowadniam, że karma istnieje.

Na chwilę daję się złapać w pułapkę tego płomiennego przekonania. Może on rzeczywiście robi coś dobrego. Może wszystko będzie dobrze. Ale...

- A jeśli się nie uda? Co wtedy?

Śmieje się cicho.

- Ty już zawsze będziesz tą dziewczyną z klasy robotniczej bojącą się biedy, co?

- Jestem pragmatyczna - unoszę się. - Ktoś musi! Pójdiesz do doktora Quinna? Upewnić się, że nie jesteś... no wiesz...

Że nic ci nie dolega. Że nie masz nic z głową.

- Nie mam.

Wpatruję się w niego żałośnie. Nie wiem, co robić. Powinnam wrócić do biura i przemówić do rozsądku Clarissie? Ale wiem, co ona na to; uśmiechnie się tajemniczo i powie swoim rzeczowym, irytującym tonem, że Ryan może robić, co chce. I nawet jeśli Clarissa postanowi, że nie przejmie firmy, Ryan zaproponuje ją komuś innemu i wreszcie ktoś ją przyjmie, a potem nie odda.

To nad Ryanem muszę pracować.

- Muszę iść - mówi. - Chcę tam wrócić i kołysać się na fotelu.

- Naprawdę?

- To jest takie... miłe. Czuję się taki wolny i rozkołysany.

- Wolny i rozkołysany?

Nagle zmienia temat, w sposób, który wkurza większość ludzi.

- Wiesz co, Stello... - Patrzy mi w oczy. - Bardzo dobrze wyglądasz. Jest w tobie coś nowego.

- Niebotyczny strach?

- Nie, nie. Zawsze byłaś strachliwa. To... - Taksuje mnie wzrokiem i wreszcie wskazuje moje nogi. - To te spodnie.

- To chinosy - mówię niemal zawstydzona. - Damskie chinosy.

- Są świetne. - I chociaż ma nie po kolei w głowie, jego komplement sprawia mi przyjemność.

Niektórzy umieją poruszać uszami –  
to ich popisowy numer. Jeśli ty nie umiesz,  
nie przejmuj się. Znajdź sobie jakiś inny  
popisowy numer.

fragment *Mozolnych mrugnięć powieką*

– „Jego odbyt wpatrywał się w nią niczym nieruchome oko...” – przeczytał tata.

O matko! Ta książka od Georgie Taylor okazała się nieco pikantna. Jej bohaterką była znudzona kobieta, która wyszła za szanowanego dyrektora firmy, ale prowadziła drugie życie jako prostytutka.

– „Ujęła w dłonie jego worek mosznowy i...” O nie! Nie będę tego czytał. – Z trzaskiem zamknął książkę. – Nie obchodzi mnie, ile ta książka zdobyła nagród. Nie mówię, że to nie jest literatura. Niektóre z największych światowych dzieł są nafaszerowane świństwami. Ale ty jesteś moją córką i mnie ta sytuacja nie odpowiada. Co tu jeszcze mamy?

Obejrzał stosik książek od Georgie Taylor.

– *Dziwne losy Jane Eyre*? – rzekł wstrząśnięty. – Ależ to dla uczennic. Upadek. Co będzie następne? *Dziennik Bridget Jones*? *Przygody Mikołajka*?

O Boże. Choć tata na oczy nie widział Georgie Taylor, zdołał się w niej zakochać. Któregoś dnia przyniósł nawet bukiet polnych kwiatów i dał go Mannixowi, żeby przekazał żonie. Teraz najwyraźniej wiara w jej nienaganny gust została zachwiana.

– Co jeszcze tu mamy? – Wziął do ręki kolejną książkę. – *Rebeka*? Mamy więc *Dziwne losy Jane Eyre*, czyli książkę o obłąkanej pierwszej żonie mieszkającej na strychu. Potem *Rebekę*, o tym, jak pamięć o pierwszej żonie prześladowuje drugą żonę. – Wbił we mnie twarde spojrzenie. – O co tu chodzi?

Nie wiedziałam i trudno mi było się tym zająć, bo żyłam swoją małą ekscytującą tajemnicą: dzisiaj mijало co do dnia sześć tygodni od chwili, gdy Mannix Taylor powiedział, że moje mięśnie zaczną pracować. Odliczałam cały ten czas, odznaczając każdą dobę, i wreszcie nadszedł ten dzień.

Zastanawiałam się, która część mojego ciała obudzi się pierwsza. Mogły to być ręce, mogły być mięśnie szyi, a mogła być – z tego najbardziej bym się ucieszyła – krtań. Ciężko było określić, gdzie rozkwitnie życie, bo wciąż byłam nieruchoma jak worek piasku, ale dzisiaj coś się zdecydowanie stanie. Bo Mannix tak powiedział.

Niestety, on sam najwyraźniej nie pamiętał, że to powiedział. W czasie rutynowej porannej wizyty nie wspomniał na ten temat ani słowa. No, miał dużo na głowie...

– Dobra, Dolly, ja idę – rzekł tata, wstając. – Nie mogę czytać żadnej z tych książek, to jest babska literatura, tyle że gotycka. – Z żalem pokręcił głową. – Przyniosę coś porządnego od Joan. Może czas wrócić do Normana Mailera.

Z ulgą przyjął jego odejście. Chciałam się skoncentrować na swoim ciele, przeczesać je w skupieniu niczym promieniem latarki, systematycznie poruszając wszystkimi mięśniami po kolei, gotowa rzucić się na najmniejsze drgnienie.

Nozdrza, język, wargi, szyja, klatka piersiowa, ramiona, palce... Od drugiej strony: palce, stopy, kostki, łydki, kolana... brwi, uszy... Nie, to głupie. Nawet w pełni zdrowia nie umiałam poruszyć uszami. Niektórzy umieją, to ich popisowy numer, ale ja nie. Czoło, szczęka, kark, ramiona, łokcie. Jeszcze nic.

Miałam taki plan, że jak Ryan przyjdzie do mnie wieczorem, pokażę mu już jakiś ruch. Potrzebował zastrzyku nadziei.

Ale minął cały dzień i nic do jego przybycia się nie wydarzyło. A on wyglądał ponuro i niechłujnie.

– Jak ci? – Ze znużeniem padł na krzesło i z jeszcze większym znużeniem sięgnął po długopis i notes ze

sterylizatora.

Chciałam mu powiedzieć, żeby się ostrzygł, ale nagle zrezygnowałam z tego pomysłu.

ŚWIETNIE – wymrugłam.

– Szczęściara – rzekł. – Sam chętnie poleżałbym parę dni w łóżku.

Przerażona próbowałam wymrużyć mu jakieś słowa współczucia, ale komunikacja nam nie wychodziła.

– Przestań – powiedział, gdy po raz czwarty nie udało mu się odczytać litery. – Nie mam na to siły.

W porządku. Naprawdę. Wzrokiem próbowałam mu przekazać coś kojącego. Posiedź tu tylko, pobędziemy razem.

– To trochę bez sensu, skoro nie mamy nic do powiedzenia. – Wstał. Był tu zaledwie pięć minut.

Zostań.

– Ktoś jutro do ciebie przyjdzie. Nie pamiętam kto. No ale ktoś.

Może. Goście już nie przybywali tłumnie. Przychodzili pojedynczo, a czasami wcale. Był początek grudnia, wszyscy pełną parą przygotowywali się do Bożego Narodzenia. Dzieci były teraz bardziej zajęte niż zwykle, Ryan tyrał jak szalony, by dopiąć jakiś projekt przed końcem roku, Karen szalała w salonie, a mama brała dodatkowe dyżury w domu opieki.

Zostałam daleko w tyle, w ich strumieniu zaśmigłowym. Silna bliskość, która połączyła Ryana i mnie w pierwszych dniach mojej choroby, wykruszała się w niestrudzonej harówce jego życia. Naprawdę chciałam jak najszybciej wydobrzeć.

– Zresztą odwiedzi cię ten twój Mannix Taylor.

To była złośliwość? Nie sądziłam. Nie, on po prostu stwierdzał fakt: Mannix Taylor mnie odwiedzi. Był moim neurologiem i przychodził w każdy dzień roboczy. Bo mu za to płacono.

– Cześć, do zobaczenia. – Ryan wyszedł, a ja zostałam, przygnębiona. W dobrym zwyczajnym starym stylu. Co można zrobić z paralizem? Co można zrobić ze strachem przed piekłem? Nic, tylko popaść w przygnębienie.

Ryan nie dawał rady i nie winiłam go za to. Na koniec wszystko będzie dobrze, tak sobie mówiłam. Ale po drodze było ciężko.

Tym razem dzień jakoś szybko minął i nagle, o wiele za wcześnie, nadeszła noc. Dzień dobiegł końca, a żaden z moich mięśni nawet nie drgnął.

Próbowałam zachować rozsądek: to nie w porządku traktować zapowiedź Mannixa tak dosłownie. Ustalił ten termin w dużym przybliżeniu. Ale zapadałam w sen z poczuciem niepokoju i smutku.

W pewnym momencie obudziły mnie pielęgniarki, które przyszły mnie obrócić. Odbyły się zwykłe mecje z rurkami, przewodami i czujnikami, i w ostatniej chwili, gdy już miały mnie ułożyć na prawym boku, twarzą do ściany, jeszcze raz zerknęłam na zegar. Do północy zostało siedem minut.

Pielęgniarki oddaliły się z popiskiwaniami gumowych podeszew, a ja zostałam w spokoju. Znowu zaczęła ogarniać mnie senność i już, już miałam się sturlać w ciemności, gdy coś drgnęło w moim lewym kolanie.

Następnego ranka Mannix Taylor przyszedł niemal godzinę wcześniej niż zawsze. A ja stwierdziłam, że zupełnie się myliłam, zakładając, że zapomniał o obiecanych sześciu tygodniach. Cała jego twarz promieniała nadzieją i pragnieniem. Nawet nie silił się na przybranie pozorów profesjonalizmu.

Spojrzałam na niego i samym wzrokiem, pełnym zadowolenia, przekazałam: Tak.

Niemal wskoczył na łóżko.

– Gdzie?

KO...

– Które? – zerwał ze mnie koc.

L...

– Zrób to dla mnie. – Położył dłoń na moim lewym kolanie, a ja skupiłam całą swoją wolę, by poruszyć mięśniami. Nic. Ale w nocy to czułam. Przysięgam, że czułam.

Na pewno? Może tak bardzo tego pragnęłam, że wmówiłam sobie, że to się dzieje.

Spojrzałam na niego przeproszająco.

I nagle pod jego dłonią moje kolano zapulsowało.

W jednym płynnym momencie zszedł z łóżka i stanął na nogach.

– Noż kurwa!

W środku krzyczałam z radości.

– Zrób to jeszcze raz! – rozkazał. – Jeśli to powtórzysz, uwierzę, że to się dzieje naprawdę.

Wrócił na łóżko, położył dłoń na moim kolanie i nieufnie patrzyliśmy na siebie, zastanawiając się, czy coś się wydarzy. On wstrzymał oddech, ale moja noga leżała jak drewniana kłoda.

– No – ponaglił mnie.

Staram się.

– No już.

Staram się, kurwa.

– Dobra – westchnął. – Na dzisiaj damy spokój.

Pod jego dłonią kolano zamrowiło.

– Ha! – zaśmiał się. – Jeszcze, jeszcze.

Znowu mięsień w moim kolanie poruszył się. Zupełnie dziwne odczucie, trochę takie, jak gdy Ryan kładł mi rękę na brzuchu, kiedy byłam w ciąży z Betsy i potem z Jeffreyem.

– Teraz ci wierzę! – powiedział Mannix. – Rzeczywiście pracuje! To się dzieje! Wracasz do zdrowia.

**MÓWIŁEŚ, ŻE WRÓCĘ.**

– Nie mówiłem poważnie. Nie sądziłem, że tak szybko. No ale – w jego głosie słyszałam podziw i rozdrażnienie – powinienem uwzględnić, że tu chodzi o ciebie.

## 15.17

Jeffreya zastaję przy kuchennym stole, pochylonego nad telefonem.

– Video taty ma dziewięćdziesiąt tysięcy odsłon. I liczba odsłon rośnie coraz szybciej. I... trenduje na Twitterze.

Bledną. Tylko nie Twitter, mój ukochany Twitter. Ja nigdy nie trendowałam na Twitterze. Jestem wściekła, przestraszona i... tak, i wściekła.

– Nic się nie martw – mówi Jeffrey. – To tylko blogosfera.

Niepewnie kiwam głową. Jeśli chodzi o Twittera, nie istnieją żadne „tylko”. W moim przekonaniu.

– Tylko blogosfera – powtarza Jeffrey uspokajająco. – To nie prawdziwy świat. To nigdy nie będzie prawdziwy świat.

W tym właśnie momencie dzwoni mój telefon. Abonent nieznany. A jednak odbieram. Zwariowałam?

– Stella Sweeney? – pyta kobiecie głos.

– Kto mówi?

– Nazywam się Kirsty Gaw. Pracuję dla „Southside Zinger”.

„Southside Zinger” to lokalna darmowa gazetka, która kiedyś wrzuciła na pierwszą stronę tytuł *Nastoletni chłopak stłukł talerz*. Zaściankowość to najłagodniejsze słowo, którym można by ten periodyk określić.

– Dzwonię w sprawie pani męża, Ryana Sweeneya. – Serce mi zamiera. Ktoś w „Zingerze” musiał powiązać go ze mną.

– Eksmęża – poprawiam, niespokojnie i bardzo stanowczo. – To mój eksmąż.

– Więc Stella to pani? – pyta przyjaznym tonem.

Włącza się moje przeszkolenie medialne.

– Nie, nie, to nie ja. Pomyliła pani numer. Dziękuję. Bardzo dziękuję. Do widzenia. – Kończę rozmowę jak najgrzeczniej.

Minus sławy, nawet takiej wątpliwej, uświadamiam sobie, krzyżąc w zwinięte dłonie, polega na tym, że musisz być ciągle miły. I tak jest trudno, nawet bez ludzi gładzących: „To Stella Sweeney. Wydaje się taka miła. Ale tak naprawdę to nadęta krowa”.

– Co jest? – pyta Jeffrey.

Patrzę na niego pustym wzrokiem.

– „Southside Zinger”. Ożeż kurwa!

– Nie przeklinaj, proszę. Zresztą to tylko „Southside Zinger”. *Mieszkanca naszego miasta wypadła rzeża*.

Patrzę na niego prawie z podziwem – jak na Jeffreya było to całkiem zabawne.

Znowu dzwoni mój telefon. Pewnie znowu Kirsty Gaw. Ale nie. To kolejna gazeta, tym razem prawdziwa: „Herald”. Na moim ekranie pokazuje się nazwisko i tytuł, podsuwam go Jeffreyowi.

– Wiedzą – szepczę. – Prawdziwi ludzie też już wiedzą.

– Kurwa – klnie.

– No proszę! – Mimo wszystko cieszę się, że mam pretekst do zaakcentowania wyższości moralnej. – Przeklinasz.

– Nie przeklinam. Raz zakląłem.

– Mniejsza z tym.

– Mniejsza – przedrzeźnia. – Posłuchaj tylko siebie.

Znowu dzwoni mój telefon – „Mail”. I zaczyna dzwonić telefon stacjonarny. To „Independent”. Nagle oba telefony zaczynają dzwonić jednocześnie. Zupełnie jak w dawnych czasach. Ludzie zostawiają wiadomość, a gdy tylko się rozłączają, dzwonią następni. Wyłączam komórkę i wyciągam z gniazdka kabel od stacjonarnego.

– A jeśli przyjdą tu do domu? – pyta Jeffrey.

– Nie przyjdą.

Ale mogą przyjść. Już kiedyś przyszli, dwa lata temu...

Opieram się o zlew, a rzeczywistość rozmywa się w drżących poziomych liniach, gdy ja odlatuję w przestworza wspomnień...

...i przenoszę się w ten generalnie zwyczajny dzień pod koniec sierpnia. Skończyłam pracę i wpadłam do domu po dzieci; wybieraliśmy się do Dundrum na zakupy przed rozpoczęciem nowego roku szkolnego.

– Dzieci! – Stałam w progu i potrząsnęłam kluczami. – Jedziemy.

– Widziałaś to? – spytała Betsy nieufnie.

Trzymała w ręku magazyn „People”. Czytałam dziesiątki magazynów, bo miałyśmy je w salonie, ale nie dostawałyśmy amerykańskich, bo nie znałyśmy ludzi z tych gazet – doniesienia z życia intymnego celebrytów były interesujące pod warunkiem, że czytelnik doskonale wiedział, kim celebryta jest.

– Co dokładnie?

Betsy podsunęła mi magazyn bliżej: widniało tam zdjęcie Annabeth Browning. Nie interesowałam się jakoś bardzo

amerykańską polityką, ale wiedziałam, kto to jest. Żona amerykańskiego wiceprezydenta, która kilka miesięcy temu narobiła szumu, gdy została aresztowana za „nieostrożną jazdę” i okazało się, że miała zaburzenia postrzegania po zażyciu silnych leków. Strażnicy stanowi nie mieli pojęcia, kim ona jest, więc prasa rzuciła się na ten temat, zanim Biały Dom zdążył wyciszyć sprawę.

Nastąpiło medialne trzęsienie ziemi. Naturalnie Annabeth musiała publicznie wyrazić skruchę przez natychmiastowe udanie się na odwyk. Wszyscy oczekiwali, że odsiedzi swoje dwadzieścia osiem dni, potem zaś wróci do obowiązków państwowych, radosna jak skowronek, a towarzyszyć będzie temu wzruszająca sesja zdjęciowa z mężem i dwójką dzieci oraz wywiad prowadzony przez Barbarę Walters, w którym wiceprezydentowa opíše swoje aresztowanie jako „najlepszą rzecz, jaka się jej w życiu przydarzyła”.

Tymczasem zamiast wrócić do życia publicznego, Annabeth Browning wstąpiła do klasztoru. W rankingu poparcia, gdzie stopniowo wędrowała w górę, runęła w dół. Tego nie było w scenariuszu. Miała odsiedzieć dwadzieścia osiem dni w ośrodku, o co jej chodziło?

Zamazane zdjęcie przed moim nosem przedstawiało Annabeth w ogrodzie – domyślałam się, że w klasztornym, bo na taki wyglądał – siedzącą na ławce i pogrążoną w lekturze. Wielki tytuł stawiał pytanie: *Co czyta Annabeth?* Przyjrzałam się zdjęciu – Annabeth miała odrosty na blond włosach i najwyraźniej ten ciemny kolor jej pasował.

– Dobrze wygląda – powiedziałam. – Wcześniej zawsze była taka sztuczna. W naturalnym jej bardziej do twarzy.

– Nie patrz na włosy! – napomniała mnie Betsy ożywionym głosem. – Tu spójrz! – Postukała w zbliżenie dłoni Annabeth, ujęte w kółko. – To twoja książka.

Patrzyłam i patrzyłam, aż oczy mi zaczęły łzawić, ale Betsy miała rację – to była moja książka.

– Skąd ona ją wzięła? – Nagle się bardzo zdenerwowałam. Moja książeczka była osobistą, niskonakładową publikacją. A Annabeth Browning nie cieszyła się jakąś szalową popularnością. Nielubiana kobieta czytająca publicznie książkę, którą napisałam? To nie mogło się dobrze dla mnie skończyć.

Umysł mi pracował gorączkowo, usiłując wszystko ogarnąć. Moja książka ukazała się w pięćdziesięciu egzemplarzach. Nigdy nie trafiła do sprzedaży. Jedyne osoby, które ją posiadały, to rodzina i przyjaciele. Próbowałam ugryźć zagadkę z drugiej strony – Annabeth była w klasztorze. W klasztorach mieszkają zakonnice. Czy ja znam jakieś zakonnice? Które miałyby dostęp do mojej książki?

– Co się dzieje? – spytał Jeffrey, wchodząc do holu.

– Spójrz na to. – Podsunęłam mu stronę gazety. – Znamy jakieś zakonnice?

– A czy twój wujek Peter nie ma siostry w zakonie? Ej, zobacz, to twoja książka!

– Wiem. Skąd Annabeth Browning ją wzięła?

– Nie mam pojęcia. Zadzwońisz do wujka Petera?

– Dobra. – Zamknęłam drzwi wejściowe, bo raczej nie mieliśmy już szansy pojechać do Dundrum, i sięgnęłam po telefon. – Wujek Peter? Witaj, tak, tak, świetnie, tylko że wiesz... znasz moją książkę... wiesz, z powiedzonkami z okresu, gdy leżałam w szpitalu, na przykład, no wiesz, „Kiedy ziewnięcie nie jest ziewnięciem?”...

– „Wtedy gdy jest cudem” – dopowiedział wujek Peter. – Znam, pewnie. Taaak. – Czy mi się zdawało, czy w jego głosie słyszałam fałszywą nutę?

– Masz ją jeszcze? A dokładnie chciałabym spytać, czy może twoja siostra, ta zakonnica, siostra Michaela, bodajże, czy jest szansa, że moja książka jest teraz u niej?

Na dłuższą chwilę zapadło milczenie.

– Przepraszam, Stello – wyszeptał wujek.

– Co takiego?

– Trzymaliśmy ją w takim miłym miejscu w kredensie, ale ona zawsze miała lepkie palce.

– Kto? Siostra Michaela? Ależ ona jest zakonnica!

– Ile znasz normalnych zakonnice?

Wspomniałam te, które uczyły mnie w szkole. Zasadniczo psychopatki.

– Ona po prostu nie może się oprzeć żadnym przedmiotom – ciągnął wujek żałośnie. – Potem przechodzi piekło, odbywa pokutę i tak dalej, ale chyba nie jest w stanie z tym skończyć.

– Wujku, a mógłbyś się dowiedzieć, czy ona rzeczywiście ją ma?

Głośno wypuścił powietrze.

– Mogę ją spytać. Ale ona też dużo kłamie. Zwłaszcza jeśli coś przeszkobie.

– Rozumiem. No dobrze. A powiedz mi, do którego zakonu ona należy?

– Czemu pytasz? Nie zadzwonisz chyba do niej?

– Muszę coś sprawdzić. Moja książka właśnie pojawiła się w Stanach Zjednoczonych. W klasztorze. W... – zerkam do artykułu – ...w Zgromadzeniu Sióstr Niewinności.

– To jej zakon, zgadza się – powiedział wujek.

– Jak książka się dostała do Stanów? Siostra Michaela tam była?

– Nie, ale...

– Tak?

– ...w maju miała gościa z jednego z amerykańskich klasztorów. Młodszą wiekiem zakonnice, siostrę Gudrun. Złapano je na kradzieży w drogerii Bootsa. Miały przy sobie dwadzieścia jeden różów Bourjois. Dwadzieścia jeden! Zupełnie jakby

chciały, żeby je złapano! Musiałem wpłacić za nie kaucję. Sklep wycofał skargę, ale tylko dlatego, że ta siostra Gudrun była obywatelką amerykańską, a Michaela zalewała się łzami i zarzekała, że nigdy już tego nie zrobi. Myślę, że ochroniarze w sklepie uznali, że Gudrun sprowadziła Michaelę na złą drogę, ale moim zdaniem one są sobie warte.

- Myślisz, że ta Gudrun mogła zabrać moją książkę do Stanów?

- Sądząc po jej bagażu podręcznym, wszystko jest możliwe.

- Pamiętasz może, z jakiej filii zakonu, czy jak to się nazywa, jest ta siostra Gudrun?

- Oczywiście, że pamiętam. Przecież musiałem wypełnić tysiące druków, w których wypisywałem jej adres.

Z Waszyngtonu.

- Dzięki. I przepraszam, wujku. - Co on miał za życie pomiędzy aspiracjami cioci Jeanette, a siostrą złodziejką w habicie...

Poczułam się słaba i przestraszona. Słowa, które wypowiedziałam, moje osobiste myśli, teraz krążyły po świecie. Ludzie będą mnie oceniać. Będą mnie winić za to, że Annabeth Browning już nie zadziera nosa i nie wystąpi u Barbary Walters.

I właśnie wtedy zadzwonił telefon stacjonarny. Całą trójką spojrzeliśmy na aparat, a potem po sobie. Mieliśmy niejasne przeczucie, że ten telefon zmieni nasze życie.

Odebrałam.

- Stella Sweeney?

Kłam, kłam. Ale nie skłamałam.

- Przy... przy telefonie - wydukałam.

- Ta Stella Sweeney, która napisała *Mozolne mrugnięcia powieką*?

- Tak, ale...

- Proszę zaczekać, łączę z Phyllis Teerlinck.

Usłyszałam kliknięcie i nowy głos:

- Mówi Phyllis Teerlinck, agentka literacka. Chciałabym panią reprezentować.

Tysiące myśli przetoczyło się przez moją głowę, a zdecydowałam się na:

- Dlaczego? Nawet nie widziała pani mojej książki.

- Odwiedziłam Annabeth. Pożyczyła mi ją na dwadzieścia cztery godziny. Proszę posłuchać, ma pani swoje pięć minut. Może się pani stać najbardziej wpływową kobietą na świecie, ale za sześć dni na stojakach pojawią się nowe numery „People”. Teraz ma pani okienko, które za chwilę się zamknie. Zadzwońię za godzinę. Proszę mnie wygooglować. Nie jestem żadną naciągaczką, tylko prawdziwą agentką.

Odłożyłam słuchawkę. Telefon natychmiast zadzwonił ponownie. Zaczekałam, aż włączy się sekretarka. I telefon zadzwonił jeszcze raz. I jeszcze. I jeszcze.



Wszystko, co robisz z miłością,  
staje się doskonałe.

fragment *Mozolnych mrugnięć powieką*

– Musicie już wyjść – powiedziała siostra Salome do moich rodziców. Miała moją torebkę z odżywką i chciała podłączyć ją do portu na brzuchu.

– Jest tam może noga indyka? – Tata wskazał ruchem głowy torebkę. – Co to za Boże Narodzenie bez indyka?

Salome nie odpowiedziała. W dzień Bożego Narodzenia na OIOM-ie dyżurowały tylko dwie siostry i Salome najwyraźniej nie cieszyła się, że należy do tej dwójki.

– Wy tutaj to w ogóle raczej nie wiecie, że to święta. – Tata spojrzał na pielęgniarkę ze skrucą. – Nie ma choinki, nie ma światełek. Nawet kawałka lamety – dodał znacząco.

Z tydzień temu Betsy przyniosła trochę lamety i obwiązała nią pręty mojego łóżka, ale wywołała niebywałe poruszenie.

– To jest oddział intensywnej terapii! Tu leżą poważnie chorzy ludzie. Na lamecie mogą się znajdować bakterie.

– No to my już pójdziemy – odezwała się mama. – Wesołych świąt, Stello. – Płakała. Płakała przy każdej wizycie. Czułam z tego powodu tak wielkie wyrzuty sumienia, że prawie żałowałam, że przyszła. I wtedy wyrzuty sumienia jeszcze się nasilały.

– Miłej kolacji świątecznej, Dolly. – Tata jeszcze raz spojrzał ponuro na Salome.

Mniej więcej godzinę później przyszedł Ryan z Betsy i Jeffreyem.

– Wesołych świąt, mamo, wesołych świąt! – piszczała Betsy. Na głowie miała rogi renifera. – Dzięki za kartę podarunkową.

Przepraszam, że to takie...

– ...bezosobowe, co? – zgadła. – Ale jak wydobrzejesz, pójdziemy razem na zakupy. Wtedy będzie totalnie osobiste.

– Wtedy będzie już całkiem po czasie – powiedział Jeffrey.

– Przestań! – krzyknęła Betsy. I zwracając się do mnie, dodała: – Jest wkurzony, bo Święty Mikołaj przyniósł mu niewłaściwą aktualizację.

Mimowolnie spojrzałam na Ryana obwiniająco.

– Jutro to zmienimy – warknął.

– Myślisz, że to takie proste? – Jeffrey też warknął.

To było potworne Boże Narodzenie, zupełnie inne od wszystkich pozostałych. W poprzednich latach zawsze trochę szalałam – kupowałam żywą choinkę, obwieszałam dom lampkami, sama robiłam ozdoby, wydawałam majątek na prezenty i pakowałam wszystko wymyślnie. Mimo że Betsy i Jeffrey od dawna już nie wierzyli w Świętego Mikołaja, nadal wieszałam im na łóżku skarpetę i wypełniałam ją słodyczami.

Dla mnie najważniejsze w Boże Narodzenie były dzieci i z tego powodu święta musiały mieć magię. W tym roku nic nie byłam w stanie zrobić i napełniało mnie to ogromnym smutkiem. W tej mojej chorobie to jak na razie było najgorsze.

Upewniłam się, że Ryan zrobi to, co najważniejsze – postawi choinkę i kupi dla Betsy kartę podarunkową, a dla Jeffreyego aktualizacje do telefonu – ale nie ośmieliłam się prosić o więcej. I tak już żył w zbyt dużym napięciu.

Usiłowałam zaangażować mamę do przygotowania skarpet dla dzieci, ale mruganie działało tak

naprawdę tylko w wypadku prostych prośb. Musiałam wiedzieć z góry, co zamierzam powiedzieć i w ten sposób zaplanować wypowiedź, by użyć jak najmniejszej liczby liter. Jeśli w środku słowa wybiłam się z rytmu, trudno mi było wrócić na właściwy tor. Mruganie było więc wyczerpujące i jedynie Mannix Taylor okazywał się dobry w tej technice.

– Otwórz prezent ode mnie – powiedziała Betsy. – Otwórz mój prezent! – Podała mi małą paczuszkę. – Oczywiście wiem, że nie możesz, ale zrobię to za ciebie, dobra? – Zdzierała po kawałku papier. – Co to może być?

Widziałam już brązową ceramiczną nogę. Nie miałam wygórowanych nadziei.

Dalej zdzierała papier, aż odsłoniła krzywego psa.

– Zrobiłam go na zajęciach z ceramiki! Nie jest doskonały, wiem, ale zrobiony z miłością. Bo wszyscy wiemy, jak bardzo kochasz psy.

W tamtej chwili wypełnił mnie taki ogrom miłości do córki, że mało mi serce nie pękło. Była taka słodka. Od razu pokochałam swojego krzywego pieska.

– Pewnie muszę go zabrać do domu. – Rzuciła bezlitosne spojrzenie na stanowisko pielęgniarek. Wciąż im nie zapomniała akcji z lametą. – Ale będzie na ciebie tam czekał, jak wrócisz.

– Za dziesięć lat – powiedział ponuro Jeffrey. – Tu masz prezent ode mnie. Rozpakuję go, dobra?

Złośliwy gnojek.

Bezceremonialnie zdarł papier... i oczom moim ukazał się kamerton. Nie wiedziałam, co z tego wnioskować. Kamerton? Ale... dlaczego?

Ryan nic dla mnie nie miał.

– Przepraszam – rzekł. – Po prostu przy tym wszystkim...

Oczywiście. A zresztą i tak co miałby mi dać?

Ale ja miałam prezent dla niego – voucher do Samphire, restauracji, do której zawsze chciał pójść. Poprosiłam Karen, żeby go kupiła, i tak naprawdę chciałam dać Ryanowi dar nadziei: że nadejdzie dzień, gdy wyzdrowieję i będziemy mogli razem pójść do knajpy. Zaczęłam mu to wymrugiwać, ale ugrzęźliśmy po kilku pomyłkach.

– Wiem – powiedział. – W porządku. Dziękuję. Naprawdę to doceniam. – Przyłożył go do serca.

– Koniec czasu! – wrzasnęła Salome, a oni zerwali się na równe nogi i czmychnęli, jakby wypuszczano ich przed końcem lekcji ze szkoły.

W szpitalu nastał spokój. Wszyscy pacjenci oprócz ostrych przypadków zostali odesłani na święta do domu. Nie przeprowadzano żadnych operacji, więc nie było nikogo w salach pooperacyjnych. Na oddziale leżał poza mną tylko jeden pacjent – starszy mężczyzna, ofiara ataku serca. Słyszałam, jak rodzina szepcze i płacze nad jego łóżkiem, potem musieli wyjść i znowu byliśmy tylko ja i on.

W pustych przestrzeniach zostało tylko echo. Nie widziałam nawet pielęgniarek. Może w jakimś dyskretnym pokoju popijały malibu i jadły paszteciki, i trudno im się dziwić.

Tutaj czas zawsze wolno płynął, ale teraz niemal stanął w miejscu. Patrzyłam, jak zegar sunie powoli przez kolejne sekundy, nie spiesząc się absolutnie. Ja tylko chciałam, żeby już się skończyło Boże Narodzenie. Z dala od dzieci, męża, całej rodziny czułam nieznośny smutek. W każdy inny dzień mogłam okazywać odwagę, ale dziś nie dałam rady.

Żeby jakoś zabić czas, bawiłam się mięśniami. W tej chwili mogłam już podnieść głowę centymetr nad poduszkę i lekko napiąć kolano. Prawą kostką mogłam odrobinę pokręcić i na zawołanie czułam mrowienie w łopatkach. Do moich mięśni wracało życie, ale robiło to nieźbornie. Wyglądało na to, że nie ma w tym żadnego porządku.

Za wielki sukces uznałabym krtań albo palce, ale gdy czekałam, aż ruszą, ćwiczyłam mięśnie, które już

działały, i nie odrywałam wzroku od wszystkich pozostałych, gotowa rzucić się na każdą reakcję, choćby najmniejszą.

Bardzo mnie jednak przerażało, jak szybko tracę siły – skoro przekręcenie kostki o dwa centymetry kosztowało mnie tyle wysiłku, jakim cudem mam zacząć chodzić?

O dwudziestej skończyły mi się zajęcia. Może mogłabym zasnąć i obudzić się, jak już będzie ranek i Boże Narodzenie się skończy? Zamknęłam oczy i usiłowałam stracić świadomość, gdy nagle usłyszałam kroki, nadchodzące z daleka, od wejścia na oddział.

W panującej tu ciszy zabrzmiały bardzo głośno.

Rozpoznałam je. Ale co on tu robił w świąteczny wieczór?

Kroki się zbliżyły i wreszcie moim oczom ukazał się Mannix Taylor.

– Wesółych świąt. – Odruchowo wyjął notes i długopis.

Zaczęłam mrugać pytanie „Co tu robisz?”

Po drugiej literze rzekł:

– Przyszło mi do głowy, że jesteś samotna.

Nie wiedziałam, co powiedzieć.

MIŁY DZIEŃ? – spytałam

– Cudowny. Była twoja rodzina?

BYŁA WCZEŚNIEJ. DOSTAŁEŚ FAJNE PREZENTY?

– Nie. A ty?

CERAMICZNY PIESEK I KAMERTON.

– Kamerton? Od męża?

OD JEFFREYA.

– Może to jednak dobrze? W końcu to nastolatek. A piesek od męża?

OD BETSY.

– A co dał ci mąż?

Nie chciałam powiedzieć. Wstydziłam się.

No i w ogóle – to było jakieś dziwne. Co Mannix Taylor tu robił?

– Odwiedziłem dzisiaj Rolanda – rzekł.

CO U NIEGO? – odczuwałam wobec Rolanda zainteresowanie, jakby był moją własnością.

– Świetnie się czuje. Jest nastawiony pozytywnie. Niedługo wychodzi. Mam ci przekazać wyrazy miłości i dozgonnej wdzięczności.

O, to miło.

Kątem oka zauważyłam jakiś ruch – przy pustym stanowisku pielęgniarek stała kobieta. Było to tak nieoczekiwane, że zastanawiałam się, czy aby nie mam halucynacji. Obserwowała nas, a instynkt mi mówił, że robi to już od dłuższej chwili.

Włosy miała długie i ciemne, brwi oszalałamiące, a ubrana była w obcisłą bluzkę i –Boże! – obcisłe winylowe dżinsy.

Była taka złowroga, nieruchoma i nie na miejscu, jakby została tu przesłana prosto z horroru.

W następnej chwili ruszyła w moją stronę, aż się przestraszyłam. Mannix obejrzał się przez ramię, a na jej widok cały się spiął.

Podeszła do nas w sposób, który mogę opisać jedynie jako agresywnie zmysłowy, i spojrzała na mnie twardo, leżącą bezradnie na łóżku, a potem na Mannixa.

– Serio? – odezwała się. – Naprawdę?

Chciałam krzyknąć: „Nie widziałaś mnie w formie! Gdybym miała włosy tak zrobione jak ty, i gdybym miała makijaż, i nie chorowałabym tak ciężko, potraktowałabyś mnie poważnie. Może żadna ze mnie

Miss World, ale...” Nie, żadne ale. Może żadna ze mnie Miss World.

Kobieta odeszła energicznym krokiem. W zasadzie odmaszerowała, wściekłym, sztywnym krokiem.

Zapadło dziwne milczenie.

Wreszcie Mannix się odezwał:

– To była moja żona.

Naprawdę?

Ale twoja żona powinna być chłodna, spokojna i nordycka. A nie ciemnowłosa, ciemnooka, o wspaniałych brwiach i – na miłość boską! – w winylowych dżinsach!

– Muszę już iść – powiedział. I wyszedł.

# Czwartek, 5 czerwca

## 7.03

Obudził mnie natarczywy dzwonek do drzwi.

Zerkam dyskretnie przez okno na górze, przerażona, że to może jakiś dziennikarz. Ale to Karen, pomimo wczesnej pory umalowana i w bardzo wysokich czerwonych szpilkach, które wyglądają dziwnie złowieszco.

Schodzę na dół i otwieram drzwi, a ona mi wciska gazetę.

– Lepiej na to zerknij.

To „Daily Mail” z twarzą Ryana na pierwszej stronie.

– Gdzie Jeffrey? – Karen rozgląda się niemal bojaźliwie.

– W łóżku! – dobiega do nas stłumiony głos mojego syna.

Wchodzimy do kuchni, gdzie czytam niecierpliwie artykuł. W ustach mam sucho, w głowie mi dudni. Zdaniem autora Ryan jest „seksowny” i „utalentowany”, a jego dom „wart dwa miliony” i „luksusowy”. I to zupełnie nie jest prawda.

– Ty też w tym siedzisz – mówi Karen. – Piszą, że jesteś pisarką poradników.

– Nieudaną pisarką poradników.

– Nie. Bo to nieprawda. Jeszcze nie.

– Piszą, dlaczego jestem w Irlandii? – Ile informacji dotyczących mojego życia prywatnego przedostało się do wiadomości publicznej?

– Nie, piszą takie dość neutralne rzeczy. Ale ja przeczytałam tylko to, a on jest w każdej gazecie. No, w każdej irlandzkiej gazecie. Nie chciałam jednak wyrzucać na nie pieniędzy. Możesz sobie poczytać on-line. Muszę przyznać, że dobrze wygląda. – Przygląda się jego zdjęciu pod każdym kątem. – Pewnie zawsze dobrze wyglądał, z tymi ciemnymi włosami i ciemnymi oczami... Tylko pod tym całym palanctwem nie było tego widać. No i powiedz mi, co zamierzasz z tym wszystkim zrobić.

– A co mogę zrobić? Enda mówi, że nie można go umieścić w psychiatryku. Doktor Quinn w niczym nie pomógł... a swoją drogą pytał o ciebie, mówił, że doskonale sobie poradziłaś z zaskórniakami pani Quinn. Z Ryanem nie ma sensu rozmawiać. On absolutnie nie ma zamiaru się wycofywać. A mnie się nie należy żadne prawne zadośćuczynienie, bo jesteśmy rozwiedzeni.

– Ale gdzie on zamierza mieszkać, jeśli to wszystko się nie uda? – pyta Karen.

– Nie wiem.

– Nie może mieszkać tutaj.

– Może się uda. Może on ma rację i wszechświat się o niego zatroszczy.

Karen piorunuje mnie wzrokiem.

– Wszechświat pomaga tym, którzy sami sobie pomagają. Ryan Sweeney wyląduje kątem na kanapie w twoim salonie. Chyba że wyląduje w twoim łóżku.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Zaczyna podzwaniać kluczykami do auta, międzynarodowy sygnał nieuchronnego wyjścia.

– Wychodzę. Muszę pomyć i ubrać dzieciaki.

Wrzuca torbę na ramię i stukocze w przedpokoju obcasami swoich przerażających czerwonych butów. Podążam jej perfumowym śladem.

– Karen, co chciałaś przez to powiedzieć?

– Że jesteś łatwowierna.

– Nie jestem. Jestem uparta. I dumna.

– Owszem, jeśli ktoś cię naprawdę zrani do żywego. Ale wymiękasz w obliczu wszystkich użalających się nad sobą. Do ciebie pierwszej Ryan zapuka, jak już będzie bezdomny. Lepiej mobilizuj opór na ten dzień.

I z tymi słowy wychodzi lekkim krokiem.

Wchodzę do internetu i czytam artykuły na temat Ryana. Potwornie się boję, co mogą nawypisywać na mój temat – usiłowałam swój sromotny powrót do Irlandii odbyć w jak największej ciszy. Chciałam, żeby ludzie się nie dowiedzieli, jak strasznie mi się nie powiodło, chciałam zyskać na czasie i wszystko naprawić. Ale przez Ryana i jego durny projekt wbrew swojej woli znalazłam się z powrotem w centrum zainteresowania, ja i naga prawda o moim życiu.

W każdym artykule jest wzmianka o mnie. „Był mężem pisarki poradników Stelli Sweeney, z którą ma dwójkę dzieci”. „Jego byłą żoną jest Stella Sweeney, która odniosła międzynarodowy sukces swoją inspirującą książką *Mozolne mrugnięcia powieką*”.

Ale nie napisano nic odkrywczego. Na razie. Jeszcze wszystko mogło się wyciszyć.

Bardzo niepewnie włączam telefon – dwadzieścia sześć nieodebranych połączeń. Natychmiast zaczyna dzwonić. Odsuwam go od siebie i zerkam jednym okiem, kto dzwoni – mama.

- Co? Znowu jest dzień zakupów? – Przysięgłabym, że dopiero co byliśmy.
  - Ojciec chce z tobą mówić.
- Słyszę szuranie i jakieś trzaski, gdy telefon wędruje do ojca, a wreszcie jego głos:
- On jest w telewizji.
  - Kto?

- Ten dupek Ryan Sweeney. Mówi, że rozdaje wszystkie swoje rzeczy. Jest w telewizji krajowej.

Chwytam pilota i ku swojemu przerażeniu stwierdzam, że Ryan rzeczywiście jest w telewizji. Stoi przed swoim domem i opowiada z entuzjazmem: „...z powodów prawnych niektóre z głównych części mojego majątku zostaną oddane przed Dniem Zero” – mówi. – „Dom, który widzicie tu za mną, trafi do organizacji zajmującej się bezdomnymi. W tej chwili prawnicy przygotowują stosowne dokumenty”.

- Bardzo szlachetnie – mówi redaktorka. Ale z trudem ukrywa uśmiezek. Sądzi, że Ryan jest świrem. – A teraz wracamy do studia.

- Nie daj się w to wkręcić, Dolly – mówi tata. – To kretyn. Zawsze był kretynem i zawsze będzie. Chcesz tu przyjechać i sobie trochę pojeździć windą?

## 8.56

Pojawia się Jeffrey.

- Wychodzę – oznajmia. – Idę potańczyć.

- Potańczyć? Naprawdę? – Jakie to... normalne. Dziwnie normalne.

Nagle uświadamiam sobie, że to w ogóle nie jest normalne. Że to wręcz najdziwniejsza pora dnia na tańce. Pod gradem moich niespokojnych pytań Jeffrey wyznaje, że nie wybiera się do klubu nocnego pić do upadłego. Nie. Idzie na coś, co nazywa warsztatami tanecznymi. Będzie tam „radził sobie z emocjami”.

Patrzę na niego zdumiona. Mam wręcz niekontrolowaną chęć zachichotać. Muszę się ugryźć w język, żeby tego nie zrobić. Mobilizuję wszystkie siły.

## 10.10

Dzwonek u drzwi. Przyłgnięta do ściany w sypialni wyglądam ostrożnie na zewnątrz, niczym kowboj w czasie strzelaniny. To nie dziennikarze. To Ryan, i bardziej mnie jego widok cieszy, bo mogłabym się założyć, że cały ten rozgłos medialny wstrząsnął nim tak, że otrzeźwieje.

- Wejdz, wejdz!

- Musimy pogadać – mówi. – Dzwoniło do mnie Saturday Night In.

Saturday Night In to irlandzka instytucja narodowa: talk-show nadawany od czasów prehistorycznych, kiedyś prowadzony przez telewizyjnego dinozaura Maurice'a McNice'a. Tak naprawdę nazywał się Maurice McNiece, ale wszyscy mówili McNice, od *nice* jak miły. Osobiście uważałam, że nie jest miły, tylko złośliwy i protekcyjny. Ale raptem dwa miesiące temu Maurice McNice padł i przeniósł się do niebiańskiego green roomu, a irlandzkie stacje stoczyły ostrą i zaciętą walkę o jego zastępcę. Mikrofon władzy przypadł ostatecznie jednemu z mieszkańców moich snów – Nedowi Mountowi.

- I...? – pytam ostrożnie.

- Problem w tym, że chcą, byśmy w tym programie wystąpili razem. Ty i ja.

- Po co? I dlaczego?

- Bo coś nas łączy. Mamy podobny dorobek. Ty i twoje książki, ja i moja sztuka.

- Ryan, jesteśmy w separacji, rozwodzimy się. Nic nas nie łączy.

- Mogłabyś skorzystać na rozgłosie.

- Nie mogłabym! Nie mam nic do promowania! Staram się nie rzucać w oczy. I ogarnąć swoje życie. Ostatnie, czego bym sobie życzyła, to iść do telewizji publicznej i opowiadać wszystkim, jak to mi się nie wiedzie. I spójrz na mój brzuch!

- W zasadzie krzyczę. – Jak można iść do telewizji z takim brzuchem?!

- Mnie samego nie chcą – mówi. – Jesteś mi do tego potrzebna.

Biorę głęboki, bardzo głęboki oddech.

- Patrz mi na usta, Ryan. – Starannie wypowiadam słowa. – Nie ma takiej możliwości, żebym poszła do Saturday Night In.

- To było długie zdanie, i do tego złożone. Dobrze, że nie jestem głuchy, bo nie miałbym pojęcia, co mówisz.

- Owszem, ale na szczęście nie jesteś głuchy. Słyszałaś, co powiedziałam. Nie zrobię tego.

- Jesteś niewiarygodnie samolubna. – Kręci głową, jak bardzo zły aktor, który usiłuje wyrazić wzgardę. – I krytykancka. I sztywna. Wiesz, co się dzieje z człowiekiem, który nie jest elastyczny? Pęka. I ty się zastanawiasz, dlaczego twoje życie się rozpadło? Sama to zrobiłaś. Sama to sobie wszystko ściągnęłaś na głowę.

Prostuje się jak struna i dodaje:

- Sam trafię do wyjścia.

I chociaż jestem bardzo, bardzo zdenerwowana, skupiam się na fakcie, że nigdy wcześniej nie słyszałam, żeby ktoś te słowa wypowiadał w rzeczywistym życiu.

### 11.17

Zjadam 100 g twarożku. To mnie nie podnosi na duchu tak, jak podniosłoby zjedzenie na przykład 100 g czekolady.

### 12.09

Siedzę przy klawiaturze i piszę hasło „Dupa”.

### 12.19–15.57

Przestaję pisać, a zaczynam się zastanawiać nad swoim życiem. Rzeczywiście jestem taka krytykancka i sztywna, jak powiedział Ryan? Czy sama przyczyniłam się do wszystkich obecnych okoliczności? Czy mogłam zrobić coś inaczej?

Nie wiem... Staram się nie myśleć o tym, co się wydarzyło, bo jest to po prostu zbyt bolesne. Swego czasu zdecydowałam się na całkowite zerwanie, bo wiedziałam, że tylko w ten sposób mam szansę na przetrwanie. Nie chciałam, żeby mnie nękały wątpliwości, czy postąpiłam właściwie. Zrobiłam, co robiłam, bo nie miałam wyboru.

Ale jeśli to nie był dobry wybór...?

A niech szlag trafi Ryana, że otworzył mi w głowie tę puszkę robaków!

### 15.59

Postanawiam pobiegać. Tylko kawałek. Żeby ułatwić sobie powrót do aktywności fizycznej.

### 16.17

O dziwo, nadal siedzę nad klawiaturą.

Ale podjęłam decyzję: rezygnuję z tej książki. Nie mogę tego zrobić. Nie mam nic do powiedzenia i nie mogę znieść tego całego rozgłosu. Muszę jednak mieć jakąś pracę. Muszę jakoś zarabiać pieniądze. Co bym mogła robić? Jest w ogóle coś takiego, co mogłabym robić?

No, jestem z zawodu kosmetyczką.

Właśnie! To jest rozwiązanie: wrócę do kosmetyki! Tego się nigdy nie zapomina. Zupełnie jak jazdy na rowerze, prawda?

### 17.28

Nie, to nie jak z jazdą na rowerze.

Dzwonię do Karen i mówię jej o swoich planach, a ona na to:

– Ekhm, mhm... rozumiem... Umiesz usuwać owłosienie twarzy nicią?

– Noo... nie.

– Masz szkolenie z pedikiuru leczniczego?

– Noo... nie.

– Mezoterapia cienkoigłowa?

– Nie. – Nawet nie wiem, co to jest, podobnie jak pedikiur leczniczy. – Ale umiem woskować, Karen. Mogę woskować dniem i nocą.

– Woskowanie! Woskowanie odeszło do lamusa. Powiem wprost, Stello: ja bym ci nie dała pracy. A jestem twoją siostrą. Wypadłaś z gry, a raczej sama wyszłaś, z własnej woli, podkreślę, a tu się wszystko za szybko dzieje, żebyś miała szansę wrócić.

### 17.37–19.53

Siedzę z głową w dłoniach.

### 19.59

Zbieram wszystkie ciasteczka Jaffa, granolę i inne mile węglowodanowe rzeczy i wrzucam je do brązowego pojemnika na odpady stojącego przy ogródku. Następnie biorę butelkę płynu do naczyń i wylewam ją na to wszystko, żeby mnie nie kusiło ich wyciągnąć. Nie wiedzieć skąd pojawia się sąsiadka, która nigdy mnie nie lubiła. Uważa, że zadzieram nosa.

– Brązowy pojemnik jest wyłącznie na odpady organiczne – mówi. – Nie może pani do niego wrzucać opakowań. Opakowania wrzuca się do zielonego.

Mam ogromną ochotę wycisnąć resztę płynu na nią. Ale się powstrzymuję. Wściekłym krokiem wracam do kuchni, po czym wychodzę z rękawicami kuchennymi. Z zaciętą miną przekładam opakowania do właściwego pojemnika.

– Zadowolona? – pytam.

– Nie. Ja nigdy nie jestem zadowolona.

### 20.11

O której godzinie można już pójść do łóżka? Podejrzewam, że najwcześniej o 22.00. Dobra, mogę zaczekać do 22.00.

### 20.14

Idę do łóżka. Jestem wolnym człowiekiem. Mogę robić, co mi się podoba. Nie będą mną rządzić ograniczone, burżuazyjne zasady naszego społeczeństwa.

### **20.20-3.10**

Nie mogę spać. Od siedmiu godzin wiercę się i rzucam na łóżku.

### **3.11**

Zasypiam. Śni mi się Ned Mount. Jedziemy pociągiem i śpiewamy *Who Let the Dogs Out?* Mam zaskakująco melodyjny głos, a on świetnie szczeka.



Łatwiej wyzdrowieć, jeśli człowiek  
rzeczywiście chce wyzdrowieć.

fragment *Mozolnych mrugnięć powieką*

– Stello? – powiedział jakiś głos. – Stello?

Otworzyłam oczy. Nade mną stała uśmiechnięta kobieta.

– Witaj. Przepraszam, że cię obudziłam. Jestem Rosemary Rozelaar.

No i?

– Jestem twoim nowym neurologiem.

Mam wrażenie, że jakiś wielki młot walnął mnie w serce.

Rosemary Rozelaar znowu się uśmiechnęła.

– Przejmuję obowiązki doktora Taylora.

Uwięziona w swoim ciele wpatruję się w tę kobietę z jej mdłym, miłym uśmiechem.

Od dziesięciu dni nie widziałam Mannixa Taylora – od tej dziwnej wizyty w Boże Narodzenie, gdy pojawiła się jego żona.

Teoretycznie nie powinnam była się go spodziewać – prawie wszystkie rutynowe szpitalne zajęcia zostały zawieszane do pierwszego styczniowego poniedziałku. Ale on tak się osobiście zaangażował w mój przypadek, że sądziłam, że normalne zasady się do tego nie stosują. I ta sprawa z żoną pojawiającą się na oddziale była bardzo dziwna. Wszystko wydawało się dziwne, zwłaszcza wobec jego gwałtownego odejścia, i wypadało tu coś wyjaśnić.

Każdy dzień martwej strefy świąteczno-noworocznej czekałam spięta i im dłużej Mannix Taylor się nie pojawiał, tym większą czułam złość. Długimi godzinami ćwiczyłam w wyobraźni, jak to wymyślnie go zignoruję, gdy się w końcu pojawi.

Ale on nie przyszedł. A teraz ta kobieta mi mówiła, że on już w ogóle nie przyjdzie.

CO SIĘ STAŁO? – mrugam jak szalona.

– Chwileczkę – odparła Rosemary. – Doktor Taylor powiedział mi, że się komunikujecie mruganiem. Proszę o chwilę cierpliwości, znajdę coś do pisania.

Obróciła się, szukając kartki. Nawet nie wiedziała o notesie w sterylizatorze, a ja mimowolnie myślałam o tym, że z Mannixem bylibyśmy już po sześciu zdaniach.

W głowie mi się kotłowało. Może Mannixowi obcięto godziny? Może stało się coś tragicznego i musiał całkowicie zrezygnować z pracy?

Ale wówczas bym wiedziała.

Rosemary wreszcie znalazła kartkę i długopis, z dręczącą powolnością zdołałam zadać pytanie:

DLACZEGO GO NIE MA?

– Pacjenci – odparła. Ale w jej oczach widziałam jakąś nieprawdę. Nie tyle kłamała, co nie знаła całej prawdy. No i nie mówiła całej prawdy.

– Jestem bardzo doświadczonym neurologiem – dodała. – Pracuję z doktorem Taylorem. Mogę panią zapewnić, że zadbam o panią w takim samym stopniu jak on.

Nieprawda. Jego poczynania wykraczały daleko poza obowiązki.

MUSZĘ Z NIM POROZMAWIAĆ – wymrugałam.

– Przekażę mu to. – I znowu w jej oczach pojawiło się to spojrzenie, niemal żal: No chyba się pani nie zakochała w doktorze Taylorze, prawda?

Zajęła się wydrukiem komputerowym.

– Widzę, że do kilku grup mięśni wraca zdolność ruchu. Może pokaże mi pani, co osiągnęła, i ustalimy,

na czym będziemy pracować.

Zamykam oczy i zapadam się głęboko w otchłani swojej głowy.

– Stello. Stello? Słyszysz mnie pani?

Nie dziś.

Jestem niewiarygodnie przygnębiona. Nie umiem nazwać tego, co dokładnie się działo między Mannixem Taylorem a mną, ale czuję się odrzucona i upokorzona w niewiarygodnym stopniu.

Mijają kolejne dni, Rosemary Rozelaar odwiedza mnie sumiennie, ale nigdy słowem nie wspomina Mannixa, a ja postanawiam o niego nie pytać.

Wkrótce Rosemary wyraża rozczarowanie, że proces mojego powrotu do zdrowia tak bardzo zwolnił.

– Z karty wynika, że do Bożego Narodzenia świetnie sobie pani radziła.

Doprawdy?

– Będzie pani musiała nad tym popracować, Stello – dodaje surowo.

Doprawdy?

– Chce mnie pani o coś zapytać? – Zawiesiła długopis nad kartką, ale ja nie mrugam. Jest tylko jedno pytanie, na które chciałabym znać odpowiedź. Już je jej zadałam i nie będę się zadrećzać zadawaniem go ponownie.

Tego samego dnia przyszła do mnie Karen.

– Zobacz, kto jest w „RSVP”! – Podetknęła mi magazyn pod nos. Zobaczyłam zdjęcie przedstawiające Mannixa Taylora (l. 41) i jego uroczą żonę Georgie (l. 38) na jakimś balu sylwestrowym.

Mannix miał na sobie czarną muszkę i wyglądał jak człowiek stojący przed plutonem egzekucyjnym.

– Śliczna cizia, co? – powiedziała Karen. – Nigdy mi nie mówiłaś, że jego żoną jest Georgie Taylor.

A to dlatego, że:

1. Nie mówię.

2. Nie wiedziałam, że Georgie Taylor jest kimś.

Karen co prawda nie знаła Georgie Taylor, ale wiedziała wszystko o każdym, kogo wypadało znać, a ja, o zgrozo, byłam spragniona informacji.

– Jest właścicielką Tilta – wyznała Karen.

Tilt to butik specjalizujący się takich dziwnych asymetrycznych belgijskich ciuchach. Poszłam tam kiedyś i przymierzyłam ogromny, paraliżująco drogi krzywy płaszcz uszyty z szarego podkładu dywanowego. Rękawy były przymocowane do korpusu ogromnymi zszywaczami. Wpatrywałam się w swoje odbicie w lustrze, rozpaczliwie usiłując znaleźć upodobanie w tym płaszczu, ale wyglądałam jak statysta ze średniowiecznego dramatu grający pękatego wieśniaka, który sporo przeszedł po fatalnych drogach.

– Wygląda nieziemsko, prawda? – Karen otaksowała zdjęcie okiem zawodowca. – Lifting powiek, lifting żuchwy, botoks wokół oczu, wypełniacze w bruzdach nosowo-wargowych. Niewiele. Naturalna piękność. Nie ma dzieci – dodała znacząco.

To już wiedziałam.

– To taki typ, wiesz – ciągnęła. – Dzieci by kolidowały z wyjazdem na narty do Val d’Isère i weekendem last minute w Marrakeszu.

Nic nie powiedziałam. Bo ewidentnie nie byłam w stanie. Ale uderzyło mnie, jak niewiele wiemy o ludziach. Jak często łykamy tę powierzchowną wersję, którą nam się podtyka.

– I nie ma trzydziestu ośmiu lat, tylko czterdzieści.

Ja o tym wiedziałam, ale skąd wiedziała Karen, na miłość boską?!

– Siostra Endy pracuje w biurze paszportowym. Widziała wniosek Georgie o nowy paszport. Widziała, że ma w rzeczywistości czterdzieści, chociaż rozpowiada po całym mieście, że ma trzydzieści osiem. No ale przecież wszystkie kłamujemy w sprawie swojego wieku.

Zdołałam spytać Karen, od kiedy Taylorowie są małżeństwem.

– Nie wiem dokładnie – odparła po krótkiej chwili zastanowienia. – Jakiś czas. Na pewno to nie jest żadna świeża sprawa. Siedem lat? Osiem? Jakbym miała zgadywać, obstawiłabym osiem. – Nagle zmrużyła oczy. – Dlaczego pytasz?

Rozmawiam tylko.

Na jej twarzy pojawił się wyraz zrozumienia i spojrzała niemal ze złością. Wpadł ci w oko!

Nieprawda.

– Mam nadzieję, że nie. Masz dobrego męża, który się zarzyna, żeby wszystko ogarnąć. Wiesz, że poszedł kupić tampony dla Betsy?

Jezu. Do śmierci będę słuchać, że Ryan poszedł po tampony dla Betsy? Urosło to do rangi mitu narodowego. Szlachetne czyny irlandzkich bohaterów: Brian Śmiały wygrał bitwę pod Clontarf, Padraig Pearse ogłosił powstanie Republiki Irlandzkiej na schodach gmachu poczty głównej, Ryan Sweeney kupił tampony swojej córce Betsy.

Oto nadszedł bohater we własnej osobie.

– Cześć, Ryan – powiedziała Karen. – Proszę, masz moje krzesło. Ja już idę.

Ryan usiadł.

– Jebany styczeń. Na dworze mróz. Masz szczęście, że tu sobie siedzisz w ciepłe.

Shczęście? Doprawdy?

– Pewnie jesteś spragniona informacji – rzekł. – No więc kafelki do hotelu w Carlow wciąż nie opuściły Włoch. Wyobrażasz sobie? Ach! – nagle sobie coś przypomniał. – Poszedłem tam wczoraj wieczorem.

Dokąd?

– Do Samphire, wiesz, do tej restauracji, do której mi dałaś voucher. Wziąłem Clarissę. Szybka przekąska po pracy. Boże, ale to jest przereklamowane.

Gniew wstrząsnął moim wnętrzem. Ty pieprzony egoisto, pomyślałam. Pieprzony, podły egoisto.

# Piątek, 6 czerwca

## 6.01

Budzę się i chcę umrzeć – mam zespół abstynencji węglowodanowej. Przechodziłam już to i wiem, że to koszmar. Nie mam siły i nie mam nadziei. Na dole w kuchni czeka na mnie 100 g twarożku przeznaczone na moje śniadanie, ale jakoś nie mogę się po nie udać.

Biorę natomiast swojego iPada i zerkam na sytuację Ryana. Opublikował zdjęcia setek przedmiotów do rozdania, a jego cztery wideoblogi oglądano setki tysięcy razy. Wspominają o nim media na całym świecie i za każdym razem pozytywnie. Mówi się o Nowym Altruizmie i Altruizmie Trudnych Czasów.

## 9.28

Jestem w kuchni, wpatruję się w miseczkę twarożku i próbuję zmobilizować wolę, by to zjeść, gdy ktoś dzwoni do drzwi.

Zakradam się do pokoju frontowego i zerkam przez okno swoją metodą kowboja w trakcie strzelaniny, po czym niemal padam, bo widzę Neda Mounta. Z telewizji. Z Saturday Night In. Ryan musiał go do tego namówić!

A jednak otwieram drzwi. Bo myślę o nim ciepło. Przeprowadzał ze mną wywiad w radiu, gdy ukazały się *Mozolne mrugnięcia powieką* i był miły, i wspomniałomyślny. I dał mi filtr do wody... Chociaż to chyba mi się tylko śniło, prawda...?

– Witam – mówię.

– Ned Mount. – Podaje mi rękę.

– Wiem.

– Nie byłem pewien, czy pani mnie pamięta.

– Oczywiście, że pamiętam. – Mam taki niepewny moment, gdy boję się, że mu powiem o swoich snach. – Proszę wejść.

– Nie będę przeszkadzał? – Oczy mu się skrzę, uśmiecha się promiennie. Bo to jego praca, przypominam sobie.

W kuchni przygotowuję nam herbatę.

– Zaproponowałabym panu coś słodkiego – mówię – ale unikam węglowodanów i musiałam pozbyć się z domu wszystkich miłych rzeczy. Chciałby pan twarożku?

– Nie wiem... Chciałbym?

– Nie – przyznaję. – Nie chciałby pan.

– A więc znowu mieszka pani w Dublinie – mówi. – Już myślałem, że Ameryka nam panią porwała.

– Cóż... – Wykręcam się od szczerej odpowiedzi. – Pomiędzy jednym a drugim... A właśnie, nie wpadł pan chyba na twarożek.

– Zgadza się. – Kiwa głową niemal ze smutkiem. – Stello... – Patrzy szczerym wzrokiem. – Jak mam panią przekonać, żeby przyszła pani jutro z Ryanem do programu?

– Nijak. Proszę. Nie mogę tego zrobić. Nie mogę pójść do telewizji. Wszystko jest zbyt...

– ...zbyt? – zachęca, patrząc uprzejmie.

– Nie mogę tam siedzieć i udawać, że wszystko jest okej... gdy wszystko jest źle.

Powiedziałam za dużo. Ned Mount zwiększył czujność do maksimum, a ja się zaraz rozplączę.

– Proszę posłuchać – usiłuję zapanować nad sobą. – Moim zdaniem Ryan robi źle. Martwię się o niego. Myślę, że przechodzi jakiś kryzys czy coś w tym rodzaju.

– Więc przyjdź do programu i powiedz o tym.

Przez chwilę podziwiam, jak niebywale bezwstydne są media, ludzie z mediów. Choćbyś nie wiadomo jak usiłował urwać im się z haczyka, i tak jakoś wepchną cię na niego z powrotem.

– Powiesz, co masz do powiedzenia. Jestem pewien, że mnóstwo ludzi by się z tobą zgodziło.

– Nieprawda. Byłabym najbardziej nienawidzoną osobą w Irlandii. Ned, ja chcę prowadzić spokojne życie.

– Dopóki nie będziesz promować następnej książki?

– Przykro mi – mówię. – Naprawdę mi przykro.

Moją uwagę odciągają jakieś dziwne odgłosy dobiegające z korytarza. To Jeffrey. Wpada do kuchni, cały w nieładzie. Patrzy to na mnie, to na Neda Mounta, ale odnoszę wrażenie, że żadnego z nas nie widzi.

– Tańczyłem non stop przez dwadzieścia dwie godziny – mówi ochryplym głosem. – Widziałem twarz Boga.

– Słuchamy dalej. – Ned Mount pochyla się z zainteresowaniem. – I jak wygląda?

– Jest włochata. Bardzo włochata. Idę do łóżka. – Jeffrey wychodzi.

– Kto to był? – pyta mój gość.

– Nikt – odruchowo chronię Jeffreya.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

Siłujemy się wzrokiem.

- Dobra - ustępuję. - To mój syn. Syn Ryana. Ale błagam, Ned, nie próbuj go wciągać do telewizji. To młody człowiek i trochę...
- Trochę?
- ...trochę... no... angażuje się w jogę i... jest wrażliwy. Zostaw go w spokoju. Proszę.

### **13.22**

W swoim cotygodniowym rankingu on-line magazyn „Stellar” obwołał Ryana Sweeneya najseksowniejszym Irlandczykiem. Zamieścili jego zdjęcie, na którym wygląda jak mniej przystojny brat Toma Forda. Co ciekawe, na miejscu dziewiątym, po raz pierwszy w rankingu, pojawia się Ned Mount.

Możesz igrać z ogniem,  
a możesz też zdusić pożar w zarodku.

fragment *Mozolnych mrugnięć powieką*

**M**annix Taylor już nie wrócił, ja zaś nadal byłam na niego potwornie wściekła. To on właśnie narzekał, że w szpitalu obowiązuje nieludzki system, a jednak mnie porzucił. Nawet się nie pożegnał.

Dni mijały, Rosemary Rozelaar rozpaczła nad powolnością moich postępów. Wreszcie mój stan stał się takim problemem, że nawet nieuchwytny doktor Montgomery mnie odwiedził, by wygłosić podbudowującą mowę:

– Co powiedziałem, gdy ujrzałem panią po raz pierwszy? – spytał mnie. – Powiedziałem: „Trzymaj się, Patsy!” – Rozłożył szeroko ramiona, by objąć swoją świtę, pielęgniarki i Ryana, który akurat u mnie był. – Śmiało, powtarzajcie ze mną: „Trzymaj się, Patsy”.

Doktor Montgomery, głupkowaty doktor de Groot i wszystkie pielęgniarki OIOM-u wyskandowali:

– Trzymaj się, Patsy.

– Głośniej – rozkazał doktor Montgomery. – Dalej, panie Sweeney, pan też niech mówi.

– Trzymaj się, Patsy.

Doktor Montgomery przyłożył do ucha zwiniętą dłoń.

– Nie słyszę was.

– Trzymaj się, Patsy.

– Głośniej!

– TRZYMAJ SIĘ, PATSY!

– I jeszcze raz na szczęście.

– TRZYMAJ SIĘ, PATSY!

– Świetnie – doktor Montgomery promieniał. – Świetnie. To powinno poskutkować. O mój Boże, która to godzina! Fairway wzywa! Boże miłosierny!

Nie widziałam ich. Nie nazywałam się Patsy i ani myślałam się czegokolwiek trzymać. Nie ma mowy.

Piętnastego lutego wszystko się zmieniło. Nagle postanowiłam wyzdrowieć. Ryan nie podarował mi nic na walentynki, nawet kartki, i widziałam z mrozącą krew w żyłach wyraźnością, jak moje życie się rozpada. Ryanowi znudziła się chora żona, a dzieciom chora mama i jeśli się szybko nie zmobilizuję, nie będę miała do czego wracać.

I było coś jeszcze – chciałam wyjść ze szpitala, opuścić system i chorobę, które uczyniły mnie tak podatną na to coś, co się stało z Mannixem Taylorem. Wiedziałam, że kiedy wrócę do zdrowia, on już nie będzie miał nade mną władzy.

Zajęłam się swoim zdrowieniem i niemal w ciągu nocy nastąpiła znaczna poprawa. W kółko wymrugiwałam polecenia, a moja nowa siła charakteru musiała być wyraźnie widoczna, bo wszyscy mi się podporządkowywali. Gdy moje świeżo pokryte osłonkami nerwy zrobiły się drażniące i bolesne, zażądałam silnych środków przeciwbólowych i dostałam je. Powiadamiałam Rosemary Rozelaar o każdym nowym drgnieniu moich mięśni i nalegałam, by codziennie po południu przychodził do mnie fizjoterapeuta, który pomagał mi w ćwiczeniach. Wieczorami, po jego wyjściu, dalej ćwiczyłam, napinałam mięśnie, aż się wyczerpywały ze zmęczenia.

Personel szpitala nie znał przypadku, z którym mógłby mnie porównać, ale widziałam, że są pod wrażeniem tempa poprawy.

Na początku kwietnia mięśnie mojej klatki piersiowej były na tyle silne, że odłączono mnie od respiratora – najpierw na pięć sekund, potem na dziesięć, a potem na całe minuty. Po trzech tygodniach oddychałam już samodzielnie i przeniesiono mnie z intensywnej terapii na normalny oddział.

W maju wstałam i przeszłam krok. A potem zaczęłam się przemieszczać – najpierw na wózku, potem z chodzikiem, wreszcie o lasce.

Kolejnym przełomem było odzyskanie głosu.

– Wyobraź sobie, że mogłabyś zacząć mówić jak dama z wyższych sfer – powiedziała Karen. – No bo na przykład po chemii niektórym odrastają zupełnie inne włosy, niż mieli. I gdybyś mówiła jak z *Downton Abbey* na przykład. To by było super, co nie?

Jako ostatnie powróciły do zdrowia mięśnie w palcach, i pierwszy esemes, który wysłałam, wydawał mi się cudem.

Pod koniec lipca uznano, że jestem na tyle zdrowa, by wyjść ze szpitala. Na pożegnanie stawiała się prawie cała armia personelu – doktor Montgomery, doktor de Groot, Rosemary Rozelaar i niezliczone pielęgniarki, sanitariusze i salowe. Przyglądałam się ich twarzom, zastanawiając się, czy może pojawi się on. Ani śladu. Ale do tego czasu w zasadzie już się z tym pogodziłam.

Pomiędzy nami wydarzyło się coś niecodziennego, byłam w stanie to przyznać. Była jakaś więź – w sumie była zawsze, od tamtej kraksy. Zaraz po wypadku mieliśmy kilkusekundowe skomunikowanie niemal psychiczne.

To naturalne, że trochę się w nim zakochałam – ja byłam słaba, on był moim szlachetnym rycerzem. Jemu zaś było w tym okresie bardzo ciężko, a zajmując się mną, mógł się oderwać od swoich problemów.

Dobrze zrobił, że nagle się ode mnie odciął. Mój świat kończył się na Ryanie i dzieciach, a Mannixa – najwyraźniej na żonie.

W prawdziwym życiu, w prawdziwych związkach nigdy nie jest tak, że można powiedzieć „to się po prostu stało”. Możesz igrać z ogniem, a możesz też zdużyć pożar w zarodku. Dokonujesz wyboru – on właśnie swojego wyboru dokonał i za to go szanowałam.

Dwudziestego ósmego lipca, prawie jedenaście miesięcy od chwili, gdy poczułam pierwsze mrowienie, znowu zobaczyłam swoją sypialnię. W życiu swoich dzieci przegapiłam cały jeden rok szkolny, ale uznałam, że nie będę się tym smucić. To zaś mogłam osiągnąć tylko w jeden sposób – jak najszybciej wracając do życia, będąc jak najlepszą żoną i matką, i kosmetyczką. Tak więc robiłam i zapomniałam o Mannixie Taylorze.

# Poniedziałek, 9 czerwca

## 7.38

Budzę się i słyszę telewizor w salonie. Jeffrey musiał wstać. Nękana strachem, schodzę na dół i siadam obok niego na kanapie.

– Już się zaczęło – mówi bezbarwnym głosem.

Leci Ireland AM, Alan Hughes nadaje z ulicy Ryana.

– Nadajemy na żywo, Dzień Zero Ryana Sweeneya! – Alan Hughes niemal krzyczy z ekscytacji.

Dzień Zero w zasadzie zaczął się wczoraj wieczorem – paru szybciorów przybyło furgonetkami i spędziło noc na ulicy przed domem Ryana. Przypomina to pierwszy dzień wyprzedaży.

Alan rozmawia z kilkoma osobami pełnymi nadziei i pyta, co mają na oku.

– Stół kuchenny – mówi jedna kobieta.

– Ubrania – dorzuca inna. – Nosi ten rozmiar co mój chłopak. Idzie do sądu za drobne przestępstwo, więc parę ładnych garniturów mu się przyda.

W tle widać kordon policji w kamizelkach odbłaskowych. Po oszałamiającym występie Ryana w Saturday Night In – owszem, ostatecznie wywiad przeprowadzono bez mojego udziału – władze uznały, że to całe przedsięwzięcie może przerodzić się w zamieszki. Ustalono następujące zasady ogólne: ludzie będą wpuszczani w dziesięcioosobowych grupach i będą mogli zostać w domu przez piętnaście minut i zabrać z niego tylko to, co zdołają osobiście wynieść.

– Panuje tu prawdziwie świąteczna atmosfera! – Za głową Alana Hughesa widać przechodzących trzech mężczyzn z wielkim materacem na ramionach. – Panowie, witam, widzę, że wzięliście sobie łóżko.

– A tak, tak! – Mężczyźni nachylają się, by przemówić do mikrofonu dziennikarza. Ale że materac jest ciężki i niestabilny, mężczyźni zaś przerwali swój miarowy pęd do przodu, zaczyna się kołysać, by wreszcie przewrócić się na jedną stronę, zwalić z nóg Alana Hughesa i przyszpilić go do ziemi.

To akurat jest zabawne.

## 7.45

– Tu Alan Hughes, nadajemy na żywo spod materaca Ryana Sweeneya.

Słysząc go, ale nie widać.

– To przerażające. – Jeffrey wydaje cichy jęk.

– Raz, dwa, trzy, hop! – Kilku mężczyzn stara się podnieść materac i uwolnić Alana Hughesa i jego mikrofon.

Dziennikarz wstaje, rozczochrany, ale w dobrej formie.

– To było niezłe – mówi. – Ma ktoś grzebień?

– Jeffrey – mówię – miałam z tobą bardzo ciężki poród.

Jeffrey milczy, lecz zaciska usta.

– Po prostu potworny.

– Czego chcesz?

– Trwał długo, dwadzieścia dziewięć godzin...

– ...i nie chcieli ci dać znieczulenia. Wiem. Czego chcesz?

– Idź do Spara i kup mi ciasteczka Jaffa.

Proteiny nie uciekną, zacznę od jutra. Ale dzisiaj? Dzisiaj nie mam szans.

## 8.03–17.01

Cały dzień śledzimy z Jeffreyem, jak rozmaite stacje radiowe i telewizyjne relacjonują na żywo Projekt Karma. Od czasu do czasu pojawia się sam Ryan, pogodnie uśmiechnięty, i opowiada, jak bardzo mu się podoba to, co się dzieje. Czasami dziennikarze wychwalają go; a czasami ledwie są w stanie ukryć, jak bardzo ich zdaniem jest szalony.

To żenujące, przygnębiające i w sumie bardzo nudne. I robi się jeszcze nudniejsze, gdy dzień mija i ludzie wychodzą z drobniejszymi i paskudniejszymi przedmiotami: zmatowiałymi łyżkami, starymi komórkami; kluczami do nieistniejącej szopy ogrodowej.

Sugeruje się, że nadchodzi koniec. Około siedemnastej z domu wychodzi młody człowiek i podsuwa do kamery słoik oliwek.

– To ostatnia rzecz. Okres przydatności do spożycia tych oliwek minął dwa lata temu.

– Czekaj – mówi Jeffrey. – Tata wychodzi.

I rzeczywiście pojawia się Ryan. Staje na ulicy przed domem, który już nie należy do niego.

– Popatrz no tylko – mówi mój syn. – Co za fiut. Założę się, że wygłosi mowę czy coś.

Ryan rozkoszuje się chwilą. Rozkłada szeroko ramiona i oznajmia światowym mediom:

– Stoję tu przed wami z niczym.



Ludzie klaszczą, a Ryan uśmiecha się skromnie i wykonuje pokorny ukłon *namaste*, mnie zaś wypełnia ogromny, pełen agresji gniew na niego.

Nagle ktoś woła:

– Jeszcze ma pan buty.

Ryan patrzy nieco zmieszany.

– Zgadza się – spośród tłumu dobiega inny głos. – Ma pan jeszcze buty.

– Dobra – mówi Ryan serdecznie. – Słuszna uwaga. – Zdejmuje buty, a te natychmiast znikają w tłumie.

– I ubrania – dodaje ktoś.

– I ubrania! – woła ktoś inny głośniejsze. – Dopóki ma pan ubrania, nie może pan powiedzieć, że niczego nie ma.

Ryan się waha. Najwyraźniej tego nie przewidział.

– Śmiało! – słychać krzyk. – Ubrania!

Ryan teraz już wygląda trochę jak zając w świetle reflektora, ale skoro doszedł do tego punktu, nie ma wyboru, musi to dociągnąć do końca. Rozpina koszulę i z zamachem rzuca ją w tłum.

– Dalej!

Ryan sięga do paska.

– Boże, nie – szepczę.

Rozpina dżinsy i ściąga je, po czym zdiera skarpetki i rzuca wszystko w tłum.

Zostały mu tylko czarne majtki. Ryan stoi. Ludzie wstrzymali oddech. Przecież nie...

– Nie zdejmie – błaga Jeffrey.

Wpycham do ust kolejne ciasteczko. Nie zdejmie. Przełykam ciasteczko i popycham je następnym. Mój strach sięgnął szczytu. Nie zdejmie.

Zdejmie! W teatralny sposób Ryan zaczyna zsuwać majtki, odsłaniając włosy łonowe. Widać już połowę jego penisa, gdy ktoś z gapiów krzyczy:

– Pogwałcenie porządku publicznego!

Gwoli ścisłości jest to obraza moralności, a policjanci dopadają Ryana, zanim ten obnaży jądra.

Jeffrey wyje z rozpacz, a Ryana zabierają funkcjonariusze, okrywszy go policyjnym kocem. Zdjęcia z jego wypikselowanym penisem natychmiast obiegają cały świat. Ludzie w Kairze, Buenos Aires, w Szanghaju i Ułan Bator, dosłownie wszędzie, wszyscy mogą popatrzeć na penisa mojego byłego męża. (Głos spoza kadru informuje nas, że widok ten jest niedostępny w Turkmenistanie. Najwyraźniej tam nie wolno oglądać penisów w telewizji).

## 17.45

Ryan spędza noc w policyjnej celi i wychodzi z ostrzeżeniem na koncie. Jakiś życzliwy człowiek z tłumu przynosi na posterunek jego buty i ubrania.

# Wtorek, 10 czerwca

**7.07**

W jasny poranek Ryan stoi na ulicy przed posterunkiem policji i czeka, aż wszechświat się o niego zatroszczy.

A wszechświat nic.

ON

Kojarzycie taką sytuację, gdy celebryci się rozstają i już po dwóch sekundach chodzą z kimś innym, ale gorąco wszystkich zapewniają, że nie było żadnej zakładki? Kojarzycie?

No, to prawdopodobnie kłamią...

Stało się to pewnej nocy w marcu, jakieś osiem miesięcy po moim wyjściu ze szpitala. Poszliśmy z Ryanem do łóżka około dwudziestej trzeciej i ja zasnęłam głęboko. Wróciłam już do pracy na pełny etat i niezmiennie czułam się umordowana.

W pewnym momencie, w środku nocy, obudziłam się. Zerknęłam na zegar – 3.04. Najwyraźniej odzywała się moja bezsenność, więc nastawiłam się na kilka godzin czuwania, po czym uświadomiłam sobie, że obudził mnie cichy dźwięk, jakieś skrzypienie. Nasłuchiwałam uważnie, z napiętymi mięśniami, zastanawiając się, czy sobie to wyobraziłam.

Ryan chyba dalej spał, a i ja zaczęłam przysypiać, gdy znowu usłyszałam ten dźwięk. Pochodził z okna sypialni. Ryan się zerwał.

– Co to było?

– Nie wiem – wyszeptałam. – Słyszałam to już kilka razy.

Sięgnęłam do światła, ale Ryan mnie powstrzymał.

– Dlaczego? – spytałam.

– Bo jeśli to włamywacze, wolę ich zaskoczyć.

O Boże, nie. Nie chciałam, żeby Ryan był przebojowym bohaterem. To by się źle skończyło.

Wyskoczył z łóżka, podszedł do okna i wyrzwał na pogrążony w ciemnościach ogród przed domem.

– Na dole ktoś stoi! – Zmrużył oczy. Z latarni padało blade światło.

– Dzwonimy na policję? – spytałam.

– To Tyler! – krzyknął Ryan wściekły. – Co on tu robi o tej porze?

Tyler był chłopakiem Betsy. Właśnie się zmagala ze swoim pierwszym prawdziwym związkiem miłosnym, a naszym zdaniem było to słodkie. No, aż do teraz.

Znowu rozległ się trzask.

– On rzuca kamykami – orzekł Ryan.

– Czym zawiniliśmy? – Najwyraźniej naoglądałam się za dużo dramatów, na których wypędzano z miasta ludzi niesłusznie oskarżonych o pedofilię.

– Ćśśś – syknął mój mąż. – Słuchaj.

Nagle usłyszałam: brzmiało to jak chichot Betsy.

– Wchodź – powiedziała, a jej głos zabrzmiał wyraźnie w zimnym, nieruchomym powietrzu.

Podeszłam na palcach do okna i patrzyłam z niedowierzaniem, jak Tyler bierze zdecydowany rozbieg na dom i wbiega kilka kroków po ścianie. A potem spada na ziemię.

– Kurwa! – Ryan zaczął się miotać, szukając ubrań.

– Ja to załatwię. – Nie cierpię się komukolwiek pokazywać bez makijażu, a zadowolilibym się choćby tuszem do rzęs, ale Ryan był zbyt narwany, by zostawić go samego w tej sytuacji.

Zbiegłam po schodach w szlafroku i otworzyłam drzwi wejściowe.

– Cześć, Tyler.

– Och, witam, pani Sweeney.

Wypatrywałam oznak – czy był pijany? Naćpany? Ale on wyglądał jak zwyczajny, opanowany przystojny Tyler.

– Mogę ci w czymś pomóc? – spytałam, nieco sarkastycznie.

– Chciałem się tylko przywitać z Betsy.

Spojrzałam w górę na sypialnię mojej córki – zdążyłam zobaczyć, jak pospiesznie zamyka okno.

– Wejdiesz na herbatę? – spytałam.

Uśmiechnął się.

– Och, no, jest trochę późno.

– Zgadza się – powiedziałam twardo. – Jest późno. Mam cię podrzucić do domu?

– Nie trzeba, pani Sweeney. Mam samochód. – Wskazał kciukiem za siebie. I chociaż całe wydarzenie miało wymiar raczej farsy, mimowolnie poczułam dumę, że chłopak mojej córki ma własny samochód.

– Dobra. W takim razie jedź do domu, proszę. Jutro szkoła. Wtedy zobaczycie się z Betsy. Dobrej nocy, Tylerze.

– Dobranoc, pani Sweeney.

Pognałam na górę i wpadłam do pokoju Betsy, gdzie ona udawała, że śpi.

– Wiem, że udajesz – oznajmiłam. – I uprzedzam, że to się tak nie skończy.

Wróciłam do swojej sypialni, gdzie czekał wściekły Ryan.

– Wystaje pod oknem jak jakiś, kurwa, Romeo. A potem próbuje włączyć po ścianie domu. Jak jakiś, kurwa, Spiderman!

Strasznie chciałam wrócić do łóżka. Zawsze byłam taka zmęczona.

– Załatwimy to rano.

– Lepiej z nią pogadaj – odparł. – No wiesz, o antykoncepcji. Nie chcę, żeby któregoś dnia nam oznajmiła, że wpadli.

Zgodnie z poradami specjalistów odbywałam z Betsy regularne pogawędki, żeby się zorientować, czy uprawia seks. Ale ona się trzymała sztywno swojej cnoty – razem z koleżankami używały słów takich jak „zdzira” czy „dziwka” w odniesieniu do dziewcząt, które się przechwalały, że robią te rzeczy. Często się cieszyłam, że sama ich nie znałam jako siedemnastolatka.

Przy każdej z takich pogawędek sugerowałam Betsy, że jeśli jakiś chłopak będzie dla niej naprawdę ważny, będzie musiała brać pigułki. Ale teraz uświadomiłam sobie, że skoro ona tak długo była pruderyjna, zakładałam, że tak już zostanie.

– Możemy to zrobić razem? Ty i ja? – spytałam Ryana.

– Czy ty masz w ogóle pojęcie, pod jakim ja żyję ciśnieniem? Ty musisz pogadać. Ja muszę pracować. Jestem zajęty.

– Dobra, przepraszam. – Też musiałam pracować, ale odkąd wyszłam ze szpitala, wszystkim moim działaniom towarzyszyło poczucie winy.

Następnego ranka obudził mnie Ryan ubrany już do pracy.

– Dopilnuj rozmowy z Betsy – powiedział, pochylając się nade mną. – Chyba że chcesz zostać babcią przed czterdziestką.

Następnie zbiegł szybko po schodach i trzasnął drzwiami wejściowymi tak głośno, że mało dom się nie rozpadł.

Zwlokłam się z łóżka i zapukałam do pokoju córki.

– Mogę wejść, kochanie?

Spojrzała na mnie nieufnie.

– Cudownie, że jesteście z Tylerem tacy szczęśliwi – zaczęłam, siadając obok niej na łóżku. – Ale chcielibyśmy z tatą mieć pewność, że się zabezpieczacie.

– Zabezpieczacie? – Coś jej zaświtało. – Chodzi ci...?

– O jakąś antykoncepcję. – Wzruszyłam ramionami.

Odraza aż z niej promieniowała.

– Jeśli chcesz – dodałam ostrożnie – możemy pójść do doktora Quinna...

– Mamo, jesteś obrzydliwa. – Zakryła dłońmi oczy i krzyknęła: – Rozmawiacie z tatą o takich rzeczach?!

Kiwnęłam głową.

– To jest obrzydliwe! Po prostu obrzydliwe! – Usiadła sztywno na łóżku. – Proszę cię, żebyś natychmiast wyszła z mojego pokoju.

– Ależ, Betsy, my tylko chcemy pomóc...

– To mój pokój!

– Ale...

– Wyjdź! – pisnęła.

– Przepraszam. – Spróbuję później, kiedy nie będzie taka podenerwowana. Wyszłam pospiesznie i wpadłam na Jeffreya.

– Dobra robota! – rzekł. – Wujek Jeffrey brzmi niezłe. A ty chcesz być babcią Stellą? Czy po prostu babcią?

– Kiedyś – odparłam – kochałeś mnie tak bardzo, że chciałeś się ze mną ożenić.

Zeszłam na dół, usiadłam w kuchni i roztrzęsiona piłam herbatę.

W naszym małym domu napięcie aż trzeszczało w powietrzu, a ja próbowałam sobie przypomnieć, czy zawsze prowadziliśmy takie wojny. Może taki poziom rodzinnego wkurzenia był normalny? Może w ciągu tych miesięcy spędzonych w szpitalu idealizowałam nasze życie?

W głębi serca znałam jednak prawdę: Ryan, Betsy i Jeffrey, choć sami nie mieli tej świadomości, złościли się na mnie za cały ten czas choroby. Największą urazę nosił Jeffrey. Kłębili się w nim rozmaite niemiłe emocje. Teraz dołączyła do niego Betsy, i musiałam przyznać, że między mną a Ryanem też nie dzieje się dobrze.

W przeszłości żartowałam, że nie uprawiamy seksu, ale teraz naprawdę nie uprawialiśmy seksu. Niedługo po moim powrocie zrobiliśmy to raz; działo się to ponad siedem miesięcy temu i od tego czasu cisza.

Siedząc przy kuchennym stole, doznałam przez chwilę zimnego strachu. Trzeba było coś zrobić. Jakoś musiałam przejąć kontrolę i naprawić sytuację.

Rozwiązaniem była Randkowa Noc. Ryan i ja potrzebowaliśmy kilku godzin z dala od dzieci i ich zmiennych emocji. Nic wymyślnego. Nic z tych rzeczy, które robili Karen i Enda, z perukami i rolami. Po prostu wspólnie spędzone chwile przy kolacji i paru drinkach. Mogłam nawet kupić nowe majtki...

Ożywiona desperacką nadzieją, spytałam Karen, czy zostanie z dziećmi, po czym ruszyłam do hotelu Powerscourt, bo tam wszyscy się udawali na Randkową Noc. Zarezerwowałam pokój na czwartek, za dwa dni. Nie ma co odkładać. Trzeba było naprawić sprawę między nami, i to szybko.

Zadzwoiłam do Ryana.

– Co znowu? – spytał na powitanie.

Przybierając ton flirtujący, powiedziałam:

– Mam nadzieję, że nie masz planów na czwartkową noc.

– Dlaczego? Kto i czego ode mnie chce?

– Mamy Randkową Noc, ty i ja.

– Nie mamy pieniędzy na Randkową Noc.

Finansowo staliśmy słabo – rok bez moich zarobków poważnie nadszarpnął finanse, a dwa miesiące temu najnowsi lokatorzy domu w Sandycove wypowiedzieli umowę i jeszcze nie znaleźliśmy ich następców.

– Czasami trzeba się skupić na priorytetach – powiedziałam.

– Randkowa Noc jest tandetna.

– Idziemy na Randkową Noc – przerwałam ponuro i wyzywająco. – I będziemy się świetnie bawić.

W czwartek po południu ułożyłam włosy i spakowałam do niewielkiej torby ładną sukienkę, buty na wysokich obcasach oraz – owszem – nowe majtki. Przyjechała Karen i napiłyśmy się w kuchni wina, czekając, aż Ryan po mnie przyjedzie.

Jeffrey zerknął na moje włosy, na moją torbę i rzekł szyderczo:

– Jesteś żałosna.

– Gdybyś był moim dzieckiem – powiedziała Karen – i w ten sposób byś się do mnie odezwał, tak bym cię kopnęła, że w powietrzu byś z głodu zdechł.

– Naprawdę? – spytał Jeffrey z lekkim podziwem.

– Owszem. Może byś się nauczył szacunku.

– Ale nie możesz mnie kopnąć – odparł Jeffrey. – To niezgodne z prawem.

– Wielka szkoda.

Zadzwoił mój telefon. Wstałam i sięgnęłam po torbę.

– To Ryan. Pewnie czeka przed domem. – Odebrałam. – Już wychodzę.

– Nie, zaczekaj. Jestem spóźniony. Jedź sama, a ja do ciebie dołączę, jak tylko będę mógł.

– Kiedy to będzie? – spytałam rozczarowana.

– Nie wiem. Mamy tu problem z wanną i musimy go rozwiązać. Jest za duża i nie chce przejść przez drzwi. Ktoś spierdolił pomiary i...

– Dobra. – Więcej nie musiałam słuchać. W ciągu swojego małżeństwa musiałam wysłuchać każdego odcinka serialu *Katastrofy w łazienkach*. Już nie byłam w stanie się nimi przejmować.

– Dobra, Karen – powiedziałam, rozłączony się. – Wychodzę. Dzięki, że się tego podjęłaś. Nie wypuszczaj Betsy z domu. Nie wpuszczaj Tylera. Jeśli będzie okazja, pogadaj z Betsy o kontroli narodzin...

– Jej też by się przydało lanie. I temu Tylerowi. Gdyby to ode mnie zależało, wszystkich ich bym naprostowała. Już ja bym im dała popalić.

W ciągu półgodzinnej jazdy do Powerscourt powtarzałam sobie w kółko: „Cieszę się. Cieszę się. Cieszę się. Jadę na randkę z seksownym mężczyzną”.

Uznałam, że to lepiej, że jadę swoim samochodem. Przyjedziemy osobno, jakbyśmy się prawie nie znali.

Zameldowałam się w hotelu i obijałam się po uroczym pokoju, czując się trochę jak idiotka. Posiedziałam na łóżku, podziwiałam widok, spojrzałam na cenę pringlesów w minibarze i żałowałam, że nie ma ze mną nikogo, z kim mogłabym się powkurzać na te ceny.

Po jakimś czasie postanowiłam pójść na jacuzzi, i powiedziałam sobie, że jak wrócę, Ryan już będzie.

Ale w jacuzzi się tylko denerwowałam – nie tylko ze strachu, że fryzura mi kłapnie, lecz także dlatego, że woda nigdy nie budziła mojego entuzjazmu – a kiedy wróciłam do pokoju, Ryana nie było. Zmęczona czekaniem, położyłam się na łóżku. A gdy się obudziłam, w pokoju stał Ryan.

– Która godzina? – spytałam słabo.

– Dziesięć po dziewiątej.

– Och. Och, przepadła nam kolacja. – Usiadłam i próbowałam się dobudzić. Sięgnęłam po telefon. –

Możemy jeszcze iść, zaczekaj.

– Ach, nie, nie idźmy. Zamówimy coś do pokoju.

– Naprawdę? Ale tu jest taka fajna restauracja...

– Za późno. A ja jestem wykończony.

Szczerze mówiąc, też byłam wykończona, więc zamówiliśmy kanapki i wino i jedliśmy w milczeniu.

– Frytki są okej – powiedział Ryan.

– Frytki tak – skorzystałam z okazji do przytyku.

– Zadzwoń do Karen, dobra? Żeby się nie okazało, że jak my tu gadamy, Tyler się tam zakradł i zapłodnił naszą córkę.

– Zostawmy to dzisiaj.

– Nie mogę się odprężyć, jak o tym myślę.

Słumiłam westchnienie i zadzwoniłam do siostry.

– Wszystko w porządku?

– Oczywiście.

Coś w jej głosie mnie zaintrygowało.

– Co jest?

– No, pogadałam z Betsy. I owszem, ona to robi z tym waszym Tylerem.

– Jezu Chryste. – Powinnam była wiedzieć, ale najwyraźniej nie chciałam.

– Używają prezerwatyw.

Och. Zebrało mi się na płacz. Moja mała córeczka.

– Powiedziałam jej, że musi brać pigułki. Obiecała, że pójdzie do poradni K, ale nie z tobą.

– Dlaczego?

– Bo wszystkie nastolatki to małe gnojowy. Mówi, że pójdzie ze mną. Zaprowadzę ją w przyszłym tygodniu.

– Och, no dobrze. – Dużo dostałam do przerobienia i starałam się tego nie brać do siebie. – A jak Jeffrey?

– Jeffrey też jest małą gnojową.

Rozłączyłam się ze zranionym sercem i odwróciłam się, by przekazać wszystko Ryanowi. Okazało się, że on tymczasem wszedł pod kołdrę i zasnął.

No dobra. Sama byłam bardzo zmęczona. Ale jutro rano, choćby się waliło i paliło, zaszalejemy.

Śniadanie zjedliśmy w łóżku. Siedzieliśmy w białych szlafrokach, jedliśmy świeżego ananasa i popijaliśmy kawę.

– To jest fajne – powiedział Ryan, pochłaniając ciastko z kruszonką. – Migdałowe, no nie? Jesz swoje?

– A, nie. Możesz wziąć.

– Dzięki. A co to jest? Jakaś muffinka? – Przedarł się metodycznie przez cały koszyk z ciastkami, aż w końcu jęknął: – Boże, ale się opchałem. – Położył się i pogłaskał po brzuchu. Przysunęłam się do niego i zaczęłam rozwiązywać pasek jego szlafroka.

Zesztywniał, po czym wyskoczył z łóżka.

– To jest jakieś sztuczne. Nie mogę się zrelaksować. Wolałbym iść do pracy.

– Ryan...

Ruszył pędem do łazienki i wziął szybki prysznic. Po chwili już wrócił do pokoju, ubierając się



pospiesznie.

– Ty nie musisz wychodzić – powiedział. – Pokój mamy do dwunastej, prawda? Weź sobie masaż czy coś, ale ja idę do pracy.

Drzwi za nim zamknęły się z trzaskiem. Oczekałam kilka minut, a potem powoli się spakowałam i też ruszyłam do pracy.

Kiedy tam dotarłam, Karen siedziała przy komputerze.

– Myślałam, że przyjdiesz po południu.

– Randkowa Noc skończyła się przed czasem.

– Och. A swoją drogą – powiedziała dziwnym, spiętym głosem – wiesz, kto ma nowego chłopaka?

– Kto?

– Georgie Dawson.

– Kto?

– Znasz ją pewnie jako Georgie Taylor.

Po dłuższej chwili milczenia spytałam:

– Co chcesz mi powiedzieć?

– Że Mannix Taylor i jego żona się rozstali. Rozwodzą się.

– Dlaczego mi to mówisz?

Na twarzy miała nieprzyjazny wyraz

– Nie wiem. Zastanawiam się, czy o tym wiedziałaś.

– Oszalałaś? Nie widziałam go od... – policzyłam. – Od ponad roku. Piętnaście miesięcy.

Karen kilka razy kliknęła gniewnie myszką.

– Ta wariatka Mary Carr przychodzi na woskowanie bobra.

– Nic między nami nie było – powiedziałam.

– Dlaczego kobieta z najbardziej włochatym bobrem w Irlandii przychodzi na wosk akurat do nas... – burczała. – Było, Stello. – W świetle padającym z monitora widziałam twarde rysy jej twarzy. – Nie wiem, co dokładnie. Ale coś było. – Popatrzyła na mnie z troską. – Wiesz, że w prawdziwym życiu nie pasowalibyście do siebie?

– Wiem. – W życiu bym się nie przyznała do zakochania. Czy cokolwiek to było.

– On jest z wyższych sfer, i pokręcony...

– Ryan też jest nieźle pokręcony.

– Ryan jest świetny.

– O, tak – przyznałam. – Wiesz, że jak leżałam w szpitalu, poszedł którejś nocy po tampony dla Betsy?

– Tak, wiem... ach, bardzo śmieszne.

– Powiedz mi, co mam dzisiaj w grafiku? Dużo mam klientek? Mam szansę wyskoczyć do doktora Quinna?

– A po co chcesz do niego wyskakiwać?

– Bo jestem wiecznie zmęczona.

– Wszyscy są wiecznie zmęczeni.

– Ty nie. No i chcę po prostu sprawdzić, czy wszystko w porządku. Że nie wraca mi ten Guillain-Barré.

– Nie wraca. Jest tak rzadki, że to pojechane, że w ogóle na niego zachorowałaś. Ale – dodała – dzisiaj spokojny dzień. Umawiaj się.

Doktor Quinn zlecił badania krwi.

– Może ma pani anemię – powiedział. – Ale może powinna pani zobaczyć się ze swoim specjalistą ze szpitala. I niech się pani umówi dzisiaj, bo wieki miną, zanim się znajdzie wolny termin. Tak to jest z dzisiejszymi specjalistami – westchnął. – Pracują pół godziny tygodniowo. Poza tym grają w golfa.

Przełknęłam ślinę.

– Do kogo mam się umówić? Do internisty? Czy do neurologa?

– Nie wiem. Chyba do ogólnego.

– Nie do neurologa? W końcu ta moja choroba była neurologiczna.

– Ma pani rację. Do neurologa.

Wyszłam na ulicę i zadzwoniłam. I zaraz się rozłączyłam. Serce mi waliło jak oszalałe, ręce miałam spoczone. Cholera. Co mi było?

Zadzwoniłam raz jeszcze i tym razem zaczęłam, aż ktoś odbierze.

– Chciałabym się umówić na wizytę – powiedziałam.

– Z doktorem Taylorem czy z doktor Rozelaar?

– No... cóż... najpierw byłam pacjentką doktora Taylora, a potem przejęła mnie doktor Rozelaar.

Myślę, że najlepiej by było, gdyby spytała pani doktora.

– Nie będę doktorowi zwracać głowy kwestiami administracyjnymi...

– Proszę mi wierzyć – przerwałam jej – najlepiej będzie, jeśli spyta pani doktora Taylora i on zdecyduje.

Coś w tonie mojego głosu ją przekonało.

– Proszę mi podać swoje nazwisko. Ale ostrzegam, że do doktora Taylora jest bardzo długa kolejka.

Oddzwonię, jak będę coś wiedziała.

Stałam na ulicy, w zimne marcowe popołudnie, i wpadłam w stan hibernacji. Mniej więcej po dziesięciu minutach kobieta oddzwoniła. Odniosłam wrażenie, że jest skonsternowana.

– Rozmawiałam z doktorem Taylorem. Mówi, że to do niego powinna pani przyjść. I, o dziwo, ma dzisiaj wolny termin.

– Dzisiaj?

Okej.

Urwanie się z pracy przyszło mi bez trudu. Wystarczyło powiedzieć Karen, że doktor Quinn obawia się nawrotu Guillaina-Barrégo, a już wygnała mnie za drzwi. Nie chciała, bym znowu chorowała. Ostatnim razem było to bardzo kłopotliwe.

Powiedziałam, że mam wizytę u specjalisty, a ona uznała, że chodzi mi o doktora Montgomery'ego, bo uśmiechnęła się szeroko i powiedziała:

– Pozdrów go ode mnie.

Uznałam, że nie muszę jej wyprowadzać z błędu.

Wizytę miałam na szesnastą. Pojechałam do Blackrock Clinic, zaparkowałam i czekałam, aż wysiądę z samochodu. Ale nie wysiadłam.

Zdziwiło mnie, że się tak zastanawiam. No właśnie, nad czym się zastanawiałam? A doktor Taylor? Co on myśli?

Może wyznaczył mi wizytę tak zaraz powodowany zawodową troską. Takie wyjaśnienie było najbardziej prawdopodobne.

Ale jeśli nie?

Jeśli było w tym coś więcej?

Istniała duża szansa, że żyłam ułudą. Wiedziałam, jak to jest w życiu – ludzie wiążą się z partnerami ze

swojej klasy – z ludźmi z tej samej grupy społeczno-ekonomicznej, o tym samym poziomie wykształcenia i o podobnej atrakcyjności. Mannix Taylor i ja pochodziliśmy z różnych światów. Ja uchodziłam za ładną w przeciętny, klasyczny sposób, podczas gdy on nie był przystojny w konwencjonalnym rozumieniu tego słowa, ale był... seksowny. Tak, właśnie, po raz pierwszy się do tego przyznałam – uważałam, że jest seksowny.

A w każdym razie był, gdy widziałam go po raz ostatni, piętnaście miesięcy temu.

Kiedy byłam bardzo chora, więc raczej trudno byłoby mnie uznać za wiarygodnego świadka.

Do szesnastej zostało pięć minut, musiałam ruszać. Spojrzałam na budynek. On gdzieś tam był. Czekał na mnie.

Na samą tę myśl zadrżałam.

Czekał na mnie.

A jeśli wysiądę z samochodu i wejdę tam – co się wydarzy?

Może nic.

Może Mannix Taylor niczego nie oczekiwał. A może gdy go znowu ujrzę, już nie wyda mi się taki...

A jeśli jednak...?

Co wtedy?

Nigdy nie zdradziłam Ryana. Nigdy nawet mi to nie groziło. To znaczy, zdarzały mi się chwile, gdy jakiś mężczyzna przypominał mi, że jestem kobietą. Kilka tygodni temu na stacji benzynowej pewien przystojniak zagadał do mnie na temat samochodu – nudnej jak flaki z olejem toyoty. A gdy zorientowałam się, że mnie podrywa, odjechałam trochę zdenerwowana, a trochę ucieszona.

W spotykającym się co miesiąc klubie czytelnika, do którego należałam, równie entuzjastycznie jak wszyscy snułam marzenia, z kim bym zaszalała, gdybym miała jednodniową przerwę w małżeństwie. Szczerze mówiąc, nic innego w klubie czytelniczym nie robiłyśmy – żadna z nas nie czytała książek, piłyśmy tylko wino, rozmawiałyśmy o wakacjach, na które nas nie stać, i zastanawiałyśmy się, czy Bradley Cooper jest brutalem, czy raczej jest delikatny i łagodny.

A czy Ryan mnie kiedykolwiek zdradził?

Nie wiedziałam. I nie chciałam wiedzieć. Na pewno miał wiele okazji, dużo więcej niż ja. Często wyjeżdżał, no i zastanawiałam się czasami, jak sobie radził z potrzebami seksualnymi, gdy ja byłam w szpitalu...

...i jak sobie radzi z nimi teraz, skoro nie chce już ze mną sypiać.

Przez chwilę patrzyłam na swoje życie z zewnątrz i zrobiło mi się zimno ze strachu. Siedem miesięcy bez seksu to w małżeństwie bardzo długo. W dwudziestoletnim związku nikt nie oczekuje, że będziecie zdierać z siebie ubrania dniem i nocą. Każdy przechodzi okres posuchy, ale i tak... siedem miesięcy to długo.

Może Ryan miał romans? Swego czasu zastanawiałam się nad nim i Clarissą. Ale Ryan był zbyt niemiły – gdyby mnie zdradzał, to chyba nękanie poczuciem winy zasypywałby mnie kwiatami i względami, prawda?

W tej chwili zupełnie nie umiałam go rozgryźć. Podjęłam próbę z tą koszmarną Randkową Nocą i poniosłam spektakularną porażkę.

A teraz siedziałam w samochodzie, minutę po czwartej. Powinnam się ruszyć, ale sparaliżował mnie strach.

Niewykluczone, że jeśli wysiądę z tego samochodu i wejdę do kliniki, zacznę zupełnie nowe życie. A w każdym razie inne, niż mam.

Wyobrażałam sobie przez chwilę, że jestem z Mannixem Taylorem, jestem żoną neurologa, że mieszkamy w jakimś pięknym miejscu, Betsy i Jeffrey ze mną, kochają Mannixa, Mannix kocha ich,

a Ryan nie ma nic przeciwko temu i wszyscy żyjemy w przyjaźni.

Oczywiście musiałabym sobie poradzić z rozrzutnymi siostrami Mannixa i rodzicami hazardzistami, a może Georgie trochę by mąciła, ale nikt nie ma doskonałego życia, prawda?

Lecz jeśli tam pójde, do gabinetu Mannixa Taylora, i między nami coś zaiskrzy, i będziemy mieli romans, który potrwa trzy tygodnie – na tyle krótko, by nic nie znaczyć, ale na tyle długo, by całkowicie zniszczyć moją rodzinę? To nie byłoby takie dobre.

Szesnasta cztery. Teraz już było późno, po prostu późno. Pewnie dochodził już do wniosku, że nie przyjde.

Musiałam się zastanowić, co jest ze mną nie tak. Byłam znudzona? Czy każdy przechodził coś takiego w swoim małżeństwie? Gdy chciał spróbować życia z kimś innym...

Jedno wiedziałam na pewno: żyje się tylko raz. Przypomniałam sobie, że przyszło mi to do głowy pierwszej nocy w szpitalu, gdy bałam się, że umrę: życie jest jedno i należy je przeżyć jak najszczęśliwiej.

Ale nie zawsze człowiek jest panem swego losu. Miałam zobowiązania. Męża i dwójkę dzieci.

Kochałam Ryana. Chyba. A nawet jeśli nie kochałam, nie mogłam rozbić swojej rodziny. Betsy i Jeffrey przeszli potwornie straszne chwile, gdy leżałam w szpitalu. W ogólnym rozrachunku miałam wobec nich zaległości. Może nigdy ich nie nadrobię.

Muszę znaleźć jakiś inny sposób, by wypełnić pustkę, którą chyba była tęsknota za Mannixem Taylorem. Muszę... muszę znaleźć jakieś zainteresowania. Może zajmę się buddyzmem. Albo medytacjami. Albo spróbuje z robótkami ręcznymi.

Patrzyłam na wejście do kliniki i wyobrażałam sobie, że pojawia się w nim Mannix, po czym biegnie do mnie i mówi, że muszę być z nim. I nagle pomyślałam: dlaczego ktoś taki jak on miałby się wiązać z kimś takim jak ja?

Szesnasta piętnaście. Zawałam ze sobą umowę: policzę do siedmiu i jeśli Mannix się nie pojawi, odjadę.

Policzyłam do siedmiu i chociaż tłum ludzi wyszedł z budynku – w piątkowe popołudnie mnóstwo personelu udawało się do domu – Mannixa Taylora wśród nich nie było.

Postanowiłam, że policzę do siedmiu jeszcze raz. Ale nadal go nie było. Dobra, jeszcze raz. Przy ósmym, może dziewiątym odliczaniu przekręciłam kluczyk i ruszyłam w drogę do domu.

Dom był pusty. Jeffrey pojechał na wycieczkę ze szkolną drużyną rugby. Betsy nocowała u Amber, i naprawdę nocowała u Amber, a nie szalała z Tylerem, bo sprawdziłam u mamy Amber.

A gdzie był Ryan? Przez cały dzień się do mnie nie odzywał, więc mogłam tylko zakładać, że jest w pracy.

Otworzyłam sobie wino i próbowałam czytać, ale nie mogłam się skupić. Zastanawiałam się, czy zadzwonić do Zoe albo do Karen, lecz nie wiedziałam, jak ująć w słowa swoje osobliwe uczucia.

Dochodziła dwudziesta druga, gdy Ryan wrócił i poszedł prosto na górę. Słyszałam jego ciężkie kroki, a potem szum prysznica. Wreszcie wrócił na dół i wszedł do salonu.

– Jest wino? – spytał, wpatrując się w telefon w swojej dłoni.

Podaliśmy mu kieliszek.

– Jak ci minął dzień? – spytałam.

– Dzień – odrzekł, nie odrywając wzroku od telefonu – minął mi, kurwa, chujowo.

– Tak?

Kontynuował, pisząc esemesa:

– Każdy mój dzień jest chujowy. Nienawidzę swojego chujowego życia.

Poczułam, jak podnoszą mi się włoski na karku.

– A czego dokładnie nienawidzisz?

– Wszystkiego. Nienawidzę swojej pracy. Nienawidzę robić tych jebanych łazienek. Nienawidzę tych gnojników, z którymi muszę się użerać. Nienawidzę dostawców, którzy wyłudniają ode mnie kasę. Nienawidzę durnych klientów z ich debilnymi pomysłami. Nienawidzę... – telefon zadzwonił, a Ryan spojrzął na ekran. – Spierdalaj – parsknął pogardliwie. – Nie gadam, kurwa, z tobą. – Rzucił telefon na kanapę, a ten po chwili ucichł.

Wściekła tyrada Ryana na pracę była akurat zwyczajna, ale dzisiaj była inna, ponieważ dzisiaj wyrzekłam się wyobrazonego życia z Mannixem Taylorem, żeby zostać z nim.

Nagle zakręciło mi się w głowie – mnóstwo uczuć rozbudziło się we mnie od mojej wizyty na parkingu Blackrock Clinic. Sądziłam, że należą do dalekiej przeszłości, ale rozgoryczenie Ryana znowu je przywołało.

– A dzieci? – usłyszałam swój głos. – Dzieci dają ci szczęście?

Spojrzał na mnie chyba po raz pierwszy od powrotu do domu. Zdumiony.

– Zwariowałaś? Jeffrey jest taki wkurzający. A Betsy taka, kurwa... beztroska. No, była, dopóki nie zaczęła się ta pieprzona szopka z Tylerem. To znaczy, wiesz, kocham ich, ale nie dają mi szczęścia.

I wtedy zadałam to pytanie:

– A ja?

W jego oczach pojawiła się jakaś nieufność.

– Co z tobą?

– Czy ja ci daję szczęście?

– Oczywiście.

– Tak? Naprawdę daję ci szczęście? Usiądź, Ryan. – Dotknęłam kanapy. – I zanim odpowiesz, mogę

coś powiedzieć? Pamiętaj, że masz tylko jedno życie.

Niepewnie skinął głową.

– Co masz na myśli?

– Że przecież mógłbyś być szczęśliwy. Więc pytam cię: czy ja ci daję szczęście?

Po długiej, bardzo długiej chwili odrzekł:

– Skoro tak to ujmiesz... to nie. Nie dajesz mi szczęścia. To znaczy – zastrzegł szybko – nie jestem też przy tobie nieszczęśliwy. Nic do ciebie nie mam.

– Właśnie.

– Nie powinnaś była chorować – dodał, w nagłym wybuchu gniewu. – Wtedy wszystko się skończyło.

– Może.

– Na pewno.

Od lat nie byliśmy wobec siebie tak szczerzy.

– Wiem, że nie pytałeś – dodałam – ale ty mi też nie dajesz szczęścia.

– Nie? – zadziwiłam go. – Jak to?

– Po prostu nie dajesz.

– Ale...

– Wiem. Jesteś wspaniałą. I przez cały czas choroby przy mnie byłeś... jesteś wspaniałą, Ryan. – Nie wiedziałam nawet, czy jestem w tej chwili szczerą. Byłam, w pewien sposób.

– I...

– Wiem. I poszedłeś po tampony dla Betsy. Niewielu mężczyzn by to zrobiło.

Kilka chwil upłynęło w zawieszeniu, aż wreszcie Ryan się odezwał:

– Więc co zrobimy?

Nawet w chwili gdy wypowiadałam te słowa, nie mogłam w nie uwierzyć:

– Myślę, że powinniśmy się rozstać.

Przełknął ślinę.

– Nie sądzisz... że to jest takie... trochę radykalne?

– Ryan, nie uprawiamy seksu. Jesteśmy jak przyjaciele... którzy nawet nie są dla siebie mili.

– Ja jestem dla ciebie miły.

– Nie jesteś.

– Jezu, Stello, ja nic o tym nie wiem. Może pójdziemy do specjalisty?

– Chcesz iść do specjalisty?

– Nie.

– No to widzisz.

– Ale czy ja nie będę samotny?

– Poznasz kogoś. Jesteś atrakcyjny, masz dobrą pracę. Niezła z ciebie partia.

Między nami wytworzyła się dziwna energia i w tym momencie mogłam spytać, czy mnie kiedykolwiek zdradził. Ale nie chciałam wiedzieć. To już nie miało znaczenia.

– Mam czterdzieści jeden lat – powiedział.

– W dzisiejszych czasach to niewiele.

– I potrzebuję określonego typu kobiety – ciągnął. – Kogoś, kto wie, że jestem artystą. Nie chcę, żeby wyszło na to, że myślę tylko o sobie, ale...

– ...nie przejmuj się. Na świecie są miliony odpowiednich kobiet.

– A dzieci?

Umilkłam. To było moje największe zmartwienie.

– Bardzo to przeżyją. A może nie. – I nagle zwątpiłam. – Może powinniśmy poczekać? Aż będą trochę

starsi? Aż Jeffrey skończy osiemnaście lat?

– Ponad dwa lata? O, nie, Stello. Podobno dzieci z niekochających się małżeństw mają taką samą traumę, jak dzieci z rozbitych rodzin.

Niekochających się? Stąpaliśmy po coraz bardziej niepewnym gruncie.

– Z kim zostaną? – spytał.

– Zdecydujemy się na opiekę naprzemienną. No chyba że chcesz, żeby zamieszkały z tobą?

– Żartujesz sobie ze mnie?! – krzyknął. I po chwili, już spokojniej, dodał: – Nie, nie, naprzemienną.

Nie do wiary, że o tym rozmawiamy. – Rozejrzył się po pokoju. – To się naprawdę dzieje?

– Wiem, o co ci chodzi. Sama się czuję, jakby mi się to śniło. Ale wiem, że to rzeczywistość.

– Jak się dzisiaj rano obudziłem w tym hotelu, nie miałem pojęcia, że dzisiaj wieczorem... Myślałem, że wszystko jest z nami w porządku. A w zasadzie – poprawił się – nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Jak sobie poradzimy z pieniędzmi?

– Nie wiem. Nie znam wszystkich odpowiedzi. Dopiero co podjęliśmy decyzję. Ale jesteśmy w korzystniejszej sytuacji niż większość ludzi. Mamy mieszkanie w Sandycove. – Nagle fakt, że nie zdołaliśmy znaleźć nowych lokatorów, wydał mi się aprobatą sił wyższych dla naszego rozstania.

– Jak mówisz o rozstaniu, masz na myśli rozwód? – spytał Ryan.

– Pewnie tak.

– No, kurwa. – Głośno wypuścił powietrze. – A to się nie odbywa w sądzie?

– Może, jeśli chcesz.

Zastanowił się.

– A nie, możemy sami to załatwić. Nie ma co mącić. No wiesz, wszyscy to przechodzą. – To prawda, że w naszym kręgu znajomych w ostatnich miesiącach kilka par zaczęło się rozwodzić. – Tak samo jak kilka lat temu wszyscy zaczęli kupować mieszkania w Bułgarii. Taki duch czasów jakby, no nie?

– Może... – Na miłość boską.

– Fajnie, że jesteśmy tacy cywilizowani. Nie jak Zoe i Brendan. – Rozstanie Zoe i Brendana w dalszym ciągu było bardzo trudne. – Nie wyglądasz na smutną. – W głosie Ryana zabrzmiał wyrzut.

– Jestem w szoku. – Może. – Smutek dopiero nadejdzie. A ty jesteś smutny?

– Trochę. Mam dzisiaj spać na kanapie?

– Nie ma takiej potrzeby.

– Pooglądamy Grahama Nortona?

– Dobra.

Pooglądaliśmy telewizję i pół godziny przed północą poszliśmy spać. Ryan rozebrał się bardzo pruderyjnie, starannie skrywając swoją nagość.

Gdy już oboje leżeliśmy pod kołdrą, spytał:

– Powinniśmy może uprawiać seks przez wzgląd na dawne czasy?

– Wolalabym nie.

– Dobra. Ja też. Ale możemy się przytulić, prawda?

– Możemy.

Następnego ranka zaraz po przebudzeniu Ryan spytał:

– Śniło mi się to? Naprawdę się rozwodzimy?

– Jeśli chcesz.

– Dobra. Mam się wyprowadzić?

– Jedno z nas będzie musiało.

– Pewnie lepiej, żeby to był ja. Przeniosę się do Sandycove.

– Dobra. Dzisiaj?

– Jezu, jeszcze nie piłem porannej kawy. Jakim cudem jesteś taka spokojna?

– ...bo ten koniec wydarzył się już dawno temu.

– Jakim cudem tego nie zauważyliśmy?

Zastanawiałam się nad tym.

– Wiesz, że widzimy światło gwiazd, które już dawno temu umarły? No to tak było z nami.

– To bardzo poetyckie, Stello. Umarliśmy dawno temu? Smutne. Jezu. – Położył się na plecach i rzekł:

– No w końcu jestem gwiazdą.



W poniedziałkowy rano przygotowywałyśmy się z Karen do pracy, gdy usłyszałyśmy, jak ktoś do nas idzie schodami.

– Już? – powiedziała Karen. – Komuś się spieszy.

Ona zobaczyła gościa pierwsza, ja natomiast ujrzałam, jak jej twarz tężeje w nieprzyjaznym wyrazie.

– Słucham?

To był on. Mannix Taylor. Nie w szpitalnym fartuchu, lecz w szarym drogim płaszczu, który miał na sobie przy naszym pierwszym spotkaniu, wtedy gdy wjechałam w niego samochodem.

– Mogę się widzieć ze Stellą? – spytał.

– Nie.

– Tu jestem – odezwałam się.

Zobaczył mnie i gdy spojrzeliśmy sobie w oczy, zakręciło mi się w głowie.

– Co się z tobą stało w piątek? – spytał.

– No...

– Czekałem do dziewiątej.

– Och. – Powinnam była zadzwonić. – Przepraszam.

– Możemy pogadać?

– Jestem w pracy.

– Masz przerwę na lunch?

– Możesz ją mieć teraz – odezwała się Karen wściekłym głosem. – Idźcie sobie pogadać. Ale pamiętaj, facet – stała pomiędzy Mannixem a mną – moja siostra jest mężatką.

– W zasadzie już nie – odezwałam się cicho. – Rozstaliśmy się z Ryanem.

Karen pobladła. Jeszcze nigdy w życiu nikt jej tak nie zaskoczył.

– Co takiego? Kiedy?

– W ten weekend. Wczoraj wieczorem się wyprowadził.

– I nic mi nie powiedziałaś?

– Nie zdążyłam.

Odzyskała równowagę w pięknym stylu.

– Pamiętajcie tylko... – Spod zmrużonych powiek spojrzała na Mannixa, na mnie, i znowu na Mannixa.

– Wy z tym swoim szpitalnym romanssem. To wszystko się dzieje w waszych głowach. W prawdziwym życiu do siebie nie pasujecie.

Wyszliśmy na zimny, siny marcowy poranek. Zasugerowałam, żebyśmy poszli na molo. Usiedliśmy na ławce i patrzyliśmy na łódki, aż zapytałam:

– Co się dzieje? Dlaczego tu przyszedłeś?

– Dlaczego umówiłaś się do mnie w piątek? A potem nie przyszłaś?

– Słyszałam, że rozstałeś się z żoną.

– To prawda.

– Przykro mi.

– W porządku.

– Chciałam cię zobaczyć. Ale potem się przestraszyłam.

– No tak. – Po chwili dodał: – Nie dziwnie ci, że mówimy do siebie słowami zamiast mrugać?

– ...tak. – Właśnie też mi zaświtało, że się komunikujemy głosem. – W mruganiu dobrze nam szło. –

Nagle zaczęło mnie drażnić to nasze owijanie w bawełnę. – Powiedz mi. Co się stało? Z nami. W szpitalu. Nie wyobraziłam sobie tego, prawda?

– Nie.

– Więc wyjaśnij to.

Milczał dłuższą chwilę, wpatrując się w morze, a potem rzekł:

– Coś się między nami wydarzyło. Zrodziła się jakaś więź. Zrozumienie. Nie wiem, jak do tego doszło, ale... stałaś się osobą, którą lubię najbardziej. Spotkania z tobą były najjaśniejszą częścią mojego dnia, a kiedy nasze spotkanie dobiegało końca, gasło życie.

O Jezu...

– W domu z kolei usilnie staraliśmy się z Georgie o dziecko... o dzieci. In vitro się nie powiodło, ale nawet bez dzieci chciałem się starać ze wszystkich sił. Ale nie mogłem być z nią tak naprawdę, kiedy myślałem o tobie. Więc musiałem się przestać z tobą widywać. Przepraszam, że ci tego nie wyjaśniłem. Gdybym spróbował, gdybym za dużo się otworzył, tylko pogorszyłbym sprawę.

– A potem co się stało?

– Ostatecznie sześciokrotnie poddaliśmy się in vitro i żadne się nie powiodło. I nasz związek się po prostu rozpadł. Jakies pięć miesięcy temu się wyprowadziłem. Złożyliśmy wniosek o rozwód. Ona się teraz z kimś spotyka. I chyba tego kogoś lubi.

– I jest dużo krzyków i gorzycy i tak dalej?

Roześmiał się.

– Nie. Tak to się skończyło, że nie ma ani krzyków, ani nic. Pewnie... pewnie jesteśmy przyjaciółmi.

– Naprawdę? To dobrze.

– Znamy się od dziecka, nasi rodzice się kolegowali. Chyba zawsze będziemy przyjaciółmi. A ty i Ryan?

– On się wyprowadził i powiedzieliśmy dzieciom. Ale to wszystko jest trochę straszne. Bardzo straszne.

– Nadal go kochasz?

– Nie. A on nie kocha mnie. Ale w porządku. – Wstałam. – Powinnam wracać do pracy. Dzięki, że przyjechałeś. Dziękuję za wyjaśnienia. Miło było cię zobaczyć.

– Miło?

– Nie miło. Naprawdę dziwnie.

– Stello, usiądź na chwilę, proszę. Możemy się znowu spotkać?

Ostrożnie przysiadłam na skraju ławki i niemal wściekle spytałam:

– Czego chcesz ode mnie?

– A czego ty ode mnie?

Przyglądałam mu się zdumiona. Uświadomiłam sobie, że chcę powąchać jego szyję. Dotknąć włosów. Polizać...

– Odpowiedz mi na jedno pytanie – powiedziałam. – I bądź szczery. Nie jestem w twoim typie, prawda?

– Nie mam żadnego typu.

Zgromiłam go wzrokiem.

– Nie – przyznał. – Chyba nie jesteś.

– Więc to coś, co się wydarzyło między nami w szpitalu...

– I w czasie kraksy – przypomniał. – Już wtedy komunikowaliśmy się bez słów.

– Ale tak jak byłam w szpitalu, te wszystkie rurki i przewody, i miałam nieumyte włosy i zero makijażu, nie podobałam ci się?

– Nie.

Och.

– Jest gorzej – rzekł. – Chyba się w tobie zakochałem.

Zerwałam się z ławki i odsunęłam się trochę od Mannixa Taylora. Najpierw byłam wstrząśnięta, potem zachwycona, a potem, niemal od razu, zaczęłam się zastanawiać, czy on nie jest chory umysłowo. No bo co ja w sumie o nim wiedziałam? Może miał jakieś urojenia? Albo... epizody czy co tam mają obłąkani.

– Wracam do pracy – powiedziałam.

– Ale...

– Nie!

– Proszę...

– Nie!

– Spotkasz się ze mną później?

– Nie!

– Jutro na lunch?

– Nie!

– Przyjadę po ciebie o pierwszej. Przywiozę kanapki.

Pognałam do salonu, gdzie Karen napadła na mnie jak wściekły pies.

– Dzwoniłam do Ryana – powiedziała szybko. – Mówi, że rzeczywiście się rozstaliście. Nie powiedziałam, że Mannix Taylor się tu pojawił, bo po co zawracać mu głowę czymś, co już się nie powtórzy. Więc co się dzieje?

Około osiemnastej poprzedniego dnia Ryan i ja odbyliśmy historyczną rozmowę przy kuchennym stole, że rozbijamy naszą małą rodzinę. Daliśmy sobie znak kiwnięciem głowy, po czym poprosiliśmy Betsy i Jeffrey, by wyłączyli swoje urządzenia elektroniczne i usiedli z nami, a oni oczywiście wyczuli, że szykuje się coś poważnego, bo bez oporu się podporządkowali.

Ja zaczęłam:

– Tata i ja bardzo was kochamy.

– Ale.. – włączył się Ryan. Zaczekałam, aż powie coś więcej, lecz nie powiedział, więc ja musiałam kontynuować.

– ...postanowiliśmy z tatą... – Ciężko to było powiedzieć, bo to było takie doniosłe. – Postanowiliśmy się rozstać.

Zapadła cisza. Jeffrey siedział wstrząśnięty, ale Betsy zachowała spokój.

– Wiedziałam, że nie jest dobrze – oznajmiła.

– Naprawdę? Jak to? – I nagle przypomniałam sobie zagrzewające gadki, które mi wygłaszała w szpitalu, jak to moja choroba zbliży Ryana i mnie.

– To twoja wina! – krzyknął na mnie Jeffrey. – Nie powinnaś mieć tej choroby.

– To samo powiedziałem! – włączył się Ryan.

– Nie było dobrze na długo przed chorobą – powiedziała Betsy. – Mama nigdy nie miała szansy samorealizacji. W tym małżeństwie zawsze liczył się tylko tata. Przepraszam, tato. Kocham cię, ale mama zawsze była na drugim planie.

Zatkało mnie. Jeszcze parę dni temu Betsy była małą dziewczynką, która nie chciała rozmawiać o antykoncepcji, a teraz przeobraziła się w dojrzałą młodą kobietę lepiej rozumiejącą moje małżeństwo niż ja.

– Rozwodzicie się? – spytała Betsy.

– Rozwód trwa bardzo długo, pięć lat. Ale zaczniemy procedury.

– Weźmiecie adwokatów? – spytał Jeffrey.

– Załatwimy to przyjaźnie.

– Tata się wyprowadzi?

Spojrzałam na Ryana, on na mnie. To się naprawdę działo?

– Tak – wydusiłam w końcu. – Będzie mieszkał w domu w Sandycove.

– A z kim ja będę mieszkał?

– A z kim chcesz mieszkać?

– Nie powinniście mi stawiać takich pytań. Powinniście mi powiedzieć. Jesteście rodzicami! – Słyszałam, że jest bliski łez. – Z żadnym z was nie chcę mieszkać. Nienawidzę was obojga. Zwłaszcza ciebie, mamo. – Odepchnął krzesło, zerwał się i ruszył do drzwi.

W jednej chwili postanowiłam zostać z Ryanem. To, co rozpętaliśmy, było potwornie przerażające. Nie mogliśmy tego zrobić naszym dzieciom.

– Jeffrey, zaczekaj. Proszę. Pomyślmy. Może jeszcze się zastanowimy.

Ryan chyba zaczął się pocić.

– Nie – odparł Jeffrey. – Już powiedzieliście. Nie możecie udawać, że jest okej, skoro nie jest.

– Właśnie – dodał Ryan, trochę za szybko. – Wiem, że to dla ciebie trudne, synu, ale życie w ogóle nie jest łatwe.

Jeffrey powoli wrócił do stołu.

– Mama i ja się rozstajemy – podjął Ryan – ale musicie wiedzieć, że was kochamy.

– Kiedy się wyprowadzasz? – spytał go Jeffrey.

– No... dzisiaj. Ale nie musi tak być. Mogę zaczekać, aż będziesz gotów.

– Skoro i tak się wyprowadzasz, możesz równie dobrze teraz. – Wypowiedzi Jeffreya brzmiały jak kwestie z opery mydlanej. – Masz dziewczynę?

Przyglądałam się Ryanowi uważnie. Też byłam zainteresowana odpowiedzią na to pytanie.

– Nie.

– Ożenisz się z nią i będziesz miał inne dzieci, a o nas zapomnisz?

– Nie! Będziecie mnie widywać tak samo jak teraz.

– Czyli praktycznie nigdy.

Trzeba Jeffreyowi przyznać, że trafił w dziesiątkę.

– Nadal jesteśmy rodziną – powiedziałam. – Kochającą się rodziną. Oboje z Betsy jesteście dla nas najważniejsi, i to się nigdy nie zmieni. Zawsze możecie do nas przyjść ze wszystkim, choćby nie wiadomo co.

– Właśnie. Zawsze znajdziemy dla was czas, choćby nie wiadomo co. No, to wszystko jasne! – Ryan mówił jak człowiek, który kończy przeciągające się spotkanie. – To smutne, oczywiście, ale damy radę, prawda?

Wstał. Okrągły stół naszej rodziny najwyraźniej dobiegł końca.

– Więc... ach! – zwrócił się do mnie. – Pomożesz mi zebrać parę rzeczy?

Spakowałam mu do walizki na kółkach tyle ubrań, żeby mu wystarczyło na kilka dni. Wcześniej uzgodniliśmy, że w ciągu paru tygodni stopniowo będzie prznosił swoje rzeczy. Że unikniemy dramatycznego przybycia ciężarówki do przeprowadzek.

Gdy wyszedł, poczułam się niemal, jakby pojechał w podróż służbową i że nic się nie zmieniło, że nie będzie w naszym życiu trzęsienia ziemi.

Jeffrey poszedł prosto do łóżka. Słyszałam, jak płacze, ale kiedy do niego zapukałam, głosem zduszonym od łez krzyknął, że mam sobie pójść.

W końcu sama też się położyłam, lecz nie mogłam zasnąć.

W tym łóżku spędziłam wiele bezsennych nocy, gdy Ryan wyjeżdżał w delegacje. Teoretycznie dzisiejsza noc nie powinna się od tamtych różnić. Ale wszystko się zmieniło, a mnie przepełniał smutek. Przypomniałam sobie dziewczynę, którą byłam, gdy poznałam Ryana – miałam siedemnaście lat, tyle co dzisiaj Betsy. Należeliśmy do tej samej paczki, a chociaż ja miałam paru chłopaków, on zaś kilka dziewczyn, zawsze mi się podobał. Nie chodziło tylko o to, że był jakiś atrakcyjny fizycznie, był też utalentowany, a kiedy zaczął college plastyczny, sądziłam, że straciłam go na zawsze, bo teraz będą go interesować wyłącznie studentki.

Ale nic takiego się nie stało. Zachował kontakt ze starymi znajomymi, coś nas w końcu do siebie przyciągnęło, i oboje zakochaliśmy się mocno. Ten związek był inny niż pozostałe: był prawdziwy, poważny i dorosły.

Miałam fioła na jego punkcie, absolutnie oszalałam z miłości, a gdy sobie przypominałam, jak poważnie traktowałam swoją przysięgę małżeńską, płakałam i płakałam.

Około pierwszej w nocy zadzwonił mój telefon – Ryan.

- Jak się czujesz? – spytał.
- Smutno mi...
- Chciałem tylko coś sprawdzić – rzekł. – Kiedyś się kochaliśmy, prawda?
- Naprawdę się kochaliśmy.
- I nadal się jakby kochamy? Tylko że inaczej?
- Tak. – Łzy więzy mi w gardle. – Tylko że inaczej.

Rozłączyliśmy się i płakałam jeszcze bardziej.

- Mamo? – w drzwiach sypialni stanęła Betsy.

Przeszła cichutko do łóżka, położyła się obok mnie i przytuliła i gdzieś w środku nocy w końcu zasnęłam.

W e wtorek rano sprawdziłam umówione klientki – na pierwszą nikogo nie miałam.

– Mogę o pierwszej wyjść na lunch? – spytałam Karen.

– Zwariowałaś? O tej porze jest największy ruch.

– Okej – powiedziałam słabo. Zobaczymy.

Gdy czekałam na klientkę z dziesiątej, postanowiłam zrobić sobie pedikur. Z zapalem złuszczyłam stopy, a Karen przyglądała mi się spod zmrużonych powiek.

– Dużo pracy w to wkładasz. Nie zapomnij sobie tego wpisać.

– Jestem tak samo właścicielką tego salonu. Znam nasz system.

– Z tego wszystkiego będą same niedobre rzeczy, wiesz?

– Z czego?

– Z tego, co się dzieje między tobą a Mannixem Taylorem.

– Nic się nie dzieje.

– Straciłaś głowę. Rozstając się z Ryanem.

– Z Ryanem już dawno się wszystko skończyło.

– Do piątku było super. Dopóki nie usłyszałaś, że Mannix Taylor jest wolny.

– Jaki kolor powinnam sobie zrobić?

Cmoknęła z dezaprobatą i wyszła.

Do pierwszej piętnaście nie pojawiły się żadne nieumówione klientki, więc chwyciłam płaszcz i powiedziałam:

– Wychodzę. – Zbiegłam schodami, zanim zdążyła mnie zatrzymać. Zastanawiałam się, czy on ciągle czeka.

Kiedy go zobaczyłam na ławce, wpatzonego w morze, poczułam się, jakby mnie ktoś walnął w klatkę piersiową. Zabrakło mi powietrza jak w czasach, gdy miałam czternaście lat i szłam na pierwszą randkę. Czułam się okropnie.

Na odgłos moich kroków podniósł głowę. Widziałam, jak zalewa go poczucie ulgi.

– Przyszłaś – powiedział.

– Czekałeś – odparłam.

– Już i tak długo na ciebie czekam, to co mi zaszkodziło jeszcze jedno pół godziny.

– Nie mów takich rzeczy. – Przysiadłam na skraju ławki. – To zbyt... gładkie.

– Przyniosłem kanapki. – Wskazał brązową torbę. – Zagrajmy w grę.

Zaskoczeni spojrzeliśmy sobie w oczy. Oboje z trudem przełknęliśmy ślinę.

Odchrząknęłam i spytałam:

– Jaką grę?

– Jeśli trafiłem i przyniosłem twoją ulubioną kanapkę, spotkasz się ze mną jutro.

– Lubię z serem – powiedziałam ostrożnie. Bałam się, że wybrał dla mnie z kanapkę z indykiem i żurawinami, której nie cierpiałam najbardziej na świecie.

– Jakim serem?

– Każdym.

– Śmiało. Konkretniej.

– Z mozzarellą.

– Przyniosłem ci z mozzarellą i pomidorem.

– To moja ulubiona – przyznałam niemal ze strachem. – Skąd wiedziałeś?

– Bo cię znam – odrzekł. – Po prostu cię znam.

– Jezu Chryste – szepnęłam, zasłaniając ręką oczy. To było o wiele za trudne.

– No i – dodał z werwą – kupiłem osiem kanapek. Jedna musiała być w twoim guście... ale jeśli nawet dopilnowałem, że wyjdzie na moje, to nie znaczy, że się pomyliłem. Tak czy owak, musisz się jutro ze mną spotkać.

– Dlaczego? Czego ode mnie oczekujesz? – Czułam, że zaraz się rozplaczę. Pięć dni temu byłam szczęśliwą mężatką z wieloletnim stażem.

– Oczekuję... – spojrzał mi w oczy. – Ciebie. No wiesz... oczekuję, no... tego, co zwykle.

– Co zwykle!

– Chcę cię położyć na łożu usłanym płatkami róż. Chcę pokryć twoje ciało pocałunkami.

To mnie na chwilę uciszyło.

– To z jakiejś piosenki?

– Niewykluczone, że to Bon Jovi. Ale i tak tego właśnie bym chciał.

– A jeśli jesteś świrem, któremu podobam się tylko niema i sparaliżowana?

– Niedługo się przekonamy.

– A jeśli ja cię polubię? – Już było o wiele za późno na takie zastrzeżenia. – Spytam poważnie: często robisz takie rzeczy?

– Jakie? Czy się zakochuję w pacjentkach? Nie.

– A jesteś świrem?

– Nie wiem, czy to się liczy – odrzekł po dłuższej chwili – ale biorę antydepresanty.

– Na co?

– Na podagrę.

Roześmiał się, więc zgromiłam go wzrokiem.

– Mam depresję – powiedział. – Umiarkowaną depresję.

– To nie jest zabawne. Na pewno nie masz psychozy maniakalno-depresyjnej?

– Na pewno, tylko zwyczajną depresję. Taką jak wszyscy.

– Ja nie mam.

– I może dlatego cię lubię.

– Muszę wracać do pracy.

– Weź kanapkę dla siostry. Mam sześć za dużo. Śmiało. – Podetknął mi torbę, bym do niej zajrzała.

Rzeczywiście w środku leżało sześć kanapek. Wzięłam z wołowiną i chrzanem, i wsadziłam do torebki razem ze swoją, której jeszcze nie zjadłam.

– Do jutra – powiedział.

– Nieprawda.

W salonie Karen powitała mnie zgryźliwie:

– Jak tam Mannix Taylor?

– Przekazał dla ciebie prezent. – Uśmiechnęłam się triumfująco do jej złowrogiej twarzy i podałam jej kanapkę.

– Nie jadam węglowodanów.

– Ale gdybyś jadała, wołowina z chrzanem należałaby do twoich ulubionych pozycji.

– Skąd on wiedział? – Zainteresowała się mimowolnie.



– Cały Mannix. – Wzruszyłam ramionami na znak, że to nic wielkiego.

„Chce mnie położyć na łożu usłanym płatkami róż i pokryć moje ciało pocałunkami” – powiedziałam sobie. A w takim razie musiałam się wziąć do roboty. Potraktowałam swoje bikini laserem, a potem zafundowałam sobie półgodzinne męczarnie na maszynie do zwalczania cellulitu – na uda. I bezpośrednio po tym, łamiąc wszystkie przepisy bezpieczeństwa, zrobiłam sobie opaleniznę na całe ciało.

Środa była kolejnym jasnoniebieskim, bezdeszczowym dniem, zupełnie nietypowym dla Irlandii. Tylko że zimnym, potwornie zimnym. Ale ja tego nie czułam, chociaż miałam na sobie swój nieocieplany wyjściowy płaszcz, który nadawał się tylko na dystanse z samochodu do restauracji, na tyle długo, by każdy powiedział: „Boże, ale masz oszałamiający płaszcz!”.

Znowu spóźniłam się pół godziny, a jednak on czekał, na ławce, wpatrując się w morze.

– Mam dla ciebie kanapkę – powiedział.

Przyjęłam to bez entuzjazmu. I tak nie mogłam tej kanapki zjeść. Od poniedziałku w ogóle niewiele byłam w stanie jeść.

– Mogę cię spytać o parę rzeczy? Na przykład gdzie teraz mieszkasz?

– W Stepside. Wynajmuję mieszkanie. Georgie zatrzymała dom. Dopóki nie uporządkujemy... no wiesz, wszystkich kwestii prawnych.

– Gdzie ten dom?

– Na Leeson Street.

Niemal w centrum miasta. Nie na dalekich przedmieściach nieopodal Druids Glen, jak sobie wyobrażałam. Tyle szczegółów wsadziłam w życie, które dla niego zmyśliłam...

– Nikt inny w szpitalu nic do mnie nie mówił – uświadomiłam sobie. – Ty jeden traktowałeś mnie jak człowieka. – I nagle coś sobie przypomniałam. – A co u Rolanda?

– Dobrze sobie radzi. Pracuje. Spłaca długi. Nie kupuje dwunastu par butów naraz. Często o tobie wspomina.

Kochany Roland.

– Pozdrów go ode mnie.

Ale gdy sobie przypomniałam, jak bardzo byłam przerażona przez te długie tygodnie i miesiące pobytu w szpitalu, poczułam irracjonalny gniew na Mannixa.

– Byłam jak więzień, prawda?

Spojrzał zaskoczony, więc odpowiedziałam za niego:

– Prawda!

– Ale...

– A ty jak mój strażnik, dobry gliniarz, taki, co to wpycha kawałki chleba pod drzwi. – Mój gniew przybierał na sile. – Byłam bezbronna. A ty to wykorzystałeś. Chcę już iść.

Zerwałam się z ławki, on też, z niepokojem na twarzy.

– Jutro? – spytał.

– Nie, na pewno nie. Może. Nie wiem. – Ruszyłam pędem przed siebie i od razu ugrzęzłam w tłumie chudych, hałaśliwych chłopaków, którzy najpewniej urwali się na wagary.

W czwartek rano powiedziałam do Karen:

– Dzisiaj nie będę wychodzić.

– Dobrze – odparła z satysfakcją.

– Możesz sobie zrobić wolne, ja wszystko ogarnę.

– Nie wezmę wolnego, głupia. Paul Rolles umówił się na trzynastą na plecy i brazylijską.

- Zrobię to – oznajmiłam pogodnie.
- To mój klient – odparła Karen. – Jest porządny, zostawia wysoki napiwek i ufa mi.
- Daj mi go dzisiaj. Napiwek ci oddam.
- No dobra.

O trzynastej przyjął Paula, poprosiłam, żeby się rozebrał, żeby się położył na łóżku i zaczęłam mu woskować plecy, i gdy myślałam o Mannixie siedzącym na molo, czekającym z moją kanapką, byłam z siebie bardzo zadowolona, i ze swojej żelaznej woli też.

Prowadziłam z Paulem, kociarzem, relaksującą pogawędkę i robiłam te wszystkie automatyczne rzeczy, które zaliczają się do salonowych pogawędek: „No i?”, „Naprawdę?”, „Sama wspięła się na zasłonę?!”, „Boże, to niesamowite”, „Ona to musi być szalona”.

Ale myślami byłam gdzie indziej. Paul był wielkim facetem i chociaż pracowałam z prędkością wręcz kosmiczną, woskowanie trwało bardzo długo. Nakładałam stopiony wosk, potem przykładając pasek płótna, później go zdzierałam, i czułam się jak lina napinająca się coraz bardziej.

– A teraz proszę wypiąć pośladki, super. Zabieram się za rejon pomiędzy... – Wosk, pasek, szast. Wosk, pasek, szast. Woskpasekszast. Woskpasekszast.

O trzynastej pięćdziesiąt, gdy zbliżałam się do jąder Paula, od tyłu, moja napięta lina pękła.

– Bardzo cię przepraszam, Paul, ale muszę poprosić siostrę, żeby mnie zastąpiła i dokończyła pracę.

– Co...? – Paul, oparty na łokciach, z wypiętą pupą, sprawiał wrażenie bardzo urażonego.

– Karen?

Siedziała na swoim taborecie przy biurku.

– Karen – powtórzyłam wysokim trzęsącym się głosem. – Mogłabyś przyjść i dokończyć woskowanie Paula? Prawie wszystko zrobiłam oprócz... wiesz, został sam koniec. Przypomniałam sobie, że muszę wyskoczyć.

Jej oczy zapłonęły gniewem, ale nie mogła mnie zgromić przy kliencie.

– Oczywiście – odparła, nie poruszając ustami.

Ja już wkładałam płaszcz. Pędem pokonałam schody, a w biegu usiłowałam nałożyć błyszczki.

Dochodziła czternasta, a on ciągle siedział.

– No i? – spytał.

– No i jestem. – Westchnęłam i schowałam twarz w dłoniach. – Chciałam nie przyjść. Nie mogę pracować. Zaraz zwymiotuję. To straszne.

Kiwnął głową.

– Dla ciebie to nie jest straszne! – krzyknęłam.

– A jak sądzisz, jak się czuję, kiedy tak tu siedzę i myślę, że nie przyjdiesz?

– Nie wzbudzaj mojego poczucia winy!

– Przepraszam. Przepraszam. – Dotknął moich włosów i powiedział: – Bardzo ładne.

– Naprawdę? A tylko je umyłam i przejechałam na szczotkę.

– Przejechałam na szczotkę?

– Jestem kosmetyczką – rzuciłam wyzywająco. – Witaj w moim świecie.

– Spotkasz się z nim dzisiaj? – spytała Karen w piątek rano.

– Nic się nie dzieje – odparłam ostrożnie. – Siedzimy tylko i gadamy.

– Jak długo to może trwać?

– Wiecznie.

Ale nie mogło. Kiedy dotarłam do naszej ławki, Mannix spytał:

– Wierzysz w pogodę?

– Będziemy rozmawiać o pogodzie? – spytałam niemal pogardliwie. Ale spojrzałam w niebo – nadal było nietypowo błękitne i bezchmurne, jakby sam Bóg chciał zbliżyć nas z Mannixem do siebie.

– Pewnego dnia, już niedługo, będzie padać.

– I?

Pod wpływem jego znaczącego spojrzenia czym prędzej odsunęłam się na dalszą część ławki.

On natomiast się przysunął i chwycił mnie za nadgarstek.

– Będziemy musieli się spotkać w innym miejscu.

– I?

– Właśnie. I? I pomyśl o tym.

Spuściłam wzrok, a po chwili spojrzałam kątem oka na Mannixa. Miał na myśli łoże z płatkami róż i wszystko, co się z tym łączyło.

Nagle moją uwagę przyciągnęło coś zupełnie innego – zobaczyłam kogoś znajomego. Ale było to tak nieprawdopodobne, że z pewnością to sobie wyobraziłam. Spojrzałam jednak ponownie, i tak, to zdecydowanie był on: Jeffrey.

Przerażona patrzyłam mu w oczy.

– Po... powinieneś być w szkole – wydukałam.

Jeffrey spojrzał na Mannixa Taylora, na mnie, i krzyknął:

– A ty powinnaś być porządną mamą! Wszystko powiem!

– Niczego nie zrobiłam!

Jeffrey uciekł z obłędem w oczach, a ja powiedziałam do Mannixa:

– Muszę iść.

Pognałam za Jeffreyem, a on musiał mnie usłyszeć, bo zatrzymał się i odwrócił.

– Widzieli cię! – krzyknął. – Chłopaki z mojej klasy.

Jakie chłopaki? Nagle przypominałam sobie grupkę, na którą wpadłam tamtego dnia, i płakać mi się zachciało. Oni byli z klasy Jeffrey'a? Jakim cudem, kurwa mać? Z zamierającym sercem uświadomiłam sobie, że moje złe uczynki nie mogą przejść niezauważone.

Zalała mnie fala wstydu. Wstydu i żalu nad Jeffreyem.

– Kochanie, wybacz, proszę...

– Nie dotykaj mnie! Ty dziwko!

Rozpętało się piekło na ziemi. Do domu przybyła cała delegacja, żeby na mnie krzyczeć – Ryan, mama, tata, Karen i oczywiście Jeffrey. Nawet Betsy odwróciła się ode mnie. Istotą ich wyrzutów było to, że Ryan mnie wspierał w czasie długiej choroby, a ja mu odpłaciłam za lojalność, nawiązując romans ze swoim neurologiem.

Próby przypominania komukolwiek – nawet Ryanowi – że on już mnie nie kocha, spełzały na niczym. Nie opuścił mnie! Wytrwał. Taki namacalny wyczyn: wytrwał przy mnie. Wszyscy to widzieli – jak sobie ze wszystkim radzi, jak zaharowuje się na śmierć, zielony na twarzy z wyczerpania i zmartwień. I nie zapominajmy, że kupił tampony dla Betsy. Pomyśleć tylko! Mężczyzna! Kupił tampony! Dla córki!

– Okłamałaś mnie. – Ryan miał na twarzy ciemne rumieńce. – Ściemniałaś, że już się nie Kochamy.

– Nie Kochamy się.

– Ale cały czas kogoś miałaś.

– Nie miałam.

– Jeffrey was widział.

Upewniłam się, czy w zasięgu głosu nie ma dzieci.

– Do niczego nie doszło – szepnęłam.

– Jeszcze! – krzyknęła Karen. – Jeszcze do niczego nie doszło!

Z góry dobiegły głuchoe odgłosy. Byli tam Jeffrey i Betsy – co oni wyprawiali, na Boga?!

– Nie żyjemy się z tym Taylorem – powiedziała mama.

– Nie musicie!

– Lubimy się pośmiać z ludzi – dodał tata. – Możemy się śmiać z naszego Ryana, bez obrazy, synu, cały czas się z ciebie nabijamy. I z Endy, chociaż to gliniarz, ale jest na swój sposób komiczny. Ale ten Taylor to inna sprawa. On ma... *gravitas*.

– To to samo, co *cojones*? – spytała mama cicho.

– Nie – odparł tata rozdrażniony. – *Cojones* to coś innego.

– No ale *cojones* też ma – włączył się Ryan. – Podrywał moją chorą żonę. Moją sparaliżowaną żonę!

– Nie podrywał!

– Problem w tym – wyjaśniła mama z niepokojem – że musielibyśmy zaprosić go do domu. A nasz dom jest za mały!

– Na co? – spytałam. – Co zamierzacie z nim robić? Tańczyć?

– Omawialiśmy to z mamą – powiedział tata. – Jedyne sposob, żeby go nie zaprosić, to spalić dom.

– Mieszkacie w szeregowcu – odezwał się Jeffrey, mijając ich z walizką na kółkach. – Nie możecie tego zrobić sąsiadom. Tato, samochód jest otwarty?

– Masz pilota – Ryan podał Jeffreyowi kluczyki.

Na dół zeszła Betsy. Też z walizką.

– Co się dzieje?! – krzyknęłam.

– Zamieszkamy z tatą – powiedziała Betsy. – Odchodzimy od ciebie.

I wyszli. Wszyscy, co do jednego. Zostawili mnie samą.

Całkiem samą i zdenerwowaną, i skołowaną, i zawstydzoną, i bezczelną.

...całkiem samą z gładkimi, wypeelingowanymi stopami. I łysym bikini. I lśniąca złotą opalenizną.

Nie zrobiłam nic złego, a jednak wszyscy mnie osądzali. Czybym to zrobiła, czy nie, i tak byłabym przeklęta.

Więc równie dobrze mogłam to zrobić.

– Mannix, chcę się z tobą zobaczyć.

– Dobra. Gdzie? Chcesz iść na drinka?

– Nie. – Przetrzęsałam szufladę z bielizną. – Mam dość tych bzdur.

– Jakich bzdur dokładnie?

– Daj spokój.

– Dobra. Ja też mam dosyć tych bzdur.

Włożyłam bieliznę, którą kupiłam na Randkową Noc z Ryanem. Pal diabli sentymenty, skoro była to moja jedyna seksowna bielizna. Nasmarowałam ciało balsamem z połyskiem i wsunęłam stopy w buty na wysokich obcasach. Obejrzałam się w wysokim lustrze. Właśnie. Mam dwójkę dzieci, z Ryanem żyłam od lat i parę rzeczy zaniedbałam. Miałam trzydzieści dziewięć lat, a nawet w najlepszych czasach daleko mi było do modelki.

Pożałowałam mocno, że przez ostatnie dwadzieścia lat nie ćwiczyłam pilatesu. Jezu, czy to naprawdę byłoby takie trudne? Śmieszne pół godziny dziennie załatwiłoby sprawę. A jednak mi się nie chciało, i teraz przyszło mi za to zapłacić.

Postanowiłam mimo wszystko nie zadrećcać się swoim brzuchem, wiekiem i zaprzepaszczonej szansami na bycie drugą Elle Macpherson. Mannix widział mnie z rurkami wychodzącymi z większości moich otworów, więc cokolwiek zaprezentuję mu dzisiaj, i tak wypadnie lepiej.

Włożyłam niebieską sukienkę od Vivienne Westwood. Sięgała mi za kolana i miała korzystne drapowania na brzuchu – wiedziałam, że Karen ma mnie za wariatkę, ale ta sukienka była warta swojej ceny.

Decyzja, czy włożyć pończochy, czy rajstopy, mało mnie nie przyprawiła o kolejny ból głowy. Ostatecznie postanowiłam obyć się i bez jednych, i bez drugich. Szybko, jakby to nie było nic znaczącego, ściągnęłam z palca obrączkę i pierścionek zaręczynowy i upuściłam je do szuflady, a potem, zanim się rozmyśliłam, zbiegłam po schodach i wypadłam na zimną noc.

Sąsiadka, która nigdy mnie nie lubiła, stała w ogródku przed domem, w ciemności.

– Co się dzieje? – spytała. Musiała widzieć wcześniejszą akcję, gdy Betsy i Jeffrey wychodzili z walizkami. – Muszę pani powiedzieć, Stello, że ma pani ubrania całkowicie nieodpowiednie na tę pogodę.

– Nie szkodzi – odparłam, otwierając drzwi samochodu. – Niedługo je zdejmę.

Mieszkanie Mannixa znajdowało się na drugim piętrze wielkiego nowego budynku. Musiałam przejść okrutnie oświetlonym surowym korytarzem, w swoich potwornych butach, całe chyba kilometry.

Wreszcie stanęłam pod 228. Zapukałam w nijakie drzwi z płyty MDF, a Mannix natychmiast otworzył. Miał na sobie luźną koszulę, sprane dżinsy. I miał potargane włosy.

– Czuję się jak prostytutka – powiedziałam. – I to nie w pozytywnym sensie.

– A jest taki sens? – Podał mi lampkę wina i zamknął za mną drzwi.

Obejrzałam się niespokojnie.

– Czuję się jak w pułapce, a ty?

– Ja...

– Karen uważa, że jest coś takiego jak pozytywny sens, jeśli chodzi o prostytutkę. – Nie mogłam przestać mówić. – W znaczeniu odgrywania ról, rozumiesz?

– A co powiesz, żebyśmy dzisiaj byli sobą? – Wziął mnie za rękę, by poprowadzić mnie dalej. – Nie zdążyłem załatwić płatków róż. Nie spodziewałem się...

– Zapomnij o płatkach. – Przełknęłam ogromny łyk wina. – Gdzie jest sypialnia?

– Szybka jesteś.

– Nie. Jestem przerażona. Jestem przerażona jak diabli. – Mówiłam coraz szybciej. – Minęło dwadzieścia lat, odkąd robiłam to z kimś innym. To dla mnie wielka sprawa. Niewiele brakuje, a wpadnę w histerię.

Stojąc w korytarzu, zerknęłam do kuchni, łazienki i do salonu. Wszystko urządzone bezbarwnie i nijako. Pustka i niedokończenie – jakby Mannixowi nie chciało się do końca wprowadzać.

– To sypialnia? – Niepewnie pchnęłam drzwi.

Mannix zerknął na łóżko, zupełnie anonimowe, przykryte białą narzutą.

– Tak.

– Za jasno tutaj. O co chodzi ze światłami? Jest przyciemniacz?

– Nie... Słuchaj, Stello, chodź, usiądziemy w salonie. Uspokoisz się.

– Będziemy musieli to zrobić po ciemku.

Pokręcił głową.

– Ja nie robię tego po ciemku.

– Masz lampkę? Przynieś lampkę. Musi być lampka. – Wcześniej zauważyłam lampkę w salonie. – Tam jest jedna. Przynieś ją. Idź po nią.

Wyciągnął wtyczkę z gniazdka i przeniósł lampę do sypialni, a ja stałam w korytarzu, pijąc wino i postukując stopą. Gdy Mannix włączył lampkę, a wyłączył górne światło, sypialnię spowiło różowe, wyrozumiące światło.

– Tak lepiej. – Podałam mu swój pusty kieliszek. – Masz jeszcze?

– Tak, oczywiście. Tylko... – Poszedł do kuchni, a kiedy wrócił, ja siedziałam w sypialni, nerwowo przycupnąwszy na skraju łóżka.

Podał mi kieliszek.

– Jesteś pewna? – spytał.

– A ty?

– Tak.

– No to do dzieła. – Łyknęłam haust wina. – A swoją drogą – powiedziałam, kładąc się na łóżku, wciąż w szpilkach – nie piję dużo. Nie pozwól mi się upić.

– Dobra. – Wyjął kieliszek z mojej dłoni i postawił go na podłodze. Szybko sięgnęłam po niego i wychyliłam kolejny haust, a potem podałam mu kieliszek i z powrotem się położyłam. – Pierwszy raz musi być najgorszy. – Spojrzałam na niego pokrzepiająco. – Prawda?

– To nie znaczy, że ma być niemiły.

– Wiem, wiem. Nie to miałam na myśli. Po prostu... musisz być taki, jak byłeś w szpitalu.

– I to ty się martwiłaś, że podobałaś mi się tylko niema i sparaliżowana?

– Chodzi mi o to, że musisz przejąć kontrolę.

– Chcesz, żebym przejął kontrolę? – spytał łagodnie.

Kiwnęłam głową.

Zaczął powoli rozpinać koszulę.

– Tak na przykład?

Jezus Maria. Mannix Taylor rozpinał przede mną koszulę. Miałam uprawiać seks z Mannixem Taylorem.

Zrzucił koszulę przy wtórze szelestu materiału, a ja wyciągnęłam rękę i dotknęłam jego skóry, sunąc dłonią od szyi do obojczyka.

– Masz mięśnie – zauważyłam z zachwytem. I miał twarde mięśnie klatki piersiowej, i godny pozazdroszczenia płaski brzuch.

Chciałam rozładować atmosferę, rzucając komentarz w stylu „Nieźle jak na czterdziestoparolatka”. Ale nie mogłam mówić.

– A teraz ty – rzekł, zdejmując mi buty.

– Nie – powstrzymałam go zdenerwowana. – Buty muszą zostać. Optycznie wydłużają nogi.

– Ćśś. – Ujął moją prawą stopę, położył sobie na kolanach i kciukami ucisnął sklepienie. Chwilę trzymał je nieruchomo, powodując uciskiem przyjemny ból, a potem zaczął sunąć dłońmi wzdłuż stopy, rozciągając ścięgna. Zamknęłam oczy. Przeszedł mnie dreszcz.

– Pamiętasz to? – usłyszałam.

Pamiętałam – jedyny raz, gdy jako mój lekarz zajmował się moimi stopami. Tamtego dnia dawno temu wydarzyło się między nami coś wielkiego, a on już nigdy tego nie powtórzył.

Gdy tak naciskał i ugniatał, zaczęły mi drżeć usta, stwardniały sutki.

Paznokciem kciuka rozkosznie szczypał koniuszek wielkiego palca. Te ruchy były maleńkimi kąskami rozkoszy. Swój środkowy palec przyłożył do punktu pomiędzy pierwszym a drugim palcem mojej stopy i poruszał nim, aż tamte się rozchyliły, po czym wsunął się w to miejsce, a ja poczułam falę pożądania.

Gwałtownie otworzyłam oczy. Mannix patrzył na mnie.

– Wiedziałem – rzekł. – Też to poczułaś? Tamtego dnia?

Kiwnęłam głową.

– Jezu Chryste – wyszeptałam. Byłam cała rozpalona, a nawet się jeszcze nie pocałowaliśmy.

I wtedy to zrobiliśmy. Ugięłam prawą nogę, sięgnęłam po niego i przyciągnęłam do siebie i całowaliśmy się długo. Drugą stopę nadal miałam na jego kolanach, przyciśniętą teraz do czegoś bardzo twardego. Przycisnęłam stopę jeszcze mocniej, a on gwałtownie wciągnął powietrze.

– Czy to...? – spytałam.

Kiwnął głową.

– Pokaż mi go – poprosiłam.

Wstał. Rozpiął guzik u paska i powoli rozpiął rozporek, z którego wyskoczył jego naprężony członek.

Stanął przede mną nagi, bez cienia wstydu.

– A teraz ja chcę popatrzeć – rzekł.

Zaczęłam podsuwać sukienkę do góry.

– Na pewno nie możemy wyłączyć światła?

– Och, jeszcze nigdy nie byłem tak pewien, że nie. – Oczy mu płonęły. – Tak długo na to czekałem.

Gdy wydostałam się z sukienki, on patrzył na mnie jak jastrząb. Na jego twarzy widziałam taki bezwstyd i taki zachwyty, i uśmiechał się kącikiem ust tak podniecająco, że zanim zdjęłam stanik, zapomniałam o całym skrupowaniu.

Mówił, że chce moje ciało pokryć pocałunkami, i tak właśnie zrobił. Każdą część – szyję, piersi, tył kolan, wewnątrz nadgarstków i to najważniejsze miejsce. Wszystkie nerwy mojego ciała pracowały. Przez głowę przemknęła mi myśl, że jestem jak tablica świetlna w filmie *Jerry Maguire*.

– Czas na gumkę – wyszeptałam.

– Dobrze – owionął mi ucho gorącym oddechem.

Wprawnie założył prezerwatywę i gdy tylko we mnie wszedł, wyprężyłam się w orgazmie. Zaciśnęłam palce na jego pośladkach, przylgnęłam mocno do niego, niemal nieprzytomna od intensywności rozkoszy. Już zapomniałam, jak cudowny może być seks.

– O Boże – wykrztusiłam. – O mój Boże.

– To dopiero początek – rzekł.

Zwolnił do tempa rozkosznej udręki. Opierał się na ramionach, uważnie wsuwając się we mnie i wysuwając, i obserwował mnie tymi swoimi szarymi oczami.

Podziwiałam jego samokontrolę. To nie był mężczyzna, który by żył bez seksu przez kilka miesięcy. Ale teraz nie chciałam o tym myśleć.

Nie odrywając ode mnie wzroku, poruszał się we mnie, aż doprowadził mnie na kolejny szczyt, jeszcze silniejszy niż pierwszy. I jeszcze raz, i jeszcze.

– Już nie mogę – wydyszałam złana potem. – Chyba zaraz umrę.

Przyspieszył, poruszał się coraz szybciej, aż wreszcie, z jękiem, zadał ostatnie pchnięcie i doszedł.

Leżał nade mną, aż odzyskał normalny oddech, po czym położył się obok i objął mnie, tuląc sobie do piersi moją głowę. I natychmiast zasnął. Leżałam nieruchomo, oszołomiona zachwytem. Ja i Mannix Taylor, razem w łóżku. Kto by pomyślał?

Obudził się po półgodzinie, wciąż cudownie senny.

– Stello – spytał zdumiony. – Stello Sweeney? – Ziewnął. – Która godzina?

Na podłodze stał budzik.

– Minęła północ – powiedziałam.

– Mam zadzwonić po taksówkę?

– Co? – wyskoczyłam z łóżka.

– Myślałem... że chcesz jechać do domu.

Chwyciłam but i rzuciłam w niego.

– Jezu! – jęknął.

W nerwach zabrałam swój but, sięgnęłam po drugi i zażenowana włożyłam majtki, a potem sukienkę. Stanik wepchnęłam do torebki.

– Myślałem, że musisz wracać do dzieci... – powiedział.

– Świetnie. – Otworzyłam drzwi wejściowe, z butami w rękę. Ani mi się śniło zakładać znowu tego narzędzia tortur.

Ciągle czekałam, aż mnie zatrzyma, ale nie zatrzymał, i gdy tak podążałam anonimowym, oświetlonym



sodowym światłem korytarzem do wind, rzeczywiście czułam się jak prostytutka.

Wyciągnęłam z torebki telefon i prawie we łzach zadzwoniłam do Zoe.

– Śpisz? – spytałam.

– Nie. Dzieci są u Brendana i tej jego suki, a ja siedzę z zestawem filmów i butelką wina.

Dwadzieścia minut później stanęłam u jej drzwi.

Wzięła mnie w ramiona.

– Stello, twoje małżeństwo się rozpadło, powinnaś się czuć zagubiona i...

Uwolniłam się z jej objęć.

– Zoe, możesz mi powiedzieć, jakie dzisiaj obowiązują zasady na randkach?

– Te same co zawsze. On cię puknie, a potem już nie zadzwoni.

Cholera.

– Ale jeszcze nie musisz się tym martwić, dopiero co podjęliście decyzję. No wiesz, może jeszcze zmienicie zdanie...

Kręciłam głową.

– Nie, nie. Znasz Mannixa Taylora?

– Tego lekarza?

– W poniedziałek przyszedł do mnie do pracy.

– W ostatni poniedziałek? W ten pięć dni temu? A ty mi nic nie powiedziałaś?

– Przepraszam, to wszystko było takie pokręcone...

Szybko dodała dwa do dwóch.

– I dałaś mu się zerznąć? Dzisiaj? O mój Boże...

– A potem, już po wszystkim... on spytał, czy ma mi zamówić taksówkę.

Patrzyła na mnie ze współczuciem.

– Przykro mi, Stello, faceci tacy właśnie są. Za długo cię nie było w tej grze. Skąd miałaś wiedzieć.

Zadzwoniła moja komórka. Spojrzałam na ekran.

– To on.

– Nie odbieraj. Chce cię znowu zerznąć.

– Tak szybko?

– To jeden z tych, co daje radę cztery razy w ciągu nocy. Pan Sukces. Samiec alfa. Wyłącz telefon.

Błagam, Stello.

– Dobra.

Zoe usilnie się starała, ale nie zdołała mnie za bardzo pocieszyć, więc pojechałam do swojego pustego domu i stawiałam czoło faktom: moje małżeństwo się rozpadło, dzieci przeszły traumę i teraz wszyscy mnie nienawidzili. Czyli realizował się scenariusz z moich największych koszmarów. To nie trwało nawet trzy tygodnie. Raptem jedną noc.

Wiedziałam w głębi duszy, że Mannix mnie upokorzy. Wszyscy to wiedzieli, dlatego byli mu niechętni.

Ze znużeniem zastanawiałam się nad sobą i Ryanem. Czy mogliśmy naprawić nasz związek i być dalej ze sobą? Nie było to złe życie; on nie był złym człowiekiem, tylko że samolubnym, no i miał obsesję na swoim punkcie. No i jeszcze ten drobiazg, że już ani trochę go nie kręciłam. Nawet jeśli jeszcze dzisiaj byłam w stanie choć trochę sobie coś wmawiać, seks z Mannixem na zawsze skreślił seks z Ryanem.

No ale z kolei w małżeństwie chodziło nie tylko o seks. I może gdybym nakłoniła Ryana, by założył lateksową maskę z twarzą Mannixa...

Przez te wszystkie rozmyślenia przez większość nocy nie spałam. Minęła chyba szósta, gdy wreszcie przeniosłam się w dziwne, niespokojnie śnienie, a obudziłam się o dziewiątej. Natychmiast włączyłam

telefon, zresztą dłużej nie mogłam sobie pozwolić na życie z wyłączonym. No i miałam słuszny powód: a nuż dzieci musiałyby się ze mną skontaktować.

Żadne z nich jednak nie dzwoniło, natomiast osiem razy dzwonił Mannix. Zoe skasowałaby takie wiadomości, zanimbym je odsłuchiwała, ale mojej przyjaciółki tu nie było.

„Stello... – W pierwszej wiadomości Mannix miał głos wzruszająco skruszony. – Źle to ująłem. Masz dzieci i chciałem ci dać do zrozumienia, że to jest dla mnie okej. Skontaktuj się ze mną, proszę”.

Drużna wiadomość:

„Naprawdę mi przykro. Możemy o tym porozmawiać? Zadzwoń do mnie?”.

Trzecia wiadomość:

„Dałem cię. Bardzo cię przepraszam. Zadzwoń, proszę”.

I następna:

„Znowu ja. Trochę się już czuję jak stalker”.

I:

„Przykro mi, że tak fatalnie się to potoczyło. Wiesz przecież, że nie tego chciałem”.

Ostatnie trzy razy rozłączył się, nie zostawiając wiadomości. Po raz ostatni dzwonił siedem godzin temu. Czułam, że już nie zadzwoni. Nie należał do tych, co by się płaszczyli. Zrobił, co należało, zdecydował. Nagle mój telefon zadzwonił, a mnie mało serce nie wyskoczyło z piersi.

Dzwoniła Karen.

– Rozmawiałam z Zoe – powiedziała. – Wiem, co się stało.

– Dzwonisz potriumfować.

– Nie, potriumfować nie. Ale, Stello, weź się w garść. On nie jest dla ciebie. Ten człowiek ożenił się kiedyś z Georgie Dawson. Georgie Dawson! Kumas? W porównaniu z nią jesteś... no wiesz. – Z powagą dodała: – Nie chcę ci umniejszać, ale ona się zna na sztuce i w ogóle. Pewnie mówi po włosku. Pewnie faszeruje przepiórki. A ty co umiesz robić? Oprócz woskowania bobrów?

– Czytam książki – rzuciłam ostro.

– Tylko dlatego, że tata cię zmusza. Sama z siebie byś nie czytała. Georgie Dawson by czytała.

Westchnęła.

– Podsumowując, Stello: spieprzyłaś wszystko konkursowo. Rozmawiałam z Ryanem i on nie chce cię przyjąć z powrotem...

Ależ ona miała tupet!

– Masz przecież Zoe, co nie? Razem możecie się pocieszać. Dajcie sobie na luz. Chodźcie w butach na płaskim obcasie. Zapuśćcie sobie brzuchy. Pomyśl, ile możesz zjeść ciastek... – Przez chwilę słyszałam w jej głosie tęsknotę. – I jeszcze jedno – była bardzo szczerą – wiem, że dzieci cię teraz nienawidzą, ale kiedyś ci wybaczą. Bo wiesz – dodała – kto by wytrzymał z Ryanem na pełny etat. Prawda?

Rozłączyła się, a ja zadzwoniłam do Betsy. Po dwóch sygnałach połączyłam się z jej pocztą głosową – rzuciła mnie. Zadzwoiłam do Jeffreya – z tym samym skutkiem. To bolało.

Przemogłam się i zadzwoniłam do obojga raz jeszcze, i łamiącym się głosem zostawiłam beznadziejne wiadomości. „Przepraszam za to całe zamieszanie, które wywołałam. Ale dniem i nocą czekam na was, choćby nie wiem co”.

Później postanowiłam nastawić pranie, lecz gdy zajrzałam do kosza, stwierdziłam, że jest prawie pusty – zostały w nim tylko moje ubrania. Dzieci i Ryan zabrali ze sobą swoje brudne rzeczy. Wstrząśnięta stwierdziłam, że nie mam co robić. Nigdy tak nie było, żeby nie miała co robić. Ale teraz nie miałam prania ani prasowania, nie musiałam wozić Betsy i Jeffreya na ich rozmaite weekendowe zajęcia. W normalnych okolicznościach toczyłam nieustanną bitwę, by ogarnąć niebotyczną górę zadań, które należało codziennie wykonać. Bez Ryana i dzieci moje życie wydawało się pozbawione rusztowania.

Wróciłam na dół, położyłam się na kanapie i rozmyślałam. Jak to ujęła Karen, naprawdę spieprzyłam wszystko konkursowo.

Ale może w szerszym ujęciu wszystko, co się wydarzyło, miało się wydarzyć. Może Mannix Taylor zadziałał po prostu jak katalizator, odgórna siła, która miała mi pokazać, że nie kocham już Ryana. Czasami coś się rozpadało, by coś innego się skleciło – tak powiedziała Marilyn Monroe. No ale jak ona skończyła...

I może marnowałam czas, szukając sensu tego wszystkiego: niektóre rzeczy wydarzają się bez powodu, po prostu się wydarzają.

Kiedy miałam tyle czasu dla siebie, włókł się on w nieskończoność. Przypomni mi się okres spędzony w szpitalu, gdy moje myśli biegały w kółko po głowie, niczym rozszalałe szczury.

W pewnym momencie zadzwoniłam do Zoe, a ona odebrała po pierwszym sygnale.

– Nie dzwoniłaś do niego?

– Nie.

– Posłuchaj mnie: żadnego podwożenia, esemesowania, sypiania, dzwonienia i tweetowania. Nie możesz dać się upić. Wtedy jesteś najsłabsza.

Nie było mowy, by którakolwiek z tych rzeczy się wydarzyła. Miałam dumę, dużo dumy.

Dzień się skończył i zrobiło się ciemno, gdy rozległ się dzwonek u drzwi. Przez dłuższą chwilę kuśiło mnie, by nie ruszać się z kanapy i nie otwierać, ale zadzwonił raz jeszcze. Niechętnie wstałam, a gdy na progu ujrzałam swoich rodziców, nawet nie ukrywałam rozczarowania.

– „Nie pytaj, komu bije dzwon – powiedział mój tata – bije on tobie”.

– Przywieźliśmy bajgle – dodała mama.

– Bajgle?

– Czy nie tak robią w filmach, jak chcą okazać komuś troskę?

– Dziękuję. – I ku własnemu zdumieniu wybuchnęłam płaczem.

– Oj, daj spokój, no już. – Tata objął mnie ramieniem. – Już dobrze, dobrze.

– Chodźmy do kuchni. – Mama włączyła światła i ruszyła korytarzem. – Zrobimy herbatę i bajgle.

– Jak to się je? – spytał tata.

– Trzeba je wrzucić do tosteru – odparła mama. – Prawda, Stello?

– Nie trzeba. – Oddarłam dwa kawałki ręcznika papierowego i wysmarkałam się w nie.

– Ale tak będą fajniejsze. Oczywiście, że będą. Ciepłe są zawsze fajniejsze. Przyszliśmy cię przeprosić, Stello. Ja cię przepraszam, tata cię przeprasza, oboje cię przepraszamy.

Tata stał nad tosterem.

– Są za grube. Nie wejdą do środka.

– Musisz je najpierw przekroić – powiedziała mama. – Na pół.

– Masz tu jakiś nóż?

– W szufladzie – wydusiłam przez łyzy.

– Jestem po twojej stronie – podjęła mama. – Tata też. Tylko że się przestraszyliśmy. Wszyscy się przestraszyliśmy.

– To był szok – dodał tata, wtykając bajgle do tosteru. – I zawiedliśmy cię. Matka cię zawiodła.

– I ojciec cię zawiodł.

– I obojgu nam przykro.

– Wszystko będzie dobrze – mówiła mama. – Dzieci sobie poradzą. I Ryan sobie poradzi.

– W swoim czasie wszystko się ułoży.

– Mannix Taylor jest twoim chłopakiem? – spytała mama.

– Nie. – Z tostery zaczęła się unosić cienka smuga złowieszczonego czarnego dymu

– Zejdziecie się z Ryanem?

– Nie. – Dym zaczął gęstnieć.

– Bez względu na wszystko, kochamy cię.

Powietrze wypełnił wysoki, przenikliwy dźwięk – uruchomił się alarm przeciwpożarowy.

– Jesteśmy twoimi rodzicami – powiedziała mama.

– I chyba zepsuliśmy ci toster, ale cię kochamy.

Pomimo zaproszeń od Zoe, Karen, rodziców niedzielę spędziłam sama. Uznałam, że trzeba posprzątać dom – porządnie posprzątać, tak jak nie był sprzątny od dziesięciu lat – i z ulgą zabrałam się do pracy. Gorliwie wyszorowałam kuchenne szafki i piekarnik, a potem fugi w łazience, i to z taką werwą, że skóra na kłykciach najpierw mi poczerwieniała, a potem popękała. Pomimo bólu dalej szorowałam, a im bardziej bolały mnie zdarte dłonie, tym lepiej się czułam.

Wiedziałam, w czym rzecz: to trochę tak, jakbym wzięła druciak i sama się wyszorowała.

O dziewiętnastej z minutami zadzwoniła Betsy. Natychmiast odebrałam.

– Kochanie?

– Mamo, nie ma na rano czystych rzeczy do szkoły.

– Dlaczego?

– ...no właśnie nie wiem.

Gorączkowo szukając rozwiązania, spytałam:

– Czy to dlatego, że nikt ich nie uprał?

– Pewnie tak.

– Więc upierzcie jakieś.

– Nie wiem, jak uruchomić pralkę.

– Spytaj tatę.

– Tata też nie wie. Mówi, że mam spytać ciebie.

– Doprawdy? Daj mi go do telefonu.

– On mówi, że już nigdy się do ciebie nie odezwie. Możesz tu przyjechać i nastawić pranie?

– Okej. – No bo co mi szkodziło, co innego mogłam zrobić?

Piętnaście minut później Betsy otworzyła mi drzwi. Zdenerwowana weszłam do środka, szykując się na konfrontację z gniewem Jeffreya i Ryana.

– Oni wyszli – powiedziała moja córka. – Mam po nich zadzwonić, jak wyjdiesz.

Przełknęłam ból.

– Dobra. Chodźmy do pralni, wszystko ci pokażę.

W ciągu trzydziestu sekund Betsy opanowała uruchamianie pralki i suszarki, takich samych jak u nas w domu.

– To naprawdę takie proste? – spytała podejrzliwie. – Ha. No kto by pomyślał?

Coś mi przyszło do głowy.

– Skoro żadne z was nie umie zrobić prania, jak sobie radziliście przez cały mój pobyt w szpitalu?

Betsy się zastanowiła.

– Pewnie ciocia Karen robiła pranie, i babcia, i ciocia Zoe.

Ale to Ryan miał zasługi. A teraz luki w jego umiejętnościach wyszły na jaw... I jakaś haniebna mała część mojej duszy się cieszyła. Może Jeffrey i Betsy zauważą, że są ze mnie jakieś pożytki.

– No to lepiej już idź, mammo.

– Oczywiście. – Po czym rzuciłam się na nią i rozpłakałam się, mówiąc w kółko: „Przepraszam, przepraszam”. – Zadzwoń do mnie, jak będziesz czegoś potrzebować, dobra? Obiecujesz?

Wsiadałam do samochodu i ruszyłam do domu, a w świetle latarni zobaczyłam Ryana i Jeffrey'a stojących na rogu ulicy ze złowrogimi twarzami. Wiedziałam, że fantazjuję, wiedziałam, że tak naprawdę nie dzierżą w dłoniach wideł ani nie potrzęsają pięściami na mój widok, ale czułam się, jakby to właśnie robili.

**W** poniedziałkowy rano obudziłam się w spowitym ciszą domu. Brakowało mi hałasu i krzątania normalnego poranka, zawożenia Betsy i Jeffreya do szkoły, szykowania się do pracy. Ale nic nie mogłam zrobić. Mogłam tylko przeczekać.

Wzięłam do ręki telefon i spojrzałam na wyświetlacz. Nic. Żadnych nieodebranych połączeń, żadnych esemesów, nic. Mimowolnie pomyślałam, że Mannix mógł się starać trochę bardziej.

Z ulgą ruszyłam do pracy i po raz pierwszy dotarłam na miejsce przed Karen.

– Jezu! – aż podskoczyła na mój widok. – Szybka jesteś!

– Cała ja.

– Ta przesyłka ze SkinTastic lepiej niech dzisiaj już dotrze – powiedziała i nim wybrzmiały jej słowa, zadzwonił domofon. – No i proszę. Idę! – Pognała na dół schodami. Karen nigdy nie zapłaciła za żadną kartę członkowską na siłownię, ale zachowywała figurę, bo ciągle była w ruchu. Siedzenie na miejscu dłużej niż siedem minut uważała za przejaw słabości charakteru.

Wróciła, dysząc i sapiąc, z wielkim kartonem w ramionach.

– Oż kurna! – Uginała się pod jego ciężarem. – Leniwy pieprzony kurier zdążył spłynąć. Zostawił to pod drzwiami, a waży to chyba tonę.

Rzuciła ciężar na biurko i natarła na taśmę klejącą nożem tapicerskim. Czekałam na litanie narzekań, która zwykle następowała po każdej dostawie – zdaniem Karen dostawcy zawsze przysyłali niewłaściwe ilości niewłaściwych produktów. Byli to kretyni, idioci, tępaki i głupki.

– Co to jest, do cholery? – spytała.

Najwyraźniej i tym razem ktoś coś źle pojął. Już się bałam o skórę sprzedawcy, na którego spadną gromy.

– Patrz, Stello! – Karen trzymała w ręku książkę, niewielką, w twardej oprawie. Wyglądała jak książeczka do nabożeństwa albo tomik poezji. Okładkę przyozdobiono różano-złotymi i brązowymi zawijasami. Była piękna i wyglądała na drogą.

– Pełno ich tutaj, wszystkie takie same. – Przeliczyła szybko. – Chyba pięćdziesiąt sztuk. Musiały tu trafić przez pomyłkę. Ale paczka jest zaadresowana do ciebie.

Wzięłam do ręki jeden z tomików i zajrzałam do środka. Papier był gruby i lśniący, a na środku strony, wypisane pięknymi zawijasami, widniały słowa:

***Oddałabym dziesięć lat życia, żeby móc sobie chociaż włożyć skarpetki.***

– Co to jest? – spytałam.

Na następnej stronie przeczytałam:

***Zamiast myśleć „Dlaczego ja?” myślę „A dlaczego by nie?”.***

Zerknęłam na okładkę, co powinnam była zrobić w pierwszej kolejności. Książka nosiła tytuł *Mozolne mrugnięcia powieką*, a napisała ją jakaś Stella Sweeney.

– Ja? – spytałam zdziwiona. – Ja to napisałam? Kiedy?

- Co takiego? Napisałaś książkę? I nic nie powiedziałas?
- Ale to nie ja. Nie napisałam książki. Zerknijmy na przód, może tam jest jakaś informacja.
- Jest wstęp.

Przeczytałyśmy go razem:

Drugiego września 2010 roku Stella Sweeney, matka dwójki dzieci, trafiła do szpitala z objawami szybko postępującego paralizu. Zdiagnozowano u niej zespół Guillaina-Barrégo, rzadką chorobę autoimmunologiczną, która atakuje centralny układ nerwowy. Gdy wszystkie grupy mięśni w jej ciele, w tym mięśnie oddechowe, przestały działać, była bliska śmierci.

Tracheotomia i respirator ocaliły jej życie. Niemniej jednak przez wiele miesięcy komunikowała się ze światem jedynie za pomocą mrugania powiekami. Była samotna, przerażona, często doświadczała ostrego bólu fizycznego. Ale nigdy nie użalała się nad sobą, nigdy nie pozwoliła sobie na gniew, przez cały okres spędzony w szpitalu zachowała postawę optymistyczną, niezłomną, wręcz inspirującą. Ta książeczka to zbiór niektórych mądrości, które przekazała ze swojego nieczynnego ciała mozolnymi mrugnięciami powieką.

- Jezu! – prychnęła Karen niemal wzdorliwie. – To o tobie? Wychodzisz na jakąś Matkę Teresę!
- Kto to zrobił? – Przeglądałam kolejne strony, w najwyższym zdumieniu czytając słowa, które podobno sama wypowiedziałam.

***Kiedy ziewnięcie nie jest ziewnięciem?  
Wtedy gdy jest cudem.***

Coś mi się tliło w pamięci, że wymrugalam to do Mannixa Taylora. I:

***Czasami dostajesz to, czego chcesz, czasami dostajesz to,  
czego potrzebujesz, a czasami dostajesz to, co dostajesz.***

Jedyna wskazówka, jaką zdołałam znaleźć, to nazwa drukarni. Wygooglowałam ją, odszukałam numer telefonu i zadzwoniłam.

- Wiem, że to zabrzmie dziwnie – powiedziałam do kobiety, która odebrała – ale może mi pani powiedzieć, czym się zajmujecie?
- Jesteśmy firmą wydawniczą zajmującą się drukiem na zamówienie.
- Co to znaczy?
- Klient daje nam rękopis, wybiera papier, czcionkę, format, ilustrację na okładkę, wszystko jest na zamówienie i wysokiej jakości, a my to drukujemy.
- I klient musi zapłacić?
- Tak.
- Mam tu książkę z moim nazwiskiem na okładce, ale ja jej nie zamawiałam. – Bałam się, że będę musiała wybulić za tę książkę, i że to będą przerażająco ogromne pieniądze.
- Mogę prosić pani nazwisko? Stella Sweeney? Już sprawdzam. – Usłyszałam klikanie. – *Mozolne mrugnięcia powieką?* Zamówienie złożył i opłacił doktor Mannix Taylor. Odebrał pięćdziesiąt woluminów we wrześniu zeszłego roku.
- Woluminy to książki, tak?
- Tak.
- Więc czemu ja je dostałam dzisiaj?

– Niestety, nie wiem. Sugeruję, żeby wyjaśniła to pani z doktorem Taylorem.

– Ale ja już się nigdy do niego nie odezwę.

– Może powinna pani rozważyć słuszność tej decyzji, bo ja pani nie mogę pomóc.

– Te książki będą w sklepach? – spytałam, trochę podekscytowana.

– Jesteśmy wydawnictwem realizującym druk na życzenie – odparła sztywno i jakby z urazą. – Nasze woluminy są przygotowywane wyłącznie na osobisty użytek naszych klientów.

– Rozumiem. – Przez chwilę sądziłam, że napisałam prawdziwą książkę. Teraz poczułam leciutki cień rozczarowania.

– Dziękuję – rozłączyłam się. – To sprawka Mannixa Taylora – powiedziałam do Karen.

– No proszę! Kto by pomyślał, że jesteś taka dobra w łóżku?

– Nie jestem. Zrobił to we wrześniu zeszłego roku.

Spojrzała na mnie twardo. Ściągnęłyby brwi, gdyby nie botoks w lwiej zmarszczce.

– On cię musi lubić. Dlaczego?

– Bo jestem optymistycznie nastawiona i niezłomna, a nawet inspirująca. Rzekomo.

– Ja jestem inspirująca.

– Wiem. No i? – spytałam. – Co mam zrobić?

– Rozumiem cię. Recykling wypadłby drogo, odkąd zaczęli ważyć pojemniki. Mogłabyś... no nie wiem... zatrzymać je na prezenty urodzinowe? I w ten sposób stopniowo byś się ich pozbyła?

– Miałam na myśli pytanie, co mam zrobić z nim.

Zacisnęła usta.

– Dlaczego pytasz mnie? Znasz moje zdanie.

– Ale sama powiedziałaś, że musi mnie lubić.

– Masz dwójkę dzieci. To jest twój obowiązek.

– Powiedział, że mnie kocha.

– Nawet cię nie zna.

Karen zarządziła, że musimy mieć wyłączone telefony, gdy kogoś obsługujemy. Że to robi profesjonalne wrażenie. Ale o dwunastej trzydzieści, gdy Betsy i Jeffrey mieli przerwę na lunch, a ja nie miałam klienta, włączyłam telefon i zadzwoniłam do nich szybko. To był element mojej kampanii zmierzającej do odzyskania ich – zamierzałam dać im tyle czasu, ile potrzebują, a poza tym regularnie, konsekwentnie zapewniać o swojej miłości.

Modliłam się w duchu, by może ich zagniewane serca zmiękły, i po prostu nie mogłam uwierzyć w swoje szczęście, gdy Betsy odebrała:

– Cześć, mammo.

– Cześć, skarbie. Chciałam się tylko przywitać. Jak ci mija dzień?

– Super!

– Zjadłaś lunch?

– Tak, mammo – odparła z powagą. – I rano się ubrałam oraz założyłam buty.

– Doskonale. Ha, ha, ha. A zjadłaś śniadanie?

– Tak jakby. Znasz tatę. W kwestii obowiązków domowych jest trochę niepełnosprawny.

To nie był dobry moment, by obrabiać tyłek Ryanowi. Zachowaj ostrożność, napomniałam się. Udawaj neutralną.

– Dobra, zadzwoń, jak będziesz czegoś potrzebowała. Z pracą domową, cokolwiek. O każdej porze dnia i nocy.

– Dobra. Kocham cię, mammo.



Kocha mnie! To był ogromny krok do przodu.

Odurzona sukcesem od razu zadzwoniłam do Jeffreya.

No dooobra. Widać na dzisiaj koniec sukcesów. Nadal nie chciał ze mną rozmawiać. Podobnie jak Ryan.

Ale, nigdy nie tracąc nadziei, szybko zerknęłam na wiadomości. Cztery wiadomości głosowe. Wszystkie od Mannixa Taylora.

Lękliwie obejrzałam się przez ramię – Karen by się wściekła, gdyby mnie przyłapała na ich odsłuchiwanie. Nagle poczułam dziwny spokój. Byłam dorosłą kobietą. Miałam tylko jedno życie. Wysłucham, co on ma do powiedzenia, a potem poniosę tego konsekwencje.

I mało nie wyzionęłam ducha, bo nagle telefon zadzwonił. I to był on: Mannix Taylor.

Pewna siebie odebrałam.

– Słucham?

– Słucham? – powtórzył zaskoczony. – Przepraszam, nie spodziewałem się, że odbierzesz.

– No to masz niespodziankę.

– Dostałaś książkę?

– O co w tym chodzi?

– Spotkaj się ze mną, to ci powiem.

Zastanowiłam się chwilę.

– Gdzie mielibyśmy się spotkać? Nie pójdę do twojego mieszkania. Nigdy w życiu już tam nie pójdę.

I ty do mnie też nie możesz przyjść, nawet nie pytaj.

– No to może...

– Fibber Magee, na piwo i sandwicza? Nie. Jakaś droga restauracja, w której odbylibyśmy niezręczną rozmowę podsłuchiwaną przez kelnerów? Nie. Hotel Powerscourt, gdzie spotkałabym wszystkich znajomych? Nie.

Roześmiał się cicho.

– W Wicklow nad brzegiem morza jest domek wakacyjny. Należy do mnie i moich sióstr. To pół godziny od Ferrytown. I zanim spytasz, Georgie nie jeździła tam od lat. Mówiła, że jest nudny.

– Więc mnie można zabierać w nudne miejsca?

Milczał chwilę, nim powiedział:

– Ty się tam nie będziesz nudzić.

– I nie będę musiała zamawiać taksówki do domu, jak już ze mną skończysz?

Kolejna pauza.

– Nie skończę z tobą.

Zgodnie ze wskazówkami Mannixa jechałam na południe z resztkami popołudniowych korków. W Ashford zjechałam z głównej drogi na lokalną, potem podążałam bardzo, bardzo długą dróżką, mijając łąki porośnięte ascetycznymi piaskownicami. Na wieczornym niebie jaśniały pozostałości światła – nadchodziła wiosna.

Czułam zapach morza, a gdy wspięłam się na szczyt wzniesienia, zobaczyłam je w dole – ciężkie i nabrzmiące, ołowiane w nadciągającym mroku.

Po lewej samotnie stał stary, jednopiętrowy budynek oświetlony miłymi żółtymi lampami. To musiało być tutaj.

Przejechałam przez bramę z gipsowymi słupkami i podjechałam do jasnego ganku, na którym stały wypłowiałe od słońca krzesła i dwa przyjazne dla środowiska grzejniki, na które wszyscy krzywo patrzą. (Chociaż szczerze mówiąc, ja się z nimi nie zgadzam. Wolę, gdy jest mi ciepło).

Mannix był na podwórku, niósł naręczne drewnien.

Patrzył, jak parkuję i wysiadam z auta.

– Cześć. – Uśmiechnął się.

– Cześć. – Popatrzyłam na niego. I też się uśmiechnęłam.

– Wejdz. Na dworze jest zimno.

W środku wszystko było przytulne i proste. Na kominku palił się ogień, na ścianach tańczyły cienie. Na drewnianej podłodze leżały chodniki, a dwie sfatygowane tekstylne kanapy stały naprzeciwko siebie. W całym pomieszczeniu leżały też poduchy i narzuty w wyblakłych kolorach.

– Zaraz zrobi się ciepło – powiedział. – Tu się szybko nagrzewa.

Wrzucił polana do skrzynki i przez łukowate wejście wszedł do kuchni. Na długim drewnianym stole stały dwie butelki wina i ogromna torba z Butler's Pantry.

– Przywiozłem jedzenie – rzekł. – Kolację. No wiesz, nie zrobiłem jej. Odebrałem. Musimy tylko wstawić to do piecyka. Czerwone czy białe?

Zawahałam się. Nie wiedziałam, co z tego wszystkiego wyniknie. A jeśli postanowię, że chcę jechać do domu? A jeśli Betsy czy Jeffrey będą mnie potrzebować?

– Czerwone.

Spotka cię kara.

Usiadłam przy stole, przede mną stanęła lampka wina.

– Zajmę się białym. – Wyjął torbę lodu i z przeraźliwym grzechotem wsypał je do wiaderka na lód. – Jezu – powiedział. – Co jest z tym lodem? Dlaczego robi tyle hałasu?

Najwyraźniej był równie podenerwowany jak ja.

Gdy on wsadzał butelkę białego wina do lodu, ja wyjęłam z torebki egzemplarz *Mozolnych mrugnięć powieką*.

Zaczekałam, aż naleje sobie do kieliszka czerwonego trunku i usiądzie naprzeciwko mnie.

– No to słucham – powiedziałam oficjalnym tonem. – Opowiedz mi o tym.

– Właśnie! – odparł równie oficjalnie. – Ja po prostu oddałem ci twoje własne słowa. Pamiętasz nasze rozmowy w szpitalu? Gdy wymrugiwałaś mi coś, a ja to zapisywałem? No więc zachowałem notatniki.

– Notatniki?! W liczbie mnogiej? Ile?

– Siedem.

Tym mnie zaskoczył. Ja w ogóle nie zauważyłam, że zapełnił jakiś jeden notatnik i zastąpił go następnym. Skupiałam się wyłącznie na tym, żeby mnie zrozumiał.

– Dlaczego je zachowałeś?

– Bo... bo moim zdaniem były wspaniałe i piękne.

Och. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Nie nauczono mnie przyjmować pochwał.

– Nie wiedziałaś, jak bardzo jesteś chora. Nie wiedziałaś, że prawie nikt nie zakłada, że wyzdrowiejesz.

– Boże. – Może to dobrze, że nie wiedziałam.

– A gdy zaczęliśmy tę akcję z Mądrością Dnia... Powiedziałaś mnóstwo świątłych mądrości.

– Och, nie, nieprawda – odparłam odruchowo.

– Czytałem je sobie, gdy już wiedziałem, że Georgie nigdy nie urodzi dziecka i że sobie z tym nie poradzimy, a one sprawiały... – Wzruszył ramionami. – Nie wiem... sprawiały, że ten smutek... lżej mi było znieść.

– Ale dlaczego zrobiłeś z nich książkę?

– Bo... bo chciałem.

Cały Mannix: bo chciał.

– Roland podsunął mi ten pomysł. Gdy wyszedł z kliniki, napisał książkę o swoim rozwiązłym życiu. Nikt tego nie chciał wydać, więc się skontaktował z tymi ludźmi. Potem doszedł do wniosku, że to chyba niedobry pomysł zaciągać dług, by wydać książkę o zaciąganiu długów. Ale ja wtedy pomyślałem o tych twoich mądrościach. Miałem się na czym skupić, wybierałem papier i czcionkę i tak dalej. Miałem nadzieję, że pewnego dnia będę mógł ci je dać.

– Zrobiłeś to przed rozstaniem z Georgie czy później?

– Przed.

– To niedobrze.

– Rzeczywiście. I dlatego nic dziwnego, że się z Georgie rozwodzimy.

Dobra. Następna sprawa oficjalna.

– Dlaczego za mną nie poszedłeś? – spytałam. – Tamtej nocy?

– Bo nie wiedziałem, gdzie popełniłem błąd. Spałem i obudziłem się. Chciałem pokazać, że nie przeszkadza mi, że masz dzieci, a oberwałem butem w głowę. – Wychylił się w moją stronę i rzekł z naciskiem: – Źle to ująłem. Dzwoniłem i wyjaśniałem. Było mi przykro. Dzwoniłem do ciebie osiem razy.

Kiwnęłam głową. To prawda, dzwonił osiem razy.

– Dlaczego ty nie zadzwoniłaś do mnie? – spytał.

Zatkało mnie.

– Żartujesz sobie?

– Nie. Ja przeprosiłem. Przyznałem się do błędu. Nic więcej nie mogłem zrobić. Więc dlaczego do mnie nie zadzwoniłaś?

Dlaczego do niego nie zadzwoniłam?

– Bo mam swój honor.

– Bardzo dużo honoru. – Przyglądał mi się bardzo, bardzo długo. – Mocno się od siebie różnimy.

– Widzisz w tym problem?

– Nie wiem. Może.

Oboje podskoczyliśmy, słysząc nagły trzask. To lód w wiaderku się topił i przy okazji rozładował

napięcie.

– Masz przepaskę na oczy? – spytałam nagle.

– Po co?

– Skoro przyjechałam... moglibyśmy się zabawić.

– Co chcesz... Dlaczego przepaskę na oczy?

– Nigdy tego nie robiłam. I nigdy też nie byłam wiązana.

– Doprawdy? – W jego oczach widziałam wszystkie możliwe emocje: ostrożność i ciekawość.

I zainteresowanie. – Nigdy?

– Ryan był... dość zachowawczy.

Mannix się roześmiał.

– A ty nie jesteś?

– Nie wiem. Nigdy nie sprawdzałam. A teraz chcę sprawdzić.

Wstał i chwycił mnie za rękę.

– No to chodźmy.

– Po co ten pośpiech? – Zdążyłam chwycić torebkę, a on popędził mnie wyłożonym drewnem korytarzem.

– Żebyś nie zdążyła się rozmyślić.

Uchylił drzwi do pokoju i zajrzał do środka, jakby sprawdzał go pod kątem oczekującego go zadania.

Pchnęłam drzwi, by otworzyły się szerzej – była to sypialnia oświetlona kilkunastoma wielkimi świecami. Płomienie migotały i odbijały się od mosiężnych słupków łóża. Narzuta niemal całkowicie się skryła pod grubą warstwą ciemnoczerwonych płatków róż.

Nie wiedziałam, czy czuję się urażona, czy mi to schlebia.

– Jesteś pewny swego.

Wyglądał, jakby próbował wymyślić jakieś wiarygodne kłamstwo, ale ostatecznie wzruszył ramionami i się roześmiał.

– Tak. Jestem.

Pocałowaliśmy się pożądliwie, a on poprowadził mnie w głąb pokoju. Niezdarnymi palcami rozpięłam mu trzy guziki koszuli, aż nagle krawędź łóżka podcięła mi nogi i padłam na posłanie, pociągając go za sobą. Płatki rozleciały się wszędzie, a powietrze wypełnił zapach róż.

Usiadł nade mną okrakiem i wsunął ręce pod moją obcisłą bluzkę, a potem palec wciskał w kolejne dziurki, aż guziki się rozpięły jeden po drugim. Miałam na sobie czarny stanik zapinany z przodu – Mannix powoli rozpiął klamerkę, uwalniając moje piersi. W świetle świec sprawiały wrażenie perłowobiałych.

– Boże. – Zamurowało go.

– Okej? – wydyszałam.

Kiwnął głową. Oczy my błyszczały.

– Bardzo okej.

Szybko rozpiął pozostałe dwa guziki swojej koszuli i zdarł ją z siebie. Potem jednym szarpnięciem wyciągnął pasek ze szlufek spodni i naprężył go w dłoniach. Spojrzał na mnie, jakby podejmował decyzję.

Czy...?

– Chcesz spróbować? – Z prędkością błyskawicy odwrócił mnie, podciągnął mi spódnicę i smagnął mnie po tyłku końcem paska. Bolało.

– Nie! Jestem zachowawcza! Jestem zachowawcza! – Krzyczałam w radosnym podnieceniu, a on padł na mnie, zanosząc się śmiechem.

– Dobra, więcej tego nie zrobimy. – Przyciągnął mnie do siebie, oczy mu iskrzyły. – Ale chcesz być związana?

– Nie. Tak. Nie wiem!

– No dobra. – Ułożył mnie na środku łóżka, podniósł ramiona za głowę, po czym związał nadgarstki paskiem, który przymocował do drążka w zagłówku. W świetle świec widziałam, jak w skupieniu sprawdza trwałość węzła.

– Powinniśmy ustalić hasło, prawda? – Nagle się zaniepokoiłam. – Jeśli będę chciała przerwać.

Znowu się roześmiał.

– Nie drwij ze mnie. – Poczułam się urażona.

– Nie drwię. Jesteś... słodka. Dobra. Może hasłem będzie „Nie”? – Poruszył brwią. – Albo „Przestań”?

Patrzyłam na niego niepewnie.

– Powiedz po prostu „Przestań, Mannix”. I ja przestanę.

Zaczął składać swoją koszulę.

– Co robisz?

– Nie mam pod ręką przepaski. Improvizuję.

Składał koszulę, aż powstał z niej imponująco staranny pasek.

– Może być? – pokazał mi go.

Przełknęłam ślinę.

– Może być.

Zasłonił mi nim oczy i zawiązał, na tyle mocno, że poczułam strach.

– Możesz oddychać?

Kiwnęłam głową. Teraz nie czułam już róż, tylko zapach jego ciała.

Czułam, jak jego ręce pracują, jak ściąga mi spódnice, a potem majtki. Skrzypnęły drzwi – pewnie do szafy – po czym coś chłodnego i jedwabistego przesunęło się po mojej kostce. Byłam niemal pewna, że to krawat. Poczułam, jak przywiązuje mi nogę, tak że była cała naciągnięta, aż do stawu biodrowego. Nie mogłam nią ruszyć. To samo stało się z drugą nogą i nagle stwierdziłam, że leżę rozpostarta i unieruchomiona. Niby spodziewałam się tego, a jednocześnie byłam zaskoczona. Na próbę pociągnęłam rękoma i znowu poczułam delikatny dreszcz strachu. Sama się o to prosiłam, a teraz nie byłam pewna.

W pokoju zapadła cisza. Nie słyszałam Mannixa. Wyszedł? Mój niepokój przybrał na sile. Może mnie porzucił w tym domu na pustkowiu – nikt nie wiedział, że tu jestem i...

Nagle poczułam na sobie cały jego ciężar, ciepły oddech na uchu.

– Spodoba ci się – wyszeptał. – Obiecuję.

Po wszystkim zdjął mi przepaskę z oczu i rozwiązał mnie, a moje kończyny opadły ciężko na zasypane płatkami łóżko. Oszołomiona, uniesiona nieważką błogością leżałam na plecach całą wieczność, wpatrując się w sufit, w drewniane belki...

– Mannix? – wymamrotałam wreszcie.

– Mhm?

– Czytałam w gazecie o wiszącym łóżku...

Roześmiał się cicho.

– Wiszące łóżko?

– Mhm. Nie służy do spania, tylko do... no wiesz...

Położył się nade mną i spojrzał mi w twarz.

– Do no wiesz?

– Tak.

– Jesteś pełna niespodzianek.

Leniwie przesunęłam palcami po napiętych mięśniach na jego boku.

– Jak to robisz?

– Co?

– No jak ćwiczysz?

– Pływam.

– Niech zgadnę. Z samego rana. Szybki tor na basenie. Nikt ci nie wchodzi w drogę. Czterdzieści długości.

Uśmiechnął się, trochę niepewnie.

– Pięćdziesiąt. Ale ludzie wchodzi mi w drogę. To znaczy, nie mam nic przeciwko, żeby wchodzili...

I czasami żegluję.

– Masz łódkę?

– Mąż Rosy, Jean-Marc, ma słupa i niekiedy pozwala mi z niego skorzystać. Uwielbiam wodę.

Ja nie. Bałam się wody.

– Ja nawet nie umiem pływać.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Nigdy się nie uczyłam.

– Ja cię nauczę.

– Nie chcę się uczyć.

Roześmiał się.

– A więc jak ty ćwiczysz?

– Chodzę na zumbę.

– Naprawdę?

– ...no, kilka razy byłam. To trudne. Skomplikowane kroki. Tak naprawdę nic nie robię. Poopowiadaj mi coś. Powiedz mi o swoich siostrzeńcach.

– Mam ich czwórkę. Chłopcy Rosy to Philippe, w przyszłym miesiącu kończy dziesięć lat, i Claude, ośmiolatek. A Hero ma Bruce'a i Douga, też dziesięcio- i ośmiolatek. Jedna wielka radocha. Wiesz, jacy są chłopcy, nieskomplikowani, nieokrzesani...

– Nie zawsze. – Pomyślałam o Jeffreyu. – O Boże! – Nagle uświadomiłam sobie, że powinnam zadzwonić do dzieci. – Która godzina?

– W tej chwili? – Mannix odchylił się, by dojrzeć staromodny tykający zegar na drewnianej szafce przy łóżku. – Dziesięć po dziewiątej.

– Okej. – Zaczęłam uwalniać się z jego objęć.

– Wychodzisz?

– Muszę zadzwonić do dzieci. – Porwałam torebkę z podłogi i wzięłam ją do łóżka.

– Zostawię cię samą.

– Nie musisz.

Znieruchomiał w pół kroku.

– Jeśli obiecasz, że będziesz cicho.

– Oczywiście – odparł urażony.

– Zdenerwowaliby się, gdyby wiedzieli, że dzwonię od... że jestem teraz z tobą.

– Stello... wiem.

Znalazłam telefon. Jeffrey oczywiście nie odebrał. Ale Betsy tak.

– Wszystko w porządku, kochanie? – spytałam.

– Chyba za tobą tęsknię, mamusiu.

Sukces!

– Zawsze na ciebie czekam, skarbie – odparłam radośnie. – A co mieliście na kolację?

– Pizzę.

– Świetnie!

W tle rozległy się jakieś krzyki. Rozpoznałam głos Ryana.

– Wszystko w porządku? – spytałam.

– Tata mówi, że masz przestać go sprawdzać. Że jest rodzicem równie długo jak ty.

– Przepraszam, ja tylko...

– Na razie – rozłączyła się.

– Wszystko w porządku? – spytał Mannix, przyglądając mi się uważnie.

Podalam mu telefon, a on go wrzucił do torebki.

– Popraw mi nastrój.

Spojrzał mi w oczy i ujął mnie za rękę.

– Moja słodka Stella.

Z nieziemską delikatnością całował moje popękane palce. Cały czas patrząc mi w oczy, przesunął usta w górę mojego ramienia, w zagięcie łokcia, a ja głośno wypuściłam powietrze i czekałam, co dalej.

Obudziło mnie morze. Słońce już wschodziło. Mannix jeszcze spał, więc po cichutku wyszłam z łóżka i włożyłam pizamę, którą wzięłam ze sobą – zupełnie jak gdybym wybierała się na noc do koleżanki, niczym Betsy.

Zrobiłam sobie herbatę, a potem zawinęłam się w koc, wzięłam swoje *Mozolne mrugnięcia powieką* i wyszłam na ganek.

Dzień był zimny, ale suchy, patrzyłam na morze, daleko za piaskownicami i białym piaskiem, patrzyłam, jak niebo wypełnia się światłem. Czułam się, jakbym żyła życiem innej osoby, może kobiety z filmów na podstawie Nicholasa Sparksa. Ostrożnie, na próbę objęłam kubek dłońmi, żeby zobaczyć, jak to jest, bo normalnie nigdy tak nie robiłam. Dość przyjemne, w każdym razie na początku, ale nie da się tego robić długo, żeby sobie nie poparzyć palców.

Nieśmiało otworzyłam *Mozolne mrugnięcia powieką*. To były moje słowa, ale tego swojego wcielenia w zasadzie nie znałam. Patrzyłam na siebie oczyma innej osoby i wydawało mi się to dziwne, i chyba niezdrowe.

Wertowałam kartki, a z każdym czytaniem zdaniem wracały wspomnienia pobytu w szpitalu.

– Stello? – Mannix był prawie nagi, jeśli nie liczyć ręcznika na biodrach.

– Boże! Ale mnie przestraszyłeś.

– To ty mnie przestraszyłaś. Myślałem, że cię nie ma. Wracaj do łóżka.

– Już się rozbudziłam.

– I właśnie o to chodzi. Wracaj do łóżka.

W pracy Karen powitała mnie słowami:

– Musisz zabrać to gównno. – Miała na myśli karton z książkami. – Potykam się o to. Nie ma tu miejsca.

– Dobra, dzisiaj je rozpakuję.

Spojrzała na mnie uważnie.

– Jezu Chryste! Nie trzeba pytać, co w nocy robiłaś.

– Że co? – Skąd ona wiedziała?

Zerknęła na mój nadgarstek.

– To krew? Krwawisz?

Podążyłam za jej wzrokiem.

– To... płatek róży. – Miałam je wszędzie. Chociaż wzięłam prysznic i umyłam głowę, będę się z nich obierać jeszcze wiele dni.

– O mój Boże – niemal szeptała. – Czuję ich zapach. Róże. On zrobił to z tymi płatkami. Wiesz, że niektóre firmy sprzedają same płatki? Wielka paczka płatków zerwanych z łodyżki? Nie łudź się, że dla ciebie siedział kilka godzin i oskubywał kwiaty. Musiał tylko wywalić na łóżko zawartość torby. To trwa pięć sekund.

– Okej. – Nie wiedziałam, ale nie chciałam się spierać.

– No i jak? – spytała. – Było to seksowne?

Nie miałam pojęcia, co powiedzieć. Strasznie chciałam się z nią podzielić, ale bałam się jej osądów.

– Nie! – Podniosła rękę w górę. – Nie mów mi. Albo dobra, powiedz mi jedną rzecz. Wiązaliście się?

Zastanowiłam się.

– Troszeczkę.

Na twarzy Karen toczyły walkę sprzeczne emocje.

Zastanawiałam się, czy pokazać jej czerwony ślad na pupie, ale uznałam, że aż taka to nie będę.

Od dziesiątej trzydzieści do południa nie miałam klientek, wyszłam więc z salonu i rozniosłam *Mozolne mrugnięcia powieką* przyjaciółom i rodzinie w okolicy. Usiłowałam wszystkim pokazać, że Mannix Taylor to dobry człowiek, który robi miłe rzeczy.

Różnie ludzie reagowali na książkę. Wujek Peter był ubawiony, ale pozytywnie.

– Postawimy ją w ładnym miejscu w kredensie. Nic się nie martw, zamykamy go na klucz, nic się jej tam nie stanie.

Zoe była pod wrażeniem.

– Jezu! – Widziałam, jak zadygotał jej podbródek, oczy wypełniły się łzami. – To dopiero przeprosiny, nie jakieś kwiatki i czekoladki. Może to dobry facet, Stello. Może paru ich jeszcze zostało.

Mama się zaniepokoiła.

– Można cię pozwać? Ludzie, którzy piszą książki, ciągle są pozywani.

Tata spuchł z dumy.

– Moja córeczka! Moja córka autorką książki.

– Tato, ty płaczesz?!

– Nie.



Ale płakał.

Jeszcze tego samego dnia jednak zadzwonił ponarzekać:

– Nie ma tu za dużo fabuły.

– Przykro mi, tato.

– Pokażesz to Ryanowi i dzieciakom?

– Nie wiem. – Zadręczał mnie ten dylemat. Jeśli pokażę im książkę, może zrobię potężny krok w tył.

Ale jeśli im nie pokażę, też mogę pogorszyć sytuację.

W środę wieczorem zadzwoniła do mnie Betsy.

– Mamo? Widziałam książkę. Ten doktor Taylor ją dla ciebie zrobił? Dziadek nam pokazał.

– Tak? – Mocno ścisnęłam telefon.

– Jest przepiękna. On cię lubi, co?

– No... – W sumie mogłam być szczerą. – Chyba tak.

– Mamo, mogłabyś nam przywieźć jakieś jedzenie?

– Na przykład?

– No, granolę, soki, banany. Takie tam. Już ty wiesz. I papier toaletowy. I chyba trzeba tu posprzątać.

– Mogę przyjechać i posprzątać.

– Nie sądzę, żeby tacie to odpowiadało.

– Dobra. – Problem polegał na tym, że chciałam, by Ryan zawiódł jako samotny rodzic. Ale jednocześnie chciałam, by dzieci normalnie jadły, nosiły czyste ubrania i nie zaniedbały szkoły. Więc musiałam służyć wsparciem.

Ale bez przesady...

W czwartek rano, przed pracą, kupiłam wszystko, czego moim zdaniem potrzebowali Ryan i dzieci. Modląc się, by już ich nie było, zadzwoniłam do drzwi, a gdy nikt mi nie otworzył, weszłam do środka. W domu panował brud. Zwłaszcza w kuchni – wszystkie blaty się lepily, leżały na nich okruchy i resztki żywności. Na podłodze widziałam dziwne lepkie plamy, a z wiadra wysypywały się śmieci.

Załadowałam lodówkę, zabrałam się za odkażanie blatów i przyszło mi do głowy, że to jakieś szaleństwo: to oni mnie opuścili, a ja tu robiłam im zakupy i sprzątałam w domu. Ale wiedziałam, że już niedługo Ryan jako samotny ojciec wymięknie, a ja odzyskam dzieci.

I musiałam przyznać, że niekoniecznie chciałam je odzyskać. Jeszcze nie. Chciałam trochę pobyć sama.

Tylko że nie byłam sama. Byłam z Mannixem.

Od poniedziałku codziennie po pracy jechałam do domku nad morzem, gdzie on na mnie czekał, już z zapalonymi świecami, winem w kieliszkach i lodówką pełną niesamowitych potraw, których prawie w ogóle nie zjadaliśmy. Gdy tylko przechodziłam przez próg, porywał mnie w ramiona. Uprawialiśmy seks w takich ilościach, że byłam obolała. Robiliśmy to wszędzie. Rozebrał mnie na chodniczku przed kominkiem, a potem jeździł kostką lodu wokół moich sutków. Wyniósł mnie na dwór, a tam pomimo zdumiewającego zimna kochaliśmy się na piasku. Pewnej nocy obudziłam się z takim pragnieniem, że zaczęłam go zaczepiać, aż stwardniał na tyle, bym mogła go dotknąć – obudził się dopiero, gdy był we mnie.

Każdego ranka przed wyjściem do pracy robiliśmy to na pożegnanie.

Mimo to w czwartek w południe byłam tak napalona, że czułam, że nie wytrzymam do wieczora, więc w przerwie pomiędzy klientkami pojechałam do domu i zadzwoniłam po niego.

– Gdzie jesteś? – spytałam.

– W klinice.

– Sam?

- Dlaczego pytasz?
  - Nie mam na sobie majtek.
  - O Jezu – jęknął. – Nie, Stello.
  - Tak, Stello. Leżę na łóżku.
  - Nie mów mi. Jeszcze nie uprawiałaś seksu przez telefon?
  - Niczego nigdy nie uprawiałam. Pieszczę się, Mannix.
  - Stello, kurwa, ja jestem lekarzem. Muszę się widywać z ludźmi. Nie rób mi tego.
  - Śmiało – wyszeptalam. – Stał ci?
  - ...tak.
  - Udawaj, że tam jestem. Udawaj, że wzięłam go do ust. Udawaj, że mój język...
- Szeptalam tak nieprzerwanie, aż usłyszałam, że jego oddech staje się szybki i urywany.
- Robisz to sobie ręką? – spytałam.
  - Tak – szepnął.
  - Przyspiesz. Myśl o mnie, myśl o moich ustach, o moich piersiach.
- Jęknął.
- Dochodzisz?
  - ...tak.
  - Ile jeszcze?
  - Już zaraz.
  - Szybciej – rozkazałam.
- I tak mówiłam, aż usłyszałam właściwy dźwięk, trochę jęk, a trochę skomlenie.
- O Jezu – szepnął. – O Boże. O Boże.
- Zaczekałam, aż oddech mu się uspokoi.
- Doszedłeś?
  - Tak.
  - Naprawdę? – aż pisnęłam.
- Uprawiałam seks przez telefon! Ja! Kto by pomyślał.

Spałam chyba po cztery godziny na dobę, ale nie czułam zmęczenia. Któregoś dnia zadzwonił doktor Quinn z informacją, że wyniki badań mojej krwi są w normie, ale ja już to wiedziałam: moje chroniczne wykończenie całkowicie zniknęło.

Przez te kilka dni czułam się, jakbym miała wakacje od samej siebie, a gdy nie uprawialiśmy seksu, leżeliśmy w łóżku i prowadziliśmy długie, wielotematyczne, meandrujące rozmowy, by nadrobić dwa całe, osobne życia.

- ...więc pięć lat z rzędu w wakacje pracowałam w fabryce konserw w Monachium.
- Dlaczego twój tata nie zapłacił chesnego?
- Nie miał pieniędzy. Opłacił pierwszy semestr pierwszego roku, a potem poprosił o zwrot tej sumy.
- Boże! Dlaczego?
- Bo ich potrzebował.
- Pewnego dnia w szpitalu powiedziałaś mi, że zostałeś lekarzem, by zrobić przyjemność tacie. To prawda?
- Bardziej, żeby chronić Rolanda. Myślałem, że tata zostawi go w spokoju, jeśli ja pójdę na medycynę.
- Ale podobało ci się?
- W zasadzie tak... Pewnie w podejściu do chorego nie jestem najlepszy, ale o tym już wiesz. Ludzie oczekują cudów, bo skończyłem uczelnię medyczną, ale ja im tych cudów dać nie mogę. I to mnie dołuje.

Kiedy pracuję z osobami po udarze albo z chorymi na parkinsona, w najlepszym wypadku pomagam im radzić sobie z ich stanem. Nikogo nie leczę.

– No tak...

– Ale ty byłaś inna. Miałaś szansę pewnego dnia wyzdrowieć, miałaś szansę być moim cudem. I byłaś. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Miło być czyimś cudem.

– Dlaczego zostałeś neurologiem? – spytałam. – Mogłeś wybrać inną specjalizację.

Roześmiał się.

– Bo zbyt wiele rzeczy w człowieku mnie brzydzi. Serio. Nie mógłbym być chirurgiem. A inne opcje?

Na przykład okulistyka. Oczy. Gałki oczne. Na samą myśl, że miałbym z nimi pracować dzień w dzień... Albo mózgi... Boże... Albo okrężnica! A ty byś chciała?

– Więc co byś wolał robić w życiu? Zamiast być lekarzem?

– Nie wiem. Nigdy nie miałem takiego konkretnego pomysłu. Wiem, że to nie jest praca w ścisłym tego słowa znaczeniu, ale chciałbym być tatą.

A jednak. Powiedział to. Od wielu dni omijaliśmy tę kwestię.

– A teraz, Mannix? – spytałam ostrożnie. – Chcesz jeszcze mieć małe dziecko? – Musieliśmy to sobie wyjaśnić bez niedomówień.

Westchnął i przekręcił się, tak żeby patrzeć mi w oczy.

– Ten pociąg odjechał. Po tylu rozczarowaniach, które przeżyliśmy z Georgie... To trwało tak długo, tyle kosztowało nas nadziei, a potem wszystko straciliśmy. Ale już się z tym pogodziłem. – Poznałam po jego głosie, że się zdziwił. – Nigdy z niczym się nie godziłem. Ale tak, z tym tak. Kocham swoich siostrzeńców. Często ich widuję, świetnie spędzamy czas, i to wystarczy. A ty?

Miałam już takiego fioła na punkcie Mannixa, że na samą myśl o jego miniaturowej wersji dostawałam dreszczy. Sama myśl o ciąży z nim wywoływała we mnie ogromną ekscytację.

Ale znałam realia – małe dzieci to potwornie ciężka praca. Mnóstwo kobiet rodziło dzieci w moim wieku albo dużo później, lecz ja zaspokoiliłam instynkt macierzyński tą dwójką, którą już miałam.

– Nie sądzę, by dzieci były nam pisane – powiedziałam.

– No i dobrze.

Milczałam. Myślałam o moich dzieciach, o tym, że zniszczyłam im dom i że nigdy mi tego nie wybaczą.

– Wróć – powiedział Mannix.

– Wybrałam najgorszy moment. Raptem parę dni wcześniej dowiedzieliśmy się, że Betsy sypia ze swoim chłopakiem... Powinnam ją wspierać.

– Nie możesz jej wspierać, jeśli ona tego nie chce. A niedługo wszystko się naprawi.

Pewnie miał rację. Stosunki między Ryanem a dziećmi już pogorszyły się do tego stopnia, że Jeffrey nie rozmawiał teraz z ojcem.

– Wiesz – powiedziałam – tak naprawdę to nie mogę uwierzyć, że Betsy sypia ze swoim chłopakiem.

– A ty w jej wieku sypiałaś?

– Oczywiście! A ty w wieku siedemnastu lat? Nie mów. Nawet nie muszę pytać. Uwielbiałeś to, prawda? To znaczy seks?

Podniósł się i spojrzał na mnie.

– Tak, nie będę kłamać. Pragnę cię.

– A poza mną? – Chciałam mieć jakieś pojęcie w temacie.

– Co? Chcesz listę?

– Ostatnia osoba, z którą uprawiałaś seks przede mną? To twoja żona?

– Nie.

Zamilkłam. Nie wiedziałam, czy dam radę usłyszeć więcej informacji. Dużo ich było?

– Nie – rzekł, czytając w moich myślach. – Ale ty też uwielbiasz seks.

Wszystko się skończyło w piątek o dwudziestej trzeciej wraz z telefonem od Betsy.

– Przyjedź po nas – powiedziała. – Wprowadzamy się z powrotem.

– W tej chwili?

– Dokładnie w tej chwili.

– Eeee... oczywiście! – Oderwałam swoje nagie ciało od Mannixa.

– Tata nie ma pojęcia o obowiązkach rodzicielskich – mówiła Betsy. – Codziennie spóźniamy się do szkoły. A teraz mówi, że jutro nie może nas zawieźć tam, gdzie musimy pojechać. To nie do przyjęcia.

– Ekhm, a Jeffrey... też wraca do domu? – Nadal nie odbierał moich telefonów.

– Tak. Ale jest na ciebie strasznie wściekły, nie żartuję.

– Przyjadę po was za czterdzieści pięć minut.

– Czterdzieści pięć?! To gdzie ty jesteś?!

Rozłączyłam się i wstałam z łóżka.

– Dokąd idziesz? – Mannix patrzył na mnie zaniepokojony, niemal wściekły.

– Do domu.

– Co się dzieje?

– Nie wiem.

– Kiedy cię zobaczę?

– Nie wiem.

Gdy jechałam ciemną, pustą autostradą do Dublina, musiałam się skonfrontować z myślami, które odsuwałam od siebie cały tydzień. Takie rzeczy można było załatwić we właściwy sposób: matka dwójki dzieci rozstała się z mężem i z wielką ostrożnością angażuje się w nowy związek. Istnienie tego nowego mężczyzny jest trzymane w tajemnicy, aż kobieta zyska pewność, że to porządny mężczyzna, na którym można polegać i który będzie się starał o dobre relacje z jej dziećmi, i że ten cały układ ma szansę przetrwać.

Ja wszystko zrobiłam źle. Co prawda rozwój wydarzeń przyspieszył przez kolegów Jeffreya, którzy zobaczyli mnie z Mannixem na moło. A ten nasz niespodziewany, magiczny czas w domku letnim dla mnie się skończył.

Ryan otworzył mi drzwi z potulnym uśmiechem. Wyprowadzkę dzieci odebrał z taką ulgą, że zapomniał o wściekłości na mnie.

– No to na razie, dzieci! – Pomachał ręką od drzwi. – Do zobaczenia!

– Jasne. – Betsy wepchnęła swoją walizkę do samochodu i usiadła obok mnie.

Jeffrey w milczeniu dźwignął do bagażnika swój bagaż, po czym usiadł z tyłu.

Ryan zdążył już zamknąć drzwi.

– Powiem to teraz – odezwała się Betsy, patrząc prosto przed siebie. – I nie dlatego, że jestem na niego wściekła, a jestem. On jest naprawdę badziwonym ojcem. Przepraszam za przeklinanie.

– „Badziwony” to nie przekleństwo.

– Mamo! Wzorzec osobowy, litości!

Gdy dojechaliśmy do domu i weszliśmy już do środka, Betsy odciągnęła mnie na bok.

– Ze mną jest okej, ale może chcesz się pogodzić z... – Ruszyła oczami w stronę schodów, na których zniknął Jeffrey. – Śmiało, mamo. – Lekko klepnęła mnie w tyłek – najwyraźniej był to tydzień klapsa – po czym dodała: – Przepraszam! Totalne naruszenie granic!

Na miłość boską!

Odczekałam kilka minut, nim zapukałam do drzwi Jeffreya. On leżał już w piżamie w łóżku.

– Mogę usiąść?

– Śmiało. – Usiadł na łóżku i podciągnął kołdrę pod głowę. – Doktor Taylor jest twoim chłopakiem?

– Nie wiem...

– Miałaś romans. Dlatego rozstaliście się z tatą.

– Nie miałam romansu. – Mogłam to powiedzieć z ręką na sercu.

– A co z książką? Przygotował ją dawno temu.

– Nie miałam romansu. – Czułam się jak polityk. – Nie miałam od niego znaku życia od bardzo dawna, ponad rok.

– On ma żonę?

– Miał, ale się rozwodzą.

– Ma dzieci?

– Nie.

– Więc dlatego jest z tobą. Bo masz dzieci.

- Nie dlatego.
- Musimy go poznać?
- A chciałbyś?
- Już go poznaliśmy. W szpitalu.
- Ale to było dawno temu. W innej sytuacji.
- Więc jednak jest twoim chłopakiem?
- Jeffrey, słowo daję, że nie wiem.

– Ale powinnaś wiedzieć. Jesteś dorosła.  
Miał rację. Powinnaś wiedzieć. Ale nie wiedziałam.

– A ty i tata? – pytał dalej mój syn. – Nigdy się nie zejdziecie?

Setki myśli przemknęły mi przez głowę. Teoretycznie wszystko było możliwe – ale to było bardzo, bardzo mało prawdopodobne.

– Nie. – Poprzestałam na takiej odpowiedzi. – Nie.

– To bardzo smutne... – Po jego twarzy spłynęła łza.

– Jeffrey... – Jego smutek był jak nóż wbijający mi się w brzuch. – Chciałabym cię zawsze chronić przed wszelkim bólem. Chciałabym zawsze mówić ci wyłącznie wesołe rzeczy. To, co się teraz dzieje, to ciężkie doświadczenie dla kogoś w twoim wieku.

– Myślisz, że doktor Taylor cię lubi. Może i lubi. Ale on nie jest moim tatą. Może być twoim... chłopakiem. Ale nie zrobisz z nas nowej rodziny.

– Okej. – Już kiedy wypowiadałam to słowo, wiedziałam, że nie powinienam składać obietnic, których nie będę mogła spełnić.

– Ale jeśli on ma być twoim chłopakiem, powinniśmy go poznać.

Tego się nie spodziewałam.

– Masz na myśli siebie i Betsy?

– I babcię, i dziadka. Ciocię Karen, wujka Endę, ciocię Zoe, wszystkich.

Jeffrey patrzył na Mannixa kamiennym wzrokiem.

– Mój tata ma pikapa mitsubishi. To najlepszy samochód.

Powitalny atak, który mój syn przygotował dla Mannixa, ciężko było uznać za deklarację przyjaźni.

– No... tak, pewnie. – Mannix z zapalem kiwnął głową i bardzo się silił na spokój i swobodę. –

Pikapy... no, pikapy w ogóle są świetne.

– A pan jaki ma samochód? – spytał Jeffrey.

Uważnie śledziłam tę rozmowę. Wiele od niej zależało.

– Mam... też japoński wóz. Nie tak dobry jak mitsubishi, ale...

– A co to jest?

– Mazda MX-pięć.

– To trochę babski wóz – podsumował Jeffrey z okrutną pogardą.

– No i rzeczywiście należał do mojej żony – odparł Mannix. – Mojej byłej żony. Prawie byłej żony.

Należał do Georgie. Ona kupiła sobie nowy.

– A co kupiła?

– Audi A-pięć. I chciała, żebym ja wziął mazdę.

– A pan czemu nie kupił sobie nowego wozu?

– Bo... bo audi dużo kosztowało, no i...

– Więc ona ma nowe audi, a pan ma używaną mazdę. Człowieku, cienias z ciebie.

Mannix patrzył na Jeffreya. Odezwał się dopiero po chwili.

– Czasami łatwiej jest ustąpić. Jako mężczyzna mieszkający z kobietami na pewno nieraz się o tym przekonasz.

Na twarzy Jeffreya odmalowało się zaskoczenie. Nagle chyba zdał sobie sprawę, że może mieć w Mannixie sojusznika.

Ale później, gdy Mannix już poszedł, znalazłam Jeffreya w pokoju zapłakanego.

– Jeśli polubię doktora Taylora – wydusił – to będzie nie w porządku wobec taty?

W ciągu następnych kilku tygodni przedstawiłam Mannixa bliskim. Reagowali różnie. Karen była rozpromieniona i uprzejma. Zoe nie chciała dać się oczarować, ale się dała. Mama była nerwowa i chichotała. Tata był towarzyski i starał się wciągnąć Mannixa w rozmowę o książkach, lecz ze zdumieniem dowiedział się, że Mannix niezbyt dużo czyta.

– Taki wykształcony człowiek?

– Trzymam się raczej nauk ścisłych.

– Ale Stella bardzo dużo czyta. Co was łączy?

Wymieniliśmy z Mannixem spojrzenia. I jakby jakiś niesłyszalny głos zaczął szeptać: seks-seks-seks.

Tata się zarumienił i pospiesznie wyszedł z pokoju.

Nie sposób było zgadnąć, co o Mannixie myśli Enda Mulreid, bo nie sposób było zgadnąć, co Enda Mulreid myśli o kimkolwiek. Jak to mawiał często tata: „Ten to nie daje sobie zajrzeć w karty”. I zawsze od razu dodawał: „Chociaż pewnie w ogóle w karty nie gra. Małe szanse, żeby się zajął jakąkolwiek rozrywką”.

Betsy zadeklarowała się, że lubi Mannixa i że Tyler też go lubi.

– A Tyler ma niesamowitą intuicję do ludzi – zapewniła mnie solennie. – Czasami bardzo mi źle, że się rozstaliście z tatą. Czasami chciałabym znowu być dzieckiem i żeby wszystko było jak kiedyś. Ale takie jest życie. Jak napisałaś w książce, nie zawsze są lizaki i szampan.

Niespokojnie kiwnęłam głową. Naprawdę była taka rozsądna?

– Jest zakochana – powiedział Mannix. – W tej chwili wszystko jest dla niej urocze i słodkie.

– No dobra... – Może to rzeczywiście było takie proste.

– Pamiętasz, jak to jest? Być zakochanym? Ja pamiętam. Bo jestem zakochany...

– Przestań!

Wzdrygnął się.

– Dobra, dobra.

– Nie mów, że jesteś we mnie zakochany. Nawet mnie nie znasz. A ja nie znam ciebie.

– Poznaliśmy się w szpitalu.

– Przy kilku rozmowach językiem mruganym? To się nie liczy. To nie jest prawdziwy świat. Nie umiem nazwać swoich uczuć do ciebie. Jedyne, co wiem na pewno, to że mnie przerażasz.

– Jak to? – spytał wstrząśnięty.

– Boję się, że mnie przytłoczysz.

– Nie przytłoczę.

Ale już mnie przytłaczał.

– Dawno, dawno temu pokochałam Ryana, a potem zachorowałam i nasza miłość tej choroby nie przeżyła. Dawno, dawno temu ty kochałeś Georgie, potem nie mogliście mieć dzieci, i już jej nie kochasz. To mi daje do myślenia.

– I co wymyśliłaś?

– Że nie można mówić o miłości, dopóki wszystko jest w porządku. Dopiero wtedy, gdy wydarzy się coś dramatycznego i twoje uczucie przetrwa. Miłość to nie są kwiatki i serduszka. I dobry seks też nie.



W miłości ważna jest lojalność. Cierpliwość. Wspólna walka, ramię w ramię. Gdy śnieg wali ci w oczy. Na nogach masz podarte onuce. Nos ci gnije i zamarza...

– Dobra, rozumiem. Zaczekam na katastrofę.

– Chodziło mi o to...

– Naprawdę, Stello, pojąłem. Teraz piłeczka jest na twojej połowie. Nie będę mówił o miłości, dopóki ty tego nie zrobisz.

Mannix umówił spotkanie moje i Rolanda. Gdy ten wszedł do restauracji odpicowany w koszulę w dziwaczny wzorek i hipsterskie okulary w grubych oprawkach, poczułam wielką falę ciepłych uczuć. Postrzegałam go jako starego, ukochanego przyjaciela. Pospieszaliśmy ku sobie i on zamknął mnie w niedźwiedzim uścisku.

- Tyle mam ci do dziękowania – rzekł. – Ten odwyk uratował mi życie.
- Och, Rolandzie, przecież ja nic nie zrobiłam! To twoja zasługa.
- Ty mnie namówiłaś.
- Nieprawda. Sam się namówiłeś.

Nadszedł czas poznać siostry Mannixa.

– To urodziny mojego siostrzeńca Philippe’a. Ma dziesięć lat. Rodzinna uroczystość. W sobotę po południu. Jeśli zabierzesz Betsy i Jeffreya, będzie okazja, żeby się poznali w miły, niezobowiązujący sposób. I z Rolandem też.

Przywiozłam nas wszystkich, bo Mannix wciąż jeździł dwuosobowym samochodem po Georgie.

Po drodze Mannix opowiadał krótko Betsy o ludziach, których pozna, a ona – jakże słodko – wpisywała wszystko do telefonu, żeby zapamiętać imiona poszczególnych osób.

Rosa i Jean-Marc mieszkali w McMansion w Churchtown. Gdy przejeżdżaliśmy przez bramę, zauważyłam, że kamienny lew na lewym filarze ma utraconą głowę.

– Philippe i Claude zrobili to kijem od krykieta – wyjaśnił Mannix. – Zawsze mnie to bawi.

Rosa, drobne, schludne malutkie stworzenie, biegła przez hol, by nas powitać. Miała na sobie bluzkę, która wydała mi się znajoma – miałam identyczną, a zapłaciłam za nią osiem euro. To zabawne.

– Witaj, Stello, jestem Rosa – powitała mnie uściskiem.

– A ja jestem Hero. – Za Rosą pojawiła się druga kobieta i też mnie uściskała.

Łączyło je nieprawdopodobne podobieństwo. Rosa miała ciemne włosy, Hero blond, ale twarze, ciała, nawet intonację głosów miały identyczne.

– Ty jesteś Betsy? – spytała Rosa.

– Pewnie! – Betsy pisnęła i rzuciła się w objęcia jednej siostry, a potem drugiej.

Wyglądało na to, że ich konwój uścisków trafi do Jeffreya, ale jedno spojrzenie na niego sprawiło, że się cofnęły i tylko ucałowały swojego brata.

– Wejdźcie, proszę. – A do mnie Rosa powiedziała: – Stello, mamy poczucie, że ciebie już znamy.

– Mannix o tobie opowiadał, gdy chorowałaś – wyjaśniła Hero.

Poczułam napięcie Mannixa i ujrzałam, jak na policzkach jego siostry wykwitła rumieniec.

– Bez nazwiska! – dodała.

– Oczywiście – potwierdziła Rosa.

– Oczywiście, że bez – podjęła Hero. – Mannix jest absolutnie profesjonalny.

– Całkowicie.

– I milczy jak grób. – Tu obie zachichotały.

– Ale opowiadał nam o twoim stanie...

– ...i jaka jesteś odważna.

– Zamknijcie się – przerwał im Mannix.

– Napijmy się czegoś – powiedziała Rosa. – I naprawimy to faux pas.

W kuchni stał duży krzywy tort z napisem: „Wszystkiego najlepszego, Philippe”.

– Tak, wiem – westchnęła Rosa. – Robiłam go w nocy. Po paru głębszych. Wina, Stello? Czy wolałabyś dzin?

– Wino poproszę.

– Betsy? Wina?

– Och, nie. Ja nie piję alkoholu. Poproszę sok pomarańczowy.

– Jeffrey? Piwa?

– Ja mam dopiero piętnaście lat.

– To znaczy tak czy nie?

Rosa wybuchnęła beztróskim śmiechem, a Jeffrey odrzekł zimno:

– Osoby w moim wieku zgodnie z prawem nie mogą pić alkoholu.

Za sześć tygodni kończył szesnaście lat i już zresztą pił alkohol, ilekroć się na to zgadzałam, więc tak czy owak, był to szczególnie techniczny. Ale Jeffrey zwietrzył okazję do zamanifestowania nieuprzejmości, i ani myślał ją przepuścić.

– W takim razie sok pomarańczowy!

Przy tylnych drzwiach rozległ się tupot stóp i do środka wpadła grupka chłopców.

– Jest wujek Roland?

– Jeszcze nie. Jest wujek Mannix.

Chłopcy się przedstawili: Philippe, Claude, Bruce i Doug – czterech siostrzeńców Mannixa. Wszyscy go uściskali, co mnie się wydało wzruszające, a potem Philippe otworzył swój prezent – strój piłkarski Chelsea na nowy sezon.

– Jessss! – krzyknął. – Jesteś cudowny!

Ani Betsy, ani ja nie wzbudziłyśmy zainteresowania czterech chłopców, za to skupili się na Jeffreyu.

– Za kim jesteś? – spytał go Philippe.

– Za kim? – nie zrozumiał Jeffrey. – W piłce nożnej?

– Albo w rugby... – Philippe tracił zimną krew.

– Za nikim. Kibicowanie zespołom jest dla idiotów.

Zmartwiałam.

– Jeffrey, proszę.

– Wiem, jestem tylko dziewczyną – włączyła się Betsy – ale uwielbiam Chelsea! Chodźcie, chłopaki, może wyjdziemy na podwórko i pogramy?

– Też idziesz? – pokornie spytał Jeffreya Philippe. – Bo byłoby nas po równo.

Ale Jeffrey go zignorował.

– Ja pójdę – zaproponował Mannix.

– Hurraaa!

Weszli się przywitać mężowie – Jean-Marc nie był tak atrakcyjny, jak sugerowały skojarzenia z jego imieniem, a Harry miał spory brzuch, ale byli przyjaźni i mili.

– Mamy paszteciki i różne inne rzeczy. – Rosa podsunęła mi półmisek. – A jak przyjedzie Roland, będziemy mieli tort.

Niedługo później chłopcy podnieśli wrzawę:

– Wujek Roland, wujek Roland!

Wszedł w marynarce o wymyślnych kłapach i cały w uśmiechach. Ofiarował Philippe’owi strój wyjazdowy Chelsea, a siostrzeniec najwyraźniej nie był w stanie pojąć takiego zbiegu okoliczności, choć

bardzo, bardzo się starał.

– Wujek Mannix dał mi strój domowy, a ty dałeś mi wyjazdowy! Ale mam szczęście!

– Niesamowite – potwierdził Mannix z powagą.

– Można by pomyśleć, że współpracowaliśmy – powiedział Roland. I wymienili z Mannixem dyskretne uśmiechy, wstrząsająco bliźniacze.

– Witaj, mój panie! – Roland podszedł do Jeffreya. – My się chyba jeszcze nie znamy.

– Nie...

– Bardzo mi miło cię poznać.

– Mnie również.

Mało się nie roześmiałam. Jeffrey się roztopiał na moich oczach.

– A ty zapewne jesteś Betsy?

Betsy mało czy nie wyszły z orbit na hipsterski wygląd Rolanda, ale była grzeczna i ujmująca.

Wreszcie Roland zwrócił się do mnie.

– Stello! – Zamknął mnie w swoim potężnym uścisku, a potem odsunął na długość ramion, by uważnie mi się przyjrzeć.

– Świetnie wyglądasz. Za każdym razem, gdy cię widzę, jesteś jeszcze piękniejsza.

– Ty też świetnie wyglądasz, Rolandzie.

– Naprawdę? – Przesunął ręką po wypukłości swojego brzucha. – Nie żartujesz?

– Nie żartuję. – I nagle oboje aż zgięliśmy się w pół, wybuchając śmiechem.

W drodze do domu Betsy była zdecydowanie pozytywnie nastawiona.

– Te dzieciaki są super, naprawdę miłe. Wypas!

– To kim one dla nas są? Przyrodnimi kuzynami? – Jeffrey miał obsesję na punkcie takich rzeczy.

– Przyjaciółmi, mam nadzieję.

– Teoretycznie nie mogą być przyrodnim niczym, dopóki my ze Stellą nie weźmiemy ślubu – zauważył Mannix.

– Do tego nie dojdzie. – Jeffrey spiorunował go wzrokiem.

Mannix otworzył usta. Zerknęłam na niego znacząco, i wtedy czym prędzej je zamknął.

– Wujek Roland ma dziewczynę? – spytała Betsy.

– Nie nazywaj go tak! – warknął jej brat.

– Dobra. Roland ma dziewczynę? Czy jest sam?

– W tej chwili jest sam – odrzekł Mannix. – Ale gdyby nie był, i tak nie miałby dziewczyny.

– Jest gejem? – spytała Betsy. – O, mnie się to podoba.

Zaparkowałam przed domem i wszyscy wysiedliśmy.

– O, twój babski samochód – powiedział Jeffrey do Mannixa. – Możesz jechać do domu.

– Mannix wchodzi do nas – odparłam. – Je z nami kolację. – Delikatnie, a zarazem stanowczo próbowałam wcisnąć Mannixa do naszego życia.

– To nasz weekend z naszą mamą – ciągnął Jeffrey. – Następny weekend spędzamy z tatą i wtedy możecie robić, co się wam podoba. – Przełknął ślinę. – A teraz do widzenia.

Ponaglił Mannixa ręką.

– Już. Zrobiliśmy, co chciałeś: poznaliśmy twoich siostrzeńców, którzy, nawiasem mówiąc, są bandą frajerów, poznaliśmy twoje siostry i ich problemy z alkoholem i twojego brata, który niedługo spase się na śmierć.

– Jeffrey! – krzyknęłam.

– Jedź do domu. Musimy z siostrą pojechać w różne miejsca i mama musi nas zawieźć.

– Georgie chce cię poznać.

– Mannix, ja nie chcę poznawać Georgie. Boję się jej.

– Musisz poznać Georgie. Jeśli mamy to wszystko zrobić jak należy, musisz poznać wszystkich.

Tak więc zarezerwowano stolik w Dimants. Na dwie osoby.

– Jak to na dwie? – spytałam spanikowana. – Dlaczego ty nie idziesz?

– Ona chce się z tobą spotkać sam na sam.

– Nie musimy robić wszystkiego, co ona chce.

– Musimy. Poznaj ją. Przekonasz się.

Stolik zarezerwowano na dwudziestą, więc przyjechałam na dwudziestą.

– Jest pani pierwsza – powiedziała kelnerka.

Usiadłam przy stole, minuty mijały, aż o dwudziestej osiemnaście postanowiłam wyjść, żeby zachować resztki godności.

I wtedy ją zobaczyłam.

Karen mówi, że nie ma czegoś takiego jak „za chuda”, ale ona była za chuda. Jeszcze chudsza niż wtedy w szpitalu. Niosła torebkę wielkości nissana micry i była ubrana cała na czarno, oprócz niesamowitego tekstylnego naszyjnika z wielkim zielonym klejnotem.

Podeszła do mnie szybkim krokiem, ucałowała w oba policzki i potraktowała wiewem dziwnych, przyprawowych perfum, a potem usiadła naprzeciwko. Oczywiście miała zapadnięte, ale była piękna.

– Nie sztorcuj mnie, proszę, za to spóźnienie – zwróciła się do mnie. – Wiesz, jak to jest. Korki, parkowanie...

Co prawda ja też miałam do czynienia z korkami i parkowaniem i jakoś zdołałam przybyć punktualnie, ale już zdążyłam pojąć, że do Georgie stosowały się inne zasady.

Spojrzała mi prosto w oczy i powiedziała:

– Nie musisz mieć poczucia winy w związku z Mannixem.

– Ja...

– Może coś wyjaśnię. Nie byliśmy dla siebie zbyt dobrzy. On bywa trudny. I ja też.

Zaoponowałam, nie chcąc jej urazić.

– Naprawdę jestem – upierała się. – Jestem pesymistką, mam humory i wpadam w straszne doły. Wychodzę z siebie. I jestem bardzo wrażliwa.

Z wahaniem kiwnęłam głową. Nigdy jeszcze nie słyszałam, żeby ktoś siebie opisywał w taki sposób.

Była hipnotyzująca. Bardzo, bardzo... długa. Wszystko w niej – jej kończyny, włosy, rzęsy, nawet palce u dłoni – wydawało się wydłużone. Kojarzyła się z Iggym Popem.

Nagle zaniósła się śmiechem.

– Przepraszam – powiedziała. – Nie mogę się powstrzymać przed porównywaniem nas.

– Ja też. – I tak zostałam przyjaciółkami.

– Twoje perfumy...? – Nagle zrozumiałam. – To kompozycja na zamówienie, tak?

– Oczywiście. – Usłyszałam w jej głosie zaskoczenie. Jakby to naprawdę było dziwne, że perfumy mogą nie być na zamówienie. – Jest taki człowiek w Antwerpii, magik, po prostu magik. Musisz do niego pojechać. W kolejce czeka się sześć lat, ale jak powiesz, że jesteś moją koleżanką, spotka się z tobą.

– Więc dużo jeździsz do Belgii? Po zakupy do twojego butiku?

– Jakież pięć razy w roku.

– Piękny masz ten naszyjnik – oznajmiłam. – To jednego z tych szalonych belgijskich projektantów?

Od razu zaczęła go zdejmować.

– Weź go – powiedziała. – Jest twój.

– Nie, daj spokój. – Odepchnęłam jej rękę. – Nie chciałam... Georgie, proszę cię, nie.

Ale z nią nie było się co kłócić. Już się poderwała ze swojego krzesła i zapinała naszyjnik na mnie. Na koniec ułożyła mi włosy wokół niego. A potem usiadła z powrotem i podziwiała swoje dzieło.

– Widzisz? Stworzony dla ciebie. Jak mój mąż.

– Przepraszam – szepnęłam.

– Żartowałam! W ogóle nie mam z tym problemu. Naprawdę. Między Mannixem a mną się nie układało. Ja jestem niezwykle wrażliwa. Jak koń wyścigowy. Podczas gdy on... on jest stateczny, opanowany. Ty jesteś wrażliwa i... och, Boże, Stello, nie odbierz tego źle, ale jesteś solidna. On potrzebuje kogoś takiego jak ty. – Przyjrzała mi się. – Na swój zwyczajny sposób jesteś naprawdę bardzo ładna.

Dotknęłam naszyjnika. Strasznie źle się z nim czułam. Nie chciałam, żeby myślała, że o niego prosiłam. Ja tylko, do cholery, wyraziłam podziw. Starłam się być miła.

– Nie można by cię określić mianem klasycznej piękności – rozmyślała na głos. – Ale masz uroczą twarz.

– On był bardzo drogi? – spytałam zdenerwowana.

– Zależy, co dla ciebie jest drogie. Nie musisz go trzymać w sejfie. Masz sejf, prawda? Nie? A, no to trzymaj go po prostu w kasetce na biżuterię. Obiecuj, że będziesz go często nosić. Codziennie. Nefryt zapewnia ochronę, a wyczuwam, że będziesz jej dużo potrzebować.

Zanim zdążyłam na dobre przerazić się jej słowami, dodała:

– Mam wyrzuty sumienia z powodu tego, co powiedziałam w szpitalu wtedy w Boże Narodzenie. Sugerowałam, że czegoś ci brakuje. Ale wtedy byliśmy dla siebie po prostu okrutni, ja z Mannixem. Traciłam męża i to... bolało.

– W porządku. Zresztą nie wyglądałam wtedy najlepiej. Bez makijażu, i miałam wielomiesięczne odrosty.

– A ja w tym czasie bzykałam się ze swoim nauczycielem medytacji. Który, z ręką na sercu, był potwornie nudny. Uduchowieni ludzie często są nudni, nie sądzisz? Nie miałam prawa drwić z romansu Mannixa. A jak wam idzie? Słyszałam, że twój syn nie akceptuje tego związku?

– Nie...

– A nie możesz po prostu powiedzieć „przyzwyczajasz się”?

– To mój syn. Zniszczyłam jego świat i muszę się przejmować jego uczuciami.

– A jak twój eks? Pomaga?

– Nie. – Nagle poczułam, że zbiera mi się na płacz.

Uzgodniliśmy z Ryanem, że aby dzieci miały poczucie bezpieczeństwa, mieszkają ze mną w dni powszednie. Co drugi weekend nocują u Ryana i przez te cenne dwa dni co dwa tygodnie mogę się widywać z Mannixem, jak chcę, uprawiać z nim seks, kłaść się z nim do łóżka i budzić się przy nim.

– Czasami Ryan w ostatniej chwili odwołuje swoje weekendy – powiedziałam.

– I co się dzieje, kiedy nie możesz się spotkać z Mannixem? Jak sobie radzisz z seksem?

Spąsowiałam. Czy to naprawdę była sprawa Georgie Dawson?!

– Boże, przepraszam cię, Stello! – krzyknęła. – Powinnam pomyśleć, zanim otworzę usta.

Ale trafiła w sedno. Chociaż spotykaliśmy się od dwóch miesięcy, zmagaliśmy się z ogromnym

brakiem czasu dla siebie. Niekiedy pękaliśmy. Na przykład w ostatnią środę nakłamałam Karen, że mam wizytę u dentysty i pognałam przez całe miasto, by w strasznym, obskurnym kawalerskim mieszkaniu Mannixa odbyć z nim szalony seks. Innego dnia Mannix pojawił się w chwili, gdy zamykałam salon, i powiedział: „Wiem, że musisz odebrać dzieci, ale daj mi tylko dziesięć minut”. I siedzieliśmy w pustym salonie, trzymając się za ręce, a ja płakałam wycieńczona taką sytuacją – pragnęłam go i nie mogłam go mieć.

Permanentny brak był wyczerpujący i gorsze od niego było tylko jedno – starannie aranżowane, boleśnie niezręczne spotkania, gdy próbowałam połączyć swoje dwa światy.

– Rozumiem, że musisz dbać o wrażliwość swojego syna – ostrożnie powiedziała Georgie.

Szykowałam się na coś ciężkiego.

– Ale musisz też dbać o Mannixa – dodała.

To była przyjacielska porada, pochodziła z dobrego serca, lecz mnie przeraziła.

– A Roland? – spytała. – Czyż on nie jest powalający? To jest właśnie smutne w rozstaniach. Musisz się rozstać z całą rodziną.

– Tęsknisz za nimi? Jesteś samotna?

– Zawsze jestem samotna. – Choć wydźwięk tych słów był posępny, Georgie sprawiała wrażenie zadowolonej z siebie. – To prawda, Stello. Jestem najbardziej samotną kobietą na świecie.

– Ja będę twoją przyjaciółką – zaproponowałam z powagą.

– Już jesteś moją przyjaciółką. A ja twoją. Ale mogłabym mieć milion przyjaciół, a i tak bolałoby mnie tutaj. – Położyła dłoń na splocie słonecznym. – To niemal namacalne. Czuję tu czarny węzeł. Jednocześnie węzeł i ziejącą pustkę. Wiesz, jak to jest?

– Nie.

Byłam zafascynowana. Jeszcze nigdy nie spotkałam osoby z depresją. No, w każdym razie takiej bezgranicznie skupionej na sobie. A jednocześnie bardzo ją lubiałam.

– Może moglibyśmy zamieszkać w trójkę – powiedziałam.

Na to mocno się roześmiała i machnęła ręką lekceważąco.

– Tak się cieszę, że już nie muszę mieszkać z Mannixem. – I szybko dodała: – Bez obrazy. On jest świetny. Wiesz, że jest na antydepresantach?

– Mówił.

– Ale on nie ma depresji. Po prostu taki jest. Człowiek, który widzi zawsze szklankę w połowie pustą. Czasami mówi, że w ogóle nie dostał szklanki. Ale pokochasz jego rodziców!

– Naprawdę?

– Są tacy zabawni!

– A co z hazardem, z tymi obrazami, na które ich nie stać, i tak dalej?

Wzruszyła ramionami.

– Wiem, wiem. Ale to tylko pieniądze, prawda?

Nie.



Cześć. Mam dużo roboty. III wojna światowa. Nie mogę wziąć dzieci w ten weekend. Strasznie mi żal. Ryan  
XOXO

Z niedowierzaniem wpatrywałam się w telefon. Była siedemnasta trzydzieści w piątek, dzieci czekały pod szkołą, aż ojciec je odbierze, torby spakowane, bo ojciec ma je zabrać na weekend, a on odwołuje? Znowu?!

Od razu do niego zadzwoniłam, lecz połączyłam się z pocztą głosową. Drżącymi w furii palcami wystukałam esemesa, że ma natychmiast odebrać, albo przyjadę z dziećmi spotkać się z nim osobiście.

– Cześć, Stella!

– Ryan? Ryan?!

– Tak, szaleństwo tu mam. Będę pracował cały weekend. Nagła sytuacja.

Kłamał. Gdy byliśmy małżeństwem, nigdy nie miał nagłych sytuacji w weekendy. Prawda wyglądała tak, że dzieci go nudziły – kiedy mieszkaliśmy w czwórkę, mógł się wymknąć cichaczem, gdy chciał, ale żeby czterdzieści osiem godzin w pojedynkę dostarczać rozrywki i uwagi? To nie na jego siły.

– Ryan – ledwie mogłam mówić. – Dzieci czekają pod szkołą na ciebie.

– Fatalnie, co?

– Przecież nie widzisz ich w tygodniu.

– To dla ich dobra. Uzgodniliśmy przecież. Jak najmniej zamętu w dni powszednie.

– A kto im powie, że nie przyjdiesz?

– Ty.

– To są również twoje dzieci – syknęłam.

– Ty doprowadziłaś do tej sytuacji – odsyknął.

Miał rację. Nic nie mogłam na to powiedzieć.

– Jaka szkoda – kontynuował – że przejdzie ci koło nosa weekend bzykania z doktorkiem na wydmach Wicklow. No ale tak to w życiu bywa.

Rozłączył się, a ja nie mogłam oddychać. Miałam wrażenie, że zapada mi się klatka piersiowa. Godzenie Ryana, Jeffreya i Mannixa wykańczało mnie. W nieustannej ekwilibrystyce rozpaczliwie starałam się ich zadowolić, a im bliżej piątku, tym większy czułam strach, że Ryan odwoła spotkanie. Nigdy się nie odprężałam, ani przez chwilę nie czułam się swobodnie z własnym życiem, a nie miałam prawa nikogo poprosić, by dał mi trochę luzu, bo sama doprowadziłam do tej sytuacji.

– Mannix? Nie mogę się z tobą spotkać. Ryan nie weźmie dzieci.

Telefon rozgrzał się od milczącego napięcia.

– Mannix, powiedz coś do mnie, błagam.

– Stello... Mam czterdzieści dwa lata. Traktuję ten związek poważnie. Traktuję poważnie ciebie. Chcę być z tobą całą dobę na okrągło, a nie dwie noce co dwa tygodnie, a czasami nawet rzadziej. Jestem bez ciebie samotny. Każdą noc spędzam w strasznym wynajętym mieszkaniu, a ty sześć kilometrów ode mnie śpisz sama w łóżku.

Nic nie powiedziałam. Była to znajoma kwestia i chwilami bałam się, że Mannix mnie porzuci.

– Jesteśmy dorośli – kontynuował. – Nie powinniśmy tak żyć. Wiesz, co do ciebie czuję, ale nie wiem, jak długo jeszcze dam radę trwać w tym weekendowym układzie.

Strach ścisnął mi serce.

– A więc tak naprawdę cię nie obchodzę.

– Nie możesz tak mówić. To prawdziwe życie, a ono nie jest czarno-białe. Tu są same szarości.

– Ale...

- Choć jesteś świetna w seksie na telefon, to już nie wystarcza.
- Jestem w tym dobra? – Postanowiłam, że skupię się na pozytywnej części jego wypowiedzi.
- Niesamowita – odrzekł. – Tylko dlatego jeszcze nie zrezygnowałam.

– Kochana, strasznie przepraszam za spóźnienie! – Georgie pędziła przez całą restaurację do stolika, przy którym czekałam na nią z Karen. – Wszystko przez viagrę. – Uściskała mnie serdecznie. – Tak, byłam z nowym facetem, a on wziął dwie niebieskie pigułki rozkoszy i wszystko się przeciągnęło o całą epokę. – Jęknęła i wzniosła oczy do nieba, a potem skierowała swój promienny uśmiech na Karen. – Cześć, jestem Georgie. A ty zapewne jesteś Karen.

Karen w milczeniu skinęła głową. Nalegała na to spotkanie, wręcz mnie o nie błagała, bo na punkcie Georgie Dawson miała fioła, zgoła niezdrową obsesję. W kółko powtarzała niby to smutnym głosem: „Powinniśmy być bardzo miłe dla najbardziej samotnej kobiety na ziemi”.

– Słowo daję – Georgie usiadła i głośno wypuściła powietrze – myślałam, że on nigdy nie dojdzie.

– Ale masz piękną torebkę – odezwała się wreszcie Karen.

– Dziękuję. Na koniec poprosił, żebym się położyła w wannie i udawała topielca. WaliJCzyCY, i możecie mi wierzyć, że nie przesadzam, są strasznie perwersyjni.

– Bardziej niż Mannix? – spytałam, ale tylko po to, żeby ją rozśmieszyć.

– Ten niewinny chłopczyk?! – W jej oczach błysnęło ubawienie. – Och, Stello, ależ z ciebie żartownisia.

– To Marni? – Karen żałośnie gładziła powietrze nad torebką Georgie. – Mogę jej dotknąć? Nigdy nie dotykałam prawdziwej marni.

– Naprawdę?! No to musisz ją wziąć. – Georgie w jednej chwili zaczęła wyciągać na stół zawartość swojej torebki.

– Nie – zaoponowałam przerażona. – Georgie, nie. Ona jej nie chce. Karen, powiedz Georgie, że nie chcesz tej torebki.

– Och, mój kolczyk z peridotem – ucieszyła się Georgie. – Wiedziałam, że jeszcze się znajdzie. – Na stole rósł stos przedmiotów: klucze, portfel, okulary przeciwsłoneczne, telefon, guma, kilka cieniutkich srebrnych bransoletek, buteleczka perfum, pięć czy sześć błyszczków, puder Sisleya...

– Proszę bardzo. – Georgie podała pustą torebkę mojej siostrze.

– Och, błagam. – Schowałam twarz w dłoniach.

– Stello, to tylko przedmiot – zapewniła Georgie.

– Dokładnie – powiedziała Karen, tuląc torebkę do piersi. Wyglądała przy tym jak Gollum z pierścieniem. – To tylko przedmiot.

– A co u ciebie, moja słodka? – spytała Georgie mnie.

Karen przywołała kelnerkę i poprosiła o papierową torbę na rzeczy Georgie.

– Muszę cię przeprosić za moją siostrę – zwróciłam się do niej.

– Wszystko super. – Georgie zbyła moje rozterki. – Powiedz, co u ciebie, Stello. Jak twój rozwód?

– W sumie nieźle.

– Mój też!

Obie wybuchnęłyśmy śmiechem.

Na uzyskanie rozwodu musieliśmy z Ryanem czekać pięć lat. Ale nasze uzgodnienia majątkowe przebiegły zaskakująco gładko – prawdopodobnie dlatego, że tak mało posiadaliśmy: żadnych akcji, żadnych udziałów ani planu emerytalnego. Nasz dom wraz z hipoteką został przepisany na mnie, podczas

gdy Ryanowi przypadł dom w Sandycove i kredyt przewyższający wartość nieruchomości. Ponieważ Ryan zarabiał o wiele więcej ode mnie, zgodził się pokryć wszystkie wydatki na utrzymanie Betsy i Jeffreya, w tym opłaty za szkołę, dopóki dzieci nie osiągną pełnoletności. Poza tym osiągnęliśmy stan całkowitej rozdzielności majątkowej.

O wiele trudniej było uregulować opiekę nad Betsy i Jeffreyem.

– Musimy porozmawiać o opiece – przypatrywałam się Ryanowi siedzącemu po drugiej stronie biurka mojego prawnika.

– O opiece – powtórzył mój prawnik.

Prawnika Ryana natychmiast dołączył.

– Mój klient ma prawo widywać się z dziećmi. Już i tak daje dowód szczodrości, że zgadza się na pani wyłączny kontakt w dni szkolne.

Westchnęłam.

– Ja bym chciała, żeby pański klient przestał w ostatniej chwili się wykręcać w weekendy, w które powinien zajmować się dziećmi.

Ale najwyraźniej prawnie nie można było tego wymusić.

Gdy na koniec staliśmy przed budynkiem, Ryan rzekł:

– Tak więc nasz rozwód jest w toku. Jak się czujesz? Bo mnie jest strasznie smutno.

Wbiłam w niego twarde spojrzenie. Nie było mu smutno.

– Ryan, błagam. Musisz zabierać dzieci na weekendy. I brać ja na tydzień na wakacje, kiedy mają wolne w szkole.

– A ty co będziesz robić w tym czasie? Jeździć do domku ze swoim neurologiem?

– To już nie jest mój neurolog. I mam prawo do swojego życia. Jeden tydzień, Ryan, o nic więcej nie proszę. Mam je przez całe lato.

– Dobra – burknął. – Zorganizuję coś.

– Za granicą – dodałam. – Nie w Irlandii.

Zabrał dzieci do zapuszczonego hotelu w Turcji i co wieczór wychodził na podryw, bo nagle zdał sobie sprawę, że jest wolny i może uprawiać seks, z kim chce. Dzieci wieczorami siedziały zamknięte w pokoju, oglądały filmy na swoich laptopach, a rano czekały, aż Ryan wróci do domu.

– Tak nie może być – powiedziała z powagą Betsy w jednej z naszych niezliczonych rozmów telefonicznych.

– A co myśli Jeffrey? – bardzo chciałam usłyszeć, co sądzi o życiu seksualnym Ryana, skoro miał takie nieprzejednane zdanie na temat mojego.

– Jeffrey mówi, że tata może robić, co mu się podoba.

– Doprawdy? Bo...

Jeffrey chwycił telefon.

– Ty to zaczęłaś. Tata nie miałby innych dziewczyn, gdybyś go nie zdradziła.

– Nie zdradziłam.

– On się stara jakoś odnaleźć w sytuacji.

Byłam pewna, że Jeffrey powtarza słowa Ryana. Ale nie mogłam sobie pozwolić na złość, bo miałam swój tydzień z Mannixem w domku na plaży.

Pewnego dnia w czasie tego błogiego tygodnia Mannix spytał:

– Moglibyśmy mieć psa?

– Kiedy?

– Nie w tej chwili, oczywiście. Kiedyś w przyszłości. Zawsze chciałem mieć psa, ale Georgie mi nie pozwalała.

- Też kocham psy. – Ucieszyłam się. – Ale Ryan ich nienawidzi, więc musiałam zapomnieć, jak bardzo je kocham. A jakiego będziemy mieli?
- Pasterskiego?
- Zdecydowanie. Może collie?
- Może nazwiemy go Shep?
- Właśnie! Shep!
- Będziemy tu sobie chodzić po plaży, tylko ty, ja i Shep. Będziemy rodziną. Obiecuj, że pewnego dnia, kiedy już spadnie na nas twoja katastrofa i ją przeżyjemy, tak właśnie będzie.
- Obiecuję.
- Naprawdę?
- Może. Kto wie? Ale fajnie okazać trochę optymizmu.

Gdy tylko Ryan wrócił do Irlandii, znowu zaczął odwoływać weekendy. Zaprezentował też dziewczynę, pierwszą z wielu, a wszystkie były niemal identyczne. Każda zrywała z nim po ośmiu tygodniach.

Pierwsza miała na imię Maya – dwadzieścia parę lat, perfekcyjnie wyrysowane brwi, jedenaście kolczyków.

Betsy jej nie zaakceptowała.

– Widziałaś jej buty? Są takie wysokie. Ukradła je jakiejś drag queen?

– Tak gadasz, bo sama wyglądasz jak amiszka. – Jeffreyowi Maya się bardzo podobała. – Jest śliczna.

Ma tatuaż na tyłku.

– Pokazała ci go? – Teraz nadeszła moja kolej na niepokój.

– Mówiła. Delfinka.

Delfinek? Na miłość boską. Odrobina oryginalności by ją zabiła?

I tak lato mijało, a ja żyłam w ciągłym strachu, trzymając się chwil przeżywanych z Mannixem i czekając, aż on uzna, że nie jestem warta zachodu.

I wtedy nadszedł ten generalnie zwyczajny dzień pod koniec sierpnia. Skończyłam pracę i wpadłam do domu po dzieci; wybieraliśmy do Dundrum na zakupy przed rozpoczęciem nowego roku szkolnego.

– Dzieci! – Stałam w progu i potrząsnęłam kluczykami. – Jedziemy.

– Widziałaś to? – spytała Betsy nieufnie.

– Co dokładnie?

– To. – Zdjęcie Annabeth Browning, uzależnionej od leków żony amerykańskiego wiceprezydenta, ukrywającej się w klasztorze, nad lekturą mojej książki.

Jeden szybki telefon później ustaliłam, że to kleptomańska koleżanka siostry wujka Petera była najprawdopodobniej powodem, dla którego książka pojawiała się w Dystrykcie Kolumbii, i zdjął mnie strach. Który wzrósł gwałtownie, gdy zadzwoniła Phyllis Teerlinck i zaproponowała, że będzie mnie reprezentować. Kiedy tylko się rozłączyła, telefon ponownie zadzwonił. Zaczekałam, aż włączy się sekretarka; tym razem dzwoniła jakaś dziennikarka. Nagrała się i telefon znowu zadzwonił. I znowu. I znowu.

Zupełnie, jakbyśmy znaleźli się w oblężonej twierdzy. Siedzieliśmy i patrzyliśmy na dzwoniący telefon, aż Betsy się zerwała, wyciągnęła wtyczkę z gniazdka i oznajmiła:

– Musimy zadzwonić po ciocię Karen.

– Nie – odezwał się Jeffrey. – Musimy dzwonić po doktora Taylora.

Zaskoczył mnie tym całkowicie. W ciągu czterech miesięcy, odkąd się poznali, Jeffrey jeżył się wrogo na najmniejszą wzmiankę o Mannixie.

– Zadzwoń do niego, mamó. On będzie wiedział, co robić.

Więc zadzwoniłam.

– Mannix, potrzebuję cię.

– Doobra – rzekł cicho. – Daj mi tylko chwilę, żebym zamknął drzwi... – Myślał, że znowu bawię się w sekstelefon. Spędzaliśmy razem tak mało czasu i te nieliczne chwile były tak nieprzewidywalne, że wykorzystywaliśmy każdą nadarzącą się okazję.

– Nie, nie o to chodzi. Jak szybko możesz tu przyjechać? Wyjaśnię ci wszystko po drodze.

Wpuściłam Mannixa do domu.

– Na ulicy są fotoreporterzy – powiedział.

– O mój Boże! – wystawiłam głowę, i natychmiast ją schowałam. – Czego chcą?

– Trzy razy Happy Meal i McFlurry z malteserami.

Spojrzałam na niego groźnie, a on wybuchnął śmiechem.

– Pewnie chcą zrobić zdjęcia.

– Mannix, to nie jest śmieszne.

– Przepraszam. Cześć, Betsy, cześć, Jeffrey. Mogę zaciągnąć zasłony i opuścić żaluzje? Dopóki ci ludzie są na zewnątrz. I pokażcie mi tę gazetę.

Jeffrey rozłożył ją przed Mannixem.

– Zadzwońska tu jakaś Phyllis Teerlinck – powiedział. – Chce być mamy agentką literacką. Wygooglowałam ją. Ma mnóstwo autorów. Mama niektórych zna. Zobacz. – Jeffrey wyświetlił stronę

Phyllis Teerlinck.

– Niezła robota – pochwalił go Mannix, a mój syn zarumienił się odrobinę. – Wiecie, co ja myślę?

Jeśli jeden agent się interesuje...

– ...inni na pewno też. Tak właśnie sędzę! – wykrzyknął Jeffrey.

– Naprawdę? – zatkało mnie. – Czemu tego nie powiedziałaś?

– Czekałem na rozmowę z dokt... z Mannixem.

– Mamy się rozeznąć? – spytał Mannix.

Nie mogłam się pozbierać od mieszanki ekscytacji, strachu i ciekawości.

– Dobra.

Mannix zaczął klikać w swojego iPada.

– Sprawdźmy może z pięć największych amerykańskich agencji.

– Tylko nie największych! Może jakieś małe, miłe.

– Nie! – zaoponował Jeffrey.

– On ma rację. Lepiej uderzyć do najlepszych. Co masz do stracenia? Dobra, mam tu osobę, która zajmuje się poradnikami w Williamie Morrisie. Jeffrey, ty sprawdź, w których agencjach są książki z listy bestsellerów „New York Timesa”. Skup się na poradnikach. Gdzie mój telefon? – Wcisnął parę guzików i słuchał. – Poczta głosowa – powiedział do mnie bezgłośnie, i zaczął się nagrywać: – Dzwonię w imieniu Stelli Sweeney. Napisała książkę, którą czyta Annabeth Browning w najnowszym numerze „People”. Ma pan pół godziny, żeby oddzwonić.

Rozłączył się i spojrzał na mnie.

– Co?

– Pół godziny?

– W tej chwili masz ogromną siłę przebicia. Możemy walczyć bezpardonowo.

– Bezpardonowo?

– Tak, bezpardonowo.

Wybuchnęliśmy śmiechem, który nosił znamiona szaleństwa.

– Mam tu jeszcze jedną agencję – zameldował Jeffrey. – Curtis Brown. Duża i mają paru autorów poradników.

– Dobra robota – pochwalił go Mannix. – Chcesz do nich zadzwonić?

– O nie! – odparł Jeffrey nieśmiało. – Ty zadzwoń. Ja będę dalej szukał.

Tak więc Jeffrey rozpracowywał listę bestsellerów „New York Timesa”, wyszukiwał autorów poradników, a potem googłował, aż znalazł nazwę agencji i numer telefonu, po czym Mannix dzwonił i zostawiał ultimatum: oddzwonić w ciągu pół godziny albo straciecie szansę na reprezentowanie Stelli Sweeney.

Jako pierwszy oddzwonił człowiek z Williama Morrisa. Mannix włączył głośnomówiący.

– Doceniam, że się państwo ze mną skontaktowali. Ale muszę spasować. W chwili obecnej nie chciałbym, by łączono mnie z Annabeth Browning.

– Dziękuję, że poświęcił nam pan czas.

To szalone, ale zmartwiłam się. Jeszcze niespełna pół godziny temu w życiu nie rozważałabym, że chcę mieć agenta, ale teraz poczułam się odrzucona.

– Niech spada – skwitował Jeffrey.

– Właśnie – poparła go Betsy. – Frajer.

Agent z Curtis Brown też mnie nie chciał.

– Rynek jest nasycony poradnikami.

Gelfman Schneider także spasował – również nie chciał być powiązany z Annabeth Browning. Page

Inc. nie przyjmowało w tej chwili żadnych nowych klientów. A Tiffany Blitzer obawiała się, że „Annabeth Browning okaże się kulą u nogi”.

Zanim Betsy z powrotem wsadziła wtyczkę do gniazda i Phyllis Teerlinck znowu zadzwoniła, czułam się skarcona i nastawiona na to, że zgodzę się na wszystko, czego ona zechce.

– Słyszałam, że obdzwoniła pani wszystkie agencje – powiedziała.

– Ekhm... cóż...

Mannix przejął ode mnie telefon.

– Pani Teerlinck? Stella porozmawia z panią za piętnaście minut.

Wstrząśnięta patrzyłam, jak się rozłącza.

– Mannix!

– Zerknąłem szybko na jej standardową umowę z klientem: bierze większą prowizję niż pozostali, jej definicja „własności intelektualnej” jest na tyle szeroka, że obejmuje chyba nawet twoją listę zakupów, i chce trzydzieści procent od wszystkich praw filmowych, telewizyjnych i audiowizualnych, i ma klauzulę „na zawsze”, co oznacza, że jeśli zmienisz agencję, nadal będziesz płaciła jej prowizję. I jej, i nowemu agentowi.

– O Boże. – Nie do końca rozumiałam, co Mannix mówi, ale rozumiałam tyle, by źle się poczuć. To się nie działo naprawdę. Żaden prawdziwy agent się mną nie interesował. To całe zajście było jak otrzymanie spamu, w którym pisali, że wygrałeś milion euro, podczas gdy tak naprawdę chcieli szczegóły twojego konta.

– Czyli ona jest złą agentką? – spytała Betsy.

– Nie – odrzekł Mannix. – Najwyraźniej jest bardzo dobrą agentką. Zwłaszcza jeśli wobec wydawców jest równie twarda jak dla autorów. Ale – spojrzał na mnie – mogę ci wynegocjować lepsze warunki.

– Sama mogę to zrobić – odparłam.

Wszyscy jednak wiedzieli, że jestem beznadziejną negocjatorką: słynęłam z tego. W pracy Karen odpowiadała za wszystkie zakupy, bo ja nie miałam odwagi targować się o upusty.

– Pozwól, że ja to dla ciebie zrobię – rzekł Mannix.

– Dlaczego ty miałbyś być w tym dobry?

– Mam mnóstwo doświadczenia. Zawarłem mnóstwo układów, żeby wydobyć Rolanda z kłopotów.

– Moim zdaniem Mannix powinien się tym zająć – odezwał się Jeffrey.

– Moim też – dodała Betsy.

– Ufasz mi? – spytał Mannix.

Oto było pytanie. Nie zawsze. Nie we wszystkim.

– Nie zobowiązę cię do niczego – dodał. – Niczego nie obiecuję w twoim imieniu. Ale jeśli postanowisz z nią współpracować, warunki będą przyzwoitsze.

– Pozwól mi, mam – powiedział Jeffrey.

– Mamo... – dodała Betsy.

– ...no dobra.

Betsy, Jeffrey i ja zaszyliśmy się w salonie i oglądaliśmy odcinki *Współczesnej rodziny*, a Mannix zorganizował sobie stanowisko dowodzenia przy kuchennym stole. Od czasu do czasu, w przerwach pomiędzy odcinkami, słyszałam, jak mówi coś w rodzaju „Siedemnaście procent?! W życiu! Dziesięć to maksimum”.

Jeszcze nigdy nie słyszałam, żeby tak się w coś angażował.

W pewnym momencie Betsy podkrađła się pod okno salonu i zerknęła na dwór.

– Zniknęli. Nie ma fotoreporterów.

– Dzięki Bogu – odetchnęłam. A jednocześnie trochę poczułam, jak mi spada pewność siebie.



Niesamowite, jaka byłam przekupna.

Po czterech odcinkach *Współczesnej rodziny*, czyli mniej więcej po półtorej godziny, Mannix odłożył słuchawkę i triumfalnie wkroczył do salonu.

– Gratulacje, masz agenta.

– Naprawdę?

– Jeśli chcesz, oczywiście.

– Co powiedziała?

– Zeszła z trzydziestu procent do siedemnastu przy prawach audiowizualnych, co oznacza, że naprawdę chce cię u siebie. To bardzo wielkie ustępstwo z jej strony. A w kwestii druku zeszła z dwudziestu pięciu do trzynastu. Byłem gotów przystać na piętnaście.

– No, no... świetnie!

– Trzeba jeszcze dograć szczegóły, ale to naprawdę mniej istotne. Co byś powiedziała, żeby tu jutro rano przyjechała?

– Gdzie?

– Tu. Do Dublina. Do Irlandii. Do twojego domu.

– Że co?! Jak to?

– Żeby mogła z tobą podpisać umowę.

– Boże, ależ jej się spieszy.

– Ma ofertę pre-empt od amerykańskiego wydawcy. Musi dopiąć umowę z tobą, żebyś mogła się umawiać z nimi.

– To znaczy, że ktoś proponuje pieniądze za moją książkę? – spytałam słabym głosem.

– Tak.

– Ile? – spytał Jeffrey.

– Dużo.

Nazajutrz o 7 rano porządkowałam z Jeffreyem kanapę w salonie, na której spał Mannix, gdy usłyszeliśmy, jak zatrzasują się drzwi samochodu.

Jeffrey wyjrzał przez okno.

– To ona!

Rzeczywiście, przysadzista kobieta o krótkich włosach, w skromnej czarnej spódniczce i żakiecie, płaciła taksówkarzowi. Wyglądała jak skrzyżowanie greckiej wdowy z buldogiem.

– Jest przed czasem – zauważyłam.

Z góry dobiegły nas piski Betsy:

– Przyjechała! Przyjechała!

Podeszłam do drzwi wejściowych.

– Phyllis?

– Stella? – Grzechotała kółkami walizki na wąskiej ścieżce.

Nie wiedziałam, czy podać jej dłoń, czy ją uściskać, ale ona wybawiła mnie od dylematu.

– Żadnych kontaktów fizycznych – oznajmiła. – Za dużo zarazków. Witam się tak.

Podniosła w górę prawą dłoń i pomachała nią, jakby wykonywała jednoręki *jazz hand*. Zrobiłam to samo, chociaż czułam się trochę durnie.

– Może wezmę twoją torbę?

– Nie. – Niemal mnie odepchnęła.

– Wejdz, proszę. To mój syn, Jeffrey. – Jeffrey stał w holu. Włożył na tę okazję białą koszulę i krawat.

– Żadnych uścisków dłoni – ostrzegłam go. – Phyllis macha ręką.

Phyllis znowu wykonała *jazz hand*, a Jeffrey uczynił to samo. Wyglądali, jakby witali się w scenie filmu science fiction.

Betsy zbiegła ze schodów, wyglądając jak biszkoptowy labrador – włosy wciąż miała wilgotne i pachnące po kąpieli.

– Nie ma mowy – powiedziała. – Ja po prostu muszę panią uściskać.

Rzuciła się Phyllis Teerlinck na szyję.

– Jeśli się zarazę grypą – wydusiła Amerykanka – to będzie twoja wina. I będziesz musiała opłacić rachunki za leczenie.

– Ale jest pani zabawna! – odparła Betsy.

– Chcesz się może położyć? – spytałam naszego gościa.

Popatrzyła na mnie, jakbym była niespełna rozumu.

– Zrób mi kawy i siadajmy do rozmowy.

Nagle jej spojrzenie przeniosło się z mojej twarzy za moje ramię – zobaczyła kogoś, kto się jej spodobał: z kuchni wyłonił się Mannix.

Odwróciłam się, by popatrzeć – był taki seksowny, że nie dowierzałam, że jest mój.

– A ty pewnie jesteś Mannix – powiedziała Phyllis.

– Phyllis? – Taksowali się wzrokiem jak dwójka bokserów przed wejściem na ring. – Słyszałem, że nie życzysz sobie żadnych kontaktów fizycznych?

– Dla ciebie chyba zrobię wyjątek – odpowiedziała zaskakująco kokieteryjnie. (Jak to później ujęła Betsy: „Byłam pewna, że jest lesbijką”).

– Może wszyscy przejdziemy do salonu? – zaproponował Mannix. – A ja przygotuję kawę.

– Dziękuję. – Byłam żałośnie wdzięczna. Mannix wykonujący najdrobniejsze domowe zadania przyprawiał mnie o drzenie serca. Kiedy widziałam go, jak nastawia w kuchni czajnik, wierzyłam w istnienie przyszłości, w której wszystko będzie normalne.

Stół jadalny czekał nakryty talerzami i serwetkami.

– Pieczywo! – powiedziała Phyllis.

– Mannix je przyniósł.

Wyszedł o szóstej rano do czynnego całą dobę zakładu i przyniósł całą torbę croissantów i muffinek.

– Czyli to nie ty je dla mnie upiekłaś?

– Och... upiekłabym, ale... – Ale nigdy niczego nie piekłam.

– Mamo... – powiedziała Betsy delikatnie. – Phyllis żartuje, bez beki.

Ku mojemu zaskoczeniu Phyllis Teerlinck nie przedstawiła długiej na kilometr ewidencji swoich alergii. Zjadła muffinkę – „Ależ to pyszne!”. Zjadła drugą, później trzecią, a potem wyjęła chusteczki dezynfekujące z torebki i starła z ust okruszki.

– Gdzie facet z kawą?

– Tu jestem – wszedł Mannix.

– Pojechałeś po ziarno do Kostaryki?

Mannix spojrzał na resztki na talerzyku Phyllis.

– Szybko jesz.

– Wszystko robię szybko – odparła. Znowu z zacięciem kokieteryjnym. – No to czas na rokowania. –

I zwracając się do mnie, dodała: – Dzieci mają tu siedzieć?

– Wszystko, co robię, dotyczy również ich – odparłam trochę wyzywająco. – Oczywiście, że mają tu siedzieć.

– Spokojnie, pytam tylko. No! – Wyjęła z torebki plik papierów, zapewne wydruk mojej książki, i machnęła nim w powietrzu. – Możemy z tym daleko zajść. Schudnij pięć kilo i zatrudnij agenta.

– Słucham?!

– Tak, do celów promocyjnych musisz być szczuplejsza. Telewizja dodaje pięć kilo i tak dalej.

– Ale...

– Szczegóły, szczegóły. – Machnięciem ręki zbyła moje oczywiste troski. – Znajdź sobie trenera osobistego, wszystko będzie dobrze.

– Naprawdę? – Nie podobał mi się kierunek, w jakim zmierzała ta rozmowa.

– Ej, wyluzuj, wszystko będzie świetnie. Najpierw musimy ustalić warunki pomiędzy tobą a mną. Masz poprawki? – Do chwili startu swojego samolotu przesyłała mejlem zmiany umowy. Mannix wydrukował ostateczną postać umowy i to ona leżała teraz na środku stołu.

– Zgadzasz się na zmiany? – spytała.

– Mniej więcej, pozostaje kwestia klauzuli numer czterdzieści trzy – odparłam.

– Która to? – Jakby nie wiedziała.

– Prawa na Irlandię. Chciałabym je zatrzymać.

Uśmiechnęła się przebiegle.

– Ty jesteś sentymentalna, ja mam gest. Zatrzymaj je.

Chwyciła plik papierów, wykreśliła klauzulę czterdzieści trzy, parafowała to, a potem umowę wraz z długopisem podsunęła mnie.

– Więc podpisz ją.

Zawahałam się.

– Masz wrażenie, że to doniosła chwila? – spytała Phyllis. – Owszem, śmiało, rozkoszuj się nią. Ale ona nie jest doniosła, to normalne rzeczy.

– Ty to chyba każdego umiesz zgasić – zauważył Mannix.

– Każdego potrafię sprowadzić na ziemię.

Podpisałam się na końcu dokumentu.

– Gratuluję, Stello Sweeney – powiedziała Amerykanka. – Jesteś klientką Phyllis Teerlinck.

– Gratulacje, Phyllis Teerlinck – dodał Mannix. – Jesteś agentką Stelli Sweeney.

– On mi się podoba – powiedziała do mnie moja agentka. – Jest niezły.

– Zawsze do usług – odrzekł Mannix.

– Więc powiedziałaś, że jakiś wydawca jest zainteresowany... – włączyłam się.

– Blisset Renown. Słyszałaś o nich? Wydawnictwo z grupy Multimedia Corp. Za dwadzieścia cztery godziny możemy mieć umowę. Nie chcą się licytować. To jednorazowa akcja.

– Ile..?

Wczoraj przez telefon Phyllis powiedziała Mannixowi, że dużo, ale nie podała konkretnej sumy, i wiele godzin dywagowaliśmy, co znaczy to „dużo”.

– Suma sześciocyfrowa.

Betsy głośno wciągnęła powietrze, a Jeffrey przełknął ślinę.

– Dolny zbiór sześciocyfrowych liczb – zastrzegła Phyllis. – Ale chyba mogę je podnieść do dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Przełom, co?

– O Jezus, tak. – W dobrych okresach zarabiałam czterdzieści tysięcy.

– Mogłabym otworzyć licytację dla wszystkich większych wydawnictw – podjęła Phyllis – ale Annabeth Browning jest elementem ryzykownym. Może być dobra dla tej książki. Może ją wypromować tak, że nas zbije z nóg. Nie wiadomo. Pomyślcie o tym. A tymczasem powiedzcie mi coś o was. Jesteście małżeństwem?

– Tak – odrzekł Mannix.

– No to dobrze.

– W zasadzie dwoma małżeństwami. Każde z nas ma swoje małżeństwo.

– No to niedobrze.

– Ale nie najgorzej – dodałam szybko. – Oboje się rozwodzimy.

– Więc po co ta zwłoka? Rozwiedźcie się i koniec.

– Nie możemy. W Irlandii przed orzeczeniem rozwodu małżonkowie muszą żyć osobno przez pięć lat. Ale w naszym wypadku to niewiele zmienia. Ryan i ja uzgodniliśmy wszystko, pieniądze, dzieci. Podobnie Mannix i Georgie. I wszyscy się kolegujemy. Wręcz przyjaźnimy. To znaczy, Ryan jeszcze nie poznał Georgie, ale ją pokocha. No bo wiesz, ja ją kocham, a powinnam jej nienawidzić, prawda? Oszalałająca była żona, to znaczy, prawie była żona... – Umilkłam.

– No to jak? – spytała Phyllis. – Blisset Renown? Czy idziemy w nieznane?

– Muszę podjąć decyzję w tej chwili?!

Wychyliła się do przodu i powiedziała mi prosto w twarz:

– Tak. W tej chwili.

– Potrzebuję czasu do namysłu.

– Nie masz czasu do namysłu.

– Przestań – odezwał się Mannix. – Tyranizujesz ją.

– Opowiedz mi o wydawcy.

– Nazywa się Bryce Bonesman.

– Jest miły?

– Miły? – Można by odnieść wrażenie, że Phyllis po raz pierwszy w życiu słyszy to słowo. – Chcesz, żeby był miły? Tak? No to jest miły. Może powinnaś go poznać. – Zastanowiła się chwilę. – Która godzina jest w Nowym Jorku?

– Trzecia nad ranem – odrzekł Mannix.

– Dobra. No to zadzwonię. – Phyllis postukała w klawiaturę telefonu. – Bryce? Obudź się. Aha. Tak. Tak. Ona chce wiedzieć, czy jesteś miły. Dobra. Tak. Tak. Rozumiem.

Rozłączyła się.

– Możesz jechać do Nowego Jorku? – spytała.

– Kiedy?

– A co dzisiaj jest? Wtorek? No to we wtorek?

W głowie mi się kręciło.

– Nie mam pieniędzy, żeby jechać do Nowego Jorku dla kaprysu.

– Ty nie płacisz! – prychnęła Phyllis. – Bryce Bonesman pokrywa koszty. Wszystkie. – Machnęła ręką zamasyście. – Dzieci też są zaproszone.

Betsy i Jeffrey zaczęli pisać i skakać po pokoju.

– Tylko na jeden dzień – dodała Phyllis. – Jutro wróćcie do domu.

– A Mannix? – spytałam. – Też jest zaproszony?

Phyllis znowu prychnęła.

– Oczywiście! To wszystko się stało dzięki niemu. I jest przecież twoim partnerem, prawda?

Spojrzelismy z Mannixem na siebie.

– Prawda!

Jeffrey w jednej chwili przestał pisać i skakać.

Odebrał nas długi lśniący wóz, a sąsiadka, która nigdy mnie nie lubiła, niemal zagotowała się we własnej żółci.

Zawieziono nas w nieznamy zakątek lotniska w Dublinie, a tam pachnąca urocza dama poprowadziła nas lśniącym korytarzem do pokoju z dziełami sztuki na ścianach, kanapami i pełnym barkiem. Nasz bagaż odwieziono, a pachnąca pani wzięła od nas paszporty i zwróciła je po chwili wraz z etykietami bagażowymi i kartami pokładowymi.

– Państwa bagaże odprawiono na lotnisko JFK – poinformowała.

Jeffrey spojrzał podejrzliwie na swoją kartę pokładową.

– Jesteśmy odprawieni? I nie musieliśmy stać w kolejce?

– Wszystko załatwione.

– Rany. Lecimy klasą biznes?

– Nie.

– Och.

– Lecicie państwo pierwszą klasą.

Dziesięć minut przed planowanym odlotem wsadzono nas do czarnego mercedesa – najdroższego mercedesa na ziemi, jeśli wierzyć słowom Jeffreya – i zawieziono jakieś pięć metrów od samolotu.

U szczytu trapu dwie stewardesy powitały nas po nazwiskach lub imionach:

– Doktorze Taylor, pani Sweeney, Betsy, Jeffreyu, witamy na pokładzie. Doktorze Taylor, pani Sweeney, zechcieliby państwo napić się szampana?

Spojrzeliliśmy z Mannixem po sobie, a potem zaczęliśmy się śmiać jak wariaci.

– Przepraszam – rzekł Mannix. – Jesteśmy trochę... Chętnie się napijemy szampana.

– Proszę przejść do kabiny pierwszej klasy, a ja zaraz przyniosę kieliszki.

Przeszliśmy za magiczną zasłonę.

– Jezu! – stęknął Jeffrey. – Te fotele są ogromne!

Podróż w luksusowych warunkach nie była dla mnie zupełną nowością – w szczytowym okresie fazy celtyckiego tygrysa poleciliśmy z Ryanem biznesklasą do Dubaju. (Całe to przedsięwzięcie było ostentacyjne i nowobogackie, ale wtedy wszyscy tak robili. Skąd mieliśmy wiedzieć). To jednak była inna liga. Fotele były tak ogromne, że mieściło się ich w rzędzie tylko cztery, po dwa po każdej stronie przejścia.

– Dobra, mamó. – Jeffrey nagle przejął dowodzenie. – Ty siadasz przy oknie. A ja obok ciebie. Tam siada Betsy, a Mannix przy drugim oknie.

– Ale... – Chciałam siedzieć z Mannixem. Chciałam się napić z nim szampana i cieszyć się każdą sekundą naszej wspólności i...

Mannix patrzył na mnie uważnie. Pozwolę na to Jeffreyowi czy nie?

– Chcę siedzieć obok Mannixa – powiedziałam słabo.

– A ja chcę siedzieć obok ciebie – odparł Jeffrey.

Wszyscy zamarliśmy. Nawet stewardesa, która właśnie podniosła zasłonkę, niosąc tacę z szampanem, zatrzymała się w progu. Betsy spuściła wzrok, przybierając swoją standardową postawę, że życie jest

doskonale, a Mannix i Jeffrey patrzyli na mnie. Nagle znalazłam się w centrum uwagi, a we mnie odezwało się poczucie winy, zawsze do usług.

– Usiądę z Jeffreyem.

Mannix spojrział na mnie gniewnie i odwrócił się plecami.

Jeffrey, zadowolony z siebie i zwycięski, usadowił się koło mnie i przez następne siedem godzin opuszczał i podnosił oparcie. Opuszczał i podnosił oparcie. Opuszczał i podnosił oparcie. Hen, daleko, po drugiej stronie samolotu, Mannix prowadził oszczędną, grzeczną rozmowę z moją córką.

W pewnym momencie zasnęłam i obudziłam się tuż przed lądowaniem na JFK.

– Cześć, mam – powiedział Jeffrey radośnie.

– Cześć. – W głowie mi się mąciło i słyszałam, jak Betsy śmieje się bardzo, bardzo głośno.

– Ominął cię podwieczorek – podjął mój syn. – Dostaliśmy bułeczki i inne rzeczy.

– Naprawdę? – Język miałam obrzmiały.

Samolot usiadł na ziemi i gdy wstaliśmy do wyjścia, Betsy chwyciła mnie za szyję i uściśnięła mocno jak zapaśnik.

– Cześć, mam – powiedziała. – Witaj w Nowym Jorku!

– Betsy? – Ten stan był o wiele poważniejszy niż zwyczajny entuzjazm. – Czy ty... o Boże! Jesteś pijana?

– To przez twojego chłopaka – zachichotała.

Mannix wzruszył ramionami.

– Darmowy szampan. Sama rozumiesz.

Gdy tylko wysiedliśmy z samolotu, zapędzono nas do limuzyny.

– Musimy odebrać bagaże – powiedziałam.

– Już się nimi zajęto. Jadą własną limuzyną.

Przełknęłam ślinę.

– Okej.

Byłam już dwa razy w Nowym Jorku, raz z Ryanem, dawno, dawno temu, kiedy jeszcze nie mieliśmy dzieci, gdy zabłąkaliśmy się do dzielnicy rzeźni, szukając natchnienia dla jego sztuki. I ponownie pięć lat temu, na weekendowym wypadzie zakupowym z Karen. Obie te wizyty były wydarzeniem budżetowym i ta podróż była zupełnie inna.

Limuzyna zawiozła nas do hotelu Mandarin Oriental, do apartamentu na pięćdziesiątym pierwszym piętrze, z oknami od sufitu do podłogi i widokiem na Central Park. Wydawało się, że apartament ma niezliczoną ilość pokoi – garderoby, łazienki, nawet w pełni wyposażona kuchnia. Weszłam do sypialni wielkości boiska do piłki nożnej i u mojego boku pojawił się Jeffrey. Szybko oszacował sytuację.

– To sypialnia małżeńska – powiedział. – Możesz tu spać z Betsy.

– Nie. – Głos mi zadrżał.

– Słucham? – Jeffrey wydawał się zaskoczony i bardzo zły.

Odchrząknęłam i zmusiłam się do mówienia.

– To mój pokój. Mój i Mannixa.

Patrzył na mnie wzrokiem płonącym z wściekłości. Chyba chciał coś powiedzieć, ale ostatecznie zacisnął usta w cienką linię i tupiąc nogami, przemierzył wielki dywan, niemal wpadając na Mannixa, który wszedł do pokoju, zataczając się i zaśmiewając z zachwyty.

– Stello, musisz zobaczyć, jaką wielką kompozycję kwiatową przysłali! I... co jest?

– Zgodziłbyś się, żebym tu spała z Betsy?

– I co? Ja miałbym spać w innym pokoju? Nie, nie zgodziłbym się.

Patrzyłam na niego, w milczeniu błagając o miłosierdzie.

– Dalej nie ustąpię – dodał. – Kiedyś musiało się to zdarzyć.

Spuściłam głowę i pomyślałam: nienawidzę tego. Nienawidzę. To takie trudne. Chcę tylko jego. I żeby wszyscy byli zadowoleni. I żeby wszyscy się kochali, i żeby życie było proste.

– Nie będziemy uprawiać seksu – rzekł, trochę nieprzyjemnie. – Czy to ci ułatwia?

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, zadzwonił telefon. Phyllis.

Leciała tym samym samolotem co my, ale klasą turystyczną. Powiedziała, że zawsze leci ekonomiczną, a wydawcę obciąża kosztami klasy biznes.

– Phyllis! – powiedziałam. – Powinnaś zobaczyć nasz apartament!

– Luksusy, co? Nie przyzwyczajajcie się. Zostajecie tylko jedną noc.

– Musiał kosztować majątek.

– E tam. Blisset Renown dużo spraw tam załatwia. Pewnie mają jakąś zniżkę. A przysłali kwiaty? Bo zawsze przysyłają. Jutro przyjdzie asystentka Bryce’a Bonesmana, jak tylko się wymeldujecie, i zabierze je do swojego smutnego mieszkanka. A ty siodłaj konia, jedziesz na spotkanie.

– Z kim?

– Z Bryce’em Bonesmanem.

– Teraz? – Przecież dopiero co dotarliśmy do hotelu.

– A co? Myślałaś, że jesteś tu dla rozrywki? Nie. Nie dla rozrywki. Ciebie i Mannixa samochód odbierze za pół godziny. Masz wyglądać szczupło.

– Poważnie?

– Poważnie. Musisz wyglądać korzystnie wizerunkowo. Włóż bieliznę korygującą. Uśmiechaj się dużo. A dzieci? Po nie też przyjedzie samochód. Zabierze je na zwiedzanie i takie tam pierdoły.



Bryce Bonesman był chudy, dobiegał siedemdziesiątki i emanował wyrafinowanym urokiem. Jedną ręką przytrzymał moją prawą dłoń, drugą przedramię i rzekł szczerze:

– Bardzo dziękuję, że przyjechałaś.

– Ależ to ja dziękuję panu. – Byłam wzburzona, bo przecież on zapłacił za bilety na samolot i za wspinały hotel.

– Panu również dziękuję. – Bryce skierował uwagę na Mannixa.

– A więc przyjechali – powiedziała Phyllis. – To świetnie. – Ruszyła korytarzem. – To samo miejsce co zwykle? Wszyscy już są?

Podążyliśmy za nią do sali konferencyjnej, gdzie przy długim stole siedziała skromnych rozmiarów armia. Bryce wszystkich przedstawił: Ktoś Tam Ktoś Tam, kto był wiceprezesem do spraw marketingu, i Ktoś Inny, kto był wiceprezesem do spraw sprzedaży. Byli tam wiceprezes od reklamy i wiceprezes od tradycyjnych wydań, wiceprezes od e-wydań...

– Usiądź koło mnie. – Bryce odsunął dla mnie krzesło. – Nie chcę spuszczać cię z oka!

Wiceprezesi roześmiali się uprzejmie.

– Tak więc... – zaczął – twoja książka bardzo nam się podoba. – Tu poniosł się po sali bezładny pomruk aprobaty. – Możemy przekuć ją na wielki sukces.

– Dziękuję – szepnęłam.

– Wiesz, że działalność wydawnicza umiera?

Nie miałam pojęcia.

– Przykro mi to słyszeć.

– No, nie tak srogo – powiedziała do niego Phyllis. – Nie mówimy o twojej mamie.

– Masz za sobą wielkie przeżycie – kontynuował Bryce. – Chorobę Guillaina-Barrégo. Mannix był twoim lekarzem. Ta cała sprawa z odejściem od męża, to będzie trochę trudniejsze do zręcznego ominięcia. Czy on jest może seksoholikiem? Pije?

– Nie... – Nagle odniosłam wrażenie, że nie podoba mi się kierunek, w którym zmierza ta rozmowa.

– No dobrze. A więc łączą was świetne relacje? Wszyscy razem spędzacie Święto Dziękczynienia?

– W Irlandii nie obchodzimy Święta Dziękczynienia. Ale jesteśmy przyjaciółmi. – Tak jakby.

– To twoja jedyna szansa w życiu, Stello. Proponujemy znaczną zaliczkę, ale jeśli to chwyci, zarobisz o wiele więcej.

Naprawdę?

– Dziękuję. – Mój głos ledwie było słychać, bo bardzo mnie krępowało, że jestem postrzegana jako osoba tak wartościowa.

Niemal do niechcenia Bryce dorzucił:

– Oczywiście, będziemy chcieli, byś napisała drugą książkę.

– Och? Dziękuję! – Najpierw poczułam się połączona, ale zaraz zdjęło mnie przerażenie. Jak miałam to zrobić, u licha?

– Naturalnie z ofertą wiążą się rozmaite warunki.

– Czyli?

– Ta książka to nie łatwizna. Musisz ruszyć w trasę promocyjną i wziąć udział w każdym talk-show w tym kraju. Promocja masowa, oddolna, dużo podróży. Zorganizujemy prawdopodobnie cztery trasy, pierwszą na początku przyszłego roku. Każda trwa od dwóch do trzech tygodni. Zawieziemy cię do każdej pipidowy. Chcemy, byś wyrobiła sobie nazwisko.

Nie miałam pewności, czy dobrze rozumiem znaczenie tego wyrażenia, ale szepnęłam:

– Dziękuję.

– Jeśli będziesz ciężko pracować, uda ci się.

– W ciężkiej pracy jestem niezła. – W końcu poczułam się pewnie.

– Więc zrezygnuj z dotychczasowej pracy i przenieś się tutaj co najmniej na rok. Inaczej nie dasz rady iść na całość.

Zrazu zaskoczona, potem wstrząśnięta stwierdziłam, że mam złe przeczucia. Już raz porzuciłam moje dzieci, gdy zachorowałam, i nie mogłam znowu tego zrobić.

– Ale ja mam dwójkę dzieci – powiedziałam. – Mają siedemnaście i szesnaście lat, i chodzą do szkoły.

– Tu też są szkoły. I to świetne.

– Więc mogą się przeprowadzić ze mną?

– Oczywiście.

W głowie mi się kręciło, bo miałam niemal obsesję na punkcie wykształcenia Betsy i Jeffreya. Jej został rok szkoły, jemu dwa. Jeśli się przeprowadzimy do Nowego Jorku, co z ich studiami? Ale przecież uczelnie tutaj, w Nowym Jorku, są lepsze niż w Irlandii? I czy doświadczenie życiowe bogatsze o taką przeprowadzkę nie będzie dla nich korzystne? A nawet gdy z tego wszystkiego wyniknie jakaś katastrofa, to przecież nie będzie nieodwracalna.

– Za chwilę zaczyna się nowy semestr – powiedział Bryce. – Co ty na to? I możemy ci załatwić mieszkanie w dobrej dzielnicy.

Jeden z wiceprezesów cicho powiedział coś do Bryce'a, a on odrzekł:

– No oczywiście!

I zwracając się do mnie, dodał:

– Co powiesz na dziesięciopokojowe, dwupoziomowe mieszkanie na Upper West Side? Z gospodynią, kierowcą i pokojami dla służby? Nasi drodzy przyjaciele państwo Skogell wyjeżdżają na rok do Azji, można skorzystać z ich mieszkania.

– Tak, ale... – Wiedziałam, że Betsy i Jeffrey strasznie się ucieszą z przeprowadzki do Nowego Jorku, będą się tym niemożliwie chełpić. I że Ryan się na to zgodzi, choć może niechętnie, ale gdzie w tym wszystkim miejsce na Mannixa?

Phyllis wstała.

– Poprosimy czas – oznajmiła.

Bryce Bonesman i jego ludzie wstali. Ja spojrzałam na Mannixa, podnosząc brwi – co się działo, do cholery? On przekazywał coś wzrokiem, ale po raz pierwszy w życiu nie mogłam go zrozumieć.

– Krótka narada z moją klientką – wyjaśniła Phyllis. – I z tobą. – Ruchem głowy wskazała Mannixa.

Wszyscy pozostali w błyskawicznym tempie opuścili pomieszczenie. Najwyraźniej byli przyzwyczajeni do takich sytuacji.

– Ty tam – rozkazała Phyllis Mannixowi. – Nie patrz. Chcę chwilę sam na sam ze Stellą.

Przyciszonym głosem zaczęła mówić:

– Wiem, co myślisz. Myślisz o nim. – Zerknęła na Mannixa, który posłusznie odwrócił się do nas plecami. – Jesteś zakochana po uszy, nie chcesz być w innym kraju niż on. Ale pomyśl tak: potrzebny ci człowiek, asystent, menadżer, jakkolwiek go nazwiesz. Ktoś ogarniający sprawy. A trzeba ich podopinać

mnóstwo, to kwestie podróży, logistyka promocji. Twój facet jest w tym dobry. Kuma to. I zanim zapytasz, ja się tym głównym nie zajmuję. Robię wielkie interesy, ale nie będę cię trzymać za rękę.

– Ale Mannix ma pracę. Jest lekarzem.

– „Mój chłopak lekarz” – uśmiechnęła się drwiąco. – Może więc spytamy lekarza, co lekarz chce?

– Myślę o tym – odparł lekarz.

– Miałeś nie słuchać.

– No proszę.

– Phyllis – powiedziałam zaniepokojona. – Bryce wspomniał o drugiej książce

– Tak. – Machnęła ręką lekceważąco. – Drugim zbiorku tych mądrych, zwięzłych bon motów, takim samym jak *Mozolne mrugnięcia*. Możesz to zrobić przez sen. Pierwsza zasada wydawnicza: jeśli coś chwyci, wydaj to jeszcze raz, pod innym tytułem.

– I myślisz, że zapłacą mi tyle samo? – Ledwie się ośmieliłam zadać to pytanie.

– Żartujesz sobie?! Mogłabym podpisać umowę na twoją drugą książkę jeszcze dziś, od ręki, i zapewnić ci kolejne dwieście pięćdziesiąt tysięcy. Ale moje serce mówi, a moje serce nigdy się nie myli, że jeśli zaczekamy na właściwy moment, zapłacą ci całą kupę więcej.

To jej niewzruszona pewność przede wszystkim przekonała mnie, że dziwny zbieg okoliczności, który zawdzięczam Annabeth Browning, może mi dać nowe życie. To się działo naprawdę.

– Byłbyś skłonny zrezygnować na rok z pracy? – spytałam Mannixa.

– Na rok? – Zastanowił się, a ja wstrzymałam oddech, czepiając się absurdalnej nadziei. – Chyba tak – dodał powoli. – Tak. Na rok to tak, pewnie bym był.

Wypuściłam powietrze i poczułam niemal euforię.

– A ty? – spytał. – Czy ty możesz na rok zrezygnować z pracy?

Miło było, że spytał, ale moja praca moim zdaniem nie była prawdziwa, nie tak jak jego praca.

– Bez wahania – odparłam. – Wchodzę w to. Na milion procent. – Życie nieoczekiwanie podsunęło rozwiązanie wszystkich moich problemów. Jeffrey z rozkoszą zamieszka w Nowym Jorku i jeśli ceną za to będzie mój związek z Mannixem, stawia czoło trudom. Ja będę żyć z Mannixem, będę spać z nim w jednym łóżku, każdej nocy...

– Dziękuję, Mannix – powiedziałam. – Bardzo ci dziękuję.

To był doskonały moment, żeby mu powiedzieć, że go kocham. Warto było czekać.

– Mannix...

– Więc załatwione? – przerwała Phyllis. – Wszystko okej?

Uszło ze mnie powietrze. Kiwnęłam głową. Jeszcze będę miała okazję powiedzieć Mannixowi, że go kocham.

Phyllis podeszła do drzwi.

– Możecie wracać! – zawołała.

Gdy wiceprezesi zajęli na powrót swoje miejsca i dobiegło końca sadowienie się i szuranie krzesłami, moja agentka stanęła u szczytu stołu i oznajmiła:

– Macie umowę.

– Wspaniale! – zawołał Bryce Bonesman. – Wspaniale wieści!

Wszyscy zaczęli się kręcić, wymieniać uściski dłoni, uśmiechać się i mówić, że nie mogą się doczekać współpracy ze mną.

– O dwudziestej zjecie kolację z moją żoną i ze mną. – Bryce Bonesman zerknął na zegarek. – Czyli macie czas zerknąć na mieszkanie Skogellów i rozejrzeć się po okolicy. Uprzedzę Bundę Skogell, że przyjedziecie.

– Dzięki. – Miałam nadzieję wpaść do Bloomingdale, póki się trzymam na nogach.

– A jeśli chodzi o twoje dzieci, Fatima zabierze je na miasto. Dobrze, Fatimo? – Fatima była jedną z wiceprezesów i sprawiała wrażenie zaskoczonej tą informacją. – Zabierz ich do Hard Rock, potem na przedstawienie, tylko nie na *Księgę Mormona*. Niech się zabawią, ale bez świntuszenia.

I znowu zwrócił się do mnie:

– Jutro polecicie do domu, pozamykacie swoje sprawy i wróćcie jak najszybciej. Mamy mnóstwo roboty!

ONA

– Napij się manhattana. – Amity podała mi niski kieliszek ze srebrnej tacy trzymanej przez milczącą kobietę odzianą w czerń. – Na Manhattanie chyba najlepiej być powitany manhattanem, prawda?

– Dziękuję. – Czułam wielki podziw dla bardzo wysokich obcasów Amity Bonesman, jej niedorzecznie matczynej pozy i ogromnego mieszkania, ze smakiem urządzonego antykami i dywanikami.

– Och, manhattany. – Do pokoju wszedł Bryce Bonesman. – Amity zawsze serwuje manhattany, gdy ktoś nowy pojawia się w mieście. Witaj, Stello. Cudownie wyglądasz. Ty też, młody człowieku. – Mnie Bryce ucałował, a Mannixowi podał dłoń. – Jak na mój gust ten drink jest odrobinę zbyt gorzki. Ja wolę słodkie, tylko nie mówcie tego mojemu dentyście.

Roześmialiśmy się z Mannixem grzecznościowo.

– A więc – Bryce wznosił kieliszek – za Stellę Sweeney i jej *Mozolne mrugnięcia powieką*. Oby dotarły na szczyt listy bestsellerów „New York Timesa” i zostały tam przez rok!

– Dziękuję. Oby! – Napiliśmy się swoich gorzkich drinków.

– Dzisiaj mamy dla ciebie gościa specjalnego – powiedział Bryce.

Och, doprawdy? Myślałam, że to tylko spokojna kolacja z moim nowym wydawcą i jego żoną. Odchodziłam już od zmysłów z powodu jet laga i następstw działania adrenaliny i nie wiedziałam, jak sobie poradzę z kolejnymi bodźcami. Ale posłusznie przybrałam wyraz twarzy zdradzający wyczekiwanie.

– Dołączy do nas Laszlo Jellico.

Laszlo Jellico. Znałam to nazwisko.

– Laureat Pulitzera – dodał Bryce. – Wielka postać literatury amerykańskiej.

– Oczywiście – rzekł Mannix.

– Czytałeś go? – spytał Bryce.

– Pewnie. – Mannix kłamał. Dobra robota. Był w tym o wiele lepszy ode mnie.

– Mój tata chyba czytał jego książkę – powiedziałam. – *Pierwsza ofiara wojny*. Tak się chyba nazywa?

– Tak! To ten staruszek z chorymi plecami, który pracował w porcie od dzieciaka?

– Ekhm... tak...

Bryce Bonesman był chyba rówieśnikiem mojego taty, ale Blisset Renown zdaje się uzgodniło już fikcyjną wersję mojego życia – pochodziłam z rodziny niewykształconych, niedożywionych, umazanych sadzą ciężko tyrających robotników, jak ojciec i bracia w *Zoolanderze*.

– Laszlo bardzo się ucieszy. Pamiętaj, żeby mu o tym wspomnieć – rzekł z mocą Bryce. A zwracając się do Amity, dodał: – Laszlo przyjdzie z dziewczyną.

– Och! A kto nią będzie dzisiaj? Ostatnio przyszedł z modelką Victoria's Secret. – Dostrzegła wyraz twarzy Mannixa. – Nie taką prawdziwą. Ale młodą. Bardzo młodą i bardzo seksowną. – Puściła do mnie oko. – Spodoba mu się.

– Ha, ha, ha. – Musiałam udawać, że nie jestem szaleńczo zazdrosna na myśl, że Mannix uzna jakąś inną kobietę za seksowną.

– Przedostatnia upiła się do nieprzytomności, siedziała Laszlowi na kolanach i karmiła go, jakby miał alzheimera. Ależ to było zabawne – opowiadała Amity, wznosząc oczy do nieba.

– Dołączą też do nas Arnold i Inga Olowie – kontynuował Bryce. – Arnold to mój kolega,

a jednocześnie największy rywal. Poznaliście go dzisiaj po południu.

– W sali konferencyjnej? Był jednym z wiceprezesów?

– Spotkaliśmy go przy windach, gdy wychodziliście.

– Och! – Przypomniałam sobie wojowniczego, ropuchowatego mężczyznę, który powiedział: „Ach, ty jesteś nową maskotką Bryce’a”. – Taki trochę wściekły? – spytałam.

– Ten sam!

– Ależ z niej petarda – powiedziała o mnie Amity.

– Arnold jest strasznie wkurzony, że sam cię nie wyhaczył. Ale miał swoją szansę – mówił Bryce radośnie. – Phyllis pokazała mu twoją książkę, a on nazwał ją śmieciem. Lecz gdy tylko ja wyraziłem zainteresowanie, on też.

Wymieniłam z Mannixem szybkie spojrzenia. „Uśmiechaj się, uśmiechaj się, cokolwiek robisz, cały czas się uśmiechaj”.

– O wilku mowa! – rzekł Bryce. – Oto Arnold i Inga.

Arnold – równie agresywny i ropuchowaty, jak zapamiętałam – parł w moją stronę.

– Oto nowa maskotka Bryce’a! I jej milutki chłopak! Miło mi pana poznać – powiedział do Mannixa.

– Już się poznaliśmy.

Arnold puścił mimo uszu jego słowa.

– A więc twoja książeczka ma już wydawcę! No kto by pomyślał! I jedziesz w trasę. Irlandzka dziewczeczka oczaruje Amerykę łzawą historią o swoim paraliżu. Powiedziałem o tym naszej gospodyni. Zapewniła, że będzie się za ciebie modlić do Matki Boskiej. Pochodzi z Kolumbii. I jest katoliczką, tak jak wy.

Policzki mi płonęły.

– I goście w dobrze wyposażonym domu Bruciego. I jeszcze zaprosił na dzisiaj Laszla. Musicie być bardzo ważni. Laszlo jest wzywany wyłącznie wtedy, gdy Brucie chce zrobić wrażenie.

– Laszlo jest jednym z moich najbliższych przyjaciół – powiedział do mnie Bryce. – Jestem jego wydawcą od dwudziestu sześciu lat. Nie muszę go wzywać.

– Umieram z głodu – oznajmił Arnold. – Możemy coś zjeść?

– Gdy tylko dołączy do nas Laszlo – odrzekła Amity.

– Jeśli mamy czekać, aż pojawi się ten zasmarkaniec, to w ogóle nie zabierzemy się do jedzenia – burknął Arnold. – Panienko – zwrócił się do anonimowej kobiety trzymającej tacę z drinkami – czy mógłbym poprosić o miseczkę płatków otrębowych?

– Już okej – powiedziała Amity. – Przyszedł!

Wszedł Laszlo Jellico. Był wysoki i szeroki, jak dystrybutor paliwa, miał wielką bujną brodę i lwią grzywę.

– Przyjaciele – obwieścił grzmiącym głosem. – Amity, ukochana. – Położył dłonie na jej piersiach i ścisnął je. – Nie jestem w stanie się oprzeć. Prawdziwe biją wszystko. – Ucałował mężczyzn, mówiąc do nich „mój drogi”. Nie chciał koktajlu, zażądał herbaty, a potem odesłał ją nietkniętą. Twierdził, że moja „wyśmienita powieść” go „ścięła z nóg”, choć ewidentnie nie miał pojęcia, kim jestem.

– Pozwolę sobie przedstawić państwu Gildę Ashley. – Jego dziewczyna była różowo-złota i śliczna, ale ku mojej uldze nie była druzgocąco seksowna w stylu modelek Victoria’s Secret.

– Czym się zajmujesz, młoda damo? – spytał Arnold tonem sugerującym, że towarzyszka Laszla jest dziwką.

– Jestem dietetykiem i trenerem osobistym.

– O, doprawdy? A gdzie chodziłaś do szkoły?

– Uniwersytet Overgaard.

– W życiu nie słyszałem.

Wymieniliśmy z Mannixem spojrzenia: „Co za palant!”.

– Więc jesteś dietetyczką Laszla? – spytał Gildę Arnold. – A czym go karmisz?

Roześmiała się melodyjnie.

– Tajemnica zawodowa.

– A czym byś nakarmiła mnie? Chciałbym tę samą dietę, co geniusz Laszlo Jellico.

– Może powinien pan się umówić na konsultację? – odparła spokojnym głosem.

– Może powinienem. Masz wizytówkę?

– Nie...

– Na pewno masz wizytówkę. Taka bystra dziewczyna, na tyle bystra, żeby pracować z Laszlem Jellicą, na pewno ma przy sobie wizytówkę.

– Nie mam... – Gilda spłonęła rumieńcem.

Patrzyłam zażenowana. Pewnie miała przy sobie wizytówkę, ale wiedziała, że nie wypada jej wręczać na kolacji.

Z ratunkiem ruszył Mannix.

– Skoro pani mówi, że nie ma wizytówki, to może nie ma wizytówki.

Arnold spojrział na niego z udawanym zdziwieniem.

– Dobra, pastuszkule, nie ma co się rzucać.

– On jest neurologiem – powiedziałam.

– Nie w tym mieście.

Otworzyłam usta, by wdać się w tę przepychankę i stanąć w obronie Mannixa, ale on położył mi na ramieniu dłoń w uspokajającym geście. Odwróciłam się z wysiłkiem i stwierdziłam, że stoję oko w oko z żoną Arnolda, Ingą. Nie okazując zainteresowania, spytała:

– Jak ci się podoba Nowy Jork?

Z ogromnym wysiłkiem wykrzesalam beztroski ton:

– Niesamowicie. Przyleciałam tu dzisiaj, ale...

Bryce usłyszał naszą rozmowę i włączył się do niej:

– Wynajmą mieszkanie Skogellów.

– Mieszkanie Skogellów? – spytała Inga zdumiona. – Ale wy podobno macie tu dwójkę dzieci. Jak się tam pomieścicie?!

To był śliski temat – „dziesięciopokojowe, dwupoziomowe mieszkanie na Upper West Side” brzmiało bajecznie i oszałamiająco, lecz gdy udaliśmy się tam dzisiaj po południu, stwierdziliśmy, że cztery z dziesięciu pomieszczeń to łazienki, a zatem mieszkanie jest o wiele mniej imponujące. Zasadniczo składało się z kuchni, salonu i trzech sypialni. (Garderoba liczyła się jako pomieszczenie w języku pośredników nieruchomości. A „pokoje dla służby” okazały się jednym wstrząsająco małym pokojkiem z łazienką).

– Mamy skromne przyzwyczajenia – odparłam słodko.

– Dla nas to pałac – dodał Mannix ze śmiertelną powagą. – Bez dwóch zdań.

– I w pięknej części miasta – podjęłam. – Nie mogę uwierzyć, że codzienne zakupy będę robić w sklepie Dean & DeLuca. – Podczas szybkiej penetracji okolicy wskoczyliśmy tam z Mannixem i niemal zemdleliśmy na widok świeżo pieczonych chlebów, zagrożonych gatunków jabłek i domowego makaronu. – Gdy byłam tu z siostrą pięć lat temu, mieszkałyśmy niedaleko ich sklepu w SoHo i codziennie...

– Dean & DeLuca? – przerwała mi Inga. – No tak, turyści ich kochają.

Mannix odpowiedział dopiero po chwili:

– Jesteśmy parą ćwoków ze wsi.



Inga spojrzała na niego gniewnie.

– Macie już szkołę dla dzieci? To będzie problem. W większości szkół jest lista oczekujących na miejsce na liście oczekujących.

– Jutro rano – wypaliłam triumfująco – o dziesiątej mamy rozmowę w Academy Manhattan.

– Och. To szybko.

To dzięki Bundzie Skogell, która – może wyczuwając moje rozczarowanie zdecydowanie nieoszałamiającym mieszkaniem – zadzwoniła w mojej sprawie. Do tej szkoły chodziła dwójka jej dzieci i w delikatny, pełen niedomówień sposób zasugerowała, że ma pewne wpływy w zarządzie.

– To dobra szkoła – powiedziała Inga Ola. – Mają zajęcia z muzyki, sztuki, sportu...

– Właśnie tego szukam. Etos podobny jak w ich obecnej szkole.

– Właśnie. Idealny wybór dla mniej zdolnych dzieci.

O wiele później, kiedy wróciliśmy do hotelu, dzieci spały w swoich osobnych pokojach. Nie widziałam ich od chwili, gdy wyszłam na spotkanie z Blisset Renown, wiele godzin temu.

– Mam ich obudzić? – spytałam Mannixa.

– Nie.

– Ale to wszystko ich dotyczy. A jeśli oni nie chcą mieszkać w Nowym Jorku?

– Ćśśś. – Wsunął dłoń pomiędzy moje łopatki, a suwak mojej sukienki śmignął przez całą długość zamka. Od zimnego metalu zadrżałam z rozkoszy.

– Mówiłeś, że nie będziesz ze mną uprawiał seksu – przypomniałam.

– Kłamałam.

Oczy miał przepełnione determinacją. Wprowadził mnie do naszej sypialni, kopniakiem zatrzaskał za sobą drzwi, a potem rzucił mnie na wielkie łóżce, gdzie pomimo obecności Jeffreya w sąsiednim pokoju uprawialiśmy płomienny, namięty seks. Później leżeliśmy w uścisku, a Mannix powiedział:

– Dobrze poszło.

– Co to znaczy? – Nasz seks zawsze zaliczał się do udanych.

– To znaczy, że nie wpadł tu Jeffrey w czarnym kapturze, śpiewając piosenkę z *Omena*.

– Och, Mannix...

– Przepraszam. Mam wyłączyć światło?

– Mam wrażenie, że od tych nerwów już nigdy nie zasnę. – Wzięłam głęboki, uspokajający oddech i natychmiast poczułam niepokój. – Ryan się wścieknie. – Powtarzałam to przy każdej okazji, odkąd zgodziłam się przeprowadzić do Stanów. – Powinnam porozmawiać najpierw z nim. Co zrobimy, jeśli on się nie zgodzi na przeprowadzkę dzieci?

– To dzieci zostaną z nim w Irlandii.

– Ale on nie ogarnia dwóch weekendów w miesiącu.

– Właśnie. Sprawdź go.

– Jesteś bezwzględny.

Wzruszył ramionami.

– Chcę, żeby to się udało. Chcę tego dla nas. Możemy porozmawiać chwilę o mnie? – mówił tonem żartobliwym. – Jutro rano muszę w Academy Manhattan zrobić wrażenie swoimi umiejętnościami ojcowskimi.

– Na pewno ci się uda. Z siostrzeńcami radzisz sobie doskonale. – Nagle zdjął mnie nowy strach. – Mannix, czy myśmy podjęli właściwą decyzję? To takie ryzykowne...

– Lubię ryzyko.

Wiedziałam, że lubi. I wiedziałam też, że nie jest głupi. Skoro on się na to decydował, ryzyko nie

mogło być aż tak duże.

– To był szalony wieczór, prawda? – spytałam. – Arnold Ola i jego straszna żona. A ten Laszlo Jellico? Zupełnie jakby wynajęli jakiegoś kuglarza. Za to Gilda była urocza.

– Laszlo Jellico jest jej chłopakiem?

– Mam nadzieję, że nie. Dla niego jest o wiele za fajna.

– To jest niepasteryzowane? Uch. Nie? – Mężczyzna wskazujący ser za ladą Dean & DeLuca sprawiał wrażenie rozdrażnionego. – No to nie chcę wiedzieć. Niech mi pani pokaże jakiś niepasteryzowany.

Przyglądałam mu się uważnie. Miał na sobie szykowne sztruksy i granatowy sweter z golfem z dziwnej, niemile wyglądającej jedwabistej dzianiny. Miał też lśniąca łąsą czaszkę i wyglądał jak typowy intelektualista z Upper West Side. Ale był tak bezceremonialny, że aż niegrzeczny, co z kolei stanowiło kwintesencję zachowania nowojorczyka. W każdym razie tak mi mówiono. Ale jeśli wierzyć Indze Oli, był durnowatym turystą z Indiany.

Dzień zaczął się od wystawnego śniadania w szlafrokach w naszym apartamencie w Mandarin Oriental, a potem Mannix i ja naraziliśmy Betsy i Jeffreya na poważną rozmowę.

Wyjaśniłam, że jeden z warunków umowy wydawniczej wymaga ode mnie, bym zamieszkała w Stanach Zjednoczonych.

– Jeśli wasz tata się na to zgodzi – przełknęłam ślinę. – I zdołamy zapisać was do dobrej szkoły, zamieszkalibyście w Nowym Jorku ze mną...

Zaczęły się piski i podskoki.

– ...i Mannixem – dokończyłam. – Jeśli mamy to zrobić, Mannix i ja będziemy razem. Będziemy razem mieszkać. Pomyślcie o tym.

– Ja jestem totalnie za – powiedziała Betsy.

– A ty? – spytałam Jeffreya.

Unikał kontaktu wzrokowego – rozdarty pomiędzy pragnieniem życia w Nowym Jorku a potrzebą okazania swojej dezaprobaty. Wreszcie rzekł:

– Tak, dobra.

– Naprawdę? – nie ustępowałam. – Musisz być pewien. Bo kiedy już podejmiemy decyzję, nie będzie odwrotu.

Długo milczał, wpatrując się w stół.

– Jestem pewien.

– No dobrze. Dziękuję. – Spojrzałam na Betsy. – A co z tobą i Tylerem? – Oficjalnie nadal byli zakochani.

– Będzie mnie odwiedzał – zaświergotała. Nie będzie i obie o tym wiedziałyśmy, ale to nie miało znaczenia.

– Więc będziesz bogata? – wymamrotał Jeffrey.

– Nie wiem. To... ryzykowne.

Wszystko było niebezpieczne i nieznane. Kto to mógł wiedzieć, czy książka się sprzeda? Jak dzieci sobie poradzą w najszybszym mieście świata? I czy Mannix i ja bezboleśnie przekształcimy swój romans we wspólne życie, w którym będziemy spędzać razem dwadzieścia cztery godziny na dobę?

Tylko w jeden sposób mogliśmy się o tym przekonać...

– Doprowadźcie się do porządku – poleciłam. – Ale nie za bardzo. Academy Manhattan – przerwałam, by zacytować materiały promocyjne, które dała mi Bunda Skogell – „ceni indywidualizm swoich uczniów”. Betsy, ty się nie ciesz.

Pół godziny później podziwialiśmy uroki i wyposażenie Academy Manhattan.

– Wspaniałe – szeptaaliśmy na widok basenu, sali ćwiczeń orkiestry, pracowni dmuchania szkła... – Wspaniałe.

A potem zaczęły się prawdziwe schody: przesłuchania. Trzy osoby z zarządu szkoły przesłuchiwały nas jako rodzinę, by sprawdzić, czy pasujemy do etosu Academy Manhattan. Jeffrey był trochę opryskliwy, ale miałam nadzieję, że pogodne usposobienie Betsy wystarczy za nich oboje. Gdy rozmowa się zakończyła, dzieci zabrano na masę testów zdolności, a ja odbyłam sesję solo nękania przez radę. Ich pytania były dość łagodne – jak bym opisała siebie jako rodzica, tego typu rzeczy – ale kiedy skończyli ze mną i nadeszła kolej Mannixa, nerwy mi się napięły.

– Powodzenia – szepnęłam do niego.

– Zajmie nam to jakieś pół godziny – powiedziała do mnie najmilsza z pań przesłuchujących. – Proszę skorzystać z udogodnień dla gości.

– Dobrze... – Usiłowałam rozkoszować się wygodą fotela w recepcji, ale byłam strasznie spięta, gdy skupiałam się na wszystkich przeszkodach, które mogą uniemożliwić skorzystanie z tej cudownej szansy – Jeffrey może rozmyślnie oblać testy albo Mannix nie sprawi wrażenia dobrego ojca beze mnie u boku, podrzucającej mu odpowiednie frazy ...

Wstałam, pragnąc oderwać myśli od zmartwień. Próbowałam myśleć o czymś miłym. Dean & DeLuca na przykład... Sklep znajdował się zaledwie parę przecznic stąd, mijaliśmy go po drodze. Kiedy sobie przypominałam, jak Inga Ola potępiła go jako ulubione miejsce prostaków i wieśniaków, poczułam się zawstydzona. Potem odezwała się we mnie jakaś waleczna dusza i postanowiłam jednak się tam wybrać – tym samym dowodząc sobie, że choć trochę jeszcze kontroluję swoje życie, które nagle zwariowało.

Nie miałam dużo czasu, więc pędziłam ulicami i gdy tylko przekroczyłam próg sklepu, serce mi urosło – ogromne bukiety kwiatów, wymyślne stosy barwnych owoców! Niemożliwe, żeby była to jakaś atrakcja turystyczna w rodzaju Woodbury Common. Dzianinowy pan od niepasteryzowanego sera na pewno był miejscowy.

W próbie uratowania mojego rajy przed osądem Ingi Oli podeszłam do Dzianinowego i powiedziałam:

– Bardzo przepraszam, czy pan jest rodowitym nowojorczykiem?

Wbił we mnie wzrok przysłoniętych powiekami oczu.

– Że co?!

Miałam odpowiedź. Gbur, gbur, rozkosznie gburowaty gbur: musiał być tutejszy.

– Bardzo panu dziękuję.

Czując się już lepiej, poszłam się powpatrywać w worek ziaren kawy, które przeszły przez przewód pokarmowy słonia. Czytałam o tym – uncja tego specjału była droższa niż uncja złota. Patrzyłam, jednocześnie zafascynowana i przepełniona obrzydzeniem.

Strasznie bym chciała, żeby tata mnie zobaczył. Nigdy w życiu nie pił kawy. („Po co miałbym pić kawę, skoro mam herbatę?”). A już na pewno takiej, która przeszła przez słonia.

Z jakimś mglistym wyobrażeniem, że chcę kupić prezenty dla mamy i Karen, przeszłam do działu z czekoladkami i sięgnęłam po pudełko, po które dokładnie w tym samym momencie sięgnęła jakaś inna kobieta.

– Przepraszam – cofnęłam rękę.

– Nie, proszę bardzo – powiedziała tamta.

Wtedy właśnie zdałam sobie sprawę, że ją znam: to była Gilda z kolacji u ...

– Cześć! – Ucieszyła się jak dziecko na mój widok, a i ja poczułam do niej wiele ciepła, tak bardzo, że w niespełna pięć minut uzgodniłyśmy, że ona będzie moim trenerem osobistym, gdy już wrócę do Nowego Jorku.

– Tylko jest pewien problem – dodałam. – Ja nie jestem za bardzo wysportowana. Ani trochę. – Teraz

się bałam. W co ja się wpakowałam?

– Możemy spróbować powiedzmy... przez tydzień? Przekonamy się, czy pasujemy do siebie.

Dała mi wizytówkę i zapewniła, że wszystko będzie dobrze, co miło było słyszeć.

– Super – powiedziałam. – Bardzo mi przykro, ale muszę już iść.

– A co masz na dzisiaj?

– Idę po dzieci i Mannixa, potem odbieramy bagaże z hotelu i jedziemy na lotnisko. Lecimy do domu, mówimy wszystkim, co się dzieje, i zaczynamy pakować się do przeprowadzki.

– No, to nieźle. A Mannix? On też się pakuje? Też się przenosi?

– Tak. – Przez chwilę rozkoszowałam się tą myślą. – Mannix i ja przenosimy się razem.

Siedzieliśmy w hali odlotów JFK, gdy dotarła do nas wiadomość, że moje dzieci przyjęto do Academy Manhattan. Betsy pisnęła i krzyknęła i nawet Jeffrey sprawiał wrażenie zadowolonego.

– Jezu. – Mannix jakby trochę pobladł. – Mamy szkołę, mieszkanie, ty masz umowę wydawniczą... to się naprawdę dzieje. Czas zacząć przepisywanie pacjentów na następny rok.

Spojrzałam na niego z troską.

– Nie musimy tego robić.

– Ale ja chcę – odrzekł. – Wszystkie planety w koniunkcji. To... to nie w kij dmuchał.

– Ja mam poczucie winy, że porzucam klientów, a raptem maluję paznokcie. Tobie musi być o wiele trudniej.

Pokręcił głową.

– Jak jesteś lekarzem, nie możesz mieć wyrzutów sumienia. Musisz racjonalizować, inaczej sobie nie poradzisz. Wszystko dobrze, Stello. To tylko rok. Wszystko dobrze.

Sięgnął po telefon i zaczął pisać mejle.

Też powinnam zacząć. Musiałam pogadać z Ryanem – powinnam była zrobić to wczoraj, ale bałam się konfrontacji. I musiałam coś ustalić z Karen, może poszukać kogoś na zastępstwo na czas mojej nieobecności.

– Och! – przypomniałam sobie coś. – Gdy ciebie przesłuchiwali w szkole, ja szybko skoczyłam do Dean & DeLuca i wpadłam na Gildę.

– Tę Gildę z kolacji? A to zbieg okoliczności.

– To był znak. Wiesz, koniunkcja. Gdy wrócimy, ona będzie moim trenerem osobistym. Będziemy razem biegać. Możesz biegać z nami. – Nagle się zastanowiłam. – Albo może nie. Ona jednak jest młoda i piękna.

– Ty jesteś młoda i piękna.

– Nieprawda.

A gdybym nawet była, na świecie roi się od młodych i pięknych kobiet.

– Nie myśl tak. – Przejrzał mnie. – Możesz mi ufać.

Naprawdę? No, w sumie nie miałam wyboru. Gdybym mu nie wierzyła, zwariowałabym.

W domu, zgodnie z moimi przewidywaniami, Ryan się wściekł.

– Nie możesz zabrać moich dzieci! Do innego kraju! Na inny kontynent!

– Dobra. No to mogą zostać z tobą.

Drgnął mu kącik ust.

– Chcesz powiedzieć... – zaciął się. – Że tutaj? Cały czas?

– Na przyszły rok, mniej więcej. Dopóki się nie zorientuję, co dalej.

– Ja mam zostać w tej zasranej Irlandii i zajmować się twoimi dziećmi, a ty z Mannixem Taylorem będziesz się popisywać na Piątej Alei?

– To są też twoje dzieci.

– Nie, nie, nie – zastrzegł szybko. – To ja będę tym złym, przez którego moje dzieci nie będą mieszkać w Nowym Jorku? Nie, to jest dla nich nadzwyczajna możliwość.

Powściągnęłam uśmiech. Nie wypada triumfować.

– A ta szkoła, którą znalazłaś, jest dobra?

– Podobna do Quartley Daily, ale nie taka droga.

To Ryan niechętnie uznał za dobrą wiadomość.

– I mogą do szkoły chodzić na piechotę – dodałam. – To tylko pięć przecznic od naszego nowego mieszkania.

– „Nasze nowe mieszkanie”! – Ryan nie zdołał ukryć szyderczego uśmieszku. – Tylko siebie posłuchaj.

I Mannix naprawdę rezygnuje z pracy?

– Tak. – Siliłam się na radosny ton.

– Ale on przecież jest lekarzem.

– To tylko na rok... – Może powinnam zamówić sobie taki nadruk na koszulce.

Wszyscy się oburzali na Mannixa, jakby miał obowiązek leczyć chorych ludzi.

– A on nie ma poczucia winy? – spytał Ryan.

– Jest dobry w racjonalizowaniu.

– Ja bym się tym nie chwalił.

– Racjonalizowanie pomaga ci nie zwariować.

Ryan pokręcił głową i uśmiechnął się drwiąco.

– W kółko to sobie powtarzaj i będzie dobrze. Więc naprawdę dostaniesz ćwierć miliona dolarów?

A mnie coś z tego skapnie?

– Cóż... – Przewidziałam to pytanie i Mannix pomógł mi przygotować odpowiedź. –

Uporządkowaliśmy wszystkie kwestie finansowe...

Wzruszył ramionami. Próbował tylko.

– Wiesz, że to nie jest nawet tak dużo, twoja wielka zaliczka? Zarabiałaś czterdzieści tysięcy rocznie, Mannix jakieś sto pięćdziesiąt tysięcy, prawda?

– Skąd wiesz? – Ja znałam, oczywiście, uposażenie Mannixa, ale nigdy o tym nie rozmawiałam z Ryanem.

– Ekhm. Gadałem z Georgie Dawson.

Wybałuszyłam na niego oczy.

– Dlaczego?

– Żeby nie wypaść z obiegu. Zatroszczyłem się o siebie, widząc, że nikt inny nie zamierza tego robić.

Więc, jak mówiłem, ćwierć miliona dolarów to tylko trochę więcej niż wasze roczne dochody. Jak się tym podzielicie z Mannixem? Będiesz mu dawała co tydzień kieszonkowe, jakby był twoim utrzymankiem? On na to nie pójdzie.

– To nie twoja sprawa, Ryan, ale założyliśmy wspólne konto, z którego będziemy opłacać wydatki na życie, wynajem i tak dalej. Mannix nie chce nic z zaliczki, ale zasługuje na nią: to dzięki niemu ta książka powstała. I zrezygnował z praktyki, żeby ze mną pracować.

– Zatem wszystko macie wspólne?

– Nadal mamy dotychczasowe konta bankowe, ale otwieramy nowe wspólne i od teraz będziemy mieć wszystko wspólne.

– Prawdziwa miłość. – Ryan udał, że ociera łzę z powieki. – Tak czy owak, te pieniądze nie wystarczą na długo.

– Jeśli wszystko dobrze pójdzie – odpowiedziałam nieśmiało – możemy zarobić więcej. Poprosili, żebym napisała drugą książkę.

– O, gdyby to było takie proste! Te twoje *Mrugnięcia* to fenomen, czarny łabędź. Każdego roku wychodzi jakieś osiem milionów książek. Masz strasznie duże szanse na porażkę.

Okej. Ryan był zazdrosny. To on był artystą i nie tak miało się to wszystko potoczyć. Ale to ja przeprowadzałam się do Nowego Jorku mieszkać z mężczyzną moich marzeń, więc stać mnie było na wielkoduszność.

Nie każdy był taki nieżyczliwy jak Ryan. Gdy spytałam Karen, czy mogę się zwolnić na rok, zaproponowała, że mnie wykupi.

Oślupiałam. Myślałam, że nakrzyczy na mnie, ile kłopotów jej robię.

– Dla ciebie to zamknięty rozdział – powiedziała. – Ten cały salon.

Miała rację. Poczułam wielką ulgę.

– W porządku – dodała. – Mnie też ulżyło.

– W sumie on zawsze był twój.

– Może. I coś ci poradzę. Powodzenia w nowym życiu i tak dalej, ale nie sprzedawaj domu.

– Nie zamierzałam. Wiem, Karen, że to ogromne ryzyko. Palę tylko parę pomniejszych mostków.

– Dobrze. Nie bądź głupia. Miej plan B. I plan C.

Nagle dopadł mnie niepokój.

– Karen, czy ja jestem szalona? Zwariowałam? Bo rezygnuję z pracy, przenoszę dzieci na drugi koniec świata, Mannix bierze rok wolnego? – Fala mdłości szarpnęła moim żołądkiem. – Karen, mnie to wszystko przerasta... chyba... chyba wpadnę w histerię.

– Weź się w garść. To jest jakiś, kurna, cud. Jakbyś wygrała na loterii. No, mniej więcej. Może kasa jest z tego trochę mniejsza niż z loterii. Ciesz się swoim szczęściem.

Odetchnęłam głęboko. I jeszcze raz.

– Posłuchaj, sprzedam samochód. Nie mam go gdzie zostawić.

– Zostaw go mnie – odparła szybko. – Ja się nim zajmę. I jeszcze jedno: słyszałam, że otwieracie z Mannixem wspólne konto bankowe. Moim zdaniem zwariowałaś. W życiu nie oddałabym Endzie Mulreidowi ani pensa ze swojej kasy. Więc pieniądze za twoją część salonu wpłacę na nowe konto, które dla ciebie założę, i to będzie wyłącznie twoje konto. Nazwij je „na czarną godzinę”, „koło ratunkowe”, jak chcesz. Może któregoś dnia się z niego ucieszysz.

– Ale właśnie mi powiedziałaś przed chwilą, że mam się cieszyć swoim szczęściem.

– Masz też być jednak ostrożna.

– Szczęśliwa oraz ostrożna – powtórzyłam z lekkim przekąsem. – Dobra, muszę lecieć. Czeka mnie rozmowa z rodzicami.

Rodzice twierdzili, że są zachwyceni, aczkolwiek mama chyba nie do końca rozumiała, co się dzieje. Tata jednak był niesamowicie dumny.

– Moja córeczka! Wydała książkę w Nowym Jorku! Może przyjadę cię odwiedzić.

– A masz paszport?

– Mogę wyrobić.

Potem odwiedziłam Zoe, która pod wpływem wiadomości zaczęła strasznie płakać, ale ona ostatnio dużo płakała.

– Przepraszam – siąknęła nosem. – Zaslługujesz na to. Przeszłaś przez piekło, jak byłaś chora. Teraz wynikł z tego jakiś pożytek. Ale będę za tobą tęsknić.

– To nie na zawsze.

– A jak tam będziesz, mogę do ciebie przyjechać i pomieszkać za darmo. Może nawet wprowadzę się do ciebie, skoro moje życie w Irlandii rozpada się na kawałki.

– Wszystko się jeszcze naprawi.

– Myślisz?

– Oczywiście. – Zadzwoił mój telefon. – To Georgie. Mogę odebrać?

– Pewnie. – Machnęła ręką i wytarła twarz chusteczką.

– Kochanie! – zaczęła Georgie. – Nie posiadam się z radości! Mieszkałam przez rok w Nowym Jorku, jak miałam osiemnaście lat. Miałam włoskiego chłopaka, Gianlucę, księcia. Prawdziwego księcia, z jakiejś włoskiej szlachty. Całe ich stado włóczy się po świecie. Cudowny mężczyzna, bez grosza przy duszy, ale szalony wariat. Prasowałam mu koszulę, skrapiając je wodą wetiweriową, a jeśli zapomniałam ich skropić, to się ze mną nie bzykał. Jeszcze dzisiaj, jak czuję wetiwerię, robię się mokra i napalona.

Nie mogłam się powstrzymać od śmiechu, a Zoe patrzyła na mnie żałośnie, skulona i ściskając chusteczkę.

– Mannix mówi, że wyjeżdżacie w przyszłym tygodniu – ciągnęła Georgie. – Ominie cię mój Wieczór Separacyjny. Tak bardzo chciałam, żebyście oboje wzięli w nim udział. Nie moglibyście odrobinę zmienić daty?

– Nie sądzę – odparłam łagodnie.

– Buuu. A nie przyjechalibyście na niego? Wystarczy wskoczyć do samolotu.

– Nie. Jesteś cudowną wariatką. Ale zobaczymy się przed wyjazdem. Wtedy możemy wznieść toast za waszą separację. Kieliszkiem prosecco.

– Och, kochanie. Jaka jestem okropna. Zawsze się skupiam na sobie. Gratuluję ci umowy na książkę! Całusy! – W potoku cmoków rozłączyła się.

– Jak to się dzieje, że niektórzy się rozstają miło? – spytała Zoe. – Ja tak strasznie nienawidzę Brendana. Mogłabym na niego splunąć. Życzę mu każdej potworności świata. Życzę mu, żeby pojechał na wakacje do Australii i żeby zaraz po wylądowaniu dowiedział się, że jego ojciec nie żyje, żeby musiał od razu lecieć do domu. Życzę mu, żeby fiut mu zgnił. Wyszukuję w Google’u różne choroby i życzę mu ich. I jest taka straszna choroba, która się rozwija w odbycie, bakteria, która powoduje nieustanne swędzenie...

Musiałam ją powstrzymać. Mogłaby w tym tonie godzinami.

– Między Mannixem a Georgie nie zawsze panowała przyjaźń – powiedziałam szybko.



- Ale teraz panuje.
  - Tak. Dokumenty rozwodowe wypełnione, dom sprzedany...
  - Może chociaż ze stratą? – spytała Zoe z nadzieją.
  - Nie. Żadnych długów. Ale i żadnego zysku. Czyste rozstanie.
- Planety w koniunkcji, jak powiedział Mannix.

Carmello owijał na palcu pasmo moich włosów, przyglądając się mojemu odbiciu w lustrze.

– Masz cudowne włosy – powiedział.

– Dziękuję.

– Jak je porządnie ostrzyżemy, mogą naprawdę wyglądać świetnie.

– Ekhm...

Nagle u mojego boku pojawił się Ruben.

– Ile czasu jeszcze ci to zajmie? – Delikatnie mówiąc: był nerwowy. Odnosiłam wrażenie, że zaraz zaczniesz krzyczeć i już nie przestaniesz.

– Jeszcze ociupineczkę – odparł Carmello leniwie. – A potem mogę przyjąć Annabeth.

Ale Annabeth Browning nie było. Spodziewano się jej już półtorej godziny temu, a ciągle nie dała znaku życia.

– Zadzwoń do niej jeszcze raz – powiedział Ruben do asystentki.

– Ona nie odbiera.

– Więc napisz do niej esemesa, napisz jej tweeta, wyślij jej zaproszenie na fejsie, znajdź ją i już!

Siedziałam w apartamencie hotelu Carlyle, szykowano mnie na sesję do pięciostronicowego artykułu w magazynie „Redbook”. Annabeth Browning wreszcie opuściła zakon, w którym się ukrywała, i przeprowadziła do domu, gdzie mieszkała z dwójką dzieci i mężem, wiceprezydentem Stanów Zjednoczonych. Cały świat chciał przeprowadzać z nią wywiady, ale ona zgodziła się na wyłączny dla „Redbooka” i ktoś, gdzieś – a ja nie miałam pojęcia kto i jak – przekonał ją, by w całym wywiadzie mówiła o tym, jak to ocaliły ją *Mozolne mrugnięcia powieką*. Ostatecznie cały artykuł przerodził się w „Kiedy Annabeth poznała Stellę”.

To było megawielkie przedsięwzięcie, korzystne dla nas obu. Ona miała okazję wygłosić standardowe komunały odwykowe („Jestem silniejsza. Moje małżeństwo jest silniejsze. Moja wiara w Boga jest silniejsza”), a *Mozolne mrugnięcia* miały zyskać oszałamiającą reklamę w mediach, dokładnie w chwili, gdy ruszałam w pierwszą swoją trasę promocyjną.

W apartamencie kłębiło się od ludzi – poza Carmellem byli tu makijażysta, stylistka, fotograf, wydawca z „Redbooka” i Ruben, mój wydawca z Blisset Renown. Wszyscy główni gracze przyszli z asystentami. Nawet ja miałam swojego – Mannixa. Odziany w ciemny garnitur opierał się o ścianę, przyglądając mi się. Wyglądał jak agent CIA.

– Nadal nie odbiera – powiedziała asystentka Rubena.

– Więc idź na ulicę i zacznij jej szukać. Wszyscy idźcie. Już! Ty, makijażystka. Szybciej, szybciej.

Wszyscy wbili w niego wzrok.

– Ty! – wskazał fotografa – I... ty! – odwrócił się, by krzyknąć na Mannixa, ale cokolwiek zobaczył na jego twarzy, sprawiło, że się powstrzymał.

Z telefonu Rubena dobiegł sygnał esemesa. Zerknął na wiadomość i rzekł słabo:

– Słodki Jezu.

– Co się dzieje?

– Pakujcie się – pisnął. – Ona nie przyjdzie.

– Co? Jak to?

– Włączcie telewizor. Gdzie telewizor? Fox News.

Ale pokazywały to wszystkie stacje. Annabeth została znowu aresztowana. Tak jak ostatnim razem, jechała pod wpływem silnych leków. Życzliwy przechodzień nagrał ją, jak stoi przed policjantem, kołysząc się niepewnie.

– Wygląda na to, że jednak twoja książka jej nie uzdrowiła – ktoś powiedział.

Przerazona wpatrywałam się w telewizor. Biedna Annabeth. Co to oznacza dla jej małżeństwa, dzieci, całego jej życia?

Wszyscy zgromadzeni w pokoju w milczeniu zaczęli zwijać swoje rzeczy. Wychodząc, omijali mnie, jakby mój pech był zaraźliwy. Trochę później niż cała reszta zdałam sobie sprawę, że niepowodzenie Annabeth jest też moim niepowodzeniem.

– Chodź – rzekł Mannix. – Zawiozę cię do domu.

– Przejdźmy się. – Czułam się ogłuszona. – Dobrze mi robi, jak się przewietrzę.

Zadzwonił jego telefon. Spojrzał na ekran i odrzucił połączenie.

– Kto to? – spytał. – Phyllis?

– Nie twój problem.

Czyli Phyllis.

Wziął mnie za rękę.

– Chodźmy.

Manhattan pod koniec października był piękny – temperatura umiarkowana, drzewa zmieniały kolor, w witrynach sklepów stało mnóstwo pięknych butów – ale ciężko mi było to wszystko docenić.

– Fatalnie, co? – spytałam. – Z tym nawrotem Annabeth?

– Dla niej na pewno fatalnie. Dla jej rodziny. Ale czy dla ciebie? To tylko jeden ze składników kampanii reklamowej. Ruben ma jeszcze mnóstwo asów w rękawie. Ej, czy z jego włosami nie dzieje się aby coś dziwnego?

Kiwnęłam głową.

– Barwi sobie skórę czaszki sadzą, by zatuszować łysinę. To nie jest dokładnie sadza, to się nazywa Koniec Łysiny czy jakoś tak, ale owszem, trudno w to uwierzyć.

– Zastanawiam się, co na kolację.

– Też się zastanawiam. – Oboje się roześmialiśmy, bo wiedzieliśmy, że kuchnia meksykańska. Zawsze na kolację była kuchnia meksykańska.

Kiedy Bryce Bonesman powiedział, że dostaniemy kucharkę i kierowcę, zakładałam, że to dwie osoby. Ale to była jedna osoba – groźna Meksykanka o imieniu Esperanza. I nie było żadnego samochodu – Skogellowie swój wstawili do dealera przed wyjazdem do Azji.

Esperanza harowała jak wół – robiła całe zakupy, sprzątanie, pranie, gotowanie i zostawała z dziećmi, jeśli ja wychodziłam wieczorami z Mannixem. Ale ledwie się odzywała i nie byłam pewna, czy to przez problemy językowe, czy coś osobistego.

Próbowałam się zaprzyjaźnić – pierwszego wieczoru zaprosiłam ją do stołu z kolacją, którą ugotowała, ale ona powiedziała: „Nie, nie”. I schowała się do swojego żałośnie małego pokoiku, gdzie oglądała bardzo głośne meksykańskie opery mydlane. Przeszkadzał mi ten podział na my i ona, ale gdy mijały kolejne dni i na mnie spadało coraz więcej pracy, byłam tak zmęczona, że nie miałam już siły na wyrzuty sumienia.

– Jak mam się ustosunkować do Annabeth na swoim blogu i na Twitterze? – spytałam Mannixa.

– Zjedzmy najpierw kolację, a potem siądziemy do tego wszystkiego.

Gdy tylko weszliśmy do domu, Betsy i Jeffrey doskoczyli do stołu.

– Szybko – ponaglił nas mój syn. – Umieramy z głodu.

Choćby się działo nie wiadomo co, kolacja z dziećmi była stałym punktem dnia.

Esperanza – milcząca jak grób – podała chilli.

– Dziękuję, bardzo dziękuję – szepnęłam.

Postawiła też miseczkę guacamole, a Mannix rzekł:

– Dziękujemy, Esperanzo.

Na koniec postawiła purée z fasoli, na co wszyscy powiedzieliśmy:

– Dziękujemy.

– Wygląda pysznie – pochwaliła Betsy.

– Tak, pysznie – dodał Mannix.

– Tak, pysznie. – Pociłam się z zażenowania.

Wreszcie Esperanza wycofała się do swojego pokoiku, jej telewizor zaczął grzmieć po hiszpańsku, a ja mogłam się odprężyć.

– No jak tam? – skupiłam się na dzieciach. – Jak wam minął dzień?

– Wspaniale! – odparła Betsy.

– Tak, wspaniale – zawtórował jej Jeffrey.

Byli w doskonałych nastrojach – szkoła okazała się świetna, zawierali przyjaźnie, a życie w Nowym Jorku wręcz uwielbiali.

– Ja się czuję, jakbym żył w filmie – powiedział Jeffrey.

Moje serce podskoczyło z radości. Na myśl, że Jeffrey jest zadowolony, od razu poczułam się mniej udręczona dzisiejszym okropnym dniem.

– Ale tęsknię za tatą – dodał szybko.

Jasne.

– Oczywiście, że za nim tęsknisz – powiedziałam. – Bo wiesz, spędzałeś z nim każdą chwilę swojego dnia, każdego dnia w roku. Jest za czym tęsknić.

– Stello... – Mannix położył mi dłoń na ramieniu.

– Nie rób tego – powiedział Jeffrey.

– Czego? Mam nie dotykać twojej matki?

– Przestańcie – poprosiła Betsy. – Niech będzie miło.

Jedliśmy w milczeniu jakieś pięć minut, a potem Betsy powiedziała:

– Już dobrze? Bo chciałabym wam coś oznajmić.

– Och? – Od razu się zmartwiłam.

Betsy odłożyła widelec i pochyliła głowę.

– Nie smućcie się, proszę, ale Tyler i ja zerwaliśmy. To świetny facet, na zawsze pozostanie moją pierwszą miłością, ale nie daję rady nadażać ze szkołą i poświęcać czasu międzykontynentalnemu związkowi. – Podniosła głowę. Jej oczy lśniły od łez, które mnie się wydały odrobinę teatralne. – Bardzo się staraliśmy, wręcz cholernie. Przepraszam za brzydkie słowo. Ale po prostu nie daliśmy rady.

– Och, kochanie – szepnęłam.

– Jak się czujesz? – spytał Mannix.

– Smutno mi, Mannix. Dziękuję, że pytasz. Jest mi strasznie smutno. Tyler nadal jest moim przyjacielem, ale przechodzimy do nowej fazy naszego związku, więc jest mi bardzo smutno.

– Świat się na nim nie kończy – zauważyłam.

– Mamo! – W przerażeniu szeroko otworzyła oczy. – Ta uwaga padła za wcześnie o całe dziesięciolecia. Najpierw muszę odbyć żałobę, muszę uczcić swój związek z Tylerem.

– Oczywiście – odparłam cicho. – Przepraszam, głupia jestem.

– Tu akurat masz rację – powiedział Jeffrey. – No to skończyliśmy już z tą durną kolacją?

– Jeśli Betsy nie ma nic przeciwko temu... – odparłam.

– Nie mam – szepnęła. – Chciałam wam tylko powiedzieć. Może się tak zdarzyć, że zobaczycie, jak płaczę albo smutno patrzę za okno, i chciałam, byście wiedzieli, że to nie chodzi o was, że po prostu muszę to wszystko przeżyć.

– Jesteś bardzo dzielna – rzekł Mannix. – I pamiętaj, że zawsze masz nas.

– Doceniam to.

– No dobrze, w takim razie... – tu Mannix zwrócił się do mnie – zabieraj się do pracy.

– Kto powiedział, że jesteś jej kierownikiem? – spytał Jeffrey.

– Ja – odrzekłam.

– Ale ty zawsze pracujesz. Ani na chwilę nie przestajesz.

– Bo jest dużo pracy. – Miałam już dość wyjaśniania tego Jeffreyowi.

Bryce Bonesman chciał szybkich zmian w *Mozolnych mrugnięciach*. „Musisz zmienić dużą część książki. Niektóre z tych powiedzonek wypadają słabo. A niektóre padły z ust innych osób, musielibyśmy załatwiać prawa autorskie”.

Krótko mówiąc – potrzebowali dwudziestu pięciu oryginalnych inspirujących powiedzonek i potrzebowali ich do połowy listopada, żeby książka wyszła w marcu. „Wolałbym ją wydać w styczniu – rzekł z żalem Bryce. – Nikt nie wydaje nic w styczniu, to czas posuchy, miałabyś cały rynek dla siebie. Ale nie zdążymy jej przygotować”.

Każdego wieczoru Mannix i ja przetrząsaliśmy notatniki, które zapełniał w czasie naszych mruganych rozmów, i do tej pory zdołaliśmy zebrać i wygładzić dziewiętnaście powiedzonek, które Bryce zaakceptował. Ale brakowało nam jeszcze sześciu, a czasu zostało raptem dwa tygodnie. Szczerze mówiąc, było to o wiele trudniejsze, niż sądziłam.

Jeszcze trudniejsze było zaś to, że Bryce powiedział, że moja druga książka ma być „raczej taka sama”. „Dokładnie taka sama, tylko oczywiście z nowym materiałem”.

Tak więc nieustannie rozdzierało mnie pragnienie, by wszystkie dobre powiedzonka umieścić w *Mozolnych mrugnięciach*, i potrzeba zachowania paru dobrych do drugiej książki.

Udaliśmy się do swojej sypialni, która służyła nam również za gabinet.

– Ten telefon, którego nie odebrałaś po sesji zdjęciowej...? – zagaiłam. – To była Phyllis? Odwołała jutrzejsze spotkanie?

Mannix się zawahał. Próbował mnie chronić przed złymi wiadomościami.

– Tak – odrzekł.

Zgodnie ze swoją obietnicą Phyllis nie kontaktowała się codziennie. Obchodził ją tylko optymalny moment do zawarcia z Blisset Renown najkorzystniejszej umowy na moją drugą, jeszcze nieistniejącą książkę. Kiedy więc się dowiedziała o moim wywiadzie z Annabeth Browning dla „Redbooka”, uznała, że poranek następnego dnia będzie idealnym momentem na spotkanie z Bryce’em i jego zespołem. „Będą cali podjarani i na to wkroczymy my! Dobijemy do pół miliona”.

– Będzie inna okazja – powiedziałam. – Jak straszne są więc skutki upadku nieszczęsnej Annabeth?

– W mediach nie ma żadnych powiązań z tobą.

– Ale...?

– Przykro mi, skarbie. Ruben przysłał mejl, że cztery magazyny wycofały się z publikacji tego, co napisałaś.

Ruben zmusił mnie do napisania niezliczonych artykułów do miesięczników – dużych, małych, na wszystkie tematy od mojego pierwszego pocałunku przez moje ulubione drzewo po szminkę, która uratowała mi życie – do numerów kwietniowych. Kwieciowe numery – które wychodziły w marcu, czyli

wtedy, gdy ja będę w pierwszej trasie – były właśnie zamykane, więc zarzynałam się, żeby ze wszystkim zdążyć.

– Dobra. – Chwilę godziłam się ze stratą. – Co się stało, to się nie odstanie. A blog na dziś? Powinnam napisać, że modlimy się za Annabeth? Oni tutaj uwielbiają te wszystkie pobożności.

– Myślę, że powinnaś się od niej zdystansować.

– To brzmi trochę... brutalnie.

– To brutalny kraj. Nikt nie chce być wiązany z porażką. Widziałaś, jak oni wszyscy zachowywali się dzisiaj na sesji.

Zadzwonił telefon Mannixa.

– To Ruben.

– Wspaniałe wieści! – krzyknął Ruben. Chociaż mówił do Mannixa, ja wszystko słyszałam.

Jakiś magazyn ze Środkowego Zachodu o nazwie „Ladies Day” chciał, bym napisała artykuł o swojej chorobie.

– Wiem – mówił Ruben. – W życiu o nim nie słyszeliście. Ale w głębi kraju to wielki tytuł. Ma osiem milionów czytelników. Do północy muszą dostać tysiąc pięćset słów.

– Do północy?! – spytałam. – Dzisiaj do północy? Mannix, daj mi telefon. Cześć, Ruben, mówi Stella. Masz może jakiś pomysł, jak mam załatwić na blogu kwestię Annabeth?

– Jaką Annabeth? Tak masz to załatwić.

Rozłączył się. Mannix klecił jakieś słowa, które miały niby pochodzić ode mnie, na blog, a ja zaczęłam pracować nad artykułem dla „Ladies Day”. Wszystko, co się wiązało z moją książką, działo się bardzo szybko, a ja zawsze się czułam, jakbym spóźniona wlokła się z tyłu.

Stukaliśmy z Mannixem w klawisze laptopów, gdy dzwonek u drzwi poderwał nas na nogi.

– Gilda – powiedział Mannix.

– Już jest dziesiąta? – Gilda przychodziła trzy razy w tygodniu, by ćwiczyć ze mną pilates.

– Jesteś zmęczona? Mam ją odwołać?

– Nie, w porządku.

– Spójrz na siebie – zaśmiał się. – Cała promieniejesz na myśl o tej dziewczynie. Mam być zazdrosny?

– A ja?

Ale ja się nie martwiłam, że Mannixowi podoba się Gilda. Nie w tym rzecz, że byłam naiwna – basowa nuta niskoaktywnej czujności nieustannie szumiała w mojej głowie – lecz w tym, że między nimi nie zaiskrzyło. Byli wobec siebie grzeczni i mili, i to wszystko.

– Gilda przysła! – krzyknął z dołu Jeffrey. On z kolei miał na jej punkcie świra.

Gilda wetknęła głowę do sypialni. Uśmiechnęła i zaróżowiona.

– Cześć, Mannix. Gotowa, Stello?

– Już idę.

Lekcję pilatesu odbywałam w korytarzu, bo nigdzie indziej nie było na nią miejsca. Ale Gilda pocieszała mnie: „Niektórzy z moich klientów mają własne sale gimnastyczne w swoich domach i nie pracują tak ciężko jak ty”.

Zacząłyśmy i było trudno, jak zawsze. W połowie setki wypchnięć bioder z pokoju Betsy dobiegł jakiś hurgot – najwyraźniej coś się zawaliło, może jedna z jej półek – a ona sama zaczęła wołać Mannixa. Wypadł z sypialni i ruszył korytarzem.

– Przepraszam cię bardzo – rzekł i przez chwilę stał nade mną okrakiem. Patrząc w dół, powiedział bezgłośnie: „Mam ochotę cię zerznąć”.

Widząc wyraz jego oczu, przy jednoczesnym napinaniu swojego ośrodka kobiecości, bałam się, że zaraz doznam orgazmu.

– Nie przekonam cię, żebyś z nami poćwiczył? – spytała Gilda swoim melodyjnym głosem.

Sama też właśnie wypychała miednicę. Wypchnęła ją wysoko, a jej ośrodek kobiecości wychylał się ku Mannixowi. Można by odnieść wrażenie, że wręcz stamtąd dobiega jej głos. Rzucił okiem w jej stronę, dosłownie rzucił, najkrótsze spojrzenie świata, a potem się zarumienił i ruszył do Betsy.

Po wyjściu Gildy wzięłam laptop i ruszyłam do salonu pracować dalej.

– Chodź do łóżka – rzekł Mannix.

– Nie mogę. Muszę to skończyć.

– Chodź do łóżka – powtórzył. – To rozkaz.

Ale ja ze zdenerwowania nie zdołałam się roześmiać.

– Niedługo przyjdę.

Gdy wreszcie wysłałam artykuł i weszłam do łóżka, Mannix już spał. Czasami w takich okolicznościach przyciągał mnie do siebie, ale tym razem tego nie zrobił.

Jeszcze spaliśmy, gdy o siódmej rano obudził nas dzwonek do drzwi.

– O kurwa – burknął Mannix. – Ach, to Gilda. Czas na twój bieg. – Rozbudził się trochę. – Ciągłe się nie dowiedziałaś, czy Laszlo Jellico jest jej chłopakiem.

– Wspomniała o nim parę razy. – Wkładałam strój do biegania. – Ale nie wiem, czy jest jej chłopakiem. Nie sędzę. Wracaj do spania.

– Ja? Mam obowiązki, w tym przekonanie twojego uroczego synka, by zechciał wstać.

Serce mi zamarło. Czasami miałam dość.

– Wróć za czterdzieści pięć minut. Dzięki, że pobudzisz dzieci.

– Nieważne. Dowiedz się! – zawołał za mną. – Czy jest jej chłopakiem.

Na ulicy Gilda się rozciągała. Miała na sobie różową bluzę z kapturem, różową czapkę i wyglądała tak słodko, że aż się roześmiałam.

– Wyglądasz jak dwunastolatka.

– Chciałabym. A jestem trzydziestodwulatka.

Trzydzieści dwa. Zawsze byłam ciekawa, ale nie wiedziałam, jak zapytać.

Idąc za ciosem, spytałam:

– A masz chłopaka?

– W tej chwili z nikim się nie spotykam.

Zastanowiłam się chwilę. Rozumiałam, że powiedziała „nie”, ale oni tu w Nowym Jorku inaczej składali zdania.

– A Laszlo Jellico? – ciągnęłam.

– Coś tam nas łączyło. Nic poważnego. Związki są trudne.

– Wiem.

Spojrzała na mnie.

– Nie dla ciebie.

– Owszem, dla mnie też, czasami.

– Ale Mannix...?

Zawahałam się.

– Mój syn go nienawidzi. I bardzo się z Mannixem różnimy. Inaczej się wychowywaliśmy, inaczej myślimy. – Poczulałam wielką ulgę, mówiąc to do kogoś, kto mnie nie oceni, kto nie znał dawnej mnie, tej, która była żoną Ryana.

– Ale widać, że macie na swoim punkcie fioła – powiedziała Gilda.

– Iskrzy między nami... – Czułam się zażenowana, ale sama byłam sobie winna. To ja zaczęłam tę rozmowę. – Wiesz, fizycznie. Reszta bywa trudna.

Gdy wróciłam z biegu, Mannix właśnie użerał się z wyekspediowaniem dzieci do szkoły, więc telefon Rubena odebrałam sama. Zwykle Mannix obrabiał potok jego życzeń i przekazywał mi je w bardziej strawnej postaci; teraz jednak utkwiał w jakimś impasie z Jeffreyem nad czymś, co było zupełnie nieistotne, ale ważne dla nich obu.



– Świetne wieści! – oznajmił Ruben. Już się nauczyłam, że to obwieszczenie należy traktować z dużym dystansem, i kiedyś na pewno je znienawidzę. – W „Ladies Day” bardzo się podobał twój artykuł.

– To super.

– Ale musisz wprowadzić parę zmian. O wierze. Jak modlitwa i wiara cię ocaliły.

– Wiara w Boga? Ale ja w zasadzie nie wierzę w Boga.

– Więc udawaj, że wierzysz. Jesteś pisarką. I chcą ten materiał dzisiaj po południu.

– Ale dzisiaj po południu będzie robione moje zdjęcie na okładkę książki.

– Więc masz całe przedpołudnie.

– A są jakieś informacje o Annabeth? Jak ona się czuje?

– Jak powiedziałem: jaka Annabeth? Mam dla ciebie listę innych mniejszych zamówień. „Sacramento Sunshine” chce pięćset słów o twoim ulubionym znaku zodiaku. „Coral Springs Social” oryginalny przepis z naciskiem na niski poziom cholesterolu...

Mannix wyjął mi telefon z ręki. Bezgłośnie rozkazał: „Nie rozmawiaj z nim” i wyszedł z pokoju.

Mannix traktował Rubena podejrzliwie. Nie podobało mu się, że promocja mojej książki jest taka rozdrobniona. Mówił, że nie ma w tym porządku, konstrukcji, nie jest nakierowana na konkretne grupy społeczne, że po prostu dostarczam wypełniacze do niezliczonych lokalnych gazet i wykańczam się przy tym.

Po kilku minutach wrócił.

– Napisz ten tekst do „Ladies Day” – rzekł. – To rzeczywiście ma porządny odbiór. W przeciwieństwie do tych innych broszur, które Ruben reklamuje. I nie rozmawiaj z Rubenem, to moje zadanie. A teraz idę popływać.

Co rano Mannix szedł na pobliski basen i bezlitosnym tempem pokonywał pięćdziesiąt długości.

– Wrócę za godzinę.

Ja pracowałam nad artykułem do „Ladies Day”, próbując podkoloryzować swoją wiarę w Boga, ale nie mogłam się zmusić do kłamstwa: to byłoby niewłaściwe i mogło być groźne. Chociaż nie wierzyłam w Boga, bałam się Go.

W ciągu dnia Mannix pracował w salonie, a ja w sypialni, pochylona nad laptopem. Od czasu do czasu słyszałam przez ścianę, jak rozmawia z kimś przez telefon, a jego głos ciągle przyprawiał mnie o rozkoszny dreszcz. Musiałam tylko wstać, zdjąć ubranie i już po trzydziestu sekundach uprawiałabym z nim seks. Ale mieliśmy pracę do wykonania. Czasami robiłam nam obojgu kawę i tę dla niego zostawiałam mu pod drzwiami, lecz nie odzywałam się do niego. Tak się umówiliśmy – inaczej do niczego byśmy nie doszli.

W tej chwili Mannix pracował nad jakimś dodatkowym projektem. Niewiele na jego temat zdradził, a ja wiedziałam, że nie powinnam dociekać, póki on sam nie będzie chciał mi powiedzieć. Dochodziła pierwsza, gdy nagle wpadł do sypialni i oznajmił:

– Trzydzieści tysięcy.

– Co to znaczy?

– To twoja zaliczka z Harp Publishing. Za wydanie *Mozolnych mrugnięć* w Irlandii.

– O mój Boże.

To był mój pomysł, by prawa na Irlandię wyłączyć z umowy z Phyllis. Powodował mną patriotyzm. Ale kilka tygodni temu uświadomiliśmy sobie z Mannixem, że te prawa można sprzedać. Spytał, czy może zająć się szukaniem irlandzkiego wydawcy, i najwyraźniej to zrobił.

– To naprawdę renomowana firma. Wydali kilku laureatów Bookera.

– Poważnie? Tata się tak ucieszy. Jezu, Mannix. Trzydzieści tysięcy.

– Na początek zaproponowali piętnaście tysięcy. Podbiłem do trzydziestu. – Nawet nie próbował kryć

się z dumą. – A ponieważ Phyllis nie bierze w tym udziału, nie ma marzy dla agenta.

– Ty jesteś agentem. Ty to przecież załatwiłeś. Mannix, naprawdę jesteś agentem! Och, ależ mi zaimponowałeś.

– Jak dokładnie?

Zerknęłam na zegar. Musieliśmy się spieszyć.

– Tak! – Położyłam dłoń na jego klatce piersiowej i pchnęłam go na łóżko.

Łatwo go było rozebrać – T-shirt, dres, raptem parę sekund. Od jego piżmowego zapachu moje ciało otworzyło się jak kwiat.

Opuściłam się na niego i poruszałam się nad nim płynnymi ósemkami, zaciskając się mocno i poruszając nim we mnie. Ta kontrola nad własnym ciałem nadal była dla mnie nowością. On usiłował przyspieszyć, ale ja oparłam dłoń na jego brzuchu, mówiąc:

– Zwolnij.

W końcu mnie przewrócił, a gdy natarł swoimi biodrami na moje, natychmiast doszedł.

– Jeszcze nie – błagałam. – Zaczekaj. Jeszcze chwilę.

– Nie mogę – wydyszał w gwałtownym wstrząsie. – Przepraszam – wyszeptał mi we włosy.

Pogłaskałam go po głowie.

– Mój testosteronowy chłopiec. Klepnął umowę i zaraz się podniecił. Boże, nigdy nie znałam nikogo, kto by tak uwielbiał seks jak ty.

– Ty też uwielbiasz seks. Masz bardzo zaległe rozbudzenie seksualne i tylko mnie wykorzystujesz.

– Doprawdy?

Wzruszył ramionami.

– Chyba.

Do pracowni, w której miało powstać moje zdjęcie na okładkę książki, stylistę przyniósł walizkę oszalałymi szpilek Jimmy'ego Choo, które Berri, dyrektor artystyczny, natychmiast odrzucił.

– Absolutnie – krzyknął. – Musisz wyglądać jak mamuśka.

Wsunęłam stopy w niebotycznie wysokie, zdobione kryształkami cuda z wąskim czubkiem, a Mannix chwycił telefon i zrobił zdjęcie.

– Nie wrzucaj tego na Twittera! – wrzasnął Berri.

– Za późno – odrzekł Mannix i oboje wybuchnęliśmy śmiechem.

– Jestem dyrektorem artystycznym! Ja tu rządzę! A wy musicie to traktować poważnie!

– Stella wygląda świetnie w tych butach – odparł Mannix. – Po co robić z niej kogoś, kim ona nie jest?

– Właśnie! – Berri wskazał Mannixa i ściągnął uwagę wszystkich obecnych. – Właśnie dlatego nie zapraszamy partnerów na sesje autorów. – Do Mannixa zaś powiedział: – Ty nie rozumiesz. Nie chodzi o to, jak ty widzisz Stellę. To ja decyduję, kim ona ma być. A ja decyduję, że ona ma być miła i bezpieczna. W ten sposób jej książka się sprzeda.

– Kupię ci te buty – powiedział cicho Mannix do mnie.

Stylista go usłyszał.

– Mogę ci załatwić pięćdziesiąt procent zniżki.

– W takim razie kupię jej dwie pary.

Całą trójką zaczęliśmy chichotać, za co fotograf i Berri spojrzeli na nas lodowatym wzrokiem. Ale problem polegał na tym, że ta sesja była za bardzo podobna do czterech czy pięciu poprzednich, w tym wczorajszej niedosłej sesji z Annabeth w Carlyle.

Trzeba przyznać, że za każdym razem miałam inną fryzjerkę, innego fotografa, innego dyrektora artystycznego z innymi wytycznymi, ale to byłam ta sama ja z tą samą twarzą. Wobec takiego marnowania

czasu i pieniędzy całe to przedsięwzięcie wydawało się idiotyczne.

Dotarliśmy do domu akurat na kolację z dziećmi. Ich widok, rozgadanych i ewidentnie szczęśliwych, podziałał jak balsam na moją duszę. Po dzisiejszej sesji i zrodzonych z niej okropnych zdjęciach, na których wyglądałam jak własna dziewięćdziesięcioletnia prababcia, zastanawiałam się, czy nie popełniłam fatalnego błędu, przesiadając nas wszystkich do tego dziwnego kraju.

Po kolacji Mannix rzekł:

– Załóż swoje nowe buty i chodźmy na martini.

Z żalem pokręciłam głową.

– Pójdziemy na martini, jak już dostarczymy Bryce’owi dwadzieścia pięć mądrych zdań. Do tego momentu musimy pracować. Przykro mi, skarbie. Ej, są jakieś mejle od Rubena?

– Nie.

– A mogę do niego zadzwonić? Chcę wiedzieć, czy ten artykuł dla „Ladies Day” podobał się redakcji.

Dużo pracy w niego włożyłam.

Mannix westchnął.

– Ja do niego zadzwonię. I włączę głośnik.

– Cześć, Ruben – zawołałam z drugiego końca pokoju. – Jak tam artykuł dla „Ladies Day”? Podobał im się?

– Czekaj, zerknę do poczty. „Ladies Day”, „Ladies Day”... Mam. Nie. Nie podobał się. *Que sera, prawda?*

– Ani trochę? – spytałam.

– Ani trochę.

– I tyle? – Nie mogłam w to uwierzyć.

– I tyle. Odrzucony. Na śmietnik. Do roboty.

**P**aździernik dobiegł końca i całym pędem zaczęliśmy listopad. Każdy dzień był obłąkańczo wypełniony zajęciami.

Skończyliśmy z Mannixem nasze dwadzieścia pięć powiedzonek tuż przed wyznaczonym przez Bryce'a terminem, a potem ja zaczęłam szkolenie medialne z konsultantem, niejakim Fletchem. Przeprowadzaliśmy dziesiątki niby-wywiadów telewizyjnych, w których bez względu na to, o co byłam pytana – ile lat mają moje dzieci, co mam na liście marzeń – odpowiadałam frazą z *Mozolnych mrugnięć*.

– Poważnie – rzekł Fletch. – Powtarzanie tytułu twojej książki co dziesięć sekund jest optymalne.

Dostawałam szczegółowe instrukcje co do swojej postawy, skrzyżowania nóg, trzymania głowy. Nawet właściwej wysokości obcasów, dzięki której zachowam najbardziej wyprostowaną sylwetkę.

– Musisz sobie zrobić kilka zastrzyków.

– Zastrzyków? – Sądziłam, że ma na myśli szczepienia.

– No wiesz, wypełniacz w usta, botoks wokół oczu. Nic wielkiego. Żadnej chirurgii. Znam dobrego specjalistę.

Mannix zaoponował żarliwie.

– To jej zniszczy twarz.

Do tej pory odmawiałam iniekcji, bo Karen doprowadzała do katastrofalnego stanu twarzy, nad którymi pracowała, ale mimowolnie zastanawiałam się, jak bym wyglądała, gdybym trafiła w ręce właściwej osoby. Poszłam więc do specjalisty polecanego przez Fletcha, a on mnie skusił swoim podejściem „mniej to więcej” i wypuścił mnie z wyglądem nieco świeższym, nieco bardziej promiennym, ale zasadniczo taką samą. Całkowite przeciwieństwo biednych stworzeń, które chwiejnym krokiem opuszczały Honey Day Spa po zabiegach Karen, często z wyglądu przypominając ofiary udaru.

Poprawki mojej twarzy były tak delikatne, że Mannix ich nie zauważył, dopóki mu o nich nie powiedziałam, a wtedy się wściekł.

– Możesz robić, co chcesz – rzekł. – Ale nie rób tego za moimi plecami.

– Przepraszam – powiedziałam. Lecz wcale nie czułam skruchy. Byłam naprawdę bardzo, bardzo zadowolona ze swojej upiększonej twarzy.

Pomimo zastrzyków, całego pilatesu i biegania Fletch nadal jednak uważał, że nie jestem gotowa do telewizji.

– Obejrzyj się na monitorze – rzekł. – Zobacz, jak krągło wygląda twój tors.

Splonęłam rumieńcem wstydu.

– Ej, w prawdziwym życiu jesteś okej – zastrzegł. – Ale to nasza praca. Musimy to naprawić, zanim zobaczy cię wspaniała amerykańska publiczność. Znajdź sobie dietetyka.

– Już mam – odparłam.

– Kogo?

– Gildę Ashley.

– O?

– Znasz ją?

– Tylko z nazwiska. A więc świetnie, masz dietetyka. Niech z ciebie zrobi karborektyczkę. Żadnych

węglowodanów. Nigdy. Nawet nie patrz na chleb. Jeśli niechcący zobaczysz ciastko, powtarzaj w głowie mantrę: Bądź zdrowa, bądź szczęśliwa, nie zaznaj cierpienia.

– To mantra dla mnie czy dla ciastka?

– Ciastka. Nie zależy od tego twoje życie, ale nie chcesz, żeby się nie udało, prawda?

– Prawda.

– Jeśli będziesz ją powtarzać wystarczająco często, stwierdzisz, że twoje nastawienie rzeczywiście zmienia się na pełne miłości i współodczuwania.

– Dobra.

Zabawne, że zawsze słyszałam, że to w Los Angeles roi się od świrów, nie w Nowym Jorku. Cóż, człowiek się uczy całe życie.

Tak więc Gilda przejęła całkowitą kontrolę nad moją dietą. Każdego ranka dostarczała przenośną lodówkę z moimi posiłkami na cały dzień. Na śniadanie dostawałam dziwny zielony sok zawierający między innymi jarmuż i pieprz cayenne.

– Przed południem, jeśli poczujesz się naprawdę głodna, ale to tak naprawdę, możesz zjeść to. – Podana mi niewielki plastikowy pojemnik.

– Co to jest?

– Orzech brazylijski.

Zajrzałam do środka. Przetoczył się w pudełku, i wydawał się taki mały, że mimowolnie wybuchnęłam śmiechem, a Gilda szybko do mnie dołączyła.

– Wiem – powiedziała. – Trochę żałośnie wygląda, co?

– Co by powiedział Laszlo Jellico, gdybyś mu dała coś takiego? – Zmieniłam głos na pompatyczny grzmot: – „Gildo, moja droga, to nie jest dla mnie właściwe. Przynieś mi cycki Amity Bonesman! Daj mi je possać chwilę”.

Gilda nadal się śmiała, tak jakby, ale zarumieniła się.

– Przepraszam! – Zasłoniłam ręką usta.

– W porządku – odparła, trochę chłodno.

Uśmiechnęłam się niepewnie.

– Przepraszam, Gildo.

Zdałam sobie sprawę, że boję się ją stracić. W Nowym Jorku nie miałam żadnej przyjaciółki, ona była jedyną jej namiastką. Tęskniłam za Karen i Zoe, a za ciężko pracowałam, żeby znaleźć sobie jakąś nową przyjaźń.

– W porządku – uśmiechnęła się. – Nic się nie stało.

Poczynając od Święta Dziękczynienia pod koniec listopada, Nowy Jork zaczynał sezon przyjęć. Blisset Renown urządziło świąteczną imprezę dziesiątego grudnia. Ale urządzali ją w swojej siedzibie, ponieważ – jak wszyscy mi mówili – „rynek wydawniczy ledwie zipie” i byłoby niestosowne wydawać majątek na huczne balowanie.

Właśnie prowadziłam niezręczną pogawędkę z dwiema adiustatorkami, kiedy coś ostrego dźgnęło mnie w tyłek. Odwróciłam się i ujrzałam Phyllis Teerlinck, której dosłownie na oczy nie widziałam od dnia, gdy dopięła moją umowę, czyli wieki temu, w sierpniu.

– Cześć – powiedziała, dzierżąc w dłoni długopis, który przed chwilą we mnie wbiła. – Mój Boże, co oni z ciebie zrobili? Znowojorczyli cię. Chuda i olśniewająca!

– Miło cię widzieć, Phyllis.

– Bez dotykania! – Zdusiła mój uścisk w zarodku, podnosząc ostrzegawczo dłoń. – Nienawidzę tego. Wszyscy się całują po tyłkach. Cześć, dziewczęta – zwróciła się do dwóch kobiet, z którymi przed chwilą rozmawiałam. – Właśnie podprowadzam kilka babeczek dla moich kotów. Tak, jestem starą wariatką, która mieszka z kotami. Dajcie mi tę tacę. – Przesypała zawartość tacy z minibabeczkami pokrytymi pastelowym lukrem do wielkiego plastikowego pojemnika, który następnie wsadziła do swojej wielkiej torby na kółkach. – Stello, gdzie twój seksowny facet?

– Tam.

Nieopodal, oparty o jakieś półki, Mannix rozmawiał z Gildą. Gilda powiedziała coś, co go rozśmieszyło.

– Wspaniałe zęby – zauważyła Phyllis. – Bardzo białe. Kim jest ta mała, z którą rozmawia?

– Nazywa się Gilda Ashley.

– Doprawdy? A co ona tu robi?

– Spytała, czy może przyjść. No i... a czemu nie?

– Ufasz Mannixowi w jej kontekście.

Ku ubawieniu Phyllis pokręciłam głową.

– Nie.

Roześmiała się.

– To mądrze, Stello.

Jakby wyczuwając nasze zainteresowanie, Mannix spojrzał na mnie i bezgłośnie spytał: „Okej?”.

Kiwnęłam głową. Tak, okej.

Dostrzegł Phyllis i podszedł, zabierając ze sobą Gildę.

– Słyszałam, że dobiłeś targu – powiedziała Phyllis do niego. – Z maluteniczkim irlandzkim wydawnictwem. Brawo! Miejmy nadzieję, że nie ominęłam przypadkiem żadnych innych terytoriów w naszej umowie, co? Jesteś dobrym agentem.

Mannix z wdzięcznością skłonił głowę.

– Z twoich ust to wielki komplement. Zobaczymy się w nowym roku?

– Może jeszcze mam was zabrać na drogi lunch na swój koszt? Kiedy Stella napisze drugą książkę i nadejdzie właściwy moment, podpiszę nową umowę i zarobicie mnóstwo pieniędzy. Do tego czasu:

wesołych świąt!

Oddała się, lawirując pomiędzy gośćmi, aż nagle wzięła tacę z babeczkami z rąk zdumionego stażysty i opróżniła ją do swoich pudełek.

– To twoja agentka? – spytała Gilda. – Boże drogi, jest... straszna.

Dwudziestego pierwszego grudnia Mannix, Betsy, Jeffrey i ja poleciliśmy do Irlandii na Boże Narodzenie. Było to trochę dziwne, bo nie mieliśmy gdzie mieszkać. W moim domu byli lokatorzy, a Mannix w ogóle nie miał mieszkania. U mamy i taty nasza czwórka by się nie pomieściła. Nie wyobrażałam też sobie, że zwalimy się na głowę mojej siostrze, choć takiej turbozaradnej, jej mężowi i dwójce małych dzieci. U Rosy nie było miejsc, bo z Francji przyjechali rodzice Mannixa. Hero i jej rodzina musieli się przeprowadzić do mniejszego, dwupokojowego mieszkania, gdy Harry padł ofiarą redukcji w banku, tam więc też nie było miejsca.

Ostatecznie Betsy i Jeffrey nocowali u Ryana, Mannix w małym mieszkaniu Rolanda, a ja jeździłam pomiędzy jednym a drugim lokalem.

Bałam się spotkania z rodzicami Mannixa, Norbitem i Hebe, i jak się okazało – był to strach uzasadniony. Choć tacy podobno radośni i tryskający energią, najwyraźniej uważali, że nie jestem dość dobra dla Mannixa. Jego mama otaksowała mnie zimnym wzrokiem i podała mi na powitanie wiotką dłoń.

– A więc ta jedyna to ty – powiedziała. Następnie zauważyła Georgie, która pojawiła się na tym rodzinnym spotkaniu Taylorów, i krzyknęła:

– Kochana Georgie! Mój anioł. Chodź, obsypię cię pocałunkami.

Tata Mannixa nawet nie pofatygował się, by uścisnąć mi dłoń, tylko potruchtał do Georgie, jak pies wymachujący ogonem, który próbuje w podskokach polizać panią po twarzy. Przełknęłam urazę i postanowiłam zachować się jak dorosła. Ale odżyło moje podejrzenie, które zawsze żywiłam, że w świecie Mannixa jestem nieproszonym gościem.

Nie tylko Norbit i Hebe nie byli mi przychylni. Okropny był też Ryan – to nic nowego zresztą. Pewnej nocy wrócił do domu kompletnie pijany i rzekł:

– Oto ona. Kobieta, która ukradła moje życie.

– Przestań, Ryan. Jesteś nawalony.

– To powinienem być ja – powiedział. – Jak podpisałaś umowę z Harp, pisali o tym we wszystkich gazetach! A jak wyjdzie twoja zasrana książeczka, zrobi się jeszcze gorzej. Będiesz w telewizji i w ogóle. Od tej chwili nie będę mówił na ciebie Stella. Będę mówił: kobieta, która ukradła moje życie.

Nazajutrz rano powiedział:

– Pamiętam, co mówiłem w nocy. I nie przepraszam.

– Świetnie. Idę do Zoe. Ona jest dla mnie miła.

Lecz Zoe powiedziała mi, że przechodzi właśnie przełom.

– Przechodzę ze smutku do goryczy.

– Och, nie.

– Ale ja tego właśnie chcę. Mam nawet mantrę: Każdego dnia, pod każdym względem, staję się coraz bardziej zgorzkniała.

Nie wszystko w Irlandii było niemiłe – urządziłyśmy sobie superwyjście z Karen i Georgie. I bardzo mnie ucieszyło spotkanie z Rolandem. Wciąż się stroił w swoje krzykliwe ciuchy, ale stracił trochę na wadze.

– Wiem! – powiedział, kołysząc swoim wciąż ogromnym brzuchem. – Jestem wychudzony, prawda? Martwisz się? Myślisz, że jestem w stanie wyniszczenia?

Tak strasznie mnie rozśmieszał.

– Uprawiam nordic walking – oznajmił z dumą. – Niedługo będę wyglądać jak Kate Moss.



**W** Nowym Jorku Gilda skarciła mnie za to, że w Irlandii przytyłam trzy kilogramy.

– Zaordynujemy ci głodówkę sokową. Na początek dziesięć dni, a potem zobaczymy.

Dziesięć dni!

Głodówka sokowa była strasznie trudna. Nie chodziło tylko o to, że byłam permanentnie głodna, ale też potwornie dużo płakałam. W styczniu tego roku w Nowym Jorku spadł metr śniegu, wiały przenikliwe wiatry z mroźnej północy, a mnie zawsze było zimno i zawsze mi się chciało płakać. Poza tymi momentami, gdy od czasu do czasu wpadałam w szał, zwykle z błahego powodu.

Gilda była miła, ale niewzruszona.

– Pamiętasz wszystkie kawałki ciasta, które zjadłeś w Irlandii? Teraz trzeba za nie zapłacić.

Pewnego szczególnie żalospnego ranka przelało mi się. Za oknem w szalonym pędzie wirowały płatki śniegu, ja się czułam roztrzęsiona i słaba. Nagle zadzwonił telefon, a w słuchawce rozległ się wyrafinowany głos:

– Mogę rozmawiać z Mannixem?

– W tej chwili go nie ma. Jest na basenie. Mówi Stella. Czy to Hebe... mama Mannixa?

– Owszem. Proszę przekazać mojemu synowi, że dzwoniłam. Mogę ufać, że ta prośba zostanie spełniona?

I rozłączyła się. Osłupiała stałam, wpatrując się w słuchawkę. Nie chciałam wybuchnąć płaczem, ale że nikt mnie nie widział, pozwoliłam sobie. Po pewnym czasie przyszła Gilda, a ja dalej łkałam.

– Kochanie, co się stało? – spytała z głęboką troską.

– Nic, nic. – Wytarłam twarz. – Dzwoniła mama Mannixa. Rozmawiała ze mną jak z jakąś podstępną służącą, nieuczciwą szumowiną. Przerazające.

– Ale ona mieszka we Francji, tak? Nie musisz się z nią widywać.

– A jeśli Mannix też tak uważa? Choćby podświadomie.

Gilda wywróciła oczami.

– Naprawdę – powiedziałam. – Ty nie rozumiesz. Tobie się zdaje, że wszyscy jesteśmy Irlandczykami, że jesteśmy tacy sami, ale Mannix i ja pochodzimy z różnych światów. Nie mamy zbyt dużo wspólnego.

– Mnie się wydaje, że macie bardzo dużo wspólnego.

– Masz na myśli... seks? – Moja czerwona twarz poczerwieniała jeszcze bardziej. Dobra, trzeba przyznać, że to było urocze. – Ale jeśli to wszystko? Jeśli nie łączy nas nic innego? Na tym daleko nie zajedziemy. Gildo, czy mogłybyśmy dzisiaj nie biegać? Jestem rozdygotana. Nogi mam jak z waty.

Współczująco pokręciła głową.

– Moja praca polega na zmuszaniu cię do biegania. Twoja praca zależy od tego biegania.

Włożyłam strój do biegania, a na ulicy wiatr uderzył mnie w twarz niczym okrutna ręka wymierzająca policzek. Biegając, płakałam, a łzy zamarzały mi na policzkach. „Nie nadaję się do tego życia” – myślałam. Jestem za miękka. W tym mieście szansę mają tylko twardzi ludzie, ludzie z nienormalną wiarą w siebie i pędem do wewnętrznej siły.

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin – wyszeptał mi Mannix do ucha.

Otworzyłam oczy i próbowałam się obudzić, mrugając powiekami.

– Szampan? – spytałam. – Do łóżka? Na śniadanie?

– To wyjątkowy dzień.

Usiadłam i upiłam łyk z kieliszka.

– Gotowa na prezent? – Wyjął maleńką czarną torebkę, która wyglądała kosztownie i olśniewająco.

– To piesek? – spytałam.

Roześmiał się.

– Dam radę ją rozpakować? – Rozsupłałam wstążeczki, rozchyliłam torebkę i w środku znalazłam niewielkie czarne pudełko. Na nim też były wstążeczki, rozwiązałam je powoli. W pudełeczku ujrzałam czarny aksamitny woreczek, którego zawartość wysypałam na dłoń. Ze środka wyturlały się srebrne kolczyki z kamkami, które zaśniły jasnym, silnym ogniem.

– To są... to są brylanty? – spytałam przejęta lękiem. – O mój Boże, to brylanty!

Do tej pory nie miałam prawdziwej biżuterii. Pierścionek zaręczynowy, który dostałam od Ryana, kosztował dychę.

– To niezręczne – powiedział Mannix – ale muszę zastrzec, że zapłaciłem za nie, no wiesz... – Pieniędźmi z innego konta niż nasze wspólne. – Tak sobie wyobrażałaś swoje życie w wieku czterdziestu lat? – spytał.

Nie mogłam wydobyć głosu. Mieszkałam w Nowym Jorku, z tym pięknym mężczyzną, a za cztery dni zaczynałam amerykańską trasę promocyjną swojej pierwszej książki. Nie dowierzałam własnemu szczęściu.

W tym momencie powinnam była powiedzieć Mannixowi, że go kocham. I te słowa napłynęły mi do ust, ale przełknęłam je – wyszłoby na to, że wypowiadałam je pod wpływem drogiego prezentu, a to zupełnie nie tak było.

Od Gildy dostałam w prezencie dwa bilety na Justina Timberlake'a, bo zawsze go lubiłam. Dla dopełnienia wspaniałości Gilda dała mi jednodniowy odpust na czekoladę, lody i wino, bo powiedziała, że je wytańczę. Poszliśmy razem na koncert i podobało mi się pod każdym względem: krzyczałam za każdym razem, gdy Justin zarzucał biodrem, i płakałam rzewnymi łzami nad *Cry Me a River*. I tańczyłam tyle w swoim napompowanym adrenaliną stanie, że nie czułam najmniejszego bólu wywołanego moimi potwornie niewygodnymi butami na wysokich obcasach. Gdy jechałyśmy do domu, ja w stanie ekstatycznego szczęścia, Gilda zauważyła:

– Musimy częściej coś takiego robić. Masz w życiu za mało zabawy. Byłaś kiedyś na balecie? Na Jeziorze Łabędzim?

– Nie i szczerze mówiąc, w moim odczuciu to nie pachnie zabawą.

– Ależ jesteś w błędzie. To coś przepięknego. Wręcz... nie da się opisać. Zdobęde biletu. Myślę, że ci się spodoba.

– No dobra.

I o dziwo, spodobało mi się.

I wreszcie nadszedł czas wyruszyć w trasę promocyjną...

W *Good Morning Cleveland* makijażystka uznała mnie za trudne wyzwanie.

– Co mam zrobić z pani brwiami?

– A coś nie tak?

– Są... po prostu okropne.

Ależ byłam wydajna – o 8.30 rano byłam na nogach od trzech godzin, przeleciałam już osiemset kilometrów i obrażono moje brwi.

– Mogę je pomalować – powiedziała – ale musi je pani przestać skubać.

Interesujące, bo poprzedniego dnia makijażystka w... – gdzie to było? w Des Moines? – uznała, że są o wiele za gęste. Ale nie miałam siły spierać się o swoje brwi.

Miękki ołówek cudownie sunął po moim czole. Zamknęłam na sekundę oczy i...

– Stello?

Obudziłam się gwałtownie. Patrzyłam w twarz młodej kobiety.

– Ładuję akumulatory! – powiedziałam zduszonym głosem.

Ale niczego nie naładowałam – po brodzie spływała mi strużka śliny i nie miałam pojęcia, gdzie jestem.

– Chickie – przedstawiła się kobieta. – Jest pani w Cleveland, Ohio, i musi się pani obudzić. Za siedem minut będzie pani na antenie.

– Jak długo spałam?

– Trzydzieści sekund – odrzekł Mannix.

– Pan to Mannix – stwierdziła Chickie. – Trzeba panu nałożyć podkład.

– Słucham?

– Musi pan się pojawić na antenie z panią Stellą. Musimy się skupić na pytaniu, czy czuje się pan wykastrowany, pracując dla niej.

– Ze mną – zaznaczyłam, po raz tysięczny chyba. – On pracuje ze mną.

Dokądkolwiek trafialiśmy w trakcie tej podróży, wszędzie było to samo. Media miały obsesję na punkcie Mannixa, a ich pytania zawsze dotyczyły dwóch kwestii: jak mogę sobie patrzeć w oczy, wykastrowawszy mężczyznę. Oraz: jak się czuję jako zdrajczyni feminizmu, skoro powierzyłam zarządzanie moją karierą diabolicznie przebiegłemu, kontrolującemu partnerowi.

– Musimy z nim porozmawiać – upierała się Chickie.

– Nie – odparł Mannix.

– Widzi pani! – zauważyłam. – Wcale go nie wykastrowałam.

Ale Chickie miała polecenia z góry.

– Musimy go pokazać w tym wejściu.

– Nie musicie pokazywać mojego paskudnego ryja w telewizji – odrzekł Mannix.

– Jest pan słodki. – Chickie się zmieszała. – No, jak na staruszkę. To znaczy jak na starszego pana.

Och, nie miałam na myśli... musimy...

– Gwiazdą jest Stella. To ją musicie.

– Ale...

– Ja nie muszę się u was pokazywać.

Chickie zabiła go wzrokiem, a potem odeszła gniewnym krokiem, mówiąc coś szybko do słuchawki.

– Chciałbym, żeby ludzie nie powtarzali tak w kółko, że coś muszą. – Mannix odprowadził ją spojrzeniem. Z żalem powiedział do mnie: – Przykro mi, kochanie.

Dla mnie było okej. Domyślałam się, że jakoś nam się uda.

Lecz się nie udało. Za karę redaktor nie podał szczegółów mojego przedpołudniowego spotkania z czytelnikami, więc nikt nie przyszedł. Ale może i tak nikt by nie przyszedł. Szybko się przekonałam, że to całe podpisywanie książek było absolutnie nieprzewidywalne. Wcześniej sądziłam, że trudno będzie skłecić tłum w większych miastach, bo ludzie mieli tyle innych propozycji, i że ludzie prędzej przyjdą tłumnie w pipidówkach, ale nie zawsze to tak wyglądało.

Tak czy owak, z jakiegokolwiek powodu, Cleveland mnie nie polubiło, a ja nie miałam sił się tym przejmować. Cieszyłam się, że nie muszę rozmawiać z dziesiątkami ludzi, że nie muszę w kółko tego samego powtarzać. Nie wspominając o tym, że ciężko było siedzieć wyprostowana jak struna z uśmiechem na twarzy. Istniało duże niebezpieczeństwo, że zasnę nagle i wyrznię głową w stół.

W trasie promocyjnej *Mozolnych mrugnięć powieką* byłam już jedenaście dni. Ani dnia wolnego. Każdy, kto by nakreślił tę trasę na mapie i zobaczył, ile razy przebywam tę samą drogę, padłby ze śmiechu.

Wciąż jednak powtarzałam sobie to, co powiedziała mi Gilda: Mam szczęście. Mam szczęście – mówiłam sobie. Mam szczęście. Mam szczęście. Byłam tak zmęczona, że ledwie miałam siłę się ubrać, ale realizowałam swoje marzenia.

Prawdę mówiąc, gdyby Gilda nie przygotowała mi planu garderobianego, naprawdę nie byłabym w stanie sama się ubrać. Plan jednak działał jak w zegarku.

Chociaż nie można wkalkulować okoliczności całkowicie nieprzewidzianych...

Tego samego dnia, w Cleveland, Ohio, na lunchu charytatywnym, pijany dureń wylał pół kieliszka czerwonego wina na moje niebieskie zamszowe szpilki, w których pojawiałam się niemal w każdej telewizji.

Trzeba mi przyznać, że zdołałam go nie zagryźć. Obnażając zęby w grymasie udającym uśmiech, oblałam buty białym winem, a potem posypałam je solą i dalej się uśmiechałam, chociaż plamy ani drgnęły. Uśmiech, uśmiech, uśmiech. Nic się nie stało, tak, dziękuję, to tylko buty, ha, ha, ha, nie, nie trzeba płacić za pralnię, zresztą w pralniach nie piorą butów, ty pijany stary durniu, może teraz wreszcie zostawisz mnie w spokoju, i przestań już przeproszać, nie zmuszaj mnie, żebym cię pocieszała i powtarzała, że nic się nie stało, muszę iść, cudownie było, tak, dziękuję, tak, przynajmniej stopy mam całe, rzeczywiście, ale teraz muszę się udać w jakieś ustronne miejsce i się wykrzyzczyć.

Po powrocie do pokoju hotelowego Mannix rzekł nieśmiało:

– Na pewno masz inne buty. – Nie był głupi, wiedział, że takich rzeczy do kobiety się nie mówi.

– Nie mam! – Bliska łez podniosłam ciężkie wysokie czarne buciory. – Mogę to włożyć do spódniczki? Nie. A to? – Tym razem padło na uggi, a potem na buty do biegania. – Nie. Nie.

– A te? – Mannix sięgnął po bardzo wysokie buty na koturnie, ozdobione kryształkami.

– To na wieczory, na uroczyste przyjęcia. Te buty – wzięłam do ręki zniszczone szpilki – były idealne na wyjścia dzienne, do gołych nóg, do spódniczek. Były śliczne, olśniewające, i nawet wygodne! A teraz są zniszczone. Wiem, że reaguję histerycznie, ale one były filarem mojej promocyjnej garderoby!

– Filarem promocyjnej garderoby? – powtórzył Mannix, przyglądając mi się uważnie.

– Filarem promocyjnej garderoby i nie próbuj mnie rozśmieszać.

Zawsze umiał rozładować atmosferę. Przez kilka błogich chwil, zanim musieliśmy znowu ruszyć do

pracy, leżeliśmy obok siebie na łóżku.

– Możemy kupić nowe? – spytał.

– Te są od Kate Spade. A my jesteśmy w Hicksville w Ohio. Tutaj w ogóle nie słyszeli o Kate Spade.

– Myślałem, że w ogóle już nie ma Kate Spade.

– Mieli reset. I powinieneś się zupełnie nie orientować w takich sprawach. Bądź mężczyzną.

Położył się nade mną i spojrzał mi w twarz.

– Bądź mężczyzną?

Wpatrywałam się w niego. Nastrój się zmienił, atmosfera zgęstniała.

Nie było czasu. Ale co tam.

– Pospiesz się – powiedziałam, ściągając majtki.

Pospieszył się. W miarę. Jeszcze cichły jego jęki, gdy odezwał się telefon.

– Jezu – stęknął.

Dzwoniono z recepcji z informacją, że w holu czeka dziennikarz.

– Dziękuję, zaraz zejdę.

– Zostań chwilę. – Mannix próbował chwycić mnie za biodra.

– Nie mogę. – Wyrwałam mu się. – A jak mnie nie będzie, może zobaczysz, czy da się coś z tymi butami zrobić?

– A może poleję je jeszcze trochę czerwonym winem i będę udawać, że to tak ma być? Buty à la Jackson Pollock.

– Dobra. – Warto było spróbować. Włożyłam dzinsy, wysokie buty, zupełnie nieodpowiednie na Cleveland, zupełnie nieodpowiednie na wywiad, ale nie miałam wyboru.

– Jeśli to nie pomoże, to odwołamy resztę trasy promocyjnej – dodał Mannix.

– Świetnie. Wracam za pół godziny.

Opryski à la Jackson Pollock nie pomogły. Wyglądały jak plamy po czerwonym winie, tylko że w większej ilości. Mannix na koniec próbował wyczyścić buty chusteczkami do demakijażu, ale to z kolei wywołało łysienie butowate. Gdy ja robiłam wpis na blogu, Mannix starał się zamówić buty w sklepie Kate Spade w Nowym Jorku.

– Dacie radę z dnia na dzień do Cleveland w Ohio? Ale dzisiaj o siedemnastej wylatujemy do Tucson. A z Tucson wylatujemy jutro o siódmej rano. Nie możecie zagwarantować, że do tego czasu dotrą...

Dobra, jutro będziemy w San Diego od dziewiątej trzydzieści rano do szesnastej. Ale nie mamy adresu, będziemy jeździć. Jutrzejczy nocleg? Seattle. Świetnie. – Podał wszystkie swoje zamiary i rozłączył się.

– Okej. Identyczne buty będą na ciebie czekały w Seattle.

Nazajutrz w San Diego absolutnie nie mogłam wystąpić w dzinsach i wysokich butach. Roztopię się. Będę musiała wyjść do sklepu i poszukać jakichś butów tymczasowych tutaj, w Cleveland, ale miałam też trzy wywiady, jeden po drugim.

– Ja pójdę – oznajmił Mannix.

Wrócił z jasnoniebieskimi butami: lakierki, a nie zamszowe, z okrągłym czubkiem, a nie spiczaste, na ciężkich niezgrabnych obcasach, a nie profilowanych szpilkach. Wyglądały plastikowo, tanio i strasznie.

– Prawie identyczne? – Najwyraźniej był z siebie zadowolony.

A we mnie wezbrał gniew, okropny, potworny gniew. Cholerni faceci. Byli tacy durni. Nie mieli, kurwa, pojęcia o niczym.

Coś mi w duszy mówiło, że zachowuję się nieracjonalnie, więc przełknęłam furię i przypomniałam sobie, że te ohydne buty są tylko na jeden dzień.

Jak się okazało – nie była to prawda. Buty od Kate Spade nie zdążyły dotrzeć do Seattle przed naszym wyjazdem. Przesłano je do San Francisco, żeby nas dogoniły, ale znowu przybyły za późno. Pewnie do

dzisiaj przemierzały ogromny amerykański kontynent, podążając moim śladem, niczym fan Grateful Dead.

Gdy próbowałam pogodzić się z tanimi butami, zadzwonił mój telefon. To była Gilda – i chwilę się wahałam, nim odebrałam. Przez całą trasę Gilda dalej była moim osobistym trenerem, tyle że telefonicznym. Znała mój kalendarz, więc mogła wkalkulować w niego codzienny bieg i co drugi dzień pilates.

– Cześć, Gildo – powiedziałam. – Mam na sobie strój, mam słuchawkę i jestem gotowa.

– Świetnie.

Położyłam się na plecach na podłodze, i oddychałam trochę ciężko.

– Dobra, jestem już na ulicy. Biegnę. Osiem kilometrów na godzinę.

– Przyspiesz. Dziesięć na godzinę. I utrzymuj to tempo przez piętnaście minut.

– Dobra – dyszałam i sapałam, a Mannix patrzył na mnie w milczeniu, kręcił głową i się uśmiechał.

Gilda wypowiadała mi do ucha zachęcające słowa, a ja dyszałam.

– Zawróć – poleciła. – Ale następne półtora kilometra zrób w tempie dwanaście na godzinę.

Dyszałam do mikrofonu, aż Gilda powiedziała:

– Zwolnij do dziesięciu. A teraz do ośmiu. Utrzymaj osiem, aż dotrzesz do hotelu. Jak tam jedzenie?

– Świetnie – wysapałam. – Na lunchu charytatywnym jadłam kurczaka i fasolkę szparagową. Żadnego chleba, ryżu, deseru.

– A teraz lecisza do Tucson na kolację charytatywną. Te same zasady: cokolwiek ci położą na talerzu, nie możesz zjeść żadnych węglowodanów. Pod żadnym pozorem! Zwłaszcza cukru. Zadzwonię do ciebie rano, o piątej trzydzięci twojego czasu. Siedem kilometrów biegu, zanim pojedziesz na lotnisko. A teraz rozciąganie. Dobrze się spisałaś.

– Dzięki, Gildo. – Rozłączyłam się i dalej leżałam na podłodze.

– Wiesz co – rzekł Mannix. – To jakaś szajba. Powiedz jej po prostu, że nie masz siły na bieganie.

– Nie mogę. Rozczarowałabym ją. Chodź, jedziemy na lotnisko.

Lot do Tucson był opóźniony o trzy godziny i Mannix i ja zrobiliśmy duży postęp w swoich wzajemnych ansach.

– To kolacja charytatywna – powiedziałam, chowając twarz w dłoniach. – Ci wszyscy ludzie zapłacili za bilet. Muszę się tam pojawić i porozmawiać z nimi.

Gdy tylko wylądowaliśmy w Tucson i pobiegliśmy po taksówkę, próbowałam się wbić w suknię wieczorową i przypadkiem kopnęłam kierowcę w głowę. Ciągle go przepraszałam, kiedy zajechaliśmy pod hotel, gdzie wypatrywała mnie delegacja rozhisteryzowanych członków komitetu organizacyjnego.

– Witam – rzuciłam. – Przepraszam...

– Idziemy, tędy. – Wepchnęli mnie na scenę, nie dając czasu na złapanie oddechu.

Od razu wiedziałam, że to trudne audytorium. Czasami wyczuwasz pozytywną energię, a czasami nie. Kazałam tym ludziom czekać i czuli się urażeni, więc gdy tylko skończyłam opowiadać swoją historię, zaczęły się nieprzyjazne pytania.

– Mój mąż zachorował na zespół Guillaina-Barrégo...

Kiwnęłam głową współczująco.

– ...i zmarł.

– O mój Boże... – szepnęłam. – Bardzo mi przykro.

– Był dobrym człowiekiem, pewnie lepszym niż pani. Jak to możliwe, że on umarł, a pani nie?

– Cóż... mnie ocaliły przed śmiercią tracheotomia i respirator.

– On też miał tracheotomię. Może miał złą?

– Cóż... ekhm...

– Dlaczego Bóg pozwala ludziom umierać? O co chodzi w Boskim planie?

Kobieta wpatrywała się we mnie, czekając na odpowiedź. O Boskim planie miałam jeszcze mniej pojęcia niż o skutecznej tracheotomii.

– ...ścieżki Pana są niezbadane – wydusiłam wreszcie. – Jakies inne pytania?

Poważna matrona o zadziwiających włosach przejęła wędrujący mikrofon i odchrząknęła.

– Myśli pani, że na podstawie pani książki powstanie film? A jeśli tak, to kogo by pani widziała w swojej roli?

– Kathy Bates – odrzekłam.

Po sali poniosł się skonsternowany pomruk.

– Kathy Bates? – powtarzali sobie słuchacze. – Przecież ona jest szatynką.

Zapomniałam, że Amerykanie nie są zdolni do pomniejszania własnych zasług i wartości.

– To znaczy Charlize Theron – poprawiłam się szybko. – Albo Cameron Diaz. – Gorączkowo usiłowałam sobie przypomnieć blond gwiazdy filmowe. – Widzę, że tam pani podnosi rękę. Słucham, o co chciałaby pani zapytać?

– Co mam zrobić, żeby zostać sławną?

– Mogłaby pani kogoś zamordować – usłyszałam własny głos.

Po sali poniosło się wstrząśnięte „Och!”. Przerazona zawołałam czym prędzej:

– Przepraszam! Bardzo przepraszam. Nie powinnam tak mówić. To ze zmęczenia... – A jeszcze nie zachowałam się współczująco wobec kobiety, której zmarł mąż. Ten wyczerpujący proces pozbawił mnie wszelkiej empatii. – Od jedenastu dni jestem w drodze i...

Jedna z członkiń komitetu wyrwała mi mikrofon.

– Dziękujemy Stelli Sweeney – przerwała, by przeczekać zdawkowe oklaski i kilka buczeń. – Stella będzie podpisywać swoją książkę w audytorium.

Kolejka była krótka. Ale i tak wyczułam wariata. Wariaci zawsze krążyli w pobliżu do samego końca. Nie czekali w kolejce z resztą ludzi, nie mieszały się z motłochem.

Dzisiaj wariatów było tylko dwóch – konkurowali ze sobą. Jednym była radosna dama, drugim facet z problemem panowania nad złością.

– Pan pierwszy – powiedziała Żwawa Wariatka, ruchem ręki zapraszając mężczyznę.

– Nie, pani.

– Nie, pan.

– Słuchaj, no, suko, przepuszczam cię...

Gdy go odprowadzano, cisnął w moją stronę jakimiś kartkami.

– To moja książka! Krytykuj mnie! Łzyj!

Żwawa Wariatka nachyliła się zbyt blisko i powiedziała radośnie:

– Zabiorę cię na koktajl do swojego ulubionego baru, a ty mi podasz tajemny przepis na bestseller.

– To bardzo miło z pani strony – odparłam. – Ale za sześć godzin muszę wsiąść w samolot do... – gdzie ja mam jutro być, do cholery? – do San Diego.

– Och, tak? – Zmrużyła oczy. – Kupiłam twoją książkę! Poleciłam ją znajomym! Ty suko! Jedyne, o co proszę...

– Dziękuję. – Wstałam i uśmiechnęłam się tępo dokoła. – Dziękuję, wszyscy byliście cudowni. Tak, Tucson, cudowni. Wszyscy. Ale muszę już jechać.

Chwyciłam ze stołu jakiś kieliszek z winem, opróżniłam go jednym haustem, zdjęłam buty i powiedziałam do Mannixa:

– Możemy iść?

Wzięliśmy taksówkę do hotelu, a tam położyłam się w swoim pokoju na podłodze przed minibarem,

wsypałam sobie do ust emenemsi i powtarzałam raz za razem:

– Czekolada, uwielbiam, kurwa, czekoladę...



– Ruben chce z tobą rozmawiać. – Mannix podał mi telefon.

Otworzyłam szeroko oczy i pokręciłam głową: nie chciałam rozmawiać z Rubenem. Dwa dni wcześniej wróciłam z trasy promocyjnej i cały ten czas spędziłam w łóżku, niemal niezdolna wydobyć głosu.

– W porządku – dodał Mannix cicho. – To nic złego.

Wzięłam telefon.

– Mam niewiarygodne wieści – zaczął Ruben kusząco. – Gotowa? No dobra! Otóż *Mozolne mrugnięcia powieką* trafiły na listę bestsellerów. Na liście „New York Timesa” są na miejscu trzydziestym dziewiątym. Tymczasem Bryce chce, byście przyszli na sprawozdanie z trasy promocyjnej. Widzimy się w piątek o jedenastej. Potem Bryce może was zabrać na lunch.

Położyłam się na poduszce oszołomiona z ulgi.

Zaraz po telefonie Rubena napłynął potok gratulacji od sześciu czy siedmiu wiceprezesów.

Następna w kolejce była Phyllis.

– Trzydziesta dziewiąta? – powiedziała. – Moje koty by wyżej zaszły.

Przed spotkaniem Gilda przyszła do nas i wymodelowała mi włosy – okazało się, że jako nastolatka dorabiała sobie w zakładzie fryzjerskim i „liznęła podstawy”.

– Jest coś, czego nie umiesz robić? – spytałam, gdy wywijiała szczotką w moich włosach.

Roześmiała się.

– Nauki ściśle trochę mi nie poszły. – Nagle ściągnęła brwi. – Nie zamierzasz chyba włożyć dzisiaj tej sukienki?

– Nooo. Owszem. – Była to bardzo ładna sukienka z Anthropologie; Gilda pomogła mi ją wybrać.

– Nie dzisiaj. Przykro mi, Stello, ale dzisiaj musisz wyglądać twardo. – Zaczęła przeglądać rzeczy w mojej szafie i wyjęła dobrze uszyty, dopasowany garnitur. – Włóżysz to – powiedziała. – To właściwy strój.

– Dobra.

W Blisset Renown Mannix i ja zostaliśmy zapędzeni do stołu w sali konferencyjnej, gdzie czekała już mała armia wiceprezesów. Spodziewałam się zobaczyć Phyllis – dostawała kopie wszystkich mejli – ale najwyraźniej jej nie było.

– Witam. – Bryce wszedł zdecydowanym krokiem do sali i zajął miejsce u szczytu stołu. – Zaczynamy.

Wyglądało na to, że zaczynamy bez Phyllis.

– Dziękuję wszystkim za wspianą pracę przy *Mozolnych mrugnięciach powieką* – zaczął Bryce. – Szczególnie dziękuję Rubenowi i jego zespołowi za wspianą akcję promocyjną. I oczywiście bardzo się cieszymy, że książka trafiła na listę bestsellerów. To zatem dobry moment, by się zastanowić, co osiągnęliśmy. Nie mamy jeszcze ostatecznych wyników sprzedaży z Barnes & Noble i ze sprzedaży on-line, ale mamy pewne informacje od niezależnych sprzedawców i możemy na tej podstawie wnioskować. Tu przekażę głos naszemu koledze, wiceprezesowi do spraw sprzedaży, Thoresonowi Gribble’owi.

Thoreson, mężczyzna o potężnej klatce piersiowej, odziany w śnieżnobiałą koszulę, błysnął po zebranych oślepiająco lśniącymi zębami.

– Tak więc książka trafiła na listy bestsellerów, co jest niesamowitą wiadomością. Niemniej jednak

nie osiągnęliśmy optymalnych zakładanych wyników pierwszej sprzedaży. – Spojrzał na swojego iPada. – Domyślamy się, że ludzi zniechęciło powiązanie z Annabeth Browning. Ale zapowiedzi są obiecujące. Na przykład w niezależnej księgarni w Boulder w Kolorado sprzedano sześćdziesiąt cztery egzemplarze na podstawie pochwalnej recenzji w „WoowoForYou”.

Uświadomiłam sobie, że wstrzymuję oddech.

– Dobre wyniki napływają również z Vermont – kontynuował Thoreson. – Maple Books w Burlington sprzedało trzydzieści trzy egzemplarze w jednym tygodniu. Zrobił to pewien księgarz, który sam o sobie mówi, że jest żarliwym wielbicielem *Mozolnych mrugnięć powieka*. – Kolejny błysk zębów Thoresona. – Tak więc szacunek...

– Świetnie, Thoreson – przerwał mu gładko Bryce. – Stello, Mannixie, w wolnej chwili możecie się zapoznać z całym raportem. Podsumowując, mamy do czynienia raczej z maratonem niż ze sprintem. Start był zachęcający i zamierzamy agresywnie korzystać z tych solidnych podstaw. Czy po pierwszej trasie promocyjnej moglibyśmy oczekiwać bardziej zachęcających wyników? Pewnie, ale zasadniczo jest dobrze.

– Dziękuję – wymamrotałam, trochę niespokojnie.

– W kraju jest wiele grup wsparcia, więc nasz algorytm kosztowo-zyskowy, stworzony przez naszego specja Bathshebę Radice’a, wskazuje, że możemy spodziewać się zysków z drugiej i trzeciej trasy.

– Dobra, ale... – odezwał się Mannix.

– Oto plan – przerwał mu Bryce. – Kolejna podróż w lipcu, gdy ludzie zaczynają urlopy. Potem jeszcze jedna w połowie listopada, by pokryć rynek zakupów bożonarodzeniowych. Na początku nowego roku będziemy mieli sprzedaż lawinową. Na pierwszego lutego przygotujesz nową książkę i opublikujemy ją w lipcu.

Odsunął krzesło i wstał.

– Strasznie się cieszę, że się spotkaliśmy.

Wychodził? Myślałam, że idziemy na lunch.

Wstałam niepewnie, a Bryce już ścisnął mi dłoń i poklepywał mnie po ramieniu, po czym ruszył do wyjścia.

– Trzymaj się, Stello.

W połowie kwietnia nadeszła wiosna, znienacka, jakby w ciągu jednej nocy. Słońce świeciło, nawet pojawiły się zapowiedzi upału. Wróciliśmy z Mannixem do domu przez Central Park, gdzie setki jaskrawych żonkili znaczyły naszą trasę. Choć Bryce nas wystawił, w tych okolicznościach i tak mieliśmy optymistyczne nastroje.

Po powrocie do domu napisałam do Gildy esemesa, że już jestem i czekam na codzienny bieg. Po piętnastu minutach stała pod moimi drzwiami.

– Więc nie zabrali was na lunch? – spytała.

– Nie...

– Och. No dobra. A jak wasza wariacka agentka? Co dzisiaj ukradła?

– Nie przyszła.

– Wow! Zostawiła was samych na ważnym spotkaniu? Niewiele się napracuje na te swoje dziesięć procent.

Phyllis dostawała trzynaście procent, ale i tak czułam się zobowiązana stanąć w jej obronie.

– Nie należy do typów bardzo opiekuńczych.

– A, to nie moja sprawa. No to co, Stello, idziemy rozruszać twój metabolizm!

– Uważaj na nią – odezwał się Mannix.

– Tak, tak. – Gilda wywróciła oczami. – Cenny ładunek, wiem, wiem.

Zjechaliśmy windą i wyszliśmy na słoneczne miasto.

– On jest dla ciebie taki miły – stwierdziła Gilda.

– Ach, bo wiesz, on... No tak, jest miły.

– No dobra, ramiona pracują, serce bije.

– A ty... ekhm... masz teraz kogoś?

Moja relacja z Gildą była dziwna. Odruchowo ciągnęło nas do siebie, ale ponieważ ja jej płaciłam, musiałyśmy pilnować pewnych granic.

– Ciągłe szukam księcia.

– Spotkasz wreszcie jakiegoś cudownego mężczyznę – powiedziałam pokrzepiająco.

– No na pewno nie skończę u boku jakiegoś dupka – odparła ostro. – Będę czekać na swojego wymarzonego księcia takiego jak Mannix.

„Będę czekać na swojego wymarzonego księcia takiego jak Mannix”. Jej słowa brzmiały mi w głowie i nagle – rozzłoszczona – obejrzałam się na nią. Zawsze sądziłam, że jest śliczna, ale teraz wręcz skojarzyła mi się z królową. Piękną królową, która ma moc odebrać mi Mannixa. Otworzyłam usta i odsunęłam się od niej.

Doskoczyła do mnie i chwyciła mnie za ramię. W jasnoniebieskich oczach dojrzałam wstrząs.

– O mój Boże – powiedziała. – To źle wyszło. Wiem, co sobie pomyślałaś! Ale nie myśl tak!

Nie musiałam nic mówić. Wiedziałam, że mój strach jest doskonale widoczny.

– Stello, pracujemy razem, ale to coś więcej. Jesteśmy przyjaciółkami. Jestem wobec ciebie lojalna. Nie mogłabym cię skrzywdzić, nigdy w życiu.

Nadal nie byłam w stanie wydobyć głosu.

– Nie twierdzą, że dla mnie cudzy facet to zawsze owoc zakazany. – Mówiła bardzo szybko. – Choćby człowiek był nie wiadomo jak dobry, jeśli coś zaiskrzy, to zaiskrzy, i nic się na to nie poradzi, prawda?

Próbowałam kiwnąć głową, ale nie mogłam.

– Jeśli w związku faceta nie dzieje się dobrze i czujesz, że między wami może się coś zadziać, to... no, wtedy bym mogła. Ale nawet gdybym nie czuła się zobowiązana wobec ciebie, to Mannix kocha cię ponad wszystko. Ja tylko się użalałam nad sobą, biedna mała Gilda. Byłam zazdrosna. Ale nie, że Mannix należy do ciebie – dodała szybko. – Po prostu chciałabym przestać natykać się na swej drodze na samych dupków, a zacząć spotykać się z fajnymi facetami.

– Dobra.

Przebiegłyśmy pięć kilometrów. Ale i tak czułam złość.

Po powrocie do domu ruszyłam prosto do salonu.

– Mannix?

– Tak? – Nie odrywał oczu od ekranu.

– Gilda ci się podoba?

Odwrócił się do mnie i spojrział z zaskoczeniem.

– Nie – odrzekł. – Gilda mi się nie podoba.

– Ale jest młoda i piękna.

– Świat jest pełen młodych i pięknych kobiet. Co się dzieje?

– Dawno temu spytałam, czy ostatnią osobą, z którą spałeś przede mną, była Georgie, i powiedziałeś, że nie. – Nie do wiary, że od tamtego czasu go o to nie gnębiłam. – Kto to był?

Milczał chwilę.

– Jakaś dziewczyna. Poznałem ją na imprezie. Z Georgie już się rozstaliśmy i mieszkałem w tym

mieszkań, które tak bardzo lubiłaś. To było jednorazowe spotkanie.

Poczułam taką zazdrość, że mało nie zwymiotowałam.

– „Jakaś dziewczyna” – powtórzyłam. – Ładnie tak mówić o kobiecie, z którą uprawiałeś seks?

– A co byś chciała usłyszeć? Że to była wyjątkowa piękność? Dwudziestoczteroletnia instruktorka jogi o wielkich cyckach?

– A była? – natarłam.

– Nie mam szans. Nie wiem, ile miała lat. W tamtym okresie strasznie dokuczała mi samotność. Jej pewnie też. Następnego ranka czułem się gorzej. I ona pewnie też.

– Jak miała na imię?

– Nieważne. Nie powiem ci, bo nie chcę, żebyś się nakręcała. Strasznie mi się nie podoba, że mi nie ufasz.

– Nie ufam ci.

– A ja sobie tak. I spójrz na to inaczej. Zgadzasz się, bym mieszkał pod jednym dachem z twoją osiemnastoletnią córką. Najwyraźniej tutaj mi ufasz. Stello, nie chcę rzucać żadnymi kamieniami, ale to ty odeszłaś od męża dla innego mężczyzny.

– Ryan i ja już się rozstaliśmy. – Zamilkłam, bo kłamałam. – Myślisz, że Gilda z tobą flirtuje?

– Ona flirtuje ze wszystkimi. To jej... no wiesz... ona już ma taki styl. To jej modus operandi, Gilda w ten sposób funkcjonuje.

– Wiem, co to jest modus operandi.

Roześmiał się.

– Wiem, że wiesz. Oto jak sprawa wygląda: byłem z Georgie wiele lat i jej nie zdradzałem. Na koniec wszystko się popsło i oboje robiliśmy rzeczy, z których nie jesteśmy dumni. Nie jestem doskonały, Stello. Popełniałem błędy...

Wpatrywałam się w niego, a on we mnie, i nie miałam pojęcia, co myśleć. Czasami nie umiałam go rozgryźć, jakbym go w ogóle nie znała.

– Musimy pogadać – rzekł.

Moje serce przyspieszyło.

– To dobre wieści – dodał szybko.

– Tak?

– *Mozolne mrugnięcia powieką* zajmują czwarte miejsce na irlandzkiej liście bestsellerów.

– Co takiego? – zatkało mnie ze zdumienia. – Jak to?

– Wydano ją w zeszłym tygodniu. Dzięki tym wszystkim artykułom, które tutaj napisałaś, tam się zrobiła głośna. Nawet ten artykuł dla „Ladies Day” ją rozreklamował.

– Naprawdę? No to... no to świetnie. – To były fantastyczne wieści, ale mój nastrój jeszcze się nie poprawił.

– Zaproсили cię na trasę promocyjną w przyszłym miesiącu, ale jesteś wykończona. Z drugiej strony pojechałabyś do kraju i zobaczyła się z bliskimi, i nie byłoby stresu z noclegami, bo Harp zapłaciłby za hotel.

– Jaki hotel? – spytałam podejrzliwie. Namieszkaliśmy się już w ponurych, bynajmniej niedźwiękoszczelnych kwaterach w trasie Blisset Renown.

– Jakikolwiek zechcemy.

– Merrion?! – krzyknęłam. – Zapłaciliby za Merrion? O mój Boże, powiedz, że tak.

Roześmiał się.

– A plan podróży? Na tydzień planują mniej zadań niż Blisset Renown robili w dzień. Tylko jeden występ w telewizji, w Saturday Night In.

- Dałabym radę?
- Oni się uduszą z radości, jeśli przyjdiesz. Już mnie zasypali mejlami.
- A tata mógłby się spotkać z Maurice’em McNice’em?
- Nie wiedziałem, że go lubi.
- Och, nie lubi. Nienawidzi go. Ale bardzo by się ucieszył, gdyby mógł mu sam o tym powiedzieć.

Mów dalej.

- Harp zakłada jeden wywiad dla prasy i jedno podpisywanie książek.
- I tylko tyle?
- Jest jeszcze coś... Mnóstwo stacji radiowych chciałoby wywiad. Ale przez wzgląd na siebie spytałem, czy mogłabyś trafić do Neda Mounta.

Ned Mount był gwiazdą rocka, zanim został komentatorem radiowym – grał w kapeli o nazwie Big Event – i wszyscy go kochali.

- Ja... no wiesz... chciałbym go poznać... – wyznał Mannix.
- Naprawdę? No to super. – Zadzwoił mój telefon. – To Ryan. Lepiej odbiorę. Cześć, Ryan.
- Cześć, złodziejko życia.

Westchnęłam.

- Co mogę dla ciebie zrobić?
- Podobno przyjeżdżasz do Irlandii reklamować swoją śmieszna książkę.
- Skąd wiesz? Nic jeszcze nie jest uzgodnione...
- Możesz coś dla mnie zrobić, Stello. Chcę się spotkać z Nedem Mountem. Ponieważ ukradłaś mi całe życie, możesz to uznać za małe odszkodowanie, szansę na oczyszczenie sumienia śmiesznymi duperelami.
- Dobra.

Gdy tylko się rozłączyłam, telefon znowu zadzwonił.

- Karen?
- Przyjeżdżasz do Irlandii? Fajnie się dowiedzieć z radia.
- Ale to jeszcze nie jest pewne!
- Nieważne. Nie dlatego dzwonię. Mam tu niecodzienną sprawę. Znasz Endę Mulreida?
- Twojego męża? Noo... znam. – A do Mannixa powiedziałam bezgłośnie: Co, do licha?
- No więc on chce z tobą rozmawiać. Za chwilę usłyszysz jego głos.

Po serii trzasków i chrząknięć w słuchawce zabrzmiał głos Endy Mulreida.

- Cześć, Stello.
- Cześć, Enda.
- Stello, nie czuję się z tym dobrze, ale chciałbym cię prosić o przysługę.
- Och?

– Tak, otóż... rzeczywiście masz prawo powiedzieć „och” w intonacji pytającej. Zachowuję się w sposób całkowicie nie w moim stylu i niewątpliwie jesteś zaskoczona. Moja prośba brzmi tak: jeśli pójdziesz do programu Neda Mounta, czy mogę ci towarzyszyć? Od lat jestem jego wielbicielem. Big Event to kapela mojej młodości. Muszę jednak cię uprzedzić, że nigdy nie będę mógł ci się odwdzięczyć dzięki stanowisku w Garda Síochána. Posłużę się przykładem: jeśli zostaniesz złapana na przekroczeniu dozwolonej prędkości, nie będę mógł anulować ci mandatu. Będziesz musiała po prostu ponieść te konsekwencje.

- Enda, jeśli pójde do programu Neda Mounta i jeśli on nie będzie miał nic przeciwko temu, z przyjemnością zabiorę cię ze sobą i niczego nie będę w zamian oczekiwać.
- Może zechciałabyś ode mnie przyjąć zestaw prezentowy z Body Shopu?
- Nie ma potrzeby, Enda, nie ma takiej potrzeby.

Rozłączyłam się.

– Program Neda Mouna? – powiedziałam do Mannixa. – Będziemy musieli wynająć busa.

W pędzie przygotowań do wyjazdu do Irlandii dziwna rozmowa z Gildą poszła w zapomnienie. Nazajutrz po naszej niepokojącej wymianie zdań, gdy otworzyłam jej drzwi, bo przyszła na pilates, spojrzaliśmy na siebie nieufnie.

– Cześć. Jeśli chodzi o wczoraj...

– Proszę, Gildo, przesadziłam.

– Nie. Ja jestem idiotką. Powinnam była się zastanowić.

– Ja jestem przewrażliwiona na punkcie Mannixa. Wejdz. Przepraszam cię.

– Ja też przepraszam. – Weszła do środka.

– Ja bardziej.

– Ja najbardziej.

– Nie, to ja.

Obie się roześmiałyśmy i nagle wszystko wróciło do normy. Jak to ujął Mannix: świat pełen był młodych i pięknych kobiet. Gdybym wszystkie je postrzegła jako zagrożenie, zwariowałabym.

– Pamiętaj, że jestem ci bardzo oddana – powiedziała.

Uświadomiłam sobie, że naprawdę jej wierzę. Chociaż jej płaciłam, Gilda była moją przyjaciółką, i nie tylko. Dawała mi swój optymizm i entuzjazm, i znajdowała rozwiązanie problemów, które wykraczały poza zakres jej obowiązków. Nieustannie okazywała, jak bardzo się o mnie troszczy.

– Wszystko w porządku – zapewniłam. – Nic się nie stało.

– Uff! A co z twoją podróżą do Irlandii? To super, prawda? Mogę ci przygotować garderobę.

– Widzisz, jadę na tydzień i będę tylko w Dublinie, a pogoda będzie niezmienna, czyli niezmiennie okropna, ale... Och, przepraszam, Gildo, wyszłam na niewdzięcznicę. Dziękuję, bardzo się ucieszę, jak mi przygotujesz garderobę.

– A więc... – Ned Mount spojrział na mnie z iskierką w oku. – Modliłaś się dużo, gdy leżałaś w szpitalu?

– Oczywiście. – Wpatrywałam się w jego wnikliwe, inteligentne oczy. – Tak samo jak się modłę, zanim spojrzę na wyciąg z karty kredytowej!

Ned Mount wybuchnął śmiechem, ja wybuchnęłam śmiechem, ekipa produkcyjna wybuchnęła śmiechem, i jakieś dwadzieścia osób, które uparły się mi towarzyszyć w wyprawie do studia radiowego i które patrzyły chciwie zza dźwiękoszczelnej szyby, też wybuchnęło śmiechem.

– Byłaś bardzo dzielna – powiedział Ned Mount.

– Ach, bez przesady. W takich okolicznościach nie ma wyjścia.

– Zostaliśmy dosłownie zasypani pozytywnymi tweetami i mejlami – powiedział. – Przeczytam kilka: „Stella Sweeney jest bardzo dzielną kobietą”. „W zeszłym roku miałam udar i historia Stelli dała mi nadzieję na wyzdrowienie”. „Uwielbiam jej skromne, praktyczne podejście do życia. Przydałoby się jeszcze parę takich osób w naszym kraju marud i kwękaczy”. I tak dalej, dosłownie setki. I muszę powiedzieć, że podzielałam te odczucia.

– Dziękuję – wymamrotałam oszołomiona. – Dziękuję.

– A więc oto Stella Sweeney, drodzy słuchacze. Jej książka, o której już na pewno słyszeliście, nosi tytuł *Mozolne mrugnięcia powieką*, a w sobotę o piętnastej Stella będzie ją podpisywać w Easonie na

O'Connell Street. Wracamy po przerwie.

Zdjął słuchawki.

– Dziękuję, to było świetne – zwrócił się do mnie.

– To ja dziękuję. I dziękuję – zerknęłam na Mannixa, Ryana, Endę, nawet na Rolanda i wujka Petera, którzy tłoczyli się za szybą, patrząc błagalnie i nachalnie – że wyjdiesz przywitać się z moimi przyjaciółmi.

– Nie ma sprawy. – Ned Mount wstał. – Jeszcze raz gratuluję. Nie wiem, jak przetrwałaś ten okres w szpitalu. Musisz być wyjątkową osobą.

– Nieprawda. Jestem do znudzenia zwyczajna. – Policzki mi płonęły. – No to teraz uwaga – powiedziałam, gdy on otworzył drzwi i rzucił się na niego tłum mężczyzn. Nie mogłam powstrzymać uśmiechu, patrząc, jak Enda Mulreid próbuje przekazać Nedowi Mountowi, ile dla niego znaczył Big Event – zdaje się, że stracił cnotę przy *Jump Off a Cliff*. Tego akurat nie musiałam wiedzieć.

Jeśli nie liczyć niechcianych szczegółów dotyczących życia płciowego Endy Mulreida, wyprawa do radia była wspaniała. Dokądkolwiek poszłam, ludzie stawiali się tłumnie i gratulowali mi, że żyję. W jednym z wywiadów nazwano mnie „Przygodnym guru”. Wciąż słyszałam „Dajesz nam nadzieję”, „Twoja historia daje nam nadzieję”.

Poszłam do Saturday Night In, gdzie Maurice McNice opisał mnie jako „kobietę, która wzięła szturmem Amerykę”, co zdecydowanie nie było zgodne z prawdą, ale przez chwilę przyłączyłam się do tej bajki i przyznałam, że owszem, to cudownie odnieść sukces.

Mannix i ja mieszkaliśmy w Merrionie, gdzie jadłam i piłam, co chciałam, a ćwiczenia fizyczne ograniczałam do stukania się kieliszkami z Mannixem. Przez tydzień udawałam, że Gilda nie istnieje.

Oczywiście nie wszystko było pozytywne. W jednej z gazet ukazała się krytyczna recenzja pod tytułem *Paulo Coelho dla biedaków? Raczej dla upadłych kobiet*. A jedno z bardziej złośliwych zdań artykułu brzmiało: „Czytałem tę książkę dłużej, niż autorka ją pisała”.

Potem na moim występie u Maurice'a McNice'a nie zostawił suchej nitki telewizyjny dziennikarz William Fairey: „Kolejna uzalająca się nad sobą kobieta, która wykorzystuje swoją smutną historijkę, by opchnąć kilka swoich śmieciowych książek innym uzalającym się nad sobą kobietom”.

Roland – który przyszedł się z nami spotkać w hotelu – tylko na to spojrzął i wybuchnął śmiechem.

– William Fairey to zgorzkniały fiut. Jedyne, co mu się udaje, to gorycz. On uwłacza twojej godności, Stello. Wszystkim nam uwłacza. Jest poniżej wszelkiej krytyki.



W maju do Nowego Jorku wpadła na kilka dni Georgie zdążająca do Peru.

– Po co ona tam jedzie? – spytała mnie Karen przez telefon.

– Żeby odnaleźć siebie, jak to ujęła.

– Ja pierdzielę. Reszta ludzi musi się odnajdywać w dzielnicy, w której się urodziła i wychowała, a takie bogate dziewczyny odnajdują się wyłącznie w podróży na inny kontynent i ćwicząc jogę na szczytach gór o poranku. Długo jej nie będzie?

– Jedzie na czas nieokreślony, jak to ujęła.

– A kto prowadzi jej butik?

– Kobieta, która tam jest kierownikiem.

– Cóż, gdyby Georgie potrzebowała pomocy – Karen usiłowała mówić tonem sugerującym, że nic a nic się tym nie przejmuje – gdyby kiedykolwiek chciała, by ktoś rzucił okiem na rachunki czy coś, zawsze jestem do usług.

– Super.

– Jak wyglądam, mamó? Mannix? – spytała Betsy.

Stała w progu salonu w miętowej satynowej sukni balowej, w robociarskich butach i za dużej koszuli flanelowej. Włosy miała potargane i przez całą jej twarz ciągnęły się grube czarne linie nakreślone kredką do oczu. Ale i tak była piękna.

– Wyglądasz bajecznie, kochanie – powiedziałam.

– Bez dwóch zdań – poparł mnie Mannix. – Baw się dobrze.

Zadzwoił dzwonek u drzwi.

– Przyjechali! – oznajmiła Betsy.

Bal maturalny w Academy Manhattan był równie nietypowy, jak cała reszta etosu szkoły: uczniów zachęcano, by poprzestali na prostocie, żeby zrezygnowali z limuzyn, bukiecików i łączenia się w pary. W pobliskiej tyrolskiej restauracji ustawiono długie stoły, nie przydzielano z góry miejsc, więc każdy mógł sięść, gdzie chciał. A królową balu podobno zostawał chłopak.

– Chodźcie mi pomachać – powiedziała moja córka. – I zróbcie dużo zdjęć dla taty.

Przy krawężniku w wieczornym majowym słońcu stał pomarańczowy VW kamper, wynajęty na ten wieczór. W środku siedziała banda nastolatków płci obojga. Boczne drzwi odsunęły się z grzechotem i roztrzaskały migawki. Z tego, co zdołałam zauważyć, tylko jedna osoba pofatygowała się ze smokiem – korpulentna dziewczyna z zaczesanymi gładko do tyłu włosami i wampirycznym makijażem.

– Wsiadaj, Betsy, wsiadaj! – Wyciągnęły się po nią ramiona, a ona wsiadła nieporadnie i pośród pisków i krzyków kamper odjechał.

Mannix odprowadzał ich tęsknym wzrokiem.

– Będiesz znowu płakać? – spytałam.

Tego samego dnia Betsy miała ceremonię zakończenia szkoły, a Mannix wziął w niej udział, bo Ryan powiedział, że nie stać go na bilet. Gdy Betsy stanęła na podium i przyjęła pergaminowy zwój, uśmiechając się nieśmiało i dumnie, widziałam łezkę w oku Mannixa.

Oczywiście się wyparł, ale właśnie w takich chwilach uświadamiałam sobie, jak bardzo mu brakuje

własnych dzieci.

– Shep – powiedziałam, gdy patrzyliśmy, jak kamper znika na końcu ulicy – ty, ja i Shep na plaży. Skup się na Shepie.

– Dobra. Shep.

Shep stał się naszym słowem kocykiem, naszym hasłem pocieszenia.

Wróciliśmy na górę.

– Wyślę kilka zdjęć Ryanowi – powiedziałam. – Potem on się ze mną połączy na Skypie i będzie się wściekał, że Betsy nie ubrała się elegancko.

– Niech spierdala – odrzekł Mannix. – Wyglądała wspaniale.

– Założę się, że zadzwoni za pięć minut.

– Trzy.

Mannix wygrał. Po dwóch minutach i pięćdziesięciu ośmiu sekundach wściekła twarz Ryana pojawiła się na ekranie.

– To jej bal maturalny! – wrzasnął. – W co ona się ubrała, do cholery?!

– W to, w czym się czuła najlepiej. Daj spokój.

– A co ma napisane w księdze pamiątkowej?

Przełknęłam ślinę. To będzie trudne.

– Uznano, że jest uczniem, który ma największe szanse na szczęście.

Zgodnie z moimi oczekiwaniami Ryan wpadł w szal.

– To wstyd! – krzyczał z drugiej strony Atlantyku. – To wręcz obraza! Kto chce być szczęśliwy, do cholery? A sukces? A majątek? Władza?

– A bycie szczęśliwym jest takie złe?

– Ona ciągle ma tę jazdę z opiekunką?

Kilka tygodni temu Betsy wywołała spore poruszenie, zapowiadając, że w przyszłości zamierza być opiekunką.

– To nie jest zawód – powiedziałam wtedy.

– Doprawdy? – O dziwo, postawiła się. – A życie to w ogóle jakiś zawód?

– Betsy, musisz iść na studia.

– Spójrzmy prawdzie w oczy, mamó, nie jestem tytanem umysłu.

– Ależ ty jesteś bardzo inteligentna! Mówisz płynnie po hiszpańsku i japońsku. I jesteś niebywale uzdolniona artystycznie, tak mówi twój nauczyciel. To moja wina – dodałam. – Za późno przyjechaliśmy do Stanów, by przygotować cię do egzaminów do Ivy League. Powinniśmy przyjechać rok wcześniej.

– Mamó, co ty wygadujesz? Nawet gdyby miało to jakiś sens, Ivy League?! Ja nigdy nie będę kimś takim.

Nie nadążałam za Betsy. Zupełnie odstawała od swojego pokolenia, w ogóle od całego świata zachodniego – nie podzielała powszechnego pragnienia, by znaleźć pracę, w której będą płacić kokosy.

Ja przez większość swojego życia martwiłam się o jej przyszłość – jej i Jeffreya. Nawet gdy leżałam sparaliżowana w szpitalu, mnóstwo czasu poświęcałam modleniu się, by Ryan należycie sprawdzał ich lekcje. Ale Betsy jakby sama się tym nie przejmowała. Nie w tym rzecz, że była leniwa. Była po prostu nienormalnie wyluzowana.

A ja nie mogłam się zdecydować, czy zamartwiać się o nią, czy zastanawiać się, czy jest coś złego w byciu zadowolonym ze swojego życia.

– Z niani zrezygnowała – powiedziałam teraz do Ryana. – W tej chwili chce zostać arteterapeutką.

– Że co? – warknął.

Ryan miał zupełnie dziwaczne nastawienie do tego, czy dzieci wykazują jakiegokolwiek uzdolnienia

artystyczne. Nie byłam pewna, czy aby nie chodzi o to, że chce być jedynym artystą w rodzinie. Niewykluczone jednak, że po prostu gardził sztuką, bo jemu się na tym polu nie udało.

– Arteterapeutką – powtórzyłam. – To zupełnie co innego, niż być artystą. – Mówiłam uspokajającym głosem, bo miałam jeszcze jedną niemiłą wiadomość. – Dobrze wypadła na rozmowach kwalifikacyjnych w kilku uniwersytetach humanistycznych. Ale najpierw robi sobie rok przerwy.

– Żeby, kurwa, co robić?

– No...

– Tylko nie to. Nie przyjeżdża chyba tutaj, co?

– Ryan, jesteś jej tatą. Ona za tobą tęskni, tęskni za domem. W każdym razie to będzie krótka wizyta. Potem jedzie do Azji na trzy miesiące. Razem z pięcioma osobami z klasy. Będzie dobrze.

– Słodki Jezu – stęknął. – A ten drugi kretyn wcale nie lepszy.

Tym drugim kretynem był biedny Jeffrey.

Rzeczywiście Jeffrey jeszcze nie znalazł swojej pasji. Ustalono, że nie jest uzdolniony matematycznie. Ale i w bardziej artystycznych dziedzinach nie zachwycał. Na skutek nacisków Ryana pokierowaliśmy go ku, jak to nazwał mój były mąż, bardziej męskim dziedzinom, jak ekonomia czy biznes. Ale i to nie chwyciło. Przez krótki okres wykazywał niezwykle wręcz uzdolnienia do mandaryńskiego, i to jednak zakończyło się rozczarowaniem.

– Dałem im wszystko – mówił Ryan. – Niewdzięczne gnojki. To twoja wina. Sama przyznaj.

– To moja wina. Jedna rzecz ci się spodoba. Jeffrey ma bogatego kolegę. Został zaproszony do niego na Nantucket na cały miesiąc.

– Jak bogatego?

– Podobno do jego ojca należy połowa Illinois.

Na ten temat Ryan naprawdę nie mógł powiedzieć już nic negatywnego, choćby nie wiadomo jak się starał, więc pożegnał się krótko i zakończyliśmy rozmowę.

Mannix zakręcił kieliszkiem wina.

– Wyczuwam nuty zuchwałości.

– Ja bym to nazwał bezczelnością. – Roland cmoknął.

Ja wetknęłam nos do kieliszka i dodałam:

– Czyżbym wyczuwała delikatną nutę... tak! Gburowatości?

Mannix, Roland i ja spędzaliśmy wakacje w winiarskich rejonach północnej Kalifornii.

Na początku czerwca Betsy wyjechała w podróż do Azji przez Irlandię, a Jeffrey pojechał na Nantucket ze swoim nowym bogatym kolegą. Nagle zostaliśmy z Mannixem sami w Nowym Jorku.

– Dziwnie tu bez nich – powiedział Mannix.

– Wiem. To dobry moment, żeby zacząć drugą książkę.

– A może pojedziemy na wakacje? Tylko na tydzień.

– Nie ma mowy. – Byłam niewzruszona. Czujnie strzegłam naszych finansów. Ćwierć miliona dolarów brzmiało imponująco – bo i była to imponująca suma – ale nasz czynsz, podatki, koszty utrzymania w Nowym Jorku były rujnujące. Nieustannie pojawiały się wszelkiej maści nieoczekiwane wydatki – jak wynajęcie opiekunki w czasie, gdy ja byłam w trasie promocyjnej – i zaliczka topniała szybciej, niż przewidywałam.

– Miałaś trudny rok – mówił Mannix. – Bardzo ciężko pracowałaś. Musisz odpocząć.

– Wiem, ale...

– Może byśmy gdzieś pojechali z Rolandem?

– Z Rolandem? – prawie krzyknęłam. – A skąd Roland miałby wziąć pieniądze na wakacje?

– Właśnie pośredniczył w sprzedaży biurowca i spłacił potężną część swoich długów. Mówi, że ma w przygotowaniu jeszcze kilka transakcji. I zachowuje się tak przykładowo, chodzi na spotkania anonimowych dłużników...

Zagryzłam wargę.

– Na tydzień – nie ustępował Mannix.

– Na nic się jeszcze nie zgadzam, ale dokąd byśmy pojechali?

– Gdzie chcesz – wzruszył ramionami. – W winiarskie rejony Kalifornii?

– A tam będzie fajnie? – spytałam podejrzliwie.

– Powiedziałbym, że będzie wspaniale.

O Boże, to brzmiało kusząco.

– No dobra – zacisnęłam powieki. – Dobra. Zróbmy to. Zróbmy to!

Wszystko potoczyło się bardzo szybko. Spotkaliśmy się z Rolandem w San Francisco, wynajęliśmy samochód i ruszyliśmy na północ, za dnia zajeżdżając do winnic i kameralnych producentów żywności, a na noc zatrzymując się w motelach, które tak naprawdę były pięciogwiazdkowymi hotelami, tyle że przytulnymi. Były tam stajnie, restauracje z gwiazdkami Michelina i prywatne winiarnie.

Było błogo i rozkosznie – słońce, jazda za dnia przez piękne okolice i przyjemność oglądania uszczęśliwionego Mannixa.

Roland należał do jakiegoś tajemnego internetowego zespołu smakoszy – co rano wpisywał

współrzędne GPS i otrzymywaliśmy wskazówki, jak cudowną trasą dotrzeć do miejsca, w którym jakiś piekarz na odludziu męł własną mąkę na chleb albo dwaj bracia za pomocą jakiejś nadzwyczajnej technologii wędzili bekon.

Ja nie byłam smakoszem, nie obchodziło mnie, czy jem chleb z piekarni przemysłowej, czy z pradawnego młyna wodnego, ale każda wyprawa sprawiała mi frajdę. Roland był cudownym, niesłychanie optymistycznym, dobrym kompanem, ale nie takim jak irytujący artyści estradowi, którym nieustannie trzeba poświęcać całą uwagę.

Co wieczór w tych przytulnych motelach oferowano nam wyrefinowane menu dla smakoszy, a Mannix i Roland próbowali rozbudzić we mnie jakieś potrzeby.

– Nie do wiary, że nigdy nie jadłaś ostryg! – zakrzyknęli pierwszego wieczoru.

– Ani gołębia – dodałam. – Ani jaj przepiórki. I teraz na pewno nie zacznę.

Próbowali mnie kusić drobnymi porcjami na swoich widelcach, ale ja nie ustępowałam, zwłaszcza w kwestii gołębia, postanowili więc poedukować mnie winiarsko.

– Zakręć nim. – Mannix podał mi ogromny kieliszek. – Zaczekaj kilka chwili i zobacz, co do ciebie dotrze.

– Pachnie jak wino – odpowiedziałam. – Czerwone wino, gdybym się miała wdawać w szczegóły.

– Zamknij oczy – powiedział Roland. – Zakołysz kieliszkiem i powiedz, z czym ci się to kojarzy.

– Dobra. – Kręciłam kieliszkiem kilka chwil, a potem powąchałam. – Z brakiem zęba.

– Słucham?

– Nie żartuję. Kojarzy mi się to ze szczerbatym uśmiechem. Mógłby być piękny, ale... niestety...

Otworzyłam oczy. Obaj znieruchomieli przestraszeni i wpatrywali się we mnie. Mieli identyczne postawy i wyraz twarzy – chociaż Roland miał trzydzieści kilogramów nadwagi, a Mannix był bardzo szczupły, widać było, że to bracia.

Mannix sięgnął po swój kieliszek, zakręcił nim i zakrztusił się winem.

– Ona ma rację. Jest w nim jakiś straszny smutek.

– Sam jesteś smutny – odrzekł Roland.

– Nie. W życiu nie byłem taki szczęśliwy. Sam spróbuj.

– Jezu. – Roland przepłukał usta. – Rzeczywiście, Stello, masz rację. Wyczuwam długą nutę samotności i posmak lęku.

– Niezrealizowane marzenia – dodałam.

– Przygasłe piękno.

– Przebite opony – dorzucił Mannix. – Wszystkie cztery. Rozmyślnie pocięte.

Pokładaliśmy się ze śmiechu i tak chyba zaśmiewaliśmy się cały tydzień.

Każdy wypity kieliszek wina otwierał konkurs na najbardziej wymyślny i nieprawdopodobny opis.

– Wyczuwam nutę skórzanych butów.

– I kulawych nóg stołowych.

– Graffiti.

– Ambicja.

– Kurtka motorniczego.

– Zapalenie wyrostka robaczkowego.

– Szczypta siarki.

– Sraty-taty.

– A trele-morele?

– Neeee. A tak! Tak, teraz czuję trele-morele.

– Gilda mnie zabije – jęknęłam po kolejnej kolacji z pięciu dań.

- Wrócisz do diety w przyszłym tygodniu – powiedział Roland. – Najedz się.
- Nadal uprawiasz nordic walking? – spytałam niepewnie.
- Nie – odrzekł ze skruchą. – Musiałem rzucić, bo popsułem sprzęt i wyrzucili mnie z siłowni.

Mimowolnie parsknęłam śmiechem.

Szczerze mówiąc, wyglądał, jakby zrezygnował z wszelkiej aktywności fizycznej. Po zaczątkach smukłej sylwetki, którą widziałam w Boże Narodzenie, nie został najmniejszy ślad. A w zajeździe Ranczo Meadowstone, gdy stajenni ujrzeli, jak człapie ku nim Roland, wyraźnie się zaniepokoił.

- Widziałaś ich miny? – spytał. – Nawet konie się zmartwiły.

Zalałam się łzami ze śmiechu.

– Po powrocie do Irlandii zaczynam pracę z nowym trenerem osobistym. – Wzniósł kieliszek. – Ale na razie jesteśmy tutaj, w tym pięknym miejscu i raczymy się wspaniałym jedzeniem i winem.

Później, gdy szykowaliśmy się do snu, Mannix rzekł:

- Kochasz mojego brata.
- No pewnie. Chyba wszyscy go kochają. Jest niesamowity.

Były to najlepsze wakacje w moim życiu i gdy żegnaliśmy się z Rolandem na lotnisku w San Francisco, trudno nam było się powstrzymać od łez: wakacje dobiegły końca; ja powinnam była zacząć drugą książkę, ale nie zaczęłam; a za dwa tygodnie ruszałam w swoją drugą trasę promocyjną.

– W porządku. – Mannix ścisnął moją dłoń. – Myśl o Shepie. Ty, ja i Shep spacerujemy po plaży. Zobaczysz, ta trasa nie będzie taka straszna jak poprzednia.

I nie była. Wstawałam później, plan nie był tak napięty, a co szósty dzień miałam wolny.

Usiedliśmy z Mannixem przy stole w sali konferencyjnej wraz z Bryce'em Bonesmanem i kilkoma wiceprezesami. W porównaniu z ostatnim sprawozdaniem frekwencja była o wiele niższa i znowu nie stawiała się Phyllis.

– Witam wszystkich – zaczął Bryce. – Z powodu sezonu urlopowego kilka osób nie mogło do nas dołączyć. Tym razem *Mozolne mrugnięcia powieką* nie widnieją na listach bestsellerów.

– Bardzo mi przykro – powiedziałam.

– To rzeczywiście fatalnie – kontynuował Bryce. – Ale prawdopodobnie spowodowane jest to porą roku; w lipcu publikuje się o wiele więcej książek niż w marcu.

– Przykro mi – powtórzyłam.

– Nasz wiceprezes do spraw sprzedaży Thoreson Gribble nie mógł być obecny w tym momencie, ale jego raport został przesłany wszystkim pocztą elektroniczną. Podsumowując: nadal mamy nieśmiałe nadzieje. Na tyle, by sugerować wam ponowne wynajęcie mieszkania Skogellów. Oni sami jeszcze najbliższy rok spędzą w Azji. Kolejna twoja trasa promocyjna odbędzie się w listopadzie i wtedy nastąpi zwieńczenie wszystkich naszych wysiłków. Kto wie, może na święta znowu trafimy na listę bestsellerów „New York Timesa”? Prawda?

– Prawda! A w lutym mam dostarczyć nową książkę. – No, zaczęłam ją. – Mam świetny tytuł. – Staralam się mówić pewnym głosem. – Nazwałam ją *Tu i teraz*. W moim odczuciu ten tytuł współgra z potęgą terażniejszości, rozważą i wszystkimi tymi modnymi sprawami.

Z ogromnym wysiłkiem tchnęłam w swój głos pozytywne nastawienie.

– Będzie jeszcze lepsza niż *Mozolne mrugnięcia powieką*!

– Wspaniale – powiedział Bryce. – Nie mogę się doczekać jej lektury.

Wyszliśmy na ulicę i zderzyliśmy się ze ścianą gorącego i wilgotnego sierpniowego powietrza. Od razu zaczęliśmy rozmawiać.

– Wezmę kolejny rok wolnego – zdecydował Mannix.

– Ale...

– W porządku. Przemyślałem wszystko i nie możemy teraz opuścić statku.

– Jesteś pewien? – Miałam żalosne poczucie winy.

– Ale jeśli mamy wynająć na kolejny rok mieszkanie Skogellów, musimy wiedzieć, na czym stoimy finansowo. Musimy pogadać z Phyllis...

– Kiedy ostatnio z nią rozmawialiśmy?

Wieki temu. Żadne z nas nie pamiętało, kiedy dokładnie to było.

– Ale teraz jest inaczej – powiedział Mannix. – Musimy podjąć decyzje i ty musisz mieć nową umowę.

Po powrocie do domu zadzwoniliśmy do Phyllis i włączyliśmy głośnik.

Odebrała osobiście.

– Tak? – Odniosłam wrażenie, że siorbnęła, jakby jadła makaron.

– Cześć, Phyllis, mówi Stella. Stella Sweeney.

– Wiem. – Zdecydowanie jadła makaron. – Myślisz, że odbieram, jeśli nie wiem, kto dzwoni? Co jest?

– Właśnie wróciliśmy ze spotkania z Bryce'em. Jest bardzo podjarany. – No, podjarany to może nie

był, ale nauczyłam się już, że tutaj w normie jest podkreścanie. – Tak się więc zastanawialiśmy z Mannixem, czy może rozmawiałś z Bryce'em o nowej umowie na drugą książkę?

– Nie.

– Phyllis, bardzo cię przepraszam, ale my z Mannixem musimy wiedzieć, jak wygląda nasza sytuacja finansowa.

Roześmiała się.

– Jesteś słodka! Myślisz, że chodzi o ciebie? Nie chodzi o ciebie. Chodzi o mnie i moją reputację. Impas, kochana. To nie czas na mruganie.

– Ale...

– Ja cię rozumiem. Nie wiecie, czy wynajmować mieszkanie na następny rok. Nie wiecie, czy zapisywać dzieci do szkoły. Ale to nie jest dobry moment, by ruszać do Blisset Renown z nową umową. Może jeśli znowu trafisz na listy bestsellerów... – Nastąpiła znacząca i niemiła pauza.

– Słuchaj – podjęła. – Jesienią Bryce po raz kolejny wysyła cię w trasę. Nadal wydaje na ciebie pieniądze, nadal inwestuje. To dobry znak. Nie zrezygnował z ciebie. Ale do zakończenia tej trzeciej trasy nie ma mowy o umowie.

– Więc co mamy robić?

– Róbcie to, co musicie: wracajcie do Irlandii albo zostańcie tutaj, ale jeśli chodzi o nową umowę, czekamy. Ja będę wiedziała, kiedy nastanie właściwy moment. I to nie jest teraz.

– Phyllis, ja... – Lecz ona się już rozłączyła.

– Och! – odwróciłam się do Mannixa.

Najwyraźniej był równie wstrząśnięty, jak ja.

– Co mamy robić? – W głowie mi się kotłowało.

Mannix głośno wciągnął powietrze.

– Przyjrzyjmy się sytuacji. – Mówił, jakby z trudem zachowywał spokój. – Na liście priorytetów najwyższą pozycję zajmuje Jeffrey i jego wykształcenie. Wyrwanie się ze szkoły w Irlandii i życie w Nowym Jorku wiele dla niego znaczyło. Bardzo się starał tu zaaklimatyzować i ma zacząć ostatni, najważniejszy rok w szkole. Nie możemy mu teraz przerwać.

– Dziękuję – powiedziałam. – Dziękuję, że stawiasz Jeffrey'ego na pierwszym miejscu.

– Nie ma sprawy.

– Inne argumenty? Nie mam pracy, do której miałabym wrócić i w domu w Dublinie mieszkają lokatorzy, nie mielibyśmy więc gdzie mieszkać.

– A wszystkich moich pacjentów przydzielono komuś innemu. Chwilę potrwa, zanim odtworzę praktykę.

Po pełnym niepokoju milczeniu Mannix dodał:

– Spójrzmy na sprawy inaczej: pieniędzy wystarczy nam na kolejny rok w Stanach.

– Jeśli będziemy ostrożni. A będziemy – dodałam z mocą. – Koniec z wakacjami. Koniec z Gildą. Koniec ze wszystkim. Ale Boże, Mannix, jeśli w lutym dowiemy się, że oni nie chcą mojej drugiej książki? Jeśli *Mozolne mrugnięcia* nie będą się sprzedawać? Wówczas nie będą ot tak chcieli następnej. Ta nowa musi być lepsza od pierwszej. Jezu. – Schowałam twarz w dłonie. Najbardziej na świecie nienawidziłam niepewności finansowej.

– Nie możemy tak myśleć. A Bryce na tym spotkaniu był pełen nadziei – przypomniał Mannix.

– Pełen ostrożnej nadziei.

– Na tyle pełen nadziei, by w listopadzie wysłać cię w trasę. Myślę, że musimy zostać. Daj spokój, Stello, uznajmy, że będziemy optymistami. Że nie będziemy się martwić.

– Czy ty miałeś przeszczep osobowości?



Ale Mannix miał rację. Zbyt wiele spaliliśmy mostów. We wszystko tutaj, w Nowym Jorku, zainwestowaliśmy za dużo emocji i finansów. Drzwi do naszego dawnego życia zamknęły się dokładniej, niż się spodziewaliśmy. Nie mogliśmy wrócić.

Nagle lato dobiegło końca i nastał wrzesień, a Jeffrey wrócił do szkoły na ostatni rok nauki.

Powiadomiłam Gildę, że nie będę już mogła jej zatrudniać, ale ona stanowczo oznajmiła, że dalej będziemy razem biegać cztery razy w tygodniu.

– Jesteśmy przecież przyjaciółkami, prawda? – spytała.

– No tak, ale...

– Lubię biegać i wolę z kimś.

Wahałam się, lecz ostatecznie ustąpiłam.

– No dobrze, bardzo ci dziękuję. Ale jeśli kiedyś będę mogła ci za to zapłacić, zrobię to.

– Jak powiedziałam: jesteśmy przyjaciółkami.

Betsy wróciła z Azji i nie mogła znaleźć żadnej pracy. Aż Gilda jakimś cudem załatwiła jej staż w galerii sztuki. Praca nie była płatna, ale odrobinę się wiązała z jej planami, by studiować arteterapię, więc zdusiłam w zarodku lęki.

Właścicielem galerii był trupio blady, odziany na czarno Joss Wootten. Z Google'a dowiedziałam się, że ma sześćdziesiąt osiem lat i dopiero po pewnym czasie, później niż wszyscy, zorientowałam się, że to chłopak Gildy.

– Jezu, mamó – powiedziała Betsy. – Jakim cudem dostałabym tam staż, gdyby nie był jej chłopakiem?

– O Boże – stęknęłam. Co łączyło Gildę z tym staruszką?

Ostrożnie wybadałam, co ją przyciągnęło do Jossa.

– Jest szalenie interesujący – powiedziała z rozmarzeniem.

– Jak Laszlo Jellico? – spytałam, bardzo chcąc zrozumieć. – On był interesujący?

Jej twarz znieruchomiała.

– On był interesujący niewłaściwie.

– Rozumiem. Przepraszam. – Wiedziałam, że nie powinnam więcej poruszać tego tematu.

Robiłam postępy z drugą książką, dokładnie taką jak *Mozolne mrugnięcia powieką*. Przy każdej rozmowie, którą odbywałam, skupiałam się, aż bolała mnie głowa, w rozpaczliwej nadziei, że usłyszę słowa codziennej mądrości. Często dzwoniłam do taty i zachęcałam go, by przypomniawsobnie, co mawiała babcia Locke. Miałam już prawie trzydzieści powiedzonek, a potrzebowałam sześćdziesięciu.

Ruben ciągle mi dostarczał zajęć – codziennie musiałam pisać na blogu i tweetować jakieś mądre i pocieszające banały, ale to było trudne, bo ilekroć przyszło mi do głowy coś porządnego, chciałam to zachować do drugiej książki. Potem Ruben kazał mi założyć konto na Instagramie.

– Rób miłe zdjęcia, z kaszmiem – powiedział. – Wschody słońca i dziecięce rączki.

Takie rzeczy niezupełnie były w moim stylu – wolałabym robić zdjęcia pięknych butów i ślicznych paznokci – ale Ruben mnie napomniawsobnie:

– Nieważne, kim jesteś, ważne, kogo my z ciebie robimy.

Na ratunek przyszła mi Gilda.

– Ja to zrobię – oznajmiła. – I mogę też pisać na Twittera. I na bloga, jeśli chcesz.

– Ale...

– Wiem. Nie możesz mi zapłacić. W porządku.

Rozważyłam plusy i minusy tego rozwiązania i ustąpiłam, bo po prostu nie radziłam sobie z potokiem żądań Rubena.

– Pewnego dnia dobro, które czynisz, powróci do ciebie.

– Och, daj spokój. – Machnęła ręką na moją wdzięczność. – To nic takiego.

Ruben bezustannie domagał się też pisania artykułów. I w obrębie trzech stanów (czyli tam, gdzie wysłanie mnie nie kosztowało dużo) wygłosiłam mowę w absolutnie każdym szpitalu, szkole czy ośrodku odwykowym.

Mniej więcej pod koniec października Betsy poznała Chada. Przyszedł do galerii i bezczelnie oznajmił, że kupi cokolwiek, jeśli moja córka się z nim umówi.

Byłam wstrząśnięta i martwiłam się: wydawało mi się, że on zupełnie nie nadaje się na partnera Betsy. O wiele za stary – raptem pięć lat młodszy ode mnie – zbyt wyrachowany i zbyt cyniczny.

Był prawnikiem i korporacjonistą do szpiku kości. Pracował dwanaście godzin na dobę, życie mu upływało w garniturach, limuzynach i mrocznych drogich restauracjach.

– Co ci się w nim podoba, kochanie? – spytałam ostrożnie. – On cię bawi? Czujesz się przy nim bezpieczna?

– Och, nie – zadygotała. – On mnie ekscytuje.

Wpatrywałam się w nią trochę przerażona.

– Wiem – powiedziała. – Zupełnie nie jestem w jego typie. Ale on przechodzi fazę świrniętych dziewczyn.

– A ty?

– A ja przechodzę fazę starszych wiekiem prawników. Wszystko w porządku!

Podniosłam stos legginsów, szukając mojej palety do makijażu. Gilda zebrała mi spersonalizowany zestaw cieni, różów, korektorów i błyszczków, którego potrzebowałam do swojej trzytygodniowej podróży, ale nie mogłam go znaleźć. Ubrania były wszędzie, rzucone na łóżko, na komodę i w walizce na podłodze. Zajrzałam do szuflady. Palety tam nie było. Niedługo musi się znaleźć: nazajutrz wyjeżdżaliśmy. Może zostawiłam ją w innym pokoju.

Wpadłam do salonu, gdzie siedział Mannix, i spytałam:

– Nie widziałeś...?

Od razu zrozumiałam, że stało się coś bardzo złego. Siedział przy biurku i trzymał się rękoma za głowę.

– Mannix? Kochanie?

Odwrócił się do mnie. Twarz miał szarą.

– Roland miał wylew.

Doskoczyłam do niego.

– Skąd wiesz?

– Właśnie dzwoniła Hero. Nie zna szczegółów, ale mówi, że jego stan jest poważny. – Sięgnął po telefon. – Dzwonię do Rosemary Rozelaar. Pewnie jest jej pacjentem.

Boże, ale mały ten świat.

– Rosemary? – mówił Mannix. – Zapoznaj mnie z sytuacją. – Rysował w notesie linie w tę i z powrotem, aż w końcu kartka się podarła. – Tomografia? Rezonans? Ptoza? Utrata przytomności? Całkowita? Jak długo? Kurwa. Kaskada niedokrwienia?

Większości tych wyrażeń nie rozumiałam. Cała moja wiedza o udarach pochodziła ze strasznych reklam społecznych, w których podkreślano pośpiech – ludzie mieli zrozumieć, że ofiara udaru musi jak najszybciej trafić do szpitala, by uniknąć poważnych skutków.

Mannix się rozłączył.

– Miał udar niedokrwienno, po którym nastąpiła kaskada niedokrwienia.

Nie miałam pojęcia, co to znaczy, ale czekałam, aż powie coś więcej.

– Jak szybko trafił do szpitala? – spytałam.

– Późno. Nie w ciągu trzech pierwszych godzin, które są decydujące. Ma zaburzenia rytmu serca, co sugeruje migotanie przedsionków.

– Co to znaczy?

– To znaczy... – Jego wewnętrzny lekarz próbował rozmawiać z moim wewnętrznym laikiem. – To znaczy, że może miał zawał serca. Ale nawet bez tej komplikacji jest w śpiączce. Ważne, co się stanie w ciągu najbliższych trzech dni.

– Co to znaczy?

– Jeśli nie będzie oznak normalnego funkcjonowania mózgu, to będzie znaczyło, że nie przeżyje.

Byłam przerażona. Ale to nie była moja tragedia, ja teraz musiałam być silna.

– No dobrze – przejęłam prowadzenie. – Jedziemy do Irlandii. Sprawdzę samoloty.

– Nie możemy. Ty nie możesz odwołać trasy.

– A ty nie możesz nie jechać do Irlandii.

Patrzyliśmy na siebie, sparaliżowani zupełnie niespodziewaną sytuacją. Nie mieliśmy planu, nie mieliśmy pojęcia, jak się zachować.

– Jedź do Irlandii – powiedziałam. – I zajmij się bratem. Ja jadę w trasę. Nic mi nie będzie.

Pomyślałam, że może Betsy by ze mną pojechała. Gdybym oczywiście przekonała ją, aby na jakiś czas odstąpiła Chada. Praktycznie zamieszkała u niego w centrum miasta i ostatnio rzadko ją widywaliśmy.

Wtedy zadzwonił dzwonek do drzwi. To Gilda przywiozła parę kaszmirowych szat, które składały się na przygotowywaną przez nią rozpiskę garderoby.

– Wzięłam niebieski, bo idealnie pasuje do twoich włosów, ale zobaczyłam ten rdzawy i pomyślałam... Co się stało?

– Brat Mannixa miał wylew. Jego stan jest poważny. Mannix musi jak najszybciej wracać do Dublina.

– A ty? – spytała Gilda. – Ty jedziesz w trasę?

– Jadę. Poproszę Betsy, by pojechała ze mną.

– Ja pojedę – zaproponowała Gilda. – Będę twoją asystentką.

– Gilda... to bardzo miło z twojej strony, ale ja nie mam ci jak zapłacić.

– Pogadam z Bryce'em.

– To są trzy tygodnie. Osiemnaście godzin dziennie...

– Pogadam z Bryce'em.

– Dobra, ale...

– Nie martw się – powiedziała Gilda do Mannixa. – Zajmę się nią.

– Masz numer komórki Bryce'a? – spytałam.

– Tak. Z czasów, gdy się spotykałam z Laszlem.

– Ach... no dobra...

Właśnie pożegnałam Mannixa na lotnisku Newark, gdy zadzwoniła Gilda.

– Blisset Renown mi zapłaci. Wszystko ustalone.

– Jak to?

– Tak to.

- Nic. – Na linii za głosem Mannixa ciągnęło się echo. – Absolutnie żadnej reakcji.
- Nie trać nadziei – odparłam. – Jeszcze jest czas. – Minęły dwa dni od udaru Rolanda.
- Mama i tata przylatują z Francji.

Przełknęłam ślinę. Skoro przylatowali rodzice Rolanda, to sytuacja naprawdę musiała być poważna.

- Dzisiaj zrobimy kolejny rezonans – ciągnął Mannix. – Może zauważymy jakąś aktywność mózgu.
- Trzymam kciuki.
- Tęsknię za tobą.
- Ja też za tobą tęsknię.

Chciałam mu powiedzieć, że go kocham, ale teraz, przez telefon i w tych okolicznościach, zabrzmiałoby to jak litość.

Tyle wagi przyłożyłam już do wypowiedzenia tych słów, że zapędziłam się w ślepią uliczkę. Wmawiałam sobie, że musi być odpowiednia sytuacja, a teraz zrozumiałam, że sytuacja nigdy nie będzie doskonała.

– Jak ty sobie radzisz? – spytał Mannix. – Podobno Gilda zmusza cię do ćwiczeń. Nie możesz leżeć na podłodze i dyszeć w słuchawkę, jak w poprzednich trasach.

– Skąd wiesz?

– Dzwoniła do mnie z raportem. Posłuchaj, Stello: jeśli nie jesteś w stanie biegać i tak dalej, powiedz jej po prostu. A w jakim mieście teraz jesteś?

– Chyba w Baltimore. Zaraz idziemy na kolację charytatywną.

– Zadzwoń do mnie po powrocie, zanim pójdziesz spać.

– Zadzwonię. I obiecaj, że nie stracisz nadziei.

– Obiecuje.

W każdej naszej rozmowie starałam się tryskać optymizmem, ale odchodziłam od zmysłów ze zmartwienia.

A jeśli Roland umrze? Na samą myśl o świecie bez niego czułam potworny smutek i żal. Był takim wyjątkowym człowiekiem... ale wyjątkowym człowiekiem z mnóstwem długów. Ktoś musiał je spłacić. Moje samolubne myśli pojawiały się tylko na ułamek sekundy, lecz zawstydzają mnie.

A jeśli Roland z tego nie wyjdzie, to co z Mannixem? Jak sobie poradzi ze śmiercią najukochańszej osoby?

Nawet jeśli Roland nie umrze, jego leczenie i rehabilitacja będą długie i kosztowne. Jak my sobie z tym poradzimy?

Może ktoś powinien był zasugerować Rolandowi, że taka otyłość nie jest dobra. Ale powiedzieć coś takiego zabawnej, bystrej i słodkiej osobie to jak kopać szczeniaczka. I przecież bardzo się starał. Od powrotu z wakacji w Kalifornii pracował z trenerem osobistym.

Westchnęłam, a potem włożyłam wysokie szpilki, wzięłam torebkę wieczorową i zapukałam do drzwi łączących pokój Gildy z moim. Odczekałam sekundę i weszłam.

– Och! – Pracowała na laptopie, a na mój widok zatrzasnęła go szybko.

– Przepraszam. – Stałam jak wryta. – Zapukałam. Myślałam, że słyszysz.

– Och, nic się nie stało.

– Przepraszam – powtórzyłam, wracając do drzwi. – Ja tylko... daj mi znać, jak będziesz gotowa.

Zastanawiałam się, dlaczego jest taka tajemnicza, ale w końcu miała prawo do swojego życia.

– Nie, Stello, zaczekaj – zawołała. – Jestem głupia. Pracuję nad takim... projektem. Pokażę ci, ale obiecaj, że nie będziesz się śmiała.

– Oczywiście, że nie będę się śmiała. – Obiecałabym wszystko, bo strasznie chciałam się dowiedzieć, co jest grane.

Otworzyła klapę i po chwili ukazała się barwna strona. Na niej zaś napis: Gilda Ashley, *Najlepsza ty.*

*Optymalne zdrowie kobiety od dziesięciu lat do setki.*

– O mój Boże, to książka – powiedziałałam zdumiona.

– To tylko taki pomysł, taka zabawa...

– Mogę zajrzeć?

– Pewnie. – Podała mi laptop, a ja przewijałam kolejne strony. Każdy rozdział skupiał się na kolejnej dekadzie życia kobiety, na właściwym odżywianiu, odpowiedniej aktywności fizycznej, zmianach fizycznych, których można się spodziewać, i tym, jak najlepiej sobie poradzić z dolegliwościami charakterystycznymi w każdym wieku. Każda dekada miała tło w innym, pięknym kolorze, a informacje wypunktowano za pomocą przyjaznych kropek albo ślicznych myślniczków.

Opracowanie graficzne olśniewało. Żadnej strony nie zapchano tekstem, czcionka w każdej dekadzie była inna, zaczynając od komiksowej dla nastolatek przez coraz bardziej elegancką, a z późniejszymi dekadami stawała się też większa i łatwiejsza do czytania.

– Cudowna – powiedziałałam.

– Powinna być cudowna – odparła wstydliwie. – Ale wciąż czegoś brakuje.

– Jest świetna.

Właśnie prostota decydowała o jej doskonałości – ludzi odpychały opasłe tomiszczą wypełnione tekstem. Ta pozycja była przystępna, zasobna w informacje, a dzięki pięknym kolorom i profesjonalnie rozmieszczonym ilustracjom sprawiała niesłychanie optymistyczne wrażenie.

– Niesamowite grafiki – zauważyłam.

Wykrzywiła twarz w dziwnym grymasie.

– Joss trochę mi pomógł. No, dużo mi pomógł.

– Jak długo nad nią pracujesz?

– Och, bardzo długo. Chyba od roku. Ale zebrałam ją do kupy dopiero, gdy poznałam Jossę. Stello, czy tobie to nie przeszkadza?

Musiałam przyznać, że owszem, wytrąciło mnie to z równowagi. Częściowo dlatego, że trzymała to w tajemnicy przede mną. Tak reagując jednak, zachowywałam się dziecinnie. I małodusznie – dlaczego Gilda nie miałaby napisać książki? To nie była jakaś gra o sumie zerowej, w której tylko określona liczba ludzi mogła zostać pisarzami. W końcu umowę na swoją książkę zawdzięczałam absurdalnemu zbiegowi okoliczności.

– Nie przeszkadza – powiedziałałam z trudem. – Gildo, to jest gotowe do publikacji. Może pokazałabym to Phyllis?

– Phyllis? Tej starej wariatce, która wystrzega się kontaktu fizycznego i kradnie babeczki dla swoich kotów? Dziękuję, postoję.

Obie wybuchnęłyśmy śmiechem, ale ja w końcu musiałam przestać.

– Gildo? – spytałam z wahaniem. – Poznałaś innych agentów literackich, prawda? – Próbowałam zrobić aluzję do jej związku z Laszłem Jellicą, a jednocześnie jej nie denerwować. – Czy oni wszyscy są tacy trudni jak Phyllis?

– Żartujesz sobie? Ona jest obłąkana. Chciałam powiedzieć: ekscentryczna. To może być zabawne

i mnóstwo agentów jest lekko stukniętych. Ale ona jest straszna. Miałas pecha, bo musiałaś się szybko zdecydować. Gdybyś miała więcej czasu, porozmawiałabyś z innymi agentami i wybrałabyś kogoś miłego.

- Mannix mówi, że nie muszę jej lubić. Że to tylko interesy.
- I słusznie. Ale mogę ci powiedzieć, co jest w tym szalonego?
- No? – spytałam nerwowo.
- Mannix byłby świetnym agentem.



Trzeciego dnia śpiączki mózg Rolanda przejawiał jakąś aktywność. Lecz świętowanie byłoby przedwczesne.

– Ma tylko dziesięć procent szans, że przeżyje – powiedział Mannix. – Ale jeśli przeżyje, czeka go długa droga do zdrowia.

Gilda i ja dzielnie przemierzałyśmy trasę promocyjną – Chicago, Baltimore, Denver, Tallahassee... Piątego dnia musiałam przerwać ćwiczenia.

– Umrę, Gildo. Przepraszam, ale umrę.

Na autopilocie załatwiałam wywiady, rozmowy i podpisywałam książki. Gilda okazała się darem niebios. W kółko powtarzała mi, gdzie akurat się znajduję i co będę robić.

Strasznie tęskniłam za Mannixem; ale gdy już z nim rozmawiałam, wydawał się nieobecny. Od czasu do czasu starał się poświęcić mi uwagę, mówiąc coś w rodzaju: „Gilda powiedziała, że wczoraj była wysoka frekwencja”, lecz nie miał do tego serca.

Jedenastego dnia serce Rolanda trzy razy przestało pracować. Za każdym razem sądzono, że umrze, ale on jakimś cudem wytrwał.

Trasa promocyjna dobiegła końca. Wróciliśmy z Gildą do Nowego Jorku i ja chciałam natychmiast jechać do Irlandii, do Mannixa, ale Jeffrey bardziej mnie potrzebował. Pod moją nieobecność zajmowały się nim Esperanza i opiekunka, lecz gdybym teraz wyjechała, poczułby się porzucony. Zastanawiałam się, czy nie zakończyć jego roku szkolnego dwa tygodnie przed czasem, żebyśmy oboje pojechali do Irlandii, ale przerwa w edukacji nie byłaby dobra.

Gdy tylko Mannix mógł poświęcić mi czas poza szpitalem, łączył się ze mną na Skypie. Starałam się okazywać optymizm i radość.

– Myśl o Shepie, Mannix. Ty, ja i Shep bawimy się na plaży. – Ale ani razu nie wywołałam jego uśmiechu. W swojej zgrzocie stał się niedostępny.

Betsy wpadała do naszego życia na chwilę, przynosząc nam w prezencie dziwne rzeczy w rodzaju pudełeczek kasztanów w cukrze zawiązanych wstążeczką.

– Chad otworzył mi konto w Bergdorf Goodman – powiedziała. – Mam dwie asystentki zakupów. Przygotowują mi całkowicie nowy image, do samej bielizny.

– Betsy! – krzyknęłam zbulwersowana. – Nie jesteś lalką...

– Mamo. – Spojrzała na mnie jak kobieta na kobietę. – Jestem dorosła. Świetnie się bawię.

– Masz dopiero osiemnaście lat.

– Czyli jestem dorosła.

– To jest ohydne. – Jeffrey odłożył kandyzowanego kasztana. – Smakują jak ciecierzycyca.

– Ja myślę, że to jest ciecierzycyca – powiedziała Betsy. – Tylko że słodka.

Mogłam jedynie zapłakać. Tyle pieniędzy wydanych na drogę szkoły, a moja córka została maskotką bogacza i myśli, że kasztany to ciecierzycyca.

Na przyjęciu bożonarodzeniowym w Blisset Renown wpadłam na Phyllis.

– Gdzie Mannix? – spytała.

– Tu go nie ma.

- O?
- Jest w Irlandii.
- O?

Nie ciągnęłam tematu: Phyllis miała mnóstwo okazji, by nadążyć za moim życiem, i nie chciało się jej.

– Podobno twoja Betsy zadaje się z facetem dwa razy od niej starszym.

– A skąd to wiesz?

Mrugnęła okiem.

– A jak ten twój gniewny chłopak? Jeffrey?

Westchnęłam i poddałam się.

– Wciąż gniewny.

– Mój kalendarz mówi, że pierwszego lutego masz dostarczyć Blisset Renown swoją drugą książkę.

Dasz radę?

– Dam.

– Jest dobra?

Jest? No cóż, ja się starałam.

– Tak.

– Staraj się. Musi być świetna.

– Wesołych świąt, Phyllis. – Odsunęłam się. Szukałam Rubena i znalazłam go przy półmisku *ceviche*.

– Ruben?

– Tak?

– Tak się zastanawiałam... no wiesz... są może jakieś doniesienia z list bestsellerów?

– Tak. Fatalne.

– Nie ma na nich *Mrugnięć*?

– Nie tym razem. No ale wiesz, tak bywa.

– Przykro mi. – Poczucie winy wręcz mnie paraliżowało.

Nie mogłam powiedzieć Mannixowi, on i tak miał za dużo zmartwień, ale później zadzwoniłam do Gildy. Była wstrząśnięta.

– Ty spytałaś Rubena?! Ty?! Stello, nigdy nie pytaj o takie rzeczy. Gdyby twoja książka była na liście bestsellerów, wierz mi, co najmniej dwadzieścia osób by do ciebie zadzwoniło, a każdy przypisywałby sobie zasługi.

Gdy tylko w Academy Manhattan zaczęły się ferie świąteczne, pojechałam do Irlandii z Betsy i Jeffreyem.

Dzieci nocowały u Ryana, a ja w mieszkaniu Rolanda z Mannixem. Ale jego w zasadzie tam nie było. Praktycznie nie wychodził ze szpitala.

Mannix powiedział, że Roland poczynił postępy, lecz gdy go odwiedziłam, przeżyłam szok. Był przytomny, prawe oko miał otwarte, ale lewą stronę sparaliżowaną, więc z lewego kącika ust ciekł nieprzerwany strumyczek śliny.

– Cześć, kochanie – szepnęłam, podchodząc do niego na palcach. – Ależ nas wszystkich nastraszyłeś.

Ostrożnie pokonałam zaporę przewodów i rurek, żeby pocałować go w czoło.

Z jego wnętrza dobiegł jakiś dźwięk, jakby ciche wycie. Tak żalosne i dziwne, że aż się przeraziłam.

– Odpowiedz mu – ponaglił mnie Mannix niecierpliwie.

– Ale... – Co on powiedział?

– Mówi, że pięknie wyglądasz.

– Naprawdę? – I siląc się na wesołość, dodałam: – Bardzo dziękuję. I powiem szczerze, że ciebie

widywałam już w lepszym stanie.

Roland znowu zawył, a ja spojrzałam na Mannixa.

– Pyta, jak ci poszło w trasie.

– Świetnie! – Usiadłam i usiłowałam przypomnieć sobie jakieś opowieści, ale to było straszne. Sama wiedziałam, jakie to straszne nie móc mówić, a komuś tak elokwentnemu jak Roland musiało być z tym o wiele, wiele ciężiej niż mnie.

Usiłowałam nie okazać skrępowania. Przypominałam sobie jednak swoją chorobę i byłam pewna, że Roland czuje się głęboko zawstydzony swoim stanem.

– Cieszy się, że cię widzi – nie rezygnował Mannix.

W ciągu dziesięciodniowego pobytu w Irlandii codziennie siadałam przy łóżku Rolanda i opowiadałam mu różne historie. Gdy doszłam do końca opowieści, on wydawał to swoje straszne wycie, które zrozumieć mógł tylko Mannix.

Neurologiem Rolanda była Rosemary Rozelaar, ale przekazała kierownictwo Mannixowi, a on był w swoim żywiole, kręcąc się dniem i nocą wokół łóżka brata, studiując wydruki i skany mózgu.

Rodzice Mannixa nadal przebywali w Irlandii i sporadycznie pojawiali się w szpitalu. Zawsze sprawiali wrażenie, jakby właśnie wracali z imprezy lub na nią zdążali, przynosili ze sobą butelkę dżinu i wypijali ją przy łóżku Rolanda z białych plastikowych kubków.

Ja cały czas pamiętałam o długach Rolanda – ciążyły mi w myślach jak kamień w bucie. Przez kilka ostatnich lat dużo spłacił, ale nadal był winien wiele tysięcy, a teraz przez długi czas nie miał szansy pracować.

Chciałam ten temat poruszyć, bo ostatecznie ten problem spadłby na nas, ale nie mogłam dokładać Mannixowi zmartwień.

Ostatecznie on sam to poruszył. Jednego z rzadkich poranków, które spędzaliśmy w łóżku, gdy nie zerwał się i nie pobiegł natychmiast do szpitala, rzekł:

– Musimy porozmawiać o pieniądzach.

– Kto? My?

– Słucham? Nie. O długach Rolanda. Ja, Rosa i Hero. I rodzice, choć to raczej pro forma. Udajemy, że nic się nie dzieje, ale musimy odbyć naradę rodzinną. Problem w tym, że wszyscy jesteśmy spłukani.

– Ale gdy ja w lutym oddam nową książkę...

– Nie możemy z twoich pieniędzy spłacać długów mojego brata.

– Ależ to nasze wspólne pieniądze. Twoje i moje.

Pokręcił głową.

– Nie. Zobaczmy, jakie są inne rozwiązania. Dobra, muszę wskoczyć pod prysznic.

Był w połowie drogi do drzwi, gdy zadzwonił jego telefon, zostawiony na szafce przy łóżku. Westchnął.

– Kto dzwoni?

Wzięłam do ręki aparat i spojrzałam na wyświetlacz.

– O. To Gilda.

– Nie odbieraj.

– Po co ona dzwoni?

– Żeby zapytać o Rolanda.

Aha. Okej.

Dwa dni przed wznowieniem zajęć w Academy Manhattan miałam z Betsy i Jeffreyem wrócić do Nowego Jorku.

– Ja nie mogę teraz wyjechać – powiedział do mnie Mannix. – Jeszcze nie. Stan Rolanda musi być stabilny.

– Zostań, jak długo musisz. – Chciałam być z Mannixem; brakowało mi jego obecności, jego rady, wszystkiego, co się z nim wiązało, ale musiałam się wykazać szlachetnością i rozwagą.

Mannix zawiózł nas na lotnisko i nagle na myśl, że mam lecieć bez niego do Nowego Jorku, poczułam się przytłoczona. Kochałam go. Kochałam go aż do bólu i wiedziałam, że muszę mu to powiedzieć. Powinnam mu to powiedzieć dawno temu.

W poświętecznym chaosie w hali odlotów Mannix przepchnął nasz wózek przez tłumy do miejsca naszej odprawy.

– Ustawcie się w kolejce – powiedziałam do dzieci, a potem odciągnęłam Mannixa na bok.

– Słuchaj – zaczęłam.

– Tak?

– Chciałam...

Zadzwoił jego telefon. Zerknął na wyświetlacz.

– Lepiej odbiorę. Rosa? – powiedział do telefonu. – Dobra, jasne. Ale przyjdź. No, to do zobaczenia.

– Wszystko w porządku? – spytałam.

– Rosa usiłuje się wykręcić z rozmowy o pieniądzach Rolanda. Czy raczej o ich braku. Lepiej pójdę. Bezpiecznej podróży. Zadzwoń, jak wylądujecie.

Pocałował mnie przelotnie w usta, a potem się odwrócił i natychmiast zniknął w tłumie. Nie byłam w stanie ruszyć się z miejsca, zdjeta przerażeniem, że nasz czas minął. Że wszystko, co najlepsze, już się wydarzyło, a teraz czeka nas powolny spadek.

Styczeń w Nowym Jorku był śnieżny i cichy. Wreszcie skończyła się promocja *Mozolnych mrugnięć powieką* i moje dni stały się dziwnie spokojne. Moje życie towarzyskie ograniczało się do wyjścia do kina z Gildą raz w tygodniu. Pracowałam nad *Tu i teraz*, a najważniejszym punktem każdego dnia była rozmowa na Skypie z Mannixem. Wyglądało na to, że stan Rolanda powoli się stabilizuje. Za każdym razem chciałam spytać Mannixa, kiedy przylatuje, ale nie dałam rady. Ani zapytać o finanse Rolanda. Wiedziałam, że odbyli dyskusję rodzinną i jeśli Mannix był zbyt zdenerwowany, by rozmawiać o jej wyniku, to ja się zamierzałam z tym pogodzić.

W ostatnim tygodniu stycznia odebrałam niespodziewany telefon od Phyllis.

– Jak tam nowa książka?

– Skończona. Teraz tylko ją dopieszczam.

– Może przyjdiesz się ze mną spotkać? Dzisiaj. Przynieś wydruk.

– Dobra. – Co mi szkodziło. Nic innego nie miałam do roboty.

Gdy weszłam do gabinetu Phyllis, ona spytała:

– Gdzie Mannix?

– W Irlandii.

– Co? Znowu?

– Nie. Cały czas.

– O ho, ho. – To była dla niej nowa informacja. Nie miałam ochoty jej wszystkiego opowiadać. – Co się z wami dzieje?

– Nic... – Wzruszyłam ramionami. – Normalne rzeczy.

– Doprawdy? Normalne rzeczy? – Wbiła we mnie twarde spojrzenie, ale nie ustąpiłam.

– Chciałaś zobaczyć moją nową książkę? – Podałam jej wydruk.

– Tak. Dochodzą mnie różne rzeczy pocztą pantoflową i robię się od nich nerwowa.

Wpadłam w popłoch.

Patrzyłam, jak studiuje pierwsze dziewięć, dziesięć stron, a potem zaczyna wertować i zerkać okiem tu i ówdzie, i zanim dotarła do końca, powiedziała:

– Nie.

– Słucham?

– Przykro mi, skarbie, ale to się nie uda. – Najbardziej mnie przeraziła jej łagodność. – *Mozolne mrugnięcia powieką* nie chwyciły. Popłynęli na tym. Musisz zrobić coś innego. Tego nie kupią.

– Ale Bryce chciał, bym napisała właśnie coś takiego.

– Wtedy sprawy wyglądały inaczej. Teraz minęło półtora roku, a *Mozolne mrugnięcia powieką* zrobiły klapę...

– Zrobiły klapę? – Nikt mi tego nie powiedział. – Dosłownie zrobiły klapę?

– Tak. Klapę. Myślałaś, że nikt nie dzwoni, bo wszyscy są na diecie i humor im nie dopisuje? Nie. Nikt nie dzwoni, bo wprowadzasz ich w zakłopotanie. Nie wydadzą nowej wersji *Mozolnych mrugnięć powieką*.

– Możemy poczekać i przekonać się, co oni powiedzą?

– Nie ma mowy. Nie możesz im zanieść czegoś, co oni na pewno odrzucą. Przede wszystkim, Stello: ja nie będę tej książki reprezentować. Idź już i wróć z czymś innym. Szybko.

Z czym mianowicie? Nie byłam pisarką. Nie byłam osobą kreatywną. Byłam po prostu człowiekiem, któremu dopisało szczęście. Raz. Mogłam zaoferować jedynie mniej więcej to samo.

– Byłaś bogata, zakochana, odniosłaś sukces – powiedziała Phyllis. – A teraz? Twoja kariera stanęła w miejscu i nie wiem, co się dzieje z tym twoim facetem, ale to nie wygląda dobrze. Masz tu dużo materiału!

Wzruszyła ramionami.

– Chcesz jeszcze? Twój nastoletni syn cię nienawidzi. Córka marnuje sobie życie. Stuknęła ci czterdziestka. Menopauza się zbliża wielkimi krokami. Czy coś się jeszcze zmieni na lepsze?

Poruszałam bezgłośnie wargami.

– Kiedyś byłaś mądra – powiedziała jeszcze Phyllis. – Cokolwiek napisałaś w tych *Mozolnych mrugnięciach*, ludzi to poruszało. Spróbuj znowu to zrobić, z tymi nowymi wyzwaniem. Przyślij mi skończoną książkę. – Wstała i próbowała odprowadzić mnie do drzwi. – Musisz już iść. Mam spotkanie.

W rozpaczy chwyciłam się kurczowo krzesła.

– Phyllis? – spytałam błagalnym głosem. – Ty we mnie wierzysz?

– Szukasz poczucia własnej wartości? Idź na terapię.

Wyrzuciła mnie na zaśnieżoną ulicę, a po południu jeszcze zadzwoniła.

– Masz czas do pierwszego marca. Obiecałam Bryce'owi coś nowego i ekscytującego. Nie zawieźdź mnie.

Byłam zdruzgotana. Nie miałam pojęcia, co robić. Nie miałam szans wymyślić nowej książki. Ale jedno było pewne: nie mogłam o tym powiedzieć Mannixowi. On już miał dość na głowie.

Na myśl, że nie będę miała dochodów, czułam, jak spadam w czarną otchłań. Mannix i ja zawsze wiedzieliśmy, że rezygnacja z pracy i przeprowadzka do Nowego Jorku wiążą się z ryzykiem. Ale nigdy nie zastanawialiśmy się, co konkretnie się stanie, jeśli się nam nie uda – i jak to się dla nas skończy finansowo. Z tego, co Bryce mówił na naszym pierwszym spotkaniu, miałam przed sobą karierę wieloletnią, karierę, która zapewni nam bezpieczeństwo na czas nieokreślony.

Od dwóch dni chodziłam oszołomiona i zmartwiała ze strachu. Gilda zauważyła, że coś się ze mną

dzieje, ale ją zbyłam. Byłam zbyt przerażona, by rozmawiać o tym, co się stało. Gdybym o tym rozmawiała, to by się urzeczywistniło.

Nagle – w końcu Bóg lubi nam płatać figle – zadzwonił Mannix i powiedział, że nazajutrz wraca do Nowego Jorku.

– Życiu Rolanda nic już nie grozi i w zasadzie nie jestem już mu potrzebny.

– Świetnie – powiedziałam.

– Nie cieszysz się?

– Nie mogę się doczekać.

– Nie słychać tego w twoim głosie.

– Nie mogę, oczywiście, że nie mogę. Wiesz przecież, że nie mogę się doczekać. Do jutra.

W przypływie rozpaczki zadzwoniłam do Gildy i opowiedziałam jej wszystko, co się stało, powtórzyłam każde słowo wypowiedziane przez Phyllis.

– Trzymaj się – rzekła. – Już do ciebie jadę.

Pół godziny później przyjechała z policzkami zaróżowionymi od zimna. Ubrana w białą puszystą czapkę, białe futrzane buty i białą puchową kurtkę. Była obsypana płatkami śniegu, miała je nawet na rzęsach.

– Uch, ale zimno. Cześć, Jeffrey!

Jeffrey przyszedł ją uściskać. Nawet Esperanza wystawiła głowę ze swojego pokoiku i stwierdziła:

– Pani wygląda jak królowa z bajki.

– Dziękuję, Esperanzo. – Gilda się uśmiechnęła, a Esperanza się schowała. – Gdzie możemy pogadać? – spytała, zdejmując kolejne warstwy ubrań.

– Chodźmy do sypialni.

– Dobra. Zamknij drzwi. Stello, coś ci zaproponuję. Jeśli ci się to nie spodoba, zapomnij, że w ogóle to powiedziałam i nigdy do tego nie wrócimy.

– Słucham cię. – Ale już wiedziałam, co ona powie.

– Możemy współpracować.

– Mów dalej.

– Połączymy nasze dwie książki...

– Tak?

– ...i stworzymy wszechstronny, gotowy poradnik na wszystkie dolegliwości, fizyczne i duchowe, dla każdej kobiety, która chce zmienić swoje życie na lepsze.

Boże, ależ ona była inspirująca.

– Świetnie!

– Ty i ja doskonale do siebie pasujemy. Zawsze pasowałyśmy. I zawsze tak będzie. Kismet.

– Możemy tak nawet zatytułować książkę: *Kismet!*

– Pewnie! Albo może: *Najlepsza ty?*

– Może nie musimy w tej chwili akurat decydować o tytule.

– Ale to się dzieje naprawdę? – spytała z niedowierzaniem.

– Tak! – Radość mnie rozsadzała, a z ulgi aż mi się kręciło w głowie.

– I jeszcze jedno. Nie chcę, by Phyllis była moją agentką.

– Och, Gildo – natychmiast otrzeźwiałam. – Podpisałam z nią umowę, gdy wszystko się zaczęło. Ona musi być moją agentką.

– Jeśli my dwie jesteśmy autorkami, to nie musi. Oczywiście twoje nazwisko na okładce będzie wielką czcionką, a moje malutką, ale w świetle prawa w tych okolicznościach nie jesteś z nią związana.

– Nie wiem...

– Ej, zobacz. Była twoim agentem przy pierwszej książce; wprowadziła cię na rynek, załatwiła ci umowę. Ale teraz już jej nie potrzebujesz. Po co jej płacić dziesięć procent, skoro ona nic nie robi.

– Ale kto w takim razie będzie naszym agentem?

Spojrzała na mnie, jakbym postradała rozum.

– Mannix. Przecież to oczywiste.

I rzeczywiście w pewien sposób było to oczywiste.

– Zobacz, jaką załatwił ci wspaniałą umowę z irlandzkim wydawcą.

– Możemy o tym porozmawiać z Mannixem? – spytałam.

– Pewnie! Jutro wraca. Powiedzmy, że damy mu dwadzieścia cztery godziny na pokonanie jet laga i wtedy ruszamy na niego. – Zachichotała. – Nam dwóm na pewno się nie oprze.

– Spieprzyła to. – Gilda żarliwie namawiała na wyłączenie Phyllis. – Powinna była dopiąć drugą umowę, gdy tylko podpisaliście pierwszą. Ale sądziła, że jeśli zaczeka, wytarguje więcej. Była chciwa.

Spojrzelismy z Mannixem po sobie. A czy wyłączając Phyllis, my również nie stawaliśmy się chciwi?

– Jesteście po prostu sprytni – powiedziała Gilda.

– No nie wiem... – odparł Mannix. – Moim zdaniem powinniśmy zachować lojalność wobec Phyllis.

– Ja też tak uważam.

– Tu nie chodzi o lojalność – odparła Gilda. – To czysty biznes. Ona nadal będzie agentką Stelli, jeśli chodzi o wszystkie książki, które Stella opublikuje samodzielnie. Zawsze możecie korzystać z jej wsparcia. Ale fakty wyglądają tak: ona odmówiła reprezentowania drugiej książki Stelli. A wam boleśnie brakuje pieniędzy.

I do tego to się jak zawsze sprowadzało: do pieniędzy.

Niemal całą zaliczkę wydaliśmy. Nie na szybkie auta i szampana, tylko na codzienne życie w mieście tak drogim jak Nowy Jork.

– Musicie jakoś żyć – powiedziała Gilda do Mannixa. – A jeszcze są długi Rolanda...

Spojrzałam na nią zmieszana: czy ona wiedziała, ile wynoszą długi Rolanda? Bo ja nie wiedziałam. Może mówiła tylko ogólnikowo...

Po dłuższej chwili milczenia odezwał się Mannix:

– Jeśli to nasza najlepsza szansa na zarobek, to ja w to wchodzę.

– Świetnie! Dziesięć procent dla ciebie. Resztę dzielimy ze Stellą pół na pół?

– Pewnie.

W głosie Mannixa usłyszałam tyle znużenia, że powiedziałam:

– Myślałam, że do tej pory praca agenta ci się podobała.

– Podobała. I nadal mi się podoba.

– Kto powie Phyllis? – spytała Gilda.

– Ja – odrzekł Mannix po dłuższej chwili milczenia.

– Zrób to od razu – dodała Gilda. – Miejmy to za sobą.

Mannix posłusznie sięgnął po telefon, a Gilda wstała.

– Jezu – oznajmiła prawie radośnie – ja tej rozmowy nie chcę usłyszeć. Chodź, Stello, nalejemy sobie wina.

Po kilku minutach Mannix wszedł do kuchni, a ja podałam mu kieliszek.

– I jak? – spytałam.

Upił łyk wina.

– Jak to przyjęła? – spytała Gilda.

– Tak, jak można się było spodziewać.

– Tak źle? – spytałam. – O Boże.

Mannix wzruszył ramionami. Jakby się nie przejął.



Następnego ranka połączyłyśmy z Gildą nasze dwie książki, dopasowując poszczególne powiedzenia do każdego rozdziału. Gilda zdążyła już zerwać z Jossem Woottenem, więc zaangażowałyśmy do projektu młodego, entuzjastycznie nastawionego grafika o imieniu Noah. Była to delikatna, wymagająca praca, o wiele bardziej, niż sądziłam – musiałyśmy powycinać fragmenty tekstu Gildy i wstawić w te miejsca coś mojego. Poprawiałyśmy to bez końca, aż połączenie stało się niewidoczne. Wpatrywałyśmy się w monitor tyle godzin, że niemal ośleplam.

Ale musiałyśmy zrobić to porządnie. Bez dwóch zdań. Czułam się przerażona, naprawdę mocno przerażona, bo to była moja ostatnia szansa.

Mannix powiadomił Bryce'a Bonesmana, że teraz książka znajduje się w jego reprezentacji. Obiecał mu coś nowego i ekscytującego i zapewnił, że dostanie gotowe materiały na początku marca.

W czwartek wieczorem przedostatniego dnia lutego, około dwudziestej pierwszej, Gilda oznajmiła:

– Myślę, że wystarczy. Chyba już jej bardziej nie poprawimy.

– Drukować? – spytał Noah.

Wzięłam głęboki oddech.

– Dobra – powiedziałam. – Drukuj.

Patrzyliśmy, jak lśniące kartki wypływają z drukarki. Przygotowałyśmy dwa egzemplarze naszej pięknej książki, po jednym dla każdej z nas.

Nadal nie rozwiązałyśmy trudnej kwestii tytułu. Gilda chciała *Najlepsza ty*, ja wolałam *Tu i teraz*. Wreszcie zasugerowałam, by ostateczną decyzję zostawić Blisset Renown.

– Może wyślemy to mejlem do Bryce'a? – zaproponowałam.

– Pliki są za duże – odrzekł Noah. – Ładowałyby się całe wieki.

– Może zanieiesz mu to osobiście jutro rano? – odezwała się Gilda.

– Może zaniemy mu to razem?

– Ty jesteś pierwszą autorką. Ty powinnaś to zrobić.

– Dobra. Skoro jesteś pewna.

Uściskałyśmy się jeszcze, gratulując sobie ukończenia prac, podziękowałyśmy Noahowi i wyszłyśmy.

Na ulicy spytałam Gildę, czy jedzie metrem.

– Nie. Idę do przyjaciela. – Od razu wiedziałam, że to jeden z jej interesujących starszych panów, i nie chciałam drążyć.

– No to wsadźmy cię do taksówki. – Ale ona sama zdążyła podnieść rękę i taksówka już zajęła.

W domu Mannix zareagował entuzjastycznie na widok wydruku, ale widziałam, że ten entuzjazm jest wymuszony. Odkąd wrócił z Irlandii, coraz bardziej się o niego martwiłam. Zawsze sobie żartował, że jest pesymistą, że widzi wszystko na czarno, ale teraz zastanawiałam się, czy aby nie ma napadu prawdziwej depresji wywołanej silnymi przeżyciami po wylewie Rolanda. Już nie chodził na basen, rzadko się uśmiechał i zawsze sprawiał wrażenie trochę nieobecnego.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziałam. – Wszystko jeszcze się poprawi.

Następnego ranka pognałam do Blisset Renown i przekazałam książkę asystentce Bryce'a. Obiecała mu ją

dać, gdy tylko przyjdzie.

Ledwie wróciłam do domu, parę minut po jedenastej, zadzwonił telefon Mannixa.

– To Bryce – rzekł.

– Musiał dostać książkę!

Mannix sięgnął po telefon i włączył głośnik.

– Cześć, Bryce.

– Mannix? Gratuluję! Nie mogłeś wybrać lepszego projektu, żeby rozpocząć karierę w Ameryce.

– Dziękuję.

– Musimy zrobić naradę ze sprzedażą, marketingiem, cyfrowym, z całym zespołem, i wypracować pełny obraz. Ale musicie jak najszybciej przyjechać tu na spotkanie. Może być jutro rano?

Następnego ranka w Blisset Renown Ruben powitał Mannixa i mnie, gdy tylko wysiedliśmy z windy, i poprowadził nas korytarzem. Zakładałam, że zmierzamy do sali konferencyjnej, ale, o dziwo, skręciliśmy do gabinetu Bryce'a. On sam i Gilda już czekali, siedzieli za jego biurkiem. I byli zajęci rozmową.

Przed nimi leżała masa kolorowych wydruków – nowa książka.

– Mannix, Stello, siadajcie – zaprosił nas Bryce.

– Tu mamy spotkanie? – spytałam. – Tylko we czwórkę? A wszyscy wiceprezysi?

– Usiądź – powtórzył Bryce, a ja poczułam niepokój.

Usiadłam na krześle, naprzeciwko niego. Mannix zajął miejsce obok mnie, a Gilda pozostała na swoim.

– A więc – zaczął Bryce – wszystkim nam, jak tu siedzimy, podoba się nowa książka. Kochamy ją.

Poczułam niemal ekstatyczną ulgę.

– Problem w tym, Stello – dodał – że nie kochamy ciebie.

Myślałam, że się przesłyszałam. Wpatrywałam się w niego, czekając na jakąś puentę.

– Tak. – Teraz głos Bryce'a wypełnił się żalem. – To prawda. Nie kochamy cię.

Szukając jakichś podpowiedzi, spojrzałam na Mannixa. Wpatrywał się w Bryce'a z niesłychanym skupieniem.

– Nie chwyciłaś – dodał Bryce do mnie. – Wysłaliśmy cię w każdy zakątek Stanów Zjednoczonych. Trzykrotnie! Wydaliśmy mnóstwo pieniędzy. Ruben ciężko nad tobą pracował, a książka się po prostu nie sprzedała. W każdym razie nie w takim nakładzie, jaki zakładaliśmy.

Postukał palcem w kartki nowej książki.

– Ale to... To chwyci.

Odezwał się Mannix:

– Tyle, że tu są powiedzenia Stelli.

Bryce ze smutkiem pokręcił głową.

– Natychmiast stąd wypadną, a jej nazwisko zniknie z okładki. Nie będzie miała nic wspólnego z tą książką.

– Ale to właśnie powiedzenia Stelli sprawią, że ta książka chwyci – podkreślił Mannix.

Bryce znowu pokręcił ze smutkiem głową.

– Gilda ma mnóstwo własnych powiedzonek i wszystkie są lepsze niż Stelli. Zaczniemy wszystko od nowa z Gildą. Ma świetny pomysł, rewelacyjny wygląd i wszyscy ją pokochają.

– ...a co z tym, co ja napisałam? – Znałam już odpowiedź, ale po prostu musiałam zapytać.

– Ty mnie nie słuchasz – rzekł Bryce. – Tak, wiem, jesteś w szoku i przejście do nowej rzeczywistości będzie bolesne. Powiem więc prostym językiem: nie wydasz drugiej książki. To koniec, Stello.

– A książkę Gildy wydacie? Beze mnie?

– Tak. Od jakiegoś czasu przyglądamy się Gildzie. Bardzo nam się podoba to, co robi na twoim blogu i Twitterze.

– Ile proponujecie za książkę Gildy? – spytał Mannix.

– W końcu mówisz jak agent – rzekł Bryce z podziwem. – To mi się podoba.

– Jedna chwila – zastrzegł Mannix. – Muszę zamienić słowo ze Stellą. Nie mogę...

– Nie musisz rozmawiać ze Stellą – przerwał mu Bryce. – Musisz porozmawiać ze swoją klientką, a jest nią Gilda. Zacznijmy negocjacje.

– Negocjacje? – spytałam.

– Wiecie co? – Bryce spojrzął na mnie żałośnie. – Macie chyba dużo do omówienia. Może teraz wyjdziecie? Nie spieszcie się. Przeanalizujcie to, co dzisiaj się wydarzyło. A my – spojrzął na Mannixa – pogadamy później. – I wstał. – Żegnam.

Ruchem rąk pogonił nas do wyjścia.

Spojrzałam na Mannixa, on na mnie. Nie odczytałam jego spojrzenia i nie wiedziałam, co robić.

– Idźcie już – ponaglił nas Bryce. – I pamiętajcie: wszystko okej!

Nie pamiętam drogi windą na dół. Nagle się okazało, że stoję z Mannixem i Gildą na ulicy.

– Więc ja już nie mam umowy na książkę? – spytałam.

– Nie – odrzekła Gilda.

– A ty masz? Ale jak to będzie? – mówiłam niewyraźnie, prawie bełkotałam. – Kto jest twoim agentem?

Wzruszyła ramionami, jakby nie mogła uwierzyć w moją głupotę.

– Mannix.

– Mannix? – Spojrzałam na niego. – Naprawdę?

– Stello – odezwał się – znajdujemy się w fatalnej sytuacji finansowej, potrzebujemy pieniędzy...

– A co się stanie ze mną? – spytałam.

– Możesz być moją asystentką – odpowiedziała Gilda. – Możesz prowadzić moje konto na Twitterze, na Instagramie, mój blog. Możesz jechać ze mną w trasę, jeśli Mannix nie będzie mógł...

– Mannix pojedzie z tobą w trasę?

– Stello, nie spodziewałaś się tego, rozumiem – mówiła Gilda. – Ale zachowujmy się jak dorośli. Wyobraź sobie, że wszyscy po prostu zamieniliśmy się rolami. No, może prawie. – Czule zerknęła na Mannixa. – Mannix może dalej być Mannixem. Ale ty będziesz mną. A ja... – Przechyliła głowę na bok i uśmiechnęła się szeroko, szczęśliwie. – Ja chyba będę tobą.

JA

# Środa, 11 czerwca

## 10.10

– Mój dom! – zawodzi Ryan. – Mój samochód! Moja firma, moje pieniądze, wszystko przepadło! Dlaczego mi na to pozwoliłaś?

– Próbowałam cię powstrzymać. – Chce mi się płakać ze zdenerwowania. – Ale ty nie słuchałeś.

– Nie mam gdzie mieszkać. Musisz się zgodzić, żebyśmy zamieszkała z tobą.

– Nie, Ryan.

– Wiesz, gdzie spałem dzisiaj w nocy? W schronisku dla bezdomnych. Tam było strasznie, Stello. Strasznie to mało powiedziane.

– Oni... czy ktoś próbował...?

– Nie próbowali mnie zerznąć, jeśli o to pytasz. Oni ze mnie drwili. Mężczyźni, którzy nie mają nic poza swoimi brodami i wszami, gardzili mną, rozumiesz?

Nie minęły dwa dni od karmicznych popisów Ryana, a już nikt się nim nie interesuje. Ludzie chcieli tylko zobaczyć, czy on zrealizuje swój szaleńczy projekt, a skoro zrealizował, życie potoczyło się swoim torem, świat wypatrywał kolejnego świra. Nikt już nie mówi, że Ryan tworzy Sztukę Duchową. Teraz ludzie uważają go po prostu za głupca.

Co gorsza najwyraźniej czerpią jakąś perwersyjną przyjemność z dowodzenia mu, że był w błędzie – nikt mu niczego nie daje.

Z rosnącym strachem przypominam sobie, co Karen powiedziała któregoś dnia – że jestem mięczakiem i że jeśli nie będę uważać, wyląduję z Ryanem w łóżku. Karen ma zawsze rację. Do tej pory wszystko, co przewidziała z tą całą karmą, się spełniło.

Ale ja nie chcę skończyć z Ryanem w łóżku! Między nami wszystko od dawna skończone! Prawie nie pamiętam, że kiedykolwiek byliśmy razem, a co dopiero miałabym to reanimować.

– Proszę, Ryan. Nie chcę schodzić co rano na dół i znajdować cię rozwalonego na mojej kanapie. To takie... studenckie.

– Masz być dobrą osobą – mówi. – W ten sposób zarabiasz na życie.

– W tej chwili w ogóle nie zarabiam na życie. Może porozmawiasz z prawnikiem? – sugeruję. – Może część tych rozdanych rzeczy jesteś w stanie odzyskać? Mów, że gdy to robiłeś, nie myślałeś jasno. Bo nie myślałeś.

– Wiesz... – oznajmia z namysłem – to był kiedyś mój dom.

– Nawet nie próbuj – odpowiadam, nagle zdjęta strachem. – Wszystko zostało uzgodnione i podzielone. Bardzo sprawiedliwie. Ty się zgodziłaś, ja się zgodziłam, wszyscy się zgodzili. Myśmy się zgodzili, Ryan!

– Może więc wtedy nie myślałem jasno. Może byłem niezrównoważony ze smutku.

– A może ja nie myślałam jasno w dniu, w którym za ciebie wyszłam! – Twarz mi płonie, nie mogę oddychać.

Lecz kłótnia z Ryanem do niczego nie doprowadzi.

– Przepraszam – mówię. – Jestem bardzo... – Co mi jest? Jestem zestresowana? Przestraszona? Smutna? Zmęczona? – ...głodna. Jestem bardzo głodna. Szczerze mówiąc, na ogół jestem głodna, i wtedy robię się drażliwa. Bardzo trudno się ze mną żyje. Słuchaj, a Clarissa? Ona na pewno ci pomoże.

– Clarissa... – Ryan kręci głową. – Zmieniła wszystkie kody, tak że nie mogę się dostać do biura. Opróżniła firmowe konto bankowe. Pewnie założyła nowe. To jest bardzo groźny człowiek.

To, co prawda, żadna nowość, ale jednak boli.

– Słuchaj! Mogę spać z Jeffreyem?

– Nie! – krzyczy Jeffrey ze swojego pokoju.

– Nie – mówię.

– Co ja mam zrobić, Stello? – Patrzy na mnie błagalnie swoimi brązowymi oczami. – Nie mam dokąd iść. Nikt mi nie chce pomóc. Pozwól mi tu zostać.

– No dobra. – Bo co mam poradzić? – Możesz spać w moim gabinecie. Przez jakiś czas.

– Czyli jak długo?

– Dziewięć dni.

– Dlaczego dziewięć?

– No to osiem, jeśli wolisz.

– A gdzie mam trzymać swoje rzeczy?

– Ty nie masz żadnych rzeczy. I zrozumi jedno: ja muszę pracować. – Ogarnia mnie panika na myśl o tym, że co rano będę się potykać w swoim gabinecie o mojego eksmęża leżącego na materacu. – Gdy tylko wejdę do gabinetu, ty wstajesz i wychodzisz.

– Gdzie będę chodził w ciągu dnia?

– Do zoo – mówię pod wpływem impulsu. – Kupimy ci bilet na cały sezon. Będzie miło, te słoniatka, wiesz. Spodoba ci

się.

### 3.07

Budzę się.

Na zewnątrz jest jeszcze ciemno, ale coś się dzieje.

Dopiero po dłuższej chwili uświadamiam sobie, co to jest: nie jestem w łóżku sama. Dołączył do mnie mężczyzna. Mężczyzna ze wzwodem, który to wzwód wbija mi się w plecy.

– Ryan? – szepczę.

– Stello – szepcze Ryan. – Obudziłaś się?

– Nie.

– Stello. – Gładzi mnie po ramieniu i mocniej wbija mi w plecy swój wzwód. – Tak sobie myślałem...

– Chyba sobie, kurwa, żartujesz! – Nadal szepczę, tylko teraz dość krzykliwie. – Wynoś się.

– Oj, daj spokój...

– Wynoś się. Wynoś się z mojego łóżka, z mojego pokoju i z mojego domu.

Przez chwilę nic się nie dzieje, ale zaraz widzę, jak w mroku błyska nagim ciałem i drecze do drzwi, pochylając się troskliwie nad swoim wzwodem, jak jakiś pokręcony artretyzmem krab.

Na miłość boską! Jak to się stało, że wylądowałam w łóżku z Ryanem?! Jakim cudem moje życie wykonało taki zwrot i cisnęło mnie do punktu wyjścia?

– Zabierzmy cię z tego mrozu. – Gilda chwyciła mnie za ramię. – Mannix, ty jedź do domu. Później do ciebie dołączymy.

Mannix się zawahał.

– Jedź – powtórzyła. – Naprawdę. My tu ze Stellą musimy pogadać. Wszystko wyjaśnię.

Gilda delikatnie wprowadziła mnie do holu Blisset Renown. Mannix został na ulicy, patrząc niepewnie.

Ochroniarz powitał nas zdumionym wzrokiem, bo przecież przed chwilą oddaliśmy identyfikatory.

– Wszystko w porządku – zapewniła go Gilda. – Nie potrzebujemy identyfikatorów. To nie potrwa długo.

Przez szklane drzwi zobaczyłam, że Mannix odszedł.

– W porządku – powiedziała do mnie Gilda. – Wszystko w porządku.

W głowie mi się mąciło. Dlaczego ona mi w kółko powtarzała, że wszystko w porządku, skoro nie było?

– Nic się nie zmieniło – podjęła. – Tylko że tym razem, jak by to ująć, to ja jestem gwiazdą.

Była taka pewna siebie.

– To dzisiaj z Bryce’em? – spytałam. – To był przypadek? Czy zaplanowałaś to?

Poróżowiła, a potem zachichotała.

– Rozgryzałaś mnie. Planowałam to już od jakiegoś czasu.

– Od kiedy?

Skrzywiła się, udając zawstydzenie.

– No... od jakiegoś czasu.

Od jakiego? W pamięci przeleciałam kolejne dni i nagle wszystkie wydarzenia z ostatnich osiemnastu miesięcy ustawiły się jedno na drugim, aż cała ta piramida się zawaliła, a do mnie dotarła prawda.

– O mój Boże! – Policzki mi poczerwieniały z gorąca. – Wtedy, gdy wpadłaś na mnie w Dean & DeLuca...? To nie był przypadek?

Wyglądała radośnie jak psotny dzieciak.

– No dobra, nie był. Poprzedniego wieczoru się przysłuchiwałam i wiedziałam, że jedziecie do Academy Manhattan, i uznałam, że mam szansę cię spotkać w tym sklepie. Pomyślałam, że się zaprzyjaźnimy...

– Zaprzyjaźnimy? – Głos mnie zawodził.

– Nie patrz tak na mnie! Byłam twoją przyjaciółką. Pilnowałam, żebyś była chuda. Planowałam twoje trasy. Nawet układałam ci włosy.

– Ale...

– Czy to moja wina, że twoja książka zrobiła klapę i nie chcą następnej?

– Nie, ale...

– Ja mam talent. Wiesz, jak to boli, kiedy w kółko odrzucają twoje dzieło? Chcesz, żebym zrezygnowała z tej okazji, bo dotyczy firmy, która nie chce współpracować z tobą?

– Nie...

– Wszyscy musimy z czegoś żyć, prawda?

W jej ustach zabrzmiało tak to, jakbym ochoczo wzięła udział we wszystkich dziwnych wydarzeniach, które się dzisiaj rozegrały.

– To czysty biznes – dodała.

– A ty i Mannix? O co chodzi?

Zarumieniła się jeszcze bardziej.

– Dobra, to akurat nie jest biznes. No, może nie tylko biznes. Mannix i ja staliśmy się sobie bliscy. Tak, to się rozwijało miesiącami. Wcześniej nic się nie działo.

– Ale powiedziałaś mi...

– ...że cudzy facet to zakazany owoc. I rzeczywiście tak uważałam. Ale on już nie jest twoim facetem. Od jakiegoś czasu wasz związek się rozpada. Między wami chodziło tylko o seks, a kiedy ostatnio go uprawialiście?

Zbulwersowana i przerażona nie byłam w stanie wydobyć słowa. Rzeczywiście nie kochaliśmy się z Mannixem od udaru Rolanda. Ale składałam to na karb tego, że tak dużo pracowałam.

– On jest teraz moim agentem. I, jak sądzę, moim menadżerem. Będzie robił rzeczy, które kiedyś robił dla ciebie. Cały czas będzie spędzał ze mną.

– Myślałam, że lubisz tylko starszych mężczyzn.

– Żartujesz? Słabo mi na ich widok. Zadawałam się z nimi, bo byli, no wiesz, przydatni. Ale chcę Mannixa.

– A co mówi Mannix?

Spuściła wzrok.

– Wiem, że cierpisz. – Podniosła na mnie nieruchome spojrzenie niebieskich oczu. – Poproś go, żeby mnie zostawił, a zapewniam cię, że tego nie zrobi.

– Ale czy między wami do czegoś doszło?

– To trudne dla ciebie, Stello. – Poklepała mnie po ramieniu. – Lecz z czasem będzie łatwiej.

– Doszło do czegoś?

– Stello, to jest dla ciebie trudne. Ale on też tego chce.

– Ruben?

– Stella? Nie powinienem w ogóle z tobą rozmawiać.

– Potrzebuję przysługi. Numer do Laszla Jelliki.

Zawahał się.

– Jesteś mi to winien – dodałam.

– Dobra. – Wyrecytował numer. – Nie dostałaś go ode mnie, jasne?

Od razu zadzwoniłam do Laszla Jelliki, a on, ku mojemu zdumieniu, odebrał. Myślałam, że połączę się z pocztą głosową.

– Pan Jellico? Mówi Stella Sweeney. Spotkaliśmy się kiedyś w mieszkaniu Bryce'a Bonesmana. Chciałabym z panem porozmawiać o Gildzie Ashley.

Odpowiedział po dłuższej chwili:

– Na rogu Central Parku i Sześćdziesiątej Dziewiątej jest kawiarnia. Będę tam za pół godziny.

– A więc do zobaczenia.

Przeszłam kawałek miasta i znalazłam kawiarnię Laszla Jelliki. Czekałam na niego przy stoliku jakieś pięć minut. Nie wydawał mi się taki wielki i zarośnięty jak wtedy, na kolacji u Bonesmana, całe wieki temu. Wstałam, dałam mu znak, a on podszedł do mnie.

– Stella Sweeney – przedstawiłam się.

– Pamiętam panią. – Jego głos też już nie wydawał mi się taki grzmiący. Usiadł naprzeciwko. – No



więc? Gilda Ashley?

– Dziękuję, że się pan ze mną spotkał. Może mi pan powiedzieć, gdzie się poznaliście?

– Na przyjęciu.

– I co? Zaiskrzyło między wami? Poprosił ją pan o numer?

– Nie. Zamieniliśmy raptem dwa słowa. Ale dosłownie nazajutrz, gdy wyprowadzałem psy, wpadłem na nią pod swoim domem. Przypadek, prawda?

– Właśnie.

– Wydało mi się to osobliwe – mówił dalej. – Bo przecież ona mieszka w innej części miasta. Ale ona właśnie...

– ...była u klienta – dokończyłam za niego.

Zachichotał zimno.

– Panią też dopadła, co? Wpadła na mnie i o matko, jaka była zaskoczona! Gdyby poniosła klęskę na obecnej ścieżce kariery, zawsze może pójść w aktorstwo.

– I co się stało?

– Uznałem, że jest czarująca i jakoś tak uzgodniliśmy, że zajmie się moją dietą. Potem usłyszała, jak marudzę nad papierami, i zaproponowała pomoc. Bardzo szybko stała się... niezastąpiona.

Przypomniałam sobie tamto spotkanie w Dean & DeLuca. Tak się cieszyłam, że zobaczyłam znajomą twarz w tym wielkim, szybkim mieście. Trzeba było Gildzie przyznać, że błyskawicznie stała się dla mnie bardzo ważna.

– Świetnie się dogadywaliśmy, aż ona nagle wyjechała z takim plikiem kartek... – Laszlo machnął ręką w powietrzu – nawet nie wiem, jak to nazwać... Wykazy, symptomy, naiwnie proste rozwiązania problemów zdrowotnych kobiet. Ona twierdziła, że to książka. To nie była książka. Chciała, bym pomógł jej w wydaniu tego czegoś. To było zupełnie bez wartości. Nie mogłem tego popierać. Odmówiłem udziału, a niedługo później ona zakończyła naszą... przyjaźń. Potem już o niej nie myślałem, aż nagle zaczęła pokazywać się na mieście z tym starym naciągaczem Jossem Woottenem. Ten niegodziwiec nawet próbował wyszydzić mnie z tego powodu, że – pamiętam dokładnie jego słowa – grzmoci się z moją dziewczyną. I jak się tak chełpił, napomknął, jak to mu fantastycznie dopisało szczęście, bo przypadkiem spotkał Gildę w poczekalni u dentysty, proszę sobie wyobrazić.

Oprócz przerażenia poczułam coś pokrewnego do podziwu dla Gildy.

– Wzbudziło to moją nieufność. Usiadłem do poszukiwań i... – Wzruszył ramionami. – I nic. Owszem, Uniwersytet Overgaard istnieje. To szkoła on-line, ale wszystko z nią w porządku. Gilda ma dyplom. Ma rzeczywiście kwalifikacje, by pracować jako dietetyk i trener osobisty. A dzisiaj usłyszałem, że mój stary przyjaciel Bryce Bonesman zamierza opublikować jej książkę. A ta książka zawiera – jak ja to ująłem? – wykazy, symptomy i naiwnie proste rozwiązania problemów zdrowotnych kobiet.

Kiwnęłam głową.

– Ona miała cel i na nim się skupiała – mówił dalej Laszlo. – A teraz go osiągnęła. Wykorzystała mnie, ale pewnie nie byłem pierwszy, i wątpię, bym był ostatni. A skoro o tym mowa – dodał – podobno pani mąż jest jej agentem.

– To nie jest mój mąż.

– Okej. I na pewno nim nie będzie. Jeśli Gilda go chce.

– Gilda go chce. – Bałam się, że zemdleję.

Laszlo Jellico pokręcił głową.

– Więc Gilda go dostanie. Przykro mi, dziecko.

Szłam do domu, walcząc z kolejnymi falami paniki, gdy rozważałam realne zagrożenie, że stracę

Mannixa. Przerażeniu towarzyszyło upokorzenie, kiedy raz za razem odtwarzałam rozmowę w gabinecie Bryce'a. „Nie kochamy cię, Stello. Nie będziesz miała drugiej książki”.

Doznałam wielokrotnej zdrady – zdradził mnie Bryce, zdradziła Gilda, a co najgorsze, zdradził mnie Mannix. Dlaczego nie zerwał się z krzesła, nie walnął pięścią w stół i nie oznajmił, że nie będzie reprezentował książki napisanej wyłącznie przez Gildę?

Zanim dotarłam do domu, byłam tak oszołomiona tymi myślami, tak przytłoczona, że miałam wrażenie, że zaraz mi pęknie głowa.

Mannix siedział w salonie przed komputerem. Zerwał się na równe nogi.

– Gdzie byłaś? Dzwoniłem do ciebie setki razy.

Nie mogąc złapać tchu od udręki, spytałam:

– Naprawdę jesteś agentem Gildy?

– Wiesz, że tak.

– I jej menadżerem?

– Nie wiem. Może. Jeśli dostanę za to wynagrodzenie.

– Jak mogłeś? – Jego zdrada tak mnie bolała, że nie mogłam oddychać. – Powinieneś stać po mojej stronie. Wiedziałaś, że ona dzisiaj wykręci ten numer z Bryce'em?

– Oczywiście, że nie. Byłem równie szokowany jak ty. Ale Stello, spójrz na mnie, proszę... – Próbował chwycić mnie za ramiona, ale się odsunęłam. – Żadne z nas nie ma żadnych dochodów. Mamy tylko ją.

– Nie chcę, żebyś z nią pracował.

– Stello – błagał mnie gorąco – nie mamy innego wyjścia.

– Czy doszło do czegoś między wami?

– Nie.

– Ona powiedziała, że jesteście sobie bliscy.

Milczał chwilę.

– Może jesteśmy bliżsi niż kiedyś.

Zrobiło mi się zimno ze strachu. To wystarczyło, by potwierdzić wszystkie wątpliwości i pytania, które podsunęła Gilda.

– Stello, odpowiadam szczerze.

– Mannix. – Spojrzałam mu prosto w oczy. – Błagam, byś zostawił Gildę. Ona nie jest taka, jak myślisz. Spotkałam się z Laszlem Jellikiem. Mówi, że ona wykorzystuje ludzi.

– No, trudno, żeby mówił inaczej.

– Dlaczego?

– Bo Gilda go rzuciła, a on był załamany. Zawsze zachowywał się wobec niej jak fiut.

– To nie tak. Gilda pokazała mu swoją książkę i... Ej! Co ty wiesz na ten temat?

– Ona mi powiedziała.

– Kiedy?

– Któregoś razu. – Zastanowił się. – Przez telefon. Gdy byłem w Irlandii.

– Co? Zwierzaliście się sobie w rozkosznych pogaduszkach?

– Tak to ujmujesz, że...

– O Boże. – Dusiałam się. Przepadłam. Uroda Gildy i jej absolutna pewność, że dostanie to, czego chce... Nie miałam szans w starciu z takim połączeniem.

– Mannix... Ona ukradła mi życie.

– Nie ukradła mnie.

– Ukradła. Tylko że ty jeszcze o tym nie wiesz.

Zacisnął usta w cieką linię.

– Mannix... wiem, jaki jesteś.

– Żaden nie jestem.

– Jesteś. Myślisz fiutem.

Wzdrygnął się. Patrzył z obrzydzeniem.

– Czy ty mi kiedykolwiek ufałaś?

– Nie. I miałam rację. My dwoje za bardzo się różnimy. Od początku nasz związek był pomyłką.

– Tak uważasz? – wycedził. Uświadomiłam sobie, że jest bardzo, bardzo wściekły.

– Tak. – Cóż, ja też byłam wściekła.

– Naprawdę?

– Tak.

– No to lepiej odejść.

– No to odejdz.

– Naprawdę? Bo jeśli każesz mi odejść, zrobię to.

– Odejdz.

Spojrzał na mnie z goryczą.

– Nigdy mi nie powiedziałaś, że mnie kochasz. Więc pewnie mnie nigdy nie kochałaś.

– Nigdy nie było odpowiedniego momentu.

– W tej chwili też nie jest odpowiedni, prawda?

– Nie.

Poszedł do naszej sypialni, wyciągnął z szafy niewielką torbę. Patrzyłam, jak wrzuca do niej trochę ubrań. Czekałam, aż przestanie, ale on ruszył do łazienki, z której wrócił z golarką i szczoteczką do zębów, i dorzucił je do ubrań.

– Nie zapomnij swoich leków. – Dосkoczyłam do szuflady w szafce nocnej, znalazłam listek tabletek i cisnęłam do jego walizki.

Zapiął ją w milczeniu, a potem przeszedł do holu. Włożył płaszcz. Jeszcze gdy otwierał drzwi, sądziłam, że się zatrzyma, ale nie. Drzwi zatrzasnęły się za nim i odszedł.

Nie wrócił na noc, a ja się czułam, jakbym śniła jakiś koszmar. Zadręczałam się myślami, że jest z Gildą, ale nie zadzwoniłam do niego. Zawsze musiałam mocno się starać, żeby nie unicestwiła mnie siła jego osobowości, i teraz widziałam to wyraźniej niż kiedykolwiek. Trzymałam się swojej dumy, jakbym uczyniła z niej tarczę – dopóki ją miałam, wciąż istniałam.

Zadzwonił o szóstej rano.

– Skarbie – rzekł. Słyszałam, że jest w strasznym stanie. – Mogę przyjść do domu?

Musiałam zmobilizować wszystkie siły.

– Nadal jesteś agentem Gildy?

– Tak.

– No to nie możesz.

Po raz kolejny zadzwonił około dziesiątej i odbyliśmy mniej więcej taką samą rozmowę. W ciągu następnych dwóch dni powtórzyło się to kilka razy. Nie wiedziałam, gdzie mieszka, ale nie zniosłabym informacji, że u Gildy, więc nie pytałam. Mogłabym się zorientować w sytuacji choć trochę, zaglądając na nasze konto – zobaczyłabym, czy wypłacał gotówkę albo czy płaci za hotel – lecz zbyt się bałam, żeby tam zajrzeć.

Nikomui nie powiedziałam, co się dzieje, bo dopóki nikt nie wiedział, to nie działo się naprawdę.

Jeffrey jednak wreszcie coś zauważył.

– Mamo, co się dzieje z tobą i Mannixem?

Szarpnęło mną poczucie winy.

– Zerwaliście?

Wzdrygnęłam się na to słowo.

– Nie wiem. Mamy... nieporozumienie. Mannix przez kilka dni pomieszka gdzie indziej.

– To ma coś wspólnego z Gildą?

Zamarłam. Skąd wiedział? Co widział?

– Zauważyłem, że Gilda też się nie pojawia. – Spojrzał na mnie zaniepokojony. – Ale wszystko będzie dobrze?

– Mam nadzieję.

Wciąż troszeczkę wierzyłam, że jeśli zaczekam odpowiednio długo, wszystko się jakoś samo naprawi. Ale mijała godzina za godziną, a ja z podkrążonymi oczami kręciłam się po domu, nie mogąc usiedzieć na miejscu.

Nie miałam się komu zwierzyć. Nie mogłam zadzwonić do Karen – powiedziałyby mi, że zawsze mówiła, że tak będzie, i że nie powinnam się czuć zaskoczona. Nie mogłam zadzwonić do Zoe – zaczęłyby płakać i powiedziałyby, że wszyscy mężczyźni to dranie. I nie mogłam zadzwonić do swojej jedynej przyjaciółki w Nowym Jorku, bo była to Gilda.

Zastanawiałam się, co bym poradziła komuś, kto by się znalazł na moim miejscu. Pewnie powiedziałabym tej kobiecie, że powinna walczyć o swojego mężczyznę.

Ale jedynym sposobem walki o Mannixa było stawianie mu ultimatum.

Gdy zadzwonił następnym razem, powtórzyłam to samo, co w trakcie poprzednich rozmów:

– Mannix, błagam, nie możesz być agentem Gildy.

– Nie mogę nie być jej agentem. – Mówił natarczywym tonem. – Kończą nam się pieniądze, Stello.

A to jest nasza jedyna szansa.

– Mannix, ty mnie nie słuchasz. Jeśli będziesz jej agentem, nie będziemy mieli żadnej szansy. Równie dobrze możemy to skończyć już w tej chwili.

– Uważaj, co mówisz.

– Podaję ci fakty. – Bałam się śmiertelnie. – Musisz ją zostawić.

– Bo?

– Bo inaczej koniec z nami.

– Dobra.

Rozłączył się.

Siedziałam, wpatrując się w telefon, i nagle zobaczyłam, że w pokoju jest ze mną Jeffrey. Zalała mnie fala wstydu. Nie powinien słuchać takich rzeczy. Był zbyt wrażliwy; w jego krótkim życiu i tak za dużo już było wstrząsów.

– Hej, mamó – starał się mówić radośnie – może pójdziemy na pizzę?

– Okej.

Poszliśmy do pobliskiej włoskiej knajpy i oboje staraliśmy się być radośni, a po powrocie ja czułam się odrobinę lepiej.

Zdejmowaliśmy czapki i szaliki przy wieszaku w korytarzu, gdy zauważyłam, że coś się nie zgadza – zniknęły śniegowce Mannixa. Zwykle stały przy wejściu z innymi zimowymi butami, nawet został po nich blady ślad na wykładzinie. Zniknęły.

Bez tchu wpadłam do sypialni i otworzyłam szafę. Część Mannixa była pusta.

– O mój Boże – wydyszałam.

Biegałam po mieszkaniu, a za mną Jeffrey – zniknął komputer Mannixa; jego torba sportowa; jego ładowarki. Po każdym odkryciu czułam się, jakby ktoś walnął mnie pięścią w brzuch.

Drżącymi palcami otworzyłam sejf: nie znalazłam jego paszportu. Przetrząsałam wszystkie dokumenty i papiery i nic, aż wreszcie musiałam uwierzyć: Mannix odszedł. Odszedł.

Pobiegłam do Esperanzy i zapukałam do drzwi.

– Widziałaś Mannixa? Przyszedł tu, gdy nas nie było?

Ale Esperanza zapobiegawczo oślepiła i ogłuchła.

– Nikogo nie widzę, pani.

Padłam na łóżko i zwinęłam się w kłębek.

– Odszedł. – Rozszlochałam się. – Nie mogę w to uwierzyć.

– Powiedziałaś mu, że ma odejść – odezwał się Jeffrey.

– Nie miał tego robić.

Zwinęłam się w środku jeszcze bardziej i zanosiłam się płaczem jak dziecko, aż spojrzałam na przerażoną twarz Jeffreya. Natychmiast przełknęłam ból.

– Nic mi nie jest. – Bełkotałam nieskładnie. Twarz miałam zalaną łzami. – Przepraszam, synu. – Usiadłam. – Nie chciałam cię przestraszyć. Nic mi nie jest, nic mi nie jest.

Jeffrey gdzieś dzwonił.

– Betsy... z mamą nie jest dobrze.

Następnego ranka Jeffrey chyłkiem wszedł do mojej sypialni.

– Kochanie. – Usiadłam na łóżku. – Przepraszam za wczoraj.

Wczoraj przyszła do mnie Betsy z xanaxem, który podkrađa Chadowi. Kazała mi go zażyć. Po chwili

się uspokoiłam, a ostatecznie zasnęłam.

– Mamo, możemy jechać do domu? – spytał Jeffrey.

– To znaczy?

– Do Irlandii?

– Nie, kochanie. Tutaj masz szkołę. Musisz ją skończyć.

– Ale ja jej nie cierpię. Nie cierpię tych dzieciaków. Gadają tylko o pieniądzach i o tym, jak bogaci są ich ojcowie. Nie chcę już chodzić do tej szkoły.

– Co ty mówisz? Chcesz... rzucić szkołę?

– Nie rzucić. Zrezygnować z tej klasy. Zacząć od nowa we wrześniu w mojej starej szkole w Irlandii.

Milczałam dłuższą chwilę. To była jakaś katastrofa. Wszystko dokoła mnie waliło się w gruzy.

– Bierzesz coś? – spytałam.

– Nie. Po prostu nienawidzę swojej szkoły. – Po czym dodał: – No i trochę Nowego Jorku.

– Myślałam, że go uwielbiasz.

– Na początku uwielbiałem. Ale tutaj ludzie są inni niż u nas, są bezwzględni, twardzi. A Betsy do nas nie wraca. Jest już całkiem dorosła. Odeszła.

– Przykro mi, Jeffrey. – Miałam potworne wyrzuty sumienia. – Byłam dla ciebie straszną matką.

– Nie wszystko to twoja wina. Ale chcę wracać do domu.

– Chciałbyś mieszkać z tatą?

– Niezupełnie. Ale zamieszkać, jeśli nie będę miał wyboru. Przemyśl wszystko, mamo. Nie masz umowy na książkę, zerwałaś z Mannixem... nie masz powodu, by zostać w Nowym Jorku.

W ciszy analizowałam gorzką prawdę jego słów.

– Skąd wiesz, że nie mam umowy na książkę?

– Betsy mi powiedziała. Mówi, że wszyscy o tym wiedzą. To możemy jechać do domu?

– Dobra. Pojedziemy do domu.

– Oboje?

– Oboje.

– Mówisz poważnie?

Mówiłam poważnie? Wchodziłam na bardzo niebezpieczny teren – nie mogłam zwodzić Jeffreya. Jeśli powiem, że wracamy do Irlandii, to naprawdę musimy wrócić do Irlandii. To jak podjęcie decyzji, że wsiadam do bardzo szybkiego pociągu, wiedząc, że nie będę w stanie wysiąść.

– Tak – powiedziałam z mocą. – Mówię poważnie. Nie będziemy mogli od razu wrócić do swojego domu. Musimy powiadomić lokatorów z miesięcznym wyprzedzeniem.

– W porządku. Zamieszkać u taty. A ty możesz u cioci Karen.

Zadzwoiłam do Mannixa, a on odebrał natychmiast.

– Kochanie?

– Możesz wrócić do mieszkania.

– Co ty mówisz? – Usłyszałam w jego głosie nadzieję.

– Wyjeżdżam z Jeffreyem z Nowego Jorku. Wracamy do Irlandii.

– Wyjeżdżasz z Nowego Jorku? – spytał wstrząśnięty. – Kiedy?

– Za dwa dni.

– Rozumiem. Super. – Nie umiał ukryć gniewu. – A więc powodzenia.

– Dzięki.

Tego ostatniego już nie usłyszał.

Dwa dni później wylądowałam z Jeffreyem w Dublinie. Nasz nowojorski sen się skończył. Przez kilka tygodni Jeffrey mieszkał z Ryanem, a ja u Karen. Gdy lokatorzy zwolnili nasz dom, wprowadziliśmy się do niego. Jeffrey z wielkim zapałem zabrał się za jogę, a ja rzuciłam się na węglowodany, odnawiając romans z nimi.

Żyliśmy z Jeffreyem z pieniędzy, które Karen zapłaciła za mój udział w Honey Day Spa, ale wiadomo było, że niedługo się skończą i że powinnam podjąć jakąś pracę. Gdzieś w trakcie, motywowana rozpaczą, postanowiłam, że napiszę drugą książkę.

Nie pozwalałam sobie na żadne rozmyślenia o Mannixie, bo tylko w ten sposób miałam szansę przetrwać. Nie zamierzałam uczcić naszego związku ani go opłakiwać, ani robić żadnej z rzeczy, które doradzała mi Betsy. Musiałam natomiast sobie z tym poradzić. Całkowite zerwanie, powtarzałam sobie. Całkowite. Nasz związek należało zamknąć na głucho w skrzyni mojej pamięci i nigdy nie otwierać.

Trwałam w swoim postanowieniu niezłomnie, może poza chwilami, gdy słyszałam jego głos – a to się wydarzało raz na tydzień, dziesięć dni, ponieważ ku mojemu zaskoczeniu zaczął zostawiać wiadomości na mojej sekretarce. Nigdy nie rozmawialiśmy. On zostawiał krótkie wiadomości zbolalym głosem: „Proszę, porozmawiaj ze mną”. „Myliłaś się”. „Nie mogę spać bez ciebie”. „Tęsknię za tobą”.

Czasami miałam tyle siły, by skasować je bez odsłuchania, ale czasami je odtwarzałam, wtedy potrzebowałam całych dni, aby odzyskać równowagę. Spalała mnie ciekawość – okropna, masochistyczna potrzeba, by wiedzieć dokładnie, co się dzieje z nim i Gildą – i musiałam bardzo ze sobą walczyć, by trzymać się z daleka od Google’a.

Jedynym powiązaniem z Mannixem, którego nie mogłam skreślić, był Roland. Nie odwiedzałam go, nawet do niego nie dzwoniłam, ale miałam z nim kontakt przez opiekunkę, z którą kiedyś pracowała moja mama. W sposób całkowicie nieprofesjonalny, ale bardzo irlandzki, nadużywała zaufania i składała meldunki mamie, a ona przekazywała mi informacje – że Roland wraca do zdrowia.

# Czwartek, 12 czerwca

## 7.41

Budzę się. Śnił mi się Mannix. Ale chociaż twarz mam mokrą od łez, odnotowuję osobliwy nastrój: refleksyjny, niemal akceptujący wszystko, co się wydarzyło.

Wreszcie rozumiem, co się z nami stało, co się nie udało – niepewne, niestabilne były podstawy naszego związku. Za mało było zaufania – skoro nigdy mu nie powiedziałam, że go kocham, to najpewniej zawsze oczekiwałam, że to się źle skończy.

A potem, na tej naszej niepewnej podstawie, wydarzyło się za dużo złych rzeczy, w zbyt dużym natężeniu – udar Rolanda, permanentne problemy finansowe, klęska naszych marzeń – a byliśmy zbyt słabi, aby się z nimi zmierzyć.

Może pewnego dnia w dalekiej przyszłości, gdy będę miała na przykład osiemdziesiąt dziewięć lat, obejrzę się i powiem: „Jako młoda kobieta zakochałam się w niezwykle charyzmatycznym mężczyźnie. Zupełnie nie był dla mnie, a gdy nasz związek się skończył, mało nie umarłam, ale każda kobieta powinna choć raz w życiu przeżyć taką miłość. Jednak tylko raz, bo drugiej takiej może nie przeżyć. Trochę tak jak z dengą”.

Usiadłam na łóżku – przynajmniej nie było obok mnie Ryana, więc miałam powód do radości. Ależ on ma tupet!

Znajduję go w salonie, zakłada buty. Z poczuciem winy podnosi wzrok i krzyczy:

– Nic nie mów!

– Powiem! Owszem, kurna, powiem!

– To był wypadek – mówi, przegadując mnie.

– Byłeś ze mną w łóżku!

– Bo było mi niewygodnie i czułem się samotny.

– Chciałeś uprawiać seks!

– Problem z tobą, Stello, polega na tym, że zbyt pochopnie osądzasz. Nic dziwnego, że twoje związki się rozpadają.

Krew ucieka mi z twarzy. Ryan nie patrzy mi w oczy. Wie, że posunął się za daleko. Nie rezygnuje jednak.

– Trafiłem w czuły punkt? – pyta. – Ale mówię prawdę. Zobacz na przykład, jak ochoczo wyciągnęłaś jak najgorsze wnioski w sprawie Mannixa i Gildy.

Wzdrygam się. Sam dźwięk imienia Mannixa działa na mnie jak policzek.

– Mannix był dobrym człowiekiem – ciągnie Ryan.

– Doprawdy? – pytam oszołomiona. Jeszcze nigdy nie wypowiedział ani jednego dobrego słowa na temat Mannixa. – Zmieniłeś zdanie.

– Bo umiem się dostosować. Bo daję ludziom drugą szansę.

– A na podstawie jakich to danych zmieniłeś zdanie?

– Tych samych, które ty masz. Idę kupić telefon – mówi. – Żeby odzyskać swoje życie. Jeffrey nie da mi żadnych pieniędzy. Już wyszedł. Mówił, że na jogę. To niedobrze, Stello, to nie jest normalne, taki młody człowiek...

– Masz. – Wciskam mu pięćdziesiąt euro. – Weź to. Bylebyś już zniknął.

– Zgorzkniała Stella. – Ryan ze smutkiem kręci głową. – Taka zgorzkniała...

I odchodzi, zostawiając mnie z moimi myślami.

Myli się w jednym punkcie: nie jestem zgorzkniała. Nie czuję nienawiści do Gildy. Pod pewnym względem nawet ją rozumiem: robiła to, co musiała. Dobra, może nie czekam z wytęsknieniem wydania jej książki czy jej samej w telewizji i w kolorowych magazynach, gdzie pojawi się z Mannixem, piękna i młoda. Żałuję, że nie parłam szybko do przodu, że nie dotarłam bezpiecznie do celu, ale nie jestem zgorzkniała.

Jedna myśl zakrada się do mojej głowy: czy zbyt pochopnie oceniłam Mannixa? Przysięgał, że nic nie czuje do Gildy, ale ja tak się rozhisteryzowałam ze strachu, że nie byłam w stanie go słuchać. Nawet Gilda nie mówiła jasno, że jest coś między nimi. Sugerowała jedynie, że może być, jeśli ja zniknę.

Zawsze się bałam, że Mannix mnie zrani, więc gdy wydawało się, że mnie zranił, szybko w to uwierzyłam – spodziewałam się bólu i upokorzenia i wycofałam się, kiedy tylko dostrzegłam ich symptomy.

Nie chcę tak myśleć. Niespełna godzinę temu czułam, że osiągam jakiś spokój, a teraz wszystko znowu się wzburzyło.

W ten sposób nie uciszę jednak pytań – a jeśli rzeczywiście myliłam się w ocenie sytuacji z Mannixem i Gildą?

Niepotrzebnie się jednak zadreczam. Dokonałam wyboru i nie ma odwrotu.

Dobra, lepiej trochę popracuję.

## 8.32

Wpatruję się w ekran.

## 8.53

Nadal wpatruję się w ekran. Mam podjąć decyzję. A nie, już ją podjęłam! Oficjalnie rzuciłam to całe pisarstwo. To nie



przyniesie owoców, nigdy.

Będę znowu kosmetyczką. Lubiłam to, byłam w tym niezła, a trzeba zarabiać na życie. Przeszkolę się, nauczę się wszystkich nowości... i właśnie dzwoni Karen.

– Wiesz co? – pyta podeksycytowana. – Widzę na Facebooku, że najbardziej samotna kobieta świata właśnie wróciła z Ameryki Południowej.

– Kto? Georgie Dawson?

– Wróciła z wojaży. Będzie teraz roztaczać swoje uroki przed spasionymi prostytutkami.

– Świetnie! To naprawdę świetnie. Słuchaj, Karen, przestaję udawać, że piszę książkę. Będę znowu kosmetyczką, przeszkolę się i nauczę nowych rzeczy.

– Pisarstwo nie idzie ci najlepiej, co?

– W ogóle mi nie idzie.

– Szkoda. Nie będzie już wypraw do radia na spotkanie z Nedem Mountem?

– Nie.

– No trudno. Fajnie było, ale się skończyło. Rozznam się trochę, dowiem się, jakie kursy będą dla ciebie najlepsze.

– Dobra, dzięki. I zadzwonię do Georgie.

Dzwonię pod stary numer komórki – i Georgie odbiera.

– Stella!

– Cześć. Wróciłaś?

– Tak. Dosłownie ze dwadzieścia minut temu. No, może dwa dni temu. O co to chodzi z tym Ryanem?

– Och, nie wiem, od czego zacząć.

– Musisz do mnie przyjść – mówi. – Przyjdź dzisiaj na kolację. Mieszkam w Ballsbridge. Znajomy znajomego ma wolne mieszkanie, wiesz, jak to jest.

– Nie, nie wiem, ale nie szkodzi.

– Kochanie, przejdę od razu do rzeczy: wiem, że rozstaliście się z Mannixem. Bardzo mi przykro. Jak sobie radzisz?

– Dobrze. – Z trudem przełykam ślinę. – Może nie najlepiej, ale stanę na nogi.

– Oczywiście. Przypomniało mi się, jak miałam dwadzieścia lat i mieszkałam w Salzburgu, i wdałam się w strasznie seksowny romans z o wiele starszym mężczyzną, hrabią. Prawdziwym hrabią, który mieszkał w prawdziwym *Schloss*. Nosił czarne skórzane buty do kolan, nie żartuje! Żonaty, oczywiście. Miał dzieci, nawet wnuki. Uwielbiałam go, Stello, po prostu uwielbiałam, a kiedy ze mną zerwał, wybiegłam nago na śnieg i czekałam na śmierć. Potem przybyła *Bundespolizei* i jeden z policjantów był taki seksowny, że zaczęło się między nami coś niewiarygodnie namiętnego, i pojawił się ten stary hrabia z lugerem... Och, bardzo cię przepraszam, ja znowu o sobie. Chciałam tylko powiedzieć, że poznasz innego mężczyznę. I zakochasz się znowu. Zobaczysz. Do jutra. Dwudziesta trzydzieści. Wyślę ci adres esemesem.

Rozłącza się. Nie ma racji: już nigdy nie pokocham innego mężczyzny. Mam jednak swoje przyjaciółki. One wystarczą... ale zaraz, ktoś stoi pod drzwiami.

Ze zdumieniem stwierdzam, że na moim progu stoi najpopularniejszy prezenter mediów irlandzkich: Ned Mount.

– Cześć, Ned... szuka pan Ryana?

– Nie – uśmiecha się tymi wnikliwymi, inteligentnymi oczyma. – Szukam pani.

## 19.34

Karen przychodzi pomóc mi w przygotowaniach do wizyty u Georgie.

– To nie jest konieczne – protestuję.

– Owszem, jest. Kiedy się z nią spotykasz, reprezentujesz nas wszystkie. O, przymierz tę bluzkę i wyszczotkujemy ci włosy tak, że będą gładkie i lśniące. Muszę powiedzieć, Stello, że dobrze wyglądasz. Straciłaś parę kilo.

– Nie wiem jak. Nie wytrzymałam z dala od węglowodanów. No, może wytrzymałam poza napadami żarłoczności.

– Denerwowałaś się Ryanem. Mówiłam to już i będę to powtarzać setki razy: nerwy to najlepszy przyjaciel grubej dziewczyny. Co prawda ty nie byłaś jakoś szczególnie gruba... Tylko... no wiesz.

## 19.54

Dzwoni dzwonek u drzwi.

– Kto to? – pyta Karen podejrzliwie.

– Pewnie Ryan wraca z zoo.

– Nie dałaś mu klucza do domu?

– Nie.

– To dobrze.

To rzeczywiście Ryan, a bije od niego ledwie powstrzymana ekscytacja.

– Nie zostaję – mówi. – Szykują się dobre zmiany. Po pierwsze, znalazłem kogoś, kto mnie do siebie przyjmie.

– Kto taki?

– Zoe.

– Moja przyjaciółka Zoe? – pytam.

– Ona jest również moją przyjaciółką. Jej małe suczki wyjechały na lato i ma dwa wolne pokoje.

- A te inne zmiany?

- Chyba odzyskam swój dom. Organizacja dobroczynna uznała, że nie będzie to wyglądać dobrze, jeśli będą czerpać korzyści z czyjejś bezdomności. - Rzeczywiście ma dobry nastrój. - Zorganizuję dla nich jakąś zbiórkę społeczną... Ręka rękę myje. No i jest szansa, że odzyskam firmę od Clarissy. Powiedziałem jej, że założę nową firmę o nazwie Łazienki Ryana Sweeneya, i będę podbierał jej klientów, więc lepiej, żeby ze mną pracowała.

- I wszystkie te rozwiązania sam znalazłeś? - pyta Karen.

- Tak - odpowiada on pewnym głosem. - Mniej więcej.

- Doprawdy?

- No, dobra, może mam doradcę, ale zasadniczo wszystko zależy ode mnie.

## 20.36

Dom znajomego znajomego Georgie stoi przy ślicznej uliczce w bok od najdroższej ulicy w Irlandii. Ona naprawdę ma klasę. Nie ma tu miejsc do parkowania. Wąska uliczka jest zapchana ekskluzywnymi autami. Wciskam swoją małą toyotę na wolne miejsce i nie daję się zastraszyć.

Georgie otwiera drzwi na oścież. Włosy ma długie i rozpuszczone, jest opalona i bije od niej nowa jakość życia charakterystyczna dla jogi. Niesamowicie się cieszę na jej widok i przechodzi mi przez myśl refleksja, że jeśli przyjaźń z nią ma być jedyną spuścizną po związku z Mannixem, to nie jest tak źle.

- Świetne wyglądasz! - stwierdza, rzucając mi się na szyję.

- Ty też.

- Nie, kochanie, nie. Jestem taka pomarszczona. To całe słońce. Zrobię sobie lifting na żuchwie. Powinnam go zrobić w Limie, ale za bardzo byłam rozkochana. Dwudziestosześcioletni kulturysta. Źle się skończyło. - W jej oczach pojawiają się iskry. - Źle dla niego! Płakał, gdy odjeżdżałam.

- Kiedy tak o tym myślę, Georgie... Ned Mount próbował się z tobą skontaktować. Wpadł do mnie wczoraj. Wie, że się przyjaźnimy. Zostawił mi numer.

- Doprawdy? Ale słodki człowiek! Kilka dni temu spotkaliśmy się w samolocie. Mhm... Ależ iskra poszła! Zadzwoń do niego. No to chodź, chodź, idziemy do kuchni. Jak widzisz, bardzo tu wytwornie, ale przytulnie.

W kuchni już ktoś jest, siedzi przy stole. Odrobinę mnie ta niespodzianka irytuje. Aż potwornie wstrząśnięta stwierdzam, że tą osobą jest Mannix.

- Niespodzianka! - mówi Georgie.

Mannix patrzy osłupiały. Równie osłupiały jak ja.

Zerka na Georgie, na mnie, potem znowu na nią.

- Georgie, co się dzieje?

- Musicie porozmawiać - oznajmia.

- Nie, nie musimy. - Rzucam się do drzwi. Muszę stąd uciec. Całkowite zerwanie. Całkowite. Tylko tak mogę to załatwić. Georgie odcięła mi drogę.

- Musicie. Stello, Mannix nie zrobił nic złego. Między nim a Gildą do niczego nie doszło.

Mam problemy z oddychaniem.

- Skąd wiesz?

- W drodze powrotnej z Peru wpadłam do Nowego Jorku na tydzień i umówiliśmy się na spotkanie. Rozmawiałam z nią bardzo stanowczo. Myślę, że teraz się mnie boi. Owszem, miała coś do Mannixa. - Georgie wzrusza ramionami. - O gustach się nie dyskutuje. Ej, żartuję!

Lubię ją, więc niechętnie się zmuszam do uśmiechu.

- Usiądź, kochanie. - Delikatnie nakłania mnie, aż siadam przy stole, naprzeciwko Mannixa. Stawia przede mną kieliszek wina. - I nie bądź taka przerażona.

Pochylam głowę. Nie mogę patrzeć mu w oczy. Za dużo tego, za mocno.

- Gilda namieszała ci w głowie, kochanie. To jej było potrzebne, żebyś pomyślała, że między nią a Mannixem coś się dzieje. Ale się nie działo. Prawda, Mannix?

Odchrząkuje.

- Prawda.

- Nigdy?

- Nigdy.

Niepewnie podnoszę głowę i patrzę Mannixowi w twarz. Między nami płonie ogień.

- Nigdy - powtarza, nie odrywając ode mnie szarych oczu.

- No, nareszcie. - Georgie uśmiecha się promiennie. - Musicie sobie wyjaśnić, co się stało. Znajdowaliście się w bardzo trudnej sytuacji. Roland był umierający, wszyscy byli zdruzgotani. Ja, gdy tylko dostałam wiadomość, strasznie płakałam. Wszyscy byliśmy strasznie przygnębieni, chociaż, pamiętasz, Mannix, ja zawsze uważałam, że twoje przywiązanie do Rolanda jest za silne. Ale nie jesteś moim mężem, więc to nie mój problem. - Znowu uśmiecha się szeroko. - Kończyły się wam pieniądze, czym się za bardzo zamartwialiście. Powinniście brać przykład ze mnie: nigdy się nie zadreczam i zawsze się znajduje jakieś rozwiązanie.

Mannix zerka na nią znacząco, a ona parska śmiechem.

– Stello. – Georgie poważnie. – Mannix sądził, że postępuje właściwie ze względu na ciebie, gdy powiedział, że będzie agentem Gildy. Spanikował. Chciał się tobą zaopiekować finansowo i tylko taki sposób przyszedł mu do głowy. Ale ty sięgnęłaś po najgorszą interpretację i jeśli mam być szczerą, to nie sądzę, żebyś tak nisko ceniła Mannixa. Raczej sądzę, że się bałaś. Masz taką drażliwość charakterystyczną dla klasy robotniczej – rozmyśla. – Ty sądzisz, że on jest zbyt arogancki, on sądzi, że ty jesteś zbyt dumna. Na pewno macie problemy z komunikacją... – Jej głos cichnie. Georgie zbiera się i dodaje ożywionym tonem:

– Ale załatwicie to. Dobra, ja wychodzę. Macie ten domek dla siebie.

– Wychodzisz?

– Tylko na dzisiaj.

Zarzuca torebkę na elegancko chude ramię. Piękną torebkę, zauważam mimowolnie. Może powinnam jej powiedzieć, że mi się podoba; pewnie by mi ją dała. Och, zaraz, ona znowu coś mówi. Jakaś kolejna porada.

– Jeszcze jedno: książka Gildy w pewnej chwili zostanie wydana. Może odniesie sukces, może nie, ale musisz dobrze jej życzyć. Sugeruję taki wspaniały rytuał: napisz do niej list i wylej w nim wszystko. Całą zazdrość i żal, wszystko! Potem spal te kartki i poproś wszechświat – Boga, Buddę czy kogo tam chcesz – by usunął złe uczucia, a zostawił tylko dobre. Możecie to zrobić razem, ty i Mannix. Byłby to wspaniały sposób, by się oczyścić i powrócić do siebie. No dobra, już mnie nie ma.

Słyszymy trzask drzwi wejściowych i zostajemy z Mannixem sami.

Patrzemy na siebie nieufnie.

Po chwili milczenia on mówi:

– Jak jeszcze byliśmy małżeństwem, Georgie zrobiła ten rytuał z listem i podpaliła zastłonki w sypialni.

Wybucham nerwowym śmiechem.

– Ja nie mam przekonania do rytuałów.

– Ja też nie.

– Wiem.

Zaskoczeni patrzemy na siebie, wstrząśnięci prześlaskiem naszej dawnej bliskości. A potem nastrój opada.

– Co się dzieje? – pytam. – Ciągłe jesteś agentem Gildy?

Patrzy zaskoczony.

– Nie... Nie wiesz? Dzwoniłem, zostawiałem wiadomości.

– Przepraszam. – Odchrząkuję. – Nie odsłuchiwałam ich. Nie mogłam...

– Przestałem być jej agentem w dniu, gdy powiedziałaś, że wyjeżdżasz z Nowego Jorku. To już nie miało sensu. Robiłem to tylko dla ciebie.

– Naprawdę? Więc co u niej?

– Nie mam pojęcia.

– Poważnie? – Patrę na niego twardo. – Nie byłeś ciekaw? Nie wpadłeś na nią w Nowym Jorku?

– Nie mieszkam w Nowym Jorku.

Coś takiego.

– A gdzie mieszkasz?

– Tu. W Dublinie. Wróciłem do pracy, wracają do mnie pacjenci. To chwilę potrwa, ale... lubię być lekarzem.

Coś mi właśnie przyszło mi do głowy, jakaś informacja, która wpadła na swoje miejsce.

– Jakiś tajemniczy przyjaciel pomógł dzisiaj Ryanowi... to ty?

– Tak.

– Dlaczego?

– Żeby pomóc tobie.

– Dlaczego?

– Bo jesteś dla mnie wszystkim.

Na to nic nie mogę powiedzieć.

Sięga po moją rękę.

– Zawsze byłaś. I tylko ty.

Pod jego dotykiem łzy napływają mi do oczu. Sądziłam, że już nigdy nie będę trzymała go za rękę.

– Nie mogę bez ciebie spać – mówi. – Więc nie śpię. Wróć, proszę.

– Za późno. Pogodziłam się z tym.

– A ja nie. Kocham cię.

– Ja cię kochałam. Przepraszam, że nigdy ci o tym nie powiedziałam. A teraz lepiej już pójdę. – Wstaję.

– Nie – mówi z paniką w głosie. Zrywa się zza stołu. – Nie idź, proszę.

– Dziękuję, Mannix. Spędziłam z tobą cudowny czas, emocjonujący i piękny. Nigdy tego nie zapomnę i zawsze będę się cieszyć, że to się stało. – Całuję go przelotnie w usta, wychodzę i idę do samochodu.

Wsiadam za kierownicę i zastanawiam się, którądy najlepiej pojechać do Ferrytown. A potem przychodzi mi do głowy: czy ja zupełnie zwariowałam? Mannix tu jest, Mannix, który mówi, że ciągle mnie kocha, który mnie nie zdradził, i chce, byśmy znowu byli razem.

Wyłączam silnik, wysiadam i wracam do domu. Mannix otwiera drzwi. Widzę, że jest zdruzgotany.

- Przepraszam - mówię bezradnie. - Nie wiem, co mi strzeliło do głowy. Ale już mi przeszło. Kocham cię.  
Przyciąga mnie do siebie.  
- Ja też cię kocham.

# Rok później

Tulę małą dziewczynkę w ramionach i wpatruję się w jej drobniutką twarz.

- Ma moje oczy.

- Moje - mówi Ryan.

- Przestańcie - przerywa nam Betsy. - Ona ma cztery tygodnie. Za wcześnie, by miała czyjeś oczy. Zresztą wygląda dokładnie jak Chad.

Kilda kwili, kwili jeszcze głośniej i wygląda na to, że zaraz się rozplacze na całe gardło.

- Betsy - mówię niespokojnie.

- Ja ją wezmę - proponuje Chad. Przytula sobie do piersi zawiniątko i Kilda natychmiast cichnie.

Tata patrzy na to żywo zainteresowany.

- Dobrze sobie z nią radzisz, co nie, synu? - pyta trochę podejrzliwie. - Nie byliśmy do ciebie przekonani. Nie mieliśmy pewności, że nadajesz się na ojca, ale myliliśmy się. Jesteś okej.

- Okej - potwierdza mama.

- Dzięki - mówi Chad.

- Nie ma sprawy. No! - Tata uśmiecha się do nas wszystkich, zebranych w salonie domku na plaży. - To właściwe entrée do świata dla mojej pierwszej prawnuczki. Entrée to francuskie słowo... Chwileczkę. - Przerywa, a potem stuka się w klatkę piersiową i wydaje solidne czknięcie. - Od tych gazowanych rzeczy mam torsje. Nie macie tu smithwicksa?

- Jeffrey - zwracam się do syna. - Przynieś dziadkowi jakieś robociarskie ale. W kuchni stoi parę butelek.

Jeffrey wstaje posłusznie, a mama mówi:

- Jak już tam będziesz, możesz mi zrobić herbaty?

- Pewnie. Ktoś jeszcze coś chce?

- Ja bym zjadł ciasta - prosi Roland.

- Niiiee!!! - krzyczy zgodny chór.

- Nie, kochaniutki - mówi moja mama. - Tak ciężko się napracowałeś nad tym odchudzaniem, że nie chcesz tego zmarnować.

- No dobra. - Trochę ponuro Roland trąca dywanik czubkiem różowo-pomarańczowego trampka.

- Może wody kokosowej? - sugeruje Jeffrey.

- Jasne! - W jednej chwili Roland znowu się ożywia.

- I może coś nam opowiesz - dodaje mama. - Jak się spotkałeś z Michelle Obamą. Chadowi się spodoba, w końcu jest Amerykaninem.

- W takim razie - Ryan zerka znacząco na Zoe - my lepiej już pójdziemy.

- Tak. - Zoe chichocze. - Lepiej pójdziemy.

Oni w kółko to samo. Kiedy w zeszłym roku Ryan wprowadził się do Zoe, coś wielkiego zapłonęło między nimi. Nawet gdy już odzyskał swój dom i firmę, pozostali razem.

Karen stoi w drzwiach i patrzy na morze.

- Nie denerwuje cię? - pyta. - Ta cała woda?

Śmieję się.

- Uwielbiam ją.

- Ja bym nie mogła tu mieszkać. Nie wiem, jak tobie się to udaje. Chyba jestem raczej miastowa. No nie, Enda?

- Jesteś miastowa. - Enda patrzy na nią z niezłomnym podziwem. - Miastowa i moja.

- Jezu, Enda - gani go Karen. - Cokolwiek pijesz, odstaw to.

Na korytarz wypadają Clark i Mathilde, tupiąc, wbiegają do salonu.

- Ej! - woła Clark. - Co to za śmieszne wiszące łóżko w ostatnim pokoju?

Rumienię się odrobinę.

- Łóżko.

- Śpisz w nim z wujkiem Mannixem?

- Nie. - Zerkam na Mannixa.

- Nie. - Mannix odchrząkuje.

Mówimy prawdę. Rzeczywiście bardzo mało w nim śpimy.

Karen przygląda się nam uważnie, a potem wznosi oczy do nieba.

- My pewnie też już powinniśmy iść. Najpierw jednak... - Podchodzi do mnie i mówi, niemal nie poruszając ustami: - Muszą z tobą zamienić słowo.

Zaciąga mnie w róg pomieszczenia.

- Nie wiem, czy powinnam ci o tym mówić, ale w jednej z brytyjskich gazet coś dzisiaj wyczytałam. O...

- O Gildzie i jej książce – kończę za nią.
- Och, więc wiesz? Widziałaś ją? Nie masz z tym problemu?
- No cóż...

Przez ostatni rok wiele razy rozmawialiśmy z Mannixem o tym, jak zareagujemy na wydanie książki Gildy.

- Jeśli będziemy zazdrośni – uznałam – będzie to jak trzymanie w rękach rozżarzonego węgla. To nam się stanie krzywda.

Dzisiaj, gdy wreszcie to nastąpiło i zobaczyłam zdjęcie ślicznej, uśmiechniętej twarzy Gildy i przeczytałam pozytywną recenzję jej książki, ręce mi drżały, a serce biło o wiele za szybko. Pokazałam gazetę Mannixowi.

- Jesteśmy w stanie dobrze jej życzyć? – spytałam.

- A tak czujesz?

- Tak chciałabym czuć.

- Bardzo szlachetnie – Mannix zaśmiał się lekko. – Ale pamiętaj też – dodał – że ona zupełnie, ale to zupełnie nie ma znaczenia.

Ostatni z naszych gości wychodzą około dziewiętnastej. Machamy im, gdy samochody oddalają się dróżką pomiędzy wydymami, aż za wzgórze, i zostajemy sami.

- Gdzie się podział Shep? – pyta Mannix.

- Ostatnio widziałam go, jak gdzieś tu biegał.

- Chodź, wybierzemy się na spacer.

Mannix gwizdże na Shepa i ten po chwili przybiega w podskokach zza wzgórza, wymachując ogonem bujnym niczym pióropusz.

Poza naszą trójką na plaży nie ma nikogo. Zachodzące słońce otula wszystko złotym blaskiem. Fale wyrzucają patyk na lśniący piasek u moich stóp. Shep ze szczeknięciem doskakuje podekscytowany.

- Dar od Boga! – mówię. – Rzucę go Shepowi. Idźcie trochę do przodu.

Idą razem kilka metrów. Rzucam patykiem, ale przypadkiem trafiam w Mannixa.

- Auć! – krzyczy.

Zginam się w pół ze śmiechu.

- To wiatr, to przez wiatr.

- Wybaczam ci. – Mannix wraca do mnie, przyciąga mnie do siebie, a Shep wciska się między nas.

Tak wygląda teraz moje życie.

# Podziękowania

Dziękuję Louise Moore, najlepszej wydawcy na świecie, za jej niezłomną wiarę we mnie i moją książkę. Dziękuję Celine Kelly, która redagowała mój tekst z takim zapałem i uwagą. Dziękuję Clare Parkinson za pieczołowite, mozolne poprawki. A także Annie Derkacz, Maxine Hitchcock, Timowi Broughtonowi, Nickowi Lowndesowi, Lee Motley, Liz Smith, Joemu Yule'owi, Katie Sheldrake i całemu zespołowi wydawnictwa Michael Joseph. Mam wielkie szczęście, że przyszło mi pracować z takimi świetnymi ludźmi.

Dziękuję mojemu legendarnemu agentowi, Jonathanowi Lloydowi, i wszystkim w wydawnictwie Curtis Brown, że wierzą w moje książki i tak cudownie się nimi zajmują.

Dziękuję moim przyjaciołom, którzy czytali tę książkę, gdy ją jeszcze pisałam, służąc mi radą i zachętą. Do tej grupy należą: Bernice Barrington, Caron Freeborn, Ella Griffin, Gwen Hollingsworth, Cathy Kelly, Caitríona Keyes, Mammy Keyes, Rita-Anne Keyes, Mags McLoughlin, Ken Murphy, Hilly Reynolds, Anne Marie Scanlon i Rebecca Turner.

Specjalne podziękowania należą się Kate Beaufoy, która cały czas trzymała mnie za rękę, a także Shirley Baines i Jenny Boland, których spektakularny entuzjazm upewniał mnie, że podążam właściwą drogą.

Dziękuję Paulowi Rollesowi, który ofiarował ogromną darowiznę organizacji Action Against Hunger, w zamian za użyczenie swojego nazwiska jednemu z bohaterów książki.

Aby zapoznać się z zespołem Guillaina-Barrégo, przeczytałam książkę *Bed Number Ten* Sue Baier i Mary Zimmeth Schomaker oraz *The Darkness Is Not Dark* Reginy R. Roth, a także *Nic śmiesznego* Josepha Hellera i Speeda Vogla.

Dziękuję wspaniałym Elenie i Mihaeli Manta z Pretty Nails, Pretty Face, które natchnęły mnie pomysłem opisania salonu piękności – choć nie muszę chyba zaznaczyć, że Pretty Nails, Pretty Face w niczym nie przypomina Honey Day Spad!

Dziękuję też oczywiście mojemu ukochanemu mężowi i najlepszemu przyjacielowi, Tony'emu, za zachętę, pomoc, wsparcie i wiarę we mnie – żadne słowa nie wyrażą ogromu mojej wdzięczności.